

VITTORIO MESSORI
PYTANIA O CHRZEŚCIJAŃSTWO
„Czy Ty jesteś Mesjaszem, który ma przyjść?”

Tłumaczył Ks. MIECZYŚLAW STEBART CO
wydawnictwo iii)
Kraków 1997

Ducha nie gaście, prorocтва nie lekceważcie! Wszystko badajcie, a co
szlachetne - zachowujcie!
(1 Tes 5,19-21)

* * *

Spis treści

Uwagi wprowadzające
Na tropach ukrywającego się Boga
Twarze, głosy
Nić w labiryncie

1. Cztery razy nie, "w imię rozumu"
Leonardo Sciascia
Luigi Firpo
Umberto Eco
Alessandro Galante Garrone

2. Cztery razy tak "w imię rozumu"
Arturo Carlo Jemolo i Hans Kling
Gaspere Barbiellini Amidei
Jean Guilton

3. Trzy razy nie dla podejrzliwości
Geno Pampaloni
Claudio Magris
Giovanni Arpino

4. Dwa razy tak dla "religii"
Pietro Citati
Elemire Zoila

5. Żyd i kobieta-antropolog, dla Jezusa..... 111
David Flusser
Ida Magli

6. Dwaj bibliści i archeolog
René Latourelle
Jean Carmignac
Bellarmino Bagatti

7. Trzej konwertycy w Paryżu
Andre Frossard
Louis Pauwels
Jean-Marie Lustiger

8. Jezuita i ateistka, którzy obserwują niebo
George V. Coyne
Margherita Hack

9. Najślawniejszy wśród teologów
Karl Rahner

10. Dwa sposoby na życie wiarą

Luigi Giussani

Alberto Monticone

11. Gdy katolik jest u władzy

Giulio Andreotti

Oscar L. Scalfaro

12. "General" i jego strategia

Egidio Viganó

13. Siostra pustelnica i ksiądz narkomanów

Maria Pia Giudici

Luigi Ciotti

14. Historyk "wieków chrześcijańskich."

Franco Cardini

15. Pisarz i Pismo Święte

Italo A. Chiusano

16. Droga mistyki

Divo Barsotti

17. W poszukiwaniu utraconej jedności

Vittorio Subilia

Max Thurian

18. Wyzwanie innych religii

Piero Rossano

Piero Gheddo

19. Cztery wtargnięcia w tajemnicę

Uczony i Całun

"Znak" świętego Januarego

Gdy Maryja się objawia

Na granicach nieznanego

Uwagi wprowadzające

Na tropach ukrywającego się Boga

Należę do tych, którzy nie potrafią przyzwyczaić się do chrześcijaństwa.

Nigdy nie udało mi się uznać za oczywiste, że prawda

O człowieku i o świecie, o historii i o wieczności, jest ukryta w osobie

I słowach owego "małego Żyda", jak Fryderyk Nietzsche nazywał Jezusa z

Nazaretu; że mieści się ona w słowach owego kaznodziei, wędrującego po

drogach najbardziej ponurej spośród wszystkich prowincji Wielkiego

Imperium.

Jest faktem, że każdy w sobie nosi brzemień swojej małej historii. Moja, w

jej pierwszej części - decydującej, stanowiącej etap formacji - była

naznaczona laicystycznym racjonalizmem, który przeszkadzał mi w ulokowaniu

się później bez problemów w gmachu chrześcijaństwa, do którego

nieoczekiwanie zostałem popchnięty. Po jego starożytnych salach, mających

za sobą dwadzieścia wieków, będących świadkami wspaniałości minionych epok,

ale także ich nędzy, krążyłem stale nie jak pewny siebie obywatel, lecz jak

niespokojny gość, który stawia sobie pytanie, czy ta budowla nie jest

przypadkiem nieprawidłowa, czy naprawdę ma fundamenty.

Bardziej niż dom chrześcijański - z jego mieszkańcami w zmniejszonej teraz

liczbie, ale bardziej niż kiedykolwiek skłóconymi ze sobą w imię wiary,

którą zdają się uznawać za sprawę oczywistą - zawsze interesował mnie

przeгляд piwnic, na których wszystko się wspiera. Szacunek, z pewnością,

ale trudno zrozumieć kogoś, kto nie stawiając sobie codziennie pytań,

przyjmuje z prostotą ten niewiarygodny skandal i szaleństwo, jakim jest rozpoznawanie majestatu Boga pod powierzchownością przegranego życiowo cieśli.

Co do mnie, wciąż jeszcze mam na sobie niezatarte znamię owej kultury "krytycznej", "rozumy" (prawdziwej bądź domniemanej), o której sądziłem, iż na zawsze będzie moja, a z której tymczasem zostałem wyrwany; bez mojej winy czy zasługi. Jezus jako Chrystus zapowiedziany przez proroków Izraela, historyczna wiarygodność Jego Ewangelii, legalność Kościołów, które od Niego biorą początek; sięgając bardziej w głąb: możliwość brania przez dzisiejszego człowieka "religii" na serio, uznawania Boga, ryzykowania dla Niego swojego życia i śmierci...

To wszystko pojawiło się we mnie nieSpodziewanie tamtego już odległego, samotnego i gorącego lata, jako olśniewająca oczywistość dla serca, ale jako dramatyczne wyzwanie dla rozumu. Nie gorszy mnie, w wymiarze inteligencji i logiki (lub także tylko skromnego zdrowego rozsądku) to, że stary Piłat potrząsa głową i zachowuje się ironicznie wobec tego poddanego o pozorach fanatyka: "A więc Ty jesteś Synem Bożym?..." Tak, od tego lipca serce wierzy; ale rozum stawia pytania, szuka, wątpi, potwierdza, podżega; niekiedy krzyczy, łącząc się z błaganiem rozbrzmiewającym w Ewangeliiach: "Wierzmy, Panie! Pomóż nam w niedowiarstwie naszym!"

Zacząłem pytać siebie (i pytać, aż do bezczelności, kogo tylko spotkałem wokół mnie) już wtedy, gdy wchodziłem w pełnię młodościowego wieku, w studenckim pokoju w Turynie; teraz zaś piszę w tej mojej malutkiej samotnej pracowni, wysoko ponad dachami Mediolanu, zakładając na nos okulary z powodu starczowzroczności, okrutnego znaku, zwiastującego zbliżanie się starości. Przez ponad dwadzieścia lat (jakkolwiek pośród błędów, odejść, hamowań, gnuśności, buntów) najlepszą część energii i najwięcej czasu zużyłem na badanie swojego wnętrza, odwiedzanie bibliotek, wędrowanie po szerokim świecie, na śledzenie i studiowanie tropów, śladów, znaków Boga, który, jeżeli jest, wybrał ukrycie się. Dobrze rozumiem okrzyk Izajasza: "Zaprawdę jesteś Bogiem ukrytym, Boże Izraela, Zbawco!"; I na pewno nie jest mi obce owo "szukanie Boga jak gdyby po omacku, w zwierciadle i zagadkach", o którym mówi Paweł z Tarsu. ("Jakkolwiek - dodaje natychmiast, na potwierdzenie paradoksu wiary - nie jest daleko od każdego z nas".)

Twarze, głosy

Jestem niepoprawny. To, co dotąd napisałem, jest tylko sprawozdaniem - wciąż prowizorycznym - z tego krążenia wokół samej możliwości wierzenia. Jak gdyby pracy kolejarza, który młotkiem uderza w koła pociągu, aby zinterpretować ich dźwięk.

W ten sposób usiłowałem najpierw zrobić inwentarz tego, co rozum i historia mówią na temat możliwych hipotez o tajemniczym Protagoniście Ewangelii. Następnie, wypadało zapytać siebie o możliwość podjęcia ryzyka wobec niesłychanej dobrej nowiny, jaką Jego uczniowie wykrzykiwali na ulicach świata, uparci aż do męczeństwa: "Śmierć została już pokonana! Bóg wskrzesił Go i Jego śladem wszyscy zmartwychwstaniemy do życia wiecznego!" Wreszcie było mi dane przeprowadzić wywiad ze stróżem ortodoksji katolickiej, aby spróbować dokonać sprawozdania z teraźniejszości i z przyszłości najstarszego i największego Kościoła, który powołuje się na Jego imię.

I teraz, na następnych stronach powracam uparcie do stawiania pytań prostszych i straszniejszych, tych, na których wiara stoi lub upada. Tych, które, czy chce się tego lub nie, wciągają nas wszystkich; i z których kiedyś, jeżeli Ewangelia ma rację, będziemy musieli się rozliczyć. Powracam do nich, aby zdać relację nie z konfrontacji z książkami, lecz ze spotkań z żywymi ludźmi; aby uczynić siebie zwierciadłem i megafonem konkretnych twarzy i głosów. Za ideami - tak często nie mogącymi przedziurawić zasłony tajemnicy, która je otacza - jest świadectwo osobiste, które mnie interesowało. Staralem się, razem z mądrością, zgłębiać doświadczenie. Chrześcijaństwo ma swoją gorszącą logikę, która wyrwaca, tutaj jak i gdzie indziej, nasze schematy i wyrwaca świat na nice: "W tej chwili Jezus rozradował się w Duchu Świętym i powiedział: "Uwielbiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, ponieważ zakryłeś te rzeczy przed uczonymi i mądrymi a

objawiłeś je prostaczkom. Tak, Ojczy, tak spodobało się Tobie!»).

Tajemnica - jeżeli jest nią rzeczywiście - objawia się pasterkom analfabetkom, nie profesorom uniwersyteckim (ani dziennikarzom, z reguły wpisanym do Ordine Nazionale, wykazu pracujących zawodowo...). Następnie to, co ma naprawdę znaczenie w chrześcijaństwie, jest niewidzialne dla oczu "cielesnych" (a zatem wymyka się każdemu badaniu): wiara, nadzieja, miłość, modlitwa, pokuta, radość. Zapominają o tym często intelektualiści, także wierzący: prawdziwym przedmiotem wiary nie jest teoretyczna dyskusja o jakimś systemie idei, norm, lecz konkretne spotkanie z Osobą, która domaga się od nas nie tylko umysłu, lecz wszystkiego.

Życie było dla mnie wspaniałomyślne: dało mi podniecie do pytań, których nie można pominąć i które nie są bezbolesne ("Co jest między nami a Tobą, Jezusie z Nazaretu? Przyszedłeś może, aby nas dręczyć?", krzyczy grzech w każdym z nas). Ale równocześnie życie pozwoliło mi wykonywać ten zawód dziennikarza, który usprawiedliwia pukanie do drzwi kogoś, kto ma do dania swoje odpowiedzi, aby potem móc je rozważać i studiować. W tych latach z podobnych możliwości korzystałem, ile mogłem.

Wydaje mi się, że technikę badania podłoża nazywają "karotazem": sonda się zagłębia i wynosi na światło cylinder z ziemią, "karotę" materiału do badania. Analiza może wykryć skarb i może rozczarować; ale, także w tym ostatnim przypadku praca nie jest bezużyteczna, przynajmniej wiadomo, że trzeba szukać gdzie indziej.

Otóż także ja usiłowałem dokonywać "karotazu", zanurzając sondę w glebie wiary lub niewiary, posługując się tą sondą - wywiadami, które łączą się ze sobą w ankietę - jaką dysponuje reporter. Podobnych "karot" przez ten niekrótki czas wydobyłem i przeanalizowałem dziesiątki; nie przypadkowo, lecz, zwłaszcza w ciągu ostatnich lat, według systematycznego planu, według swego rodzaju strategii, która nakreśliła pewną mapę. Zachowałem w tej książce tylko niektóre z wysłuchanych w ostatnim okresie głosów, opierając się jednak na doświadczeniach zgromadzonych w ciągu wszystkich poprzednich lat. Pytałem zarówno tego, kto opierał się na prawdzie Jezusa z Nazaretu i z Jego słów uczynił motywację życia i nadziei; jak i tego, kto - z ulgą, z wyzwaniem lub ze smutkiem rezygnacji - widziałem jak potrząsał głową, aby powiedzieć: "Był kiedyś Jezus. Ale teraz..."

Niż w labiryncie

Jak trawa na polu, także my biedni ludzie przemijamy; nie są jednak przelotne te problemy, które starałem się umieścić, jak potrafiłem, w centrum tej ankiety. Pytania, a zatem i odpowiedzi chciałyby wyrwać się z tymczasowości. Biorąc początek, niewątpliwie, w historii (i wywiady zachowują, w zamierzony sposób, ślady konkretnych sytuacji, w których były przeprowadzane), ale dlatego, że chcą przekroczyć reportaż. Ponadto w "strategii" wyboru rozmówców starano się, aby byli oni, w jakiejś mierze, wzorcowi zarówno co do wyboru ideałów jak i doświadczeń życiowych; tak, żeby ich

postawy przekraczały wymiar osoby, żeby stały się modelami pewnego sposobu rozumowania i życia.

To pozwala mieć nadzieję - aczkolwiek w oczywistych granicach i w niekompletności każdego badania "na polu" - że następujące stronicie nie mają prowizoryczności jakiegoś instantbook. Proces przeciwko Bogu i Chrystusowi jest dramatem, który ponawia się w każdym pokoleniu; ale każde z nich, chociaż z różnymi akcentami i wrażliwością, stawia w istocie te same kwestie i daje te same odpowiedzi; to dossier chce być pewnego rodzaju ich magazynem, z którego trzeba czerpać przez osobistą refleksję: nikt w tych sprawach nie może decydować za nas, każdy jest w swoim wyborze sam. W tej perspektywie, jak w wypadku innych książek, również tym razem wyznaję, że pracowałem przede wszystkim dla siebie, że byłem podtrzymywany w badaniach przez moją potrzebę rozumienia, aby wierzyć; albo może wierzenia, aby rozumieć. Kiedy, jako młodzieniec, wyruszyłem by odkryć chrześcijaństwo aż do tamtej pory nieznanego i będącego bardziej powodem nieufności niż ciekawości, ustaliłem sobie program: nigdy nie pisać na zlecenie wydawców ani po to, żeby ubiegać się o rynek czytelników; ale pisać tylko to, co rodzi się z wewnętrznej potrzeby, co potem przeszłoby

przez sito długiego badania. Chciałem w ten sposób spróbować napisać te książki, które chciałem czytać w mojej młodości (na tyle zdezorientowanej, na ile chciwej lektury), ale których nie znalazłem. Także te stronicy, które szukają nici Ariadny w labiryncie pełnym odgłosów i pułapek nowoczesności, wchodzą do tego starego już programu.

Naturalnie, jest życzeniem autora, aby, jak zdarzało się to z poprzednimi książkami, jego pytania były także pytaniami jego innych towarzyszy w tajemnicy życia. Piszący te słowa pragnie, aby jego trud mógł pomóc komuś, kto się przyłącza do niego w pytaniu, jakie w Ewangelii zostało skierowane do Jezusa z Nazaretu: "Czy Ty jesteś Mesjaszem, który ma przyjść, czy też mamy oczekiwać innego?" Pytanie, na które zdają się odpowiadać, między innymi, słowa Zapytanego: "Szukajcie, a znajdziecie; pukajcie, a otworzą wam. Ponieważ kto szuka znajduje, a kto puka, temu otworzą".

Ostatnia uwaga o posługiwaniu się tą książką, napisana przez tego, kto - choćby nawet w sposób udręczony, jak się przedstawiał - ośmiela się jednak nazywać "chrześcijaninem" i oświadcza to natychmiast, aby nie udawać niemożliwych i trochę obłudnych "neutralności". Człowiek naszych czasów, don Primo Mazzolari, mówił o "cierpieniu wierzącego w Ewangelie, który musi przepowiadać słowa o wiele wyższe od jego życia i które go potępiają". Jest to cierpienie, które znam dobrze, i które mi zawsze towarzyszyło, prowadząc do zastanawiania się nad wybraniem milczenia. Jeżeli jeszcze odważam się mówić, to dlatego, że mistrz duchowy, któremu pewnego dnia zwierzyłem się z mojej trudności, wytłumaczył mi, że każde głoszenie ideału byłoby niemożliwe, gdybyśmy chcieli opierać je na naszej rzeczywistości, tak miernej i tak pełnej sprzeczności; to na prawdzie, nie na nas, opiera się takie głoszenie. Kościół rzucił ekskomunikę na husytów, którzy chcieli mierzyć wartość Ewangelii wartością kaznodziei.

Tak więc, jak zauważa Manzoni, "konieczną jest rzeczą, aby chrześcijanie przedstawiali naukę wyższą od ich czynów. I nie można posądzać ich o hipokryzję, jeżeli, jak należy, wyznają, iż są bardzo dalecy od doskonałości, której uczą".

Konsekwencją, jaką należy wyciągnąć z udręki, jeżeli nie z cierpienia, wynikających z poczucia dystansu między słowami Jezusa a własnym życiem - uważam - jest pokora grzesznika, nie niepokój pysznego.

1 Czuję się w obowiązku podziękować tutaj za przyjaźń, zaufanie, przyznanie mi wolności podczas długiego wspólnego zaangażowania, Antoniowi Tarzia i Stefanowi Andreatta, redaktorom miesięcznika "Jesus" (w którym zostało opublikowane wiele z zebranych tutaj materiałów, które jednak w niektórych przypadkach były niepublikowane i pochodzą z innych źródeł), Leonardowi Zega, dyrektorowi naczelnemu Zespołu Czasopism Paulińskich, oraz ogólnie redaktorom odpowiedzialnym, kolegom, sekretarkom redakcji, personelowi całego Zespołu: praca w prasie jest dziełem zespołowym, w którym każdy ma coś do zrobienia. Moje podziękowanie odnosi się także do wszystkich moich rozmówców w wywiadach, za ich cierpliwość i dyspozycyjność, za które chciałem się odwzajemnić starając się dobrze rozumieć i wiernie referować ich myśl. Niniejszy materiał został wyselekcjonowany (z wieloma wyłączeniami, których chciałbym uniknąć, ale zostały mi one narzucone z przyczyn technicznych, ze względu na ograniczoność miejsca) i zebrany metodą zygzaków, przez niespodziewane "zanurzenia", ze zbliżeniami, które wydają się niekiedy zaskakujące lub choćby nieodpowiednie; ma to jednak swoją logikę, którą sama książka potrafi może wyjaśnić.

Wreszcie, jak dobrze wiedzą o tym tysiące czytelników poprzednich książek, którzy pisali do mnie i którym zawsze odpowiadałem, są wśród nich tacy, którzy wierzą, to nie retoryka, w pożytek wymiany między tym, który pisze a tym, który czyta. Przypominam przeto, że mój adres jest u Wydawcy, corso Regina Margherita 176, 10152 Torino.

Każdy schemat ma w sobie coś arbitralnego. Przede wszystkim, gdy chce się posłużyć nim po to, aby zmieścić w nim tę tajemnicę, jaką stanowią osoby; a w dodatku, tajemnice w najwyższym stopniu, jakimi są wiara i niewiara. A więc z pewną trudnością (przynajmniej dla tych pierwszych części), podzieliliśmy na grupy niektóre ze świadectw zebranych dla naszej ankiety. Niemniej jest obiektywnym faktem, że czterej ludzie, których wypowiedzi słuchamy najpierw, są złączeni wspólnym elementem: ideą "rozumu", to znaczy na jego podstawie odrzucają prawdę wiary; lub przynajmniej nie chcą zająć stanowiska w tej sprawie. Opowiadają się zatem za rygorystycznym agnostycyzmem (który jest wyznawaną niemożliwością poznania czegoś na pewno o jakiegokolwiek religii), odrzucając jednak ateizm, który zakłada wybór, jakiego nie zamierzają dokonywać: ani na tak, ani na nie. Koncepcją "rozumu", na podstawie której motywują powstrzymywanie się, jest dla wszystkich ta, chociaż z oczywistymi odmianami, która dotarła do nas z osiemnastowiecznego Oświecenia. W rzeczywistości ta zasada ..zamkniętego rozumu", która zabrania wyjścia poza granice, jakie sobie sami wyznaczamy, jest dzisiaj kwestionowana przez innych "laików", przez innych agnostyków. Zobaczmy to.

To nie przeszkadza, że będzie pożyteczne rozpocząć badanie właśnie od tych miarodajnych reprezentantów kultury neooswieceniowej, ponieważ ona jest typowa dla dużej części społeczeństwa mieszczańskiego "rozwinętego" Zachodu. A nawet, na aktualnej giełdzie ideologii, po rozczarowaniu i upadku zachwycań się marksizmem, właśnie ta koncepcja nowo (lub późno) oświeceniowa, liberalna, jak ją nazywają Amerykanie, notuje ponownie wzrost swoich notowań.

Także liczni pośród chrześcijan - gdy upłynął czas uprzywilejowanego zainteresowania marksizmem - wydają się odkrywać na nowo to Oświecenie (które przecież było wytrwale zwalczane przez Kościół) liberalno-demokratyczne, w które staraliśmy się zapuścić pewną sondę, zastosować "karotaż", o którym była mowa.

Spośród licznych ludzi wysłuchanych w tej grupie wybraliśmy czterech, którzy wydają się nam szczególnie zmienni: "kompletnego agnostyka" jak Leonardo Sciascia; laickiego historyka, dobrze zorientowanego w każdej wielkości i nędzy chrześcijańskiej, jak Luigi Firpo; ekskatolika, który swoją sławną powieścią zamierzał może wyegzorcyzmować chrześcijaństwo swojej młodości, jak Umberto Eco; reprezentanta "jakobinizmu" oświeceniowego, w tradycji Risorgimenta antyklerykalnego, jak Alessandro Galante Garrone. Ludzie w dużej mierze podobni ze względu na podłoże kulturalne, różnią się oczywiście swoimi osobistymi losami i temperamentami. W ten sposób wydawało nam się, że ten test, nawet w swojej ograniczoności, jest znaczący dla oceny ustosunkowania się do chrześcijaństwa, które dzisiaj jest miarodajne i rozpowszechnione. I które, będąc niegdyś prerogatywą jedynie intelektualistów, stało się popularne wśród mas europejskich i amerykańskich.

Komunikuję tutaj, że z powodu niezależnych ode mnie ograniczeń tej książki, nieobecni są rozmówcy agnostycy lub ateistyczni formacji marksistowskiej, którzy by wspierali wielu tych, którym udzielono głosu wybrawszy ich spośród tego, co najlepsze w racjonalizmie laickim "mieszczańskim".

Nieobecność nie wynika na pewno z braku zainteresowania, gdyż w tych latach zgłębiałem raczej ortodoksyjnych marksistów, zwolenników jeszcze bardziej sztywnego ateizmu w stylu Marksa, Engelsa, Lenina: na przykład Ambrogia Doniniego. Ale przyjrzałem się także agnostycyzmowi giętkiemu, już poza starą ideologią, neo (lub post-) marksistów, jak Massima D'Alemy, najmłodszego członka najwyższego kierownictwa komunistycznego, Sekretariatu, odpowiedzialnego (przybył po studiach filozoficznych) za tak kluczowy sektor, jak prasa i propaganda partii. Innych głosów wysłuchałem z uznaniem lub krytyką szerokiego i jeszcze wpływowego świata (pomimo kryzysu tożsamości nie negowanego przez wielu, którzy się za nim opowiadają), mającego korzenie w Marksie i Engelsie. Ograniczenia miejsca (napomknęliśmy o tym w przypisie), spowodowało niestety konieczność drastycznej selekcji materiału, ze znacznymi wyłączeniami, jak właśnie to. Dokonywanie takich cięć kosztowało mnie, ale liczę na to, że uratuję te materiały w innej

książce, która zgromadzi stare i nowe etapy tej ankiety, którą dalej prowadzę.

Leonardo Sciascia

Nie będziemy uchybiać czytelnikom tłumaczeniem, kim jest Leonardo Sciascia. Przypomnimy tylko, że urodził się w 1921 roku w Racalmuto, Agrigento, gdzie dotąd spędza miesiące letnie; twierdzi, że jedynie tam udaje mu się pisać książki. Są one tłumaczone na całym świecie i są uznawane za najbardziej znaczące w myśli "libertyńskiej" (w znaczeniu "libero" - wolny), która przywraca tradycję "Rozumu" zrodzoną w europejskim osiemnastym wieku, zwłaszcza francuskim. W ten sposób Sciascia jest poważany nie tylko jako wybitny pisarz, którym rzeczywiście jest, ale jego opinia jest ceniona także jako wyraz pewnego rodzaju "świadomości krytycznej" tej kultury laickiej, którą staramy się sondować.

Jego agnostycyzm (zobaczymy to) jest nieprzenikalny, wzorcowy. Dlatego też jest może usprawiedliwione rozpoczęcie naszej podróży od niego.

Sciascia jest uprzejmym i łagodnym panem, ale niełatwo przeprowadzać z nim wywiad: nie uchyla się od żadnego pytania, ale jego słów jest mało, wypowiedzianych cichym głosem i często towarzyszy im nieco niepokojący uśmiech, który bez przesady można by łatwo nazwać wolteriańskim.

Aby zrozumieć jego poglądy na temat religii, wyszliśmy od początków, od dzieciństwa, które w nas wszystkich pozostawia ślad na zawsze.

- Czy Pan otrzymał formację katolicką?

- Nie pamiętam, abym widział moją matkę i moje ciotki, z którymi dorastałem, wchodzące do kościoła, chyba że po śmierci. Żywiły pełną pogardę dla księży i muszę powiedzieć, że w tamtych okolicznościach ta pogarda nie wydawała mi się nieumotywowana. Nie cierpiały także kobiet, które z pobożności chodziły do kościoła.

- Poza tymi nieufnościami antyklerykalnymi, czy klimat rodzinny był naznaczony jakąś religijnością?

- Moja matka i moje ciotki mawiały często o "sprawiedliwości boskiej". Postrzegały ją jako małe światełko na tej ziemi w niedolach i w "podłej śmierci" jakiegoś złodzieja lub mordercy albo lichwiarza. Ale przede wszystkim mówiło się na pewno, że ta sprawiedliwość urzeczywistni się w pełni na drugim świecie. Rozmawiały także o czyszceniu, o piekle, czasami przeznaczając mi je za różne moje łajdactwa.

- A mężczyźni z klanu Sciascia?

- Mój dziadek należał do bractwa Santa Maria dell'Itria i chodził w procesji ze świecą w rękę. Dla innych mężczyzn z rodziny (oraz krewnych, bardzo licznych) Kościół jak gdyby wcale nie istniał. Ja chodziłem do kościoła jako balilla², na tyle, ile faszyzm kazał chłopcom do niego uczęszczać: obowiązek wielkanocny, procesja w Wielki Piątek. W sumie, jeżeli mam odpowiedzieć szczerze, powiedziałbym, iż właściwie nie otrzymałem wychowania typu katolickiego.

- Dla swojego bratanka wybrałby Pan nauczanie religii w szkole?

- Polemiki na temat nauczania religii w szkole prowadzone przez ludzi, którzy nie wiedzą, jak bardzo trzeba iść w głąb w poszukiwaniu wolności, uważam raczej za czcze. Należałoby uczyć jej lepiej, to tak. Religia jako dyscyplina studiów jest kamieniem, na którym ostrzy się inteligencja.

Wtedy, gdy jest ona ważna dla wiary tego, kto ją ma lub jej szuka. Albo wychodzą z niej Wolterowie, Diderotowie, wielcy niewierzący i antyklerykałowie.

- Jest Pan dobrze znany ze względu na swój antyklerykalizm, który skłonił Pana do powiedzenia w pewnym wywiadzie: "Sądzę, że wiele zła, które trapi Italię, bierze początek od księży". Postać jednej .) z Pana powieści mówi: "Nigdy nie spotkałem katolika, a mam prawie 92 lata". Innym razem wyrwa się z kwestią: "Katolicy włoscy? Nie istnieją, są wymysłem Gramsciego i Togliattiego".

- Tak jak jestem mniej oświeconowcem i wolterianinem, niż się mniema lub niż ja sam niekiedy dawałem do zrozumienia (mnogie są moje sprzeczności!), jestem mniej antyklerykałem, niż się wydaje lub się uważa. Tak, w moich powieściach jest wielu księży, interesują mnie jako osobowości: ignoranci dlatego, że są ignorantami, wykształceni ze względu na cynizm wyrafinowany

przez wieki praktyki, ze względu na straszliwą mądrość, która się w nich nagromadziła. Ale są księża, których ja sam, w mojej praktyce, znałem na Sycylii; nie zamierzam uogólniać opinii.

- A jednak Pan zawarł małżeństwo w kościele, kazał ochrzcić swoje dwie córki.

- Niewątpliwie, ponieważ nie lubię ekshibicjonizmów tych, którzy nie chcą postępować tak jak wszyscy. Otóż, ponieważ "niemal" wszyscy Włosi, także często nawet nie praktykujący i może niewierzący, zaznaczają główne okresy swojego życia idąc do kościoła, ja również chciałem tak postąpić.

- Czy nie ma w tym podejrzenia o dwuznaczność?

- Żadnej dwuznaczności: co najwyżej obojętność. Obojętność dla aspektów instytucjonalnych, zewnętrznych, dla organizacji kościelnej. Jestem obojętny, a nawet podejrzliwy i nieufny, w odniesieniu do Kościoła jak i w stosunku do partii. To nie pozbawia mnie tego, że czuję się człowiekiem bardzo "religijnym", przynajmniej przez szacunek, jaki żywię wobec tajemnicy.

- Zdarza się Panu brać do ręki Biblię, Ewangelie?

- Czytam Ewangelię, nawet często. Mam jeden egzemplarz w mieście, w Palermo, i drugi w domu w Racalmuto: w zasięgu ręki. Nie ma prawie dnia, w którym bym po nią nie sięgał.

- Jakie wrażenie wywołuje w Panu ta lektura?

- Wrażenie? Powiedziałbym coś więcej: jest to teraz już reguła. Coś takiego, jak nakręcenie sprężyny zegara, aby następnego dnia nie okazało się, że stoi.

- Jak reaguje Pan na roszczenie wierzących, że Bohater tych Ewangelii jest Chrystusem, samym Synem Bożym?

- Nie reaguję wcale. Stanowisko, do jakiego dochodzi mój radykalny sceptycyzm - jest takie, że nie istnieje żadna pewność. Nie mam nawet pewności, że nie istnieją pewności.

- A więc, w owej wolteriańskiej, diderotowskiej kulturze Oświecenia osiemnastowiecznego, na którą się Pan powołuje, nie opowiada się Pan ani za kierunkiem deistycznym, ani za kierunkiem ateistycznym, ale za kierunkiem agnostycznym: ignoramus et ignorabimus, nie wiemy i nigdy nie będziemy wiedzieli?

- Tak jest. Pewnego razu zdarzyło mi się napisać, że jeżeli moi przyjaciele wierzący mają wątpliwości co do swojej wiary, ja mam wątpliwości co do mojej niewiary. Nie istnieją ateści, mianowicie ludzie, którzy w każdej chwili życia są naprawdę przekonani o nieistnieniu Boga: na ten temat rozum nie potrafi powiedzieć niczego rozstrzygającego. Ale sądzę, że nie istnieją nawet wierzący całkowicie (a tempo piono), zawsze i pomimo wszystko. Sądzę, że wszystkim, także świętym, nasuwają się niekiedy niepokojące pytania.

- Ktoś już odpowiedział, zauważając, że tysiąc pytań nie jest równoznaczne z wątpliwością. Pisarz katolicki, którego Pan ceni, Bernanos, powiedział nawet: "Moja wiara polega na 24 godzinach pytań na dzień, z wyjątkiem jednej minuty pewności. I to mi wystarcza". Co w rzeczywistości nie przeszkadzało mu być wzorowym chrześcijaninem.

- Jak Panu powiedziałem: nie wykluczam niczego. Pochodzę zresztą z tej Sycylii, która, jak mówi Borges, "jest ziemią, na której człowiek skończył wyłącznie słuchać i zaczął wątpić". To u nas, na Trinacrii filozofów greckich, zrodziło się wątpienie człowieka nowoczesnego.

- Powróćmy do Jezusa i do Jego roszczenia oraz roszczenia Jego uczniów, że jest wysłannikiem Boga.

- Jego postać interesuje mnie, nawet mnie fascynuje. Ale nie czuję się adresatem Jego pytania: "A wy za kogo Mnie uważacie?" Nie potrafię czuć się zainteresowanym Jego roszczeniem, że jest wysłannikiem lub wręcz Synem Ojca, który jest w Niebie.

- A więc, gdyby Pan był obecny na procesie w Jerozolimie, czułby się bliższym wątpliwości, sceptycyzmowi tego "Quid est veritas?" Piłata.

- Gdybym tam był, robiłbym wszystko, aby uwolnić tego Galilejczyka. Ale sądzę, że zachowałbym moje wątpliwości.

- Autorem chrześcijańskim, który jest Panu bardzo drogi, którego często Pan cytuje (oprócz "pańskiego" Manzoni, który tak wiele razy powraca)

jest Blaise Pascal. On - jako myśliciel, ale także jako matematyk, jako inicjator rachunku prawdopodobieństwa - przestrzega, że życie i śmierć są hazardem: dla naszej wieczności możliwe są dwa wyjścia, obydwa jednakowo prawdopodobne, że Bóg jest albo że Boga nie ma. Ze wszystkim, co za tym idzie.

- W wielkiej, porywającej duchowości myśli pascaliańskiej motyw "hazardu" wydaje mi się jakąś rysą w stylu wielkopostnego kaznodziei. Natomiast za najwybitniejsze uważam zdanie zwrócone do Boga, w momencie śmierci, przez wierzącego Bernanosa, którego Pan cytował: "Teraz jest sprawa między nami dwoma". Jeżeli śmierć naprawdę zaprowadzi nas przed Boga, to On powinien zdać nam sprawę z życia. To On będzie nam winien wyjaśnienia.

- W swoim opublikowanym dzienniku opowiada Pan, że przybył przypadkowo na spotkanie katolików i był zaskoczony, iż w wypowiedzianych przez szereg dni słowach nikt z wierzących nie nawiązał do nadziei na życie wieczne. Pytał się Pan wtedy, co pozostanie z chrześcijaństwa bez tego napięcia ku przyszłości sięgającej poza przypadkową historię. W ten sposób, zauważył Pan, wiara redukuje się do miernej, spóźnionej, bezużytecznej doktryny społecznej lub moralnej.

- Tak, tak jest. Bardziej sprawiedliwy podział bogactw, pewien liberalizm seksualny, ulga w cierpieniach doczesnych: wszystko to są rzeczy, które Kościół odkrywa teraz, zbyt późno i chaotycznie. Ale tracąc zarazem z oczu duszę, śmierć, wieczność. W sumie transcendencję. Zbytne zainteresowanie życiem, dobrami doczesnymi, poszukiwaniem szczęścia: katolicyzm doczepiony niejako do ogólnikowego radykalizmu, w którym, ze względu na pojawienie się wstrząsów reakcji, zacofania, kończą się odwołania do podstawowych elementów religii chrześcijańskiej i w ogóle każdej religii.

- Ale w ten sposób powraca Pan do treści "hazardu" pascalskiego, który przecież Pan odrzucił.

- Wiara nie może być niczym innym, niż hazardem już wygranym. Ale (nawet jeżeli nie w terminach "stawki" w grze, która toczy się o nieskończoność) troska o życie pozagrobowe, nadzieja, że się nie umrze, to wszystko należy do religii. Jeżeli nie głosi się już tego oczekiwania wieczności, jeżeli się porzuca to napięcie, religia kończy się upodobnieniem do klubu humanitarnego, może do związku zawodowego lub partii politycznej.

- To nie powinno zbyt niepokoić Pana, tak niechętnego uznaniu prawdy Kościoła.

- Istotnie, ten rodzaj samobójstwa teraźniejszego chrześcijaństwa bardzo mi odpowiada.

- Jaka jest Pana opinia o kulturze podającej się obecnie za laicką? Nie wydaje się Panu, że stawała się ona niekiedy, mimo ciągłych deklaracji o tolerancji i pluralizmie, najbardziej nietolerancyjną?

- Nie wydaje mi się, żeby istniała kultura prawdziwie, głęboko laicka, oczyszczona z wszelkiej nietolerancji: zaledwie mamy jakiś jej przykład, zaledwie jakiś jej ślad. Mówiłem w swoich książkach o katolickiej inkwizycji. Ale nie odkurzałbym pamięci o niej, gdyby nie było na świecie innych, nowych. Istnieje na przykład niepokojąca neoinkwizycja socjologów i psychoanalityków. Inkwizycja przeniosła się do nich, a oni praktykowali ją dokładnie tak, jak w minionych epokach. Ale są jeszcze inne. W dniach, kiedy był więziony Moro, ganiono w gazetach moje milczenie. Nie przestraszyłem się, chociaż dawna inkwizycja katolicka wytaczała procesy za to, co się powiedziało, nie za milczenie. Sam faszyzm zadawał się tym, że się nie otwierało ust. Tutaj natomiast chciano mnie osądzać, ponieważ milczałem. To naprawdę może przerażać.

- Poza Ewangeliami, czy jest jakaś inna religijna lektura w Pana życiu?

- Czytam i wciąż powracam do lektury wielkich mistyków. Czytałem ich wielu, i to z wielką przyjemnością, także literacką, kiedy przygotowywałem *Todo modo*. Borges mawiał, że literatura mistyczna jest największą literaturą fantastyczną.

- Nawet to "konkretne doświadczenie Boga", jakim jest mistyka, nigdy nie doprowadziło Pana do ponownego przemyślenia Pańskiego absolutnego wątpienia?

- Myślę niekiedy, że Bóg istnieje naprawdę, ale że chyba nigdy nie będziemy o tym niczego wiedzieli. Istnieje, ale nie może lub nie chce

zajmować się nami, ani tutaj, ani na drugim świecie. Może jesteśmy Jego wypadkiem, czymś, co Mu się wymknęło z ręki.

- Wielu agnostyków lub ateistów (choćby, niedawno Loris Fortuna, nieznużony zwolennik rozwodów, aborcji, a w ostatnich czasach eutanazji, deputowany socjalistyczny, przyjaciel radykałów, wśród których i Pan działał, chciał umierać w Klinice Różańcowej, otoczony siostrami zakonnymi, modląc się z nimi w pełnej jasności umysłu i całując krzyż; lub Renato Guttuso, protagonista innego nawrócenia in extremis), liczni niewierzący więc, kiedy zagraża tajemnica, weryfikują swoje postawy.

- Tak jak chciałem religijnego małżeństwa dla siebie i chrztu dla córek, nie będę nakazywał pogrzebu świeckiego. Będę chciał pogrzebu religijnego, ale tylko dla uniknięcia tego ekshibicjonizmu, o którym Panu mówiłem. Ksiądz na pogrzebie - tak, ale nie przy łożu umierającego.

- Wbrew Pana odniesieniom do Oświecenia, nie wydaje się, by podzielał Pan triumfalistyczny optymizm tego prądu: postęp, "wspaniałe życie i postępowe", "jutro, które śpiewa", "słońce dobrobytu", przyszłość niechybnie promienna. Sprawy, w istocie, toczą się inaczej...

- Zastanawiam się, czy Oświecenie jest naprawdę tak bardzo optymistyczne. Wydaje mi się, że każdy racjonalizm zakłada pesymizm, w ciągłym zderzeniu się z rzeczywistością nie poddającą się rozumowi.

- A więc żadnej wizji historii jako ewolucji ku lepszemu, ku Punktowi Omega, miastu człowieka spokojnego i szczęśliwego?

- Bardziej niż ewolucja przekonuje mnie niekiedy regres. W życiu zawsze widziałem coraz większe pogarszanie się zarówno człowieka jak i przyrody.

- A jednak Pana Diderot, jego Encyklopedia, Pana mistrzowie Rozumu, który miałby stworzyć nową ludzkość, słońce, które uwolniło się od "zabobonu religijnego"...

- Oni widzieli, jak się świat polepsza. Ja widziałem, jak się pogarsza, jak powraca do barbarzyństwa.

- Wśród tego barbarzyństwa terroryzm, któremu poświęcił Pan doniosłe stronicie.

- Wierzę, że nasza epoka kryje w sobie rozpaczliwe, chociaż ukryte, poszukiwanie Boga. Sądzę, że sam terroryzm jest szaleńczym poszukiwaniem Boga, pragnieniem mistycyzmu, potrzebą Absolutu. Niestety stało, że ten Absolut, którym jest tylko Bóg, terroryści przenieśli na poziom życia politycznego. Różne wcielenia przemocy, które charakteryzują naszą epokę, reprezentują jedynie rozpaczliwe i daremne poszukiwanie utraconej religii.

- Czy interesuje się Pan religiami niechrześcijańskimi, na przykład azjatyckimi: buddyzmem, hinduizmem?

- Osobliwie, jestem bardziej niż zainteresowany. Mam przed nimi pewien strach: jako przed systemami, które dążą do unicestwienia osoby, jednostkowości. To, co powstało w świecie śródziemnomorskim - filozofia, prawo, teatr, sztuka i (nie zaprzeczam sobie) chrześcijaństwo - jest tym, co ludzkość najlepszego wytworzyła. Nieporównywalnie.

Luigi Firpo

- Jak to się dziwnie składa - zaskakuje mnie od razu życzliwie wskazując palcem na artykuł, w którym pisałem o swoich przeszło trzydziestu latach w Turynie. - Czytam tutaj, że Pan szkołę podstawową kończył u Pacchiottiego; ja też. Szkołę średnią u Valfre'go; ja również. Gimnazjum i liceum u D'Azeglia; ja także...

- To prawda - przyznaję. - Ale na uniwersytecie zdawałem egzamin u profesora Luigiego Firpo i dyskutowałem z nim o jakimś problemie; a Pan - nie, nie jestem pewien...

Luigi Firpo moją próbę żartu odbiera życzliwie, z uśmiechem na wydłużonej twarzy, przypominającej sympatyczną maskę Fernandela.

Tak, wejście tutaj, do tego domu na turyńskim wzgórzu, aby znowu go usłyszeć, jest jakby powrotem do domu. Jest odnalezieniem jego miasta, które długi czas było także moim, w którym napisał oświeceniowe stronicie i którego najstarsze cnoty reprezentuje. Jest ponownym zderzeniem się z jego kulturą, która przez wiele lat była także moją; i to nie tylko dlatego, że w ćwierć wieku po nim chodziłem po tych samych ulicach, wchodziłem do tych

samych budynków, zdobywałem te same stopnie szkolne. To fakt, że Firpo należy do najbardziej znanych i najbardziej fascynujących przedstawicieli owej kultury neooswieceniowej, liberalno-demokratycznej, ale z zasady zamkniętej dla marksizmu (świętymi Kosmą i Damianem, świętymi Cyrylem i Metodym tego miasta są "święty" Gobetti i "święty" Gramsci, często wzywani razem przez ludzi oddanych im obu). W sumie tej kultury, w której kształtowali się ci, którzy wyrosli w niektórych szkołach pewnego Turynu, a nawet pewnej Italii "oświeceniowej", agnostycznej, "postchrześcijańskiej". Kierownik katedry historii myśli politycznej od odległego 1946 roku, Luigi Firpo opublikował wybitne książki, redaguje serie książek dla prestiżowych wydawców, jest członkiem najbardziej ekskluzywnych akademii, wygłasza referaty na międzynarodowych kongresach. A jednak, to logiczne, o wiele bardziej niż z poważnych osiągnięć naukowych, Firpo jest znany szerokiej publiczności z działalności dziennikarskiej. Od lat, w każdą niedzielę, czytelnicy "La Stampy" znajdują jego stały kącik (druga strona na dole, trzy kolumny, mała fotografia).

Rubryka w dzienniku stała się potem książką, zachowując tytuł robiący oko do religii: Niedobre myśli. I znamienne, że większość fragmentów odnosi się właśnie do religii: problemy wiary i Kościołów pojawiają się w książce wszędzie, w wielu miejscach. Kto poza tym zna naukowy dorobek Firpa, wie, że prawie cały dotyczy heretyków i inkwizytorów, strategii reformatorskich i kontrreformatorskich, utopistów i reformatorów. Skąd - narzuca się pytanie - tak naglące, tak codzienne, tak natarczywe zainteresowanie u tego laika, a nawet "laicyści", u kogoś z gatunku osiemnastowiecznych libertynów, w Piemoncie dwudziestego wieku, u tego adepta owej Raison (dużą literą!) oświeceniowej pamięci?

Jak opowiada, jest ono jego przeznaczeniem. Gdy jako młody chłopiec zapisał się bez specjalnego powołania na wydział prawa, przechodził kiedyś obok straganu z używanymi książkami na piazza Lagrange. Tam znalazł, wyceniony na kilka groszy, niezwykle tomi: poezje Tomasza Campanelli. Decydujące spotkanie - studenta o jeszcze niesprecyzowanych zainteresowaniach i wizjonerskiego zakonnika kalabryjskiego, który swoje idee przyplacił trzydziestoletnim więzieniem. Spotkanie, które miało trwać przez całe życie i uczynić z Firpa jednego z największych znawców utopistów religijnych, filozofów i teologów, może nawet bredzących, wzburzonych myślicieli (i nierzadko wprowadzających zamieszanie), heretyków. Stamtąd, z wierszy autora Miasta słońca, wyzwoliła się iskra, która uczyniła z Firpa, laika Firpa, subtelnego znawcę najbardziej zadziwiających dewiacji chrześcijaństwa. On, niewierzący, on, agnostyk, porusza się jak najbardziej kompetentni teolodzy - a może nawet lepiej - wśród podwodnych skał i mielizn starodawnych dysput na temat predestynacji, transsubstancjacji, konsubstancjacji, soterologii, eschatologii.

Często jest jedynym nie duchownym wśród tłumów księży, mnichów, zakonników, zapamiętałem bywalcem największych archiwów kościelnych Europy. Jednak jedno z nich wypełnia sny jego najlepszych nocy: archiwum Kongregacji Świętego Oficjum, obecnie Kongregacji Nauki Wiary.

- Jestem pewny - powiedział - że otwarcie tego archiwum, dotąd dość ograniczone także ze względu na wymogi organizacyjne, przyniosłoby dużą korzyść dla wizerunku Kościoła. Dokumenty Inkwizycji zaświadczyłyby mianowicie o rzeczywistości mało znanej: przed tym trybunałem stawało więcej pospolitych przestępców, ludzi winnych czynów, które również prawo nowożytne uznawałoby za przestępstwa, aniżeli obwinionych o przestępstwa dotyczące poglądów, obrońców wolności myśli. Oszuści, którzy udawali księży, bluźniercy, autorzy pism pornograficznych, fałszerze buli i inna tego rodzaju hołota - stwierdza wymownie ten sławny antyklerykał, ale historyk prawdziwy, a więc obiektywny. - Udostępniając wszystkim uczonym te dokumenty, upadłyby inne oszczerstwa nieuzasadnionej czarnej legendy, jaka otacza Inkwizycję. Potwierdziłoby się między innymi, że jej procesy były bardzo poprawne formalnie. Okazałoby się, że dzisiejsze Ucciardone i Rebibbia są prawdziwymi kręgami piekielnymi w porównaniu z osławionymi celami Inkwizycji, w których życie płynęło w rytm regulaminów surowych, ale nie nieludzkich. Był, na przykład, przepis, że prześcieradło i poszewki mają być zmieniane dwa razy w tygodniu: jak w bardzo porządnym hotelu. -

Uczony mówi dalej: - Raz w miesiącu odpowiedzialni kardynałowie musieli przyjmować pojedynczo więźniów, aby się dowiedzieć, czego potrzebują. Natknąłem się na jednego więźnia pochodzącego z Friuli, który prosił, aby dostarczono mu piwa zamiast wina. Kardynał zarządził, aby postarano się o nie, ale kiedy nie udało się znaleźć piwa w Rzymie, wytłumaczył się przed więźniem, proponując mu w zamian pieniądze, aby sobie sprowadził ulubiony napój ze swoich stron.

Szperanie w przeszłości chrześcijaństwa należy do jego obowiązku, a ponadto do jego pasji historyka. Skąd jednak tak wielkie zainteresowanie, poświęcone utworami dziennikarskimi, terazniejszością Kościoła?

- Ależ dlatego, że trzeba przecież, abyśmy my, świeccy, zdecydowali się na poznanie wyjątkowego znaczenia doświadczenia religijnego. Znaczenia także aktualnego, które jest zarówno indywidualne i społeczne. Jak nie brać pod uwagę siły, która działa, choćby po kryjomu, ale potężnie w sumieniach tak wielu naszych współczesnych?

O osobistych postawach Firpa wobec faktu religijnego trzeba chyba powiedzieć - z największym szacunkiem, ale także szczerze - że wydają się one mieć wydźwięk czegoś takiego jak *deja vu*. Są mianowicie postawami dobrze znanymi temu, kto śledzi te problemy: punkty widzenia, zresztą spójne z myślą i kulturą, całkowicie zbudowaną na kulcie rozumu, człowieka, który je wyraża, z godnością i zarazem z pasją. Bardzo nieprzyjemnie jest być (wobec niego, jak i wobec innych ludzi o podobnej inteligencji) "przemądrzałym". W takich wypadkach zawsze rozbrzmiewa w nas głos wielkiego chrześcijanina, Sorena Kierkegaarda, który upomina "wierzących" - prawdziwych lub rzekomych - aby zmierzili się z otchłaniami własnego niedowierzania, zanim pozwolą sobie na badanie innych. Należy jednak mimo to stwierdzić, że tutaj (jak wszędzie) próbujemy osądzać idee, nie zaś osoby.

Oto, choć w wielkim skrócie, przynajmniej część tego, o czym Firpo twierdzi, iż stanowi jego myśl. Rozpoczyna się to, *ca va sans dire*, od mowy pochwalnej na cześć tolerancji ("humanista tolerancji", tak określiłby siebie, gdyby musiał to zrobić); tolerancja jednakże, która dotyczy tylko sytuacji, w których religia pozostaje sprawą prywatną, bez znaczenia dla konkretnych wyborów. Aby użyć jego własnych słów:

- Żywię najwyższy szacunek dla jakiegokolwiek wiary; odrzucam jednak każde rozwiązanie praktycznego problemu, podyktowane przez wiarę. Wydaje się on jednak skazywać wiarę na bezsilność, ograniczać ją do luksusu bez znaczenia, niejako do prywatnego hobby.

Poza tym, jego hipoteza-Bóg, byłaby klasyczną hipotezą deizmu racjonalistycznego: Byt Najwyższy lub coś w tym rodzaju (*le Dieu des philosophes et des savants* z notatki Pascala). Byłaby, mówię, ponieważ w odróżnieniu od deisty klasycznego, Firpo nie posuwa się do przypisania pewnego istnienia temu "Architektowi wszechświata", obecnie tak mglistemu. W każdym razie stanowi to odrzucenie chrześcijaństwa, jeżeli i na ile ob staje ono przy uznawaniu Jezusa za kogoś więcej niż człowieka. Możemy z pewnością się mylić, ale wydaje się objawiać tutaj typowa intelektualistyczna odraza do ciała, jaką spotkamy u innych rozmówców; owo odrzucenie możliwości, że Bóg stał się ciałem i krwią w osobie poddanego Rzymowi cieśli w najbardziej pogardzanej prowincji Imperium. Firpo mówi mi więc o swojej "alergii na wszelki antropomorficzny wizerunek Boga".

Ewangelie? - Ich urok jest prawie nieodparty - oczywiście na płaszczyźnie poetyckiej, literackiej, kulturalnej. Jezus Chrystus? Naturalnie, "wielki nauczyciel, mędrzec, największy moralista, godny umieszczenia jego wizerunku na murach Miasta Słońca". Ale także "Syn Boży"? "Nie rozśmieszajmy się! Bądźmy poważni! Nie mylmy metafory z rzeczywistością!"

- Ale następnie - mówi - spróbujmy odwrócić problem:

wyobraźmy sobie, że wiemy na pewno, iż Jezus był tylko człowiekiem, normalnym, przeciętnym Żydem. Czy Ewangelia może straciłaby coś na tym? Co by się zmieniło? - Pytanie jest zdradliwe, ponieważ gdybyś odważył się powiedzieć, że tak, dla ciebie coś (nawet wszystko) by się zmieniło, zostałbyś umieszczony wśród tych, którzy nadają znaczenie absurdowi, jak bóstwu cieśli "dla egoistycznego instynktu zbawienia, dla potrzeby zbawienia wiecznego tego bezbarwnego nic, jakim są w życiu".

Dlatego tutaj, według Firpa, znajduje się sekret nadzwyczajnego powodzenia chrześcijaństwa: przedstawienie mianowicie nadziei zbawienia wiecznego temu, kto nie jest wystarczająco mądry, kto nie jest filozofem, zdolnym do tego, aby umieć przyjąć ostateczność śmierci. Ukazuje się tutaj stanowisko elitaryzmu, arystokratyzmu, według którego jeżeli zbawienie istnieje, jest ono dostępne tylko dla "wielkich dusz", na pewno nie dla większości, składającej się z przeciętnych ludzi, którzy nie zasługują na ocalenie po ich śmierci fizycznej. Firpo jest w każdym razie zdania, dla naszego zastanowienia, że "wszelka myśl o życiu wiecznym jest niedorzecznością"; i dlatego - czy Bóg istnieje lub nie - to nie oznacza wcale, że nasza historia trwa po śmierci, która jest definitywnym końcem.

Jednakże, próbując oponować mu, on sam uznaje, że przed brązowymi drzwiami śmierci dopuszczalne jest tylko podjęcie ryzyka, biorąc pod uwagę, że rozum jest tutaj niewystarczający. Ryzykuje ten, kto twierdzi, że za tymi drzwiami jest Coś, jest Ktoś; ale ryzykuje także ten, kto liczy na możliwość, że za zasłoną śmierci nie ma niczego. A jeżeli on, Firpo, przegrałby to ryzyko? Jeżeli, wbrew wszystkiemu, mieliby rację wierzący? Odpowiedź jest natychmiastowa, zdecydowana, niejako podzielona na paragrafy. Jak gdyby pytanie, w swojej brutalności, zupełnie nie zaskoczyło go; jak gdyby nawet było od dawna przedmiotem refleksji.

- Przede wszystkim - powiada - jestem przekonany, że nie istnieje piekło, tym bardziej piekło wieczne. Jeżeli Bóg istnieje, nie może być tak okrutny i tak niesprawiedliwy. Kara powinna być zawsze proporcjonalna do winy. Nie przerywam mu, ale dziwię się sprzeczności: czyż nie stwierdzał, że jest wrogiem każdego Boga "antropomorficznego", to znaczy zredukowanego do wymiarów ludzkich? A czym innym jest ta wola osądzania Boga za pomocą naszych kategorii sprawiedliwości? To sprowadzanie Go do wymiarów współczesnego kodeksu karnego? Mówi jednak dalej:

- W każdym razie, jeżeli Bóg istnieje, weźmie mnie w ramiona, ponieważ będzie wiedział, że byłem w całkowicie dobrej wierze.

Podejście o hybris, to znaczy "pychę", w znaczeniu teologicznym? Kto to wie. Ale następnie: czy po tym, co powiedział nam pewien lekarz z renomowanym gabinetem w Wiedniu, niejaki Sigmund Freud, jest jeszcze możliwe przypisywać sobie "całkowitą dobrą wiarę"? Czy naprawdę jesteśmy pewni, że zawsze i mimo wszystko stosujemy się do kategorii racjonalnych? Dla tego, kto jeszcze sądzi, iż może określać się jako "wierzący",

"chrześcijanin", Firpo jest wyjątkowy ze względu na swoje opinie o obecnej sytuacji Kościoła, chrześcijaństwa. Jego opinie są sądami człowieka kultury, historyka problemów religijnych, które widzi i ocenia z zewnątrz. Czy może nie trzeba także starać się o odzyskanie lub przynajmniej o ponowne zainteresowanie takich ludzi jak Firpo wiarą w Ewangelię, co podpowiadał i nad czym pracował Sobór Watykański II? Jego rezultaty zdają się jednak niestety przyczyniać do gaśnięcia zapału:

- Był Kościół, który trwał przez dwa tysiące lat i który mógłby w ten sposób kontynuować swoje istnienie przez dalszych trzy tysiące lat - mówi.

- Pewnie: technicznie odnowy, otwarcie, większe zrozumienie. Ale za cenę najwyższych kosztów: katolicyzm wydaje się rozkładać, może w przyszłości będzie z niego tyle części, ile jest kościołów narodowych. Człowiek kultury

- powiada następnie - reaguje negatywnie na pewne "reformy liturgiczne", które miały uczynić wiarę bardziej zrozumiałą dla człowieka współczesnego: usunięcie łaciny i śpiewu gregoriańskiego oznacza, że nie rozumie się niczego. Dla wizerunku jakiegokolwiek "firmy" lub "zrzeszenia" najcenniejszą rzeczą jest tradycja: a tutaj uczestniczyło się w nieprawdopodobnym widowisku Kościoła, który wyrzucał najstarszą, najbardziej zadziwiającą tradycję świata. - Kontynuuje bezlitośnie: - Przedtem, kiedy posługiwano się łaciną, ludzie może nie rozumieli. Teraz, gdy wprowadzono języki narodowe, rozumieją błędnie.

On, człowiek świecki, jest poza tym ironiczny wobec poczyniń duchownych, którzy chcieliby zatrzymać masy dzięki koncesjom, uproszczeniom, coraz bardziej akcentowanym ułatwieniom:

- Schlebienie ludziom jest najlepszym sposobem na utracenie ich. Być chrześcijanami powinno oznaczać także ryzyko stania się bardzo nielicznymi: ponieważ, jak mówi Ewangelia, gdzie dwóch albo trzech jest zgromadzonych w

Jego imię, Chrystus jest pośród nich.

Jeszcze potem ironiczne zdumienie, jednak pomieszane z usiłowaniami zrozumienia, z uznaniem dobrej woli, wobec wielu "teologii politycznych", wobec wielu "powtórnych odczytań społecznych". Mówi, zgadzając się z tym, co powiedział Sciascia:

- Podziwiam namiętne oburzenie, jakie budzą w wielu szlachetnych chrześcijańskich duszach naszych czasów podli ludzie z historii. Ale historia nie jest wiecznością. "Królestwo Moje nie jest z tego świata": to jest prawdziwym sednem orędzia Jezusa, które jednak zostało niemal całkowicie zapomniane przez wielu chrześcijan zaangażowanych w politykę. Mówi dalej:

- Gorączkowe pragnienie, które chce stworzyć natychmiast na ziemi Państwo Boże, zapomina o wymiarze transcendentnym, jaki stanowi główny fundament wiary. Bez historii upadku Adama i odkupienia dokonanego przez Mesjasza, bez grzechu i łaski, bez zbawienia wiecznego, jakie Chrystus obiecuje wierzącemu, bez nieśmiertelnie pozostawania żywym, chrześcijaństwo staje się nonsensem. Nie można eschatologii zastąpić socjologią, przemilczając obietnicę uwolnienia od grzechu i życia wiecznego; chociaż jednak można, ale czyniąc wiarę czymś bez znaczenia. Po to, aby być związkowcem lub "działaczem społecznym" niepotrzebna jest Ewangelia. A do tego, aby ogłaszać równość i braterstwo wszystkich ludzi, nie ma potrzeby, aby Bóg złożył z siebie ofiarę na krzyżu, wystarczają etyka Kanta i doczesna racja.

Umberto Eco

Dokładnie studiuję notes gęsto zapisany po kilku godzinach rozmowy: "Jeżeli spotkasz kogoś, kto za bardzo kocha innych ludzi, wiedz, z całym prawdopodobieństwem, że jest on ateistą". "Bóg ma dyplom z filozofii a nie z inżynierii". "Zakład Pascala powinien być odwrócony: należy zakładać się o nieistnienie Boga, a nie o Jego istnienie".

Umberto Eco również tym razem nie rozczarował swojego rozmówcy: może najbardziej na świecie znany włoski intelektualista jest przeciwieństwem ponurego, wyniosłego możnowładcy uniwersyteckiego, alergicznego na dowcipne riposty. Ten eksprzywódca Akcji Katolickiej, człowiek, który aż do uniwersytetu żył harmonijnie z zamkniętym katolicyzmem przedsoborowym, przyjmujący codziennie komunię św., który na temat rozprawy doktorskiej wybrał św. Tomasza, jest już od ćwierćwiecza jakby zaprogramowany i ustawicznie modernizowany przez komputer według modułu doskonałego współpracownika „L'Espresso”. Lub, jeżeli chcecie, „L'Expressu”, „Esquire'a”, „New Yorker'a”. Albo „FMR-u” (wymawiać z francuska, tak żeby brzmiało „effimero”), najatrakcyjniejszego miesięcznika Franco Marii Ricciego.

Najinteligentniejszy, najświetlejszy, najbardziej przebiegły (w podziwianym znaczeniu tego słowa), wie doskonale, że intelektualny bohater liberala Zachodu postindustrialnego powinien z absolutną powagą zajmować się tym, co "błaha". A więc bogaty aparat krytyczny i filologiczny zastosowany do komiksów, muzyka disco, grająca szafa, film z filmoteki, dyscypliny uniwersyteckie trochę ekstrawaganckie, "wyłaniające się", w każdym razie "nowe", mody kulturalne. Kryterium wyboru powinno w istocie być inspirowane prawami "chronolatrii", jak ostatnio nieco rozzłoszczony Maritain nazywał kult "młodego", "nowego", tego, co nie publikowane lub jest eleganckim repechage (wyłowieniem). W sumie, ogromna erudycja powinna maskować się pewną verve (polotem) nieco roztrzępana, ironiczna; stara zasada: surtout ne pas trop de zèle (przede wszystkim bez nadmiernej gorliwości) przestrzega i prowadzi tak, aby styl komedii nie ześliznął się w dramat, który jest zawsze mało elegancki. Właśnie w dramacie uważany w pewnych środowiskach za trywialny w najwyższym stopniu: traktowanie zbyt poważnie siebie, swojej tajemnicy, ostatnich pytań, które pojawiają się w samotnej ciemności nocy, kiedy gadanina seminar, dyskusji, jest zawieszona do rana. Jeżeli potem te pytania w dalszym ciągu niepokoją, wtedy się je egzorcyzmuje montując wielką maszynę słów, aby stwierdzić, iż są bez znaczenia, a nawet, że może wcale nie istnieją.

To zdarzyło się z Imieniem róży (Il nome della rosa). Jest to książka zadziwiająca w znaczeniu etymologicznym słowa: książka o tyle bardziej

"zjadliwa" na ile bardziej przemyślna, erudycyjna, piękna; wielokrotnie czułem się zmuszonym bronić jej wartości przed pisarzami trochę zazdrosnymi z powodu jej olbrzymiego międzynarodowego sukcesu. Wspaniały sukces Imienia róży jest wynikiem zręcznej narracji, zastosowanego wyrafinowanego rzemiosła, które pozwala również gospodyni domowej, pasjonującej się treścią, doczytać książkę do końca, wchłaniając przy tym jej zjadliwe opary, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W tym znaczeniu jest ona doskonałym narzędziem kultury masowej.

Reakcja krytyków "katolickich" zdumiała samego Eco.

- Gdybym był jeszcze wierzącym, byłbym o wiele bardziej bezkompromisowy, o wiele bardziej nietolerancyjny - mówi mi w swoim mediolańskim domu przy via Melzi d'Eril.

Rozczarowanie Eco jest usprawiedliwione: zdarzyło się rzeczywiście, że ci wierzący, którzy może nie mają dostatecznej jasności umysłu lub boją się zrobić sobie nieprzyjaciół w kulturze, która "się liczy", wychwalali Imię róży; co jest słuszne, biorąc pod uwagę umiejętności autora. Ale nie wytłumaczyli równocześnie bezbronnemu czytelnikowi, że te stronic były zamierzoną i bardzo skuteczną, pływającą miną, podłożoną przez semiologa-pisarza na drodze chrześcijaństwa, dziś już i tak trudnej do przebycia. (Znamienne, że to właśnie tak zwana "katolicka" sieć Telewizji Włoskiej Rai, sfinansowała, chociaż razem z innymi, jej wersję filmową, która zradykałowała, ręką w sposób świadomie ciężki, karykaturalny wizerunek średniowiecza, przedstawionego zgodnie ze starym schematem jako fanatyczne i ciemne.

"Cały opis tej epoki w filmie jest zupełnie fałszywy. Taśma filmowa usiłuje jeszcze pogorszyć starą, oświeceniową, zmyśloną wizję średniowiecza, która została sformułowana przez antychrześcijańską nienawiść, między osiemnastym a dziewiętnastym wiekiem, w celu świadomego wypaczenia chlubnej i jasnej epoki w historii ludzkości. Stwierdziłem rozgoryczony, że na terenie katolickim głosy, które powinny by podnieść się w imię obiektywnej prawdy historycznej, naginają się służalczo i śmiesznie do przyjęcia starej czarnej legendy» stworzonej przez propagandę, zainteresowaną szkalowaniem tych wieków, ponieważ były one przesiąknięte wiarą w Ewangelię." Tak napisał o filmie, ale także i o książce, profesor Marco Tangheroni, który, będąc kierownikiem Wydziału Mediewistyki Uniwersytetu w Pizie jest tu kompetentny).

Na szczęście - także na pociechę Umberta Eco, rozczarowanego chybioną polemiką - nie wszyscy śpią, również w starym Towarzystwie Jezusowym. Oto więc "Civiltà Cattolica" wyskakuje z wielką różgą i bije po kostkach pisarza. Już tytuł artykułu jest jasny. "Bez troski nominalizm nihilistyczny Umberta Eco". Pięć gęsto zapisanych stronic ojca Guido Sommovilla, słynnego teologa i krytyka literackiego, kończy się bez zbytnich komplementów:

"...inny oczywisty fałsz historyczny, pośród wielu w tej książce: wszystko zbudowane na podobieństwo krzywych zwierciadeł w systematycznym ciągu i w pełzającej taktyce, dla zdyskredytowania i wyśmiania (nawet jeżeli poza tym tak mało skłania do śmiechu) wszystkich wartości Kościoła, religii, etyki, kultury i życia". Zakończenie może trochę zagmatwane - przynajmniej na gust Eco i mój - ale do którego ojciec dochodzi bez ceregieli po szczegółowym faccuse (oskarżam) tak dającym się streścić: usilne staranie książki całkowicie zmierza do udowodnienia nam, że nie ma niczego prawdziwego z wyjątkiem jego (Eco) osobistej prawdy i jego ironii; on (Eco) chciałby nas przekonać, że nie ma żadnej różnicy między Chrystusem a Judaszem, między świętym a przestępcą, ponieważ brak jakiegokolwiek pewnego terminu porównawczego. Pisze jednak ojciec Sommovilla, odrzucając bumerang: "Ale jeżeli prawdą jest, że wszystko jest do śmiechu, jest do śmiechu także teoria, która twierdzi, że wszystko jest do śmiechu, cała do śmiechu jest więc także centralna idea tej książki. Śmieszne jest przeto utrzymywać, że wszystko jest śmieszne".

Oskarżony, któremu przypominam ten atak w "Civiltà Cattolica", robi tę jedyną rzecz, na którą mu pozwolono: śmieje się.

- Mam wrażenie, że ojciec pojął właściwie - mówi - dobrze wyodrębnił buteleczkę jadu książki, nawet jeżeli później zbyt mocno nacisnął na pedał. Zapominając poza tym powiedzieć, że wszystko to, co włożyłem w usta

Wilhelma z Baskerville, mojego protagonisty, jest tylko kolażem cytatów owego wielkiego myśliciela franciszkańskiego, jakim był Wilhelm Ockham. - Tłumaczy: - Absolutna wszechmoc Boga: oto teza centralna Imienia róży. Tutaj mieści się, paradoksalnie, źródło ateizmu: Bóg, który może dojść aż do pogwałcenia zasady niesprzeczności, do uczynienia, aby to, co się zdarzyło, nigdy się nie zdarzyło, zmierza do eksplodowania w chaos, w panteizm, właśnie w nihilizm. W odróżnieniu od Tomasza z Akwinu, Ockham odbiera Bogu wszelkie ograniczenia; przez to rozwiewa się nie tylko filozofia, ale sama możliwość Boga poznawalnego, rozumnego. Prawdę mówiąc, po opublikowaniu naszego wywiadu, ta sama gazeta opublikowała list Alessandra Ghisalbertiego, wykładowcy filozofii średniowiecznej na Uniwersytecie Katolickim w Mediolanie, jednego z największych badaczy myśli ockhamistycznej, o której tutaj mowa: "Twierdzenia Eco są całkowicie fałszywe; moim zdaniem może je wygłaszać tylko ten, kto nigdy nie czytał bezpośrednio tekstów Ockhama (...). Każde dzieło tego filozofa i teologa potwierdza, że Bóg jest skrupowany tylko niesprzecznością; że Bóg jest ograniczony tylko tym, co jest sprzeczne". I po szeregu dokładnych cytatów, profesor Ghisalberti zakończył: "Pragnąłbym otrzymać zdementowanie od Umberta Eco, który by mi wskazał, w jakim ustępie dzieł Ockhama jest napisane, że Bóg może pogwałcić zasadę niesprzeczności". Redakcja gazety przesłała pisarzowi egzemplarz czasopisma z tym zarzutem, zapraszając go do odpowiedzi. Ale odpowiedź nie nadeszła. W każdym razie, prawdziwe lub nie, jakiegokolwiek by były (a według uczonego z Uniwersytetu Katolickiego, prawdziwe właśnie nie są) chodzi jednak zawsze o żarty słowne filozofa, pozbawione jakiegokolwiek weryfikacji. Przejdźmy raczej do konkretnego: postawienie na Boga lub przeciwko Bogu rodzi się z przeżycia egzystencjalnego, nigdy z dowodzenia teoretycznego. I wydaje się znamienne to, co pisarz napisał dla wytłumaczenia genezy Imienia róży: "Pomysłem podstawowym było to: miałem ochotę zabić zakonnika". Jeszcze raz elegancka ironia czy autentyczne postanowienie? Jakkolwiek by było, Eco mówił ostatnio o swojej "przemyślanej apostazji". Apostazja, tłumaczy słownik, jest "wyparciem się uroczystym i publicznym swojej religii". Ale kiedy mu o tym przypomniałem, natychmiast był gotów skorygować ten zbyt poważny żart innym ze swoich dowcipów: "Tak, to prawda, nie wierzę już w Boga, ale może Bóg wierzy jeszcze we mnie. A więc utrzymujemy między sobą pewną więź". A potem, jak gdyby dla oderwania się od ateizmu, aby schronić się w agnostycyzmie: "Nie jestem tak głupi, aby twierdzić, że Bóg istnieje lub nie istnieje, ponieważ rozumem nie można powiedzieć ani tak, ani nie". Ateizm wojujący - który nie jest ukryty za elegancją nomina nuda tenemus powieści, mamy tylko puste imiona, począwszy od imienia Boga - musi mu się wydawać rzeczą wulgarną, jeżeli nie niepotrzebną stratą czasu: "Nie opuszcza się, jak ja opuściłem, zakrystii klerykałów po to, aby schronić się w zakrystii ateistów. Po co porzucać system spójny i logiczny, jakim jest system teizmu judeochrześcijańskiego, dla obrania sobie systemu niespójnego i nielogicznego, jakim jest system propagandy ateistycznej?" I przypomniał mi anegdotę o hiszpańskim szewcu zagadniętym przez misjonarzy jakiejś sekty: "Nie wierzę w Boga katolickiego, dlaczego miałbym wierzyć w waszego?..."

Trzeba mu przyznać, że w odróżnieniu od wielu ekskatolików, nie opuścił Kościoła po to, aby schronić się w innym kościele, w Partii dużą literą, komunistycznej. Pozostał "psem, który się zerwał z łańcucha" (to również jego samookreślenie), chociaż zawsze wewnątrz barier neoświecenia. - Oświeceniowiec tak - ale, proszę, oświeceniowiec bizantyjski! - poprawia mnie. - Zwyczajny oświeceniowiec jest kimś, kto sądzi, że niemożliwe jest znalezienie całkowitego wytłumaczenia świata. Oświeceniowiec bizantyjski zgodziłby się z tym, ale zawsze podejrzewa, że może nie jest do przyjęcia nawet ten sceptycyzm: jest kimś, kto nie wyklucza, że także ta sieć, ten labirynt, jakim jest cały świat znaków, w którym jesteśmy zanurzeni, ma jakieś ukryte wytłumaczenie. Ale czy nie wydaje mu się w tej sytuacji, że Oświecenie z jego podstawowym dogmatem, nieistnieniem grzechu jest patetyczne? Dzisiaj, poza tym: kiedy zaczyna się mówić, także wśród świeckich, że może miał rację katolik Chesterton, według którego chrześcijańska hipoteza grzechu (począwszy od

grzechu "pierworodnego") jest jedyną prawdą dającą się naukowo udowodnić, biorąc pod uwagę, jak toczy się historia każdego człowieka i ludzkości.

- To prawda - przyznaje - wszyscy jesteśmy nieudani, ca ne colle pas (to się nie zgadza), jak mówi mój przyjaciel, francuski psychoanalityk: nie wiem w odniesieniu do czego. A następnie jestem przekonany, że na końcu, i również tutaj, nie wiem jak, usuniemy to. Tak, wierzę, że usuniemy to. W każdym razie w powrót Chrystusa na końcu czasów, w Paruzję nie wierzę już ani trochę.

Oto więc pojawia się decydująca nazwa. Jak się dochodzi do "przemysłanej apostazji"? Dla jakich motywów ktoś, kto przyjmował Chrystusa - i z tak wielką żarliwością jak młody Eco - decyduje się później na wycofanie swojej nadziei?

W odczytywaniu "znaków" Eco jest mistrzem również z urzędu, biorąc pod uwagę, że to właśnie "teorii znaków", semiotyki uczy ze swojej katedry na uniwersytecie w Bolonii. Leżało mi więc na sercu postawienie pytań jemu, bardziej niż komukolwiek: czy rzeczywiście zastosował całą swoją bezdyskusyjną wiedzę teoretyczną, swoją inteligencję uznawaną na całym świecie, do zagadki religii? Czy przeanalizował i rozszyfrował jej "znaki" i ślady, aby się przekonać, czy przypadkowo nie jest możliwe wyjście z labiryntu sceptycyzmu? Czy chrześcijaństwo, wiara w Boga, który zdaje się bawić w chowanego, nie jest uprzywilejowanym terenem dla kogoś, kto jak on (na równi ze swoim dublerem Wilhelmem z Baskerville, średniowiecznym Sherlockiem Holmesem z Imienia róży) jest wprawiony w rozszyfrowywaniu sygnałów i symptomów ukrytych za pozornym milczeniem rzeczy? Śledząc go z podziwem od książki do książki, od artykułu do artykułu, wiedziałem dobrze, że dla Eco chrześcijaństwo nie jest na pewno ziemią w pół niezbadaną, jak podejrzewałem, iż jest nią dla innych moich rozmówców "laickich", "nie wierzących", bardzo jednak wykształconych w wielu innych gałęziach wiedzy. Eco jest postchrześcijaninem; kimś, "wbrew wszystkiemu, jeszcze z rodziny", jak mówi. Ale w takim razie, na podstawie jakiego rozszyfrowania "znaków" on, który stawiał na Chrystusa - z witalną żarliwością i intelektualną świadomością - zdecydował się później wycofać swoją stawkę?

Odnosiłem wrażenie, słuchając go, że u podstawy jego wyjścia z kręgu wiary stało także konkretne oblicze chrześcijaństwa, katolicyzmu w szczególności, które musiało ukazywać mu się w całej swojej "chropowatości". Opowiadał o tych środowiskach katolickich, dobrze sobie znanych i odwiedzanych, w których "ewentualna świętość wydawała łączyć się z niepokojącym brakiem hormonów". Nie zdziwiłem się więc odpowiedzią, gdy go zapytałem, co ze świata katolickiego wydawało mu się mniej możliwe do przyjęcia.

- Ach, nie ma wątpliwości - odpowiedział z pewnym grymasem pod bródką - cały aspekt maryjny.

Rozumiałem go dobrze. Różańce, kwiatki, kobiety i mężczyźni dźwigający nosze w Lourdes, pastuszkowie z Fatimy, nowenny, procesje z liliami i z dziećmi ubranymi na białą, naiwne święte obrazki i biuletyny; cóż mniej "porządnie się prezentującego", bardziej nieznośnego dla pewnego świata intelektualnego? Trzeba zrozumieć to zakłopotanie. Ale może Magnificat zaintonowane przez Maryję jest już wcześniejszą odpowiedzią, i wyczerpującą, na wszystkie alergie, które przez wieki trapiły nas, noszących miano "intelektualistów"?

Przypomniałem sobie inny salon mieszczańskiego domu, nie w Mediolanie, lecz w Paryżu, a raczej na jego przedmieściu bardziej ukwieconym, Neuilly-sur-Seine. Przede mną Andre Frossard, ostry publicysta z "Le Figaro", człowiek, który pracował i mileżał trzydzieści lat, pragnąc wyrobić sobie imię i wiarygodność przed zaskoczeniem świata książką Bóg istnieje, spotkałem Go, w której opowiada o swoim nagłym i nieoczekiwanym natknięciu się na tajemnicę Boskości. Doświadczenie, do którego powrócimy, gdy będziemy słuchali jej autora. Tutaj miało może znaczenie przypomnienie tego, co powiedział mi Frossard, mrugając porozumiewawczo tymi swoimi ironicznymi oczami:

- Tamten świat, niech Pan mi wierzy, będzie piękną niespodzianką dla mędrkujących intelektualistów. Ponieważ odkryją oni nie tylko, że życie pozagrobowe istnieje rzeczywiście, ale staną się obiektem cudownej ironii Boga Abrahama i Jezusa. Naprawdę wierzę, że ci panowie znajdą w swoim raj

właśnie wszystko to, co za życia napelniało ich zgrozą: plastikowe butelki w kształcie Matki Bożej, szklane kule z sanktuarium i ze śniegiem, kiedy się nimi potrząsa, wizerunki Matki Bożej i popularnych świętych do przyczepiania na tablicy rozdzielczej samochodu, kiczowe obrazki i obrazeczki. I piękne będzie to, iż cały ten bazar będzie im się bardzo podobał, ponieważ Bóg zwróci im to dzieciństwo, którym pogardzili. Będą żyli na zawsze szczęśliwi pośród wybrakowanego towaru z sanktuarijnego straganu.

Sądzę, że w tym samym rzędzie zarozumiałości, która jest starodawna (zaczyna się od wyniosłych Rzymian, gardzących nową "religią dla niewolników") jest, jeżeli go dobrze zrozumiałem, inny żart Eco: "Gdyby istniał Bóg i miał syna, posłałby go na studia na uniwersytet Harvarda, nie na uniwersytet w Camerino" (i usłyszałem w tym echo innego zdania różnych intelektualistów: "Czy Mesjasz może pochodzić z Nazaretu?"; i wydawało mi się, iż widzę potrząsanie głową Piłata, tak wytwornie sceptycznego, gdy pytał tego oberwańca: "A więc Ty jesteś królem?").

Ale, żeby powrócić do motywów "apostazji", wyznaję, iż nie dorównują wielkości "pana znaków" racje, jakie mi wyliczył, odrzucenia przez niego prawdy Ewangelii.

Dwie racje w stylu tamtych argumentów: przede wszystkim, wybierając dla narodzenia swojego Syna basen Morza Śródziemnego, Bóg dokonałby pewnego rodzaju niesprawiedliwego "wyboru etnocentrycznego" na korzyść jednej rasy, narodu, kultury. Mianowicie, powiedział, "oszacowałby model kulturalny zachodni jako możliwie najlepszy".

Potwierdzając to, na co już zwróciłem uwagę, kiedy wydawało mi się konieczne przedstawić się w niezgodzie z Luigim Firpo (brzemień mianowicie dla biednego reportera, grania roli "przemądrzałego", w dodatku z rozmówcami o podobnej randze intelektualnej i ludzkiej) trzeba jednak przecież powiedzieć, że jeżeli to wcielenie miało nastąpić, musiało się gdzieś dokonać; oraz że, między innymi, rzut oka na atlas pokazałby Izrael jako miejsce, gdzie łączą się trzy kontynenty: Azja, Europa, Afryka. Ale idąc głębiej: czy naprawdę "zachodnie" jest to orędzie, które dotarło do nas z Galilei i Judei? Czy to nie raczej pod jego wpływem starożytny Zachód przeobraża się aż do przyswojenia sobie pojęć, które (choć na różne sposoby zhellenizowane) w rzeczywistości pochodzą ze Wschodu? Czy to nie on, Eco, odkrył między "znakami" niewiarygodności Ewangelii fakt, że Bóg kazał przyjść swojemu synowi nie z Harvardu (czytaj Rzymu albo z Aleksandrii w Egipcie, czy z Aten), lecz z Camerino (Betlejem, Nazaretu, także Jerozolimy: nikczemnych miejscowości dla antycznego człowieka)? Oczywiście "rasistowski wybór etnocentryczny"! Postanović sobie nawrócenie dumnych Greków i Rzymian do oddawania czci żydowskiemu robotnikowi było tym samym, co przekonywanie Anglika w czasach królowej Wiktorii do przejścia na kongijskie kultury animistyczne. To prawda, że nie brakowało usiłowań (podejmowanych w naszym wieku przez nazistów) "uszlachetnienia" chrześcijaństwa, przez wymyślenie Jezusa zrodzonego z jednego z "naszych", z żołnierza rzymskiego: nie syna więc owego nędznego pospólstwa wschodniego, który wiódł mroczne życie w Izraelu.

Spędziłem kiedyś wieczór z Jamesem Hal Conem, najślawniejszym przedstawicielem black theology, amerykańskiej czarnej teologii. Punktem wyjścia, utwierdzał mnie Cone, było to, że Jezus był coloured.

- Symbol, nieprawda? - zapytałem.

- Wcale nie - odpowiedział ów pastor z Arkansas, który został wykładowcą w Union Theological Seminary w Nowym Jorku. - Czytając dobrze Ewangelie spostrzega się, że Chrystus nie był białym w żadnym znaczeniu tego słowa, ani w wyglądzie, ani w tym, czego nauczał. Dlatego nie są dalecy od prawdy moi czarni koledzy, kiedy mówią, że Jezus historyczny był Żydem, ale o ciemnej skórze. Są tacy również teraz, na przykład Żydzi etiopscy, którzy byli tacy także i wtedy.

Argumentacja, oczywiście, ekstremistyczna; ale jest znamienne, że także takiej polemicznej fantazji udaje się znaleźć przynajmniej kilka punktów oparcia w Piśmie Świętym.

Drugi zarzut - był nim stary temat "spóźnienia odkupienia". Dlaczego, pytał Eco, jeżeli zło świata jest tak bardzo wielkie, "Wyzwoliciele!"

przychodzi po tylu tysiącach lat historii? "Dlaczego nie narodził się już w epoce neandertalskiej, z hominidami kopalnymi? Jeżeli tak wiele pokoleń urodziło się i umarło przed Odkupicielem, to albo Bóg był bezsilny i nie mógł interweniować wcześniej, albo w Jego oczach wszystko było w porządku, grzech pierwszych rodziców nie musiał być poza tym bardzo ciężki".

Pomyślałem natychmiast o innym z jego powiedzeń: "Ale wtedy to znaczy, że Jezus nie jest tym, który miał nas wyzwolić od gangreny, lecz od wietrznej ospy! I czy to znaczy, że Bóg wyniszczył swojego jedyne Syna z tak pospolitego powodu?"

Jest to "klasyczna" trudność, nawet z już przygotowaną odpowiedzią (na ile znaczącą) w starych podręcznikach apologetyki. Odsyłają one do argumentu Bożej pedagogii: dla wiary Mesjasz nie jest "komandosem", spadochroniarzem jakiegoś oddziału, który pojawia się natychmiast. Wcielenie Boga nie było inscenizacją, sztuką, czymś w rodzaju generała, który kiedyś raz próbuje posiłku żołnierzy. Wcielenie znaczyło, dla Przedwiecznego, potraktowanie historii na serio, aż do końca. A branie historii na serio znaczyło także przestrzeganie jej rytmów, przyjęcie przez nią długiej cierpliwości.

Ale może warto zatrzymać się dla przedyskutowania podobnych problemów, choćby interesujących, ale podrzędnych, marginesowych, z punktu widzenia głównego pytania? Tego niekończącego się pytania uczniów, których Jan posłał, aby zapytali Jezusa: "Ty jesteś Mesjaszem, który ma przyjść, czy mamy czekać na innego?"

- Profesorze - powiedziałem mu - serce ma swoje racje, których rozum nie zna. Jeżeli się nie mylę. Ale te Pana argumenty wydają się wypracowane postfactum, jak gdyby dla usprawiedliwienia odrzucenia, które (jak każde prawdziwe uczucie) wygląda na to, iż wywodzi się bardziej z serca niż z rozumu.

Jako człowiek szczery, nie tylko inteligentny, przyznaje mi w tym rację.

- To prawda. Może w tych sprawach każdy tak zwany "dowód" służy tylko do przekonywania siebie o tym, o czym się już jest przekonany. Także dlatego, że Bóg może być przedmiotem dyskusji filozoficznej, "argumentów" i "kontrargumentów". Nie jest tak jeżeli chodzi o Chrystusa, co do którego trzeba przyjąć lub odrzucić nie system filozoficzny, ale spotkanie. Utrata wiary w Jezusa jest jak gdyby przerwaniem obwodu elektrycznego. Tak: aspekt rozumowy nie wystarcza dla wyjaśnienia mojej historii. Ale nie wystarcza nawet aspekt biograficzny. Inni, którzy doświadczyli moich zdarzeń, zachowali wiarę. - Odsłaniając się jeszcze bardziej w swoim człowieczeństwie, mówił mi o "tragiczności stawiania na nieistnienie Boga: kto stawia na to, musi dawać dużo więcej miłości niż wierzący, aby usprawiedliwić swoje życie i swoją śmierć".

Psychoanalityk Carl Gustav Jung mówił, że trzeba troszczyć się o człowieka, aby nie myślał codziennie o śmierci i nie odczuwał jej dramatu.

Eco, człowiek głęboki, inteligentny i wrażliwy, na pewno nie wymaga troski o siebie, nawet pod tym względem. Oścień śmierci przeżywa w sobie, od kiedy jego ojciec umarł niespodziewanie:

- Od tamtej chwili minęło tak wiele lat, a ja zawsze o tym myślę. Nie usiłuję, jak chciałby Freud, zemścić się na moim ojcu, usiłuję pomścić jego.

Eco, gdzie jest Pana ojciec? Gdzie są inni zmarli? Gdzie my będziemy? Co jest za tymi drzwiami? Powiedział: "Jest chaos. Lub jest płaska pustynia".

Ale chciał jeszcze dodać: "Na pewno jest to miejsce, w którym nie króluje Chrystus. Ani Budda. Ani nikt inny".

- Ale śmierć jest hazardem w całym tego słowa znaczeniu, otwarta, w swojej logice, na dwa możliwe wyjścia. A jeżeli mają rację ci, którzy twierdzą, że właśnie Jezus wyjdzie nam na spotkanie?

- Zważ - odpowiedział - jeżeli Jezus jako sędzia istnieje naprawdę i chce przygotować mi proces, powiem Mu mniej więcej te rzeczy, które mówię do Pana: rozumowałem tak i tak i doszedłem do wniosku, że nie powinienes się tutaj znajdować, aby na mnie czekać. Sądzę, że w ten sposób będziemy mogli dojść do rozsądnych układów. Jeżeli natomiast układ nie jest rozsądny, jeżeli istnieje Bóg okrutny i mściwy, który już z góry zdecydował o moim losie, wtedy nie chcę mieć z Nim nic do czynienia. Niech mnie pošle po prostu do piekła, w którym przynajmniej znajdują się porządni ludzie. Ale

jestem pewny, że jeżeli Bóg istnieje, to jest Bogiem św. Tomasza; a z nim można dyskutować. Studiowaliśmy z tych samych książek. Obydwaj byliśmy uczniami tego samego uniwersytetu.

Słuchałem nieco niespokojny tego rodzaju przeniesienia do nieba dyskusji z amerykańskiego filmu telewizyjnego; filmu, w którym - według dubbingu - trzeba zwracać się do sędziego tytułując go "Wasza Dostojność". I chociaż wzbraniałem się przed tym, musiałem myśleć o Pawle bez względów i bez eufemizmów z Listu do Koryntian: "Gdzież jest mędrzec, gdzie uczony, gdzie jest bystry myśliciel z tego świata?"

Teżą Imienia róży jest twierdzenie, że wiara w Boga bazuje na strachu, przede wszystkim na strachu przed śmiercią, diabłem, piekłem; ale ironia, śmiech mogą uwolnić od tych strachów; a więc, aby się wyzwolić od wiary, wystarczy śmiać się.

Mimo to w dalszym ciągu poruszamy się (tak przynajmniej mi się wydaje) w niepokojącym cieniu śmierci i jej nienaruszonej tajemnicy, niezgłębionej dla usiłowań demaskowania z powodu nagłych zmian humoru. Mówił mi, to prawda, że jego, jako filozofa, bardziej niż własna śmierć interesowała śmierć ludzkości. Ale - najbardziej po ludzku - wydawał się przeczyć samemu sobie. Przede wszystkim śmierć ojca:

- Najbardziej wstrząsające wydarzenie mojego życia. Kiedy umarł, nie miałem już wiary, a więc możliwości posiadania nadziei na życie wieczne.

Potem mówił mi o "kulcie zmarłych, tak typowym dla ateistów: kulcie doprowadzającym do rozpaczki z powodu nieobecności". I jeszcze:

- To oczywiście, że z tym moim rodzajem ryzyka, życiem mianowicie, jak gdyby Bóg nie istniał, żyję o wiele bardziej tragicznie niż kiedy byłem wierzącym: teraz dla mnie rozliczenie się ze śmiercią jest o wiele bardziej uciążliwe. Muszę bardziej pracować, aby nadać sens mojemu przejściu. - Następnie, jak gdyby skandując słowa: - I to mnie najbardziej wyczerpuje.

Nie ukrywał swojej nostalgii (również tej egzystencjalnej, poza wszelkim "rozumowaniem") za tą ojczyzną, jaką był dla niego Kościół i w której, przyznał, "pomimo wszystko znajdował pocieszenie". Tak więc, już przy drzwiach, gdy zobaczyłem na ścianie pamiątkę z jednej z wielu podróży amerykańskich (wydaje mi się, że była to trójkolorowa flaga włoska zrobiona z makaronu) powiedział, że po wielu poważnych rozmowach należy się pożegnać z dykteryjką. Przytoczył mi więc historię zabójcy, który po zbrodni, gnębiony wyrzutami sumienia, wszedł do synagogi.

- Rabbi, zabiłem!

- Oby krew tego człowieka spadła na twoją głowę! - odpowiedział rabin, jak widać surowy fundamentalista.

Poszedł zatem do świątyni protestanckiej:

- Pastorze, zabiłem! A ten, flegmatycznie:

- Wziąłeś mnie za spowiednika? Proś Chrystusa o przebaczenie, a potem idź powiedzieć o tym na policji.

W końcu udał się do kościoła katolickiego:

- Ojcze, zabiłem!

A z konfesjonału odzywa się spokojny głos:

- Ile razy, mój synu?

Uśmiechnął się pod wąsem, tą swoją sympatyczną twarzą postaci z komiksów, które wykonuje z wielką pasją i wyjaśnił mi:

- Widzi Pan, ten świat nie przestaje mnie fascynować.

Eco? Jest prawie niemożliwe nie lubić go - słyszałem jak mówiono wszędzie, w miłeu drukowanego papieru, kiedy nagle pojawił się ten sukces, który z trudem został wybaczonej. Kilka godzin spędzonych z nim ukazało mi, w jakim stopniu usprawiedliwiona była fama o ludzkiej sympatii, jaką jest (lub był) otoczony. Dzięki niemu, jak i dzięki innym, którym, jak mi się wydawało, powinienem starać się sprzeciwić, oceniłem trudność takiej pracy, jak ta. Powiedział mi Jean Guittou, filozof francuski, który całe życie poświęcał się "krytyce krytyków" orędzia chrześcijańskiego:

- Byłoby dużo łatwiej, wierzącym i niewierzącym, pomijać milczeniem i szanować w milczeniu idee drugiego. Tak, byłoby dużo łatwiej, dużo przyjemniej. Ale czy jest to możliwe? Czy ten, kto wierzy, że istnieje

jakaś prawda, nie ma obowiązku świadczenia o niej, także słowami?
Aroganckimi, psującymi nastroj? Bardzo możliwe. Ale czy możemy postępować inaczej?

Alessandro Galante Garrone

Właśnie w tygodniu, w którym się znowu spotkaliśmy, była w sprzedaży "Panorama", w której Enzo Biagi pisze o nim: "Jedna z najbardziej godnych szacunku postaci życia włoskiego; wielkie sumienie, jeden z owych ludzi, którzy są świadectwem, w każdej okoliczności, zamiłowania do wolności zawsze oświeconej przez rozum".

W porządku czasu jest to ostatni z niezliczonych wyrazów uznania, jakie - jakkolwiek robi wszystko, aby ich unikać - sypią się obficie na niego, od czasów ruchu oporu, którego był uczestnikiem, reprezentantem Partito d'Azione w piemonckim Komitecie Wyzwolenia Narodowego.

Odwiedzam Alessandra Galante Garrone ponownie w tych samych zacisznych pokojach turyńskich, w których spotykałem go przed kilku już dziesiątkami lat, w związku z pracą dyplomową. Doświadczałem wtedy osobiście tolerancji konkretnie praktykowanej przez człowieka, w którym zdawało się naprawdę żyć to, co najlepszego reprezentowała kultura Oświecenia, laicyzmu włoskiego Risorgimento, pośredniego skutku lekcji rewolucji francuskiej.

- Mój dom - powtarzał przez telefon, gdy zadzwoniłem do niego w celu przeprowadzenia tego wywiadu - jest dla Pana otwarty w każdej chwili, z sentymentem. Ale dla przyjaciela, nie dla dziennikarza; dla byłego ucznia, nie dla reportera, który wznieci wokół mnie rozgłos, jaki sprzeciwia się mojemu pragnieniu powściągliwości. - I natychmiast potem, jak gdyby bojąc się, że był może nieuprzejmy: - Pan mnie zna i wie, że to nie zarozumiałość lub kokieteria: to jest moje ograniczenie, fizyczna potrzeba odosobnienia, pośród moich studiów, pośród młodych ludzi, którzy w dalszym ciągu odwiedzają mnie w związku ze swoimi badaniami.

W sumie, nieco tylko nadużywając przyjaźni mogłem wejść, wyposażony w pióro i notes, do tego mieszkania wypełnionego książkami, w którego ciszy słychać gwizdy i szcęk pociągów przy pobliskiej Porta Susa.

Kiedy kilku nas zapisanych wtedy na kurs nauk politycznych wydziału prawa uczęszczało na jego wykłady historii współczesnej, a w szczególności Risorgimenta, Galante Garrone przekroczył już pięćdziesiątkę, ale był zaliczany do pierwszych nazwisk na uniwersytecie. Został na niego powołany niemal siłą (z sądownictwa, gdzie cieszył się wielkim autorytetem) przez uczonych, którzy cenili ścisłość w jego twórczości eseistycznej, zwłaszcza na temat radykalizmu historycznego, o nieprawowiernych, utopistach, rewolucjonistach dziewiętnastego wieku: Filipie Buonarrotim, Babeufie, Felice Cavallottim.

"Nieco nacechowany jakobinizmem", jak się sam określa, historyk ruchów radykalnych, ale bardzo daleki od współczesnych krzykliwych "radykałów" włoskich, z którymi nawet prowadził publiczne polemiki: jeszcze jedna irytacja surowego uczonego krzykami ekshibicjonistów. Jednak w czasie naszego spotkania dołączył się do nieprzystępności, która rodzi się z zamiłowania do odosobnienia, może inny element. Wstając po kilku godzinach rozmowy, zauważywszy, że "w sumie nie było tak źle, jak się obawiałem", zakończył zdaniem nieco odsłaniającym go: "Być może, że do mojej zasady odmawiania wywiadów dołączyła się tym razem - ponieważ chodziło o tematy religijne - potrzeba bronienia spokoju, który, nawet ja sam nie jestem tego w pełni świadomy, jest może trochę kruchy". Kto potrafi zgłębić tajemnice ludzkiego serca? Jeśli chodzi o mnie, z pewnością nie będę tego próbować, starając się nie popełniać pomyłki i pozostać na płaszczyźnie - dużo łatwiejszej - idei, postaw kulturalnych.

Alessandro Galante Garrone w tamtych miesiącach opublikował książkę, będącą niejako bilansem Włoch, które nie uległy służalczości wobec faszyzmu, a potem oportunistom czasów powojennych. "Przodkami", to znaczy ojcami kulturalnymi i moralnymi piemonckiego uczonego są tacy ludzie, jak Luigi Einaudi, Piero Calamandrei, Ferruccio Parri, Francesco Ruffini, Adolfo Omodeo, Luigi Salvatorelli. "Ich dominujące orientacje - pisze w przedmowie - podążają od liberalizmu niekonserwatywnego do socjalizmu demokratycznego i humanitarnego. Wszyscy oni są także naznaczeni, mniej lub

bardziej, silnym i niekiedy polemicznym laicyzmem, jednak pełnym szacunku dla każdego przekonania religijnego". Jednakże do tych "przodków" zalicza się także Arturo Carlo Jemolo, którego usłyszymy, i który do końca wyznawał wiarę chrześcijańską, nawet otwarcie katolicką, Galante Garrone napomyka, że "nie znajdował w nim żadnego liczenia się ze względami ludzkimi, do tego stopnia, że widział go klękającego na rzymskiej ulicy Mazzini, gdy zobaczył przechodzącego księdza z Najświętszym Sakramentem".

Jednakże rozmowy z Jemolo - bardziej niż na tematy bezpośrednio religijne - toczyły się o problemach polityki kościelnej: o kulturze i polityce, na pewno nie o religii. Galante Garrone, jak mi natychmiast wyjaśnia, jest jak najdalszy od wszelkiego wyznawanego ateizmu:

- Jest to pokusa, która mnie nie dotknęła, nigdy nie odczuwałem pociągu do wizji świata naznaczonego wojującym ateizmem.

Jego postawa natomiast (tak zwyczajna dla tego typu kultury) jest postawą czystego, pozornie nieprzeniknionego agnostycyzmu.

- Moje środowisko rodzinne - mówi - było religijne, praktykujące wiarę katolicką, chociaż niechętnie wszelkiej bigoterii lub nietolerancji.

Jego oddalenie się? Nie dokonało się przez jakąś bezpośrednią refleksję na temat metafizyczny ("Największe trudności napotkałem, jak to się zdarza u wielu, w latach dorastania, w liceum) lub przez zgłębianie początków chrześcijaństwa ("Nie, nigdy nie roztrząsałem, jako historyk, problemu Jezusa z Nazaretu: nie mówię tego ani po to, żeby się chełpić, ani żeby się upokorzyć, że Go toleruję"). Oderwanie się od wiary rodzinnej jest związane raczej z jego głębokim, instynktownym antyfasyzmem:

- Miałem dwadzieścia lat, kiedy Mussolini podpisał konkordat z Kościołem; uczęszczałem wtedy na wykłady Francesca Ruffiniego, wielkiego znawcy prawa kościelnego. Miałem - i w konsekwencji zawsze mam - jak gdyby pragnienie wolności, odczuwałem oczarowanie orędziem takich ludzi, jak Croce, jak Omodeo. Nie potrafiłem przyznawać się do instytucji religijnej, która, jak się wydawało, nie szanuje wolności ludzi.

Kryzys w sumie spowodowała w nim owa pasja "cywilna", która będzie kierowała każdą jego decyzją. Ciekawy jest jednak - ale tylko na pozór, świadcząc nawet o postawie całkowicie konsekwentnej - fakt, że Galante Garrone, który odrzucił Kościół konkordatu, jest nieufny wobec pewnego dzisiejszego chrześcijaństwa goszystowskiego (lewicowego - przyp. tłum.).

- Ceniłem - mówi - tchnienie nowego, reprezentowane przez Jana XXIII; nawet jeżeli, jako laik, mógłbym może zaobserwować, że skończyło się przyznaniem nam racji. Nie mówiłem tego wtedy, i nie mówię teraz, mam zbyt wiele szacunku dla wewnętrznego życia Kościoła, do którego nie należę.

Powiem jednak Panu, że jestem poirytowany pewnymi postawami duszpasterskimi lub pewnymi ewolucjami teologicznymi, jakie, u niektórych, zdają się kształtować nowe wpływy polityczne, chociaż o znaku przeciwnym od poprzednich.

Czy podejrzewa może, że jakiś katolik, mrugając na lewo po umizgach na prawo, zamierza wskoczyć na wóz tych, którzy uważają się za nowych zwycięzców?

- Sądzę, że żaden Kościół nie powinien tracić z oczu istotnych wartości, dla których istnieje. Myślę, że Kościoły chrześcijańskie, z katolickim na czele, powinny mieć cel moralny, bezpośrednio religijny, bardziej niż polityczny lub społeczny. Jeżeli podziwiam i szanuję niektórych kapłanów, rzeczywiście oddanych sprawom duchowym, to jestem zakłopotany wobec duchownych engages w jakiejś partii, jakakolwiek by była, lub w każdym razie politycznie zaszeregowanych, nawet na poziomie tylko zainteresowania publicystycznego. - Spogląda na mnie z rozbijającym uśmiechem: - Co mam Panu powiedzieć? Pewni politolodzy lub politykierzy w sutannach wydają mi się kapłanami przez pomyłkę.

Jednak zgadzając się z nim co do różnych ekscesów, nie mogę nie zaproponować mu, iż jest typowy w chęci usunięcia w prywatność faktu religijnego, który sobie konstruuje pewien "laicyzm". Wiara mianowicie tolerowana tylko jako sprawa interesująca wyłącznie jednostkę (i w tym jedynym zakresie to co jednostkowe powinno być szanowane), ale której jest zakazane wychodzenie z kościoła lub zakrystii. Także jego kolega Luigi Firpo stoi na tym samym stanowisku:

- Szanuję wiarę, pod warunkiem, że nie służy w realnym życiu. Odpowie mi potwierdzając swoją koncepcję świeckości wywodzącą się z Risorgimento, w której nie ma żadnego miejsca dla homo religiosus w życiu publicznym. To (jak widać konkretnie we Włoszech od Cavoura do Giolittiego) kończy się stawianiem wielu pytań o praktyczne zastosowanie "tolerancji", przecież proklamowanej, słowami, głośno i mocno.

Ten rodzaj dyskusji przenosi naszą rozmowę na płaszczyznę etyki, także indywidualnej. Agnostycyzm Galanta Garrone przybiera na sile, gdy mówi na temat "zakładu" o życie pozagrobowe, jaki sytuacja ludzka narzuca każdemu. Byłoby zbędne przypominać mu, że U faut parier, trzeba się założyć. -

Przeciwnie, nie! Jest to problem, którym nie chcę się zajmować.

Nie boję się i nie spodziewam się niczego. Wiem tylko, że każdy musi, każdego dnia, aż do ostatniego, wykonywać swój obowiązek.

Ten ideał "obowiązku", który powinien kierować działaniami wszystkich, jest w nim bardzo wysoki:

- Pracować z pokorą, bez ostentacji, choćby nawet w działaniach nieefektywnych. Przez wiele lat jako urzędnik sądowy byłem przydzielony do sekcji spraw małżeńskich. Miałem codzienny kontakt z ludzką biedą i wydawało mi się, iż muszę oddawać sprawiedliwość, ile jest jej w nas, temu, kto ma do niej prawo, kto potrzebuje obecności, która mu pomoże. Trzeba usiłować wychodzić z siebie, trzeba przewycięzać swój egoizm, służyć najmniejszemu bez posługiwania się nimi, bez lądzenia się, iż znajdzie się zawsze i w każdym wypadku uznanie lub wdzięczność.

- Jest to program - zauważam - który jest także programem ewangelicznym.

- W tym znaczeniu - mówi - czuję się solidarny z tym, kto ma ideał religijny. Ale, zrozumiemy się, to, o czym Panu mówię, jest właśnie ideałem, nie twierdzą na pewno, że udało mi się go zrealizować lub choćby tylko zbliżyć się do niego.

Natomiast wielu myśli (ale zachowuję dla siebie tę uwagę, obawiając się, iż zostaną "złajany"), że w rzeczywistości ten człowiek naprawdę przeżywał dokładnie te sprawy, o których mówi. Na ile to ma znaczenie, ja również zaliczam się do tych wielu, doświadczywszy prawdy tego, o czym mówi:

- Nie jest to moja zasługa, lecz raczej mojego charakteru: mianowicie w każdym człowieku staram się widzieć stronę dodatnią - i to w każdym, proszę mi wierzyć - bardziej niż ujemną. Na przykład nie byłbym zdolny do polemizowania (nawet przekonany, iż mam rację), gdyby moja replika groziła zawstydzeniem rozmówcy.

Szczerzy podziw, szacunek, świadectwo spójności całego życia, nie przeszkadzają stawianiu szeregu pytań. Są to pytania od zawsze, nie ma tu miejsca na pretensje, by być oryginalnym: czy etyka samego rozumu nie kończy się w rzeczywistości ryzykiem irracjonalizmu? Do czego przyczepić taką moralność? Dlaczego byłoby zawsze rozumne podążanie za głosem sumienia nawet wtedy (a często się to sprawdza), kiedy jest ono w konflikcie z naszym interesem, z naszą przyjemnością, z naszą wygodą? Dlaczego, bez obiektywnej normy, bez nagród lub kar obiecanych lub groźących? Czy poza tym ta etyka nie ryzykuje, iż jest przeznaczona tylko dla niewielu, dla elit? Jak przekonać do niej wielkie masy, które realizm katolicki stara się cywilizować przedstawiając "rzeczy ostateczne" ("śmierć, sąd, piekło, niebo...") a inny wielki ekspert od mas, marksizm, pilnuje ich za pomocą wszechobecnej policji? Ilu jest takich jak on, którzy potrafią najpierw ustalić, a następnie postępować według programu takiej surowej szlachetności?

Wydaje się, że zupełnie nie ma „racjonalnych” odpowiedzi na takie pytania (a Arturo Carlo Jemolo, przyjaciel i "mistrz" Galante Garrone, zdecydowanie to potwierdzi). Nawet uznając, oczywiście, że człowiek, który stoi przede mną, nie jest naiwnym utopistą:

- Znam wzloty i upadki moralne człowieka. I na pewno nie zaliczam się już do różnych naiwnych proroków Oświecenia, z którymi jednak szeroko się identyfikuję; z tymi mianowicie, którzy myśleli, że szkoła i dobrobyt oraz wolność dla wszystkich stworzą nowego człowieka, będącego w pełni dobrocią i rozumem. Nie, nie stało się tak. A jednak...

- A jednak?

- A jednak jesteśmy powołani do kontynuowania, dzień po dniu, z pokorą i

cierpliwością, naszej walki: siać dobro, pomagać, starać się, aby górowało najlepsze. Pewnie, historia nie cała do tego doszła. Wiem, czego doznawałem, kiedy barbarzyństwo terroryzmu dotknęło także mojego starego przyjaciela Carla Casalegno, wicedyrektora "La Stampy"- Ale to nie powinno złamać naszego optymizmu. Idziemy naprzód, wypełniając swój obowiązek, mały lub wielki, nieznan lub widoczny, nieważne. Życie zostało nam dane dla służenia, abyśmy się okazywali solidarni z całą ludzkością, walcząc, mimo naszej skromności, o wieczne ideały sprawiedliwości, wolności, pokoju, postępu.

Czy jest to tym, co wielki teolog (Karl Rahner, którego usłyszymy), nazwał "chrześcijaństwem anonimowym", rozumiejąc przez to teoretyczne odrzucenie każdego Kościoła i równocześnie rzeczywiste uznanie istoty Ewangelii? Nie wiem; wiem, że odchodząc (komenda policji, która wznosi się obok domu profesora, jest cała oświetlona, wpadam na gromadę zatrzymanych, zepchniętych siłą na dziedziniec); odchodząc więc, myślę o jednej sprawie, którą Galante Garrone "zakazał" mi relacjonować. Chodziło o paradoks, który powiedział mu przyjaciel Jemolo (profesor powtarza mi go z autoironicznym uśmiechem): "Jesteś jednym z tych, którzy nie wierzą w niebo. A jednak robisz wszystko, aby je zdobyć..."

ROZDZIAŁ II

Cztery razy tak "w imię rozumu"

Obok czterech głosów, opowiadających się za agnostycyzmem, o którym twierdzą, iż jest motywowany rozumem, interesujące jest przedstawienie innego głosu, który pochodzący z tej samej kultury Oświecenia, nie obiera powstrzymywania się od opowiedzenia się za Bogiem lub przeciwko Bogu. I ani nawet nie stawia na ogólnikowy deizm; ale żyje zdecydowaną wiarą w prawdę chrześcijaństwa.

Tenże Arturo Carlo Jemolo, którego tutaj słuchamy, był jedynym wierzącym, którego Alessandro Garrone włączył do grona swoich nauczycieli (swoich „przodków”), do tej gromady, którą nazwaliśmy zastępem złożonym z "ludzi naznaczonych silnym i niekiedy polemicznym laicyzmem". A jednak to ten sam Galante Garrone tak bardzo go szanował, tak wysoko go cenił, wspominając, że wiara Jemola była bardzo daleka od wszelkiego roztropnego ukrywania się, od wszelkiego "względu ludzkiego", do tego stopnia, że widział go klękającego w samym centrum Rzymu, gdy przechodził kapłan niosący wiatyk.

Norberto Bobbio, również filozof agnostyk, dożyłotni senator Republiki Włoskiej, mówił mi o Jemolo, jako o "swoim przyjacielu". Ktoś więc, kto "czytał te same książki, kto kończył te same szkoły: były uczeń" (żeby powiedzieć to z Umberto Eco); a jednak, nie wypierając się niczego z tej racji, na której bazuje myśl "oświeceniowa", liberalno-demokratyczna, wyrażał pełną zgodę na wiarę chrześcijańską, a nawet katolicką.

Obok głosu Jemola postawimy inny głos, chociaż skrócony. Głos Hansa Kiinga, enfant terrible teologii współczesnej, znakomitego i cieszącego się powodzeniem uczonego, który mimo wiecznych starć z hierarchią rzymską wciąż twierdzi, iż reprezentuje "prawdziwą" wiarę katolicką, wiarę w harmonii z czasami. To zestawienie może wydawać się ryzykowne. W rzeczywistości, chociaż swoimi metodami i swoim stylem bardzo różni się od Jemola, także teolog szwajcarsko-niemiecki dąży do tego samego celu: być w najściślejszym kontakcie i dialogu z liberalną kulturą współczesnego Zachodu, ukazać, że wierność jest możliwe, chociaż wykorzystuje się maksymalnie, bez lęku, kulturę i argumenty „współczesne”. Powstrzymujemy się tutaj od wchodzenia w meritum teologii Kiinga i jego prawowierności. Tym, co nas interesuje w logice oceniania racji wierności, jest ta wiara chrześcijańska, którą deklaruje również po skonfrontowaniu się z całą kulturą współczesną.

Następny na naszym szlaku jest Gaspare Barbiellini Amidei, dobrze znany dziennikarz i pisarz, który w bardzo młodym wieku został członkiem kierowniczego sztabu największego włoskiego dziennika, wykładowca uniwersyteckiej socjologii, autor wybitnych i poczytnych książek: intelektualista zaliczający się do najbardziej „laickich”, a zarazem także przekonany (bez wypierania się ostatnich dwóch wieków, kultury najlepszej

"nowoczesności"), że jest możliwe, może obowiązkowe, utworzenie sobie drogi do wiary.

Wreszcie świadectwo należące do najcenniejszych i najwznioślejszych: świadectwo Jean Guittona z Akademii Francuskiej, przez pół wieku wykładowcy filozofii na Sorbonie, uniwersytecie Paryża. Guittone, przez całe życie, posługując się tylko bronią logiki, starał się rozprawiać o samych podstawach chrześcijaństwa, konfrontować Jezusa i Jego Ewangelię z inteligencją człowieka współczesnego. Tysiące stronic jego Opera omnia, opublikowanych (zaszczyt dość rzadki dla uczonego żyjącego) przez jednego z największych wydawców świeckich Francji, wszystkie stawiają sobie jeden cel: „starać się uprawiać krytykę krytyki chrześcijaństwa”. Ponieważ, twierdzi, „Jeżeli mało rozumu może oddalić od wiary, dużo rozumu może do niej przyprowadzić z powrotem”.

Arturo Carlo Jemolo i Hans Kiing

Spotkałem go w Rzymie, w dzielnicy zbudowanej za Tybrem dla urzędników piemonckich, stęsknionych za krzyżującymi się pod kątem prostym ulicami Turynu; w tej dzielnicy Prati, w której urbanizacji masonskiego mieszczaństwa chcieli (wbrew wszelkiej logice, ze ślepej nienawiści ideologicznej) nadać ulicom taki kierunek, aby nie można było z nich w ogóle zobaczyć kopuły św. Piotra; w jednym z tych gmazysk, które wplątały w gigantyczny skandal klasę kierowniczą "nowej Italii", tę, która miała przynieść sprawność, karność, uczciwość jako przeciwieństwo "papistowskiej gnuśności i korupcji". (Ale kiedy obchodzono - cichaczem! - stulecie wyłomu w Porta Pia, symbolu "nowej ery", pewien laik pytał poważnie, czy poproszenie papieża, aby objął Rzym na nowo, nie byłoby jedynym sposobem starania się o powstrzymanie katastrofy "wyzwolonego" przed wiekiem miasta...)

Odległa epoka, epoka wczesnego Rzymu "włoskiego", którą również mój rozmówca owego dnia, nieprzewidziane, w jednej chwili pozwolił mi poznać. Arturo Jemolo, kiedy go spotkałem, zbliżał się już do dziewięćdziesiątego roku życia, ale jego starość była pracowita. Książki, artykuły i praca prawnika, w której zastałem go zagłębianego, przerywa ją tylko na kilka godzin dla naszej rozmowy, pozostając na taborecie przed maszyną, na której pisał.

Katolik zawsze w pierwszej linii, wierzący "bez ulg", w swojej bardzo długiej aktywności kulturalnej, Jemolo nigdy nie ukrywał nieustraszonej wiary w Ewangelię i synowskiego przywiązania do Kościoła, strzegąc równocześnie swojej świeckości i otwartości na dialog, kiedy to słowo nie zostało jeszcze odkryte.

Nadzwyczajna postać, o zasługach naprawdę historycznych: spowodował, że zaczął rozbrzmiewać, z najwyższym autorytetem i prestiżem, głos intelektualisty wierzącego, nawet w ciągu tych długich dziesięcioleci, w których fosa nie do przebycia zamykała katolików i laików w ich gettach. Ta jego wyznawana otwarcie wiara nie przeszkodziła rządowi jednomyślnie mianować go na jednego z trzech członków delegacji włoskiej do rokowań, które doprowadziły do nowego konkordatu. Przynależność do Kościoła, istotnie, nigdy nie podała w wątpliwość jego zgodnego z ideałami Risorgimenta poczucia państwa, jego wierności tej Italii liberalno-demokratycznej, której kulturę podzielał z Galantem Garrone, ale także z Norbertem Bobbio, z Firpem, którzy nieprzypadkowo mówili mi o nim z serdecznym szacunkiem. Wszędzie, gdzie z ludźmi reprezentatywnymi dla Italii "laickiej" (z Giovannim Spadolininim, na przykład, spotykając go w Lunigiana z okazji nagrody Bancarella) rozmawiałem o Jemolim, słyszałem, jak określano go jako niezrównanego przewodnika. Claudio Magris, pisarz, krytyk, którego usłyszymy, określający siebie jako niezdecydowanego na progu wiary, pragnął dodać:

- Wydawałoby mi się jednakże czymś śmiesznym uważać się, z powodu mojego wątplenia, za bardziej postępowego, nowoczesnego od Artura Carla Jemolo lub Michela Pellegrino.

Ze swoim świadectwem myśli i życia, Jemolo mógłby zastosować do siebie i do swoich stosunków braterskich z przyjaciółmi, z kolegami agnostykami, ateistami lub antyklerykałami, metodę zaproponowaną przez Pascala: "Kiedy chce się upomnieć z pożytkiem i dowieść komuś drugiemu, iż się myli, trzeba

zwrócić uwagę na to, z której strony rzecz rozpatruje, ponieważ zazwyczaj jest ona z tej strony prawdziwa, i uznać mu tę prawdę; ale równocześnie odkryć mu stronę, z której ta rzecz jest fałszywa".

Wychodząc od tej samej kultury, od platformy wspólnej jego przyjaciółom laikom, ograniczył się do "zmienienia strony" w rozpatrywaniu problemu religijnego: przesłanki jednakowe, wnioski różne. A więc, może to nie jest problem "rozumu" na początku wiary lub niewiary, lecz raczej problem użycia go; problem perspektywy, ustawienia zagadnienia.

"Prof. adw. Arturo Carlo Jemolo, emerytowany wykładowca Uniwersytetu Rzymskiego" (jak informuje papier firmowy, na którym odpowiedział na moją prośbę o rozmowę) był już chłopcem, gdy umierał papież Leon XIII, miał dwadzieścia lat, gdy "jego" Giolitti posyłał flotę do Trypolisu, ale zdążył jeszcze śledzić - z jasnością, którą przelewał w artykuły dla "La Stampa" - pierwsze lata polskiego papieża.

Rozmawiamy w półmroku surowego gabinetu oświetlonego tylko zieloną lampą stołową. Dla niego, historyka jansenizmu, Pascal miał rację zarówno w uświadamianiu nam nieuchronności ryzyka, jak i w stawianiu na atak dla istnienia życia pozagrobowego". Kiedy istotnie zapytałem go - starego katolika, niewzruszonego w swojej wierze podczas burz straszego wieku - czy naprawdę również dzisiaj dla człowieka kultury (a nawet jego typu kultury) jest jeszcze możliwa wiara w Boga, nie zawahał się odpowiedzieć: - Odpowiedź może być tylko pozytywna. A nawet wydaje mi się, że aby wierzyć w Boga nie jest wcale potrzebna szczególna wrażliwość religijna. Wystarczy poprawna, nowoczesna koncepcja rozumu, jego możliwości, ale także jego ograniczeń.

Wspomniałem mu, że właśnie do rozumu odwoływali się jego przyjaciele agnostycy i ateści, uzasadniając swoje powstrzymanie się lub odrzucenie.

- Mój przyjaciel filozof Guido Calogero - odpowiedział - powtarzał mi często, że przy pomocy elementów tylko racjonalnych nigdy nie będzie możliwe udowodnienie, że Bóg istnieje.

Przywołując właśnie tamte słowa starego liberalnego katolika, przypomina mi się spotkanie z Hansem Kiingiem:

- Na płaszczyźnie intelektualnej - mówił Kling, którego nie można podejrzewać o łatwe pokusy apologetyczne - ateizm wydaje się nie do pokonania (nie można udowodnić z pewnością właściwą naukom fizycznym, że Bóg jest); ale nie do pokonania jest również wiara: nie można udowodnić, tą samą metodą, że Boga nie ma. Wydaje się, że dramatyczna rozgrywka między ateizmem a wiarą w ten sposób kończy się remisem, raczej dwóch walczących stron wydają się jak gdyby rozstrzygające, ale nie przekonujące w sposób absolutny.

Kiedy go zapytałem o powód tego "wydaje się", tego "jak gdyby", teolog szwajcarsko-niemiecki powiedział:

- Przeżyłem całą współczesną kulturę, rozpatrywałem uczciwie wszystkie możliwe trudności intelektualne i egzystencjalne przeciwstawiane przez nowoczesny rozum chrześcijaństwu. Dlatego też bez żadnej arogancji, lecz z jasną świadomością mogę teraz to powiedzieć: ramię wagi skłania się do przechylenia się, dzisiaj, na stronę wiary. Wielka część zarzutów sformułowanych przez ateizm upadła lub mija się z celem, ponieważ są skierowane nie przeciwko wierze w jej autentycznej istocie, lecz przeciwko instytucjom kościelnym.

Kling podał mi w ten sposób syntezę swojej udanej pracy, nawet jeżeli zawsze towarzyszy jej kurzawa polemik, ekscesów, nawet porywczosć.

"Chrześcijanie powinni pracować z energią i bez obawy uprzętać gruzy, które przeszkadzają przeciętnemu człowiekowi dzisiejszego Zachodu w zbliżaniu się do wiary. Te gruzy są nagromadzone przede wszystkim przez trzy przesady już anachronistyczne, ale za które nie wykluczam odpowiedzialności chrześcijan lub samego Kościoła, albo przynajmniej pewnych jego ludzi. Pierwszy przesąd: nie można być naprawdę człowiekiem i równocześnie wierzącym. Drugi przesąd: nie można uprawiać prawdziwej nauki, jeżeli się wierzy w Boga; wierzyć i wiedzieć, wiara i krytyczny rozum wykluczają się wzajemnie.

Trzeci przesąd: wiara w Boga nie da się pogodzić z wolnością, równością i braterstwem wszystkich ludzi".

Po usunięciu gruzów po tych przesądach, po uznaniu upadku lub błędu celu

zarzutów przeciwko chrześcijaństwu, Kling napominał jednak, aby strzec się przed złudzeniem co do "oczywistego triumfu wiary", ponieważ wszystko ciągle się dzieje i będzie się ciągle działo w tajemniczej logice ukrywania się Boga.

- A jednak, po rozważeniu wszystkiego (a dokonałem tego na tysiącach stron moich książek) również człowiek nowoczesny, a nawet zwłaszcza człowiek nowoczesny, na pytanie "czy istnieje Bóg?" może odpowiedzieć z przeświadczeniem tak, jasnym i usprawiedliwionym nawet wobec najbardziej wymagającego rozumu.

Także profesor Jemolo przystawał na to, z tą swoją twarzą suchą od życia spędzonego na studiach i na myśleniu:

- Tak, dzisiaj już zgadzają się ci wszyscy, którzy myślą w sposób poprawny: aby być naprawdę "rozumnym", rozum musi uznać swoje granice. Musi mianowicie wiedzieć, że pewne problemy potrafi rozwiązać, a innych nie. Kiedyś nauka odkryje możliwie wszystko, co dotyczy człowieka i świata, nie będzie mogła jednakże nigdy twierdzić (jeżeli chce być godna swojego imienia), że nie istnieje nic poza tym, co potrafi stwierdzić za pomocą swoich narzędzi, jakkolwiek by były wyrafinowane. Cokolwiek by się o tym powiedziało, żadne doświadczenie naukowe nie zaprzecza wierze. Zauważamy, że sprawy jednak się komplikują (i krąg wiary w znacznym stopniu się kurczy), gdy z wyznania w sumie "rozumnego" jakiegoś Boga przechodzi się do "zgorzenia i szaleństwa" Jezusa. Wspomniałem mu, że jego przyjaciel Norberto Bobbio, a z nim wielu innych, z góry odrzucili pomysł rozpatrywania "Przypadku-Chrystusa", ponieważ nie mogli uznać istnienia cudu, czegoś nadzwyczajnego.

- Ja również jestem miłośnikiem rozumu krytycznego - przypomniał mi Jemolo. - Ale opowiadania o cudach, zawarte w Ewangeliach, nie stwarzają mi żadnej trudności. Przeciwnie. Trudno byłoby mi przyjąć Boga, który nie może zawiesić wedle upodobania praw swojego własnego stworzenia. Jest to dogmat laicki, nie dowiedziony (dyskutowałem o nim wiele razy z Piero Marinettim, agnostykiem, filozofem racjonalistą i historykiem właśnie początków chrześcijaństwa), iż Bóg jest więźniem praw ustanowionych przez niego samego. Kim my jesteśmy, aby dyktować Mu normy zachowania? Powiedziałem, że niemal bez wyjątku natrafiałem na to, jak w świecie laicyzmu z odrzuceniem boskości Jezusa łączył się najwyższy szacunek dla Jego postaci ludzkiej. Potwierdził to:

- Jest to także doświadczenie mojego bardzo długiego życia, spędzonego niemal w całości wśród intelektualistów niewierzących. Prawie nigdy nie widziałem trudności w poważaniu Jezusa jako zwiastuna orędzia najbardziej szlachetnego i wzniosłego. Widziałem, jak wszyscy przyjmowali i uznawali za najcenniejsze dziedzictwo ludzkości Jego przykazania dobroci, miłości, przebaczenia, braterstwa.

Zatrzymał się, aby dodać potem z miną wyrażającą cierpienie:

- Ale może mówię o przeszłości: w ostatnich pokoleniach widziałem, jak psuje się ta jednomyślna zgoda co do postaci Chrystusa. Może zdarzyć się dzisiaj, iż spotka się kogoś, kto realizuje, i niestety głosi, jak gdyby były to rzeczywistości pozytywne, indywidualizm, egoizm, zemstę, przemoc. W odróżnieniu od moich przyjaciół, którzy kultywowali jeszcze naiwny optymizm oświeceniowy, widziałem, jak świat się pogarsza, a nie polepsza na płaszczyźnie moralnej. Nie popełniam z pewnością błędu (ja historyk), gdy uznaję oznaki pobożności ludu z czasów mojej młodości za dowody społeczeństwa naprawdę chrześcijańskiego. Ale wtedy przynajmniej grzeszyło się wiedząc, że się grzeszy; wada była wadą, korupcja korupcją. Nie krążyło to pytanie, które często słyszę wśród młodych, i które jest dla mnie wstrętne: "co w tym złego?"

Przepowiadał nawet "wspólny front wierzących w Boga" (przepowiednia wprawiła mnie nieco w zakłopotanie, z powodu obawy o synkretyzm, nawet jeżeli on widział w tym tylko "poszerzony ekumenizm") właśnie dlatego, że w przyszłości dostrzegał "ciemny tunel, czas prześladowań, oddalenie się od wszelkiej wiary religijnej".

Chciałem powrócić do Jezusa i do trudnego przejścia od głębokiego szacunku dla proroka braterstwa i miłości (ale zwyczajnego człowieka) do uznania rzeczywistości bardziej tajemniczej i głębokiej. Mówił, iż zupełnie się nie

dziwi wątpliwościom i wahaniom oraz że bardziej niż kiedykolwiek mówi sobie, bez roszczenia do udowodnienia czegokolwiek komuś:

- Jeżeli przyjmuje się możliwość Boga, który stworzył nie z kaprysu, ale z miłości, wtedy trzeba przyjąć, że Jezus ogłosił orędzie najbardziej spójne z tą perspektywą. On pojawia się jako ten, w którym taka idea Boga przekazała wizerunek najbardziej przekonujący. Przez Jezusa możemy sięgnąć do tajemnicy Źródła, Początku miłości. Zresztą, jak wytłumaczyć w inny sposób etykę tak bardzo wzniosłą, niedoścignioną i nie do pokonania, która ukazała swoją rzeczywistą moc w każdym czasie i w każdym kraju? Oponowałem mu tym, co słyszałem od wielu: uważano mianowicie za możliwe sformułowanie moralności, i życie nią, tak samo wzniosłej, bez tego odnoszenia się do wizji wiary. Ujawnił swój sceptycyzm:

- Przede wszystkim stawiam sobie pytanie, czy pewne humanizmy, które uważają się za laickie, czy pewne filantropie nazywane "racjonalnymi" zostały naprawdę zrodzone z czystego rozumu ludzkiego, albo czy też nie są owocem wrażliwości chrześcijańskiej rozpowszechnianej z uporem, mimo sprzeciwów, przez tak wiele wieków, aż stała się ona niezastąpionym rdzeniem naszej cywilizacji, naszej kultury.

Przypomniałem mu, że filantropi i humaniści istnieli już w świecie klasycznym, przedchrześcijańskim. Był stanowczy:

- Byli bardzo nieliczni; a ktoś, ze względu na tych nielicznych, mógł mówić o duszach naturaliter christianae. Jestem uczonym w zakresie prawa i mogę wykluczyć, że głoszenie, a tym mniej praktyka były rozpowszechnione wśród starożytnych. Ci sami, którzy na szczycie swoich praw napisali: "Wszyscy ludzie są równi z natury", potem pierwsi wprowadzili w czyn niewolnictwo. W każdym razie, żadna moralność tylko "ludzka", "racjonalna" nie jest w stanie stawić czoła próbie rozumu.

Dorzucił potem, tonem spokojnym a zarazem silnym:

- Należę do tych, którzy myślą, że nie jest możliwe ustanowienie jakiegokolwiek solidnej moralności, osiągalnej zawsze i w każdym wypadku także przez człowieka "przeciętnego", bez wiary w życie pozagrobowe, a zatem w sąd i w sprawiedliwość za progiem śmierci. Tym, co mnie bardzo niepokoi w dzisiejszej katechezie katolickiej, jest prawie zniknięcie myślenia o rzeczach ostatecznych: śmierci, sądzie, niebie, czyśćcu, piekle. Wielu teologów czuje wstręt do samego słowa piekło; a przecież Jezus często mówił o tej straszliwej możliwości, jaka została dana człowiekowi, w imię jego godności człowieka wolnego, możliwości wybrania wszystkiego, nawet zatracenia się na zawsze. Ale, żeby powrócić do przyjaciół filantropów, do humanistów bez Boga, gdy któryś z nich mi mówił, że trzeba miłować ludzi, zawsze pytałem: a dlaczego? Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi możliwych do przyjęcia. Ludzie często nie są przyjemni. A raz uznawszy, że nie istnieje żaden sędzia po drugiej stronie życia, ma sens postanowienie osiągnięcia tutaj całej możliwej przyjemności, bez troszczenia się o to, czy nasze zachowanie ma negatywne konsekwencje dla innych.

Ponieważ już mówiliśmy o Hansie Kiingu, również tutaj przypomina mi się, co ten teolog mówił na ten temat:

- Na odrzuceniu Boga, Boga chrześcijańskiego w szczególności, wydaje się możliwe zbudowanie ludzkiej moralności; ale jeżeli zbada się ją dokładnie, spostrzega się, że jej podstawy są mało solidne. Żaden ateista, żaden agnostyk nie potrafi dać przekonującej odpowiedzi na brutalne pytania: "Jeżeli mi nie grozi żadna przykrość za to, dlaczego miałoby być czymś lepszym raczej kochać niż nienawidzić? Dlaczego przebaczać, a nie mścić się? Dlaczego poświęcać się dla drugiego lub przynajmniej szanować go zamiast wykorzystać go dla mojego zadowolenia lub dla mojej korzyści? Teolog szwajcarsko-niemiecki nie zaliczał się do faworytów Jemola, jednak tutaj zdawał się z nim identyfikować:

- Tak, żadna moralność "racjonalna" nie wytrzymuje badania rozumowego. Nie zaprzeczam niewątpliwie, że dusze uprzywilejowane (a są one liczne wśród moich przyjaciół niewierzących) żyją pod względem moralnym lepiej niż wielu tak zwanych chrześcijan. To nie zmienia faktu, że ta - choć bardzo szlachetna - etyka jest teoretycznie nie do utrzymania i w rzeczywistości nie jest praktykowana (ponieważ faktycznie jest niedostępna) przez masy. Sam nieokreślony "głos sumienia", o którym mówią, jeżeli jest oderwany od

Prawodawcy wyższego od nas, który będzie nas sądził i z którym możemy i powinniśmy go wiązać, jest zmienny stosownie do czasów, miejsca i temperamentów. Ani nie może wyjaśnić, dlaczego trzeba podążać za nim, gdy sprzeciwia się mojej korzyści, mojej przyjemności, mojej wygodzie. Dlaczego, powtarzam? Dlaczego bez Autora prawa, bez obietnicy nagrody lub groźby kary?

Już przed kilku laty stary chrześcijanin, którego słuchałem na via Paulucci de' Calboli, blisko viale Mazzini, sprawdził, czy w zakładzie o nieskończoność i wieczność jego stawka była słuszna. Był nauczycielem dialogu i tolerancji, zjednując sobie ludzki szacunek, może także dlatego, że nie chciał ukrywać swojej pewności wierzącego nie tylko w Boga, w Chrystusa, ale także w Kościół katolicki:

- To jest mój testament prawnika i historyka: nie tylko po synowsku identyfikuję siebie w Kościele katolickim, apostołskim, rzymskim. Ale wierzę również, że istotne są dla niego te aspekty instytucjonalne, jurydyczne, kanoniczne, które dzisiaj są odrzucane nawet przez pewnych teologów. Wierzę także w Kościół hierarchiczny, miarodajnego nauczyciela wiary, aby słowo "chrześcijaństwo" nie umarło jak termin "socjalizm", o którym nikt już nie wie, co oznacza. Historia nauczyła mnie, że nie ma przyszłości dla tego, kto odrywa się od pnia Kościoła z postanowieniem lepszego działania dla jego zawsze przecież niezbędnej reformy. Kto to uczynił, to albo przystał do jakiejś sekty ustawicznie się dzielącej i kłóliwej, albo został wchłonięty przez politykę, przez historię: zaangażowanie horyzontalne zniszczyło wysiłek wertrykalny. I tutaj znajduje się największa różnica między "przyjacielem Ludzkości", filantropem, działaczem polityczno-związkowym a chrześcijaninem: wiara, że nie wszystko kończy się razem z życiem. A nawet wiara, że wszystko, co jest ważne, rozpoczyna się ze śmiercią. Drzwi jeszcze się nie zamknęły za mną, a już słyszałem stukanie maszyny, na której starzec zabrał się ponownie do pisania. Pod koniec, który przeczuwał jako nieodległy, wspominał wielokrotnie z wyrazistością, przytaczając mi swój program na czas, który mu pozostawał. Program, który także tutaj sięgał "dwóch miast", w których poruszał się, okazując w obydwu pełną godność obywatela. "Miasto" Ewangelii: "Chodźcie, dopóki macie światło, zanim zaskoczą was ciemności". I "miasto" świeckie, to upragnione przez jego starego przyjaciela Benedetto Croce: "Śmierć powinna nas zastać żywymi. Aby nas zabrała wtedy, gdy jesteśmy przy pracy".

Gaspere Barbiellini Amidei

- Jeżeli idę do kościoła - powiedział - zajmuję ostatnie miejsca: chciałbym oszczędzić sobie piekła przynajmniej za grzech faryzeizmu...

Gaspere Barbiellini Amidei jest laikiem, on również jest wszystkim innym niż klerykałem, kimś, kto nie podpisuje się swoją osobistą wiarą (o której lubi milczeć nawet przez pewnego rodzaju wstydlivość); w każdym razie nie robi z niej na pewno powodu do zamykania się i nietolerancji wobec owej kultury liberalnej, z której się wywodzi i która, w tym co jest w niej najlepsze, jest jeszcze całkowicie jego kulturą.

Znany przede wszystkim jako cieszący się autorytetem dziennikarz (jako bardzo młody człowiek wszedł do zespołu kierowniczego "Corriere della sera", w którym jest do dzisiaj) jest również kierownikiem katedry socjologii poznania na uniwersytecie w Turynie oraz autorem licznych esejów, w których ścisłość akademicka spotyka się z aktualnymi problemami. Jego bestsellerem, przetłumaczonym także na inne języki, jest wywiad przeprowadzony z awangardowymi uczonymi, żółta książeczka z tytułem w kolorze czerwonym, który ogłasza Ponowne odkrycie Boga. Na czwartej stronie okładki prowokacyjny "slogan": "Czy przy tym stanie wiedzy człowiek inteligentny może być jeszcze ateistą?"

Z naszych spotkań jedno szczególnie pozostaje mi w pamięci; miało ono miejsce w sali odlotów na lotnisku; leciał na jakąś kolejną konferencję, na którą zaproszono go po publikacji tego eseju. Wyraził mi zaraz swoje zdumienie (on, chrześcijanin nie parafialny, na marginesie "świata katolickiego") z powodu ujawnienia się pewnej żywotności, którą mało znał osobiście:

- Jest teraz wśród wierzących niewiarygodny ruch inicjatyw, otwartość kulturalna, tolerancja, które w środowiskach laickich nie mają odpowiednika. Dzisiaj tylko katolicki tam-tam może zapełnić teatr młodymi, by dyskutowali na tematy, które rzeczywiście się liczą.

Przypomniałem sobie szybką wymianę kwestii z Giorgiem Ben-venuto, przywódcą najbardziej "laickiego" wśród włoskich związków zawodowych:

- My, świeccy, pod wieloma względami pozostaliśmy bierni, zacofani, tymczasem Kościół potrafił dokonać nadzwyczajnego wysiłku dla zrozumienia tego co nowe. Katolicy potrafili zrobić swój Sobór. Może właśnie tego nam brakuje: Soboru Watykańskiego II. Ale czy my bylibyśmy do tego zdolni?

- Tak, jest wielki zapal w świecie religijnym - potwierdził Barbiellini Amidei. - A jednak, gdy jeden, dwóch, stu, sto tysięcy młodych wchodzi do kościoła, i modlą się, i słuchają, albo idą na plac i patrzą w jasne oblicze pasterza przybyłego z Polski, który mówi rzeczy konkretne, a nie mgliste, mówi o miłości i o ufności; to, według naszej kultury spóźnionej i nieco buntowniczej należy traktować to podejrzliwie jako "cofanie się". Gdy w książkach, w rozmowach, w holu teatru lub w czterech ścianach domu ludzie odkrywają, że nie jest nikczemne, nie jest zakazane rozmawianie o racjach życia i śmierci; gdy w artykule lub wywiadzie telewizyjnym ludzie inteligentni nie wstydzą się nazywać siebie wierzącymi w coś innego niż w samą tylko ekonomię-politykę-społeczeństwo-produkcję; gdy wielu zgadza się na włączanie do ich bilansu wieczności, to wszystko, według tej kultury, jest zaraz odwrotem, jeżeli nie reakcją.

Mówiliśmy o okładce jego książki, na której pyta, czy "człowiek inteligentny może jeszcze dzisiaj być ateistą". Na pytanie o powód tego jest gotów wyjaśnić:

- W ostatnich dwóch wiekach nauka starała się zaprzeczyć istnieniu Boga i łudziła się, że może dać definitywną odpowiedź na wielkie pytania człowieka. Dzisiaj orientuje się, że może zaproponować nam jedynie odpowiedzi prowizoryczne i częściowe oraz że nie jest zdolna niczego udowodnić w sposób ostateczny, tym bardziej śmierci Boga.

W samolocie, gdzie kontynuowaliśmy rozmowę, z zapiętymi pasami, z nieco skrywanym papierosem, mimo trwających od lat mocnych postanowień, wyjaśniał mi te swoje myśli; z przekonaniem, ale także ze spokojem człowieka przyzwyczajonego do rozprawiania, który zna pokoje wielkich dzienników i katedry uniwersyteckie:

- Sądzę, że pytanie "Jaki sens ma wiara w Boga dzisiaj?", może zostać odwrócone: "Jaki sens ma niewiara w Boga dzisiaj?" Niewiara w Boga miała pewne usprawiedliwienie w momencie wielkiego oczarowania naukowego i technologicznego, kiedy część kultury łudziła ludzi, że tworzą narzędzia dla sprawiedliwości i dla szczęścia człowieka na ziemi. Ale teraz? Odległy stał się moment, gdy wielu uznawało za prawdę twierdzenie, które nie ma żadnego sensu: wszystko, co "nie jest możliwe do udowodnienia" nie istnieje. Pewnie, w kulturze opierającej się jedynie na wartościach scjentyzmu nie mogło być miejsca dla Boga, którego istnienia nie można naukowo udowodnić. Jednak dzisiaj uczeni lepiej zorientowani, bardziej inteligentni, mniej aroganccy, uznają, że mówienie: "to co nie może być udowodnione, nie istnieje" jest również twierdzeniem niemożliwym do udowodnienia naukowo, a więc jest nie do przyjęcia. W sumie nauka i filozofia doszły do uznania, że istnieje wybór o przynajmniej równej wartości z przeciwnym: wierzyć, że Bóg istnieje.

Mówił o celu swoich wykładów, książek, wielu artykułów:

- Przede wszystkim chciałbym młodym podać do wiadomości to, czego prawie nigdy nie słyszą w szkole: niewątpliwie, dzisiaj ktoś może wybrać niechodzenie do kościoła; ale kto decyduje się wejść do niego, nie odsuwa się przez to od nowoczesności. Może wejść do kościoła zachowując to, co inteligencja człowieka wyobrażała sobie najlepszemu lub odkryła w ciągu ostatnich dwóch wieków. Mówię do młodych i do każdego, kto chce mnie słuchać, że anachronicznym przesądem jest przekonanie, iż człowiek religijny jest mniej poinformowany, mniej nowoczesny niż agnostyk lub ateista. Z całym spokojem można dziś potwierdzić, że historia zadała klęskę pewności tego, kto twierdził, że postęp badań oświecił, przepędzając z nich ciemnotę, mroczne kąty, w których - ze strachu lub ignorancji -

zagnieździła się religia. Twierdzili, że wystarczyłoby kilka dziesięcioleci "nowej kultury", kilka zmian struktury socjoekonomicznej, aby uśmiercić pragnienie Boga w sercu człowieka. Stało się coś przeciwnego: to pragnienie się powiększyło. Z tym samym spokojem i pewnością można powiedzieć, że w nauce nowoczesnej nic nie jest sprzeczne z wiarą w Boga, zwłaszcza w Boga chrześcijańskiego. Z żadnego laboratorium, z żadnej biblioteki nie wyszły (ani prawdopodobnie nigdy nie wyjdą) rzeczy sprzeczne z religijnym widzeniem życia i kosmosu. W tej sytuacji nie mają słuszności ci, którzy twierdzili z sarkazmem, że dusza nie może istnieć, ponieważ nie znaleźli jej pod ich nożem chirurgicznym, albo że nie ma Boga, ponieważ nie spotkali go odbywając podróż w przestrzeni o dwa kroki od ziemi.

Niewątpliwie, Barbiellini nie jest naiwnym apologetą (a nawet nie zamierza, być w żadnym wypadku "apologetą", ograniczając się do relacjonowania tego, co odkrył, jako uczonego i jako dziennikarza, w swojej podróży przez myśl naukową bardziej postępową); Barbiellini więc nie chce zmuszać do niczego; chce jedynie utrzymywać otwartą możliwość zakładu o wiarę, nie zapominając, że zakład jest i pozostaje:

- Osobiście jestem przekonany, że dzisiaj trzeba więcej wysiłku, żeby przedstawiać siebie jako ateistę niż jako wierzącego. W każdym razie na pewno nie chodzi o "udowodnienie", że Bóg istnieje. Mówię tylko, że znowu stało się możliwe - także "naukowo" - opowiedzenie się za Nim. Teraźniejsza prawdziwa nauka nie tylko nie oddala od Boga, ale może stworzyć klimat, podłoże dla wiary, jak stosowna muzyka. Jest w interesie wszystkich, laików i wierzących, uwolnienie się od terroryzmu propagandy materialistycznej; ona, między innymi, miała koncepcję "materii" fałszywą i prostacką, która nie ma nic wspólnego z poglądem, jaki ma o niej dzisiejsza nauka.

Człowiekiem naprawdę dorosłym, nowoczesnym, jest ten, kto porzuca starą ideę rozumu jako klatki; kto nie zamyka się na żadną możliwość, gotów do otwarcia się także na możliwość, że Bóg istnieje; że jest Tajemnicą.

Zdecydował się powrócić do pojęcia "rozumu", które uważa za rozstrzygające:

- Zagłębiając się w logikę fizyki współczesnej, na przykład, nasze stare oświeceniowe pojęcie rozumu popada całkowicie w kryzys. To co nauka dzisiaj zakłada lub sprawdza, wydaje się całkowicie "niedorzeczne". Tak bardzo, że o wiele trudniej jest "wierzyć" w tę nową logikę fizyki niż w zmartwychwstanie Chrystusa lub w dożywotnie dziewictwo Maryi. A więc to właśnie wzrok religijny potrafi patrzeć ponad "rozumem", jak on był rozumiany (i jak go rozumieją jeszcze niektórzy), on może pomóc do zrozumienia więcej, nie mniej.

I następnie dodał, robiąc aluzje do innych mitów i sloganów:

- Prawdziwym wyzwaniem, prawdziwą przemocą stosowaną przez człowieka wobec człowieka jest chęć pozbawienia go tajemnicy, świętości, Boga.

Opowiadał mi o procesji martwego Chrystusa, w Wielki Piątek, na swojej wyspie Elbie:

- Śpiewano starożytny hymn liturgiczny, który mówił: "Widziałem, jak umiera śmierć". Jeżeli pośród możliwych wyborów dokonuje się wyboru Boga, Boga chrześcijańskiego, zobaczymy niewątpliwie, jak umiera człowiek, jak umieramy my sami, ale będziemy mogli zobaczyć, jak umiera także śmierć. Zwornikiem chrześcijaństwa jest jego wielkie słowo, jego ogromny dar nadziei: klęska śmierci, zmartwychwstanie Chrystusa, które poprzedza i każe mieć nadzieję na nasze zmartwychwstanie. Człowiek religijny jest przekonany, że nie umrze. Posiadanie nadziei na to życie wieczne nie jest już, także dla kultury bardziej postępowej, oznaką umysłowej słabości lub infantylnej alienacji. Chciano nas skłonić do wierzenia w to, stłumiono ludzkie "dlaczego" stawiane wobec starca, chorego, umarłego. Tymczasem te pytania powracają, i mogą znaleźć zadowalającą odpowiedź, także dzisiaj, dla naszej potrzeby życia. Cała reszta jest może tylko komentarzem.

Jean Guilton

Nie wszyscyacy akademicy Francji mieszkają w zamkach o stromych dachach, z parkami muskanymi przez Sekwanę lub Loarę, po których krążą w stosowanych kapeluszach i przy szpadach. "Nieśmiertelni" mogą mieszkać także, jak Jean Guilton, w wynajętym mieszkaniu na pierwszym piętrze domu z fasadą

domagającą się remontu, z ciemną i nieco odrapaną klatką schodową. Jedynym luksusem w tym budynku oznaczonym numerem 1 paryskiej ulicy de Fleurus, są okna wychodzące na Ogród Luksemburski. Ale jest to ulica z pewną historią. Tutaj uprzednio mieszkał, podczas pobytów w ojczyźnie, jezuita o chudej twarzy, elegancka postać, z lekkim akcentem anglosaskim: ojciec Teilhard de Chardin, "jezuita zakazany". Niekiedy odbywa tutaj spacer i przychodzi odwiedzić Guittona kobieta powyżej czterdziestki: siostrzenica Ernesta Renana, zdradliwego "nauczyciela wątpliwości", którego mieszczański wiek dziewiętnasty nagroził sławą i aplauzem, ponieważ uwierzył, że on uwolnił go (oczywiście w imię nauki) od będącego zawadą upiora, Jezusa jako Syna Bożego.

Drzwi otwiera mi sam sławny filozof: zwawy gawędziarz, szczupły i pełen życia jak czterdziestolatek. Od kilku lat wdowiec (ożenił się późno, mając około pięćdziesiątki, z małżeństwa nie było dzieci), żyje samotnie, codziennie przychodzi kobieta, by trochę posprzątać w mieszkaniu. Wszędzie książki, wiele z nich w stojących na podłodze przepelnionych pudłach, jakby przygotowane do niekończącej się przeprowadzki. Również sporo obrazów; wszystkie namalowane przez pana domu. Jean Guitton jest cenionym malarzem. Właśnie w dniach, w których go spotykamy, w jednej z paryskich galerii została otwarta jego wystawa czterdziestu portretów: twarze kolegów członków Akademii Francuskiej. Malarz Guitton przedstawia wyłącznie ludzkie twarze:

- Portret jest tajemniczą wymianą między tym, kto maluje i tym, kto jest malowany, jest sposobem docierania do istoty człowieka.

Tutaj, w domu, jeden portret dominuje nad wszystkimi, umieszczony na sztalugach w środku pokoju, który jest równocześnie salonem i pracownią: naturalnie, Blaise Pascal, z dużym zakrzywionym nosem, z bardzo bystrzymi i przenikliwymi oczami, ale również trochę ironicznymi. Cierpiący pod włosienicą, ale świadomy swoich dobrych racji...

Jean Guitton, znakomity filozof, wykładowca Sorbony, przyjaciel i doradca przez trzydzieści lat Giovanniego Battisty Montiniego (który udzielił mu pierwszego w historii papieżstwa wywiadu i jemu przekazał orędzie Soboru Watykańskiego II do intelektualistów), "oficjalny" reprezentant i jedyny pozostały z wielkiej kultury katolickiej dwudziestego wieku, powiernik Mauriaców, Bernanosów, Claudelów, z prostotą i pokorą życia łączy to, co on sam nazywa, z autoironią, "coquetteries du vieil age", kokieterią starca. Jest świadomy tego, że powiedział rzeczy ważne, że stał się dla wielu punktem odniesienia kulturalnego i moralnego, że pozyskał serce przynajmniej dwóch papieży.

- Nie waham się w to wierzyć - odpowiada natychmiast, kiedy mu mówię (dla tego, co ma znaczenie), że również sam zawdzięczam wiele jego refleksji nad Ewangelią, jego sposobowi nakreślenia tego, co on sam nazwał "problemem Jezusa". Może także z tego powodu obdarzy mnie niespodziewanym uznaniem, recenzując dla wielkiego dziennika paryskiego francuski przekład moich książek: *Mon seul disciple, cet italien venu des journaux...* (Mój jedyny uczeń, ten Włoch przybyły z gazet - przyp. tłum.)

Są w każdym razie dobre powody dla wszystkich, aby przyjść i odwiedzić Jeana Guittona. Jak on sam wspomni wielokrotnie, może nikt inny z jego pokolenia nie poświęcił całego życia na obiektywne rozważanie problemu wiary, wiarygodności Ewangelii, historycznej postaci Jezusa. W tych badaniach (zawartych między innymi w ośmiu tomach *Il pensiero moderno e cattolicesimo*, w książce *Difficolta di credere* oraz *L'arte dipensare*), jedyne ograniczenie Jeana Guittona wynika może właśnie z samej jego właściwości. Jest nią nieubłagane jasna myśl, ucznia Kartezjusza, nie tylko Pascala, która nie daje wytchnienia inteligencji czytelnika: "Nie jestem w stanie zrozumieć lub wyrazić niczego, co nie jest doskonale jasne. Wierzę, że Bóg jest prawdą, a prawda jest światłem, nigdy nie ma w niej niczego ciemnego".

Wiadomo, jak Guitton pracował, niestrudzenie, przez ponad sześćdziesiąt lat: umiejętnościami i bronią logiki i rozumu zacieśniał coraz bardziej problem powstania wiary w Jezusa, historycznego początku chrześcijaństwa, dochodząc do wniosku, że (choć pozornie możliwe są "hipotezy" nieskończone) w rzeczywistości dają się zredukować do trzech podstawowych. Mianowicie

rozum ludzki wobec zagadki, jaką stanowi nieznaną kazu, nazywany Jezusem z Nazaretu, który przeobraził się w niewytłumaczalny sposób i nagle w Chrystusa mającego być uwielbianym, jest ograniczony do dwóch tylko odpowiedzi. Albo się wybierze "hipotezę historyczną" (Jezus jest jak my człowiekiem, którego ubóstwiły pomyłka i złudzenie uczniów), albo opowiada się za "hipotezą mityczną" (Jezus jest tylko mitem boga zbawiciela, którego stworzyła wiara i potem uznała za rzeczywiście istniejącego, urojenie, któremu fantazja lub alienacja religijna wymyśliła imię i historię). Żadna inna hipoteza, dowodzi Guittou, nie jest dozwolona dla rozumu, który odrzuca jedyną pozostającą możliwą alternatywę, "hipotezę wiary": tę mianowicie, która skandalicznie twierdzi, że Jezus jest tajemniczym punktem, w którym Odwieczny wdiera się w czas historyczny człowieka, w szatach Żyda z czasów Augusta i Tyberiusza.

- Próbowałem - potwierdza filozof - stosować do problemu Jezusa ten sam rodzaj logiki, klasycznej ale wiecznej, którą Arystoteles zastosował, aby zmierzyć się z problemem Boga. Usiłowałem nie umieszczać siebie na tej samej płaszczyźnie co egzegeci, bibliści, krytycy, lecz wznieść się ponad zamieszanie, uprawiać "krytykę krytyki". Zbadałem racje zwolenników hipotezy "historycznej" oraz racje zwolenników hipotezy "mitycznej" i stwierdziłem, że nie tylko stawali oni przed większą zagadką od tej, którą chcieli rozwiązać, ale zaprzeczali sobie wzajemnie. Postawiłem jednych przeciwko drugim, kazałem walczyć Loisy'emu i Renanowi z jednej strony oraz Couchoudowi czy też Bultmannowi z drugiej i zobaczyłem, że racje jednych unicestwiały racje drugich. W tym momencie, wśród ruin wszelkiej "racjonalnej" próby wyjaśnienia tajemnicy Jezusa, zobaczyłem, że otwiera się przejście do hipotezy wiary; odkryłem logiczny wyłom prowadzący do wstrząsającej tajemnicy Boga, który staje się człowiekiem. - Zamyślił się, a potem: - Starłem się w sumie wykazać, że jeżeli "krytyka" może oddalić od wiary, to "krytyka krytyki" może przyprowadzić do niej z powrotem. Albo, jak mówił kardynał Newman: "Jeżeli trochę kultury oddala od Boga, dużo kultury prowadzi do odkrycia Go na nowo".

Praca więc, która implikuje równocześnie wiadomości historyczne i metodologie filozoficzne:

- Tak, w swojej krytyce krytyki zbadałem dane problemu historycznego uznawanego od chrześcijańskich początków. Może dopiero w naszym wieku mamy w ręku wiadomości wystarczające do tego, aby spróbować zrobić podsumowanie danych historycznych o Jezusie, także dzięki licznym odkryciom archeologicznym, nowym dokumentom i znaleziskom. Jednak nigdy nie zapomniałem, że przede wszystkim jestem filozofem: a więc studiowałem nie tylko to, co mówili przeczący boskości Jezusa, ale także "jak" to mówili. Mianowicie metodę, logikę ich przeczenia. Rozumowałem, oto wszystko; i właśnie kompletne posługiwanie się rozumem zakończyło się ukazaniem mi porażki samego rozumu wobec Ewangelii i otworzyło mnie na Tajemnicę. Ale czy jest naprawdę pewny, że jego schemat dwóch "hipotez" wyczerpuje wszystkie możliwości rozumu? Wiekowy uczonec nie ma co do tego żadnych wahań:

- Klatka, w której umieściłem odrzucenie prawdy Ewangelii, ma pręty, które nie mogą zostać wylamane. Dwie negujące hipotezy, istotnie, odpowiadają dwóm wiecznym postawom ducha ludzkiego i są jedynie możliwe dzisiaj, jak wczoraj i jutro. Nie ma wyjścia, jesteśmy więźniami: albo tłumaczymy powstanie wiary w Chrystusa idąc od człowieka do Boga (hipoteza historyczna), albo tłumaczymy początek tej wiary idąc od mitu jakiegoś boga do człowieka (hipoteza mityczna).

Ale jeżeli egzegeza, historia, archeologia przedstawiłyby w przyszłości nowe elementy, czy problem nie zmieniłby się, czy nie byłyby możliwe inne hipotezy?

- Nie, ponieważ tym, co się tutaj liczy, nie tyle jest poszczególny element historyczny, co typ logiki, sposób rozumowania, który jest wieczny. Tak, na pewno, moja refleksja dojrzała w tym wieku, ale jest zbudowana na "logice świadectwa", na filozofii, która jest bez-czasowa, wymyka się zmianom czasu.

A jednak - wspomina - Teilhard de Chardin, współmieszkaniec domu, często z nim dyskutował, spotykając go choćby na ulicy: "Pan jest chrześcijańską

apologetyką przeszłości, mój drogi panie Guitton, natomiast ja jestem apologetyką przyszłości". "Mnie - ciągnął dalej bardzo sławny jezuita - mnie nie interesują anegdoty o Jezusie, mam w nosie szczegół egzegetyczny lub archeologiczny, nie wiem, co począć z waszym Jezusem historii. Tym, co ważne, jest Chrystus wiary, Chrystus kosmiczny, Chrystus omega. Widzi pan, drogi Guitton, mogłoby być nawet możliwe, że Voltaire, Loisy, Renan, słowem przeczący historyczności Ewangelii mają rację, że rzeczywiście dla historyka Jezus jest tylko wędrującym kaznodzieją, un pauwe diable. A więc mnie, chrześcijanina wyzwolonego z niewoli historycyzmu, to wszystko nie interesuje". Teilhard mówił dalej, zapalając się: "Zalóżmy najgorsze: że mają rację nawet mitolociści», jak klasyczni marksiści, jak pana przeciwnik Couchoud, słowem ci, którzy twierdzą, że Jezus nigdy nie istniał i że stanowi wymysł Ewangelistów. A więc także wtedy nic nie zmieniłoby się dla mnie, także dla jezuitę zadowolonego z tego, że nim jest. Powtarzam to panu, dla mnie anegdoty nie mają żadnego znaczenia, ja wierzę w Chrystusa-kosmos, przyczynę wielkiej ewolucji kosmicznej, nie w mały epizod".

Guitton mówi z miną nieco ironiczną za okularami:

- Widzi pan, ja rozumiem Teilharda de Chardin, tego księdza o kulturze dziewiętnastowiecznej, a więc zarówno onieśmiałego, jak i zafascynowanego Nauką, pisaną wielką literą. Wyrzucając za burtę historię, starał się uratować wiarę, która zawsze wydawała mu się mniej możliwa do obrony przed atakami krytyki historycznej. Był przekonany, że gdyby chrześcijaństwo w dalszym ciągu opierało się na stwierdzeniu kronikarskim (rzeczywistość zmartwychwstania i w ogóle historyczność Ewangelii), jego racje stawałyby się coraz niebezpieczniej kruche. Wtedy Teilhard był człowiekiem wyizolowanym, który swoje teksty, rękopisy, puszczał w obieg wśród niewielu przyjaciół. Dzisiaj wielu, także w Kościele katolickim, myśli tak jak on: W czasie kryzysu w świecie protestanckim, Bultmann i jego odrzucenie historii lub przynajmniej obojętność na nią pozyskały uczniów wśród katolików. Uważa się, iż powinno się koniecznie uwolnić wiarę od wszelkiej "apologetyki", od wszelkiego badania fundamentu historycznego, dla nadania jej pewności i mocy. Żywi się obawę, że przeciwnicy chrześcijaństwa mają rację. Jest głębokim i wiecznym prawem umysłu, że kiedy trudności wydają się nieprzezwyciężalne, szuka się sposobu, aby je przeskoczyć. Ale to poszukiwanie krótszej drogi zdradza chęć udania się w bezpieczne miejsce, schronienia przed problemami i sporami. Tymczasem nie trzeba bać się rozumowania, krytkowania krytyki, ukazywania logicznych błędów, sprzeczności, które powodują jej pęknięcia. W przeciwnym razie, gdy się znajdzie bez podstaw, bez oparcia dla wiary, skończy się w nieokreślonym panteizmie: chrześcijaństwo, które jest właśnie zwiastunem wejścia Boga w ściśle określonym momencie historii, rozwieje się w jakiejś mitologii. Bądźmy bardzo czujni: prawie zawsze utrata wiary ma swoje źródło w pierwszych wątpliwościach dotyczących historyczności Ewangelii. Biada, gdybyśmy chcieli uwolnić się od problemu pomijając go lub starając się usunąć go przez iluzoryczną ucieczkę do przodu!

- A jednak - zauważam - wielu powtarza upomnienie, o którym już Teilhard de Chardin go przekonywał.

- Ta metoda zmierzania się z problemem wiary jest anachronistyczna, jest konserwatywna. - Uśmiecha się spokojnie: - Zapomniano o tym, że zagrażało mi potępienia za modernizm. Zapomniano, że Święte Oficjum zamierzało umieścić na indeksie moje książki o Jezusie. Zostałem uratowany dzięki interwencji nuncjusza apostolskiego w Paryżu, Angela Roncallego. Przyszły Jan XXIII interweniował na moją korzyść; a potem, gdy został papieżem, chciał mieć mnie jako audytora świeckiego na Soborze. Między nami istniała wielka przyjaźń, wielki szacunek.

Ale jeżeli wiara jest także wynikiem długich przemyśleń, jeżeli (jak Guitton często powtarzał) "wierzyć w Jezusa jest o wiele trudniej niż wierzyć w Boga", jak będzie mogła przetrwać wiara współczesnych mas, wystawionych bezbronnie na gadaniny fałszywych ekspertów, dyletantów z ilustrowanych magazynów lub z dyskusji telewizyjnych albo także profesorów na katedrach, którzy ogłaszają zawalenie się historycznych podstaw chrześcijaństwa?

- Po raz ostatni widziałem Pawła VI kilka miesięcy przed śmiercią. Rozmawialiśmy, jak tyle razy w ciągu dziesięcioletniej zażyłości, o przyszłości chrześcijaństwa. Powtórzyłem papieżowi Montiniemu swoje przekonanie, że liczba wierzących jest skazana na szybkie zmniejszanie się. Zmniejszy się z przyczyn demograficznych: azjatycki przyrost naturalny jest dużo większy od przyrostu narodów o tradycji chrześcijańskiej. Ale zmniejszy się także na Zachodzie pod bombardowaniem tych maszyn o nadzwyczajnej dla ateistów skuteczności, jakimi są środki przekazu, przede wszystkim telewizja. Wiara mas w Chrystusa, na ile można przewidzieć po ludzku, będzie musiała upaść. Nie będzie można już na pewno odwoływać się do zasady autorytetu: "możesz wierzyć, ponieważ większość twoich rodaków wierzy". Powiedziałem papieżowi, że może również Sobór Watykański II stanie się pomnikiem historycznym: będziecie musieli opuścić te pałace przeładowane chwałą. A jednak nie dlatego wiara zniknie ze świata: stanie się nawet czystsza i silniejsza; miejsce ilości zajmie jakość. Również Kościół katolicki, czy będzie się znajdował w Watykanie, czy nie, będzie istniał zawsze. Kto powiedział, że musi być sześćset milionów ochrzczonych? Może będzie ich tylko sześć tysięcy, sześciuset, sześciu: grupa bardzo mała, ale żarliwa, w świecie spustoszonego przez głupotę technologiczną człowieka i przez brak wiary, nadziei, miłości. Ponieważ zawsze śmierć Boga jest także śmiercią człowieka. Paweł VI milczał, z twarzą w dłoniach. Między bliskimi, między nami starymi przyjaciółmi, jego inteligencja potrafiła stawać się często bardzo subtelnym humorem, właściwym osobie dominującej, jaką był. Ale innym razem widziałem go płaczącego, jak Jezus nad owcami teraz bez pasterza.

Wizja apokaliptyczna, Guitton, jakiego nie znaliśmy.

- Nie sądzę, bym przesadzał. Nie zapominajmy, że żyjemy w epoce, w której, po raz pierwszy, możliwość nagłego i całkowitego zniszczenia świata jest realna. Apokalipsa do niedawna była tylko hipotezą religijną, czymś zarezerwowanym dla wyśmiewanych proroków; po Hiroshimie ostateczna i całkowita dezintegracja jest konkretną możliwością. Czy nie jest to następnie epoka rojenia się tych fałszywych proroków, których Nowy Testament wymienia wśród oznak zbliżania się końca?

Guitton polemizował niekiedy, nie jest to tajemnicą, z innym wielkim przyjacielem i inspiratorem papieża Montiniego, Jacques Maritainem.

- Był w nim niepokój - mówi - który prowadził go na kolejne pozycje zawsze różne i mało spójne. Był protestantem, potem ateistą, socjalistą, integristą bliskim Action Francaise, potem przesadnym tomistą, następnie demokratą. Kuł mocno żelazo owego masowego chrześcijaństwa, którego nie lubię. - A jednak dwaj przyjaciele - adwersarze byli zgodni, zwłaszcza w ostatnich latach Maritaina, tych od Wieśniaka z Garonny, w rozpoznawaniu poważnego kryzysu w Kościele. - Nie ma już prawie nawróceń - mówi teraz Guitton - i seminaria z pewnością nie są zatłoczone kandydatami do kapłaństwa.

Jakie są jego zdaniem tego powody?

- Jest nim to, że Kościół nie wygląda już z zewnątrz jak świątynia, dom, skała prawdy. Gdy się patrzy na wielu kapłanów, na niektórych biskupów, ma się wrażenie, iż widzi się ludzi poszukujących, nie ludzi, którzy mają pewność. Nawrócenie następuje wtedy, gdy się sądzi, iż przechodzi się do wizji świata bardziej stałej i pewnej: jeżeli musi się przejść z jednej wątpliwości do innej wątpliwości, po co się nawracać? Nikt nie nawraca się po to, żeby dyskutować, lecz żeby wierzyć. Nie po to, aby debatować bez końca, ale żeby bez wahania postawić na Chrystusa.

- Czyż pontyfikat Karola Wojtyły nie jest znakiem nadziei?

- Jan Paweł II jest papieżem, który "ma wiarę". Wszyscy papieże ją mieli, oczywiście: ale ten ma wiarę, która jest zarazem wiarą słowiańskiego wieśniaka i zachodniego intelektualisty. Jest człowiekiem solidnym i równocześnie oświeconym, filozofem. Jest osobą nadzwyczajną w swoim nieporównywalnym amalgamacie.

Jeanowi Guittonowi są przypisywane stwierdzenia, które brzmią irytująco. "Bóg jest katolikiem", powiedział pewnego razu. A innym razem: "Gdybym się przekonał, że katolicyzm jest błędny (choć ja jestem przekonany, że nikt nie może tego dokonać) nie dlatego myślałbym o opuszczeniu go". Paradoksy,

które jednak potwierdzają przywiązanie do Kościoła rzymskiego. Dlaczego tak wiele esprit catholique!

- Ponieważ tylko w Kościele katolickim znajduję połączenie, które tak bardzo kocham, geniuszu i świętości. A następnie, ponieważ kocham prawdę, ponieważ należę do tych, którzy upierają się przy twierdzeniu, że dwa plus dwa jest cztery. Otóż, wśród odmian chrześcijaństwa wyłącznie odmiana katolicka wydaje się prawdą i czystością: poza nią są może prawdy, ale zwiariowane, nie Prawda pełna i bez błędów, jaka znajduje się tylko w Credo katolickim.

- Postawa triumfalistyczna, wyzwanie rzucone dialogowi ekumenicznemu?

- Ach, wiem, protestanci oskarżają mnie o pychę, podczas gdy ja za pysznych uważam Lutera i Kalwina. Ale, czego chcecie? Prawda chrześcijaństwa jest systemem spójnym, cudownym organizmem myślowym, w którym tout se tient, wszystko jest połączone. I ten "aparatus prawdy" dostrzegam tylko w Kościele katolickim. Pewnie, ja także dobrze widzę, że trzeba go zawsze odczyścić, i miałem swoje kłopoty z Rzymem, wspomniałem o tym, za pewne rzeczy, które napisałem na ten temat. Ale ja przechodzę ponad pozorami i przykrościami historycznymi, jako filozof zważam na istotę. Jestem przekonany, iż Bóg nie chciał, aby ludzkość trudziła się jej rozwikłaniem bez pomocy: Jezus założył wspólnotę, która się nie myli w zasadniczych sprawach. Chrystus jest z nami również za pośrednictwem struktury, hierarchii, Kościoła, który pojawia się już w Ewangeliach synoptycznych: dwunastu ludzi z Piotrem na czele. Jest to łódź umieszczona na burzliwych falach historii, będzie ona ustawicznie miotana, będzie się wydawało tysiąc razy, że fale ją zalewają, ale się nie wywróci. Nie może się wywrócić, nawet jeżeli na pokładzie pozostanie tylko niewielu.

Wiele dyskutowano o relacjach między wiarą i rozumem w systemie Guittona. Niektórzy uważają, że ten filozof, ten przyjaciel rozumu swoją bezlitosną logiką, swoją "jasną i wyraźną" argumentacją doprowadzi do spłycenia głębokości tajemnicy wiary. Oskarżony jest także w tym wypadku pewny siebie:

- Nie, na pewno nie dojdziemy do wiary drogą samego rozumowania. Rozum jednak może ukazać nam niewiarygodność motywów, które przeciwstawiają się wierze. Inteligencja zastosowana do problemu Jezusa ukazuje, że te dwie hipotezy niewiary kończą się w ślepych zaułkach i w ten sposób umożliwia branie na serio hipotezy wiary. Na nią jednak możemy tylko postawić, wspierani przez Łaskę. Jedynym niezbędnym wymogiem w tym badaniu prawdy jest analizowanie przy pomocy wiarygodnej filozofii: mianowicie filozofii, która nie zaprzecza faktom w imię jakiegoś a priori, która dopuszcza wszystkie możliwości; a więc także możliwość cudu, doprowadzania do Tajemnicy.

Znowu więc filozof; filozof, malujący portrety owego Pascala, który pozostawił nam sentencję, że "cała filozofia nie jest warta jednej godziny trudu"; że "drwina z filozofii jest prawdziwym filozofowaniem". I który w swoją noc ognia zanotował na pergaminie, w Memoriał, noszonym przy sobie do końca życia, sławne rozróżnienie: "Bóg Abrahama, Izaaka, Jakuba; nie filozofów i uczonych". Guitton uśmiecha się do namalowanego oblicza, które ze sztalugi dominuje nad pokojem:

- Prawda, mój Pascal. Ale tutaj się mylił. Przejął się jansenizmem, był przekonany, że grzech pierworodny skaził rozum do tego stopnia, że przeszkadza mu w dojściu do Boga na drodze rozumowej. Choroba zabrała go zbyt szybko, w wieku 39 lat, nie pozwoliła mu rozwinąć tajników jego myśli. Tak, nasz Blaise umarł zbyt prędko: gdyby żył, zostałby również nadzwyczajnym filozofem i dokończyłby system swojej apologii chrześcijaństwa.

- Należy więc uważać za jeszcze ważne "dowody" filozoficzne Arystotelesa, ponownie opracowane przez Tomasza z Akwinu, na istnienie Boga?

- Może nie pojedynczy dowód, ale ducha, który je ożywia. Prawdziwym dowodem na to, że Bóg istnieje rzeczywiście, jest jednomyślność co do tego problemu Boga wszystkich narodów każdej epoki i każdego kraju. Ateizm jest nie tylko sztuczny i rzadki, jest również zjawiskiem świeżym, ekstrawagancją podtrzymywaną przez niewielu tylko w środowiskach niektórych inteligentów zachodnich.

- Ale, jeżeli filozofia by wystarczała, czy jest jeszcze jakieś miejsce dla Objawienia Biblii, Jezusa Chrystusa?

- Filozofia może odpowiedzieć na pytanie: czy Bóg istnieje? Ewangelia natomiast odpowiada na pytanie: kim jest Bóg? Objawienie pozwala nam wejść do wnętrza, objawiając nam istotę i tajemnice tego Boga, którego istnienie rozum uznał.

Po życiu wypełnionym przemyśleniami o Chrystusie, co by powiedział, gdyby miał wyodrębnić oryginalność innych założycieli religii?

- Wszyscy inni mówią o Bogu; Jezus sam mówi jako Bóg. Ponadto jego etyka jest oparta na absolutnej identyfikacji miłości Boga i miłości bliźniego. Nie jest to identyczność łatwa, oczywista. Marksisci, na przykład, kochają (lub mówią, że kochają) bliźniego, ale nie kochają Boga. Wielu wierzących kocha Boga, ale nie kocha człowieka.

Kiedy go pytam, jakie słowo Ewangelii jest dla niego najdroższe, długo się zastanawia. Odpowiedź, która wreszcie przychodzi, jest spójna z całym życiem spędzonym na szukaniu dowodów prawdy:

- Słowem, które najbardziej kocham, jest zdanie z 17 rozdziału św. Jana: "To jest życie wieczne: aby poznali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga, i tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa".

Rozstajemy się, Jean Guitton znika w taksówce, jedzie wprost do Akademii, zostaje wessany przez uliczny ruch Paryża. Dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, dlaczego przy restauracyjnym stole prawie nie tknął jedzenia, udając brak apetytu, który nie jest u niego zwyczajny. Jest środa popielcowa: nie pamiętałem o tym, przyjeżdżając z Mediolanu gdzie według obrządku ambrożyjskiego inaczej obchodzą Wielki Post. Te rzeczy mają jeszcze znaczenie dla takiego starego katolika jak on.

Ten człowiek kochany i kontestowany, o którym czas wyda ostateczny osąd, napisał: "Dokonaliśmy wszystkich doświadczeń, wyczerpaliśmy wszystkie zaprzeczenia. Nie ma innego imienia oprócz imienia Jezusa Chrystusa, które by mogło być głoszone, aby dzisiejszemu człowiekowi dać nadzieję i radość". Dodając następnie, dla przypiecztowania swojego życia filozofa: "Dlatego tylko Bóg, który objawił się w Jezusie, może wypełnić serce i zarazem wzbogacać umysł, pobudzać do miłości i zadowolić inteligencję".

ROZDZIAŁ III

Trzy razy nie dla podejrzliwości

Widzieliśmy, że wśród ludzi, których wysłuchaliśmy w poprzednim rozdziale, wśród owych wzorcowych przedstawicieli tak „w imię rozumu”, przyjmowanie kultury nowoczesnej nie stanowi przeszkody dla wiary; że nawet może pomagać do otwarcia się na nią.

Inni z tego samego prądu kulturalnego, których spotykaliśmy w naszej włóczędce, nie osiągnęli tak wiele. Nie wydawał im się możliwy skok w pełną wiarę, zaryzykowanie na "tak". Pozostali więc na gruntach agnostycyzmu, skłaniając się raczej do ogólnikowego deizmu. Ale lekcje historii ostatnich dwóch wieków (oraz wypadki naszych lat) pobudziły ich do serdecznej akceptacji wymiaru religijnego - w szczególności wymiaru chrześcijańsko-katolickiego - przynajmniej na płaszczyźnie wartości kulturalnej, konkretnej pozytywności, celowości życia. Do tego stopnia, że niektórzy z nich mogliby określić siebie jako "katolicy niewierzący", przynajmniej ze względu na szacunek dla tajemnicy, ze względu na wybory etyczne, ze względu na uświadamianie sobie nieprzewidywalnych ograniczeń człowieka.

Słuchanie ich wydawało mi się potwierdzeniem historycznego odwetu chrześcijaństwa: synowie i wnukowie agresywnej tradycji antyklerykalnej dziewiętnastego wieku (lub, dla niektórych, dwudziestowiecznego idealizmu Crocego, Gentilego, którzy z pychą tolerowali religię jako "niższą formę filozofii", jako "filozofię dla ludu") mogą w dalszym ciągu nie identyfikować się z wiarą, z jej dogmatami, ale uznali przydatność jej propozycji dla człowieka i społeczeństwa. W ten sposób, z niewątpliwą odwagą, zdystansowali się od swoich ojców kulturalnych; od ojców, którzy myśleli, że "że dobroczynne światło słońca rozumu" rozproszy "niezdrowe

mgły klerykalnego zabobonu"; ojców, którzy twierdzili, iż są pewni, często w najlepszej wierze, że po jednej stronie znajduje się "postęp", po drugiej "wstecznicwo". Ktoś doszedł wręcz do zburzenia tego schematu i zasmucony spogląda na ruiny pewnego oświecenia, które przecież wystartowało z marzeniem stworzenia świata lepszego i nowego.

Wszyscy jednak mówią zdecydowanie nie na "podejrzliwość" względem chrześcijaństwa, a nawet względem hierarchii Kościoła katolickiego, na którą spoglądają często z sympatią doprawdy większą niż niektórzy wierzący. Jednakże ponownie potwierdzając świadomość przemocy i arbitralności, jaka zagraża każdemu schematowi, zebraliśmy tutaj jako test podobnego widzenia rzeczy - trzy różne głosy, chociaż na swój sposób są one także do siebie podobne. Są to głosy trzech znakomitości, zaangażowanych w dziedzinie literatury lub krytyki literackiej: Geno Pampaloni, Claudio Magris, Gioyanni Arpino.

Geno Pampaloni

Uznawany przez wielu za największego włoskiego krytyka literackiego, jest świeckim o pochodzeniu rzeczywiście "odpowiednim": działacz w tej samej Partii Czynu (Partito d'Azione) Galante Garrone i wielu innych laicystów, w której antyklerykalizm był jedną z dominujących cech, Geno Pampaloni pracował dla dzienników kierowanych przez najznakomitszych mistrzów agnostycznej liberalnej demokracji. Od Arriga Benedettiego do Maria Pannunzia, od Piera Calamandrei do Alfia i Luigiego Russo, aż do Giovanniego Spadoliniego i obecnie Indra Montaneliego. Był ponadto jednym z najbliższych współpracowników Adriana Olivettiego, niezwyklego przemysłowca-humanisty, syna Żyda i waldenki, który chciał, by był sekretarzem generalnym "Movimento di Comunita" (Ruch Wspólnoty), w którym to, co najlepsze z kultury oświeceniowej, starało się stopić z inspiracją judeochrześcijańską.

Prawdziwy intelektualista, wychowany w owym tyglu ambitnych intelektualistów, jakim był dwór olivettiański, a przecież jak najbardziej ludzki, Pampaloni i jego opinie krytyczno-literackie (pisze sto artykułów na rok, tylko z niektórych powstały książki, jak Fedele alle amidie, zaliczana do najpiękniejszych w powojennych Włoszech), otoczony jest jednomyślną atencją i szacunkiem. Z zasady nie uprawia ostrej, negatywnej krytyki. I dał tego wyjaśnienie, które wydawało mi się potwierdzeniem jego tolerancyjnej uczciwości:

- Oburzenie zachowuję dla tematów moralnych. Nasz sąd zawodowych czytelników o kwestiach literackich jest bardzo dyskusyjny i prowizoryczny! A poza tym, wszyscy pisarze - także wielu przeciętnych - mają zawsze szczyptę pasji. Głównym grzechem współczesnym jest obojętność: a więc dlaczego nie uprawiać tego ziarenka gorczycy, dlaczego gasić knot dymiący? Więc nie tłum; ale dlatego na pewno może być podejrzewany o przynależność do owego kręgu, niemal mafijnego, krytyków oraz wydawców i pisarzy, którzy czytelników prasy skazuje na przypoehlebne recenzje. Aby się bronić przed naciskami, mieszka, jak powiedział, "ukryty przed władzą, w mieście prowincjonalnym, jakim jest teraz Florencja".

I było słuszne, że spotkaliśmy się tam, w jego małej pracowni przy via Cernaia. Mówił o sobie, iż jest agnostykiem, wyznawcą radykalnego agnostycyzmu ("Podejmowanie tego ryzyka znaczy dla mnie pozostawienie wszystkich możliwości otwartych"), graniczącego może z ateizmem:

- Nie udaje mi się oderwać od mojego przekonania o nicości po śmierci. Potrafię posunąć się do myślenia o jakiejś formie dalszego trwania, ale nie indywidualnego, raczej kosmicznego, poza naszą świadomością. Ponieważ - dodaje - jeżeli Bóg istnieje, mógłby istnieć jako pamięć - wieczna i powszechna - ludzkości i jej historii.

- Pewnego rodzaju komputer, w którym wszystko zostaje zarejestrowane? - zapytałem.

- Tak, coś w tym rodzaju.

Zdawało mi się, iż zauważyłem tutaj potwierdzenie tej trudności w przyjęciu chrześcijańskiego zgorzenia zbawienia indywidualnego, "materialnego", bo zbawienia również ciała, która wydaje się typowa dla intelektualistów wszystkich czasów: od owej elity kulturalnej, jaką w czasach Jezusa

stanowili saduceusze, zaprzeczający zmartwychwstaniu, do "filozofów epikurejskich i stoickich" z Aten, o których mówią Dzieje Apostolskie, że słuchali Pawła z Tarsu tak długo, jak pozostawał na płaszczyźnie pojęć abstrakcyjnych, ale odeszli, wyśmiewając go, kiedy wspomniał o zmartwychwstaniu ciała. Czy jest tak dlatego, że karmiąc się ideami, intelektualiści skłaniają się do pojmowania wszystkiego, łącznie z Bogiem, jako "czystej idei" i dlatego nie potrafią ugiąć się przed perspektywą Boga, który staje się również "materią", ciałem i krwią, w cieśli z Galilei? Czy tutaj może kryje się tajemnica, dla której rybacy i wieśniacy, przyzwyczajeni do konkretności, do "materialności" rozpoznali w Jezusie Chrystusa, gdy tymczasem nie potrafili go dostrzec "nauczyciele w Izraelu"? Jest pewne, że Geno Pampaloni mimo wszystko podobałby się Pascalowi (który, jak mówi, należy razem z Augustynem do jego najbardziej cenionych lektur. - Lubię w nich obu niechętnych wszelkiemu postępowi, także katolickiemu, nieufność do człowieka i równoczesną ufność pokładaną w Łasce"), Pascalowi, który lubił i szanował dwa rodzaje ludzi: "Tych, którzy znalazłszy Boga, służą Mu ze wszystkich swoich sił; i tych, którzy nie znalazłszy Go, szukają Go en gemissant, jęcząc". Pampaloni jest człowiekiem, który płakał całą noc, kiedy umarł mu ojciec:

- Nie był wierzący i pozostawił rozporządzenie, iż nie chce kapłanów na swoim pogrzebie. Umarł naturalnie bez sakramentów. Jako jedyny syn, musiałem podjąć decyzję. Płakałem całą noc, a o świcie zadecydowałem o pogrzebie cywilnym: smutnym, ogołoconym, bez odrobiny pociechy; przewóz towaru. W tych godzinach uwierzyłem, że potrafię przyjąć rozstrzygnięcie: nihil post mortem, nie ma niczego po śmierci.

Mówił cichym głosem, z pochyloną głową, jak gdyby wstydył się swojej niemożności dokonania wyboru:

- Gdyby pan wiedział, ile razy stawiałem sobie ten problem, dochodząc do wniosku, że po ludzku nie da się go rozwiązać! Mimo wszystko nie czuję się na siłach, aby powiedzieć, że życie jest przypadkiem. Ale nie potrafię również ważyć się wyznać, że jest ono darem. Otóż, jest ono może obowiązkiem: trudnym "rzemiosłem życia", które, podoba się to nam lub nie, musimy wykonywać i o którym mówił mój przyjaciel Cesare Pavese, którego kryzysem, nawet jeżeli jakaś kultura starała się to ukryć, był kryzys sensu życia, kryzys głęboko religijny.

A jednak ten agnostyk Pampaloni wiele razy był naciskany przez wierzących, poczynając od arcybiskupów Florencji, do uczestniczenia w życiu świata katolickiego. Nie uważał za stosowne zgodzić się, w imię uczciwości; ale jest pewne, że jeszcze bardziej, niż jego przyjaciel dyrektor Montanelli, jest reprezentantem naprawdę znaczącym "katolicyzmu niewierzących". Antyklerykalizm o korzeniach oświeceniowych i idealistycznych, z którymi się przecież identyfikuje, rozwinął się w nim do tego stopnia, że stał się on swego rodzaju "apologetą" Kościoła. Na tyle, aby rozdrażnić - i nie jest to ostatni paradoks naszych czasów - niektórych zakonników i świeckich wierzących.

Zwłaszcza owym katolikom nie podoba się jego pochwała Jana Pawła II:

- Wielki papież Wojtyła! Akurat taki, jaki potrzebny jest na nasze czasy: silny. Bardzo dobrze do mnie przemawia ta jego świadomość ważności wyraźnej wiary w życiu ludzkości. Jest przekonany, że los następnych pokoleń rozegra się w Europie wschodniej; i także w tym ma rację. Jeżeli tak zwany realny socjalizm musiałby upaść - a to może zdarzyć się pod naporem tego fermentu religijnego, który po siedemdziesięciu latach ateizmu państwowego jest żywy jak nigdy, gdy tymczasem marksizm jest martwy - będziemy mieli przełom w historii świata. Siła duchowości słowiańskiej spowodowałaby zbawienny kryzys nadwątlonego chrześcijaństwa Zachodu. W każdym razie - papież Polak wie o tym dobrze - upadek reżymu sowieckiego spełniłby zadanie "higieniczne" dla całego świata, usuwając tę ciągłą infekcję kłamstw, jaka przychodzi z Moskwy.

Ale dla pewnych przedstawicieli kontestacji katolickiej (która właśnie we Florencji miała jedno ze swoich najbardziej znanych centrów) nie brzmią dobrze nawet słowa, które Pampaloni wypowiada o roli Kościoła katolickiego w historii świata:

- Nie tylko podziwiam, wręcz kocham Kościół, który otrzymał depozyt wiary

i spowodował jego owocowanie i który w dalszym ciągu ma decydującą doniosłość dla wierzących i niewierzących.

- Ale - zapytałem go - czy to depositum fidei nie było dla niego, niewierzącego, pewnego rodzaju mistyfikacją, choćby nawet wzniosłą?

- Nie mistyfikacją ani metaforą: to jest zupełnie co innego. Nawet jeżeli Bóg Ewangelii byłby wymysłem, ten wspaniały wymysł wzbudził w nas wewnętrzną konieczność. Dla której teraz nie możemy już o nim nie mówić i Augustyn ma więc rację kiedy wydaje okrzyk: "Stworzyłeś nas dla siebie, Boże, i niespokojne jest nasze serce, dopóki nie spocznie w Tobie". Czy ulegamy może pomyłce, obierając Chrystusa jako symbol tego, co jest najwyższe? Mogłoby również tak być. Ale pomyłka, jeżeli taka zaszła, stała się teraz dla nas historią prawdziwą. Spoglądam na rezultaty chrześcijaństwa w historii: nie zapominam o zdradach, o niespójnościach, ale ogólny bilans wydaje mi się głęboko pozytywny.

- Czego więc Panu brak do tego, aby nazywać się chrześcijaninem, katolikiem?

Potrząsa głową, jakby zasmucony:

- Brak mi tej tajemniczej iskry, którą wierzący nazywają Łaską i która jest jednym dana, a innym nie, i nie potrafimy poznać tego przyczyny.

Nie tracąc nadziei, że może pewnego dnia zostanie wyposażony w tę iskry, Pampaloni zdecydował się żyć (idąc, także tutaj, za radą "swojego" Pascala) "jak gdyby Bóg chrześcijański istniał i był Bogiem prawdziwym".

- Kiedy zdarza mi się mówić do młodych, zawsze im to mówię: przez szacunek dla was samych i dla ludzkości, nawet jeżeli wiara nie została wam dana, utrzymujcie zawsze żywe to "jak gdyby" Boga. Bądźcie gotowi odpowiedzieć za wasze życie przed Sędzią sprawiedliwym i zarazem miłosiernym, nawet jeżeli nie uda się wam wierzyć, że niebiosa pewnego dnia rozedrą się na grzmiący głos Ojca.

Jak odpowiadać takiemu człowiekowi? Jak nie zrezygnować z uprzykrzonej roli "moralizatora", kiedy tajemnica dobrej woli staje się tak bardzo namacalna?

Istotnie milczałem, gdy ten osobliwy apologeta, który urodził się i żył wśród księżożerców toskańskich i znakomitych przedstawicieli laicyzmu często agresywnego, kontynuował pochwałę chrześcijaństwa:

- Teraz jest jasne, że kultura niewierzących broni maksymalnie wielu wolności, gdy tymczasem chrześcijaństwo broni jednej wolności, bez przymiotników lub ograniczeń. Obecnie bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy uświadamiać sobie, że "religia" jest jedną z nazw wolności, dla wszystkich.

A gdyby ktoś się temu dziwił, gotów jest zacytować Alessandra Manzoni, który napisał: "Chrześcijaństwo uczy pogardzać rzeczami, którymi posługują się ludzie po to, aby uczynić niewolnikami innych ludzi". Ale, dodaje Pampaloni tonem nagany i goryczy:

- Niestety jest, że Manzoni pozostał niewysłuchany i odosobniony: niewierzący starali się wszelkimi sposobami usunąć jego wiarę, katolicy zrobili z niego przedmiot sprawozdania dla nieszkodliwego kongresu profesorów. Z takim nazwiskiem po swojej stronie, powinni być triumfatorami, ponieważ w nim katolickie widzenie życia i świata ukazało, iż potrafi zdawać sobie sprawę z problemów historii. Tymczasem - po nim pustynia.

Kiedy jednak dodał, że: "mimo swoich niedostatków, kultura o inspiracji chrześcijańskiej może dzisiaj pozwolić sobie być bardziej tolerancyjną niż kultura laicka, ponieważ ta ostatnia jest prawdziwą klęską", nie potrafiłem ukryć przed nim mojego zakłopotania; biorąc również pod uwagę, między innymi, podniecenie, z jakim wielu katolików, w tych latach, odkryło postacie i tematy niewiary niemal jako nową ziemię obiecaną. Potrząsnął głową:

- Krótkowzroczność, opóźnienie kulturalne ludzi zamkniętych do dziś w jakimś getcie. W rzeczywistości, mimo wszelkich pozorów, laicyzm musiał przyjąć wiele wartości chrześcijaństwa, czego to ostatnie nie musiało czynić. Proszę pomyśleć o pojęciu osoby, o autentycznym humanizmie, indywidualności, o życiu wewnętrznym, o duchowości. Nie: dzisiaj człowiek może się tylko wtedy obronić, jeżeli wybiera powtórnie, chce czy nie chce, w sposób jawny lub anonimowy, wartości chrześcijańskie, a nawet katolickie. Wśród wartości nie przyjętych (także dlatego, że przyjęcie zakłada

tajemniczy dar wiary) jest może dar nadziei. Pampaloni zapewnia, że nie wierzy w Boga, ale jak wielu, którzy mają wspólne z nim korzenie intelektualne, wierzy - jeżeli nie w diabła - to przynajmniej w "grzech", w mroczną "winę", która coraz bardziej opanowuje historię:

- Żyjemy w świecie, który z dnia na dzień staje się coraz bardziej beznadziejny. Nie brakuje, na szczęście, ludzi dobrej woli, o których Ewangelie mówią, że przede wszystkim do nich kieruje się wezwanie Boże; ale ich głos jest coraz bardziej przygaszony i słabszy. Pierścień, jaki zaciska okrucieństwo i obojętność, wydaje się coraz mocniejszy.

Mówiliśmy o Crocem i Gentilem, którzy mają dla niego tak wielkie znaczenie:

- Tak, w gruncie czuję się crociańskim w literaturze i gentiliańskim w sporach duchowych. Ale, uwaga! Ci filozofowie, których myśl, jak się wydawało przez dziesięciolecia, koncentrowała na sobie uwagę Italii, a teraz znaczą niewiele więcej niż nazwiska w podręcznikach, obojdwaj uważali, że religii powinno się uczyć dzieci i prostaczków, tych mianowicie, którzy nie mogli wspiąć się na szczyty filozofii, jedynej mądrości i wiedzy godnej człowieka dojrzałego. To lekceważenie jest dla mnie niezrozumiałe: momentu religijnego nie da się wyeliminować; wiedzą coś o tym nowoczesne ustroje, które starały się wykorzenić go z serc. "Religijny", przynajmniej ja jestem o tym przekonany, jest niezrównanym punktem dojścia dla tego, kto naprawdę ma prawo do imienia człowieka.

Zapalił kolejnego gauloisea ("Zacząłem późno palić, miałem nadzieję, iż będę mniej samotny w towarzystwie papierosa"), spoglądał na mnie jakby z wahaniem:

- Proszę, niech Pan to napisze, jestem zbiorem sprzeczności. Czy wie Pan, że chciałem wziąć ślub w kościele, u św. Ambrożego w Mediolanie, nie aby zastosować się do społecznej tradycji, lecz na podstawie świadomego wyboru? Cokolwiek stanowi tajemnicę, która się za tym kryje i której nie potrafię zgłębić, sakramenty katolickie mają bardzo poważną symbolikę, która nie może nie wywoływać pozytywnych skutków. Jest to ten sam powód, dla którego taki stary niewierzący jak ja odczuwa codziennie pokusę modlenia się, szukania kontaktu z Transcendencją, która mimo wszystko stała się historią.

Claudio Magris

Krążąc po labiryncie kultur i wokół tajemnicy ludzi, zjawiam się także w biurach wydawcy Garzantiego, w "złotym prostokącie" mediolańskim, w okolicy ulic Montenapoleone i delia Spiga. Czekał tam jeden z najbardziej fascynujących autorów wydawnictwa, człowiek, który, jak Pampaloni, mógłby powiedzieć o sobie, że jest otoczony szacunkiem prawie powszechnym. I chyba również on nie mimo, ale właśnie dzięki śmiałości, z jaką wyraża niekonformistyczne idee w kulturze, której jest wybitnym przedstawicielem. Jeszcze młody, Claudio Magris od dawna ma otwarte szpały liczących się gazet i katalogi największych wydawców. Krytyk i pisarz, germanista (to znaczy znawca języka i literatury niemieckiej, których naucza na uniwersytecie w rodzinnym Trieście), Magris ma między innymi zasługę ponownego odkrycia literatury Europy środkowej. Mianowicie tego płodnego tygla języków, kultur, religii, jakim było Cesarstwo Austro-Węgierskie, antycypacja Stanów Zjednoczonych Europy, które kasty polityczno-wojskowe pragnęły doprowadzić do całkowitego zniszczenia, przedstawiając je jako twierdzą reakcji.

Magris jest również "gwarantowanym" laikiem, jest jednym z najbardziej prestiżowych intelektualistów agnostycznej kultury liberalno-demokratycznej, daleki jest od religijnych praktyk, które cechowały jego młodość. Ale, aczkolwiek odchodząc, bardzo się wystrzegął kierowania niechęcią, jaką niestety odznaczało się wielu eks-katolików.

- Może wydawać się paradoksalny szacunek dla schematów dzisiaj aktualnych - natychmiast zatroszczył się, aby mi to powiedzieć - ale właśnie wtedy, jako młodzieniec wierzący i praktykujący, doświadczyłem wyzwalającej mocy wiary takiej jak wiara chrześcijańska, która może nadać życiu poczucie pełni i jedności.

Dla niego nie mogłoby być inaczej, ponieważ, dodaje, "jest to istotnie wiara oparta na tych Ewangeliach, które czytam, zawsze będąc pod ich

wrażeniem, taki jest ich pozytywny potencjał dla ludzkiego życia".

A więc jeszcze katolik? Potrząsa głową:

- Nie, przynajmniej w znaczeniu praktykowania, przynależności. Nie należę do żadnego kościoła, ani religijnego, ani politycznego. Na moje skomplikowane pytania, tak sędzę, lepiej odpowiadają słowa raczej jakiegoś Lukrecjusza lub Leopardiego, niż słowa - przecież bardzo głębokie - Pawła z Tarsu.

Uniósł rękę jakby dla uprzedzenia mnie:

- Proszę jednak zważyć, że wydawałoby mi się śmieszne uznawanie siebie, z powodu tych moich niepewnych myśli, za bardziej inteligentnego, nowoczesnego, postępowego od chrześcijan, jakimi byli moi koledzy ze studiów uniwersyteckich, Arturo Carlo Jemolo lub Michele Pelegrino.

Niełatwo zrozumieć powód oddalenia się, także w tym przypadku, co mam nadzieję, że dobrze rozumiem, a które dokonuje się nie z powodów teoretycznych, nie w wyniku badań i systematycznych przemyśleń ani nawet z powodu oszołomienia młodego intelektualisty oślepiętego światłami kultury, która wydawała mu się zwycięska. W spowodowaniu tego oddalenia nie muszą odgrywać roli zbyt łatwe zgorzenia mogące obciążać oblicze Kościoła instytucjonalnego: Magris nie jest na pewno osobnikiem, który nie potrafi odróżnić ludzkiej nędzy ludzi Kościoła od Kościoła w jego tajemnicy; lub który przyłączyłby się do powtarzających bezkrytyczne hasła.

Jego oddalenie się było w każdym razie ciche, bez trzaskania drzwiami: a nawet, podczas naszej rozmowy chwilami miałem wrażenie, że chyba chciał pozostawić te drzwi przyknięte. Na tyle, że młody germanista z Triestu był jednym z niewielu laików, razem z filozofem Norbertem Bobbio (gdy nie miała część inteligentów chrześcijańskich milczała lub po prostu przeszła na inny front), który ośmielił się jawnie wystąpić na łamach "Corriere della sera" przeciwko temu, co nazwał "przykładową służalczą proroków zalegalizowanej aborcji". Wyjaśnił, gdy wspomniałem o jego odwadze:

- Słowa, które wciąż jeszcze z największą siłą rozbrzmiewają w mojej duszy, są słowa napomnienia Jezusa, by się nie lękać.

Stanowiły one wezwanie, jakim Jan Paweł II pragnął zainaugurować swój pontyfikat, papież, którego duchową siłę także on (na równi z Pampalonim), jak mówi, podziwia.

Czy Claudio Magris jest rzeczywiście agnostykiem? Czy nie jest on raczej "chrześcijaninem anonimowym", człowiekiem, którego wiara osłabła, może się przyćmiła, ale nie wygasła? Odpowiedź była wyraźna zarazem ambiwalentna:

- Uważam za warte najgorszego konformizmu manifestowanie jako przyjemnej niepewności agnostyka, który nie może, nie potrafi stawiać na tajemnicę, jaka wszystkich tutaj otacza.

Zakłopotany jest więc, że ktoś drugi uważa, iż nie potrafi się zdecydować ani na tak, ani na nie? Jakkolwiek by było, jest człowiekiem świadomym tego, obcując z literaturą może najbardziej nabrzmiałą niepokojami religijnymi, jaką jest literatura niemiecka, że "często tylko doświadczenie religijne może dać wielkość dziełu pisarza, i ogólnie, dziełu artysty". I właśnie jako myśliciel i zarazem literat mówił o obrazie ewangelicznym, który często powraca w jego myślach:

- Jezus, po zmartwychwstaniu, piecze na brzegu ryby dla uczniów, we mgle wczesnego poranka. Jest to sama w sobie historia ludzkości, która dochodzi do tego zakończenia o największej prostocie.

Również w tych zdarzeniach (w których taki jak on znawca słów domyśla się echa przekraczającego to, co ludzkie) dostrzega znamię Boskości, odcisnięte na tekstach przecież pozornie tak bardzo prostych, tak bardzo zrozumiałych także dla nieuczonych.

Ale Magris jest wyjątkowy także ze względu na inną niecodzienną odwagę.

Odwagę, która każe mu stwierdzić, iż czuje się "zdegustowany tą klasą średnią bogatego Zachodu, która sądziła, iż się aktualizuje, iż staje się nowoczesna, przechodząc z kina parafialnego do striptease'u, ulegając konformizmowi jeszcze bardziej niż trzódka poprzedniego konformizmu". Ten laik za "tolerancją, której zwolennikami ogłaszają się pewne środowiska mieszczańskie" widzi "nietolerancję gorszą niż nietolerancja starych klerikalnych integrystów". Jest to nowa masa, nieco tępa (a uważająca siebie za bardzo "niekonformistyczną", za bardzo "inteligentną"), która,

jak mówi, "głupio pozwala sobie, w konfrontacjach z religią - trzeba zaznaczyć, zjedną z najwyższych wartości życia - na terrorystyczną zarozumiałość, na arogancję usuwającą poza margines, która jakże przewyższa zarozumiałość i kleszą arogancję czasów już minionych".

Mówił głosem cichym, ale równocześnie bardzo stanowczym, o "owej litanii frazesów i pustych słów, które falami przechodzą dzisiaj z ust do ust, aby zastąpić czarującym urokiem dźwiękowym odpowiedzialność myśli". I potwierdził, że porzucenie przez niego praktyk religijnych nie oznaczało na pewno przejścia do zabobonów, które znamionują "nowoczesność". Także tutaj wypowiadał się jasno:

- Laickość, która pojawiła się po to, aby zwalczać domniemany "zabobon klerikalny", często sama stała się zabobonem. Spotyka się dzisiaj ludzi, choćby nawet intelektualistów, którzy pozują na obrońców wolnej myśli, którzy spoglądają z pobłażaniem na tego, kto trwa przy wierze w takie mity, jak istnienie Boga lub Bóstwo Chrystusa, i którzy potem w tramwaju, dotykają garbatego "ponieważ przynosi szczęście", robią zaklęcia, kiedy czarny kot przebiegnie im drogę lub boją się siły liczb trzynastie albo siedemnaście, rzucających złe uroki.

Rzeczywiście, ta nowa burżuazja wędruje tam i z powrotem po świecie na pokładach samolotów, które, jak samoloty linii latających pod włoską banderą, w oznaczaniu miejsc pomijają numery, które zabobon uważa za "niebezpieczne": i dlatego z 12 przechodzą do 14, z 16 do 18... Ludzie, obcuje Magris, "którzy przeżywają swoje szczęśliwe lata, w przekonaniu o swojej inteligencji i w przeświadczeniu, iż są w prawdzie"; i którzy, między innymi, wobec katolickich sprzeciwów dotyczących liberalizacji aborcji, żądanie obrony życia osoby ludzkiej od jego początku "obłożyli bezceremonialnie nazwą krucjaty», uważaną za hańbiącą".

Gdy mówił w tej salce o ścianach zastawionych książkami, pomyślałem, że gdyby jakiś ocalały polemista katolicki pozwolił sobie na podobne wypowiedzi, natychmiast zostałby zepchnięty do getta, pośród sarkazmów, pogrózek lub prawdopodobnie wyniosłego milczenia. I, jeszcze gorzej, wzbudziłby zakłopotanie, jeżeli nie gniewne reakcje, w różnych kręgach klerikalnych trapiionych niepewnością i kompleksami niższości, a które wysłuchują "owej litanii frazesów i pustych słów" nie mrugnawszy okiem, a nawet szczerząc zęby w uśmiechu (jeżeli wręcz nie pomnażając jej), którą Magris, przecież nie katolik", potrafi śmiało demaskować. Zresztą nie tracąc przez to tego wielkiego zaufania, którym się słusznie cieszy.

Dziwny świat, rzeczywiście, i tak jeszcze bardzo niewiele lat temu nie do przewidzenia: agnostycy, może nawet ateści, którzy okazują się obrońcami chrześcijaństwa, katolicyzmu (także w jego postaci historycznej), o wiele bardziej zdecydowani niż wystraszeni wierzący.

Dziwny świat, którego Pampaloni i Magris byli dla mnie wiarygodnymi przykładami. I którego przykładem był dla mnie inny laik, którego poszedłem słuchać w jego wielkim domu w Crocetta, w owej "ekskluzywnej" dzielnicy Turynu, którą (niejako na potwierdzenie bezlitosnego sądu o dniu dzisiejszym) każdej nocy opanowuje zgraja transwestytów, nie mająca porównania w całej Europie.

Giovanni Arpino

Giovanni Arpino żyje w swojej willi turyńskiej, jak mówi o sobie, na wygnaniu, broniąc się (jak twierdzi) "przed okropnością, która narasta", świata współczesnego, napawającego go bojaźnią i który chce zwalczać swoim demaskującym pisaniem.

Pisarz, Piemontczyk, ale urodzony w Poli (obecnie Pula w Chorwacji) z ojca neapolitańczyka wygląda na godnego reprezentanta, szlachetnie cierpiącego, efektu kultury postchrześcijańskiej, który po porzuceniu wiary w Odkupienie musiał porzucić także utopię Postępu, historii jako pięknej wybrukowanej drogi, łagodnie wznoszącej się ku Miastu człowieka wyzwolonego. W ten sposób optymistyczne post-chrześcijaństwo, mit niezawodnej ewolucji ku Dobru, teraz w umysłach bardziej wrażliwych zamieniło się w oświecenie, które, jak się zdaje, zmierza do nihilizmu; dlatego historia nie jest tym obiecany wygodnym szlakiem, ani nawet ścieżką, która choć z przerwami co

jakiś czas, prowadziłyby jednak ku górze lub, mimo wszystko, dokądś. Przyszłość natomiast ukazuje się teraz jako noc i mgła nad równiną ruchomych piasków; im więcej nad nią się debatuje, tym bardziej gęstnieje: bez nadziei i bez znaczenia.

U Leonarda Sciascii słyszeliśmy pewne podkreślenie tego ("Bardziej niż ewolucja przekonuje mnie teraz regres: widzę, jak świat się pogarsza, powraca do barbarzyństwa"). Ale, jak się wydaje, czarne barwy przeważają u Arpino innego pisarza, też znanego i tłumaczonego na arenie międzynarodowej, nieprzeciętnego i godnego szacunku ze względu na szlachetną szczerłość, dla "odwagi" wyborów, które pozbawiły go sympatii pewnego kręgu intelektualnego. Ale to nie odbiera mu snu: "Nie boję się nikogo, potrafię wykonywać swoje rzemiosło prozaika. Niech mówią to, co im się wydaje".

Nie wiedziałem i chyba nawet on nie potrafił tego powiedzieć, czy Arpino wierzy w Boga; na pewno nie wahałby się wyznać, iż wierzy w diabła. Powodowany głębokimi motywacjami (i jak u każdego artysty, tajemniczymi) krąży stale wokół problemu religijnego, nawet tytuły jego powieści odsyłają do słownictwa chrześcijańskiego. Począwszy od *La suora giovane*, która mu, młodemu człowiekowi, przyniosła rozgłos, przez *Glianni del giudizio*, *Un'anima persa*, *Il fratello italiano*. Także tytuły, które już zdradzają jego pesymizm: *Azzuro tenebra*, *L'ombra delle colline*, *Il buio e il miele*, *Passo d'addio*. Ciemności, cienie, mroki, rozstania: w ten sposób mówi widzi to, co go otacza i co opisuje brutalnymi wyrażeniami: "Zamiast w społeczeństwie, jesteśmy zmuszeni żyć w chaosie coraz bardziej sprostytuowanym".

"Piszę - warknął - z litości nad samym sobą i nad innymi, świadcząc o przerażającej Obecności". Pisze o tym Antagoniście, o Grzechu pisanym dużą literą, uosobionym: jednym słowem o diable, żeby to jasno wyrazić; a o jego istnieniu jest przekonany bez żadnego wątpienia. "Jestem absolutnie pewny, że Szatan jest w każdym z nas, w każdej godzinie życia. Rozejrzyjmy się dokoła, zdejmijmy obłudne różowe okulary, które nowy konformizm każe nam włożyć na nos: zobaczymy świat, w którym nie panuje prawo dżungli, mające swoją logikę, swoją moralność. Ale w którym szaleje prawo bezkarnej nienawiści wszystkich przeciwko wszystkim, egoistycznej chciwości, potyczek na noże, aby więcej użyć życia, aby więcej wydobyć z niego przyjemności, ze szkodą innych. Mottem jest *Mors tua, vita mea*, tym się dzisiaj ludzie inspirowają". "Duszą piękną" natomiast, prosto-dusznym (prawdziwym lub obłudnym), które go oskarżały o nadmierny pesymizm, odpowiadał:

- Postępują jak ci, którzy obwiniają psa, ponieważ jego pan jest ślepy. Śmieję się ze złudzeń ostatnich piewców promiennej przyszłości. I to właśnie litość pobudza mnie do opisywania okrucieństwa świata, jaki stworzyliśmy.

Zwróciłem mu uwagę, że mówienie o tym mrocznym "Drugim", w którego, jak twierdzi, wierzy i wokół którego obraca się jego praca pisarza, oznaczało odsyłanie do Kogoś, kogo jest on Przeciwnikiem. Co miał mi do powiedzenia o tym Kimś? Krótko mówiąc, o Bogu? Uchyłał się, uciekał się do gry słów; wbrew swojemu zwyczajowi mówienia brutalnie jasno, dotykał sprawy z daleka. Czyżby wstydlivość świeckiego, na dodatek Piemontczyka? Lub może jednak dla niego było to czymś więcej i czymś głębszym, udręką, poszukiwaniem jeszcze całkowicie otwartym, jak on sam wyznał niespodziewanie:

- Często jestem kuszony przez wiarę.

Tak więc, aby odpowiedzieć na pytania, którymi starałem się wykurzyć go z jamy, wołał mówić o tym, w co nie wierzy. W ateizm, który gwałtownie odrzuca:

- Ateiści nie istnieją, proszę mi wierzyć, jestem o tym przekonany. Są tacy, co przypinają sobie tę etykietkę, ale za nią kryje się beczka trującego jadu, nierozwiązanych problemów.

I wzmacniając ową szczyptę przesady, która cechuje również łotrykowskich bohaterów jego powieści:

- Tak, kto się chwali, iż nie wierzy w Boga, jest jednym z wielu głupców, których teraz świat rodzi i następnie tuczy, nadając im rolę opinion's leaders.

A on, który na pewno nie jest "głupcem"? Usiłował jeszcze się wymknąć, zapalił następnego papierosa, pozwolił sobie na jeszcze jeden łyk whisky:

- Na swój sposób wszyscy jesteśmy religijni, wszyscy czynimy znak krzyża przed meczem piłki nożnej lub przed egzaminem dyplomowym.

A zatem nie ateista, ale także nie wierzący, przynajmniej zdecydowanie. A więc zwyczajny agnostyk? Mówił tym swoim posępnym tonem:

- Mogę tylko powiedzieć, że agnostycy bardzo cierpią. Wy wiecie wszystko o problemach ludzi wierzących i przeprowadzacie wywiady na temat ateizmu, który może w ogóle nie istnieje; ale potem nie troszczycie się o dramat i o udrękę agnostyków. - Dodał z za błękitnawego dusznego obłoku tytoniowego: - Na serio zazdrościsz tym, którzy wierzą.

Stwierdzenie, które zdarzało mi się słyszeć wiele razy. Ale zagłębiając się nieco w nie, często odkrywałem, że ta "zazdrość" rodziła się z trochę romantycznego, może także naiwnego wrażenia kogoś, kto - znajdując się poza terenem wiary - wyobrażał sobie, że ta przestrzeń dla wierzącego jest pewnego rodzaju szczęśliwą nirwaną, przyspieszonym rajem, już bez problemów i niepokojów. W rzeczywistości kto doświadczył, ten wie, że na zwyczajnej płaszczyźnie wiara (jednak na tle nadziei, sensu życia i spraw) niekiedy dostarcza więcej problemów niż ich rozwiązuje; oraz że "noc ciemna", o której nieprzypadkowo mówią mistycy i święci (a więc ludzie wiary bardziej radykalnej), może być często bolesną sytuacją wierzącego.

Mimo moich uwag nie wycofał się:

- Jak każda sytuacja ludzka, ma swoje problemy także sytuacja wierzącego. Ale to mi nie przeszkadza zazdrościć mu. Wierzący ma wszelkie możliwości ratunku i wszelkie pociechy, wie, że dobroć, którą starał się praktykować, nie była daremna, jak wydaje się natomiast temu, kto nie ma wiary. To straszne widzieć, jak wszystko spelza na niczym. Tylko wierzący nie czuje się idiotą, gdy stara się pomóc komuś, kto potem odwróci się przeciwko niemu jak hiena.

Gdy mówił (nad alejami zapadał wieczór, wokoło rozpoczynała się karuzela transwestytów i ich klientów) namacalny wydawał mi się dramat kogoś, kto jest świadom, iż otaczają go węże i nie może dostrzec żadnej liany, której mógłby się uchwycić, aby uciec przed nimi. Tragedia mianowicie nieobecności "jakiegoś Pana Boga, który, jeżeli jest, nawet na nas nie patrzy i na pewno się nami nie interesuje", żeby powiedzieć jak Raffaele Cardoso, stary emigrant kalabryjski i U fratello italiano. Wobec tego zaćmienia Boga, który wycofał się w tajniki swoich przestrzeni lub który został zabity zuchwałością ludzi, wobec "marności nad marnościami", powiedział, iż nie widzi innego środka na rozpacz, jak "starać się zmusić pytania do milczenia, wykonując z bezkompromisowością i obowiązkowością swoją codzienną pracę".

Jeżeli Bóg milczy, to czy nawet Bóg-dla-nas Ewangelii nie miałby nam nic do powiedzenia? Czy Jezus nie mógłby być znakiem Boga, który przyszedł do nas, nie po to, aby zniszczyć zło, ale żeby cały jego ciężar włożyć na swoje ramiona? Nie po to, aby usunąć krzyż, ale żeby rozciągnąć się na nim, podążając za strategią dla nas niezgłębioną?

- Chrystus? - Mówił jak gdyby w zamyśleniu. - Stał się człowiekiem świata możliwego: temu, kto chciał go słuchać, kreślił plan historii możliwej do przeżycia. Ale przechodził wśród ślepych, głuchych, niemych. Był cały człowiekiem: wielkim rewolucjonistą wypełnionym pasją i zarazem wielkim humanitarystą, pełnym współczucia. Dwie rzeczy sprzeczne w tej samej osobie. Jemu natomiast udało się je połączyć.

Czy nie byłoby możliwe, że w nim to zjednoczenie miałoby miejsce nie tylko na płaszczyźnie charakteru, ale nawet samego bytu: "dwie natury w jednej osobie", jak wyznaje Credo chrześcijan? Jego odpowiedź wydała mi się zagadkowa, nie czułem się też uprawniony do nalegania:

- W ruletce życia to Chrystus trzyma bank, zero jest jego. Zwycięża on, z konieczności.

Natomiast był bardzo zdecydowany w potwierdzeniu swojego odrzucenia antyklerykalizmu, a nawet swojej sympatii oraz uznania dla pozytywnej roli Kościoła, co łączy go z innymi laikami, niewierzącymi lub nie praktykującymi, którzy stali się obrońcami katolicyzmu i których spotkałem:

- Bardzo podoba mi się ten papież Polak. Potrafi uśmiechać się dźwigając

przecież najcięższą po ludzku odpowiedzialność. Nie ma wypowiedzanego przez niego zdania, które by nie miało znaczenia. Ale ludzie go nie rozumieją lub może nawet nie starają się go słuchać. Przybył także tutaj, do Turynu, milion ludzi wyległo na ulice, ale w niedzielę potem nie było ani o jednego człowieka więcej niż zwykle, który by poszedł na Mszę. Kościół - dodał - powinien być wspomagany także przez tego, kto nie potrafi podzielać jego wiary, ale leży mu na sercu los człowieka: Kościół przeżywa straszliwą chwilę, musi asystować przy agonii kultury humanizmu. Jeżeli nie umrzemy, będzie to także dzięki niemu, dlatego, że jesteśmy tutaj, i nie możemy żyć lub umierać w imię Buddy lub Mahometa. Szanuję siłę barbarzyńców, którzy wdzierają się na scenę historii, ale nie żądamy, abym także ich kochał. Rzym ma strategię, ale brakuje mu żołnierzy.

- Jaką strategię, Arpino?

- Tę, co ma od początku siać zgodę, być rozjemcą konfliktów między ludźmi, głosić pokój. Ale czy jest jeszcze wielu, w samym Kościele, którzy chcą trwać w tym zamiarze? Widzę wokół wielu zakonników partyzantów, zbyt wielu księży politykujących, zbyt wielu duchownych, którzy uprawiają naiwny humanizm, syndykalizm. Są dla mnie okropnością obecnych czasów, na równi z kapelanami, którzy błogosławili rzezie dawnych conquistadores. Papież, który przybył z Polski, potrafi także zrozumieć dramat mojej matki, która w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat nie chodziła już do spowiedzi, ponieważ nie kazano jej więcej recytować aktu żalu. On, papież, to rozumie. Ale ilu jest z nim?

A ponieważ nie wykluczał, że pewnego dnia mogłaby w nim "przeważać strona religijna", zapytałem go, co zrobiłby, gdyby to się stało.

- Może nie potrzebowałbym już pisać, aby ostrzegać ludzi, że diabeł istnieje: wiedziałbym, że Szatan już został zwyciężony. Robiłbym to, o czym mówiłem, że powinno cechować chrześcijanina: sianie pokoju, przebaczenia. Otóż, modliłbym się: nie potrzebowałbym niczego innego.

- A gdyby miał się modlić, o co prosiłby tego swojego "Pana Boga"?

- Aby ukazał się i nas przeraził. Świat, który, jak ten, nie boi się Go, idzie ku ruinie. A raczej, może już nawet nie idzie ku niej. Ruina bowiem jest już w nas.

ROZDZIAŁ IV

Dwa razy tak dla "religii"

Ludzie tacy jak Jemolo lub Guitton byli dla mnie świadectwem tego, jak pewna formacja kulturalna "racjonalna" nie prowadzi koniecznie do agnostycyzmu (lub gorzej, do ateizmu); jak nawet może prowadzić do wiary mocnej i zdecydowanej.

Inni - jak Pampaloni, Magris, Arpino spotkani w poprzednim rozdziale - uznawali siebie za agnostyków, jednak otwartych, nawet przychylnych chrześcijaństwu, choćby nawet widzianemu tylko jako "kultura".

Spotykałem jednak innych jeszcze ludzi, którzy mieli odmienne doświadczenia: wywodząc się z pewnej kultury "laickiej", a nawet "laicystycznej", której mogli być rozpieszczanymi przedstawicielami, w pewnym momencie nabierali do niej dystansu, nie cierpiąc jej ograniczeń. Przez to nie stali się klerykałami: wprost przeciwnie. Nie stali się nawet praktykującymi jakąkolwiek religię; i to właśnie z powodu pewnego rodzaju "nadmiaru zainteresowania religijnego".

Droga, która charakteryzowała na przykład Pietra Citatiego i Elemira Zollę, których będziemy tutaj słuchać.

Od Citatiego, od tego pisarza (ważne jest zwrócenie na to uwagi), który nie ma żadnego powodu do frustracji lub do urazy, były bowiem dla niego otwarte, gdyby tylko tego chciał, wszystkie drzwi kultury, "która się liczy", otrzymałem znamienne wyznaczenie: "Przez pewien czas mniemałem, iż przynależę do tak zwanej kultury laickiej». Jest to termin, do którego obecnie odczuwam wstręt, który wywołuje we mnie zarazem odrazę i ironię". Usłyszemy, dlaczego.

Tak jak będziemy słuchać tego, co ma do powiedzenia Elemire Zoila, międzynarodowej sławy uczony zajmujący się kulturami, mitami, symbolami,

którego dystans od pewnej kultury racjonalistycznej był może jeszcze bardziej surowy i radykalny.

Pietro Citati

Ulica, przy której mieszka Pietro Citati w Parioli, ma nazwę odwołującą się do klasyki: Lutezia, Paryż Rzymian. Nazwa odpowiednia, biorąc pod uwagę, iż bodziec, który skłonił mnie do przyścia tutaj, pochodził także z książek napisanych trochę po łacinie i trochę po grecku: są to trzy tomy "Cristo, pewnego rodzaju zbiornik, który gromadzi to wszystko (mówią redaktorzy), "o czym ludzie marzyli, fantazjowali, wyobrażali sobie na temat postaci Jezusa, od początków chrześcijaństwa aż do końca średniowiecza, przedstawiając w postaci Boskiej najgłębsze wyobrażenia ich duszy".

Dzieło - jedyne w naszej kulturze i z niewielu odpowiednikami w innych - ukazuje się w pięknej serii wydawnictw Fondazione Lorenzo Valla i Arnoldo Mondadori Editore, redagowanej właśnie przez Pietra Citati ego. Określenie go "krytykiem literackim" byłoby uproszczeniem. W rzeczywistości Citati jest pisarzem, jest prozaikiem, który lubi prawie zawsze ukrywać swoje "powieści" pod formą biografii: od Goethego z 1970 roku do ostatniej Alessandro Magno, nie mówiąc o Tolstoju, która przyniosła mu "Premio Strega".

Jako dyrektor odpowiedzialny wydawnictwa Fondazione Valla (utworzonego dla ratowania i ponownego lansowania literatury klasycznej, greckiej i łacińskiej, od początków aż do renesansowego humanizmu) Citati wiele razy objawił swoje ogromne zainteresowanie tematyką religijną. W każdym razie również czytelnik nie najbardziej uważny, czytając rzeczy Citatiego (od artykułów literackich, w których jest mistrzem, w "Corriere della sera", do książek), zdaje sobie dobrze sprawę, że całe jego piarstwo jest nacechowane religijnością wstydliwą a zarazem głęboką. Rozmawiać z nim znaczy natknąć się na niespodziankę: włoski świecki człowiek, który w swojej młodości nie znał ani seminariów, ani klasztorów, a który jednak porusza się z ogromną pewnością w tym świecie teologicznym, tak obcym dla naszego przeciętnego inteligenta.

Nad Rzymem padał deszcz, gdy rozmawialiśmy w pięknym salonie jego domu, wśród klasycznych mebli i obrazów. Mówił tonem, w którym, jak się wydawało, szczypta humoru współistniała z wielką pasją, jednak stale powstrzymywaną przez dobre wychowanie i porządne studia.

- Panie Citati, jest pan literatem, nie tylko uczoneym i krytykiem literackim; dlaczego, według pana, nie rejestruje się już owych głośnych "nawróceń" pisarzy, które znaczyły drogę literatury europejskiej od romantyzmu aż do wczoraj?

- Trzeba uściślić najpierw rozumienie słowa "nawrócenie". Dla mnie nawrócenie ma swój wzór, bardziej niż w Augustynie (w którym dokonywała się powolna droga umysłowa, stopniowe zbliżanie się do chrześcijaństwa), w Pawle z Tarsu: załamanie, dramatyczne wtargnięcie Łaski i Boga. W tym znaczeniu największym konwertytą w literaturze włoskiej jest Manzoni: dramatyczne zdarzenie potęguje jego nerwicę, otwiera na oścież przepaść i czyni wielkiego pisarza z kogoś, kto bez tego przełomu zostałby może słabym poetą elegijnym, delikatnym romantykiem, jak wielu. Jeżeli to jest nawrócenie, wtedy tak, brakuje go całkowicie w naszych czasach.

- Potwierdza więc pan: te wstrząsające dramaty z drogi do Damaszku, jak widać, już się nie zdarzają. Pozostaje więc pytanie: dlaczego?

- Ponieważ nasze życie jest spokojne, zabezpieczone, niemal stale brakuje mu tragicznej wielkości, nie ma warunków dla dramatycznego pęknięcia.

- Na pewno brakuje tego naszym życiorysom; ale czy przypadkiem nie brakuje także czegoś religii, takiej jak dzisiaj jest rozumiana i przedstawiana?

- Właśnie, tak jest: spoglądając na chrześcijaństwo, zrzesa ono obecnie dobrych biblistów, uczonych filozofów, kompetentnych profesorów. Ale to nie wystarcza: został osłabiony sens grzechu, a zatem odkupienia; upadku i łaski, która leczy. Brakuje możliwości wykonania "skoku", radykalnej zmiany perspektywy.

- A więc dzisiejsze chrześcijaństwo zredukowane jest niekiedy do swego rodzaju humanizmu?

- Do humanizmu ospałego, na pewno nie do tego niespokojnego, płodnego

włoskiego humanizmu piętnastego wieku. Wielu ludzi ci dzisiejsi teologowie. Ja jednak ich nie czytam, lub prawie nie. Chcą wymyślić coś nowego, gdy tymczasem trzeba odzyskiwać, ożywiać tradycję dwudziestu wieków, pełną bogactw zdumiewających i nieznanymi. Tak, dzisiejsze chrześcijaństwo jest mierne, zwłaszcza w swoim odłamie protestanckim. Katolicyzm lepiej opiera się tej banalizacji.

- Dlaczego właśnie katolicyzm?

- Dlatego, że w odróżnieniu od chrześcijaństwa zrodzonego z Reformacji, nie wyczerpuje się w wierze wewnętrznej, nagiej, оголоconej, jeżeli nie oschłej. Katolicyzm jest najbardziej niezwykłą i udaną syntezą tego, co najlepsze w monoteizmie i najlepsze w politeizmie. Wyniknęło z tego jedyne w swoim rodzaju połączenie, nadzwyczajnej żywotności i uroku. Katolik może być ofiarą najbardziej radykalnego monoteizmu, w najbardziej intensywnym znaczeniu, niemal muzułmańskim, jedyności Boga; a równocześnie, obok tego Boga, może przyznawać miejsce wielu postaciom: świętym, Maryi. Proszę pomyśleć, jakie nadzwyczajne bogactwo symboliczne spowodowała obecność Matki Bożej: zrzekając się jej, protestanci odcięli cały wymiar kobiecy, istotny dla kompletności religijnej.

- A jednak, gdy mówi pan o katolicyzmie, niekiedy wymyka się panu słówko "my".

- Z pewnością: jestem katolikiem w znaczeniu psychologicznym, kulturalnym. Pyta mnie pan, czy jestem praktykującym? Nie, jako chłopiec byłem oziębłym wychowankiem jezuitów w Istituto Sociale di Torino. Później, przez jakiś czas uważałem, iż przynależę do tak zwanej "kultury laickiej". Jest to termin, do którego obecnie odczuwam wstręt, który wzbudza we mnie zarazem obrzydzenie i ironię.

- Dlaczego?

- Ponieważ laicyzm, zwłaszcza włoski, jest niezmierną głupotą, jest brakiem prawdziwej głębi, jest oświeceniową płytyzną. Jest kulturą (nawet jeżeli rzeczy nieco się zmieniają), która boi się wystawiać na nieznaną, na tajemnicę, która kryje się za osłoną swoich dodających otuchy schematów. Nie: literatura, ta prawdziwa, nie może być laicka". Bez walki z boskością nie ma literatury prawdziwej: tak się miała sprawa z Goethem, z Manzoniem, z Tołstojem; i z Kafką, nad którym i z którym pracuję: człowiek, który począwszy od pewnego momentu swojego życia mówił tylko o Bogu pod najrozmaitszymi pozorami.

- Wyciągając jakieś wnioski z tego, co pan mówi, podejrzewam, że - spośród wszystkich okresów religijnych - tym, który najbardziej pana fascynuje jest barok, reforma katolicka: czas wielkich dramatycznych nawróceń, tragicznego znaczenia Boga zagrażającego, eksplozji świętości katolickiej.

- Istotnie, tak jest. Tylko kultura mierna, jak oświeceniowa, mogła spoglądać podejrzliwie na wiek siedemnasty, na tę największą epokę, w której katolicyzm ukazuje swoją żywotność, swoją możliwość ożywienia wszystkich aspektów życia człowieka, od najbardziej powszednich aż do szczytów sztuki. Epoka najbardziej fascynująca, epoka katolickiego baroku, którą jedynie trochę niedorzeczni ideologowie mogą szkalować. Proszę pomyśleć, na mocy kontrastu, o okropnym rozsądkiem pewnych dzisiejszych teologów, którzy mają już bardzo mało wspólnego z prawdziwą religijnością. Mam nadzieję, że to zrozumiałe, dlaczego mnie nie pociągają i dlaczego ich nie czytam.

- A więc, żadni teologowie. Ale bibliści, współcześni badacze Pisma Świętego?

- Kazałem przetłumaczyć pierwszego, w redagowanej serii, Rudolfa Bultmanna, twórcę szkoły tak zwanej "demitologizacji" Biblii, która starała się pozabawić chrześcijaństwo wszelkiego aspektu mitycznego, jaki - według niego - jest już niezrozumiały dla dzisiejszego człowieka. Bultmann był bardzo godną osobą, bardzo zdolnym filologiem, niestrudżonym badaczem, ale jego "demitologizacja" chrześcijaństwa należy do rzeczy najbardziej bezsensownych, jakie kiedykolwiek wymyślono. Jest to sposób, by uczynić Biblię banalną i płaską. Powiadam, że im mniej ludzie religijni demitologizują, tym bardziej pomnażają formy tego, co boskie, i lepiej ma się religia.

- Można się zgadzać lub nie zgadzać z pewnymi metodami egzegetycznymi.

Pozostaje jednak fakt, który jest dla chrześcijanina niezmienny, mianowicie potrzeba ustalenia, jakie relacje zachodzą między Jezusem i historią; jaki jest związek między tym, co opowiadają Ewangelie, a tym co się rzeczywiście wydarzyło.

- Uznają to; lecz wyznają także, iż mnie samego ten problem mało interesuje. Wierzę w prawdę każdej linijki Ewangelii, ale równocześnie nie robię sobie problemów z erudycyjnej historii wokół Zmartwychwstania lub cudów Chrystusa. Nie robię żadnej różnicy między tym, co może być kronikarskiego lub mitycznego w Biblii: wszystko ma dla mnie tę samą wartość absolutnej prawdy. Nawet gdyby, przez niedorzeczność, Ewangelie miały być tylko znową znową ewangelistów, nawet gdyby Jezus miał nigdy nie istnieć (naturalnie tak nie jest), bogactwo symboliczne, teologiczne, literackie tych tekstów pozostałoby, przynajmniej dla mnie, nie zmienione. Poza wszelkimi trudnościami erudyta, Ewangelie są mimo wszystko "faktem boskim". Co rozumiem przez to słowo? Trudno to wyrazić. Nawet jeżeli łatwo wyczuć: mają pewne "natężenie", które powoduje odczucie Boga, rzucają nas w otchłań, która otwiera się poza historią.

- Ale czy to nie mogłoby się odnosić do jakiegokolwiek innego tekstu wielkiej tradycji religijnej lub nawet literackiej? Koran na przykład, lub Boska komedia albo Bhagavadgita Hindusów czy Hamlet!

- Nie, to "natężenie", ten "fakt boski" odczuwa się rzadko. Nie we wszystkich księgach świętych: w Koranie, na przykład, tylko w części. Nawet powiedziałbym, iż nie jest obecny w ten sam sposób w każdej księdze Biblii.

- Gdzie więc w niej osiąga swój szczyt, to tajemnicze "natężenie", które powoduje wyczuwanie Tajemnicy?

- Dla mnie w Apokalipsie, tekście, który najbardziej lubię. To tutaj, w mnóstwie innych symboli, znajduje się symbol drogich kamieni: białego i czerwonego. Cała Apokalipsa jest w tych dwóch kolorach: biały aniołów, starców, łaski; czerwony krwi, nierządu, gniewu Bożego. Czerwone i białe jest także oblicze Boga, które w Niebieskim Jeruzalem się przemienia i w końcu staje się tylko światłem. Już nie dobro i zło, już nie łaska i grzech, ale światło. Oto raj, który sobie wyobrażam: Niebieskie Jeruzalem, świetliste.

- Natomiast piekło?

- O nim myślę mniej. Zrozumiemy się, wierzę w diabła jako zło absolutne, jako zło dokonane przez miłość zła. Może, nieświadomie, odsuwam go; ale wyobrażanie sobie ukarania grzesznika mniej mi odpowiada. A nawet powiem, że o śmierci (przynajmniej mojej) prawie nigdy nie myślę.

- Zdarza się jednak panu myśleć o śmierci w najwyższym znaczeniu, o śmierci Chrystusa?

- Mogę powiedzieć, że znam niemal na pamięć opowieści o Męce. Mówiłem o Apokalipsie, ale jeżeli przejdziemy do Ewangelii, to temat ukrzyżowania i śmierci Jezusa najbardziej rozbrzmiewa mi w duszy. Jest to moment najdonioślejszy, moment, w którym stykają się dwie sfery: cierpienie Chrystusa odsłania plan Boży dotyczący historii ludzkiej.

- Pozostając przy Ewangelii, oprócz tych o tajemnicy paschalnej, które inne stronicie są panu najbardziej drogie?

- Oczywiście Kazanie na górze z jego błogosławieństwami: stronicie tak bardzo bogate, że nie do zgłębienia. Doznaje się tam takiego samego zawrotu głowy, jaki się odczuwa czytając niektóre listy Pawła: do Rzymian, drugi do Koryntian. Koncentrat inteligencji w stanie czystym! Nie można przypuścić, że człowiek mógłby myśleć z większą głębią.

- Aż dotąd poruszaliśmy się, w koncentrycznych kręgach, wokół problemu. Aby dojść do rdzenia, który znajduje się w centrum, gdzie widzi pan siłę chrześcijaństwa, jego istotę, zasadę, wokół której wszystko się organizuje?

- Nie ma wątpliwości: jest nią niezwykła idea Wcielenia, Boga wszechmogącego, który przyjmuje śmiertelne ciało ludzkie. W ten sposób materia zostaje uświęcona, raz na zawsze; całe profanum zostało przyjęte w samo Sacrum. Dlatego tak bardzo są ważne, dla wszystkich, teksty, które redaktorzy (Orbe, Simonetti, Leonardi) zebrali w tomach Cristo. Tam, w dyskusjach pozornie abstrakcyjnych zapomnianych teologów o naturze Słowa, znajdujemy w rzeczywistości korzenie naszej myśli. Jeden przykład między

innymi: niektórzy judeochrześcijanie wierzyli, że Chrystus był aniołem, stworzeniem pośrednim między tym co boskie i ludzkie, nie prawdziwym człowiekiem. Gdyby przewagę zdobyła ta doktryna (która reprezentuje, w gruncie, zawsze powracającą pokusę spirytualistyczną) cały Zachód byłby inny, byłby podobny do buddyjskiego Wschodu, z jego odrazą dla materii, z jego walką przeciwko ciału, z jego obojętnością dla problemów historycznych. Również sztuka byłaby inna: nie istniałoby malarstwo weneckie ani flamandzkie, z ich plastyczną dokładnością. Może nie zdajemy sobie już nawet sprawy z decydującej historycznej ważności, jaką miało przyjęcie chrześcijańskiej idei Boga wcielonego.

- Idea, która osiąga swój szczyt, prawie nie do zniesienia, w katolickim pojęciu Eucharystii: Ciało i Krew Chrystusa, które stają się pokarmem, które łączą się z naszymi wnętrznościami.

- Obawiam się, niestety, że wielu dzisiejszych teologów nie wierzy już w materialność Eucharystii, właśnie z powodu jej charakteru mało "wykształconego", na pewno gorszącego: w gruncie jest to pewien rodzaj sakralnego kanibalizmu. A jednak, zaniechanie wiary w tę materialność stałoby się najcięższą stratą, nie tylko dla katolików, dla wszystkich ludzi.

- Panie Citati, nikt z nas nie jest prorokiem, ale każdy z nas, wcześniej lub później, angażuje się w grę o przyszłość. Jak według pana przedstawia się przyszłość religii?

- Zupełnie brak mi daru prorocstwa. Mogę sądzić jedynie na podstawie wielkich tendencji kulturalnych, które, jak mi się wydaje, dostrzegam. Widzę dokoła powracające wielkie zainteresowanie dla rozważań religijnych. Proszę pomyśleć, że jeszcze przed kilku laty "laik" przyłapany na czytaniu książek teologicznych był uważany prawie za głupca. Klimat się zmienia, zainteresowanie jest obecnie bardzo żywe. A jednak ten zdumiewający wzrost "popytu" spotyka się z ubóstwem, niejako niemożnością "podaży". Jak gdyby z niezdolnością do dania odpowiedzi przez tych, którzy jeszcze poruszają się w wymiarze religijnym.

- Nie myślał pan nigdy o napisaniu, po życiorysach tak wielu ludzi, życiorysu Człowieka w najpełniejszym tego słowa znaczeniu?

- Nie byłbym najzupełniej do tego zdolny: odczuwam całą moją bojaźń, moją cześć, moją niezdatność. Słowa Nazarejczyka nie mają ograniczeń; a ja jestem pełen ograniczeń, począwszy od ograniczeń językowych. Jezus, nie, nie potrafiłbym nigdy. Święty Paweł, być może: o nim myślę niekiedy, nawet jeżeli jest to zamiar, który może napęlić lękiem. Zobaczmy. Proszę mi pozwolić nie troszczyć się o przyszłość.

Elemire Zoila

Miał rację Pietro Citati, wówczas konsultant wielkiego wydawcy laickiego, który w 1963 roku zlecił antologię tekstów mistycznych trzydziestosiedmiolietniemu pisarzowi i eseście. Kiedy spotkałem tego człowieka, upłynęło już od tego ponad dwadzieścia lat, ale dla autora skutki książki wciąż jeszcze trwały.

Tym człowiekiem jest Elemire Zoila (osobliwe francuskie imię nadał mu ojciec, turyński malarz, wielbiciel pisarza Elemire'a Bourges), obecnie wykładający literaturę anglo-amerykańską na uniwersytecie w Rzymie. Zoila, znany może bardziej w Stanach Zjednoczonych niż u nas - jego *letterati e lo sciamano* zostało uznane za najlepsze dzieło o kulturze Indian amerykańskich - jest autorem licznych książek na tematy niepokojące i fascynujące (antropologia, historia różnych tradycji, alchemia, astrologia), których jest jednym z największych ekspertów światowych. Między innymi jest założycielem i dyrektorem przeglądu "Conoscenza religiosa", otwartego dla głosów najbardziej starożytnych (a zarazem najbardziej aktualnych) kultur tradycyjnych i sapiencjalnych, które Oświecenie zachodnie chciało stłumić. Przed epizodem z 1963 roku, nic nie wskazywało na to, że Zoila zostanie zamknięty w gułagu przygotowanym przez pewną kulturę. A nawet, wydawało się, że już jako młody intelektualista, jest przeznaczony do dokooptowania na godne miejsce przy stole tejeż kultury. Były wszystkie tego przesłanki, ponieważ jego pierwsze dzieło, powieść *Minuetto "Winferno"*, zostało wydrukowane przez bardziej niż "właściwego" wydawcę i otrzymało natychmiast

nagrodę tyleż samo "właściwą": Einaudi i Strega. Również dzieła, które nastąpiły po nim (druga powieść, następnie esej *Eclisse de Wintelet-tuale*) zostały dobrze przyjęte. Wystarczy powiedzieć, że antologia mistyków była poprzedzona inną, tekstów współczesnych moralistów (w znaczeniu, rozumie się, literackim, społecznym, politycznym) przygotowana wręcz na cztery ręce z Alberto Moravią, najwyższym kapłanem pewnego "kręgu".

Tymczasem doszło do tego wyboru tekstów z mistyki. Zoila opowiedział, co się zdarzyło w zatłoczonym apartamencie, jednej z wyróżniających się siedzib jego wydziału, w okolicy piazza Indipendenza.

- Ależ tak - mówił ze swoim ironicznym uśmieszkiem, nieco zagadkowym - za tych mistyków zapłaciłem drogę. Cały świat kultury, który się liczy, powstał przeciwko mnie. Ze zdumieniem przyjąłem do wiadomości okrutne ataki prasy, i to takiej, jak prasa włoska, która prawie nigdy nie krytykuje gwałtownie, biorąc pod uwagę, że duża część współpracowników jest między sobą powiązana w środowisku wydawniczo-kulturalnym. Przeciwno mnie natomiast rozpuściła się wściekłość. Stałem się czarnym ludem, którym straszy się dzieci.

Ale dlaczego taka reakcja? Znowu ironiczny uśmieszek, spokój kogoś, kto się nie przejmując, oczekując mało lub niczego od ludzi:

- Czego pan chce, zajmując się takimi tematami, jak mistyka, zwłaszcza w latach zachwytów technologicznych, postępowych, odurzenia pierwszym cudem ekonomicznym - zostałem uznany winnym pogwałcenia ślubu laickości. I wyrzuconym więc ze zgromadzenia.

Czasy się zmieniają, zainteresowania i refleksje, jakie Zoila przez lata kultywował samotnie, niekiedy wręcz jako wykluczony, wypływają znowu. Wśród ruin nowoczesności coraz bardziej zdobywają prawo obywatelstwa pytania, które on, jeden z pierwszych wśród nas, stawiał: a jeżeli pogardzane kultury preindustrialne, jeżeli mądrość tradycji religijnych każdego kontynentu miałyby rację i znaczyłyby o wiele więcej niż erudycja bez mądrości, która cechuje wyjąłowany już Zachód? Mówił słowami mocnymi, ale tonem spokojnym, cichym:

- Oszałamiające obelgi lub milczenie uderzają w tego, kto ośmiela się sprzeciwiać zabobonemu kultowi Wiedzy, celebrowanemu przez nowych kapłanów, owych "ekspertów", którzy teraz nie potrzebują nawet odwoływać się do ramienia świeckiego, aby odebrać dziesięciny, hołdy, posłuszeństwo spóółstwa.

Tym jego tematami i pytaniami zagraża dzisiaj, najwyżej, że staną się modne, a może nawet będą pretekstem dla nowych snobizmów i nowych sił (a to przeraża antykonformizm Zoili). Ale dlaczego przygotowanie tylko antologii tekstów mistycznych zostało ocenione wtedy jako coś tak bardzo niebezpiecznego, iż spowodowało zadekretowanie dla redaktora odpowiedzialnego ostracyzmu, getta, wygnania? ("Nad moim przyjacielem Elemirem Zollą została rozciągnięta zasłona milczenia", zaświadczył jego znakomity kolega z tego samego uniwersytetu, filozof katolicki Augusto Del Noce).

- Dlaczego tak niebezpieczne? - odpowiedział na moje pytanie - Ależ dlatego, że gromadząc znaleźiska, ponosiłem odpowiedzialność za informowanie o realności świata, który wymyka się uspokajającym schematom, zbudowanym jak barykady przeciw niepokoju, przez tę naszą biedną "kulturę". Jest to kultura pochylająca się nad samą sobą, obawiająca się nowego, a która mimo to uważa się za "nowoczesną" i wręcz chwali się z dumą swoimi ograniczeniami. Dla tej kalekiej kultury mistycy są pomyłoną ciotką odosobnioną w wieży. Jeżeli ktoś słyszy jej krzyki, powinien udawać, że nic się nie stało. Ja natomiast zebrałem te wołania: stąd kara, na którą sobie zasłużyłem. Owe wołania - mówił dalej - są tak bardzo nieznośne, ponieważ wzbudzają wątpliwość co do chwiejnych racji agnostycyzmu, ateizmu: - Studiując autorów mistycznych, odkrywa się u nich taką niezmienną tematów i akcentów (od orfizmu antycznej Grecji, aż, kto wie?, do ojca Pio z Pietralciny), że muszą świadczyć one w niepodważalny sposób o tajemniczej rzeczywistości, mieszczącej się poza wszelką możliwą krytyką.

Niepokojący dowód prawdy religijnej, gdy się pomyśli, że mistyka jest "konkretnym doświadczeniem boskości", jest "poznawaniem Boga" nie przez filtry i mroki rozumu, lecz niejako w bezpośrednim kontakcie. - Wywiera

wrażenie fakt, że nie ma zasadniczych różnic między tym, co relacjonują mistycy religii: Rzeczywistość, do której dochodzą, Tajemnica, którą poznają, wydaje się, zawsze i wszędzie, ta sama. Zrozumiałem teraz lepiej strach: należało odizolować ZoUę, ponieważ droga wybrana przez niego zagrażała dojściem do nieodpartego znaku zapytania. Jeżeli mianowicie przez wszystkie przeszło trzydzieści wieków historii ludzkiej, dla której mamy pisemną dokumentację, najlepsi ludzie każdego czasu i kultury relacjonują o swoich spotkaniach z Tajemnicą, dając takie samo świadectwo; a więc, jeżeli jest to godne zaufania, wtedy staje się konkretnym ryzyko, że ta Tajemnica istnieje rzeczywiście, otacza nas już teraz i oczekuje nas po drugiej stronie życia.

Coś, co może utwierdzić wierzącego (do jakiegokolwiek religii należy), ale przeciwnie, wywołuje reakcje epigonów cywilizacji, która (on sam to powiedział) "od dwóch wieków uzależnia człowieka zachodniego, ponieważ używa tylko połowy swojego mózgu: tej, która kieruje logiką. Ale jest druga połowa, równie, jeżeli nie bardziej ważna, która została dotknięta atrofią: to ta, która nie obcuje z bezsilną jałowością rozumowania, ale pojmuje symbol, metaforę, głęboki związek między wszystkimi rzeczami". Połowa więc mózgu, jaka kieruje ową Tradycją, która w każdym narodzie i kulturze jest w sposób istotny religijna. Jak Citati, również Zoila, zafascynowany bogactwem wszystkich religii, twierdzi, iż nie potrafi, nie chce wybierać:

- Czuję się wszystkim. Jestem rozbójnikiem: nie ma żadnej mądrości religijnej na świecie, której bym nie chciał uczynić własną.

Trzeba zgodzić się z nim, kiedy mówi:

- Musimy kochać naszą religię, tę, która prowadzi nas do spokoju wiecznego, nie znieważając innych dróg zbawienia.

Ale wydaje się pewne, że jego wizja ("Wszystkie tradycje są tylko promieniami jednego słońca") kończy się w synkretyzmie, choćby nawet fascynującym, i w dominującym zainteresowaniu symbolem, mitem - ze szkodą dla historii - co nie może zadowolić chrześcijanina, który stawia swoje karty na historię zbawienia.

Niemniej jednak, to właśnie temu jego instynktowi "wszystko jedzącego", religia ogólnie, więc także i chrześcijaństwo, zawdzięczają wiele: ten człowiek docierał niestrudzenie do najodleglejszych zakątków świata („te - mówi - coraz rzadsze, do których plaga arogancji i ślepoty współczesnego Zachodu jeszcze nie dotarła”), miewał tam najbardziej niezwykle spotkania, przyszukiwał biblioteki i archiwa najbardziej tajne, aby dojść do jedyne, przemyślanego wniosku. Do wniosku, który tak streszcza:

- Nie ma drogi, która prowadziłyby do prawdy, do światła, do poznania, do wewnętrznego pokoju, która nie przechodziłyby przez mądrość Tradycji religijnej.

Dosyć to niezwykle, jak Elemire Zoila - wróg mentalności oświeceniowej - zgadza się z Luigim Firpo (którego słuchaliśmy jako jednego z najznamienitszych głosów neooswiecenia) we wcale nie podrzędnym punkcie: w najsurowszej krytyce szybkiego porzucenia tysiącletniej tradycji (zwłaszcza liturgicznej, ale także teologicznej) dokonanego w tych latach przez niektórych ludzi Kościoła katolickiego. Gdy Firpo, z ironią laika, ale z goryczą człowieka, który wie jak bardzo to, co chrześcijańskie, stanowi wspólne dziedzictwo kulturowe, mówił o "niewiarygodnym widowisku wspólnoty religijnej, która pozbywa się najbardziej czcigodnej tradycji świata", Zoila opłakiwał (z udziałem homo religiosus), "szalone zniszczenie, w imię oświeceniowego mitu liturgii rozumiałej dla wszystkich, najcenniejszych skarbów Kościoła".

Na pytanie, dlaczego to się stało, ma natychmiastową odpowiedź:

- Stało się to, ponieważ zabrakło miłości, ponieważ przeważała pycha racjonalizmu. W każdym razie, nie ma przyszłości dla Kościoła, który nie stawia na najwyższym miejscu mistyki, kontemplacji.

ROZDZIAŁ V

Żyd i kobieta-antropolog "dla" Jezusa

Nasza sonda posuwa się naprzód dzięki tym spotkaniom, które, jak powiedzieliśmy, mogą wydawać się zaskakujące, ale które mają swoją logikę. Oto więc profesor Uniwersytetu Jerozolimskiego i jego koleżanka z Uniwersytetu Rzymskiego.

Dawid Flusser i Ida Magli: jedyny Żyd, który w uczelni żydowskiej wykłada historię początków chrześcijaństwa; oraz laicka pani antropolog, która zastosowała do Założyciela chrześcijaństwa pojęcia swojej nowoczesnej dyscypliny. Obydwójka łączą bardzo interesujące wyniki, które mogą rozjaśnić (lub zageścić, zależnie od punktów widzenia), tajemnicę wiary. Niemożliwe jest stawianie sobie pytań o Jezusa bez uwzględnienia jego semickich korzeni, bez wysłuchania tego, co może powiedzieć o nim jego naród. Rozmawialiśmy o tym z tą wyjątkową osobistością, jaką jest profesor Flusser. (Ale problem stosunków z Izraelem wypłynie także w innym spotkaniu, z arcybiskupem Paryża, Lustigerem, nawróconym z żydostwa i który został kardynałem.)

Ida Magli, o formacji katolickiej, obecnie stojąca na pozycjach laickich, które nie wykluczają czasami polemiki dotyczącej Kościoła instytucjonalnego, jedna z pierwszych zaczęła praktykować u nas antropologię kulturalną, dyscyplinę należącą do najbardziej płodnych. Zarówno Flusser jak Magli poświęcili postaci historycznej Jezusa z Nazaretu książki, które wywołały wielką dyskusję i które (mimo iż poruszają się na zewnątrz wiary, a nawet dzięki właśnie tej „obiektywności”) świadczą nie tylko o fascynacji, jaką wywołuje Bohater Ewangelii, ale także dzięki niewytłumaczalnemu bogactwu orędzia, które wymyka się każdemu roszczeniu uwolnienia się od niego zbyt łatwo.

David Flusser

Jest serdeczny, uśmiechający się, ubrany byle jak. W konwersacji trochę gwałtowny, przechodzi z jednego języka na drugi, zmieniając nieskazitelną łańcuch średniowieczną na niemiecki, na francuski, na włoski (ale, mówi, "zbyt dobrze znam hiszpański, aby go nie wplątać"), jakieś niezrozumiałe wyrażenie, które może pochodzi z jego rodzinnych Czech. Mieszka w nowej dzielnicy Jerozolimy, w willi z małym ogrodem; furtka i drzwi są zawsze otwarte, zgodnie ze starą żydowską gościnnością.

Rozmowę często przerywają rozmowy telefoniczne dziennikarzy, którzy pytają pana domu, lub wtargnięcie ekip telewizyjnych, które w pośpiechu montują reflektory, nagrywają kilka wypowiedzi po hebrajsku i prędko odjeżdżają ciężarówką. Człowiek, który mieszka tutaj, pod numerem 10 Alcalay Street w Jerozolimie, należy do najbardziej wyjątkowych, słuchanych i znanych w Izraelu.

Dawid Flusser urodził się we Wiedniu, wychowywał się w Pradze, wyemigrował do, jak się wtedy nazywała, Palestyny, w 1939 roku, i jest największym dzisiejszym badaczem żydowskim Żyda wczorajszego, nazywanego Jezusem z Nazaretu.

Jego książka Jesus odbyła podróż dookoła świata: nieco ponad 150 stron, ale w bogatej i popularnej formie podsumowują one, życie poświęcone studiom na najwyższym poziomie.

Spotykamy się tutaj, w jego willi, przed spotkaniem z publicznością (i z niewiadomymi) w audytorium Fundacji Van Leer, gdzie tego wieczoru pierwszy raz w czasach współczesnych, otworzymy, w samej Jerozolimie, dyskusję nad Chrystusem. On i ja zostaliśmy rzeczywiście wezwani do publicznej konfrontacji na temat tego Galilejczyka, którego my "poganie" uznajemy za Mesjasza. Zresztą razem z licznymi Żydami i dzięki nim zbyt często zapomina się, że chrześcijanie są nimi, ponieważ uwierzyli apostołom, ewangelistom, uczniom - wszystkim, bez wyjątku, synom Izraela - przekonany, że w Jezusie naprawdę objawił się Chrystus, którego ich Pisma żydowskie przepowiadały i którego ich naród żydowski oczekiwał. Tak było nie tylko na początku:

jeszcze około 250 roku Orygenes oceniał na 150 tysięcy Żydów według pochodzenia a chrześcijan według religii. Chodziło o odsetek dosyć wysoki, ponieważ jeszcze sto lat później, już po oficjalnie osiągniętym zwycięstwie nad pogaństwem, liczba chrześcijan w Cesarstwie stanowiła nieliczną mniejszość skupioną w miastach. Nie da się więc utrzymać starego mitu o "niewierzącym Izraelu", przynajmniej w całości i

przynajmniej w pierwszych wiekach, aż dotąd mianowicie, kiedy rozłam między korzeniem i drzewem stał się prawie nie do pokonania. Mówimy "prawie" ponieważ są jeszcze wyjątki, i to dosyć znaczne. Jak ten obrzezany chłopiec, syn polskich Żydów, niejaki Aaron Lustiger, który pewnego dnia postanawia przyłączyć do swojego biblijnego imienia dwa inne imiona, zarazem żydowskie i chrześcijańskie (Jean-Marie) i zostaje aktualnym kardynałem arcybiskupem Paryża. Będziemy słuchać także jego.

- Czuję się jak mój starożytny rodak, Szawel nazywany Pawłem z Tarsu - zwierza się Flusser, żartując, ale nie za bardzo. - Jak on, przystając na mówienie o Chrystusie poważnie ryzykuję, nie stając się niczym przyjaciele: ani chrześcijan, wielu z nich nie podoba się moje usiłowanie odzyskania Jezusa dla kultury żydowskiej; ani pewnym Żydom, którzy mi nie wybaczą, iż zajmuję się Człowiekiem, w imię którego zadano im tak wiele cierpień.

Istotnie, audytorium, w którym toczy się dyskusja, zastajemy obsadzone przez policję, która bała się obrzucenia kamieniami przez Żydów ortodoksyjnych; następnego dnia niektóre dzienniki w sprawozdaniach uszanowały chrześcijańskiego gościa, ale nie szczędziły krytyki swojemu rodakowi. Zresztą, wbrew zachętom i serdecznej brawurze przewodniczącego, Izraelczyka, zatłoczona widownia, złożona z miarodajnych reprezentantów dwóch religii, pozostawała zamknięta w milczeniu, nie chcąc dyskutować. Może było to skrzepowanie, może coś innego, głębszego, nasze prowokacje, obydwu rozmówców, trafiały w próżnię. Z jednej strony i z drugiej, tragedia niezrozumienia jest zbyt głęboka, aby mogła wygasnąć.

Jeżeli chodzi o problem historyczności Ewangelii, ten żydowski profesor historii chrześcijaństwa na Uniwersytecie Jerozolimskim nie ma wątpliwości ani wahań. "Jezus - napisał właśnie we wstępie do swojej najbardziej znanej książki - jest Żydem z I wieku, którego życie i myśl znamy najlepiej". Jako znawca (w odróżnieniu od wielu specjalistów pochodzenia chrześcijańskiego) całej ogromnej literatury starożytnej w językach hebrajskim i aramejskim, Flusser mówił z ironią o profesorach zachodnich, według których "warunkiem koniecznym, aby stać się chrześcijaninem jest wyznawanie, iż Jezus nigdy nie istniał; lub przynajmniej uznawać, że niczego nie wiemy o nim historycznie pewnego". Niech wystarczy jeden przykład: według wielkiej części racjonalistycznych krytyków Nowego Testamentu epizod wymiany Jezusa na Barabasa został wymyślony przez Kościół pierwotny, aby usprawiedliwić Piłata i oskarżyć bez ratunku Żydów, którzy wybrali zbrojną zbroję zamiast swojego Mesjasza. Otóż Flusser uważa ten epizod nie tylko za całkowicie prawdopodobny, ale potwierdza, rozporządzając dowodami, zwyczaj gubernatorów rzymskich w Palestynie uwalniania z okazji święta Paschy jednego więźnia.

Praca Flussera jest więc cenna dla każdego, kto, poza całą troską apologetyczną, szuka prawdy w Piśmie Świętym. Sławny ojciec dominikanin Pierre Benoit z „Revue Biblique”, również mieszkaniec Jerozolimy, recenzując jego książkę, napisał: "Czytając jego stronicę, czytelnik chrześcijański może nie zgadzać się z licznymi istotnymi punktami, ale nigdy nie czuje się dotknięty. Ich ton nigdy nie jest przykry, lecz zawsze pełen szacunku i sympatii. Jest oczywiste, że profesor Flusser darzy szacunkiem tego niezwykłego Żyda, jakim był Jezus".

Ale dlaczego, pytam go, zdecydował się poświęcić swoje studia Żydowi z Galilei, tak bardzo odbiegającemu od normy? Decyzja, tłumaczy mi, zdarzyła się wtedy, gdy jako młody student filologii klasycznej w Pradze widział swój kraj zagrożony, a potem zaatakowany i wchłonięty przez nazistowskie Niemcy.

- Nie byłem ateistą, byłem indyferentny. Byłem zasymilowanym Żydem, jednym z wielu, którzy podtrzymywali złudzenie, że teraz w Europie środkowej, światłej i kulturalnej, także my byliśmy obywatelami mającymi pełne prawa. W rzeczywistości Hitler przyszedł otworzyć nam oczy.

Jak zdarzało się to wielu, właśnie prześladowanie pobudziło młodego Dawida do odkrycia jego tożsamości. Znał języki klasyczne, ale bardzo mało hebrajski: uczył się go, zaczął czytać, natrafił również na Józefa Flawiusza, historyka z epoki drugiej świątyni i jej zburzenia w 70 roku.

- Potem, na krótko przed wyjazdem z Czechosłowacji, nawiązałem kontakt z

braćmi czeskimi, wspólnotami ewangelickimi, które miały później razem z Żydami cierpieć prześladowania nazistowskie. Bracia usiłowali nawrócić mnie na chrześcijaństwo: nie udało im się to, ale zachęcili mnie do czytania Ewangelii. Od pierwszej strony zorientowałem się, że Nowy Testament może mi pomóc lepiej zrozumieć moją żydowskość.

Dzięki także tej osobistej historii jego ogólna opinia o chrześcijaństwie jest bardzo zrównoważona. Teraz mówię mu jako o czymś oczywistym, że chrześcijanie powinni odkryć w judaizmie korzenie swojej wiary, jak zresztą namawiał już do tego św. Paweł ("obrzezany ósmego dnia, z rodu Izraela, z pokolenia Beniamina, Żyd, syn Żydów", jak siebie określa: inny więc, i z pewnością nie mniejszy, w którego słowa my, poganie, uwierzyliśmy), a czy jest coś, czego judaizm mógłby nauczyć się od chrześcijaństwa? Odpowiedź, którą jednak liczni jego współwyznawcy kwestionują, pochodzi z jego tezy, przy której bardzo obstawał: Jezus z Nazaretu mianowicie jest według niego zanurzony w żydowskiej tradycji prorockiej, oprócz jednego punktu na pewno nie podrzędnego, w którym tradycja Izraela została przewyższona: chodzi mianowicie o miłość także do nieprzyjaciół i do grzeszników.

W miłości bezwarunkowej Flusser dopatruje się wielkości (oraz niebezpieczeństw, jak zobaczymy) Ewangelii:

- Islam dopuszcza i niekiedy zaleca nienawiść; judaizm jej zabrania; chrześcijaństwo głosi (lub powinno głosić) miłość. Dla chrześcijanina uczucie nienawiści nie powinno znajdować żadnego usprawiedliwienia, w żadnej okoliczności i do nikogo. Ten zakaz nienawiści nie jest taki silny w judaizmie, przynajmniej w urzędowym, w którym nie ma wyraźnego przykazania aby modlić się także za nieprzyjaciół, prześladowców, grzeszników. Jest tak, że Izrael nie wyciągnął ostatecznych konsekwencji ze swojego orędzia, pozostawił niejako w letargu pewne swoje tendencje, które natomiast chrześcijaństwo rozwinęło: jedną z nich jest miłość bezwarunkowa do wszystkich.

To, uściśla jednak natychmiast, w teorii: - Rzeczywistość, jak widzieliśmy przez wieki i w dalszym ciągu widzimy, jest bardzo odmienna: chrześcijanie podtrzymywali uczucia, przed którymi powinni się bronić, zgodnie z literą ich orędzia.

W każdym razie, przynajmniej w trzech punktach, mówi Flusser (potwierdzając, co napisał w Jesusie), Jezus był "rewolucyjny", oderwał się mianowicie od uwarunkowań swojego żydowskiego środowiska: nie tylko "w radykalizacji przykazania miłości", ale również "w koncepcji Królestwa", którego pełne i widzialne urzeczywistnienie nie jest oczekiwane na ziemi, ale odroczone do Nieba; i wreszcie "w wezwaniu do nowej moralności", zwłaszcza w przezwyciężeniu bariery norm "czyste" i "nieczyste", w wyzwoleniu od szabatu (który "jest dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu"), w swoim życiu "w złym towarzystwie", z grzesznikami, nierządnicami, samarytanami.

Ale... jest jedno ale:

- Czy rzeczywiście jest dobra - pyta - ta miłość bez warunków, głoszona przez Jezusa, który rozciągnął aż do ostatecznych granic doktrynę o miłosierdziu, nauczaną w jego czasach przez pewne odłamy faryzeuszy? Jak Sokrates spowodował kryzys rozumu, tak Jezus podważył pewności moralne. Obydwaj zostali skazani na śmierć. Czy może nie dlatego, że zagrażali samym podstawom współżycia społecznego? - Mówi dalej: - Stosując jego słowa do samej Ewangelii ("poznacie drzewo po jego owocach"), właśnie w tych latach widzimy owoce tych względów dla grzeszników zapoczątkowanych przez orędzie Jezusa w kulturze zachodniej. Złodziej, morderca, grzesznik stają się prawie uprzywilejowani lub przynajmniej "braćmi", do których ludzie są gotowi stosować wszelkie okoliczności łagodzące. Sprawiedliwy, przyzwoity są natomiast karani, wyzwała się przeciw nim pogarda.

Dla chrześcijanina byłoby trudno podążać za Flusserem w jego argumentacji, w której zdaje się brzmieć moralność starotestamentowa oko za oko, ząb za ząb. O te właśnie problemy zapytałem praktykującego i zdecydowanego katolika, deputowanego partii demokratyczno-chrześcijańskiej, Oscara Luigiego Scalfaro, wówczas ministra spraw wewnętrznych, a więc także szefa policji. Otrzymałem od niego odpowiedź, że wierzący w Chrystusa nie może oddzielać miłości od prawdy: a to pozwala dobrze rozróżniać między

"przestępcami" a "uczciwymi" (przynajmniej w oczach ludzkich) i pozwala następnie, w imię prawdy, ścigać tego, kto pogwałcił prawo, bez naruszania przez to przykazania miłości.

Lecz Flusser zarzuca Kościołowi, zwłaszcza dzisiejszemu, że nie bierze bardziej zdecydowanego udziału w sprawach "ziemskich". Z jego żydowskiego punktu widzenia dystans urzędowego chrześcijaństwa w stosunku do problemów także politycznych wydaje mu się niewybaczalny. Jak napisał I. M.

Choucroun, inny współczesny Żyd, w swojej "apologii judaizmu": "Jeżeli dzisiaj świat szamoce się w tragicznym kryzysie, którym nie jest nic innego jak oddzielenie tego co duchowe od tego co doczesne, czy może również chrześcijaństwo nie ponosi za to jakiejś odpowiedzialności? Zbyt długo głosiło oderwanie od świata, zbyt długo obstawało przy samej wierze, a zaniedbywało działanie», podczas gdy prorocy Izraela wzywali z mocą królestwa Bożego także w mieście świeckim".

Dla Flussera, jak dla wielu innych w tradycji żydowskiej, Pismo Święte jest także narzędziem organizacji społecznej.

- Począwszy od rewolucji francuskiej - mówi - Kościół pogodził się z tym, że świat pójdzie swoją własną drogą. Mimo wszystko, bardziej wyrazista obecność chrześcijańska w sprawach społecznych i politycznych mogłaby uczynić nasze czasy mniej okrutnymi.

Mówiliśmy, że w tej pretensji wyraża się ukierunkowanie całej tradycji żydowskiej, od Tory do Talmudu, aż do myślicieli bardziej współczesnych. Miałem potwierdzenie tego, stawiając pytania Vittorio Segre, Izraelczykowi włoskiego pochodzenia, pisarzowi, bliskowschodniemu korespondentowi wielkich dzienników ("II Giornale" z Mediolanu, "Le Figaro" z Paryża), gdzie podpisuje się jako R. A. Segre. To on, między innymi, miał przewodniczyć dyskusji, której nie było, w Jerozolimie. Segre jest szczególnie przygotowany do mówienia na takie tematy, będąc sławnym i cenionym wykładowcą "żydowskiej myśli politycznej" na uniwersytecie w Hajfie. On także ubolewał, spotykając się ze mną, że chrześcijaństwo zrezygnowało z tego, co jest "jego obowiązkiem podjęcia się zadań społecznych i politycznych".

- Wychwalaliście świętość jednostki - mówił - ale, począwszy od pewnego okresu historii, już nie staraliście się uczynić "świętym" także społeczeństwa.

Istotnie, państwo Izrael, mimo nieuniknionych kompromisów i złagodzeń, jest pod tym względem "teokratyczne". Tę samą formę orientacji spotyka się, z często bulwersującą zjadliwością, jak wiemy, w innym semickim monoteizmie, w islamie.

A przecież to, co gorszy Żyda (lub muzułmanina) jest tymczasem dla wielu chrześcijan jednym z najcenniejszych aspektów ich wiary. Wśród licznych wysłuchanych na ten temat był także kolega profesora Segre: Gianfranco Miglio, wykładowca nauk politycznych na Uniwersytecie Katolickim w Mediolanie (gdzie jest również dziekanem wydziału nauk politycznych).

- Dla mnie, politologa - mówił Miglio - nadzwyczajną nowością chrześcijaństwa jest fakt, że po raz pierwszy w historii orędzie wiary potrafiło odróżnić sferę religijną od sfery politycznej. Wystarczyłoby owo "dajcie Cezarowi, co jest cesarskie, a Bogu, co jest boskie" dla ukazania ogromnego pozytywnego znaczenia Ewangelii.

Gdy przypomniałem Flussierowi te słowa Jezusa, które uwalniają religię od "złego towarzystwa" wielu polityków, od kompromisów, od niejasności, a równocześnie przywracają uprawnioną autonomię działaniu w historii, jego odpowiedź zabrzmiała bulwersująco, przynajmniej dla katolika wyrosłego w klimacie soborowym: "Ale jeżeli państwo jest religijne, to, co się daje Cezarowi, to daje się Bogu!"

Jakkolwiek by było, musimy, jak ktoś powiedział, szanować i kochać judaizm "jaki jest, a nie dlatego, że jest taki, jaki nam się podoba". Nieś Boga także do polis, do miasta, stanowi zasadniczy element tradycji Izraela, od najdalszych początków do dziś: trzeba to przyjąć do wiadomości.

Rozmawiając z Flussierem spostrzega się, że również liczne inne tematy, ważne dla "aggiornamento" katolickiego, nie zyskują jego sympatii, który je rozpatruje z żydowskiego punktu widzenia. Nie tylko nie podoba mu się uwolnienie się Kościoła od bezpośredniego zaangażowania politycznego, ale

nie podoba mu się nawet próba przystosowania" wiary do wymagań dnia dzisiejszego. Jeszcze: nie podoba mu się ferment wywoływany przez tych kapłanów, którzy domagają się zniesienia celibatu:

- Celibat kapłana nie mieści się w tradycji żydowskiej, która zawsze spoglądała z pewną podejrzliwością na człowieka samotnego. Ale w tradycji żydowskiej istnieje dotrzymywanie obietnic, a nade wszystko ślubów: jeżeli ktoś publicznie zgodził się na sytuację religijną z warunkami, które znał i które przyjął dobrowolnie, powinien dotrzymać wiary, niech kosztuje co chce, danemu słowu.

Nie podoba mu się "prymitywny dialog":

- Prowadzenie dialogu na serio jest trudne i niezmiernie złożone. Widzę tymczasem, że spotykają się ze sobą Żydzi i chrześcijanie jednakowo nieobeznani z ich tradycjami religijnymi". Nie podoba mu się (i nigdy mu się nie podobało) stanowisko protestanckie, które od jakiegoś czasu fascynuje także wielu katolików, "wiary niezależnej od uczynków". Ideał Lutera, Kalwina i innych reformatorów, który Flusser uważa za "głupi, niebezpieczny, będący antytezą judaizmu, który nie wierzy w gadaniny, a natomiast wierzy w fakty". Nie podoba mu się poza tym "lewicowość" wielu chrześcijan. Również co do tego Flusser nie ma wątpliwości:

- Jezus przybył do Jerozolimy, aby starać się ocalić miasto przed zniszczeniem, aby odwieść swoich braci od pokus buntowniczych, które by doprowadziły, jak to się potem stało, do katastrofy. On przyszedł głosić rewolucję serca. Absurdalne są teorie, które chcą uczynić z niego bojownika. Jego przepowiadanie jest wywrotowe, na pewno, ale w znaczeniu moralnym, jako wywracanie uznawanych wartości.

Gdy mówi o śmierci Jezusa, jest w jego książce zdanie, które, napisane przez Żyda, może wprawiać w zakłopotanie. Mówi rzeczywiście: "Nie mamy żadnego powodu, aby wątpić, że Ukrzyżowany naprawdę ukazał się Piotrowi, potem Dwunastu, następnie więcej niż 500 braciom na raz, później Jakubowi i wszystkim apostołom. Jako ostatniemu ukazał się Pawłowi na drodze do Damaszku". Co znaczy, pytam go, to przyjęcie zmartwychwstania przez kogoś, kto nie uznaje mesjańskości Jezusa?

- Ależ także uczniowie Jana, chociaż dobrzy Żydzi, byli przekonani, że Chrzciciel został wskrzeszony - odpowiada. - Według Mateusza, po śmierci Nazarejczyka wielu "świętych" powstało z grobów. Również w księgach żydowskich jest mowa o innych wskrzeszeniach. Żyd nie może wykluczyć, że także Jezus został wskrzeszony, nie wychodzi przez to poza tradycję religijną swojego narodu. - Mówi dalej: - Wskrzeszenie zmarłych świadczy o potędze Boga: jedni i drudzy, Żydzi i chrześcijanie, oczekujemy wskrzeszenia wszystkich w dniu ostatecznym, ale nie wykluczamy, że dla kogoś Bóg postanawia przyspieszyć to wskrzeszenie. Tym, co nas dzieli, nie jest fakt, że Jezus wyszedł po swojej śmierci z grobu, ale interpretacja: dla chrześcijan jest to znakiem, za pomocą którego Bóg uznał swojego Chrystusa, jest dowodem, że Syn Człowieczy był także Synem Boga. My, oczywiście, nie posuwamy się do tego: lecz fakt, że ja osobiście nie odrzucam hipotezy, iż Jezus został wskrzeszony, jest potwierdzeniem sympatii, z jaką spoglądam na tego wielkiego syna Izraela.

Ale ten osobliwy człowiek miał w zanadrzu jeszcze inną niespodziankę. Według lekarzy żona, którą poślubił po wyjściu z obozu koncentracyjnego, nie mogła mieć dzieci.

- W Austrii jest sanktuarium maryjne, w którym od wieków modlą się kobiety nieplodne. Udaliśmy się tam również my, modliliśmy się: i rzeczywiście, dzieci przyszły na świat, ku zdumieniu lekarzy.

- Ale jak to? - zdumiewam się. - Najpierw Jezus wskrzeszony, teraz pielgrzymka do sanktuarium Matki Bożej?

Spoglądał na mnie z tą swoją miną sympatyczną, nieco ironiczną na dobrodusznej twarzy:

- Amigo! - odpowiedział biorąc, jak zwykle, język hiszpański za włoski - Amigo: czy pan może zapomniał, że Maria jest jedną z naszych? Czy przypadkiem nie była Żydówką? A więc, dlaczego nie mogłoby jej prosić małżeństwo dobrych Żydów?

Krótko mówiąc, kim są (a zwłaszcza kim powinni być) chrześcijanie dla badacza chrześcijaństwa z Uniwersytetu Żydowskiego w Jerozolimie?

- Chrześcijananie, według Listu do Diogneta, dokumentu Kościoła pierwotnego, powinni być duszą świata, jego duchową podporą. Gdyby stali się tym rzeczywiście, byłoby lepiej dla wszystkich, także dla Żydów. Obawiam się jednak, że przynajmniej dotąd, właśnie Żydzi stali się prawdziwymi chrześcijanami i wcielili w swoje życie cnoty i cierpienia tego Mesjasza, którego przecież, w większości, nie uznali. Uznają go może (jest to stanowisko także Pawła z Tarsu), gdy chrześcijanie staną się rzeczywiście przykładem, światłem.

- Co jest oznaką - pytam go - tego braku świadectwa?

- Fakt, na przykład, że Kościół najpierw ustanowił, a potem zapomniał odwołać, zasadę, zgodnie z którą, jeżeli Żyd chce stać się chrześcijaninem, musi najpierw uroczyście wyrzec się "błędów judaizmu". To jest przeciw Pawłowi, przeciw Piotrowi, przeciw Jakubowi. To stanowi dramatyczny znak, że jeszcze jesteście bardzo dalecy od uznania, iż waszym korzeniem jesteście my, pogardzani Żydzi.

Niestety, trwające tysiące lat przeciwstawienie pozostawiło ślady po obydwu stronach. W tej samej Jerozolimie spotkałem również starego, sławnego franciszkanina, archeologa ojca Bellarmina Bagattiego, który przedstawił mi podobne skargi, ale przeciwne:

- W naszej liturgii Wielkiego Piątku wykreśliśmy wzmianki o "wiarołomnych Żydach". Ale Żydzi nie wykreślili z ich modlitw strasznych złorzeczeń przeciwko "nazareńczykom" i innym, "heretykom", to znaczy judeochrześcijanom: „żeby nie było dla nich nadziei, żeby nazareńczycy i inni zginęli w jednej chwili", i tak dalej.

Ale, na szczęście, te rzeczy się zmieniają: po publikacji wywiadu z o. Bagattim, rabin Di Segni napisał mi, że przynajmniej w rycie włoskim, te złorzeczenia (zresztą "nie jedyne") są teraz "w nawiasach dla wskazania ich niewłaściwości".

Ida Magli

Ida Magli ma na państwowym uniwersytecie w Rzymie katedrę nauki należącej do najbardziej fascynujących i nowych: antropologii kulturalnej - nauki mianowicie, która bada kultury (w szerszym znaczeniu tego terminu) grup ludzkich - we Włoszech należała ona do pierwszych i najbardziej znanych specjalistów.

Sądzę, że Elemirowi Zoili (który, jak widzieliśmy, zajmuje się podobnymi tematami, chociaż o bardzo różnym formacie) spodobałaby się jej deklaracja programowa, która doprowadziła ją do studiowania muzyki, filozofii, psychologii, historii: "Nauki humanistyczne potrzebują także intuicji i zmysłu artystycznego". Na tej drodze Ida Magli walczy, aby kobiecie zostało przyznane należne jej miejsce, które pozwoliłoby jej postawić obok suchości i abstrakcyjności, pociągających mężczyznę, te odmienne i cenne "drogi poznania", które zna i praktykuje kobieta. Niektóre jej książki na ten temat zostały już uznane za klasyczne i przetłumaczone na różne języki.

Tematom religijnym poświęciła między innymi ważne studium, interpretację antropologiczną średniowiecza na przykładzie kazań i pokuty.

Przy tym, jak Eco, Magli ma za sobą okres zaangażowania katolickiego, ale od dawna działa na polu kultury laickiej, której oddaje się z pasją, jaka przynosi także rezultaty kontrowersyjne: na przykład jej ponowne odczytanie, w kluczu antropologicznym, psychoanalitycznym i feministycznym, świętej Teresy z Lisieux.

Wzbudziłoby także liczne polemiki (ale również duże zainteresowania), w domu katolickim i nie katolickim, studium, nad którym pracowała z dyskrecją i uporem, kiedy umówiłem się z nią na wywiad: książka była poświęcona Jezusowi z Nazaretu, i miała wielce znaczący podtytuł: Tabu i przekroczenie. Należałem do niewielu, którzy dzięki wspólnym znajomościom wiedzieli o tych jej badaniach dotyczących Nazareńczyka i dlatego też nie było specjalnie trudne obranie ich za centralny punkt naszej rozmowy. Natychmiast sprecyzowała mi przekonanie, do którego doszła:

- Także, a może przede wszystkim, dla tego, kto przesiał go przez sito metodologii nauki antropologicznej, Jezus objawia się jako osobowość tajemnicza, niepokojąca, która wymyka się wszelkiemu tłumaczeniu "naukowemu". Nasz "rozum" nie wydaje się przydatny wobec niego. Taka postać

na pewno nie mogła być wymyślona: istotnie, sami Ewangelisci, którzy chcieli opowiedzieć nam jego naukę i życie, nie zrozumieli go. Tak jak często nie zrozumieli go wierzący, Kościoły, które się do niego odwoływały. Potwierdziła, że dla napisania książki postanowiła ponownie przeczytać Ewangelie z bezstronnym chłodem miłośnika nauk humanistycznych, daleka od niepokoju fideistycznych, które zresztą od dawna porzuciła:

- Rozpatrywałam te teksty jako dokumenty na równi z innymi. Uderzające jest to, iż na tle historycznie dobrze uściślonym i kulturalnie wystarczająco określonym widać, jak porusza się osoba, która czyni i mówi rzeczy niewytłumaczalne, absolutnie sprzeczne z kulturą swoich czasów. Skąd pojawia się nagle ten Jezus? Jak może tak bardzo kontrastować ze środowiskiem, które go otacza? Oto pytania, na które nie znajduję odpowiedzi.

Chce potwierdzić, że właśnie pogłębianie nowoczesnych badań czyni zagadkę wokół bohatera Ewangelii bardziej nieprzebytą:

- Dzięki także zdobyciom mojej dyscypliny wiemy, że żaden człowiek nigdy nie spada "z nieba", w sposób nieprzewidywany i nieprzewidywalny. Każdy człowiek jest dzieckiem swoich czasów, zanurza korzenie w swojej glebie kulturalnej.

- Także osobowości nadzwyczajne, takie, których imiona dostają się później do książek historycznych?

- Tak, nawet najbardziej nadzwyczajni liderzy każdego środowiska nie mogą wymknąć się ogólnej regule: są niekiedy katalizatorami, scalającymi punktami szczególnie znaczącymi dla kultury ich czasów. Ale od tej kultury nie mogą uciec.

W sumie nikt nie był i nigdy nie będzie mógł być "niezrozumiałym"; a jednak Jezus, tylko on sam, wydaje się taki:

- Nie, nie da się utrzymać prawdopodobieństwa wytłumaczenia go przez przypisywanie mu charakterystycznych cech geniusza, choćby nawet bardzo wyjątkowego. Gdyby było "tylko" to, poruszałby się jednak zawsze wewnątrz współczesnych uwarunkowań kulturalnych, które stanowią dla wszystkich pręty klatki nie do przebycia. W nim jednak jest coś więcej, coś innego. Ale o co chodzi, nauka nie potrafi powiedzieć. Uczony nie może iść dalej poza stwierdzenie tej "odmienności".

Przypomniałam jej, że - na innej drodze niż antropologia kulturalna - bibliści, egzegeci doszli do tych samych konkluzji. Usiłują mianowicie przestudiować autentyczność opowieści ewangelicznych opierając się na nowych kryteriach, między nimi na kryterium "nieciągłości": zostały w ten sposób ocenione jako wiarygodne słowa i czyny Jezusa, które nie były możliwe do wymyślenia, ponieważ były w sprzeczności zarówno z kulturą żydowską, jak i kulturą rodzącej się wspólnoty chrześcijańskiej, w której środowisku Ewangelie zostały napisane. Odkryto w ten sposób, że "nieciągłość" Nazarejczyka jest taka, iż każe podnieść, i to bardzo, poziom wiarygodności historycznej Ewangelii. Gdyby były one rzeczywiście mitami lub legendami, dostosowałyby się do kultury ich autorów, gdy tymczasem wymykają się jej w istotnych punktach i w sposób niewytłumaczalny. Zobaczymy to lepiej w spotkaniu z biblistą, Renę Latourellem, który da nam kilka przykładów tych "nieciągłości", nazywanych przez Idę Magli "pęknięciami". Ale gdzie, przede wszystkim, wydawało się jej, iż je wyodrębnia?

- Zostałam uderzona przede wszystkim faktem, że siła jego orędzia jest skierowana do jednostki, do pojedynczego podmiotu. "Ty" jest dla Chrystusa zawsze przeważające nad "wy". On zwraca się do osoby. I to jest już, wydaje mi się, faktem nienormalnym dla kultury żydowskiej, całej zwróconej (widać to wyraźnie w literaturze prorockiej, w całym Starym Testamencie) do grupy, do wspólnoty, do narodu. Ale również w stosunku do innych starożytnych kultur religijnych jest całkowicie czymś niezwykłym mówca religijny, który przemawia do pojedynczej osoby. Również dlatego nowożytny Zachód jest nie do pomyślenia bez Ewangelii: jest tam, gdzie działa ta osoba, która wskazuje palcem nie na masy, lecz na każdego, która mówi "ty musisz", jest tam, gdzie tworzy się pojęcie „ja”, jednostkowości, podmiotu, osoby.

- A jednak - zauważyłem - starożytność klasyczna przedstawia niezwykle postaci nauczycieli: oprócz jak zwykle Sokratesa, stoika Epikteta, cynika

Diogenesa, Epikura...

Odpowiedź była zdecydowana:

- Tym myślicielom brakuje wymiaru osoby w jej całości, jak my ją rozumiemy i jak jest uzasadniona tylko w Ewangeliach, z których się wywodzi.

Nauczanie tych mistrzów jest na poziomie prawie tylko rozumowym, a więc niekompletne. Brakuje wymiaru także uczuciowego, emocjonalnego, brakuje więc człowieka w jego pełni: jednym słowem, brakuje osoby. Dla Chrystusa cały człowiek, umysł i serce, ciało i dusza, jest wezwany do miłości.

Ale jest element "pęknięcia", "nieciągłości" z kulturą otaczającą i z kulturą następującą, który w szczególny sposób uderza antropologa. Jest to kwestia szabat i interpretacji gorsząco pomniejszającej, jaką Jezus zastosował do sakralności tego dnia: już nie bóstwo, którego trzeba się obawiać, lecz jak gdyby większa możliwość zaofiarowana człowiekowi.

- Każdy badacz kultur ludzkich dobrze wie, że wszędzie występuje podział czasu na "święty" i "świecki", na dni "słabe" i "mocne". "Powszedni" i "święteczny" dzień w kalendarzu są stałymi rzeczywistościami każdego społeczeństwa. W społeczeństwie żydowskim osiągały one najwyższe szczyty. Wiemy dobrze, z jaką drobiazgowością był strzeżony żydowski "czas święty". Otóż, z tego środowiska wywodzi się osoba, która odbrązawia szabat, mianowicie dzień Boży, jako czas wydzielony. Jest to niezrozumiałe dla antropologa, który nie znajduje wytłumaczenia dla tak niesłychanego działania.

Nieciągłość kulturalna, jej zdaniem, jest jeszcze bardziej widoczna, jeżeli się spojrzy na to, co się wydarzyło później:

- Wbrew nauczaniu swojego Założyciela, chrześcijaństwo przywróciło podział między czasem "powszednim" a czasem "świętecznym": oto niedziela, oto czas liturgiczny. Powrócono w ten sposób do "sacrum" każdej religii, podczas gdy obalenie tabu szabat otworzyło wymiar wolności. Obwieszczało koniec sakralizacji czasu poza historią, wprowadzało człowieka w codzienność.

Także tutaj, dla Chrystusa tym, co się liczy, jest jednostka, jest człowiek, który sam ustanawia, swoim zachowaniem, "czas święty", nie ma już znaczenia przykazanie sakralne. Wiąż z Bogiem jest dla Chrystusa więzią stałą, codzienną; nie są potrzebne specjalne czasy i przestrzenie.

Opierając się na tej intuicji (która zresztą tutaj, jak i gdzie indziej, pozostawia liczne dwuznaczności; ale replikuje swoim krytykom, na swój namiętny sposób, że "ludzie boją się Ewangelii, ponieważ nie chcą być laikami") Ida Magli polemizowała z organizacjami katolickimi i z niektórymi ich kongresami na temat "czasu wolnego":

- To wyrażenie, które z punktu widzenia ewangelicznego nie ma żadnego znaczenia. Dla Jezusa nie istnieje "czas zajęty" i "czas wolny"; jak nie istnieje czas uświęcony i czas świecki. Istnieje tylko jeden czas, który jest czasem Boga i człowieka, który jest dla modlitwy i dla pracy.

Inne punkty niewytłumaczalnego "pęknięcia" dokonanego przez Jezusa, uczona wyodrębnia w przewyciężeniu pojęcia "czystego" i "nieczystego":

- Kto zna judaizm pierwszego wieku, wie dobrze, jak troska nie tylko o przestrzeganie szabat, ale także o przestrzeganie czystości legalnej, osiągnęła formy obsesyjne, często neurotyczne, jak u esseńczyków.

Przychodzi ten Jezus i obwieszcza, że jedynymi rzeczywistościami, jakie zanieczyszczają człowieka, są te, które wychodzą z niego. Także tutaj antropolog stoi wobec nierozwiązalnego problemu: jak może "wytwór" kulturalny być w tak poważnej sprzeczności z otaczającą kulturą? Istotnie, również tutaj Jezus nie był rozumiany. Nie mógł być rozumiany, ponieważ poruszał się w innej sferze niż sfera jego słuchaczy.

Zagadkowy Nazarejczyk nie wydaje się jej nawet dręczony problemem innej "czystości", czystości seksualnej, która przenika wszystkie koncepcje religijne.

- Każda kultura, włącznie z naszą, jest trapiąca przypisywaniem nadmiernej wagi płci. Tak więc, najpierw się jej bała, potem o niej milczała; obecnie w dalszym ciągu boi się jej, ale mówiąc o niej na wszelki wypadek, usiłuje zażegnawać ją. Ewangelie mają tylko bardzo nieliczne, zwięzłe informacje o płci. Może dlatego, że Jezus chce wskazać na ideał osoby, w której każdy element jest w równowadze. Płciowość nie jest dla niego udręką, a więc należy przywrócić jej właściwy wymiar. Jest tylko jednym spośród licznych

aspektów człowieka, powołanego do czystości wewnętrznej, nie legalistycznej, do całkowitego opanowania swojego ciała. W każdym razie także tutaj jest to prorok bardzo zdumiewający dla historyka religii porównawczych. Jeszcze raz orędzie nowe, nie wynikające z otaczającej kultury.

Niemożliwa jest rozmowa z Idą Magli bez skierowania w końcu dyskusji na problem kobiet, któremu poświęciła studia, artykuły, książki, zaangażowanie polityczne i społeczne. Kiedy ją spotkałem, dopiero co interweniowała w "Corriere della sera", aby przypomnieć feministkom, że niektóre postawy mizoginiczne Kościołów chrześcijańskich były raczej problemem klerykalnym, nie odnosiły się do nauczania Jezusa.

- Chrystus Ewangelii różni się w sposób radykalny także w tym, co dotyczy zachowania wobec kobiet, nie tylko od kultury Starego Testamentu, ale od wszystkich innych kultur.

Potwierdziła to swoje przekonanie i zwierzyła się z rozgoryczenia:

- Ale czy pan wie, że wiele feministek nie chce tego zrozumieć? Z braku przygotowania, z fanatyzmu, nie tylko obarczają Chrystusa odpowiedzialnością za błędy chrześcijan wobec kobiet; ale zrzucają na chrześcijaństwo winy, które pochodzą od społeczeństwa rzymskiego, od społeczeństwa germańskiego. Jezus - przypomniawszy - jest tym, który chwali Marię, siostrę Łazarza, która razem z mężczyznami słucha i przyswaja sobie jego słowa nie robiąc nic innego, podczas gdy nie ma żadnej pochwały dla Marty, która trudzi się by mu usługiwać. I on, zmartwychwstały, ukazuje się kobietom i prosi je, aby poszły zaświadczyć o tym fakcie decydującym, fundamentalnym dla wiary, jakim jest jego powrót do życia: - Jest to wezwanie do włączenia społecznego, jest to głośne zrównanie z mężczyznami. W ramach stosunku Ewangelii do kobiet, Ida Magli pracuje od lat nad wielkim projektem, nad historią, świecką i społeczną, siostr zakonnych:

- Chrześcijański monastycyzm żeński stał się nadzwyczajną akcją wyzwolenia kobiety. W klasztorach również my zaczęłyśmy czytać, pisać; po raz pierwszy zostałyśmy wyzwolone od losu, który wydawał się niezmienny: związaną z pożywieniem, dziećmi, mężami. Klasztory i monastery żeńskie stały się faktem o decydującym znaczeniu dla całego społeczeństwa. Nikt nigdy nie napisał historii tych wyjątkowych "społecznych mrówek", którymi były anonimowe siostry. Bez nich Zachód byłby całkiem inny, w każdym razie o wiele posepniejszy.

- Pani Magli - odważyłem się - czy pani jest wierząca? Dochodzi pani do uznania objawienia się Boga w tym niewytłumaczalnym Jezusie, o którym jako uczona mówi pani z tak wielką sugestywnością?

Odpowiedź była ostrożna, może nieco skrępowana, na pewno naznaczona problematyką kogoś, kto jest przyzwyczajony do myślenia kategoriami naukowymi, które wymagają neutralności lub przynajmniej wysiłku zbliżania się do niej:

- Jak zdecydować się? Nikt tak, jak antropolog nie dotyka ręką potęgi człowieka. Bogactwo kultur jest takie, że antropologia wierzy we wszystko i we wszystkich społeczeństwach dostrzega transcendencję. Chrystus, poza tym, przenosi na ten świat to, co było na tamym świecie; problem Boga staje się dla niego problemem człowieka.

Przypomina fragment Erazma z Rotterdamu z Pochwały głupoty, w którym humanista twierdzi, że "może Chrystus nie zamierzał ustanawiać Eucharystii jako swojego prawdziwego Ciała i prawdziwej Krwi". Później, mówi dalej apolog Erazma, Bóg miał litość nad pomyłką ludzi i chleb i wino stały się naprawdę Ciałem i Krwią:

- Może Jezusowi jako Synowi Bożemu zdarzyło się to samo? Paradoksalnie, Bóg uznał jako swojego posłańca, jako Boga na równi ze sobą, tego niezwykle człowieka, w którym ludziom wydało się, iż rozpoznają Go?

- Na pewno, w każdym razie to trzeba wziąć pod uwagę, Jezus jest wielką tajemnicą - powtórzyła. - Ewangelie sprawiają wielki kłopot naszym roszczeniom do wytłumaczenia wszystkiego. Otóż, przynajmniej co do jednej rzeczy jestem pewna: znajduje się tam orędzie tak nadzwyczajne, że w jego imię stało się możliwe i zawsze będzie możliwe zakwestionowanie każdej kultury. Nie będzie może nigdy żadnego społeczeństwa, które nie gorszyłoby się tym, co powiedział ten człowiek wolny i wyzwoliciel jak nikt inny w

historii.

W tym kierunku szły ostatnie linijki książki o tym "przekraczającym tabu", która się później ukazała. "Przeciwnie do tego, co robią wszyscy ludzie, Jezus nie przeżywał w sposób nieświadomy i oczywisty wartości, na których opierała się jego kultura, ale uchwycił ich korzenie, głęboko ukryte, i odwrócił je na słońce i na powietrze, oświadczając, że one były już niepotrzebne".

A potem, jako ostatnie podsumowanie: "Wszyscy byli przeciwko niemu

ROZDZIAŁ VI

Dwaj bibliści i archeolog

Tutaj naszą sondę posuwamy jeszcze dalej w głąb zagadki chrześcijańskiej. Bibliści, jezuita kanadyjski René Latourelle, wykładowca na jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów kościelnych świata, wyjaśnia metody i wyniki egzegezy, która jest dzisiaj „urzędowa” w Kościele katolickim, ale i często przyjmowana także poza nim. Rzeczywiście, zgoda co do istotnych punktów (w imię zwykłej obiektywności naukowej) wydaje się obecnie łączyć uczonych różnych wyznań chrześcijańskich; niekiedy również tych, którzy stoją poza wszelką wiarą, ale zrezygnowali ze starych przesądów.

Jeżeli wielu jest dzisiaj przekonanych o zasadniczej historyczności Ewangelii, jeden uczony francuski spośród najbardziej prestiżowych, posunął się jeszcze dalej, przedstawiając hipotezy, które wywołały skandal w establishmentie jego kolegów, także wierzących. W osobiwej wypowiedzi Jeana Carmignaca - paryskiego księdza, jednego z największych na świecie znawców rękopisów hebrajskich z Qumran, które rzuciły nowe światło na czasy, w których żył Jezus - usłyszymy więc teorię, która, gdyby została potwierdzona, uczyniłaby z Ewangelii dokumenty niejako „z pierwszej ręki”, zredagowane przez naocznych świadków, a więc bardziej niż wiarygodne. Niestety, uczony zmarł pod koniec 1986 roku, właśnie gdy był w trakcie publikowania imponującego dzieła, nad którym pracował dwadzieścia lat; ale inni jego koledzy pojawiali się tu i tam, aby przyznać mu rację.

Jakiegolwiek będą opinie o stanowisku Carmignaca i "nowych egzegetów" takich jak on, jest niewątpliwe, że świadczą one o odnowionym klimacie zaufania wokół Pisma Świętego, po dwóch wiekach ataków dążących do podważenia jego historyczności i zepchnięcia go w otchłań legend, mitów. Oprócz świadectwa dwóch bibliistów, jest także inne, które uzupełnia ich argumentację: to świadectwo jednego z ojców archeologii biblijnej, franciszkanina Bellarmina Bagattiego, który spędził całe życie na kopaniu na Bliskim Wschodzie, rozszyfrowując ową "piątą ewangelię", jaką jest Ziemia Święta chrześcijan. Słuchając ojca Bagattiego w Jerozolimie, wydawało mi się, że mam potwierdzenie powiedzenia Jezusa, według którego, nawet gdyby ludzie mieli milczeć, "kamienie wołać będą".

René Latourelle

W naszej podróży w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania o chrześcijaństwo trzeba było dotrzeć, prędzej lub później, na piazza delia Pilotta. Na tym rzymskim placu, od strony fontanny Trevi, wznoszą się budynki Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Tutaj, za fasadą w stylu klasycyzującym, ląduje to, co najbardziej uczonego ma Towarzystwo Jezusowe na pięciu kontynentach. Tutaj pośród miliona książek sławnej biblioteki i tysięcy kosmopolitycznych studentów jezuiti ostrzą swoją broń intelektualną: czyż Paweł VI nie dał im (z nakazem nie odwołanym - mimo pewnych rozdzwięków - przez Jana Pawła II i mimo niepewności i oporu wewnętrznego) zadania podjęcia wyzwania współczesnego ateizmu?

Przechodząc przez eleganckie sale, przebiegając korytarze, gdzie na każdych drzwiach znajduje się tabliczka z nazwiskiem prawie zawsze cudzoziemskim i sławnym, przechodzę na spotkanie: pukam więc do pokoju profesora René Latourelle'a. Ten kanadyjski jezuita, o solidnej powierzchowności i bardzo ludzkim uśmiechu, ma wiele tytułów do tego, aby być słuchanym uważnie.

Latourelle poświęcił swoje życie odbudowie apologetyki, która wprawdzie wstydliwie po Soborze ponownie ochrzczona jako "teologia fundamentalna", była wystawiona na ryzyko zupełnego wygaśnięcia w Kościele katolickim. Ostrzega stare przysłowie angielskie, aby nie wylewać dziecka razem z kąpielą. Coś podobnego działo się wśród katolików: zapędzeni w kryzys przez agresywną krytykę, która przedstawiała się jako "naukowa", i uważając (niekiedy słusznie) klasyczne traktaty apologetyczne za nieczytelne, naiwne, może nawet w przesadny sposób bojowe, nie tylko odłożyli te tomy, ale także potrzebę, jaka stała za nimi. Potrzebę mianowicie niemieszania wiary z rozumowaniem lub dowodzeniem, ale starania się równocześnie o spowodowanie uczestniczenia rozumu w "hazardzie", w wyborze życia dla Jezusa i jego Ewangelii. Mówiliśmy o tym, przypominam, także z Jean Guittounem.

- Wiara - potwierdza Latourelle - z jednej strony jest całkowitym poddaniem się człowieka Bogu, który daje mu siebie w Jezusie Chrystusie. Ale z drugiej strony ta sama wiara nie jest nieświadomością, klęską rozumu, ucieczką w nieracjonalność, niezdolnością ustalenia ludzkich motywów wyboru wierzącego. Przed wierzeniem, i dla wierzenia, trzeba rozumieć i wiedzieć. A nawet, w swoim źródle, wiara jest aktem inteligencji: oznajmia wybór dla Chrystusa, ale także jasność. Człowiek, który się angażuje dla Chrystusa, musi mieć silne racje, by to uczynić. Nie wszyscy wierzący potrafią tak usprawiedliwić, w spójny sposób, swój wybór. Oto więc zadanie teologa, "apologety", jako sługi Chrystusa i braci - pokazać, że wybór wiary ma sens, że jest "rozsądny".

- Jest jasne - precyzuje natychmiast uczony - że to badanie teologiczne nie zmusza do wiary, lecz czyni ją tylko możliwą, uzasadnia ją: przedstawiając wiarę jako możliwą, czyni się wybór Ewangelii racjonalnym, ale przez to nie narzuca się go.

Te twierdzenia Latourelle'a będą wydawały się oczywiście dla wierzącego rozsądne; ale w rzeczywistości, dla niektórych bynajmniej, takimi nie były. A nawet były do niedawna żywo kontestowane w różnych środowiskach chrześcijańskich.

Stało się tak: aż do początku burzy modernistycznej, w pierwszych dziesięcioleciach obecnego wieku, katolicy i liczni protestanci czytali teksty Ewangelii z prostotą, która przechodziła w naiwność.

- Wydawały się prostymi książeczkami do czytania, bez stawiania sobie zbytnich pytań - wspomina Latourelle. - Uważano, że między tymi słowami greckimi a "prawdziwym" Jezusem, tym co głosił przebiegając drogi Palestyny, nie ma żadnej zasłony. Teologowie, egzegeci, apologety mówili: Mateusz i Jan, apostołowie Jezusa, dali swoje osobiste świadectwo, napisali to, co widzieli swoimi własnymi oczami. Marek i Łukasz natomiast słuchali i zapisali wiernie przepowiadanie apostołów Piotra i Pawła. Nie ma więc żadnego problemu, żadnej różnicy między Chrystusem wiary a Jezusem historii.

W rzeczywistości praca krytyczna uczyniła wszystko dużo bardziej skomplikowanym; i to w sposób coraz bardziej przesadny i często niewłaściwy. Najpierw przez katolików kontestowani, potem słuchani z wielkim zainteresowaniem i wreszcie przyjęci w sposób nawet bezkrytyczny, uczeni, zwłaszcza protestanczy i niemieccy, utrzymywali, że między Ewangelią a Jezusem, a więc między nami a Jezusem, istnieją różne zasłony. Tymi zasłonami, tymi "barierami" jest praca pierwotnej wspólnoty chrześcijańskiej, opierająca się na wspomnieniach o życiu i nauczaniu Chrystusa. Idąc za tymi hipotezami, wielu posuwało się tak daleko, że utrzymywali, iż manipulacja uczniów do tego stopnia zmieniła pierwotne dane, że uniemożliwiła (lub prawie) odtworzenie autentycznego oblicza Jezusa historycznego. Najbardziej znane z tej orientacji jest nazwisko uczonego niemieckiego Rudolfa Bultmanna, według którego nie tylko nie możemy, ale nawet nie powinniśmy wiedzieć, co się rzeczywiście wydarzyło między Judea a Galileją za panowania Augusta i Tyberiusza. Wśród wielu paradoksalnych powiedzeń, ale zawierających szczyptę prawdy, George'a Bernarda Shawa jest jego określenie niemieckiego profesora: "Człowiek, który przede wszystkim jest wrogiem zdrowego rozsądku". Boutade przychodząca często na myśl, gdy się czyta bardzo ciężkie tomy niektórych

egzegetów niemieckich, którzy przecież tak bardzo onieśmielają biednych łacinników. Mniej jednak pragmatycznych Anglosasów. A ironia Shawa tego dowodzi.

- Istotnie - zauważa Latourelle - największym brakiem Bultmanna było nieliczenie się z rzeczywistością: chrześcijaństwo odróżnia się od każdego innego orędzia religijnego właśnie swoim charakterem historyczności. Jeżeli odbierzemy Ewangelie ich powiązanie z historią, nasza wiara będzie daremna, staje się mądrością, ideologią, jak tyle innych. Bultmann i wielu innych badali Ewangelie nie tylko z typową nierealnością różnych szkół germańskich, ale z założeniem konfesyjnym, luterańskim: wiara mianowicie jako skok w ciemność, jako ślepe zaufanie do wezwania Bożego, jako odrzucenie wszelkiego "dzieła" ludzkiego; więc także tego dzieła, które jest pracą inteligencji.

W ten sposób, poza wszystkim, nie da się już wytłumaczyć, dlaczego jako akt wiary wybierać raczej chrześcijaństwo niż jakieś inne orędzie zbawienia. Ta postawa nieufności, w każdym razie, prowadzi po trochu do zarażenia wszystkich Kościołów i przyczynia się do zniknięcia apologetyki, ogłaszanej z góry jako nieaktualna i anachroniczna. W rzeczywistości, począwszy od połowy lat pięćdziesiątych, sami uczniowie Bultmanna zbuntowali się przeciwko dogmatowi mistrza o prawie całkowitej niehistoryczności Ewangelii i powrócili do badania tekstów bez uprzedzeń, odkrywając w nich dużo więcej historii, niż się mniemało. Inni analizowali pracę Ewangelistów i odkryli, że nie byli oni prostymi zbieraczami odosobnionych i manipulowanych zdań, które dotarły z tradycji kościelnej, ale że była w nich ustawiczna troska o przekazywanie tego, co się rzeczywiście wydarzyło. Inni jeszcze zastosowali do Pisma Świętego pewne "kryteria autentyczności", używane już przez historyków innych okresów i doszli do interesujących odkryć.

Wszystko to zostało opowiedziane przez Renę Latourelle'a w serii tomów, które stały się już klasyczne i które stanowią część cyklu, spójnego planu. Zamiarem kanadyjskiego jezuita jest nie tylko ukazanie, że Jezus jest możliwy do osiągnięcia i że wiara ma swoje racje, ale także, że ta wiara ma znaczenie dla dzisiejszego człowieka, że ona jedyna może rozszyfrować go, odkryć go jemu samemu.

- Zrobiliśmy dwa kroki na księżycu, ale trzy kroki wstecz na ziemi - mówi.

- Ma rację Papież, kiedy przypomina, że prawdziwym postępem jest nie tylko postęp technologiczny lub ekonomiczny, ale także i przede wszystkim postęp moralny. W punkcie, w którym jesteśmy, tylko Chrystus może rozszyfrować człowieka, ocalić go, przemienić go.

Duszpasterz, nie tylko uczonej, Latourelle ma na uwadze przede wszystkim młodych, i europejskich i z jego rodzinnego kontynentu, Ameryki Północnej.

- Jestem przerażony - wyznaje - niewiarygodną ciasnotą świata młodzieżowego, zamkniętego między dyskoteką, samochodem, seksem, narkotykiem. My, chrześcijanie, mamy pierwszy, niezbywalny obowiązek nakłonienia młodych do myślenia.

- Myślenia o czym - pytam - jeżeli propozycja chrześcijańska wydaje się im (i często z naszej winy) już przestarzała?

- Myślenia przede wszystkim o sytuacji człowieka, o obliczu człowieka, tak bardzo zeszczonego i poniżonego, na Wschodzie i na Zachodzie, że za nim ukazuje się prześwitujący wizerunek Chrystusa cierpiącego. Zresztą - mówi

- kiedy przepowiada się Jezusa z powagą, widać, jak ludzie wytrzeszczają oczy ogromne jak monety pięciodolarowe.

Wydarzyło mu się to nawet ostatnio na zebraniu biskupów. Zamiast o zwyczajnych zagadnieniach klerykalnych lub o abstrakcjach teologicznych, mówił o Jezusie:

- Widziałem tych biskupów skupionych, milczących, chciwie słuchających jak dzieci.

- Czy zechcemy powrócić do Jezusa i do wiary w niego?

- Z przyjemnością - odpowiada z gotowością, za którą spostrzega się pasję nauczania, wyjaśniania racji wiary, która czyni go nawet z wyglądu tak bardzo radosnym. - Mówimy więc, że dzisiaj uczonej chrześcijański musi dokonać pierwszego stwierdzenia. Mianowicie, że wbrew temu, co zostało powiedziane przeciwnego w ostatnich dziesięcioleciach, Jezus prawdziwy, Jezus historii, jest osiągalny na pewno za pośrednictwem Ewangelii. To

prawda, nasze czytanie tekstu świętego nie może być bezkrytyczne, naiwne: świadectwo Ewangelistów zostało przesączone przez doświadczenie i wiarę Kościoła pierwotnego. Ale nie są one tym murem, jak to się długo twierdziło, są raczej szybą, przez którą dostrzega się to, co się naprawdę wydarzyło. Z pewnością nie wszystko w Ewangeliach jest kroniką, redaktorzy ewangeliczni nie zamierzali dawać zbioru anegdot: nic nie zostało nam podane jako zbędna informacja, wszystko jest wezwaniem do nawrócenia. Niemniej my dzisiaj możemy ustalić, że orędzie wiary opiera się na prawdziwej historii.

A nawet, wzmocnia - cała postawa wobec Ewangelii musi być odwrócona. Przez jedno stulecie spoglądano na nie z systematycznym uprzedzeniem podejrzenia, na nie zrzucając cały ciężar udowodnienia ich historyczności. Teraz możemy i powinniśmy odwrócić stanowiska: założenie, że Ewangelie zasługują na wiarę, jest uzasadnione, gdy tymczasem nie jest uzasadniony przesąd, że są one samowolnymi manipulacjami pierwotnego Kościoła.

Dla wytłumaczenia, jak doszło do tego przełomu, Latourelle zużył trzysta gęsto zadrukowanych stron jednego ze swoich tomów: *A Gesu attraverso i vangeli*. W sumie, potwierdza w rozmowie, rozważa obecnie Nowy Testament na różnych poziomach: literackim, historycznym, filozoficznym, socjologicznym, psychologicznym, teologicznym.

- Wszystkie te kryteria, wywodzące się z dyscyplin bardzo między sobą różnych, po zastosowaniu prowadzą do identycznej konkluzji: dostęp do Jezusa za pośrednictwem tekstów Ewangelii jest przedsięwzięciem możliwym do zrealizowania i płodnym.

Na przykład: przez studiowanie języka semickiego (aramejskiego lub hebrajskiego), który stoi za tekstem greckim, jaki posiadamy, udaje się nam uchwycić głos Kościoła pierwotnego, często głos samego Jezusa; w każdym razie możemy ustalić, że te słowa pochodzą ze środowiska palestyńskiego z pierwszego wieku, a nie od wspólnot hellenistycznych lub w każdym razie odległych od Izraela, jak twierdziła pewna krytyka. A inny egzegeta, Jean Carmignac - zobaczymy bezpośrednio potem - posuwa się na tej płaszczyźnie jeszcze dalej.

Można było ponadto udowodnić, że powiedzenia i czyny Jezusa nie wpadły w ręce wspólnoty anonimowej, anarchicznej, skłonnej do tworzenia legend; lecz zostały przekazane przez Kościół, który miał swoją ścisłą hierarchię, czuwającą, aby przepowiadanie nie oderwało się od świadectwa tego, "który widział". I to od początku. Kiedy chodzi o znalezienie następcy Judasza, zdrajcy, Piotr w kolegium apostołskim (tak opowiadają Dzieje Apostolskie) nie stawia warunku, że chodzi o człowieka obdarzonego kulturą, lub gorzej, "twórczą fantazją"; ale aby został on wybrany "spomiędzy tych, którzy towarzyszyli nam przez cały czas, kiedy Pan Jezus żył pośród nas". A więc, świadek naoczny i aby był przede wszystkim, dodaje Piotr, "świadkiem zmartwychwstania".

Są następnie ostatnie nowości, które wzmocniły zaufanie, jakie możemy pokładać w prawdzie tekstów, na których opiera się wiara: od kilku lat możemy stosować do Ewangelii w sposób systematyczny i pogłębiony "kryteria autentyczności historycznej", których Latourelle jest jednym z największych specjalistów o znaczeniu międzynarodowym. Te kryteria (nazywane "wielorakiego świadectwa", "nieciągłości", "ciągłości", "koniecznego wyjaśnienia") zostały uznane za skuteczne przez wielką część krytyki, także najbardziej radykalnej.

- W ten sposób - zauważa Latourelle - wśród uczonych nastąpiło przejście od radykalnego sceptycyzmu do optymizmu już nie naiwnego, lecz dobrze uzasadnionego. Istotnie, jeżeli odrzuca się te kryteria autentyczności, które stosuje się do Ewangelii, trzeba stwierdzić, że niemożliwe jest już uprawianie historii w ogóle.

Weźmy, na przykład, kryterium "nieciągłości", które twierdzi: "Można uznawać za historycznie autentyczny fakt ewangeliczny, który nie może pochodzić ani z żydostwa współczesnego Jezusowi ani ze środowiska pierwotnego Kościoła". Tym kryterium, przyjmowanym bez dyskusji jednomyślnie przez krytyków, możliwe jest udowodnienie: śmierć Chrystusa na krzyżu ("zgorszenie i głupstwo", a więc niemożliwa do wymyślenia ani przez Żydów, którzy oczekiwali Mesjasza zwycięskiego, ani przez chrześcijan,

których wiara była wystawiona na kryzys właśnie przez tę haniebną karę śmierci); chrzest, który zdaje się stawiać Jezusa między grzesznikami i podporządkowywać go Janowi Chrzcicielowi; nakaz dany apostołom, aby nie przemawiali do Samarytan i do pogan, w silnej sprzeczności z podniętą misjonarską, w której pisze się Ewangelie; fragmenty, w których uczniowie i apostołowie są przedstawiani jako tępi w rozumieniu, pełni wad, nawet zdrajcy; oraz wiele innych epizodów i powiedzeń.

Albo weźmy zasadę określaną jako "ciągłość zewnętrzna", która uznaje za autentyczne "słowo lub gest Jezusa, które są odpowiednie dla jego epoki i dla jego środowiska": to wszystko, co archeologia nowoczesna odkryła w Izraelu, potwierdza, że historyczny obraz przedstawiony przez Ewangelistów jest "w ciągłości" i jest zgodny z geografą, społeczeństwem, polityką, religią tego okresu. (Usłyszymy na ten temat świadectwo najślawniejszego z archeologów biblijnych, o. Bellarmina Bagattiego.) To właśnie dzięki takim narzędziom badawczym jak te, Latourelle może mówić o "zaufaniu z trudem ponownie odzyskanym, po dziesięcioleciach poszukiwań i wątpliwości".

Z pewnością, przestrzega, nie chodzi tylko o "udowodnienie", że Jezus jest osiągalny za pomocą Ewangelii i że możemy opierać się na nich, ponieważ nie są nagromadzeniem mitów lub wskazówek historycznych, dokładnie manipulowanych. Trzeba także "udowodnić" dzisiejszemu człowiekowi, że ten Chrystus, którego można już osiągnąć z pewnością, ma znaczenie dla niego.

- Badanie historyczne - mówi Latourelle - czyni wiarę możliwą, dając nam dostęp do autentycznej Ewangelii autentycznego Jezusa. Ale wiele rzeczy, najważniejszych, zostaje do zrobienia potem: trzeba pozwolić napominać się Jezusowi tak osiągniętemu, zawierzyć Duchowi, który daje nam się poznawać jako żywe słowo, zaadresowane osobiście do nas, jako żywe orędzie Jezusa.

Jean Carmignac

Querelle między specjalistami od Biblii i, ogólnie, między tymi, którzy badają początki chrześcijaństwa, zrodziła się na początku 1984 roku. W tamtych miesiącach ukazała się w księgarniach francuskich książeczka o niepozornym wyglądzie zewnętrznym, pod skromnym tytułem - La naissance des evangiles synoptiques - wydrukowana przez małe wydawnictwo specjalistyczne. Mniej niż sto stron w pierwszym, niewiele ponad sto w drugim wydaniu, zawierającym "odpowiedź na krytyki" - napisana przez kogoś o nazwisku nieznanym szerokim masom: niejakiego Jeana Carmignaca, bibliście i księdza paryskiego.

A więc nic specjalnego; a nawet prawdopodobieństwo skromności może nudy. Jednak tutaj, bardziej niż kiedykolwiek, pozory mylą: ponieważ jeżeli abbe Carmignac ma przypadkiem rację, wtedy "całe biblioteki muszą zostać przeniesione do działu książek niepotrzebnych", jak napisał pewien specjalista. Jeżeli te stroniczki się nie mylą, "całe odczytanie Nowego Testamentu będzie musiało być zrewidowane" i "egzegeza biblijna przyszłości będzie musiała pójść drogami zupełnie odmiennymi od tych, jakimi aż dotąd szła od dwustu lat". Tak powiedział autor, zachowujący się z rezerwą, łagodny, skromny, daleki od polemik, ale bardzo pewny swojej sprawy, z półwieczem badań superspecjalistycznych za sobą.

Istotnie, w tej historii sensacją była książka, ale również i autor, osobistość nadzwyczajna, chociaż robił wszystko, aby się nią nie stać, aby pozostawiono go w spokoju wśród jego książek i jego studiów. Spotkanie z nim było od pierwszej chwili niezwykle: adres paryski, podany przez telefon nie odnosił się do jakiegoś domu, lecz do furki obok kościoła św.

Franciszka Salezego, w mieszczańskim 17 arrondissement.

Wszedłszy po drewnianych schodach, które skrzypiały w ciszy tego, co miało wygląd niezamieszkałego budynku, na ostatnim piętrze zadzwoniłem do drzwi i otworzyła się szpara, z której wyglądał drobny starzec, o chudej twarzy, białych włosach, ubrany - mirabile dictu! - typowo jak ksiądz, ni mniej ni więcej, tylko w sutannę i białą koloratkę. Zjawa wskazała krzesło na podeście schodów, wypowiedziała kilka monosylab, potem drzwi się zamknęły. Tajemnica wyjaśniła się, gdy drzwi otworzyły się ponownie, wyszedł z nich jakiś człowiek i wyszedł także ksiądz Carmignac, uśmiechnięty, serdeczny, aby wprowadzić mnie do swojego domu. Okazał się on później bardziej niż

mieszkaniem, magazynem książek i rękopisów, z przestrzenią w sam raz wystarczającą dla biurka - także zawałonego papierami - i dla łóżka. Czekanie na podeście schodów? To dlatego, że uczony, bibliista, profesor Carmignac nie zapomniał o tym, iż jest także - przede wszystkim - księdzem:

- Jestem tutaj zastępcą proboszcza i codziennie poświęcam trochę czasu na to, czego większość moich współpracowników we Francji nie chce robić: spowiedź i kierownictwo duchowe. Zechce mi pan wybaczyć, ale właśnie kończyłem spowiadać.

- Z tego i z innych oznak okazało się natychmiast jasne, że Jean Carmignac należy do tych specjalistów od Biblii, którzy nie ograniczają się do traktowania jej stronic jak każdego obiektu erudycji, ale jako podstawy wiary żywej i przeżywanej.

Syn ubogich ludzi z francuskiej wsi, po wstąpieniu do seminarium, gdzie natychmiast wyróżnił się zamiłowaniem do studiów, młody Carmignac został szybko wysłany do Rzymu, aby przygotować się do funkcji profesora w swojej małej diecezji. Po zdobyciu doktoratu i dyplomów, powrócił do Francji młody, a już tak znakomicie obeznany w studiach biblijnych - zwłaszcza hebrajskich - że jego biskup posłał go do Paryża, aby nie dusił się na prowincji. Później, w 1954 roku, stypendium na studia w Izraelu oraz pierwsze zetknięcie się z rękopisami, niedawno odkrytymi w grocie, wspólnoty esseńczyków nad Morzem Martwym. Nowy świat dla hebraisty, który bardzo dobrze znał język Starego Testamentu, ale po raz pierwszy zajmował się językiem semickim takim, jak ten z Qumran, bogatym w nowości, niespodzianki. Miał stać się jednym z największych jego znawców na świecie. Jako założyciel i dyrektor, a naturalnie, jedyny redaktor Revue de Qumran - jedynego pisma, które zajmuje się w sposób wyłączny tymi tekstami, które wyłoniły się ponownie, niejako cudownie, po dwóch tysiącach lat - Carmignac utrzymywał to swoje dzieło na najwyższym poziomie.

- Ale ilu was jest na świecie, którzy zajmują się Qumran? - zapytałem.

- W pełnym wymiarze, sądzę, że dziesięciu, najwyżej dwunastu... - odpowiedział rozbrajająco.

Zwrotny punkt od pism hebrajskich znad Morza Martwego do Ewangelii i ich semickich początków nastąpił w 1963 roku i od tego czasu sprawy szły zdecydowanie naprzód aż do śmierci, prawie dwadzieścia pięć lat potem. Opowiadał, jak postępowały sprawy:

- Zacząłem jak gdyby przez przypadek zajmować się powstawaniem Ewangelii. Tłumacząc teksty z Qumran, spotykałem wiele powiązań z Nowym Testamentem i pomyślałem, że mógłbym zrobić do niego komentarz w świetle dokumentów znad Morza Martwego. Postanowiłem zacząć od Ewangelii Marka i, na swój własny użytek, chciałem zobaczyć, jak brzmiałaby przetłumaczona na język hebrajski z Qumran.

I tutaj zaczęły się niespodzianki:

- Wyobrażałem sobie, że taki przekład będzie bardzo trudny z powodu znacznych różnic między myśleniem semickim a myśleniem greckim. A tymczasem natychmiast ze zdumieniem odkryłem, że tłumaczenie okazało się nadzwyczaj łatwe. Po jednym tylko dniu pracy - był kwiecień 1963 roku - byłem już przekonany, że tekst Marka nie mógł być zredagowany w języku greckim: w rzeczywistości musiał być greckim przekładem z oryginału hebrajskiego.

Wielkie trudności, jakich oczekiwałem, wszystkie zostały rozwiązane przez tłumacza hebrajsko-greckiego, który przekładał słowo po słowie, zachowując nawet porządek terminów dyktowany przez gramatykę hebrajską. W sumie: Im bardziej postępowałem w pracy, tym bardziej odkrywałem, najpierw u Marka, a potem u Mateusza, że widzialny korpus tekstu był grecki, ale dusza niewidzialna była semicka, bez żadnej wątpliwości.

W konkluzji swojej książeczki - prawdziwy kamień wrzucony do stawu współczesnej egzegezy biblijnej - Carmignac streścił w ośmiu punktach to, co określił jako "tymczasowe wyniki dwudziestu lat badań nad powstawaniem Ewangelii synoptycznych". Słowa są umiarkowane, poziomy prawdopodobieństwa starannie stopniowane: "Pierwszy: jest pewne, że Marek, Mateusz oraz dokumenty wykorzystane przez Łukasza były zredagowane w języku semickim". Następuje punkt drugi: "Jest prawdopodobne, że tym językiem semickim był raczej hebrajski niż aramejski". Punkt trzeci: "Jest dość prawdopodobne, że

Ewangelia Marka została ułożona w języku semickim przez samego apostoła Piotra".

Doniosłość tych stwierdzeń (spokojnych, ale opartych na dwudziestu latach pracy) nie uszła uwagi ekspertów. Wiedzą oni dobrze, że już Erazm z Rotterdamu, w szesnastym wieku, wysuwał hipotezę, że za tekstem greckim trzech pierwszych Ewangelii - "synoptyków" - stoi oryginał hebrajski. Później jednak ta hipoteza została usunięta między hipotezy nie do przyjęcia przez krytykę oświeceniową (potem racjonalistyczną, pozytywistyczną, historycystyczną), która od wieku osiemnastego aż do dziś panowała na polu tak zwanej "niewiary" i na końcu przeniknęła także do wielu uczonych chrześcijańskich; najpierw protestanckich, a w jakiś czas potem także katolickich. Carmignac nie chciał wymieniać nazwisk, rozpocząć polemik: chciał, żeby same fakty mówiły za niego. Z jego słów jednak (i ze zdecydowanych oskarżeń innego Francuza, Claude'a Tresmontant, który doszedł w tamtych miesiącach, chociaż na innej drodze, ze swojej strony do takich samych wniosków, jakie również przedstawił w książce *Le Christ hebreu*) widać wyraźnie, w jakim stopniu studia nad Nowym Testamentem zostały, jego zdaniem, zdominowane przez nienaukowe przesady.

Wychodzi się bardzo często, mówił, z pewnych żelaznych założeń:

- Ewangelie muszą być późnymi utworami, tekstami, w których zbiegło się tyle i takich zaniepokojen i przystosowań pierwotnej wspólnoty, że praktycznie uniemożliwiły wytropienie w nich autentycznego głosu Jezusa, który przemawiał w Palestynie.

Mówił dalej, wymieniając inne przesady "nienaukowe":

- Ewangelie muszą być rozumiane w kontekście przede wszystkim kultury hellenistycznej, dlatego też musiały być napisane po grecku. Ewangelie muszą być wynikiem długiej, nieznannej prehistorii ustnej także dlatego, że w nich, na każdej stronicy, pojawiają się sprawy nadprzyrodzone, cudowne: otóż biorąc pod uwagę, że cud dla racjonalistycznego widzenia świata jest niemożliwy, że w każdym razie jest nie do przyjęcia przez mentalność wielu współczesnych intelektualistów, trzeba przyjąć odpowiedni czas na to, aby "legenda" chrześcijańska mogła się ukształtować, okrzepnąć w tekstach ewangelicznych, pod wpływem także religii misteryjnych, przybyłych ze Wschodu imperium rzymskiego.

I właśnie z tego rodzaju aprioryzmami, wyjaśniał Carmignac, w dalszym ciągu pracuje wielu krytyków biblijnych, którzy nawet zajmują katedry uniwersyteckie, dominują w gazetach i w oficynach wydawniczych.

Wspomina ciężką pracę nad tłumaczeniem na francuski książki A. T. Robinsona, biskupa anglikańskiego, który z pierwotnych pozycji racjonalistycznych, demitologizacyjnych, nawrócił się w 1976 roku na interpretację Nowego Testamentu zgodną ze starożytną tradycją chrześcijańską. Carmignac sam przygotował w porę tłumaczenie, ale interwencje - jawne lub potajemne - lobby pewnych specjalistów przeszkodziły w jej publikacji. Paolo Sacchi, hebraista z uniwersytetu w Turynie, w jednej z pierwszych recenzji książeczki-bomby Carmignaca uważał za "oczywistą" tezę o zredagowaniu Ewangelii w języku semickim, "tym bardziej, że - pisał - nasuwa się spontaniczne pytanie, w jakim stopniu problemy ideologiczne zaciążyły na badaniach biblijnych, aby przeważały aż do dziś teza przeciwna". W rzeczywistości, kontynuował Sacchi, który jest jednym z najbardziej poważanych specjalistów w tej materii, "cały spór jest obciążony problemami ideologicznymi, mam więc wątpliwości czy teza Carmignaca zostanie przyjęta. Obawiam się nawet, że umrze także teza Robinsona".

W istocie, Sacchiemu łatwo było być prorokiem. Ksiądz Pierre Grelot, sławny biblista z Instytutu Katolickiego w Paryżu, jednego z największych uniwersytetów katolickich, interweniował błyskawicznie 22 uwagami krytycznymi, które usiłowały zburzyć, nawet ośmieszyć pracę konfratra Carmignaca. Ten odpowiedział w ten sam sposób kontruwagami. Ostateczna krytyka Grelota brzmiała:

- Według Carmignaca, jego hipotezy będą może stanowiły podstawę egzegezy ewangelicznej około roku dwutysięcznego. Ja myślę raczej, że w tym czasie będą spoczywały na cmentarzu hipotez martwych. Nie można wykluczyć, od czasu do czasu jakiś uczony będzie usiłował ekshumować je. Ale daremnie! Co

do mnie, chociaż z pewną przykrością, rzucę kilka pierwszych łopat na grób: hipotezy tego rodzaju zasługują na taki hołd.

Odpowiedź Carmignaca na taką agresję:

- Proszę Boga, aby udzielił księdzu Grelotowi i mnie dobrego zdrowia aż do roku dwutysięcznego i dłużej. I zapraszam abbe Grelota na spotkanie wtedy, w dniu i miejscu, które będą mu odpowiadały, dla stwierdzenia, który z nas był lepszym prorokiem.

Życzenie księdza Carmignaca się nie spełniło. I nikt nie potrafi powiedzieć, czy na jego niespodziewaną śmierć nie wpłynęła w jakiś sposób gorycz, z powodu, jak w prywatnym liście określił, "autentycznego prześladowania" rozpętanego przez jego kolegów, często współbraci w kapłaństwie. Rzeczywiście, przed publikacją książeczki był poważany i studiowany przez tych samych, którzy potem zabrali mu wprost zdrowie oraz, co jest jeszcze gorsze, zamknęli przed nim drzwi oficyn wydawniczych tak, że został zmuszony pisać po angielsku i publikować z tej przyczyny za granicą - jakby to były teksty tajemne - dzieła, w których przypuszczał, iż da nieodparte dowody swoich stwierdzeń, a których nie ukończył na czas. Ale dlaczego wzbudziła takie złe reakcje pewność Carmignaca (w dziele które było impulsem do 90 przekładów hebrajskich Nowego Testamentu), że Mateusz, Marek i dokumenty wykorzystane przez Łukasza zostały napisane nie po grecku, lecz w języku semickim? Jak wyjaśnił w rozmowie sędziwy uczony, przypominając, co pisał, że jeżeli Ewangelie zostały początkowo napisane po hebrajsku (lub po aramejsku, chociaż on był za pierwszym językiem), jest to znak, że zostały one zredagowane wtedy, kiedy rodzące się chrześcijaństwo ograniczało się do Palestyny i nie rozlało się jeszcze na terytoria imperium, na których, aby być rozumianym, trzeba było wypowiadać się po grecku, który był językiem angielskim tamtej epoki.

Ale wtedy, zauważył, "całe datowanie Ewangelii musi być ponownie sprawdzone i przesunięte do tyłu. Jeżeli rzeczywiście, jak wydaje się to pewne, Ewangelie były napisane po hebrajsku, są one bardzo bliskie wydarzeń, przytaczają słowa i fakty możliwe do bezpośredniego sprawdzenia przez żyjących jeszcze świadków, w tych samych miejscach. Nie są więc utworami podejrzanymi z punktu widzenia historycznego, nie zostały poddane owym długim manipulacjom wspólnoty wierzących, o których mówi egzegeza dzisiaj dominująca. Są natomiast dokumentami historycznymi, niejako kronikarskimi, z najpierwszej ręki: a więc podnosi się nagle ich poziom wiarygodności, pewności wiary; opierają się na dowodach historycznych".

Według datowania, które jest wzorem prawie wszędzie, Ewangelia Marka została napisana około 70 roku, jest to data krytyczna, ponieważ jest datą zburzenia Jerozolimy przez Rzymian, i następującego po nim zniknięcia tego świata żydowskiego, który był światem Jezusa i jego pierwszych uczniów; Ewangelie Mateusza i Łukasza między 80 a 90 rokiem; Ewangelia Jana pod koniec wieku (choć ktoś posunął się aż do roku 170...)- Zauważa Carmignac (a z nim Robinson, Tresmontant i inni egzegeci, którzy ukazują się gdziekolwiek), że już około 50 roku chrześcijaństwo wychodzi ze środowiska palestyńskiego. A więc, począwszy od tego czasu byłoby niepotrzebne, a nawet szkodliwe, pisanie dokumentów wiary w języku lokalnym. Jeżeli pierwowzór Ewangelii jest naprawdę semicki, to dlatego, że zostały one napisane natychmiast, między rokiem 30 (prawdopodobna data śmierci Jezusa) a 50 lub nieco później.

Dzięki swoim rozważaniom, których brak miejsca nie pozwala tutaj przedstawić, samotny uczony, zamknięty w paryskiej pustelni, zaproponował takie datowanie: Ewangelia Marka została napisana nie później niż w 42-45 roku i to sam Piotr ją napisał, chociaż Ewangelia przyjęła imię jej tłumacza na język grecki, może przez akt pokory ze strony głowy apostołów. Ewangelia Mateusza została napisana około 50 roku, a Łukasza nieco później, po grecku, ale przy posłużeniu się dokumentami pisanymi po semicku. A Ewangelia Jana? Odpowiedź Carmignaca jest przykładem skrupulatności uczonego:

- Jestem specjalistą tylko od Synoptyków, nie mogę zająć ścisłego stanowiska.

Uczył jednak wzmianki, które również zwalczały panujące opinie:

- Większość uczonych, aby datować tekst, w sposób najzupełniej antynaukowy

wychodzi od domniemanej teologii, jaką każdy Ewangelista miałby wyrażać. Posługują się mianowicie metodą filozoficzną, teologiczną (pewnym pojęciem "ewolucji myśli religijnej") a nie, jak tymczasem byłoby prawidłowo, metodą filologiczną i historyczną.

W ten sposób doszliśmy do pewnika, według którego Ewangelia Jana była dosyć późna, ponieważ ma wyraźne ślady pogłębienia teologii Synoptyków i ponieważ jest nacechowana "mentalnością hellenistyczną". Ale, w rzeczywistości, ta domniemana "mentalność hellenistyczna" została wytropiona przez Carmignaca - i przez innych specjalistów - w dokumentach stanowczo hebrajskich i na pewno wcześniejszych od roku 70 po Chrystusie, którymi są zwoje z Qumran. Powiedział:

- Gdyby, przypuścmy, nie było już wiadomo, kiedy żyli pisarze francuscy i gdyby, dla zrekonstruowania chronologii, zastosowało się metody filozoficzne a nie filologiczne używane w odniesieniu do Nowego Testamentu, niezawodnie specjaliści utrzymywaliby, że Mon-taigne - zmarły w 1592 roku - był pisarzem XX wieku, a Claudel - zmarły w 1955 - pisał natomiast w XVI wieku.

Jakkolwiek by było, stawka w grze jest tutaj bardzo wysoka; przedmiot dyskusji wciąga biblistów, ale dotyczy wszystkich, na pewno nie jest problemem tylko moli książkowych. Chodzi o same podstawy wiary, o osobę Jezusa z Nazaretu i o pewność, że prawdziwe jest to, w co wierzący wierzą, iż jest prawdziwe. Badania trzeba kontynuować, konfrontując je z danymi obiektywnymi i porzucając (jeżeli naprawdę mają się nazywać "naukowymi") przesady, lenistwo, może zdobyte stanowiska władzy. Na pewno, jak w każdym "kryminale", trzeba przestrzegać racji, jakie są po jednej i po drugiej stronie: sam Carmignac wspominał wiele razy, że jego racje są tylko hipotezami roboczymi, chociaż dobrze uzasadnionymi. Nawet nie chciał ich ujawniać:

- Czy zostanie mi wybaczone, że napisałem tę książeczkę? Z trudem zdecydowałem się na jej opublikowanie. Ponieważ miałem zamiar prowadzić badania aż do ostatecznych granic, przedstawić ich wyniki w dużych naukowych tomach, a dopiero potem zwrócić się do szerokiej publiczności w formie popularnej książki, jak ta, którą zaproponowałem teraz. Jednak moi przyjaciele uświadomili mi, iż ryzykowałem, że znajdę się na cmentarzu, zanim zdążę ukończyć te tomy, i że od wielu lat moim badaniom nie udaje się zmienić pierwszych wniosków; a więc mogłem zacząć je publikować. Przedstawiam wyniki dwudziestu lat badań: doprowadziły mnie one do pewnych poglądów, chciałbym podać je do wiadomości, zdając sobie dobrze sprawę z tego, iż nie są one całkowicie zgodne z aktualną modą. Do czytelnika i do czasu należy ich ocena.

Dodał, z łagodną miną, z uśmiechem, które w tej chwili zdumiewały:

- Nie mam nic przeciwko nikomu, chociaż wielu ma coś przeciwko mnie.

Sądzę, iż jestem szczerzy w poszukiwaniu prawdy. Jeżeli zostaną mi przedstawione przekonujące dowody, zawsze jestem gotowy - mówię to przed Bogiem - ulepszyć lub być może zmienić moje obecne wnioski.

Przyjmując zasadę odrzucenia fanatycznego nieprzejednania, chęci podsycania polemik, chciał, aby w tłumaczeniu włoskim nie został opublikowany suplement z jego odpowiedzią na 22 "uwagi krytyczne" Pierre'a Grelota.

- Uważam, iż się nie pomyliłem - mówił. - Ale jeżeli mam rację, będzie czas na wyjście prawdy na jaw, bez prowadzenia walki przez nas specjalistów, która niosłaby ryzyko skompromitowania miłości.

Monsignore Jean Charles Thomas, biskup Ajaccio, poważany teolog i egzegeta, był jednym z wielu związanych z egzegezą, która do niedawna uchodziła za bezdyskusyjną. Później długie rozmowy z Claudem Tresmontantem, przyjacielem Carmignaca, skłoniły go do zainteresowania się problemem. Kiedy wyszła książka *Le Christ hebreu*, chciał napisać do niej przedmowę:

- Ta książka wywoła zgorzienie; wielu będzie uważało, że jej nie ma i nie została opublikowana. Rzeczywiście, nie respektuje ona przeważających opinii. Będzie, być może, wydawała się zacofana, tymczasem działa w niej właśnie prawo postępu, który nie polega na nieruchomym trzymaniu się tradycji najbardziej popularnych w danej epoce, ale który polega na odnawianiu, nie na powtarzaniu.

Według monsignora Thomasa nadszedł czas, aby wpuścić świeże powietrze do

salonu niektórych biblistów:

- Trzeba odnaleźć żywe świadectwo Ewangelistów, tych prostych autorów dla ludzi prostych, a nie blokować niezliczonymi komplikacjami interpretacyjnymi. Zbyt wielu chrześcijan zniechęciło się tymi zawiłościami, porzuciło czytanie i medytację Ewangelii, straciło dar bezpośredniego, żarliwego, zrozumiałego, przekonującego, przemieniającego kontaktu z osobą Jezusa. Jeżeli zawiłość oraz skomplikowanie pewnej egzegezy współczesnej są uzasadnione, to słusznie trzeba się liczyć z nimi. Ale jeżeli, jak się wydaje, zbyt często wywodzą się z hipotez niepewnych, dlaczego pozwalać się im obezwładniać? Ewangelia czytana w Kościele, pod światłem Ducha Świętego, który ją inspirował, jest może prostsza, bardziej przystępna dla wierzących niż to, co mówią zbyt liczni specjaliści.

Lucien Cerfaux, inny egzegeta na pewno nie podejrzany o konserwatyzm, wysunął ostatnio wątpliwość:

- A jeżeli po dwóch wiekach krytyki "naukowej", po upadku wielu teorii przedstawianych i przyjmowanych jako bezdyskusyjne, mielibyśmy odkryć, że prostszy sposób czytania Ewangelii jest w rzeczywistości także bardziej naukowy?

Bellarmino Bagatti

Kiedy spotkałem go w Jerozolimie, ojciec Bellarmino Bagatti rozpoczynał osiemdziesiąty rok życia i pięćdziesiąty rok pobytu, bez przerwy, w starym klasztorze franciszkańskim, zwanym Klasztorem Biczowania. Miał istotnie trzydzieści lat (był to już bardzo teraz odległy rok 1935) kiedy, jeszcze młodego, po studiach archeologii biblijnej, przełożeni wysłali do Palestyny. Tutaj działało, od początku wieku, Studium Biblicum Franciscanum, instytut prowadzący, zgodnie z zasadami naukowymi, wykopaliska w tych miejscach tradycji chrześcijańskiej, którymi od czasów św. Franciszka opiekowali się franciszkanie, trwając odważnie w wiekach prześladowań, męczeństwa, zagrożeń, biedy i upokorzeń. Historia Kustodii Franciszkańskiej Ziemi Świętej jest chwalebna i wzruszająca: znak pośród wielu innych, co potrafi wiara, jak żywa i odporna jest potrzeba chrześcijańska uczepienia się historyczności Ewangelii, nieopuszczania miejsc, w których wszystko się zaczęło.

Wielka biała broda, jasne oczy, dobroć i pogoda w każdym słowie, w każdym geście. Stojąc przed Bellarminem Bagattim, instynktownie bardziej wyczuwałem w nim zakonnika o życiu naprawdę ewangelicznym, niż specjalistę o poziomie światowym, jakim przecież jest. Przez pół wieku, z wytrwałością, inteligencją, a zwłaszcza miłością, realizował swój program: kopać tam, gdzie wznoszą się najstarsze sanktuaria chrześcijaństwa, od Nazaretu do Betlejem, od Golgoty do Getsemani; iść coraz głębiej, na poszukiwanie pierwszych uczniów Chrystusa; jeżeli możliwe - samego Jezusa.

- Widzi pan - mówił z akcentem pizańskim, który po tak długim czasie pozostał nienaruszony - różni krytycy, począwszy, dajmy na to, od czasów Voltaire'a i później stopniowo, z coraz większą uporczywością przez cały wiek dziewiętnasty i część dwudziestego, rzucali podejrzenia na miejsca czczone przez chrześcijan w Ziemi Świętej. Mówiono, że sanktuaria powstały dla cynicznego wyzyskiwania pobożności tych naiwnych pielgrzymów. Oszustwo, ich zdaniem, rozpoczęło się od cesarza Konstantyna, który dla motywów politycznych, aby z chrześcijan uczynić sobie przyjaciół, trzysta lat po śmierci Jezusa wybudował kościoły na miejscach wskazanych przez niegodne uwagi tradycje. Oszustwo zostało wznowione w średniowieczu, na korzyść zakonników, przede wszystkim nas franciszkanów, którzy przez wieki opowiadaliśmy pielgrzymom fałszywe historie, aby zbierać ofiary. Te tezy były podtrzymywane nie tylko przez polonistów antychrześcijańskich, ale także przez kwiat profesorów za pomocą całej serii argumentów, które sprawiały na czytelnikach wrażenie.

Kontynuując dzieło współbraci, którzy poprzedzali go w Studium w Jerozolimie, a następnie stopniowo mając do pomocy posiłki, jakie zakon franciszkański przysyłał z Europy i z Ameryki (ojciec Michele Piccirillo należał do jego najbardziej ulubionych i wartościowych uczniów), Bagatti zabrał się do pracy; nie potrafiły powstrzymać go wojny, zamieszki, klimat, przeszkody biurokratyczne i polityczne. Swój końcowy bilans streścił mi tym

swoim pokornym tonem, obrażającym przede wszystkim siebie samego i swoją pracę, tak przecież imponującą:

- Po tylu dziesięcioleciach badań w tej dziedzinie wydaje mi się, że naprawdę tylko ktoś, kto pracuje przy biurku, nie opuszczając biblioteki, może jeszcze utrzymywać, że to, co opowiadają Ewangelie, nie jest historyczne.

W tych dziesięcioleciach, wyjaśnia, nastąpiła swego rodzaju "rewolucja archeologiczna", która zmierzyła się z problemem Jezusa nie tylko na podstawie niewielu dokumentów pisanych, ale konfrontując się bezpośrednio z tym, co zwróciła ziemia poruszona kilofem. Rewolucja, która spowodowała upadek wielu pewników; jednak nie po stronie wierzących.

- Proszę mi wierzyć, nie mówię tego z temperamentu apologetycznego. Jestem zakonnikiem, ale jestem także profesorem, uczonym, a więc zawsze uważam na to, aby nie mieszać płaszczyzny religijnej z płaszczyzną naukową.

Zadaniem każdej nauki, z archeologią włącznie, nie jest przyznawanie nikomu racji lub wyrokowanie o niesłuszności, ale przedstawianie danych obiektywnych. Mam więc nadzieję, że pan mnie zrozumie, kiedy panu mówię, że nauce archeologii biblijnej zdarzyło się to, co naukom fizycznym i przyrodniczym: postęp studiów, badań nie tylko nie doprowadził do niczego, co powodowałoby trudności wiary, ale nawet stworzył atmosferę nowego zaufania, po tylu latach podejrzliwości.

"Proszę mi wierzyć", mówił więc sędziwy ojciec Bellarmino; ale nie było zupełnie potrzeby, aby wierzyć mu na słowo, ponieważ jego wiarygodność (jak całego zespołu Franciscanum i innych grup, zwłaszcza dominikanów, którzy pracują od dziesiątek lat w Izraelu), została poświadczona przez światową wspólnotę naukową, która przyjęła bez protestu, a nawet z podziwem, wyniki tych badań. Udowodniły one z pewnością, że cześć dla miejsc, na których później powstały bazyliki cesarza Konstantyna, sięga czasów pierwszych uczniów, samych apostołów: "Możliwe jest dzisiaj zrekonstruowanie łańcucha historycznego, którego pierwsze ogniwa są solidnie związane z czasami Ewangelii". Z czasami, w których w Izraelu kształtował się Kościół judeochrześcijański: składający się mianowicie z ludzi tej samej krwi co Jezus; tego "mnóstwa Żydów", którzy, jak mówią Dzieje Apostolskie, zaraz po święcie Paschy wysłuchali kazania o "dobrej nowinie".

Jest to Kościół obrzezania (tak jest zatytułowana jedna z najbardziej znanych książek, teraz już klasyczna, ojca Bagattiego), utworzony ze świadków naocznych, którzy skupiali swoją pobożność na miejscach, jakie dobrze znali, narodzenia, przepowiadania, śmierci Jezusa. I na tych samych miejscach pozostawili graffiti, przedmioty kultu, inne oczywiste znaki, które po dwóch tysiącach lat pojawiły się ponownie pod kilofem tych, którzy zachowali wiarę w tego samego Nauczyciela.

Jest to rezultat nadzwyczaj ważny dla całej budowli chrześcijaństwa, które w ten sposób bardzo wzmocniło swoje podstawy historyczne: kult pokornego Nazarejczyka ukrzyżowanego nie jest wynikiem długiego, niejasnego fermentu w kto wie jakich zaułkach śródziemnomorskich; lecz jest to kult, który pojawia się natychmiast, na tyle niespodziewany co trwały, w miejscach ludzkiego działania Jezusa i dzięki tym, którzy go widzieli żywego i przekonali się potem o jego zmartwychwstaniu.

A jednak główną troską ojca Bagattiego - uczonego cieszącego się uznaniem najślawniejszych uniwersytetów, autora setek ścisłych publikacji naukowych - nie było podkreślanie tak bardzo cennej pracy, ale przeciwnie, obrażenie jej.

- Proszę pamiętać - mówił - że tym, co się liczy, nie jest studiowanie Jezusa, ale kochanie, jak On nas o to prosił. Chrześcijaństwo przetrwało dotąd i w dalszym ciągu będzie iść naprzód nie dzięki nam, którzy uważamy się za uczonych, ale dzięki wierze i miłości prostych ludzi. To pokorni, a nie specjaliści, często tak bardzo zarozumiali, naprawdę rozumieją Ewangelię. Proszę spojrzeć na wszystkich tych profesorków, na tych wszystkich biblistów: jeden po drugim niszczą wzajemnie te swoje teorie, które wydawały się kto wie czym. A po kilku latach nie pozostaje nic.

Jest modlitwa, szczególnie mu droga, pochodząca z tej tradycji judeochrześcijańskiej, jakże niewiele znanej na świecie. Jest to wezwanie, które brzmi: "Bądź błogosławiony, o Panie, ponieważ poniżasz pysznych!"

Kiedy zwróciłem uwagę, że on przecież także poświęcił życie badaniom naukowym, natychmiast odpowiedział, jak zawsze dobroduszny i pogodny:

- Proszę nie zapominać, że przede wszystkim jestem zakonnikiem i z posłuszeństwa przełożonym znalazłem się na tej drodze. Im bardziej posuwałem się naprzód, tym bardziej rozumiałem, że to właśnie nauka bez pokory przeszkadza w rozumieniu. Oto dlaczego Jezus mówi, abyśmy się stali jak dzieci: jeżeli nie odnajdziemy dzieciństwa, możemy stać się największymi uczonymi świata, ale nigdy niczego nie zrozumiemy. Jezus nie pyta nas o inteligencję lub kulturę; wcale nas z nich nie będzie sądził, ale z miłości. Jego interesuje naprawdę serce, interesuje, czy się kochamy. Myślę, że nie czyta książek nas specjalistów.

Owinął się płaszczem, stopy miał białe, a była chłodna zima jerozolimską. Chciał towarzyszyć mi aż do hotelu, pod górę przez zatłoczone zaułki koło Bramy Jaffskiej. Patrole izraelskiej military police, z budzącymi strach białymi pałkami w pogotowiu, z pistoletami maszynowymi, z aparatami radiowymi, krążyły czujnie. Siedzący w kucki przed sklepami Arabowie, i chrześcijanie, i muzułmanie, wszyscy pozdrawiali ciepło, jak drogiego przyjaciela, tego zakonnika, który odpowiadał im z uśmiechem.

- Zaci ludzie - mrucał starzec. - Ludzie, którzy rozumieją, co to jest miłość.

- Życie archeologa - mówił - niemal zawsze jest niezrozumiałym trudem, skomplikowanym wykonywaniem wykopów, poszukiwaniem, sprawdzaniem. Często nie jest wcale emocjonujące, jak niektórzy sądzą. Odkrycia olśniewające, sensacyjne, są rzadkie: najczęściej dochodzimy do naszych wniosków za pośrednictwem grupy fragmentów, których niewtajemniczony nie zaszczyciłby jednym spojrzeniem. Skorupa, kawałek kości, cegła, może nadpalone drewno. Potem, niespodziewanie, coś, co ci nagle zapłaci za wiele trudów. Owo Ave Maria, na przykład...

Do czego chciał zrobić aluzję?

- To było w Nazarecie, gdy odbudowywana była bazylika Zwiastowania, mogłem kopać w grocie, która według tradycji była domem Maryi: pomyślałem, miejsce, w którym zaczęło się wszystko, ukazanie się Anioła, fiat młodziutkiej Dziewicy! Wszystkie domy Nazaretu były takie: nędzne rudery wykute w wapieniu, grotty na zboczu wzgórza, w których ludzie i zwierzęta mieszkali razem. Kierowałem pracami wykopaliskowymi, doszliśmy do dna, osiągnęliśmy warstwę przed-konstantyńską, odkryliśmy, że to miejsce od razu zostało przekształcone w sanktuarium. Na tynku to wzruszające graffiti, po grecku: Kdire Maria, Ave Maria. Bezwzględnie pierwsze świadectwo kultu Maryi, napis wyryty przez pielgrzyma już w pierwszym wieku! Znaleźliśmy inne graffiti: jedno po grecku, brzmiało: "na świętym miejscu Maryi napisałem"; jedno po armeńsku, ucięte, możliwe do odczytania tylko dwa wyrazy, "Dziewico piękna". Był to więc dowód prawdziwości tradycji, która zawsze tam wskazywała miejsce Zwiastowania. Ale był to także dowód na to, że kult Maryi, wzywaniu jej, zrodziły się razem z chrześcijaństwem.

Uśmiechał się, może trochę wzruszony, pod długą białą brodą starodawnego misjonarza:

- Widzi pan, czasem także my, biedni archeologowie, możemy do czegoś posłużyć. Dzięki temu wykopalisku katolik odmawiający różaniec wie, że powtarzając swoje Zdrowaś Mario, łączy się z łańcuchem zapoczątkowanym w samym Nazarecie. Rozpoczętym może przez kogoś, kto na tych ulicach, wśród tych grot znał Matkę Jezusa, kiedy dla wszystkich była tylko dziewczyną, a potem żoną i wdową po cieśli Józefie.

ROZDZIAŁ VII

Trzej konwertycy w Paryżu

Najsłynniejszy (i cięty) publicysta polityczny Francji; dyrektor jednego z najbardziej poczytnych i miarodajnych tygodników Europy, "Le Figaro Magazine"; kardynał arcybiskup Paryża. Tercet nadzwyczajnych osobistości, na scenie jednej ze stolic świata: nawrócony na chrześcijaństwo z ateizmu marksistowskiego (Andre Frossard); nawrócony z pogaństwa Nowej Prawicy (Louis Pauwels); nawrócony z judaizmu (Jean-Marie Lustiger).

Na pewno warto było pójść, aby ich wysłuchać: chociaż tak bardzo odmienni, ich historie świadczą o spotkaniu z tą samą Tajemnicą; i ukazują, jak również dzisiaj, z kultur bardzo różnych, można dojść do chrześcijaństwa z zaangażowaniem, które wciąga całe życie. Ponawia się więc także dzisiaj to zjawisko nawrócenia (niekiedy niespodziewane i dramatyczne, jak w wypadku Frossarda i Pauwelsa), które naznaczało całą historię chrześcijańską, od św. Pawła do naszych czasów. I to właśnie często z ust konwertytów - którym został dany "dar zdumienia" wobec Ewangelii - słyszy się najbardziej znaczące świadectwa.

Andre Frossard

Przypadek Andre Frossarda, pisarza i dziennikarza jednego z najsławniejszych we Francji (każdego rana publikuje na pierwszej stronie "Le Figaro" ostry felieton) jest jednym z najbardziej tajemniczych i niepokojących: gwałtowne nawrócenie na katolicyzm, którego w żaden sposób nie było można przewidzieć. Jego babka była Żydówką, matka protestantką, a ojciec nie był nawet ochrzczony. Ten ojciec, Ludwik Oskar Frossard, był zaalpejskim Gramscim: niegdyś lider soqalistów, w 1920 roku założył Francuską Partię Komunistyczną, której był pierwszym sekretarzem generalnym. Syn Andre, również ateista, w wieku dwudziestu lat, wszedłszy przypadkowo do kościoła katolickiego w poszukiwaniu przyjaciela, został zaskoczony niewysłowionym doznaniem: zasłona, która się rozdziera, widzenie "twarzą w twarz" Boga, zaświatów, życia wiecznego.

- Wszedłem do tej kaplicy przypadkowo, bez metafizycznych niepokojów, zmartwień, problemów osobistych, miłosnych przykrości: byłem tylko spokojnym ateuszem, marksistą, beztróskim młodzieńcem, trochę powierzchownym, który miał na ten wieczór w programie randkę - opowiadał to także mnie. - Wszedłem stamtąd po dziesięciu minutach, tak bardzo zaskoczony tym, iż stałem się niespodziewanie katolikiem, jak byłbym zdumiony odkrywając, iż jestem żyrafą lub zebłą po wyjściu z ogrodu zoologicznego. Właśnie dlatego, iż wiedziałem, że by mi nie uwierzono, milczałem przez ponad trzydzieści lat, pracowałem intensywnie, aby wyrobić sobie nazwisko jako dziennikarz i pisarz i aby mieć w ten sposób nadzieję, że nie zostaną wzięty za szaleńca, gdybym spłacił swój dług: opowiedział to, co mi się wydarzyło.

Zrobił to, zachęcony między innymi przez Francois Mauriaca, dopiero w 1969 roku, kiedy wyszła książka (wszędzie natychmiast tłumaczona, stała się głośnym bestsellerem, którego sukces jeszcze trwa) Dieu existe, je l'ai rencontre (Bóg istnieje, spotkałem Go). Ze zdziwieniem, świat odkrył apologetę chrześcijaństwa o nadzwyczajnej skuteczności i prestiżu; kogoś, kto, gdy mówił, nie robił tego na podstawie teorii lub rozumowania, ale ponieważ "widział i dotykał". Nie przypadkiem pewnego dnia Jan Paweł II polecił wezwać Andre Frossarda i powiedział mu: "Proszę mi zadać jakieś pytania". Powstał z tego pierwszy w historii wywiad z papieżem, drugi światowy bestseller pod znamienym tytułem: Nie lękajcie się!

Byłem redaktorem odpowiedzialnym działu prasowego wydawnictwa, które opublikowało włoskie wydanie Bóg istnieje, spotkałem Go. Do mnie więc należało organizowanie autorowi konferencji prasowych, wywiadów, dyskusji. Znaliliśmy się więc; nigdy jednak nie mogliśmy porozmawiać w cztery oczy, o jego nadzwyczajnym doświadczeniu, tak osobliwym dla kogoś, kto poszukuje prawdy chrześcijaństwa, ponieważ pali argumentacje i dowody teoretyczne, aby uczynić ją konkretnością życia. Nadarzyła mi się okazja, kiedy Frossard po obwieszczeniu, że "Bóg istnieje", i po chęci udowodnienia, że istnieje życie pozagrobowe (y a un autre monde), zamierzał także dowieść istnienia diabła, publikując kolejną książkę pod prowokacyjnym tytułem: preuves que le diable existe.

Udałem się więc, aby odwiedzić go w jego domu przy głównej alei paryskiego przedmieścia Neuilly-sur-Seine. Kiedy taksówka przemierzała Etoile z Łukiem Triumfalnym, aby skierować się na Defense, skupiska drapaczy chmur, gdzie Paryż małpuje Nowy Jork, myślałem, że nie jest łatwo uporać się z Frossardem. "Konwertyci bywają zawadą i są nudni: dla niewierzących, ale również dla niektórych wierzących", stwierdził kilkakrotnie. Dla jednych ten człowiek jest problemem, dla innych zagadką: dziennikarz obdarzony

sukcesem, jeden z najbardziej znanych i budzących lęk we Francji (jeden jego artykuł może wpędzić w kłopoty potężnych w kraju), wydający książkę, w której oznajmia, z nieugiętą pewnością, że Bóg jest oczywistością, faktem, Osobą spotkaną nieoczekiwanie na ulicy!...

Pewnie, może zdarzyć się czytanie podobnych rzeczy: ale w broszurach drukowanych prywatnie, pod firmą nieznaną wizjonerów; nie w książkach publikowanych przez największych wydawców świata i podpisanych przez mającego stałą kolumnę dziennikarza, oklaskiwanego i ironicznego. Jest zrozumiałe, dlaczego wielu byłoby zainteresowanych pozbyciem się tego człowieka: niektórzy katolicy, ponieważ takie tajemnicze nawrócenie nie wchodzi w zakres schematu chrześcijaństwa obecnie zracjonalizowanego, które wyklucza "piorun" z Nieba; wielu laików, ponieważ samo istnienie Frossarda stanowi niepokojący znak zapytania. Coś, co skłania niemało ludzi do stawiania sobie pytania, może z dreszczem niepokojem: "A jeżeli to jest prawda? A jeżeli Frossard ma rację?"

Za wielkimi szybami jego domu rozmawialiśmy o reakcjach (odmiennych, ale zawsze skrajnych, entuzjasmach i wybuchach gniewu), jakie wywołują jego książki.

- Ale co ja mogę zrobić? - powtarza wsuwając któryś z kolei papieros w czarną cygarniczkę (tylko groźba ekskomuniki ze strony papieża mogłaby go skłonić do zaprzestania... - mówi żona). - Co mogę zrobić, skoro Bóg istnieje, skoro chrześcijaństwo jest prawdziwe, skoro jest życie pozagrobowe? Co mogę tutaj zrobić, skoro istnieje Prawda i ta Prawda jest Osobą, która chce być poznana, która nas kocha i która nazywa się Jezus Chrystus? Nie mówię tego na podstawie hipotez, w sposób wyrozumowany, na podstawie tego, co słyszałem, iż mówiono. Mówię o tym z doświadczenia. Widziałem. Nie wiem, dlaczego wybrano właśnie mnie, abym był świadkiem naocznym tego, co się ukrywa za powierzchnością świata. Wiem tylko, że mam obowiązek świadczenia.

I jeszcze:

- Jestem skazany na mówienie, jestem przynaglany z łagodnością, ale uporczywie potrzebą recytowania lekcji, jakiej Bóg mi udzielił w owym wstrząsającym spotkaniu, latem 1935 roku, w nieznannej kaplicy w centrum Paryża.

Potem, jakby skandując słowa:

- Kiedy się wie, że Bóg istnieje, że Jezus jest jego Synem, że jesteśmy oczekiwani po śmierci, że na tej ziemi nigdy nie będzie innej nadziei poza Ewangelią; kiedy się to wie: trzeba o tym mówić. Zrobiłem to i w dalszym ciągu będę to robił, aż do chwili, kiedy pójdę kontemplować na zawsze to, co było mi dane zobaczyć podczas owych minut, kiedy czas został dla mnie zatrzymany.

Podczas tego nadzwyczajnego doświadczenia (ale, chwilami, także przez jakiś czas potem) Frossard "widział" tamten świat, który jest ledwie za zasłoną, rzeczywistość, która czeka nas wszystkich:

- Na ulicach spostrzegałem wyraźnie, że przechodnie chodzili na krawędzi nieskończoności, że prędzej lub później wpadną w to światło niezniszczalnego kryształu, nieskończonej przezroczystości, jasności i słodyczy nie do zniesienia, które było mi dane zobaczyć, rozumiejąc natychmiast, że było to światło Tego, którego chrześcijanie nazywają Ojcem naszym.

- Ale dlaczego - zapytałem go - ten dostrzeżony Bóg był Bogiem chrześcijańskim, a nie Bogiem innych monoteizmów: judaizmu, islamu?

- Nie, nie mógłbym spotkać Allacha: jego się nie spotyka, jest Niedostępny z definicji. Ani Jahwe, Boga Izraela (a w jednej czwartej jestem Żydem), tego, który co kilka wieków mówił do jakiegoś proroka, który wywoływał w nim przede wszystkim okropny strach. Tylko Bóg chrześcijański czyni spotkanie możliwym: jest jedynym Bogiem, qui se proportion-ne d nous, Bogiem tak bardzo pokornym, że daje się nam na pokarm. Bóg Starego Testamentu ukazuje się spowity i oddzielony od nas zasłoną Sacrum. Właśnie tylko dzięki Chrystusowi kurtyna świątyni, która zasłaniała Sancta Sanctorum, się rozdziera. Dzięki niemu alliance, przymierze z Izraelem, staje się alliance (mianowicie stopem, jakby metalu), w którym Bóg i cała ludzkość są stopieni w sposób nierozdzielny.

Ale czy był umieszczony przez Jezusa, czy jedynie przez Boga w tym wstrząsającym zjawisku, w którym wszystko stało się dla niego jasne na zawsze?

- Tylko Ojciec był przedmiotem oczywistości. Chrystus był konieczną konsekwencją wyciągniętą z doświadczenia tego Boga.

Przeszedł więc do Boga chrześcijańskiego: ale dlaczego on, młody Frossard, syn szefa komunistów, również komunista, dał się nagle poznać, całkowicie, na zawsze, jako katolik, a nie protestant, prawosławny lub członek jakiegokolwiek innej wspólnoty o tradycji, która powołuje się na Chrystusa?

- Nie wiem: wiem, że nie wybrałem naprawdę niczego. Ani wiary, ani tym bardziej Kościoła katolickiego. Mogę tylko powiedzieć, że poczułem z absolutną wyrazistością, iż ten Kościół stał się odtąd na przyszłość moim adresem domowym. Po tym przeżyciu pewien ksiądz objaśnił mi katechizm: odkryłem w ten sposób, że Rzym już od wieków ujął w formuły to, co ja zobaczyłem nagle w kaplicy. Wiedziałem już wszystko, jeszcze przed uczeniem się: byłem szukającym po tym, jak już znalazłem.

Przybywszy tutaj, do tego mieszkania na spokojnym przedmieściu leżącym na obrzeżach paryskiego chaosu, z powodu pomyłki co do godziny spotkania, musiałem trochę czekać. Odbychał się akurat ruch ludzi: mężczyzn i kobiet, młodych i w podeszłym wieku. Z dyskrecją, ale z wytrwałością, Frossard jest doradcą duchowym dusz chwiejnych, przeżywających kryzys, poszukujących. Odkryłem, że przez ten dom przewijają się księża, siostry zakonne, chrześcijanie, ale także sławne i będące poza podejrzeniem nazwiska z kultury "laickiej". Przychodzą tutaj, często anonimowo, aby znaleźć siłę lub szukać drogi, przyciągani przez wiarę, która opiera się na oczywistości. Wiare, poza tym, wypróbowaną przez ponad pół wieku doświadczenia i świadectwa.

- Frossard bulwersuje, niewątpliwie - mówił paryski pisarz agnostyk. - Ale gdyby "spotkanie", o którym mówi, było tylko złudzeniem, pomyłką, czy jego skutki nie rozwiałyby się szybko? A tymczasem przez pięćdziesiąt lat ten człowiek żyje tak, jak w ciągu tych kilku minut mu "wskazano". Jest to może jedyny możliwy dowód na to, że się nie pomylił.

Frossard, powiedziałem mu, jest oskarżany coraz częściej o to, że jest jak te stare wina, które nie znoszą dojrzewania, mówią o nim, że staje się coraz bardziej agresywny w artykułach i książkach, powiadają, że teraz opisuje się pesymizmem. Odpowiedział spokojnie:

- Jeżeli pesymistą jest ktoś, kto uważa, że rzeczy nie będą mogły skończyć się dobrze, wtedy chrześcijanin nie może być pesymistą. Chrześcijanin jest optymistą: ale apokaliptycznym. Wie, że w każdym przypadku wszystko skończy się dobrze. Ale nie tutaj. Tak, liberie, fraternite, egalite skończą się triumfalnie, ale po spełnieniu pewnej małej formalności. Mianowicie po przejściu nie tylko przez koniec naszego życia ziemskiego, ale przez koniec samej ludzkości: przez drugi, ostateczny powrót Chrystusa. Oto czego oczekują wszyscy chrześcijanie, zgodnie z ich wiarą, w przyszłości, a co natomiast Kościoły "oficjalne" usiłują dzisiaj niejako ukryć, pozostawiając w ten sposób wolne pole dla rozpętywania się fantazji i majaceń eschatologicznych sekt.

Jego stosunki z niektórymi francuskimi katolikami nie są dobre, ale jak się wydaje, zupełnie go to nie martwi:

- Dzisiaj w Kościele francuskim wielu, nawet biskupów, nie lubi Jana Pawła II. Tak więc, nie ośmielając się mówić o nim źle wprost, zdobywają się na to wobec przeprowadzającego z nim wywiad. Lub nawet wobec jego prefekta Kongregacji Wiary, kardynała Ratzingera, strzegącego ortodoksji katolickiej, którą wielu chciałoby dzisiaj zniszczyć.

- Wielu jednak zarzuca mu - zauważyłem - że nie bierze dostatecznie na serio Soboru.

- Wiem, wiem, i uważam to za bardzo śmieszne. Znudziłem się marksizmem już w 1935 roku: dostatecznie wcześniej, aby widzieć pierwszych księży zakochujących się w Karolu Marksie. To prawda, nie bardzo się podniecałem tym, co określano jako "rewolucyjne nowości" Soboru: wolność myśli, koniec antysemityzmu, ekumenizm, tolerancja... W sumie cały bagaż rewolucji francuskiej, odkryty przez katolików z prawie dwustuletnim opóźnieniem. Jeżeli byłem trochę nieuważny, to dlatego, że to były "nowości" może dla

klerykałów, ale bynajmniej nie dla mnie. Byłem przekonany o tych rzeczach, odkąd zacząłem rozumieć, dzięki mojemu ojcu oraz ludzi ze środowiska socjalistycznego i komunistycznego. Proszę zważyć, że nikt nie może oskarżać mnie o to, iż jestem "tradycjonalistą", ponieważ moją tradycją życiową i kulturalną nie są dekrety Soboru Trydenckiego, lecz Kapitał Marksa.

W tym pełnym życia człowieku jest jakby nadmiar pasji, duch polemiczny, który z trudem ulega ewangelicznemu napomnieniu do łagodności.

- Dzisiaj krążą różne typy katolików - mówił między innymi. - Są urzędowi, dla których tym, co się liczy, jest aparat, machina kościelna; tradycjonalisci, którzy zamykają się w swojej wieży z kości słoniowej coraz bardziej grożącej zawaleniem; postępowcy, którzy rozpraszają wiarę w polityce i oklepanych frazesach socjologii. I następnie są ci, najliczniejsi, wzięci między wiele ogni, niepewni i skonsternowani. To właśnie wśród nich znajdują uszy skłonne do słuchania mnie. Interesuję się chrześcijaninem anonimowym, tym, który nie interesuje nikogo i jest przez wszystkich opuszczony. Walczę o zdrowy rozsądek w Kościele, o prostotę wiary, przeciwko mitom i utopiom oraz komplikacjom próżnującego intelektualisty.

- Czy chodzi o całą tę dyskusję o relacjach ze "światem", o ponowne chrześcijańskie odkrycie, że Wcielenie wymaga, aby historia ludzi była traktowana na serio?

- A tymczasem nie, nie przypisuję światu całej powagi, jakiej żądałby od nas. Gdy spotyka się Boga, pierwszym odkryciem jest nieważność wszystkich rzeczy, które jeszcze dzisiaj chrześcijanie, z wyjątkiem oczywiście świętych, tak śmiesznie traktują na serio.

- Ale problemy społeczne, engagement, zaangażowanie polityczne wierzącego?

- Sądzę, że Bóg chrześcijański potrafi liczyć tylko do jednego: nie interesuje się masami, nie chodzi na kongresy ani tym mniej na zgromadzenia. Interesuje się tylko poszczególnymi, konkretnymi osobami. Pracuje za kulisami, w ciszy, sam na sam. Jest jedna historia, którą wszyscy widzimy, historia krwi, zamieszania, wściekłości. I jest historia ukryta, niewidzialna, z którą tylko co pewien czas zdarza się nam spotkać: historia miłosierdzia, miłości Boga do człowieka i miłości człowieka do Boga i do braci. To jest jedyny wymiar historii, który mnie interesuje.

Jak Frossard czyta Biblię, on, który mówi, iż odnajduje w niej wymiar, jaki poznał przez bezpośrednie doświadczenie?

- Czytam Pismo Święte w sposób możliwie najbardziej dosłowny, z prostego rozumowania: albo jest ono natchnione, a więc jest dziełem samego Boga, który posługuje się ludźmi jako pośrednikami; albo też nie jest natchnione. I wtedy jest książką historyczną, jak inne, chociaż dużo starszą, bardziej malowniczą.

- Ten sposób podchodzenia do Biblii - zwracam mu uwagę - wygląda tak, jakby ignorował całą mozolną pracę egzegetyczną ostatnich dwóch wieków.

- No tak, niektórzy bibliści, biedaczyska, często nie mają żadnego wyczucia tego, co Boskie. Zamknięci w uczonych badaniach, nie mają żadnego pojęcia o wspaniałości Boga. Ci panowie, którzy chcą "demitologizować" Biblię! lis me font rigoler, sprawiają, że umieram ze śmiechu! Chcą Pismo Święte przekształcić w pewnego rodzaju La Fontaine'a tamtych czasów.

Uważają, iż uczynią je bardziej zrozumiałe, a tymczasem czynią je niezrozumiałe i niepotrzebne, chyba że dla siebie i dla swoich katedr.

Śmieje się:

- Dziękuję Ci, Ojczy, że ukryłeś te rzeczy przed intelektualistami, a więc przed pewnymi teologami, przed pewnymi egzegetami!

Wierzyć we "wszystko" w Piśmie Świętym, czytać je w sposób tak dosłowny, to znaczy wierzyć także w diabła; poświęcił mu książkę, w której chce ostrzec przed jego okropnym powrotem do nas.

- Pewnie, że wierzę w diabła: jak można być chrześcijaninem i nie traktować poważnie rzeczywistości, która jest 147 razy wymieniona w Ewangeliach? I niech sobie gadają tak zwani eksperci, którzy, jak zwykle, mówią o "formach wyobrażeniowych", o mitach związanych z pojęciami czasów starożytnych, ale dla uspokojenia przede wszystkim siebie.

- Jak Frossard widzi przyszłość chrześcijaństwa?

- Żyjemy w momencie nadzwyczaj poważnym, trzeba poświęcić wiele uwagi obronie wiary tych, którzy ją zachowali. Wierzyć dzisiaj z pewnością nie jest łatwo, wierzyć i chcieć postępować jak ryba, która wychodzi z wody, aby mieć wyobrażenie o świecie istniejącym ponad morzem.

Nowe zainteresowanie młodych, powrót do Sacrum rozczarowanych pokoleń?

- Młodzi są otwarci, ale, wydaje mi się, niezbyt przyciągani przez chrześcijaństwo. Może dlatego, że nie potrafimy przedstawić go, może dlatego, że zagubiliśmy już pasję przekonywania, świadczenia, nawracania.

- Jaka stronica, jakie słowo Chrystusa jest panu najbardziej drogie?

- Wszystkie, wszystkie: każde ma coś do powiedzenia każdemu człowiekowi, w każdej chwili życia. Powiem więcej: jak jestem przekonany o tym, iż Bóg zwraca się do jednostki, tak jestem również przekonany, że w Piśmie Świętym znajduje się jakieś słowo natchnione specjalnie dla każdego z nas. Ale gdybym został naprawdę przyciśnięty i musiał wybrać jedną przypowieść, wtedy opowiedziałbym się za przypowieścią o niewiernym włodarzu, o słudze, który kradnie i zostaje pochwalony przez pana. To jest wspaniałe: jest to wspaniałomyślność Boga nieskończenie bogatego, który chce być okradanym. Zastanawia się w milczeniu, a potem mówi:

- Jest słowo Jezusa, które sprawia, iż zagłębiam się w otchłani. Mówiłem, że w moim doznaniu, tam w kaplicy, tylko Bóg był oczywistością, do Chrystusa musiałem dochodzić przez analogię, przez dedukcję. A więc, jest jedno jego słowo, które przekonało mnie na zawsze o jego boskości. Jest to owo straszne: "Boże mój, Boże mój, dlaczegoś mnie opuścił?" Czyż teologia nie twierdzi, że w osobie Jezusa współistniały dwie natury: boska i ludzka? A więc, na krzyżu - to on sam woła - że Bóg go opuścił. Przeto zrezygnował także ze swojej części boskości, ze swojego kontaktu z Ojcem. Tylko Bóg może posunąć się aż do tego stopnia rezygnacji, może uczynić z siebie dar tak całkowity. My zawsze zatrzymujemy coś dla siebie. On nie zachował niczego.

Chciał powrócić do owej większości wierzących, do owego fundamentu katolickiego, któremu pragnie pomóc w ocaleniu wiary, narażonej na niebezpieczeństwo także przez ataki mniejszości postępowców i konserwatystów.

- Chce pan wiedzieć, czym się różnią między sobą? "Postępowiec" jest to ktoś, kto spełnia wolę wszystkich, oprócz woli Boga; "konserwatysta" natomiast to ktoś, kto zawsze spełnia wolę Boga, czy Bóg chce, czy nie... Ten człowiek złośliwy, o inteligencji bystrej i kpiarskiej, w rodzaju Voltaire'a, ten autor artykułów żrących jak kwas, sprawia rzeczywiście wrażenie pokonanego ateisty, nagiętego do wierzenia w to, w co bez tego mocnego uderzenia nigdy by nie wierzył.

- Jak może pozostać żywym człowiek, na którym spoczęło spojrzenie Boga?

- pytał siebie współczesny filozof. Kieruję to pytanie do Frossarda. Śmieje się, odprowadzając mnie do drzwi:

- Wystarczy nie brać siebie na serio. Wystarczy zdawać sobie sprawę z tego, że jest się mało znaczącym pionkiem w tajemniczej grze, której reguł nie znamy.

Louis Pauwels

Od konwertyty z lewicy, z marksizmu, z ateizmu, jakim jest Andre Frossard, do innego konwertyty - także z zaskoczenia, nieoczekiwanie - ale z radykalnej prawicy, z religijności pogańskiej. Spotkanie miało miejsce także w Paryżu.

Wypadało mi przejść przez liczne sita - woźnych, sekretarki - aby dotrzeć do biura innego z pisarzy najbardziej znanych, dziennikarzy najpotężniejszych, ludzi najbardziej niepokojących we Francji: Louisa Pauwelsa, charyzmatycznego dyrektora "Le Figaro Magazine". Z tego, co było tylko starym dodatkiem do dziennika paryskiego mieszczaństwa, Pauwels zrobił tygodnik najbogatszy, najbardziej poczytny, najbardziej wpływowy w kraju. Tygodnik popularny, zarazem kulturalny i polityczny, z dokładnie określonym kierunkiem rozwijanym w każdym numerze: zwalczanie lewicy, socjalistycznej i komunistycznej, oraz spór o zasady nowoczesnego liberalizmu. Wiedząc, że jestem w Paryżu i pragnąc zadać mi kilka pytań na temat mojej książki dopiero co przetłumaczonej na francuski, Pauwels

przekazał mojemu wydawcy chęć spotkania się ze mną.

Poszedłem; nieco uprzedzony, z różnymi wątpliwościami. Jego książki są znane w całym świecie, ale towarzyszy im - jak to powiedzieć? - pewien zapach siarki, atmosfera tajemnicy, silna woń pogaństwa. Z okultystą i ezoterystą Jacques Bergierem (również z zespołu międzynarodowego pisma "Planète") Pauwels firmował bestsellery fascynujące a zarazem gwałtownie dyskutowane, jak Poranek magów lub Człowiek wieczny. Dzieła, które stanowią część ekwipunku owej Nowej Prawicy, która chciałaby skończyć z chrześcijaństwem i powrócić do indoeuropejskich bogów i herosów, w klimacie naznaczonym okultyzmem, jaki Pauwels uprawiał. Stąd moja sceptyczna ostrożność, której jednak towarzyszyła ciekawość: od jakiegoś czasu mówiło się o niespodziewanym nawróceniu pisarza na katolicyzm. Czy to możliwe? Sprawa, którą sami księża francuscy uważają za "niemodną" - i rzeczywiście niekiedy, to zadziwiające, do niej zniechęcają - jak nawrócenie? A poza tym, na katolicyzm? I to tego najbardziej zażartego międzynarodowego obrońcę pogaństwa?

Podczas rozmowy poprosiłem więc samego Pauwelsa o potwierdzenie tych pogłosek. I zaskoczony, usłyszałem go mówiącego z prostotą: "Oui, je suis un converti. Tak, jestem nawróconym". A więc także on, jak Frossard, ale przychodząc z "prawicy", odkrył nagle chrześcijaństwo w jego pełni. A nawet najbardziej ortodoksyjny katolicyzm.

Po tym nieoczekiwanym wyznaniu, spontanicznie, bez nalegania z mojej strony (był jeszcze w tej fazie żarliwości, w której jest pragnienie podzielenia się z tak wielu, jak tylko możliwe, wiadomością, iż odkryło się radość) Pauwels dodał:

- Ten, kto mnie podejrzewał, iż jestem poganinem, miał rację. W tradycji judeochrześcijańskiej, ja, Europejczyk pochodzenia celtyckiego, instynktownie wyczuwałem coś radykalnie obcego. Jako bliskich odczuwałem filozofów epikurejskich, stoików grecko-rzymskich, byłem zafascynowany hinduizmem (najbardziej zhierarchizowaną i "rasistowską" spośród religii, z systemem kastowym), ale byłem alergicznie uczulony na profetyzm semicki. Proszę pomyśleć, kiedy stała się ta "Sprawa", pisałem powieść pod tytułem Le malheur de famille: tym "nieszczęściem rodziny" był później syn patrycjusza rzymskiego z II wieku, który miał nieszczęsny pomysł nawrócenia się na chrześcijaństwo. Nie trzeba mówić, że stałem po stronie rodziców, którzy starali się wszelkimi sposobami zniechęcić młodzieńca do tego...

"Sprawa" wydarzyła się w Południowej Ameryce, na kongresie: upadek na cementowe obrzeże basenu, złamanie, bardzo długie oczekiwanie na pomoc.

- Byłem sam, wszyscy powrócili do hotelu na obiad. Gdy waliłem się na ziemię, czułem, że nie upadam przypadkowo: poczułem wyraźnie, że "Ktoś" mnie popchnął. I zrobił to, aby mi "coś" powiedzieć. Leżałem opuszczony na cemencie, połamany, ból był rozdzierający; a jednak byłem owładnięty ogromną, niewytłumaczalną radością. Kiedy wreszcie ktoś przybiegł i wyniesiono mnie na noszach, ciało było zranione, ale dusza nie posiadała się z radości. Było tak, jak gdyby narodzenie Chrystusa wydarzyło się dla mnie, w tym samym momencie: było to moje Boże Narodzenie, Boże Narodzenie we wrześnie. Po raz pierwszy w moim życiu doznawałem radości.

Tylko jego twarz wyrafinowanego i sławnego intelektualisty była oświetlona abazurem na stylowym stoliku. Za drzwiami słychać było zamieszanie sekretarek, redaktorów, gońców, których posyłano po korekty i depesze z agencji. Nacisnął guzik, powiedział, że nie chce, aby mu przeszkadzano.

- Poszedłem odwiedzić arcybiskupa Paryża, Lustigera. On także jest konwertytą: on z judaizmu, ja z pogaństwa. Zrozumiał mnie, podczas gdy wielu tak zwanych chrześcijan drwiło sobie ze mnie. Na koniec rozmowy, kardynał Lustiger powiedział, że chce mi podarować książkę, która jest mu bardzo droga. Myślałem, że chodzi o jeden z wielu jego esejów. Tymczasem był to egzemplarz katechizmu Soboru Trydenckiego. Wybór, który mi się bardzo spodobał: przez całe życie przeciwstawiłem się ideom konformistów; a na pewno nie jest konformistą kardynał dający ci w prezencie katechizm trydencki, który kształtował katolików przez ponad cztery wieki, teraz zaś jest wyrzucany na śmieci przez wielu wierzących posoborowych.

Jeżeli przedtem zaskakiwał, teraz stawał się niepokojący:

- Istnieje światowy spiszek sił antychrześcijańskich, które dążą do

osłabienia (a jeżeli to możliwe, do rozpuszczenia w humanizmie pięknych, ale bezsilnych słów), wiary katolików, do podzielenia Kościoła, do doprowadzenia do schizmy.

Nie mogłem przynajmniej nie wyrazić mojego zakłopotania tego rodzaju "zakulisologią".

- Ecoutez - odpowiedział prędko. - Proszę posłuchać: ja także byłem, i to przez całe życie, wrogiem chrześcijaństwa, Kościoła. Może mi pan wierzyć, gdy mówię o sprzyśnięciu potężnych sił, które knują w cieniu. Mówię to ze znajomością rzeczy. Nie dodaję niczego. Pan, który coś wie o mojej przeszłości, potrafi zrozumieć. Teraz, gdy prawda została mi dana, chcę poświęcić cały czas, jaki mi pozostaje, na bronienie przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi starego, cudownego Kościoła katolickiego. Dla tego, kto jest na zewnątrz, wydaje się on największą przeszkodą do przyjęcia Ewangelii. Przez długi czas tak było także dla mnie. Ale w chwili, w której "popchnięto mnie" abym upadł, zrozumiałem, jak w przeblasku, że tam teraz jest mój nowy, prawdziwy dom. Tak, właśnie Kościół jest trwałym cudem, który mnie teraz przyciąga. Pod warunkiem, że się uwolni od złudzenia, za którym gonili w tych latach niektórzy jego ludzie, iż zdobędą na nowo masy, wybierając łatwość, powierzchowność. W życiu duchowym nigdy nie zdobywa się w szerokości tego, co się traci w głębokości i w wysokości.

Staliśmy już, zielone światło wreszcie zwalniało tłumek za drzwiami. Ale coś jeszcze leżało mu bardzo na sercu, chciał mi to powiedzieć:

- Kiedy byłem młody, słyszałem jak mówiono, że chrześcijaństwo powinno być takie społeczne. Później mówili mi, że powinno być przede wszystkim społeczne. Teraz, ktoś mówi, że powinno być wyłącznie społeczne. Co do mnie, nie zgadzam się z tym. Nie wybrałem, że zostanę chrześcijaninem, zostałem popchnięty (dosłownie) przez Kogoś, abym odkrył Ewangelię, której tak bardzo nie ufałem, abym wszedł do Kościoła. I abym w ten sposób zbawił się na wieczność, a nie bym zaczął być syndykalistą lub partyzantem. Dla historii wystarcza polityka: istotnie, po nawróceniu niczego nie zmieniłem w swoich dziennikarskich artykułach wstępnych. Dla życia pozagrobowego potrzebna i niezbędna jest religia.

Milczałem, zakłopotany. Powiedział jeszcze, otwierając drzwi:

- W wierze to, co jest proste, jest słuszne; to co jest skomplikowane, jest fałszywe. Zrozumienie tego otrzymałem w jednej chwili, na obrzeżu owego południowoamerykańskiego basenu.

Jean-Marie Lustiger

Słyszeliśmy, że Pauwels, odepchnięty po nawróceniu przez pewne środowiska "katolickie", udał się na poszukiwanie kogoś, kto by go zrozumiał, dlatego, że sam jest konwertytą. I poszedł odwiedzić go ni mniej ni więcej, tylko w salonach przy ulicy Barbet de Jouy, gdzie ma siedzibę kuria metropolitalna Paryża. Tutaj istotnie mieszka człowiek, który także należy do grupy wielkich niespodzianek przygotowanych przez Jana Pawła II. Pewnego pięknego dnia mianował on biskupem Orleanu, następnie arcybiskupem Paryża i wreszcie kardynałem, proboszcza z banlieu Paryża, niegdyś kapelana studentów Sorbony. Trzeba stwierdzić, że Jean-Marie Lustiger jest człowiekiem ważnym, jest człowiekiem nauki, a zarazem ma doświadczenie duszpasterskie. Z dodatkową jeszcze wszelako osobliwością: jest Żydem. Nie jak Frossard, który po jednym dziadku, jednym przodku, ma jedną czwartą krwi żydowskiej; nie, on naprawdę został obrzezany, jest Żydem i synem polskich Żydów; kimś, kto miał matkę pochłoniętą przez piekło Auschwitz; kimś, kto nosił żółtą gwiazdę. I właśnie on jest teraz wyniesiony, wołają Papieża, na jedno z najbardziej prestiżowych stanowisk w Kościele powszechnym.

Zdumienie tak wielką, błyskawiczną karierą, było przede wszystkim udziałem samego zainteresowanego, który - sam to potwierdził - papieża pierwszy raz spotkał osobiście po nominacji na diecezję Orleanu. Przed i po spotkaniu z monsignorem Lustigerem kręciłem się po Paryżu, odnajdywałem jego kolegów, starych znajomych, przedstawiano mi różnego rodzaju ludzi w milieu religijnym, kulturalnym, wydawniczym. Wszyscy (katolicy i nie, wierzący, ateści, agnostycy) powtarzają to samo: wyrazy szacunku dla kardynała arcybiskupa, a zarazem stwierdzenie, że "tego Lustigera trudno jest

zaklasyfikować według starego schematu prawicy» i lewicy»".

Dokładnie tak jak tego drugiego Polaka, Karola Wojtyłę, który go "odkrył" i rzucił w przygodę o nieprzewidywalnych zarysach. Jest kardynałem, który wzbudza wielkie nadzieje katolików pragnących ponownie odkryć swoją tożsamość, domagających się nowej czystości doktrynalnej, sprzeciwiających się pewnemu pesymizmowi co do losów chrześcijaństwa w byłej "najstarszej córce" Kościoła, jak nazywano Francję. Ale biskup "ponownego dośrodkowania doktrynalnego", który podoba się temu, kto nie chce oddalać się od ortodoksji katolickiej (i który, jak słyszeliśmy, rozdaje katechizmy trydenckie), jest także poważanym i słuchanym rozmówcą lewicy instytucjonalnej lub ruchów studenckich, tak często buntujących się w tych stronach. Także niespokojna konferencja episkopatu francuskiego, wstrząsana niekiedy fermentami, które niepokoją Rzym, spogląda na niego jako na lidera szanowanego i słuchanego.

Wśród wywiadów kardynała jest jeden dla dziennika izraelskiego, krótko po nominacji na stolicę arcybiskupią Paryża: jedna z niewielu okazji, w których Aaronowi Jean-Marie Lustigerowi (przyjmując chrzest chciał zachować imię pierwotne - Aaron, brat Mojżesza - i dołączyć inne dwa imiona, w pełni żydowskie a zarazem chrześcijańskie: Jan, Maria) udało się przewyciężyć niechęć, wstyd i mówił obszernie o swojej historii.

Rodzice imigranci z Polski, drobni kupcy, świadomi swojej żydowskości, ale agnostycy, w każdym razie nie praktykujący: "Rabini i księża - wszyscy opowiadają te same betises, te same głupstwa", powtarzano w domu.

- A jednak otrzymałem świadomość Boga. Wystarczy, że w sercu dziecka rozbudzą się drobne "dlaczego" w odniesieniu do Boga! Przypominam sobie sposób, w jaki matka odmawiała błogosławieństwo nad nowymi owocami. To było wszystko. Ale wystarczyło.

Potem, w wieku dziesięciu lat, bardzo wcześnie rozwinętemu Aaronowi udało się otworzyć zakazaną szafę z rodzinnymi książkami.

- Była tam także stara Biblia protestancka. Przeczytałem ją całą po kolei, od Księgi Rodzaju do Apokalipsy. W Piśmie Świętym wszystko mnie zdumiewało, nic nie drażniło. I odtąd zacząłem myśleć.

W rok potem przebywa w nazistowskich Niemczech, widzi, jaki los jest przeznaczony dla jego narodu:

- Moja refleksja przenosiła się coraz częściej na Chrystusa jako Mesjasza Izraela i cierpiącą postać narodu żydowskiego.

Postanawia poświęcić życie służbie potrzebującym. Może jako lekarz, może jako pisarz zaangażowany jak Zola, w obronie uciskanych. W czternastym roku życia, w Orleanie, prosi o chrzest: stał się chrześcijaninem w samotności lektury, medytacji ("nawrócenie? dzisiaj powiedziałbym raczej ustalenie poglądów"). Rodzicom, urażonym, mimo ich agnostycyzmu, wyborem, który wydaje im się "budzącym odrazę", młodziutki Aaron, który stał się także Jean-Marie, mówi: - Nie pozostawię was, nie przechodzę na stronę nieprzyjaciela. Zostaję tym, czym jestem. Nie przestaję być Żydem. Przeciwnie: odkrywam sposób by być nim w pełni. Wyjaśnia mi teraz: - Dla mnie judaizm był dalszym ciągiem sytuacji historycznej, której nie powinienem za nic opuścić, ale która znalazła spełnienie i sens w uznaniu postaci Jezusa jako oczekiwanego Mesjasza Izraela.

Niemcy przerywają front w Ardenach, Wehrmacht defiluje paradnym krokiem na Champs Elysees, ojciec Lustiger i syn szukają ratunku, matka pozostaje i prowadzi sklep ("trzeba było przecież jeść") i jednego dnia znika. Dopiero po skończonej wojnie chłopiec będzie mógł odtworzyć jej tragiczną drogę, która kończy się w Auschwitz. Tymczasem był ruch oporu, szkoła, rok pracy w fabryce: on także był robotnikiem, jak w tych samych latach polski seminarzysta Wojtyła. W roku 1946 wstąpienie do seminarium:

- Zrozumiałem, że swoją potrzebę służenia powinienem realizować nie w medycynie lub literaturze, ale w kapłaństwie.

W roku 1954 został wyświęcony na księdza, najpierw zostaje kapłanem studentów, a następnie odpowiedzialnym za wszystkich kapłanów Sorbony; wreszcie proboszczem wiejskiej parafii.

Pytam, czy tęskni za tamtymi czasami?

- Tak, chciałbym pozostać proboszczem: głosić kazania, spowiadać, odprawiać nabożeństwa, mówić ludziom o Bogu, pozostawać w bezpośrednim

kontakcie z braćmi.

A tutaj, jak czuje się w tych salonach, gdzie przepływała wielka historia, gdzie w dalszym ciągu dzieje się część historii Francji i świata?

- Walczę z wielką ilością problemów. Wierzę, że moją główną służbą jako biskupa jest pomaganie chrześcijanom Paryża w życiu w wierze, w strzeżeniu jej. Staram się być wiernym misji kapłana, mianowicie człowieka, który oddał się bez zastrzeżeń Bogu, aby być sługą wszystkich, których spotyka. Katolicy znaleźli się w tych latach wobec problemów nadzwyczaj trudnych; wszystko tak prędko się zmieniło, obyczaje, warunki życia, sytuacja religijna! Tymczasem walczę przeciwko tradycji i tendencji, które chciałyby zamknąć mnie w roli urzędowej.

- Walka: ale w jaki sposób?

- Staram się wbrew wszystkiemu znaleźć czas dla siebie. Jest to jedyny możliwy sposób. W każdym tygodniu jeden cały dzień, w każdym dniu przynajmniej jedna godzina na modlitwę i medytację. To tyle wolności mogę osiągnąć.

Nie wydaje się by ta sytuacja była bardzo wygodna.

- Widzi pan, robię to, czego ode mnie zażądano, nie to czego, szukałem.

Nie wybrałem, nie jestem kardynałem arcybiskupem Paryża dlatego, że mi się to podoba, ale dlatego, że Bóg tego zażądał za pośrednictwem swoich przedstawicieli w hierarchii Kościoła. Właśnie ta świadomość posłuszeństwa czyni takie życie możliwym, w pokoju serca i ducha.

- Monsignore Lustiger, co się dzieje we Francji? Była, pod wieloma względami, także naszą ojczyzną, jedną z nauczycielek naszej wiary, bardzo pouczające wypowiedzi o Ewangelii rozbrzmiewały w języku Pascala. Co się stało z Filie ainee, skoro, według ostatniego sondażu, osiemdziesiąt dwa procent obywateli to jeszcze ochrzczeni katolicy, ale tylko dziesięć procent jest praktykujących? Co będzie z tym krajem, w którym tak wiele kościołów jest zamkniętych cały dzień z braku księży, ale także i wiernych? Czy wy, ludzie Kościoła, macie jakąś strategię, aby przezwyciężyć ten regres?

Zza okularów w stalowych oprawkach docierały do mnie błyskawice pasji. Wyczuwa się napięcie człowieka obciążonego odpowiedzialnością, której nie może i nie chce oddać, aby nie drażnić przewrażliwienia, aby nie pogarszać sytuacji i tak już niełatwej. Nie jest tajemnicą, że wielu, chociaż nie potrafi go nie szanować, nie kocha tego niewygodnego człowieka, który przeciwstawia się pewnym pocieszającym sloganom, głoszonym mimo klimatu, jaki między innymi doprowadził do załamania się powszechnego rozmachu apostolskiego, stanowiącego niegdyś chwałę tego Kościoła: w ciągu dwudziestu lat po Soborze, liczba misjonarzy francuskich spadła z 20000 do 6000. Los podobny do misjonarzy holenderskich, których liczba w tym samym okresie zmniejszyła się z 8000 do 2000.

- Nie będę się wypowiadał o tym wszystkim - odpowiada kardynał - dam panu tylko moją analizę sytuacji duchowej współczesnej Francji.

Analiza: wydaje się to mało, ale może być dużo, kiedy umie się ją czytać.

Może proponowana terapia mieści się między wierszami. Mówi więc:

- Wy, cudzoziemcy (ale także wielu moich rodaków), aby zrozumieć to, co się tutaj działo i dzieje, powinniście poznać historię Francji. Ta historia, na płaszczyźnie religijnej nie jest, jak wydaje się z zewnątrz, przypadkowym następstwem okresów chwalebnych i okresów ciemności. Ze wszystkich krajów Zachodu - ten ucierpiał najbardziej na skutek najgwałtowniejszego ataku przymusowej sekularyzacji.

- Od czego to się zaczęło? Od philosophes osiemnastego wieku? Od oświeceniowców związanych z Encyclopedie

- Tak, właśnie od tej demoralizacji chrześcijańskiej elity społeczeństwa.

To prowadzi do Wielkiej Rewolucji, której konsekwencje przeżywamy w dalszym ciągu, dobre i złe. Od tamtego czasu Kościół przeżywa kolejno po sobie okresy niszczenia i mniej lub bardziej sztucznej odbudowy. W rzeczywistości od ponad dwóch wieków we Francji jest rozbrat między kulturą świecką, antychrześcijańską, i kulturą katolicką, która chce być obecna i zarazem osobna.

Ten rodzaj analizy, zauważam, interesuje szczególnie Włocha: my również znamy te dwie "kultury paralelne", które jakby nie chciały się nigdy ze

sobą spotkać. Wystarczy popatrzeć - jest to przykład na płaszczyźnie kulturalnej najbardziej widoczny - na dwa obiegi rozprowadzania książek, nie mające jeszcze dzisiaj prawie żadnych ze sobą kontaktów.

- Może jednak - mówił kardynał dalej - bardziej niż o dwóch kulturach, trzeba by mówić o dwóch subkulturach, o dwóch kulturach połowicznych: jedna laicyzyczna i druga klerykalna. Otóż: za każdym razem, gdy subkultura chce się utrzymać, jest ściśnięta kleszczami, albo się zamyka w sobie, albo się rozpada.

- A więc - zauważam - (na ile dotyczy katolików), dwa przeciwstawne ryzyka: albo integrizmu, albo "rezygnacji" ze świata.

- Si vous voulez. W każdym przypadku, taka jest prawda, wobec tych sytuacji stwierdzamy dwie postawy. Z jednej strony są katolicy, którzy stwierdzając sekularyzację, uważają, że Francja jest krajem misyjnym, na równi z jakimś krajem azjatyckim, Japonią na przykład. Ale w ten sposób zrywają kontakt z ogółem naszego narodu, w którym utrzymują się liczne oznaki chrześcijaństwa, nawet jeżeli ubogie i często niewidoczne. Inna postawa, równoległa do tamtej i tak samo błędna, to trwanie w złudzeniu, że Francja jest krajem katolickim; że Francja jest krajem o kulturze, mimo wszystko, jeszcze chrześcijańskiej. Ale jak nie jesteśmy Japonią, nie jesteśmy również Polską lub jakimś regionem Ameryki Łacińskiej. Nie mieliśmy tej samej historii.

- Ta sama analiza - powtarzam - mogłaby dotyczyć także Włoch. Ale jaką wyciągnąć z niej naukę?

- Sądzę, że nie tylko my, biskupi, ale także księża, świeccy (w sumie cały Kościół) musimy uczyć się żyć różnością, specyfiką chrześcijańską, utrzymując równocześnie kontakt z ogółem kraju, przenikniętym kulturą zsekularyzowaną, obecnie mającą większość. Jeżeli będziemy umieli żyć tą tożsamością i zarazem tą łącznością, to, wierzę, będziemy mogli przeżyć świt nowej ewangelizacji. Właśnie, ewangelizować. Ale jakimi treściami? Jakimi priorytetami? O czym krzyknąć na chodnikach tego departamentu Sekwany?

- Pierwszym problemem jest Bóg. Mówienie o Nim wydaje się banalne, ale tak jest. Naszą cywilizację kusi samobójstwo, śmierć, samozniszczenie, ponieważ straciła z oczu znaczenie, cel, godność człowieka. Głoszenie Boga i głoszenie ocalenia człowieka jest tym samym, ponieważ to światło Boga oświeciła sens życia i śmierci człowieka. Ale, uwaga: nasze zmartwienia nie mogą być zmartwieniami człowieka marketingu, który się zastanawia, jaki produkt będzie miał największe powodzenie. My nie powinniśmy proponować innych "dóbr konsumpcyjnych", innych fetyszy, innych idoli: lecz przeciwnie, wydierać człowiekowi te, które już ma.

- A gdzie dostrzega te idole?

- To te same, co zawsze, dobrze znane z Pisma Świętego. W zasadzie jeden jedyny: diabeł. To on działa w największych pokusach, od pieniądza do seksu. Jego oblicze ma wiele postaci ("moim imieniem jest legion", mówi Szatan o sobie w Ewangelii), ale rdzeń tkwi w miłości samego siebie, w egoizmie ograniczającym się do samego człowieka, który zrywa więzi ze swoim Stwórcą. Trzeba rzeczywiście odwołać się do całej potęgi zbawczego dzieła Chrystusa w tym społeczeństwie, które umiera, które chce umrzeć, mimo tragicznego makijażu wesołości i świętowania.

- Powinniśmy więc przeciwstawiać się dzisiejszym kulturom, aby wydrzeć braci z pazurów Złego?

- To nie chrześcijanie przeciwstawiają się światu - mówi słowami, które słyszałem od innego jego współbrata w kardynałstwie, Josepha Ratzingera. - To świat przeciwstawia się im, gdy mówią mu prawdę; gdy w świetle wiary nazywają po imieniu grzech i łaskę. Wtedy świat się sprzeciwia i krzyżuje ich. I nie zostało powiedziane, że w torturach nie uczestniczą, jako pomocnicy katów, także chrześcijanie. Jest ścisły i konieczny związek między głoszeniem prawdy Ewangelii i ponoszeniem męczeństwa. Między wiernością Chrystusowi i prześladowaniem. Nie zostało obiecanie życie wygodne, pochwały, nagrody, przeciwnie!

- Powróćmy do początku, monsignore Lustiger, do korzeni. Być Żydem i zarazem kardynałem Świętego Kościoła Rzymskiego, oznacza przeżywanie samotności kogoś, kto został posłany naprzód drogą jeszcze nie zbadaną.

Eminencja powiedział kiedyś: "Stwierdzam, że jestem nosicielem znaczeń o wiele ważniejszych niż moja biedna osoba". I powtarza często: "Refleksję chrześcijańską nad losem Izraela, nad sytuacją żydowską, nad miejscem judaizmu w historii zbawienia trzeba podejmować wciąż na nowo". Pomówmy jeszcze o tym, jest to tak ważne, że trzeba się starać zrozumieć dobrze.

- Mój problem - odpowiada z pewnością kogoś, kto całe życie zastanawia się właśnie nad tym - nie jest problemem osobistym, jest to problem wszystkich chrześcijan, który dotyczy równowagi samej wiary katolickiej. "Zbawienie pochodzi od Żydów", mówi Ewangelia św. Jana. Że Jezus był Żydem, że urodził się w Betlejem z Żydówki Maryi, że został wskrzeszony trzeciego dnia zgodnie z pismami Izraela; wszystko to nie jest przypadkową kwestią zaszportową. To jest istotne dla chrześcijaństwa. Próba oderwania Jezusa od Izraela oznacza wykorzenienie Go z pełni Jego tajemnicy. Jest to pokusa heretycka, bardzo starożytna i stale powracająca, pokusa Marcjona, który chciał, aby chrześcijanie usunęli z ksiąg świętych cały Stary Testament, już niepotrzebny jeżeli nie nawet szkodliwy, ponieważ jest wyrazem Mojżeszowego Boga sprawiedliwości, przeciwstawianego Jezusowemu Bogu miłości. Ale odebranie Jezusowi Jego konkretności żydowskiej jest także pokusą, również zawsze obecną, odcielesnionego spirytualizmu, gnostycyzmu: jest odrzuceniem Wcielenia, aby uczynić z Nazarejczyka mit, symbol, przypowieść o człowieku ubóstwionym. A więc, oto pewnego rodzaju nieomylny test: powiedz mi, jakie zajmujesz stanowisko wobec Izraela, a ja ci powiem, w jakiego wierzysz Chrystusa. Czy mianowicie "pomniejszonego", czy też w całego, w pełni Jego tajemnicy Boga i człowieka.

- Dzisiaj wiele dyskutuje się nad "oryginalnością" Nowego Testamentu z punktu widzenia Starego...

- Na pewno - odpowiada - i powtarza się często frazesy, przypisujące Pismom chrześcijańskim jako nowe te sprawy, które tymczasem są już zawarte w Pismach Izraela.

- Wielu jest samych Żydów - zauważam (a wśród nich David Flusser, którego słuchaliśmy w tym wywiadzie) - którzy wyodrębniają w miłości bliźniego posuniętą aż do ostateczności, także w miłości do nieprzyjaciół, proprium Jezusa.

Lustiger odpowiada:

- Przykazanie miłości bliźniego, jak wiadomo, stanowi już część Tory, prawa żydowskiego. To prawda, że Chrystus daje mu nową interpretację, ponieważ dla Chrystusa jedynymi, prawdziwymi nieprzyjaciółmi ludu Bożego mogą być tylko nieprzyjaciele Boga, grzesznicy. Ale Bóg pojednał się z grzesznikami właśnie w Chrystusie. Trzeba więc kochać nieprzyjaciół (grzeszników), ponieważ Ojciec ich kocha. Jak mówi św. Paweł: "On zburzył mur nienawiści"; mianowicie mur, który nie dozwalał poganom "grzesznikom" zbliżyć się do świętości Boga. Tak więc przykazanie miłości bliźniego Nowego Testamentu jest przykazaniem Starego, ale rozumiane i przeżywane w świetle tajemnicy Chrystusa, który ofiarował swoje życie za wszystkich. Dla Lustigera prawdziwa oryginalność chrześcijańska mieści się w głębi rzeczywistości, w samej istocie, jeszcze bardziej niż na poziomie nauczania.

- Oto trzy wielkie nowości Ewangelii. Po pierwsze: Zmartwychwstanie już nie jako nadzieja, ale jako rzeczywistość, która została nam podarowana. Mesjasz cierpiący oczekiwany przez Izraela powstał z martwych i następnie od tej chwili wprowadza nas w spełnienie obietnicy, którą jest zmartwychwstanie. Po drugie: Duch Święty, obiecany przez proroków, został nam rzeczywiście dany, mieszka teraz w sercu ludu i pozwala mu żyć świętością, jakiej Bóg oczekuje od niego. Przechodzimy więc, także tutaj, od nadziei, od obietnicy czasów przedchrześcijańskich, do ich rzeczywistego spełnienia. Po trzecie: tajemnica Boga i tajemnica człowieka zostały w pełni rozjaśnione przez objawienie jedyne Boga: Ojca, Syna, Ducha Świętego. W tym nowym świetle możemy zrozumieć, czym jest Stworzyciel, czym jest stworzenie, czym jest prawdziwe powołanie do zbawienia ludzkości.

Do tych trzech istotnych punktów nowości chrześcijańskiej kardynał dołącza także inne, które są, przynajmniej w części, rozwinięciem trzech pierwszych: jak tajemnica Kościoła, w którym także poganie, a nie tylko

dzieci Abrahama, są powołani do współuczestniczenia, według obietnicy, w bogactwach Boga.

I właśnie na tych podstawach - które nie są teoretyczne, ale ciałem z jego ciała - ten człowiek, który przeszedł od żółtej gwiazdy do purpury kardynalskiej, rzuca apel trudny, ale właśnie dlatego zachęcający:

- Dzisiaj, może, judaizm powinien uznać w chrześcijanach niespodziewane, ale przez to nie mniej prawowite, dzieci Abrahama. Potomstwo niespodziewane i jeszcze nie uznane. Chrześcijanie ze swej strony powinni zdecydować się na uznanie w Żydach braci, przez których przyszedł ich Chrystus, Pierworodny. Aby miało miejsce przebaczenie, braterski uścisk; aby nastąpił pokój w tej bratobójczej walce! Może powodem prześladowania była zazdrość, w duchowym znaczeniu tego słowa. Jakie byłoby to dla wszystkich błogosławieństwo, gdyby nieprzyjaźń przemieniła się we współzawodnictwo, w świętą rywalizację w miłości do Boga!

ROZDZIAŁ VIII

Jezuita i ateistka, którzy obserwują niebo

Problem stosunków między naukami przyrodniczymi a wiarą pojawił się już u poprzednich rozmówców (na przykład u Barbielliniego Ami-dei). Tutaj przystępujemy odważnie do stawienia czoła temu istotnemu zagadnieniu, konsultując dwoje astronomów.

Słuchamy więc wypowiedzi dyrektora najstarszego na świecie obserwatorium ("Specola Vaticana"), amerykańskiego jezuitę George'a V. Coyne'a; i zdania dyrektorki obserwatorium astronomicznego uniwersytetu w Trieście, Margherity Hack. Wierzący, zakonnik z najbardziej wykształconego Zakonu i zdecydowana ateistka, jedna z tych już nielicznych naukowców, którzy jeszcze dzisiaj posuwają się do wykluczania istnienia Boga.

Dla tych naszych „karotaży”, jeżeli chodzi o nauki przyrodnicze, zwróciliśmy się więc przede wszystkim do astronomii. Jest ona istotnie najstarszą z nauk i dzisiaj najbardziej zaawansowaną; jest nauką, która za pomocą coraz potężniejszych środków bada tajemnicę wszechświata. Porusza się zatem wokół kategorii-granic (nieskończoność, wieczność), które znajdują się także w centrum każdej wizji religijnej. W żadnej innej dyscyplinie splatanie się z pytaniami ostatecznymi nie jest tak ściśle i bezpośrednio.

George V. Coyne

Kiedy prosisz go o informacje na temat jego dawnej i obecnej działalności, daje ci obyczajem anglosaskim powielony tekst, w którym, pod hasłem Education and Experiences, przytoczonych jest dwadzieścia haseł.

Przebiegając je ma się dowód na przygotowanie naukowe, jakim się cieszy George V. Coyne, astronom, astrofizyk o znaczeniu światowym. Z jedną dodatkową osobliwością: profesor Coyne rozpoczyna wykaz kokieterią tego małego, starodawnego skrótu - "s.j." - który mówi wiele.

Societas Jesu: a więc jezuita, syn tego Ignacego Loyoli, który wieczorem wychodził na taras rzymskiego domu, w którym zbiegały się nici jego strategii podboju świata, ad maiorem Dei gloriam. Przed pójściem na krótki odpoczynek, dawny rycerz baskijski chodził tam i z powrotem po tarasie powłóczęk okaleczoną w bitwie nogą i wpatrywał się w niebo nad Rzymem, migocące gwiazdami. "I wtedy", opowiada świadek, "widać było, jak z oczu Ojca płyną łzy: nie było wieczora, w którym by się nie wzruszał widokiem wielkości i piękności stworzenia". Nie przypadkiem, w owej "Kontemplacji dla osiągnięcia miłości", która jest punktem docelowym i szczytem jego Ćwiczeń duchownych, Święty zachęcał do "rozważania jak Bóg pracuje i działa dla nas we wszystkich rzeczach stworzonych na powierzchni ziemi, jak postępuje jako pracownik w niebie, w żywiołach, w roślinach, w owocach, w zwierzętach, dając istnienie, zachowując, sprawiając, że rosną, czują..."

Z tego rodzi się wielka jezuicka tradycja na polu nauk przyrodniczych, począwszy od astronomii: to właśnie Towarzystwu Jezusowemu zawsze było powierzane kierownictwo Obserwatorium Watykańskiego.

Nawet dla wielu katolików stanowi powód zdziwienia wiadomość, że Stolica

Apostolska posiada nowoczesne obserwatorium astronomiczne. A jednak, służba Rzymu w badaniu nieba rozpoczyna się w 1579 roku: między innymi, astronomom tego obserwatorium zawdzięcza się reformę kalendarza, która potem została zaakceptowana także przez protestantów, mimo nieufności do tego, co w rzeczywistości było naukowe, ale przecież zawsze "katolickie". W następnych wiekach papieże będą zawsze sprzyjali działalności swojego obserwatorium, które miało bardzo wielkich dyrektorów, weszli oni do historii nauki światowej. I ten zapal nie jest sprawą przeszłości: aby dotrzymać kroku czasom, w Tucson, w Arizonie, Watykan buduje teleskop o najwyższej technologii, którego koszt - milion dolarów - jest finansowany przez subskrypcję o zasięgu światowym.

Dyrektorem Obserwatorium, od 1978 roku, jest ojciec Coyne, urodzony w 1933 roku w USA, w Baltimore, w stanie Maryland. Spotykam go między zajęciami Summer School, organizowanej przez Obserwatorium, w której uczestniczy dwudziestu młodych ludzi z całego świata, bez różnicy wiary, rasy i płci. Sztab uczonych jezuitów będzie się starał we wszystkich ugruntować zwłaszcza jedną rzecz: miłość do tej prawdy, która nie tylko się nie sprzeciwia, ale jest niezbędnym warunkiem wiary. Dewiza Obserwatorium brzmi właśnie: "A servizio della verita" - "W służbie prawdzie". Zapomniano nieco o tym, że wszyscy ojcowie założyciele nowoczesnej astronomii byli wielkimi uczonymi i zarazem wielkimi, zdecydowanie wierzącymi: Kopernik, Galileusz, Kepler, Newton, żeby wymienić niektórych z nich. I również dzisiaj - jak mówią sondaże - ponad 80 procent uczonych w naukach przyrodniczych deklaruje się bez wahania "wierzącymi". Choćby wierzącymi bez Kościoła; są jednak skłonni bez ociągania nazywać Bogiem Tajemnicę, która stoi za małymi i wielkimi tajemnicami, z jakimi mają codziennie do czynienia.

Z ojcem Coyne spacerujemy po wspaniałym tarasie na szczycie góry nad jeziorem Albano, z wznoszącymi się nad nim dwiema kopułami, z których wyglądają teleskopy i na których widnieje napisane literami z brązu napisanie: Deum Creatorem venite adoremus. Uprzejmy dyrektor zaproponuje potem obejrzenie niektórych instrumentów; niestety, stały się mniej efektywne z powodu zanieczyszczenia atmosferycznego i optycznego, które objęło tę peryferię rzymską. Stąd to przeniesienie części najbardziej skomplikowanych obserwacji na pustynię Arizony. Kontynuujemy później naszą rozmowę w biurach dyrekcji, których okna wychodzą na wspaniałe ogrody. Jak to jest często w przypadku Watykanu (stwierdzamy to, między innymi wiedząc, że za kulisami, Tajne Archiwum i Bibliotekę Apostolską) piękno i nauka, najśmielsza nowoczesność i najstarsza historia mieszają się w jedyny w swoim rodzaju koktajl.

Ojciec Coyne jest zadowolony z tego, że jest jezuitą i jest zadowolony z tego, że jest astronomem:

- Kto myśli, że jako zakonnicy mamy hamulce w naszych badaniach, wyraźnie nie wie, jak się rzeczy mają. Nasza wolność jest całkowita, bez tych ingerencji nie tylko natury ideologicznej, ale także biurokratycznej lub wręcz politycznej, które często trapią pracę uniwersytecką. A mam możliwość porównania, ponieważ pracowałem lata w uczelniach północnoamerykańskich.

- Ojciec Coyne - pytam go - czy astronom widzi jakąś sprzeczność między swoją pracą a swoją wiarą?

- Bynajmniej. Nie tylko nie ma, ale nie może być konfliktu między tymi dwiema sferami. Prawda jest tylko jedna: dlatego prawdy, jakie uczone odkrywają w przyrodzie, opierają się na prawdach nauczanych przez wiarę. Czy to, co stworzone, może być w konflikcie ze swoim Stwórcą?

- A więc na zawsze skończył się czas pozornych przeciwstawień nauki i wiary?

- Dzisiaj wszyscy uznają, że jest niemożliwe znalezienie na drodze naukowej jakiegokolwiek argumentu przeciwko istnieniu Boga. Tak jak (nie wolno o tym zapominać), wiara pozostaje przecież zawsze owym czymś nierozstrzygniętym, owym zakładem, o którym mówi wielki uczone i zarazem wielki chrześcijanin, jakim jest Pascal. A więc, nauka dobrze rozumiana nie zaprzecza i nie może zaprzeczać, że istnieje Coś poza materią; ale również nie może przypierać ateizmu plecami do ściany, wnioskując wiarę bezpośrednio z badania naukowego.

- Co najbardziej uderza ojca w jego pracy astronoma?
- Fakt, że im bardziej się zagłębia, tym więcej odkrywa się rzeczy nieznanych, tym bardziej doświadcza się tajemnicy. Gdy któryś z nas, uczonych mówi, że coraz bardziej czuje się ignorantem, nie wyraża pokory, lecz prawdę. To właśnie za tą ignorancją, a więc za tą tajemnicą coraz bardziej niezgłębną, odczuwa się oślnienie, wezwanie Boga. W tym znaczeniu prowadzenie badań może być niekiedy przeżywane jako modlenie się.
- Modlitwa, a także, w pewnym sensie, uprawianie teologii, nawet za pomocą równań matematycznych i fotografii w podczerwieni?
- Tak, niewątpliwie. Nawet wyznaję, iż jako astronom odczuwam, że bliższy mi sposób uprawiania teologii raczej św. Augustyna niż św. Tomasza z Akwinu. Dla Tomasza wszechświat jest przede wszystkim strukturalny, uporządkowany, należyście włączony w wyraźny system. Ale dla tego, kto wnika dzisiaj w moją dyscyplinę, kosmos wydaje się uporządkowany i zarazem bezładny, strukturalny i zarazem chaotyczny, przynajmniej powierzchownie. Jest to jedna z jego wielkich zagadek. W tym znaczeniu wydaje mi się, że słyszę rozbrzmiewające słowa św. Pawła, którego Augustyn czyni się echem: Bóg, który się objawia i zarazem ukrywa w cieniach i zagadkach; który daje wiadomości o sobie, ale "jak gdyby w zwierciadle". Wszechświat ujawnia nam "bardziej ślady swoich tajemnic, niż Bóg: jeżeli Stwórca jest Tajemnicą w pełnym tego słowa znaczeniu, tajemnicze jest także jego stworzenie. Ma się wrażenie, że kryzys wiarygodności apologetyki (o czym wspominaliśmy w spotkaniu z biblistą Latourellem) objął przede wszystkim stosunki wiary z naukami przyrodniczymi: dzisiaj niewielu wierzących odważyłoby się zastosować jakiś "argument kosmologiczny", wydobyty z nauk przyrodniczych, aby "udowodnić" istnienie Boga. Tymczasem trzeba uznać, że ojcowie współczesnej astronomii wszyscy byli wierzącymi, mniej mieli kompleksów od nas, wahających się współczesnych chrześcijan. Oni w bezmiarze przestrzeni nie wahali się spostrzegać ręki Przedwiecznego. Na przykład Newton: "Ten cudowny porządek, jaki zauważamy na niebie, może być tylko dziełem Bytu wszechmocnego i wszechwiedzącego". Kepler: "Odkrywając tajemnice nieba, człowiek zastanawia się nad myślami Boga". Nawet Voltaire, wróg chrześcijaństwa, ale nie wiary w Boga stwórcę, wybuchał przeciwko ateistom, wskazując im na gwiazdzone niebo i powtarzając zdanie odtąd aż nadto sławne: "Czy to logiczne posługiwać się zegarkiem, zaprzeczając równocześnie istnieniu zegarmistrza?"
- Musimy przeciwstawiać się, niewątpliwie - to refleksja ojca Coyne - pewnemu fideizmowi, który chciałby z każdego argumentu rozumowego, obiektywnego, uczynić przynajmniej ślad badania przyrodniczego; fideizmowi, który dąży do wykopania przepaści między rozumem a wiarą. Wiara jest darem Boga; ale również rozumująca inteligencja jest nim, mamy obowiązek posługiwania się nią. Ale równocześnie powinniśmy strzec się przed apologetycznym nadużywaniem argumentów naukowych. Mam wrażenie, że zarówno człowiek, jak i wszechświat, przedstawiają aspekty racjonalne, irracjonalne i aracionalne. Wiara należy do tej ostatniej kategorii: na pewno nie jest w konflikcie z rozumem, ale go przewyższa; nie idzie przeciw, ale ponad. Lecz, aż do pewnego punktu, rozum powinien jej towarzyszyć. W tym znaczeniu nauka jest pomocna. Także nauka odbiegająca od normy, jak astronomia.
- W jakim znaczeniu "odbiegająca od normy?"
- W tym znaczeniu, że nasza nauka jest jedyną dyscypliną naukową, która nie jest doświadczalna, nie mogąc mieć w ręce, dotykać, manipulować przedmiotem, który studiuje. Astronomia sama jest kwestią wiary: istotnie, oparta na zaufaniu, że rzeczy, które nasze teleskopy widzą, są realne i że w odległości o tysiące lat świetlnych funkcjonują te same prawa, które regulują nasze życie. Nauka odbiegająca od normy także w tym znaczeniu, że astronom nie widzi rzeczywistości takiej "jaka jest", lecz "jaka była". Z powodu odległości i szybkości światła, najwyższej, ale przecież zawsze ograniczonej, nie widzimy Słońca takim jakie jest, ale jakim było przed 8 minutami, galaktykę, najbliższą naszej - jaka była milion lat temu, galaktyki dalsze, jakimi były 3 lub 4 miliardy lat temu.
- Jest to zatem aspekt paradoksalny - a więc jeszcze jedna "tajemnica" więcej - astronomii.
- Tak jest: obserwując niebo widzimy obiekty takimi, jak przedstawiały się

w czasach może najbardziej odległych, najbardziej dawnych. Także dlatego decydujące znaczenie ma budowanie nowych teleskopów, jak nasz VATT, Vatican Advanced Technology Telescope, które pozwalają widzieć coraz dalej. Ponieważ im dalej się widzi, tym bardziej możemy zbliżyć się do momentu początkowego, do big-bang, do wielkiej eksplozji, od której się wszystko zaczęło. Moi koledzy są zgodni co do tego, że ten początek miał miejsce przed 15 do 20 miliardów lat; dochodząc, jak możemy to uczynić obecnie, wstecz do 3, najwyżej 4 miliardów lat, jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od zbliżenia się do tajemnicy początków. Ale nie tracimy nadziei, że przy pomocy teleskopów umieszczonych na stacjach krążących wokół Ziemi, bez osłony atmosfery, osiągniemy to.

- Jest pewne ciekawe pytanie, jakie stawiałem sobie co pewien czas: chodzi mianowicie o to, czy jakaś pozaziemska społeczność, technologicznie zaawansowana, przy pomocy udoskonalonych instrumentów obserwacyjnych, mogłaby sfilmować całą historię ludzkości, z tym "opóźnieniem" o kilka tysięcy lub milionów lat wynikłym z odległości. Na przykład, czy w tym momencie jakiś zespół, w jakimkolwiek punkcie przestrzeni, nie mógłby sfilmować tego, co się wydarzyło w piątek przed Paschą, w Jerozolimie, gdzie niejaki Poncjusz Piłat był prokuratorem?

- Nie ma wątpliwości. Będziemy mogli mieć film o tragedii Golgoty (i w ogóle, sfilmowane "życie Jezusa") znajdując się w odległości raczej bliskiej, jak na wymiary niebios. Aby "nakręcić" teraz to, co zostało opowiedziane w Ewangeliach, wystarczyłoby być tylko w takiej odległości, którą światło przebiega nieco mniej niż w ciągu dwóch tysięcy lat słonecznych. Obrazy całej naszej historii wędrują w przestrzeni z szybkością światła i, teoretycznie, ktoś mógłby uchwycić je swoimi instrumentami teraz lub nawet w najbardziej odległej przyszłości. W ten sposób, aby pozostać przy historii chrześcijańskiej, któryś z naszych potomków mógłby, kto wie na jakiej planecie, wyświetlić sobie nie tylko Jezusa na drogach Palestyny, ale Franciszka na wzgórzach umbryjskich albo "mojego" Ignacego Loyolę na drogach Hiszpanii...

- To otwiera dyskusję o życiu na innych planetach. Ojciec, czy ojciec wierzy w inne zamieszkane światy?

- Jeżeli trzymamy się statystyki, jest pewne, że warunki do życia powinny być spełnione; i nie tylko w jednym punkcie wszechświata. Takich gwiazd jak Słońce są setki miliardów, w naszej i poza naszą galaktyką, i jest pewne, że duża ich część ma system planet taki jak ten słoneczny. Nawet będąc pesymistami i wykluczając wielką część tych planet, dochodzi się jednak zawsze do pewnej bardzo wysokiej liczby ciał niebieskich, na których powinny znajdować się te same warunki, jakie są na Ziemi. Ale, uwaga, mówię o warunkach. Nie twierdzę, że na skutek tych sprzyjających warunków życie rzeczywiście się rozwinęło. Uczony może powiedzieć tylko tyle.

- A człowiek, zakonnik ojciec Coyne, co myśli o tym?

- Osobiście, odkrywając, że nasza Ziemia jest czymś mniej, dużo mniej niż ziarenko piasku na olbrzymiej plaży, stawiam sobie pytanie, dlaczego Bóg miałby stworzyć tę ogromną scenę, jaką jest wszechświat, tylko dla nas. Ale czy mamy prawo pytać o to? Nie jesteśmy Bogiem, nie możemy znać Jego myśli. Regułą wszechświata wydaje się zresztą coś, co sprawia na nas wrażenie gigantycznego marnotrawstwa: miliardy plemników na przykład wydawanych po to, aby jeden z nich - i nie zawsze na pewno - zapewnił reprodukcję. Takie samo marnotrawstwo, przynajmniej pozorne, stwierdza się obserwując niebo. Jako osoba prywatna powiedziałbym tak, istnieje życie gdzie indziej. Ale nie mam żadnej pewności. Dla wierzącego, życie nie powstaje przypadkowo, na podstawie praw statystyki, przez przypadkową kombinację fizyko-chemiczną: ewolucja bierze początek z boskiego fiat i postępuje według programu Stwórcy.

- Sondaże, wspominaliśmy o tym, podają procent wierzących wśród uczonych, przewyższający osiemdziesiąt na stu. Są to te same sondaże, które mówią, że astronomowie, na przykład, określają siebie jako wierzący w procencie o wiele większym niż specjaliści w naukach humanistycznych, na przykład psychologowie i socjologowie. Co na ten temat mówi doświadczenie ojca Coyne?

- Mogę tylko potwierdzić. Tak, większość kolegów uczonych, których

spotkałem i których spotykam, twierdzi, iż wierzy w Boga. Powtarzam jednak: trzeba być ostrożnym wobec tego naiwnego "konkordyzmu" między nauką i Biblią, który w przeszłości pewnych ludzi Kościoła doprowadził do nieszczęścia. Bóg jest poza przestrzenią i czasem, podczas gdy my poruszamy się zawsze w tych współrzędnych. Gdybym miał zaczynać na nowo, nie miałbym wątpliwości: zostałbym znowu jezuitą. A więc wierzę mocno w Boga Stworzyciela nieba i ziemi. Ale kiedy pytają mnie, co to znaczy "stworzyć", wtedy już nie potrafię odpowiedzieć dokładnie.

- Jak więc trzeba czytać Księgę Rodzaju, w której zostały opowiedziane początki wszechświata?

- Unikając tego, co robią pewne nowe sekty w moim kraju, traktując Pismo Święte jako tekst naukowy. Tymczasem Biblia jest księgą religijną, jest refleksją pewnej cywilizacji, która osiągnęła pewien punkt rozwoju historycznego, która chce w sumie propagować orędzie: Bóg istnieje, jest to Bóg, który chciał w sposób wolny stworzyć każdą rzecz, jest to Bóg, który kocha swoje stworzenia. Dalej nie wolno się posuwać.

- Pismo Święte rozpoczyna się od Księgi Rodzaju, a kończy Apokalipsą. Jeżeli był początek (a teoria o big-bangu to potwierdza), będzie także koniec?

- To nie jest pytanie teologiczne, lecz naukowe. Koniec wszechświata jest problemem możliwym do rozwiązania, przypuszczając, że zna się zmienne masy i czasu. Problem jednak jest na różny sposób skomplikowany: choćby dla przykładu, jednym z najbardziej sensacyjnych odkryć ostatnich czasów jest to, że być może widzimy tylko 10 procent masy wszechświata. Wydaje się realne, że w 90 procentach materia jest niewidzialna: nie emituje ani światła, ani promieniowania. Materia martwa.

- Jak więc zorientowaliśmy się o jej obecności?

- Z pomiarów na polu grawitacyjnym. Pomijając te nieprzewidywalne zmienne, aby ustalić, czy i kiedy wszechświat będzie miał koniec, będziemy musieli wiedzieć, czy rozszerza się w nieskończoność lub czy doszedłszy do pewnego punktu, rozpocznie na nowo się kurczyć, przebiegając w odwrotnym kierunku drogę rozpoczętą big-bangiem.

- Ojciec Coyne, tutaj, na ziemi, poruszamy się wśród cieni i zagadek.

Czy w końcu będziemy widzieli jasno, wchodząc w życie pozagrobowe?

- Niekiedy ja także pytam siebie o to, stawiam sobie pytanie, czy "potem" będę mógł wreszcie poznać, jaki jest ten początek galaktyk, który mnie tak bardzo pasjonuje i który stanowi naukową specjalizację Obserwatorium Watykańskiego. Ale potem myślę, że wejście w życie pozagrobowe nie oznacza odsłonięcia tajemnic wszechświata: oznacza wejście w samą Tajemnicę wszechświata, w Boga. Nie znajdę odpowiedzi, których teraz poszukuję pracując dzień i noc; i nie znajdę ich, ponieważ nie będzie mnie już interesowało stawianie pytań. Bardziej niż staraniem się o zrozumienie Tajemnicy, będę nią żył. Będę znajdował się wewnątrz. I będę bardzo szczęśliwy.

- Niekiedy zdarza się, iż człowiek stawia sobie pytanie, co ma z tym wszystkim wspólnego Chrystus. Bóg, na pewno, jest intuicją od zawsze związaną z astronomią, ponieważ nic tak nie ma do czynienia, jak ta nauka, z takimi pojęciami jak wieczność i nieskończoność. Ale Chrystus?

- Chrystus jest fundamentem, podporą, na której się wszystko obraca. W tajemnicy tego ogromnego kosmosu On stanowi centrum. Jest tam, w sercu; a równocześnie na krańcach: Alfa i Omega. Jak mówi Credo: "Przez Niego wszystko zostało stworzone".

Margherita Hack

George V. Coyne potwierdził nam to, co zostało powiedziane w innym wywiadzie przeprowadzonym w tych latach, przez monsignora Paula Pouparda, szefa watykańskiego Sekretariatu do dialogu z niewierzącymi: w zaskakujący sposób (ale tylko dla kogoś, kto nie orientuje się skąd wiatr wieje), ankiety przeprowadzone wśród wykładowców nauk "pozytywnych" na uniwersytetach amerykańskich - fizycy, chemicy, biolodzy, astronomowie, botanicy, przyrodnicy itd. - ujawniły, że około 80 procent z nich określa się jako "wierzący"; skłonni są mianowicie nazywać "Bogiem" Tajemnicę, która znajduje się za wielu zagadkami. Ten sam procent na korzyść jakiejś

wiary stwierdza się na innych obszarach poza Stanami Zjednoczonymi, począwszy od Europy.

We Włoszech, wśród tych dwudziestu procent "niewierzących" najbardziej znany jest może dyrektor obserwatorium astronomicznego uniwersytetu w Trieście. Dyrektor, który okazuje się dyrektorką, Margherita Hack, florentynka, mimo nazwiska, które ma po ojcu pochodzenia szwajcarskiego. Udaliśmy się wysłuchać także jej, nie wspinaliśmy się tym razem na wzgórze Castelgandolfo, lecz na inne wzgórze, San Giusto, bogate również w historię i urokliwe, na którym znajdowało się obwarowanie pierwszej siedziby, która dała początek Triestowi. Biura obserwatorium znajdują się tam w osobliwym zameczku w średniowiecznym guście, bardzo cenionym przez architektów końca XIX wieku.

Sławna uczona ma atletyczną budowę ciała (w młodości wyróżniała się także w zawodach sportowych), jest serdeczna, uśmiechnięta; ma także w powierzchowności i sposobie bycia coś zaprzeczającego pewnemu tradycyjnemu wizerunkowi kobiecości. Wywiad z Margheritą Hack jest czymś klasycznym dla pewnego rodzaju publicystyki. Jak wielu dziennikarzy puka do drzwi Alberta Moravii, gotowego zapewniać - na słowo... - że Bóg nie istnieje, że nie należy niczego oczekiwać po śmierci; tak do wywiadu z panią astronom tokańsko-triesteńską ucieka się często ktoś, komu potrzebny jest wybitny przedstawiciel ateizmu w dziedzinie nauk przyrodniczych. W rzeczywistości, musiałem uporządkować wrażenia z naszej rozmowy; powiedzmy szczerze, że ta rozmowa wprawiła mnie w zakłopotanie, mimo wielkiej otwartości, ludzkiej sympatii mojej rozmówczyni. Faktycznie, zamiast uzasadniać racje swojego "nie" co do istnienia Boga, Margherita Hack wolała wycofywać się na płaszczyznę subiektywną: "Dla mnie, moim zdaniem, według mojego przekonania..." Mówiąc w ten sposób, sprawiała na mnie wrażenie ateizmu wynikającego może (jak zresztą wiele wiar) bardziej z osobistego temperamentu niż z przekonujących pogłębionych racji obiektywnych.

W rzeczywistości, na stanowisko wyjściowe uczonej mogą się zgodzić wierzący i niewierzący. Nie ma istotnie żadnej trudności (wspominaliśmy to w spotkaniu z Coynem) w przyjęciu tego, o czym pani astronom mówi: "Gwiazdy nie mają do zaoferowania rozwiązań decydujących o tym, co dotyczy problemu Boga". Doskonale (i oczywiście, widzieliśmy to wielokrotnie), jest także następujące zdanie: "Człowiek nigdy nie będzie mógł udowodnić, że Bóg istnieje, ani również czegoś przeciwnego". Całkowita zgoda także na inne jej twierdzenia: "Zadaniem nas, uczonych, jest staranie się, by zmniejszyć zagadki wszechświata, nawet jeżeli potem się odkrywa, że nauka im więcej daje odpowiedzi, tym bardziej mnoży pytania".

Jednak na pytanie, czy nigdy nie interesowała się badaniem, czy za tak wielu tajemnicami nie kryje się przypadkowo Tajemnica, natychmiast wyznaje: - Szczerze, nigdy nie odczuwałam potrzeby tego poszukiwania. Mnie wystarcza rozum.

Oto pojawia się jej słowo klucz - "rozum" - do którego będziemy musieli powrócić.

Jej stosunek do wymiaru religijnego, opowiada, był skomplikowany od początków: rodzice byli zwolennikami doktryn teozoficznych, tego koktajlu chrześcijaństwa "dogmatycznego, panteizmu, religii wschodnich, filantropii, która była w modzie zwłaszcza w krajach północnej Europy, pod koniec wieku.

- Od dziecka, to jasne, traktowałam na serio to, czego rodzice mnie uczyli: reinkarnacja, metempsychoza, wegetarianizm. Wegetarianką pozostałam, ale gdy tylko osiągnęłam wiek rozumu, uwolniłam się od teozofii; a to z powodu, jeżeli pan chce wiedzieć, społecznego konformizmu. Nazywanie mnie teozofką sprawiało, że czułam się inna, moi koledzy szkolni pokazywali mnie palcem. Tak więc zbliżyłam się do katolicyzmu i przez pewien czas maskowałam się wśród owieczek Świętego Kościoła Rzymskiego. Na koniec, przed dwudziestym rokiem życia, odcięłam się definitywnie od wszelkiej religii. I od tamtego czasu nie zmieniałam zdania.

Ma się wrażenie (z zastrzeżeniem błędu, oczywiście), że te koleje życia osobistego przeszkodziły jej gruntownie zbadać istotę religii, w szczególności chrześcijańskiej. Trudno jest inaczej zrozumieć pewne jej stwierdzenia, wiele razy powtarzane w innych wywiadach (i potwierdzone także przeze mnie, gdyż starałam się dowiedzieć, czy rzeczywiście zgadzały

się z jej myślą). Wyrażenia takie, jak: "Jeżeli ktoś wierzy w jakiś Byt wyższy, zwalnia mu się sprężyna, która popycha go do poszukiwania prawdy. Budzi we mnie odrazę idea Boga, który wszystko uczynił i wszystko rozumie: jeżeli przyjmujemy istnienie Boga, wtedy trzeba zamknąć książkę i na niego złożyć obowiązek dania nam wszystkich tych odpowiedzi, których my uczeni szukamy, pytając przyrody".

Przypomniałem jej, że wszyscy wielcy twórcy nowoczesnej astronomii byli także wielkimi wierzącymi. Czy dla tych ludzi wiara w Boga oznaczała może pograżenie się w lenistwie kogoś, kto nie odczuwa już potrzeby stawiania sobie pytań? U niej, poza wszystkim, widoczne było niewłaściwe rozumienie wiary. Wiara twierdzi, że wszystkie rzeczy zostały stworzone przez Boga, ale nie rości sobie prawa do mówienia o tym, jak zostały stworzone, w jakim czasie i według jakich praw. Raczej pobudza badania, ciekawość prześledzenia naszą inteligencją jeszcze raz tych dróg, które przebyła inteligencja Boża. Czy może (jak uzna to sama Hack pod koniec rozmowy) chrześcijaństwo nie było głównym sprawcą, konkretnie, postępu także naukowego na Zachodzie, począwszy od wielkich klasztorów i od założenia średniowiecznych uniwersytetów? Gdyby następnie rozciągnąć jej zarzut na ogół wszystkich tych, którzy wierząc w Boga Stworzyciela, uważaliby się za "uwolnionych od ciężaru" poszukiwania, to co powiedzieć o ogromnej pracy naukowej wykonywanej przez ortodoksyjnych Żydów, przez muzułmanów, którym tak wiele zawdzięcza właśnie jej dyscyplina?

Przesunęła więc swoje twierdzenie z płaszczyzny obiektywnej na subiektywną:

- Mówię za siebie, nie za innych. Jest to sprawa osobista. Wiara wywołałaby u mnie podobne skutki.

Nie zrezygnowała zresztą z przedstawienia jako alternatywy dwóch rzeczywistości:

- Albo się wierzy w Boga, albo się wierzy w rozum.

- Ale - powiedziałem - jak zauważono to wielokrotnie, uczyony, który mówi o "rozumie" w kontekście wiary materialistycznej, w rzeczywistości mówi o czymś "nierozumnym": ponieważ oznacza to założenie, że materia myśli samego siebie, a więc wydziela to, co nazywamy "rozumem".

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

I nie miałem odpowiedzi bardziej zadowolającej niż ta, gdy rozmowa poruszyła temat "tego wspaniałego komputera elektronicznego, który każdy z nas ma w swojej czaszce, tego naszego mózgu, który nie przestaje i nigdy nie przestanie zdumiewać", jak powiedziała. Profesor Hack jest zwolenniczką radykalnego ewolucjonizmu: od organicznych molekuł, pierwotnych cegieł, do homo sapiens, i to tylko w wyniku ślepej gry "przypadku i konieczności".

Ale właśnie mózg stanowi problem: jeżeli rzeczywiście tylko "funkcja rozwija narząd", jeżeli wszystko przeobraża się tylko w działaniu konieczności, dlaczego nasz mózg ma możliwości o wiele większe (jak udowodniła to sama nauka), w porównaniu z ograniczonym użytkowaniem, jaki dotąd potrafiliśmy z niego uczynić? Czyż nie należy do dogmatów pewnego ewolucjonizmu, że każdy narząd ma wymiary dzięki użytkownikowi, jaki jest potrzebny i jaki konkretnie z niego czynimy? Czy nie odnosi się wrażenia, że ponadwymiarowość naszego mózgu nie może być "wynikiem" tych naszych bezpośrednich potrzeb, które wytwarzały każdy narząd?

- No tak, to prawda - zgodziła się mózg jest „redundantny”, jak się mówi w nauce. Ale dlaczego tak jest, nie wiem. Bardzo wiele jest rzeczy, o których nie wiemy. Tym, co natomiast wiem, jest to, że przypada mi do gustu myślenie o przypadku jako rozwiązaniu zagadki wszystkiego; nawet jeżeli moja odpowiedź jest indywidualna, która nie ma pieczęci prawdy naukowej.

No tak, przypadek. Właśnie inny uczyony, laureat Nagrody Nobla, sir John Eccles, odwołuje się często do pewnego przykładu: "Przypuśćmy istnienie ogromnego magazynu części aeronautycznych, wszystkie znajdują w odpowiednich skrzynkach lub na półkach. Olbrzymia budowla, założmy, o boku długości tysiąca kilometrów. Nadchodzi cyklon, który przez sto tysięcy lat powoduje poruszanie się i zderzanie tych części ze sobą. Kiedy wreszcie się uspokaja, tam, gdzie był magazyn, stoi szereg czteromotorowców, już z obracającymi się śmigłami... Otóż: według właśnie nauki, prawdopodobieństwem, że przypadek stworzył życie, jest mniej więcej prawdopodobieństwem z tego przykładu. Na dodatek, z okolicznością

obciążającą: skąd pochodzą materiały w magazynie?"

Inny uczyony, sławny astronom kolega pani Hack, Fred Hoyle, powiedział ostatnio: "Ale czy jest naprawdę możliwe, że przypadek wytworzył, w pierwotnej zupie, o której opowiada się bajki, choćby tylko coś ponad dwa tysiące enzymów potrzebnych do funkcjonowania ludzkiego ciała? Wystarczy mała seria obliczeń na komputerze, aby zdać sobie sprawę, że prawdopodobieństwo, iż to wydarzyło się przypadkowo, jest równe prawdopodobieństwu otrzymywania zawsze dwunastu punktów 50000 razy z rzędu, rzucając na stół dwie kostki.

Mniej więcej to samo prawdopodobieństwo, w sumie, starego przykładu małpy, która stukając na maszynie do pisania, stworzyłaby całą Boską Komedie, z akapitami i dokładną interpunkcją. I to dotyczy, powtarzam, tylko enzymów, ponieważ nieprawdopodobieństwo osiąga poziomy jeszcze bardziej absurdalny, jeżeli rozszerzy się je na wszystkie niezliczone warunki konieczne dla życia: czy wszystkie numery» wyskoczyły z cylindra przypadku? Jeżeli się odpowie tak, odrywa się od rozumu". Hack odwołuje się, jak zawsze w takich przypadkach, do argumentu mgliście pocieszającego - mnóstwa czasu do dyspozycji:

- Jeżeli wszechświat liczy, jak się wydaje, piętnaście miliardów lat, to jest możliwe, że w szale rzucania kości padnie 50 000 dwunastek. Choćby nawet nie wszystkie jednocześnie.

- Nie, proszę zważyć, że według komputera, aby prawdopodobieństwa były równe prawdopodobieństwu utworzenia enzymów (które są, powtarzamy to, tylko jednym z niezliczonych elementów koniecznych dla życia), 50000 dwunastek powinno padać jedna po drugiej, bez przeskakiwania ani jednej. I kośćmi, oczywiście nie sfałszowanymi...

Uśmiechnęła się znowu:

- Wiem, to trudne. Z drugiej strony, życie istnieje.

- Tak, życie istnieje. I stawia pytania, na które powinniśmy odpowiedzieć z pomocą rozumu. Otóż: czy naprawdę jest zgodne z rozumem zrzucanie tego na "przypadek", który mając do dyspozycji kilka miliardów lat, znajdzie rozwiązanie także problemów najbardziej złożonych? Czy jest więc usprawiedliwiony pani dylemat: "albo religia albo rozum"? Czy rozum tak pojmowany nie ryzykuje może żądania aktu wiary jeszcze bardziej zobowiązującego niż jakakolwiek religia, która wierzy w Programistę? Zresztą to właśnie z powodu takich spostrzeżeń wielka część pani kolegów odsunęła na bok hipotezę o przypadkowości początku świata i życia.

- Co mam panu powiedzieć? - odpowiedziała. - Wiara w Boga zawsze wydawała mi się czymś takim jak wiara w Befanę. Nie chcę przez to powiedzieć, że wierzący jest naiwniakiem: znam wielu kolegów, którzy są wierzącymi, praktykującymi, doskonale przekonanymi do swojej wiary, a jednak są znakomitymi uczonymi, nawet laureatami Nagrody Nobla. Ale uważam, że ta ich wiara powinna pozostać prywatnym przekonaniem, że nie powinna mieszać się do ich badań.

Co do tego byliśmy zgodni: ateista lub wierzący, który by swoje przekonanie (religijne lub niereligijne) nakładał na wyniki badań, przez to samo przestałby być uczonym. Stałby się filozofem lub, co gorsza, propagandystą. Co do "wierzenia w Befanę", dziecinnymi bajeczkami wydają się raczej owe kolorowe tabele, na których widać, jak z gwałtownością potrząśnięcia kubka prestidigitatora jakaś bliżej nie określona "Natura" od wodoru i tlenu wody dochodzi do Leonarda da Vinci... Poza tym, co do wody i innych żywiół, właśnie Albert Einstein, nie teolog, pytał siebie: "Pierwszym pytaniem, jakie trzeba sobie postawić, jest to: Dlaczego istnieje coś, a nie nic?». Jest to pytanie początkowe, na które ateizm nie daje żadnej odpowiedzi". Przyjmuje się przecież, że przypadek wyprowadził wszystko z "materii pierwszej". Ale jak ją wytłumaczyć? "Istniała od zawsze", odpowiadała stara teoria materialistyczna. Jednak właśnie astrofizyka dowiodła, że materia nie jest bynajmniej wieczna, że miała miejsce początek. Z jakiego innego cylindra wyskoczyło więc to wszystko?

Postawiłem także jej, jak innym, pytanie niełatwe do sformułowania:

- Pani profesor Hack, pani przekonanie (jak zresztą i przekonanie wierzącego) jest tylko ryzykiem: pani stawia na nieistnienie Boga, na nieistnienie życia pozagrobowego. Niemniej jednak to pani przekonanie nie

może zmienić natury rzeczy: a gdyby było inaczej? Gdyby pewnego dnia - oczywiście za sto lat - zorientowała się pani, że postawiła na błędną kartę?

Roześmiała się:

- Ba, wtedy musiałabym zmienić teorię. Gdyby Bóg naprawdę istniał, musiałabym postąpić tak, jak w mojej pracy, kiedy się spostrzeża, że założenia, z których się wyszło, nie były słuszne. - Więc, nie ma problemu?

- Nie ma, tyle że Bóg naprawdę nie istnieje...

- A co myśli pani o Chrystusie?

- Myślę, że może był największym geniuszem w ludzkiej historii, człowiekiem wyprzedzającym w swoich czasach wiele epok. Był pierwszym, który wyszedł naprzeciw pokornym, który nadał im godność, który głosił, że wszyscy ludzie są równi. Był pełen miłosierdzia dla bliźniego, był wypełniony miłością.

Wspaniałe jest, pośród wielu innych, to jego zdanie: "Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem". Nie dziwi mnie zupełnie, że jego słowa posłużyły do stworzenia religii, która zdobyła miliony ludzi. Religii, która jest także wzniosłą zasadą życia.

- Ale - zauważyłem - czy także tutaj nie ryzykujemy zejścia z dróg rozumu?

Czy wiara, że człowiekowi, tylko człowiekowi, udało się osiągnąć takie szczyty, zapewnić sobie takie potomstwo, wydestylować taki koncentrat mądrości, nie jest wierzeniem w cud, na równi z tymi, którzy w człowieku Jezusie widzieli Chrystusa, Syna Bożego?

- Będzie, ale skoro nie wierzę w Boga, chce pan, abym wierzyła w Syna Bożego! W każdym razie mogę panu powiedzieć, że w moim życiu zawsze starałam się nadać za tą syntezą chrześcijaństwa, która brzmi: "Kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Aby ludziom przeszkodzić w popełnianiu zła, wystarczyłoby, aby postępowano według tej złotej reguły. Bóg jest niepotrzebny nawet do porządkowania moralności świata.

Pojawił się więc na nowo, także u niej, temat owej "moralności świeckiej", którą wielu uznaje za nie dającą się zastosować. Na zarzut odpowiedziała, ograniczając się do stwierdzenia, że "każda moralność, jakakolwiek by była, świecka czy religijna, jest trudna".

Powracamy do nieba, do "jej" gwiazd. Wiele razy mówiła do licznych dziennikarzy, którzy przeprowadzali z nią wywiady: "Ale jaki, według pana, wszechświat ma mieć cel? Astronom przekonuje się, że jest w nim wielkie marnotrawstwo energii! Światy, które się rodzą, które umierają, które się wzajemnie niszczą, które niszczą same siebie. Nie, jest zbyt wiele marnotrawstwa na to, aby on odpowiadał jakiemuś programowi, aby dążył do jakiegoś celu".

Jest to stwierdzenie obiektywne, które zresztą przedstawił nam także o.

Coyne. Ale (przynajmniej z punktu widzenia wiary) czy naprawdę jest to zarzut? Jeżeli wychodzi się z hipotezy Boga, kim jesteśmy my, aby wyrokować o tym, co Stwórca był zobowiązany lub co musi zrobić ze swoim wszechświatem? A może Bóg jest, jak Henry Ford lub jakiś inny przemysłowiec albo teoretyk organizacji przedsiębiorstw, troszczący się przede wszystkim o racjonalizację pracy i redukcję marnotrawstwa? Mówi Bóg Biblii: "A może, stwarzając, pytałem was o zdanie?" Kto poza tym zapewni nas, że rzeczywiście są to "marnotrawstwa", a nie odpowiadają one jakiejś konieczności, która wymyka się naszemu małemu umysłowi i która mieści się w wewnętrznej i ukrytej logice systemu, w którym każda rzecz jest złączona z inną? Czy współczesna nauka nie odkrywała często konieczności tego, co przedtem wydawało się niepotrzebne, "zmarnowane"? Rozstajemy się, z taką samą serdecznością i sympatią jak na początku. Tak samo jednak, jak na początku, każdy pozostaje ze swoimi pytaniami i próbami odpowiedzi.

ROZDZIAŁ IX

Najsławniejszy wśród teologów

Spośród licznych teologów wysłuchanych w tych latach w ramach ankiety, wybraliśmy jednego. Jakiś czas przed naszym spotkaniem z Karlem Rahnerem, Uniwersytet Gregoriański w Rzymie - na którym studiuje przyszła kierowniczka

klasa Kościoła - przeprowadził sondaż wśród studentów. "Waszym zdaniem - zapytano 1007 studentów - który teolog dawny lub współczesny wywarł albo wywiera największy wpływ?" Nieco mniej niż połowa - dokładnie 501 - odpowiedziało bez wahania: Karl Rahner. Tylko 203 opowiedziało się za św. Tomaszem z Akwinu, który przecież był przez wieki i pozostaje nadal teologiem oficjalnym" (Doctor communis,) Kościoła katolickiego; jeszcze mniej wypowiedziało się za św. Augustynem.

Wyniki, być może dyskusyjne; jak, w niektórych punktach, uważana jest za dyskusyjną teologia tego niemieckiego jezuitę. Co nie przeszkadza, że aby zrozumieć, jak pracują dzisiaj w chrześcijaństwie "profesjonaliści wiary", konieczne jest wysłuchanie głosu uczonego, którego niedawna śmierć bynajmniej nie nadwzględęła autorytetu i wpływu. Zresztą, także dla wielu jego kolegów niekatolików, Rahner jest "architektem nowej teologii chrześcijańskiej", żeby zgodzić się ze sławnym luteraninem Jurgenem Moltmannem.

Karl Rahner

Koszula w kratkę rozpięta pod szyją, stare ubranie w paski, szybki krok, który na pewno nie zdradzał wieku, ironiczne oczy za okularami. Ten pan, który szedł mi naprzeciw długim korytarzem gmachu renomowanej Hochschule für Philosophie, przy Kaulbachstrasse w Monachium w Bawarii, był właśnie nim, legendarnym Karlem Rahnerem.

Jeżeli wszyscy są zgodni co do historycznego znaczenia tego teologa, to nie wszyscy zgadzają się co do znaczenia jego teologii. Niektórzy, surowo, posuwają się do określania go, jezuitą wszystkich czasów: bardzo inteligentnym, bardzo kompetentnym, który zmieniał i zmieniał, aby wszystko pozostało niezmienione". Rahner - Niemiec, jak Gattopardo - Sycylizczyk? Inni oceniają jego ogromny trud jako "ostatnią bitwę tradycyjnej teologii Kościoła tomizmu i neotomizmu: Rahner był olbrzymem, który walczył w straży tylnej w wojnie już przegranej". Istotnie, dodają: "dla Rahnera, jak dla całej tradycji katolickiej, w głębi horyzontu człowieka jest Byt, jest Bóg. Gdy tymczasem dla filozofii współczesnej horyzont ludzki jest zamknięty przez samego człowieka lub przez nic".

Osobliwa, trzeba powiedzieć, jest ta nagana dla teologa, że nie jest prostym "humanistą", agnostykiem, który w swoich studiach pomija Boga; albo wręcz ateistą, dla którego Niebo jest już puste. Jest to pomysł obłądny, który jednak, według niektórych, jest już obecny u pewnych "specjalistów" zachodnich, którzy starają się z teologii uczynić dyscyplinę akademicką jak inne, "naukę" na tyle wyrafinowaną, co nikomu niepotrzebną; z wyjątkiem, oczywiście profesora, jego kariery, istoty jego władzy uniwersyteckiej. Wydaje się, iż słyhać znowu gwałtowne oskarżenie pewnego starożytnego Ojca Kościoła: "Przeklęta teologia, która nie wypływa z miłości, aby prowadzić do Miłości!"

Karl Rahner, jak wiadomo, zawsze natomiast twierdził o sobie, iż jest wierny dogmatowi katolickiemu, chociaż gruntownie "przemyślanemu na nowo" w kategoriach egzystencjalizmu Martina Heideggera. A jeśli chodzi o rolę teologa w Kościele, pragnie natychmiast mi oznajmić (uprzedzając bardziej pogłębioną dyskusję, którą podjęliśmy w trakcie rozmowy): - Nigdy nie uprawiałem teologii dla teologii. Jeżeli nawet moje studia mogły wydawać się trudne i abstrakcyjne, zawsze miałem jeden cel, nie akademicki, lecz duszpasterski, nigdy nie zapomniałem, iż jestem w służbie tych, którzy mają przekazywać wiarę ludziom naszych czasów.

Ale do krytyk "z lewicy" przyłączyły się takie same i nieprzychylnie "z prawicy": tak więc Rahner jest "teologiem dwuznacznym", pewnego rodzaju "wtyczką" piątej kolumny, która, chociaż formalnie szanująca tradycję katolicką, w rzeczywistości pozbawia ją znaczenia od wewnątrz. W pewnych środowiskach (i to nie tylko bojaźliwych konserwatystów, ale także teologów nowoczesnych, niepokojących się o czystość prawowierności katolickiej), ten człowiek, który należał do inspiratorów i doradców najbardziej słuchanych na Soborze, jest podejrzany przede wszystkim z powodu owego "zwrotu antropologicznego", który stoi u podstaw jego myśli. Dla niego mianowicie refleksja nad wiarą nie powinna zaczynać się od jakiegoś tematu teologicznego, ale od człowieka dzisiejszego w całej jego rzeczywistości, z

jego cierpieniami, niepokojami, nadziejami.

Wymawiano mu potem te jego pojęcia przewodnie, które stały się prawie sloganami, często nadużywanymi, tych lat. (Wiadomo, że zawsze - w historii teologii, jak i kultury - nie ma dla mistrza większego nieszczęścia jak mieć uczniów...) Jego jest wezwanie do "wyprowadzenia Kościoła z getta"; jego jest określenie "chrześcijanie anonimowi" dla oznaczenia tych, którzy żyją poza wszelką wiarą, a którzy jednak swoim zachowaniem często dają lekcje zdeklarowanym chrześcijanom. Jego jest program, według którego "realnemu uduchowieniu" Kościoła powinny towarzyszyć "deklerikalizacja, demokratyzacja, otwarcie, demoralizacja". Przy czym przez ten ostatni termin rozumie się konieczność porzucenia wizji "moralistycznej" życia i świata: już nie szereg przykazań, ale "wybór zasadniczy" ideału zaproponowanego człowiekowi Chrystusa. Wielu nie przebaczyło mu nawet przemówienia w 1969 roku, w pełnym klimacie kontestacji, do Międzynarodowej Komisji Teologicznej ustanowionej przez Pawła VI. Mówił między innymi przy tej okazji: "Jeżeli Kościół dzisiaj nie będzie miał odwagi i śmiałości odwołać błędów z przeszłości, nie będzie godny wiary i zaufania".

- Słowa takie jak te - skomentował teolog włoski, Cornelio Fabro - nie tylko nie wydają się w stylu jezuitę, syna św. Ignacego, ale nawet w stylu przeciętnego chrześcijanina. Nie wydawał się podzielać tego poglądu Jan Paweł II, który w siedemdziesiąte piąte urodziny Karla Rahnera, zechciał go przyjąć w Watykanie. Była to, opowiedział mi sam podejmowany uroczystość, długa rozmowa między dwoma starymi przyjaciółmi, w papieskim języku niemieckim, który określił jako "nienaganny". - Gdy papież zapytał mnie, co teraz robię - relacjonował mi z wesołą miną, jak urwis, który spletał jakieś psikusy - odpowiedziałem, że mieszkam w Monachium, że codziennie pracuję, że spodziewam się umrzeć w wierności Kościołowi i Papieżowi. Opowiadał mi o tych rzeczach podczas kolacji, przy stole restauracji na ostatnim piętrze drapacza chmur; pod nami skrzyła się bogata stolica Bawarii. Niełatwo było biednemu reporterowi rozumieć także subtelnosci myśli Karla Rahnera, wyrażanej w języku niemieckim na tyle trudnym, co, jak powiadają, "twórczym". Jego brat Hugo, również jezuita, wielki historyk starożytnego chrześcijaństwa, zmarły wiele lat przed Karlem, powiedział pewnego razu żart, który stał się sławny: "Kiedy będę na emeryturze, poświęcę cały mój czas i zaangażowanie na starania o przetłumaczenie na język niemiecki dzieł mojego brata". Przypomniałem mu tę anegdotę.

Roześmiał się z przyjemnością:

- To możliwe, bardzo możliwe, że ten złośliwy Hugo powiedział coś takiego! Oprócz tego, że był jednym z najbardziej sławnych i najbardziej uhonorowanych (czternaście doktoratów honoris causa), Karl Rahner był także jednym z najbardziej płodnych profesorów w historii: jego bibliografia sięga prawie czterech tysięcy tytułów. Ale odmitologizował to, gdy zapytałem go o sekret tak wielkiej pracy:

- Nie jest to tak wiele. Jestem profesorem teologii od 1939 roku. Wiele z tych tytułów to artykuły, krótkie rzeczy. Proszę poza tym mieć na uwadze, że nie mam żadnego hobby, moją rozrywką jest zmienianie tematu badania.

- Istotnie - zauważyłem - księdza twórczość charakteryzuje się bardzo zaskakującą różnorodnością.

- Wiem o tym, ktoś nawet ganił mnie za to: że jestem, jak to nazwać, pewnego rodzaju "wszystkologiem" teologii, że roztrząsałem wszystkie możliwe tematy nie tylko dla teologa, ale także dla egzegety, moralisty, liturgisty. A jednak, jeżeli osiągnąłem jakieś wyniki w mojej działalności jako uczonego, to właśnie dlatego, że zacząłem pracować bez sztywnego programu. Przeprowadziłem dużo badań, w wielu kierunkach: od nabożeństwa do Najświętszego Serca Jezusa, do aktualnych problemów eklezjologicznych. Dopiero później zdałem sobie sprawę z tego, że to była jakaś jedność. Zrozumiałem, że w mojej działalności ustawicznie reagowałem na bodźce, które dochodziły do mnie od aktualnej rzeczywistości. Nigdy nie stałem się teologiem zamkniętym na wpływy zewnętrzne. Jeżeli studiowałem jakiś temat, czyniłem to z powodu mojej działalności duszpasterskiej, moich kontaktów z ludźmi, ponieważ zdawałem sobie sprawę z tego, iż ten temat stanowił problem; że komuś można by pomóc przez zbadanie go. Jednak wydaje mi się, że z tej pracy pozornie niespójnej wyłania się Grundkonzeption, podstawowa

jednolita koncepcja.

Otóż, co powiedziałyby, zapytałem go, gdyby miał dokonać syntezy tej Grundkonzeption, szybkiego podsumowania życia poświęconego staraniu o coraz głębsze dociekanie znaczenia Pisma Świętego i Tradycji Kościoła? Moja nieco naiwna próba uzyskania syntezy krótkiej i zrozumiałej dla wszystkich (przede wszystkim dla mnie samego) teologii Rahnera nie powiodła się, tak jak każda sztuczka zasługuje na niepowodzenie. Na pytanie, rzeczywiście, pośród mojego zawiedzionego niepokoju, kazał przynieść magnetofon. Skupił się chwilę i zaczął dyktować:

- Wierzę, że tajemnica niewysłowiona i nieskończona, ale całkowicie realna, przenika do mojego istnienia, jednak będąc różną i odrębną ode mnie, osoby skończonej i określonej....

Dobre pół godziny dyktował do mikrofonu wspaniałomyślną lekcję, na pewno cenną dla specjalisty, ale niemal nieprzeniknioną dla kogoś, kto nie ma znajomości filozofii, teologii, a szczególnie stylu profesora Rahnera. Zresztą jest prawie niemożliwe usiłowanie wypłoszenia specjalisty z ukrycia, domaganie się popularyzacji od wielkiego teologa, nawet jeżeli uważa się on za "troszczącego się o sprawy duszpasterskie". Człowiek serdeczny i prosty, który lubił chodzić do cyrku i do kina, który nie gardził pozwalaniem sobie co pewien czas na relaks egzotycznej kuchni (to on sam chciał wybrać restaurację na zjedzenie razem kolacji), który chodził wśród współbraci prawie na palcach, aby nie przeszkadzać, ten sam człowiek przemieniał się natychmiast w surowego teutonskiego profesora, gdy roztrząsane były problemy teologiczne.

W sumie gdyby był zmuszony podać krótką formułę na pytanie: "Kim jest Jezus?" (jak usiłował to zrobić w swoim Podstawowym kursie wiary, jednej z ostatnich i należącej do najbardziej znaczących jego książek), Rahner odpowiada: "Jezus jest szczytem ostatnim i nieodwołalnym historycznej autokomunikacji Boga. W Jezusie taka autokomunikacja objawia się jako nieodwracalnie ostateczna i zwycięska". I jeszcze: "Jezus Chrystus jest przestrzenią radykalnej interludzkości". Mianowicie to miłość jego i dla niego podtrzymuje wszelki wysiłek miłości między ludźmi: więź, która wszystkich nas łączy, w Chrystusie znajduje fundament, sens, siłę. Chrześcijaństwo? "Jest tym, co utrzymuje człowieka otwartym na absolutną przyszłość, jak oddawanie czci Bogu jednemu i prawdziwemu, przeciwko wszystkim idolom rozumianym jako absolutyzacja skończonych potęg". A Kościół? "Jest sakramentem, jest trwałym znakiem zbawczego dzieła dokonanego przez Boga w Chrystusie dla świata".

Może to dla wszystkich nie najbardziej jasne, ale też nie niezrozumiałe: w każdym razie, zdaniem zainteresowanego, jest to maksimum syntezy i uproszczenia jego skomplikowanego systemu. Przeciwno wielu, na przykład Hansowi Kiingowi, Rahner broni starożytnej formuły, za pomocą której sobór Chalcedoński starał się zdefiniować tajemnicę Chrystusa: "Prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, dwie natury w jednej osobie". Ta formuła, powiedział mi, "ma trwałą moc"; ale, dodał natychmiast (ktoś powiedział z odrobiną złośliwości, że w "ale", leży tajemnica, dzięki której teologom udaje się przekazywać swoje "ponowne odczytania"...) "formuła nie jest punktem dojścia, ale punktem wyjścia refleksji wiary".

W każdym razie, nie wykluczając jednak innych sformułowań wiary w Jezusa, wydawało mu się, iż należy bronić Credo Chalcedońskiego - prawdziwego fundamentu chrześcijaństwa - w jego istocie, "ponieważ pełni ono funkcję gwarancji, zabrania uznawania Jezusa za zwyczajnego proroka lub za geniusza religijnego i podkreśla jedność więzi między Chrystusem a Bogiem". Mówił często, że teologia traktowała na serio raczej tylko jeden aspekt tradycyjnej formuły: mianowicie Bóstwa Chrystusowi. Dzisiaj zadaniem jest ukazanie także jego prawdziwego człowieczeństwa: "Aby posunąć chrystologię naprzód, trzeba gruntownie zbadać całą rzeczywistość Jezusa: Boga i człowieka. Naszym niebezpieczeństwem jest zawsze monofizytyzm, jak gdyby w Jezusie człowieczeństwo było tylko liberią dla Bóstwa".

- Profesorze Rahner - prowokowałem go - wśród nas, świeckich, "profanów", krąży często uczucie antypatii do was teologów. Oskarża się was wręcz o to, że jesteście bezpośrednimi spadkobiercami owych uczonych w Piśmie, o których Jezus na pewno nie mówił z sympatią; oskarża się was o to, że

przekształciliście Słowo Boże w niezrozumiałą naukę. W odróżnieniu od licznych waszych ksiąg, te cztery książeczki nazywane Ewangelią, są zrozumiałe dla wszystkich.

Rahner na pewno nie był człowiekiem, którego można by wprawić w zakłopotanie czymś takim. Spoglądając, jak zwykle, wesoło i nieco ironicznie, usadowił się wygodnie na kanapie, w pozycji próżnującego chłopaka:

- Nie moją sprawą jest zaprzeczać temu, istnieją słuszne racje dla oskarżeń tego rodzaju. Jest to, rzeczywiście, nasza choroba zawodowa; ale postępujemy ostrożnie z obwinianiem specjalistów o nie-zrozumiałość.

Teologia profesjonalna jest w Kościele konieczna. Zresztą, każdy ludzki wymiar ma obok siebie systematyczną dyscyplinę, "naukę", która, kiedy osiąga pewne stopnie pogłębienia, nie może być przystępna dla wszystkich. Kontynuowałem prowokację:

- Hans Kiing, który postanowił sobie możliwie najszersze upowszechnienie swoich przecież podejrzanych i dyskusyjnych teorii, posunął się do stwierdzenia, że teologowie, którzy nie usiłują być zrozumiałymi dla możliwie największej liczby ludzi, są po prostu poza chrześcijaństwem.

W tym momencie okazał pewną surowość:

- Oskarżenie Kiinga jest głupotą. Teologia jest nauką mającą swoje techniki i swój język. Piotr w swoim drugim liście mówi, że w pismach Pawła są "rzeczy trudne do zrozumienia". Jan w swojej Ewangeli jest teologiem z wyrażeniami i pojęciami, które nie są natychmiast zrozumiałe. Czy dlatego powinniśmy uznać, że Paweł i Jan są poza chrześcijaństwem? Przy tym wszystkim, przyznaję chętnie, że specjaliści powinni liczyć się jak najbardziej ze swoimi słuchaczami.

- Czy dzięki tysiącom profesjonalistów teologii, pracujących na uniwersytetach, w instytutach, seminariach, czy dzięki sprawiającemu wrażenie boomowi publikacji i szkół teologicznych także dla świeckich, czy dzięki temu wszystkiemu dzisiaj jest rzeczywiście łatwiej ludziom, "ludowi Bożemu", wierzyć w Boga, Syna, Ducha Świętego?

- Bardzo często - odpowiedział - w głoszeniu orędzia chrześcijańskiego nie pamięta się o rzeczywistych i konkretnych problemach adresata tego orędzia. Ta dezorientacja w odniesieniu do rzeczywistości występuje w kazaniu proboszcza, w studium teologa, a także w niektórych oficjalnych dokumentach Kościoła. Zadaniem teologa jest właśnie wspomaganie głoszenia kazania, aby docierało ono do adresata.

W każdym razie, także przez to pragnienie dotarcia do ludzi, był jednym z najbardziej przekonanych zwolenników owej "hierarchii prawd", która, dzięki wielu dyskusjom i uściśleniom, została w jakiejś mierze przyjęta w dokumentach soborowych. Mianowicie dla "uczynienia Ewangelii zrozumiałą dzisiaj" trzeba by rozróżnić między tym, co jest rzeczywiście istotne, z czego nie wolno zrezygnować, a tym, co również jest prawdziwe, ale nieistotne.

- Nie wszystko to, co jest prawdziwe - powiedział - jest w tej samej mierze ważne.

Jego zdaniem, takie "skupienie się" Credo na punktach istotnych ułatwiłoby także dialog ekumeniczny. Droga zresztą niebezpieczna dla systemu takiego jak katolicki, w którym tout se tient, w którym każda prawda jest związana z inną w syntezie, która wydaje się niemożliwa do rozbicia, do zredukowania. Nie wszystko, na pewno, można podzielać w jego ogromnym dziele. Jak powiedział jego współbrat jezuita i tłumacz na język włoski, związany z nim długą przyjaźnią, ojciec Alfredo Marranzini: "Teologia Rahnera ma istotne znaczenie dla naszych czasów, ale nie jest pozbawiona luk i drobnych niedoskonałości; znaki zapytania można by stawiać na niej jednej stronie".

- Profesorze Rahner - zapytałem go - jaką przyszłość widzi ojciec dla chrześcijaństwa? Utrzymywanie się z trudem przy życiu czy odnowiona żywotność?

- Przyszłość wiary - odpowiedział bez wahania - zależy od jej stawiania się bardziej autonomiczną, bardziej "lokalną", bardziej związaną z konkretnymi rzeczywistościami, w jakich jest przeżywana. Nie może to już być czyste i proste eksportowanie zachodniego chrześcijaństwa. Nie można

już wyobrażać sobie narzucania jednolitości, która nie ma nic wspólnego z autentyczną jednością. Rzym powinien dążyć do stania się, chociaż z ostrożnością, centrum napędowym Kościoła zróżnicowanego, który żyje w sposób przystosowany do miejsc, zwyczajów, okoliczności, tą samą i jedyną wiarą.

Istotnie, stale prowadził walkę przeciwko temu, co nazywał "europejskim kolonializmem teologicznym". W tym zakresie nie jest "już możliwa formuła podstawowa i ogólna dla całego Kościoła, nakazana jako obowiązkowa dla całego Kościoła". Według niego wszystkie próby ponownego stworzenia "katechizmu uniwersalnego i obowiązkowego" dla służenia chrześcijaństwu "monolitycznemu" byłyby skazane na niepowodzenie. "Konkretne sytuacje dzisiaj są zbyt do siebie niepodobne. Zresztą już Nowy Testament ma różne sposoby do wyrażania tej samej wiary, stosownie do różnych okoliczności przepowiadania. Jeżeli chcemy zachować skuteczność orędzia, nie powinniśmy zapominać, że upadek prestiżu Zachodu pociągnął za sobą także jego religię. Powinniśmy więc odzyskać jej wiarygodność, oddzielając odpowiedzialność naszej zachodniej kultury za kryzys od odpowiedzialności Ewangelii, która nie ma win», chyba że te nasze, jakimi postawiliśmy tamę jej powszechności". W tym kierunku szła jedna z jego ostatnich walk, kampania o prawo obywatelstwa w Kościele dla poprawnej teologii wyzwolenia, jednak napominając, że ci teologowie "powinni zdawać sobie sprawę, iż znaczenie takiej teologii jest ograniczone do kontekstu kontynentu południowoamerykańskiego, w którym działają, i musi mieścić się w całości wiary katolickiej". A więc nie "nowa" Ewangelia; ale Ewangelia, która liczy się z konkretnym środowiskiem, w jakie ma się wcielić. W Europie - ze środowiskiem, które jest nacechowane obojętnością i zmęczeniem; tymczasem dla środowiska Ameryki Łacińskiej sprawą najbardziej nagłą jest problem ubóstwa, sprawiedliwości społecznej.

Gdy go poprosiłem, aby tym razem postarał się określić nie swoją teologię, ale siebie samego, odpowiedział uśmiechając się:

- Moje życie było szczęśliwe, dzięki wierze, za którą nigdy nie będę dostatecznie wdzięczny Bogu. Gdybym miał żyć jeszcze raz, nie wahałbym się zaciągnąć ponownie w szeregi synów św. Ignacego. Byłem jezuitą, który potraktował na serio pracę powierzoną mu przez przełożonych: pobudzać pogłębianie i przekazywanie orędzia chrześcijańskiego. W tej pracy nie pozwoliłem się uzależnić od niczego i od nikogo, kto nie miałby związku z otrzymaną przeze mnie misją. - Dodał: - Znaczenie mojej teologii, jeżeli rzeczywiście jest znacząca, nie tyle polega na treściach, ile na ustawicznym wysiłku dyskusowania, rozumienia, przekazywania.

Pasją, której poświęcił każdą godzinę (jak napisał w odpowiedzi na życzenia Papieża z okazji jego osiemdziesiątych urodzin) "każda godzina przedstawia dla nas możliwość otrzymania od Boga życia wiecznego".

- Widzę naturalną jedność - powiedział żegnając się, aby powrócić do pracy - w moim byciu człowiekiem, chrześcijaninem, kapłanem, jezuitą. Nie ma żadnej sprzeczności między istotą ludzką i istotą chrześcijańską, między antropocentryzmem i teocentryzmem.

Chrystologia, napisał gdzieś, "może uważać się za antropologię, która przewyższa samą siebie. A antropologia czym jest innym, jeżeli nie niepełną chrystologią?"

ROZDZIAŁ X

Dwa sposoby na życie

Po schematach teologicznych, zawsze trochę teoretycznych, wypada ponownie zejść na teren konkretnego życia, dla zbadania, jak chrześcijaństwo jest proponowane i przeżywane przez tych, którzy mają wpływ na wierzących naszych czasów.

Nie jest tajemnicą, że w Kościele współlistnieją dwie tendencje, dwa sposoby rozumienia tej samej wiary i życia nią. W rzeczywistości podobne podwójne nastawienie - związane nie tylko z racjami teologicznymi, ale także z temperamentem osobistym - cechowało wspólnotę chrześcijańską wszystkich czasów, z przewagą jednej lub drugiej tendencji. Pluralizm jest normalny,

fizjologiczny w Kościele, pod warunkiem, aby różne "szkoły" mieściły się w tym samym Credo.

Pierwszy "duch" jest reprezentowany przez tych, którzy troszczą się o chronienie "tożsamości" chrześcijaństwa, czuwając nad tym, aby Ewangelia nie przekształciła się w ogólnikowy humanizm, w system dobrych, ale nierealnych sentymentów, tracąc w ten sposób swoją funkcję zaczynu, swój smak soli, swój aspekt zgorszenia i szaleństwa dla zdrowego rozsądku "świata". Pewnie: w takim społeczeństwie jak dzisiejsze, wspólnota wierzących powróciłaby w ten sposób do bycia "małą trzódką", do bycia mniejszością. Odpowiada się na to, że to ścieśnienie, to zgrupowanie się ocalałych wokół "twardego rdzenia" Ewangelii bez ulg, stanowi przesłankę do poświęcenia się owej nowej ewangelizacji Zachodu obecnie zdechrystianizowanego, która jest ważna dla planu Jana Pawła II. Papież dowodzi, iż ceni taki sposób rozumienia chrześcijaństwa, sposób symbolizowany zwłaszcza przez lombardzkiego księdza Luigiego Giussani, który zapoczątkował szerokie zjawisko, jakie w "Comunione e Liberazione" (Wspólnota i Wyzwolenie) i w „Movimento Popolare" (Ruch Ludowy [jego „ramię polityczne"]), ma swoje dwa najbardziej znaczące momenty. Ale istnieje drugi "duch", odmienna tendencja katolicyzmu: według tego drugiego sposobu rozumienia wiary tym, co się przede wszystkim liczy, jest nieutrącenie kontaktu ze światem współczesnym, przyjęcie, na ile to możliwe, jego perspektyw, "dotrzymywanie towarzystwa" wszystkim współbraciom w ludzkości, podkreślając to, co łączy, a nie to, co dzieli. Należałoby mianowicie pośredniczyć (przez niektórych jest to nazywane "linią pośrednictwa", przeciwstawiając ją innej, która kładzie akcent na "obecności" chrześcijańskiej dobrze widocznej i aktywnej), pośredniczyć więc między widzeniem ewangelicznym a widzeniem humanistycznym, wyrażającym się czy to w kulturze marksistowskiej, czy też w kulturze liberalizmu, często mającej źródło masonskie.

Jeżeli perspektywa, którą, dla poparcia przykładem, nazwiemy "don Giussaniego", stawia przede wszystkim i nade wszystko na jakość chrześcijaństwa, dla tej drugiej interpretacji drzwi Kościoła powinny być na oścież otwarte, bez zbytecznego obstawania (przynajmniej w pierwszym momencie) przy "odmienności" wierzącego. Jeżeli z jednej strony większą troską wydaje się ratowanie ortodoksji i propozycja nawrócenia, z drugiej strony nalega się na "ortopraktykę", mianowicie na "słuszne" postępowanie, na wiarę świadczoną bez hałasu, w głębi, niejako po kryjomu, w życiu codziennym.

Jednym z najbardziej prestiżowych liderów tego ducha pośrednictwa był (i pozostaje) Alberta Monticone, wykładowca uniwersytecki historii współczesnej, prezes Włoskiej Akcji Katolickiej, która mimo ogromnego posoborowego upływu krwi, jest nadal największą organizacją laikatu katolickiego. Profesor Monticone zrezygnował później z przewodniczenia Akcji Katolickiej, ale pozostał ważnym punktem odniesienia dla wszystkich tych, którzy identyfikują się z jego planem chrześcijańskim. Wysłuchanie go jest przeto znaczące dla zrozumienia jednego z możliwych sposobów przeżywania chrześcijaństwa.

Luigi Giussani

Dla wielu jest mistrzem; dla innych jest twórcą i wytrwałym realizatorem anachronicznej "drogi do chrześcijaństwa", chociaż jego urok oddziałuje przede wszystkim na młodych. Ten człowiek jest prawdziwym znakiem sprzeciwu. W każdym razie nazwisko don Luigiego Giussaniego (urodzony w 1922 roku, ksiądz mediolański, założyciel w 1954 roku GS, Gioventu Studentesca [Młodzież Studencka], a następnie w 1968 roku CL, Comunione e Liberazione [Wspólnota i Wyzwolenie]) wejdzie może do przyszłej historii Kościoła. W jakiś sposób jest kontrowersyjny: przyjdzie czas, aby to stwierdzić, wyjaśniając czy jego sposób życia Ewangelią (i nakłonienie wielu do życia nią w ten sposób) był rzeczywiście sposobem przyszłości, albo też był tylko czasowym regresem.

Spotkać go sam na sam nie jest łatwo. I to nie dlatego, że jest zamknięty w swojej wieży z kości słoniowej albo dlatego, że całkowicie poświęcił się modlitwie, życiu kontemplacyjnemu. Jest faktem, że z powodu naglących

obowiązków jego ruchu, który ma obecnie wymiary międzynarodowe, oraz pewnej, usprawiedliwionej nieufności do dziennikarzy, don Giussani odrzuca niemal wszystkie próby o wywiady. Wreszcie znalazłem się z nim przy jednym stole. Mit, w tym przypadku, ma oblicze, jak ktoś określił: "łagodnego ambrożyjskiego proboszcza". Gęba sympatyczna, humoralna. Ale dodawano, że za tymi dobrodusznymi pozorami, dają znać o sobie "twardość i siła, które mogą napawać strachem". Także głos ma osobliwy, zachrypnięty po dawnej chorobie.

Wśród pierwszych rzeczy, jakie mi powiedział, było przytoczenie (oczywiście zna je na pamięć) fragmentu przemówienia, jakie Papież skierował do dziesięciu tysięcy profesorów i studentów uniwersyteckich, członków ruchu *Comunione e Liberazione*, którzy jesienią 1984 roku zgromadzili się w auli watykańskiej. Słowa Jana Pawła II, które don Giussani mi powtarza, brzmią: "Wasz sposób stawiania czoła problemom ludzkim jest bardzo podobny do mojego; a nawet, powiedziałbym, jest ten sam". Gdy wymawia owo "jest ten sam", słychać, że się cieszy: dla niego jest to potwierdzenie, iż trzydziestoletnia walka była prowadzona we właściwym kierunku. (Temu samemu papieżowi zresztą zdarzył się lapsus, jeżeli był nim rzeczywiście, który nie przeszedł niezauważony. Kiedy przyjmował grupę młodych z ruchu, wymknęło mu się: "My ciellianie..." To wyrażenie pozostało także w tekście oficjalnym, drukowanym w "Osservatore Romano". Z niego zrodziły się, nie tylko w świecie katolickim, kwestie i polemiki; ale było to któreś z kolei potwierdzenie sympatii najwyższych sfer w Watykanie. Co zresztą potwierdził mi kardynał Joseph Ratzinger, który także jeśli chodzi o *Comunione e Liberazione* - jak i inne ruchy: *focolarini*, charyzmatycy, neokatechumeni itd. - mówił o "motywach wielkiej nadziei", o "pewnego rodzaju czasie Zielonych Świąt w Kościele, w którym doświadczają się zaraźliwej radości wiary").

- Don Giussani - zapytałem go natychmiast - jaka jest centralna idea, która stanowi motyw pracy księdza?

- Jest to idea, a nawet doświadczenie jedności. Jedności przede wszystkim, jaka powinna zachodzić w wierzącym między jego wiarą i jego życiem. Zresztą jest to myśl samego Papieża: wiara powinna wcielać się w codzienność, we właściwe środowisko życiowe; wiara więc powinna stać się kulturą, w szerszym znaczeniu.

- Ale jedność poszczególnego wierzącego powinna potem się rozszerzyć i połączyć wszystkich wierzących między sobą.

- Jedność chrześcijan jest konkretnym znakiem obecności i działania Chrystusa. Dla nawrócenia świata istnieje tylko ta droga: uczynić widzialną jedność między nami. Jest to reguła duszpasterska wskazana przez samego Jezusa: "Proszę Cię, Ojczy, aby byli jedno, żeby świat widział, żeś Ty mnie posłał".

Jedność jest dla niego wspólnotą, która koniecznie przeobraża się w wyzwolenie (stąd nazwa ruchu: "Nazwa, muszę panu to powiedzieć, która bardzo mi się podoba i to z wielu powodów, teologicznych i eklezjologicznych. Ta nazwa bardzo mocno łączy się z pojęciem Kościoła Soboru Watykańskiego II! A poza tym podoba mi się ze względu na perspektywę społeczną, ze względu na jej aktualność." Tak samo wypowiedział się też Jan Paweł II już w kilka miesięcy po swoim wyborze). Dla potwierdzenia, w konkretnym doświadczeniu, "apologetycznej" skuteczności jedności wśród chrześcijan, don Giussani wspomina przypadki przedsiębiorstw, fabryk, w których na setki pracowników tylko trzech lub czterech było z CL:

- A więc wystarczyło, że nasi ludzie pokazali, iż są zjednoczeni między sobą, aby wywołać najpierw zaskoczenie, potem sympatię i wreszcie, u wielu, pragnienie przyłączenia się do tej małej grupy.

- Jaki typ ludzki uważa ksiądz za ideał?

- Nie ma wątpliwości: człowieka epoki cechującej się wyjątkową zgodnością codziennej kultury z życiem, jaką było średniowiecze. Dla człowieka średniowiecznego rozum nie oznaczał więzienia, które wykluczało wszelką nowość, wszelkie zdziwienie; dla niego wolność nie była nieobecnością wszelkiej zależności, lecz zgodą na plan Boży w historii; dla niego życie nie było czymś, co dotyczyło posiadania, lecz co dotyczyło istnienia. Był w

sumie dokładnym przeciwieństwem człowieka dzisiejszego, ofiary i więźnia dusznych, bigoteryjnych, nieludzkich współczesnych ideologii laickich.

- Jeżeli średniowiecze jest dla księdza modelem, w który trzeba się wpatrywać, to czy nie są usprawiedliwione oskarżenia o "wsteczność", o "odnawianie starego", rzucane tak często przeciw księdzu i jego ruchowi?
- Bardzo niewiele jest w nas tęsknoty za przeszłością - odpowiada - której nikt nie widział ani nigdy nie zobaczy, za tylną strażą kolumny ludzkości posuwającej się w historii naprzód, nie spieszymy się na razie ze wznoszeniem ostrokołów. Jesteśmy i chcemy być zawsze w pierwszej linii, zawsze w awangardzie. Choćby rozpychając się łokciami, aby do niej dojść i w niej być. Ten nasz głód przyszłości nie oznacza, że zapominamy o naszej chrześcijańskiej historii: pojęcie pamięci należy do podstawowych w naszym ruchu.

"Pamięć", przede wszystkim, o wydarzeniu uzasadniającym wiarę: o tajemnicy śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Ale także "pamięć" o dwudziestu wiekach wędrowania ludu zrodzonego z tego wydarzenia. Stąd zainteresowanie historią chrześcijaństwa, studiowaniem świętości, odkrywaniem korzeni. Stąd także naleganie na ciągłość chrześcijańskiej historii, która zna pogłębienia, ale nie pęknięcia: poczucie się więc uczestnikami Kościoła, który nie pojawił się w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku, razem z Soborem Watykańskim II. Ten Sobór jest raczej widziany jako etap konsekwentnej drogi, organicznego rozwoju; stąd odrzucenie przeciwstawiania Kościoła "posoborowego" Kościołowi "przedsoborowemu". Ponieważ, według CL, przyjęcie tych terminów oznaczałoby także przyjęcie idei pęknięcia w historii Kościoła, który tymczasem, bogaty całą swoją niezwykłą przeszłością, postępuje ku Chrystusowi, który przychodzi. Don Giussani nie ma wątpliwości: w tych latach chrześcijanie są wezwani do ustawiania się w szyku, do walki o samą przyszłość chrześcijaństwa. A przeciwnicy nie znajdują się już tylko na zewnątrz; ci najbardziej niebezpieczni gnieźdzą się także wewnątrz Kościoła.

- Dzisiaj - mówi - powróciliśmy do sytuacji podobnej do tej, w jakiej żył św. Ambroży, gdy wydawało się, że prawie cały Kościół stał się ariński. Arianizm - dobrze o tym przypomnieć - jest ową herezją, która "deklasuje" Chrystusa, redukując go do człowieka niezwykłego, ale nie będącego "współlistotnym" Ojcu.

Powrót arianizmu, ale także (jego zdaniem) powrót innej starożytnej herezji: pelagianizmu. A więc odrzucenie grzechu pierworodnego, relatywizacja doniosłości chrztu, łaski, pokuty, modlitwy. A więc człowiek może zbawić się sam, wystarczy mu do tego szczypta dobrej woli i przystąpienie do stołu wartości aktualnego humanizmu, rozpowszechnionej etyki proponowanej przez dominującą kulturę.

- Krąży w Kościele mieszanina starożytnych herezji przedstawianych przez niektórych jako rzeczy nowe. Jest to ciągłe kładzenie nacisku na "rozum", pojmowany jednak w znaczeniu oświeceniowym, jako "moje zdanie", jako to, co w tym momencie wydaje mi się prawdziwe. Właśnie tutaj widzę przede wszystkim toczący się proces, który śmiertelnie zagraża dzisiejszemu katolicyzmowi: niebezpieczeństwo protestantyzacji, dla którego Kościół nie jest już strukturą zbawienia, w jakiej ustawicznie żyje Chrystus, który przemawia przez Magisterium, ale jest pewnego rodzaju klubem czytelników tej samej książki. Proces wyrodnienia jest dzisiaj znaczny. W czasach reformacji przynajmniej Włochy, Hiszpania, Portugalia pozostały zdecydowanie katolickie. Teraz duch protestancki krąży po trochu wszędzie.

- Czy nie poświęca się tutaj - mówię - zbyt znikomej uwagi duchowi ekumenicznemu, którego Sobór tak bardzo polecał?

- Wcale nie. Mam wielki szacunek dla doświadczenia protestanckiego. Ale to mi nie przeszkadza ganić przenikania do katolicyzmu postaw obcych jego naturze: protestantyzm należy do nich.

Dla niego to "skażenie przez mentalność protestancką" objawia się w tym, że decydująca podstawa wiary nie jest już postrzegana w tym wydarzeniu obiektywnym, które emanuje z Chrystusa zmartwychwstałego, a którym jest Kościół, razem z jego Magisterium, ale w elemencie subiektywnym, jakim jest rozum jednostki. Stąd przedstawienie z Magisterium na indywidualną opinię, na refren "według mnie".

- Poza tym jest to chrześcijaństwo ograniczone tylko do "Słowa", do samego czytania Biblii, już nie widziane i przeżywane jako rzeczywistość ontologiczna, która mianowicie dociera do korzeni bytu, która porusza głębię naszej natury. Chrześcijaństwo więc, które zatrzymuje się na powierzchni i które zostało zmiecione przez wiatr świata zdesakralizowanego, zeświecczonego. Na dodatek "Słowo", do którego zostało zredukowane, jest rozbite przez egzegezę biblijną, która z inteligencji oświeceniowej uczyniła swojego nowego idola.

Powiada się, że sentyment Luigię Giussaniego i jego ludzi do papieża jest odwzajemniony. Ale nie tylko, pragnę to ściśle wyrazić, przez obecnego następcę Piotra, "papieża Polaka" jak, z pewnym zniecierpliwieniem, jeżeli nie lekceważeniem, określa się go także w pewnym kręgu klerykalnym. Giussani uznał za ważne wspomnieć mi o sympatii dla niego i dla jego ruchu okazywanej także przez Pawła VI, "który teraz jest gloryfikowany przez tych samych, którzy za jego życia krytykowali go, wyśmiewali go, zaprawiali gorczyczą lata jego i tak już trudnego, dramatycznego pontyfikatu".

- Kardynał Benelli, który był sekretarzem stanu, zaprosił mnie pewnego razu na obiad i oznajmił mi: "Gdyby Paweł VI żył jeszcze rok, wszystkie wasze problemy zostałyby rozwiązane. W ostatnich czasach istotnie powtarzał mi: Polecam eminencom ludzi z Comunione e Liberazione, to jest słuszną drogą». Zresztą już w 1975 roku papież Montini mi powtórzył: "Idź tak dalej». To była ta sama rada, jaką mi dał, gdy był arcybiskupem Mediolanu: Nie rozumiem dobrze księdza idei i księdza metod, ale widzę ich owoce. Proszę kontynuować!»"

- Don Giussani - mówię - czy nie jest to jednakże tajemnicą, że w hierarchii katolickiej wielu was lubi, ale tyleż samo nie. Wiadomo, że niektórzy biskupi spoglądają na was ze zniecierpliwieniem.

- My - opowiada - uczyniliśmy z posłuszeństwa wobec Magisterium Kościoła jeden z niezwykłych punktów. A Magisterium żyje także w biskupie, głowie Kościoła lokalnego. Jesteśmy zawsze otwarci na włączenie się w plan duszpasterski diecezji; pod warunkiem, że te plany doceniają wszystkie energie, jakie Duch Święty wzbudza w Kościele. Biskup, według nas, powinien rozbudzać, nie hamować energie. Jeżeli to konieczne, powinien przycinać drzewo, ale aby się wzmocniło, nie żeby umarło. Wierzimy we wspólnotę kościelną, nie w biurokrację klerykalną.

- Jak ksiądz ocenia sławny już dzisiaj kongres Kościoła włoskiego w Loreto, na którym doszło do konfrontacji "dwóch duchów" kościelnych? Nieco uchylał się od odpowiedzi, wreszcie odrzekł:

- Po pierwszych dniach wielu komentatorów prasy mówiło, że w Loreto nastąpił koniec dla CL. Koniec, dodawano, chyba żeby przybył papież, aby wszystko odwrócić. Papież przybył: i odwrócił wszystko...

- Po co - mówię - ta ukryta konfrontacja zwłaszcza z Akcją Katolicką?

- Ależ my wywodzimy się z niej - protestuje. - Zrodziliśmy się z entuzjazmu Akcji Katolickiej lat pięćdziesiątych. Przygoda, której trzydziestolecie świętowaliśmy w 1984 roku, zaczyna się w Courmayeur, od trzech dni profesora Giuseppe Lazzatięgo, rektora Uniwersytetu Katolickiego w latach 1968-1983, właśnie tego, który miał stać się tak natarczywym krytykiem ruchu Comunione e Liberazione. Jest ścisłym faktem, że nasz ruch zrodził się także z niego, z jego zdań-sloganów, które nas entuzjazmowały, które sobie przyswoiliśmy: "Chrystus, centrum każdej prawdziwej kultury"; lub, gdy chodzi o stosunki ze światem: pour se poser, il faut s'opposer, żeby zająć stanowisko, trzeba się przeciwstawić. Co do dzisiejszej Akcji Katolickiej, jesteśmy przekonani, że jej baza jest o wiele nam bliższa niż chcą to przyznać niektórzy jej przywódcy.

- Don Giussani, dlaczego tak wielka antypatia, jeżeli nie prawdziwa i właściwa nienawiść do was panuje, zarówno poza, jak i w samym Kościele?

- Tak, często jest to rzeczywiście nienawiść, i to najgorsza ze wszystkich: nienawiść teologiczna. Jesteśmy znienawidzeni nie tylko ze względu na nasze wady, ze względu na nasze niedoskonałości, ze względu na nasze błędy; ale także, i może przede wszystkim, ze względu na naszą kulturę: jest ona taka sama jak kultura papieża, on również jest przedmiotem kampanii zniesławiania lub w najlepszym przypadku działalności mającej na celu dystansowanie się, prowadzonej nawet przez wiele środowisk

kościelnych. Liczni katolicy włoscy są klerykalni w stylu i laicy w kulturze; my jesteśmy lub staramy się być przeciwieństwem: religijni na płaszczyźnie kulturalnej, laicy w stylu. Także to jest powodem antypatii, która przyjmuje często tony gniewne i oszczercze, apriorystyczne. Nas pluralizm w Kościele nie dziwi, jesteśmy skłonni do dyskusji różnych stanowisk. Rzecz, której się nie spotyka w naszych konfrontacjach.

- A więc, pewne postawy CL oceniane jako prowokatorskie, ofensywne, są jedynie wyrazem słusznej obrony?

- Sądzę właśnie, że tak. W CL istnieje wola pokoju, ma ono oblicze ironiczne, którego dotąd nie pozwolono ukazać. Kto, podczas ubiegłych lat, wycierpiał, jak my, ponad 250 napadów, zamachów, zasadzek, ciosów zadanych nożem, strzelaniny, podpaleń, eksplozji? Z tych napadów 120 miało miejsce w ciągu czterech miesięcy po tym, jak "La Stampa" i "II manifesto" rozpoczęły w 1976 roku oszczerczą kampanię o domniemanym finansowaniu CL przez CIA. Obydwa dzienniki (jeden należy do "Fiata", drugi to organ lewicowych ekstremistów) zostały skazane w sądzie, musiały zdementować oraz bardzo nas przeproszać; ale dopiero w 1979 roku, po trzech latach sądowej ślamazarności. W tym czasie za te hańbiące oskarżenia nasi działacze zapłacili niekiedy krwią. Ale to jest tylko epizod nie kończących się ataków, które czyniły nasze życie tak trudnym.

W latach, w których kończył się Sobór Watykański II, rozpoczął się kryzys GS, Młodzieży Studenckiej, pierwszego dzieła don Giussaniego.

- Czy nie jest to może potwierdzeniem - zauważam - trudności przystosowania się myślenia księdza do mentalności soborowej?

- Tym, co spowodowało napięcie w GS, nie był Sobór, lecz wydarzenia roku sześćdziesiątego ósmego. Niektórzy z naszych członków popadli w złudzenie efektywizmu, zapomnieli o tym, że tylko Chrystus jest fundamentem prawdziwej skuteczności, wierzyli, iż na marksistowskiej lewicy spostrzegają działanie odpowiednie dla czasów.

- Wyklucza więc ksiądz, że duch kształtujący GS przed i po CL nie był adekwatny do nowego klimatu kościelnego?

- W rzeczywistości, im bardziej Sobór posuwał się naprzód, tym bardziej my się cieszyliśmy, ponieważ przyznawał nam rację. Bardzo liczne tematy eklezjologiczne, które Sobór Watykański II wyjaśniał i podawał do wiadomości, były od lat częścią naszej tematyki. Przy całym naszych ograniczeniach, Sobór został przez nas "wcześniej przeżyty" w wielu aspektach.

- Jest to jednak rzecz dobrze znana - zauważam - że CL często polemizowała (i jeszcze polemizuje) z grupami i teologami, którzy określają się i są postrzegani jako "nosiciele autentycznego ducha Soboru".

Tutaj staje się twardy:

- Jeżeli ich krytykujemy, to dlatego, że wypaczają Sobór Watykański II; powołują się na fragmenty dokumentów wyrwane z kontekstu. Istotnie, upierają się zwłaszcza przy niektórych częściach (mniej szczęśliwych) konstytucji duszpasterskiej *Gaudium et spes*, które mogą nadawać się do dwoistego odczytania: wiara jest jedną rzeczą, zaangażowanie społeczno-polityczne - inną. Albo też powołują się na części tego samego dokumentu możliwe do interpretowania z przesadnym optymizmem, jak w liberalnym protestantyzmie, na wzór *Social Gospel*, Ewangelii społecznej z końca XIX wieku. Wszystko to jest w sumie tym, czego sami protestanci później się wyrzekli, a co tymczasem zostało przyjęte z opóźnieniem przez niektóre katolickie teologie posoborowe. *Gaudium et spes* w innych częściach jest natomiast całkowicie w środku ciężkości Soboru Watykańskiego II, w jego prawdziwym duchu.

- A jaki jest ten "prawdziwy duch"?

- Ten wyrażony przez serce Soboru, *Lumen gentium*, konstytucję dogmatyczną o Kościele. Owa Magna Charta Soboru Watykańskiego II: to właśnie od niej my z CL bierzemy początek i następnie do niej powracamy.

- Co ksiądz powie na temat negatywnej opinii o okresie posoborowym, która wywołała wielkie zgorszenie, wyrażonej przez prefekta Kongregacji do spraw Nauki Wiary?

Aby odpowiedzieć, szuka słów i waży je:

- Sobór jest działaniem proroczym w rękach Boga. Wierzę, że przyniesie on

swoje najlepsze owoce z biegiem czasu. Podobnie jest, gdy się przelewa dobre wino: na początku wydaje się mętne. Później jednak zanieczyszczenia się osadzają i można się rozkoszować jego jakością. - Mówi dalej zdecydowanie: - Za zamęt, w który w tych latach został wpędzony Kościół, przede wszystkim na szkodę jego członków najbardziej prostych i bezbronnych, są odpowiedzialni niektórzy teologowie ze swoją lekkomyślnością i terrorem, że nie będzie się dobrze widzianym, zgodnym z modą, przyjętym, uznanym. Z jednej strony badania teologiczne miały, jak zawsze w Kościele, swoje ścisłe prawa. Z drugiej strony popularyzacją teologiczną - w gazetach i książkach - posługiwano się w sposób nieodpowiedzialny, jeżeli nie w sposób instrumentalny, jako nieopanowanym upustem, jako zrozumiiałym samopotwierdzeniem.

- Ale - mówię - może teologowie powinni byli milczeć w tych latach?
- Milczeć nie, ale mówić zgodnie z wymaganiami miłości i realizmu; licząc się mianowicie z głębokim brakiem teologicznego przygotowania naszego ludu. Ta ignorancja stanowi bezpośrednie następstwo owego ciasnego sprowadzenia życia religijnego do przestrzegania form obrzędowych i do moralizmu, co na wiele lat stało się niestety charakterystycznym elementem pewnego katolicyzmu. I to nie tylko we Włoszech, ale w świecie. W pewnym duszpasterstwie nie głosiło się Chrystusa, radości ze spotkania z Nim, doświadczania Go, ale ogólnikową etykę z podręcznika dobrych manier. Potem dodaje, a propos odpowiedzialnych za kryzys tych lat:

- Zarzucamy pewnej teologii posoborowej to, że zdecydowała się być podporządkowana kulturze laicy styczej; stać się, i to dobrowolnie, dworką i służącą hegemonicznej mentalności. Piszą i mówią, chciałoby się czasem powiedzieć, w oczekiwaniu na pochwałę, "brawo!" nowych właścicieli kultury. I nie spostrzegają, że ten laicyzm, któremu są tak ulegli i darzą go taką czcią, jest w agonii, razem z całą "nowoczesnością" zrodzoną z osiemnastowiecznego Oświecenia. Jest to powtarzanie się owego klerykalnego opóźnienia kulturalnego, niestety powracającego: odkrywanie i entuzjazmowanie się nowościami, kiedy są już stare.

W każdym razie według niego "nie mogą rościć sobie prawa do mówienia zgodnie z duchem Soboru ci, którzy pomijają wielkie encykliki Jana Pawła II, stanowiące autentyczną interpretację Soboru Watykańskiego II. Katolik nie może twierdzić, iż odwołuje się do tekstów soborowych i równocześnie usuwać nauczanie Magisterium, zwłaszcza papieża, który ustawicznie aktualizuje ducha tych tekstów".

Nie waha się następnie wypowiedzieć przeciwko tym, którzy (wewnątrz i na zewnątrz Kościoła) nie cierpią, gdy ktoś ma pewność. Wierzyć, że jakaś prawda istnieje i głosić ją z mocą, jak na to zasługuje, jest już dla wielu, choćby dla tak zwanych katolików, niewybaczalnym skandalem. Według nich trzeba być zawsze "w poszukiwaniu": dla nas natomiast każde badanie jest tylko potwierdzeniem prawdy Chrystusa, Jego Ewangelii, Magisterium Jego Kościoła. Dogmatykami, nietolerancyjnymi, nie są na pewno ci, którzy - jak my w CL staramy się czynić - przedstawiają prawdę, którą odkryli i którą pragną żyć i krzyczeć o niej wszystkim, aby oni także radowali się konkretnym doświadczeniem wiary, wolności, zmartwychwstania. Jeżeli jesteśmy pewni dlatego, że doświadczyliśmy, dlaczego mielibyśmy to ukrywać? Chcemy iść naprzód drogą, która wydaje nam się słuszną: drogą potwierdzającego entuzjazmu. Nie interesuje nas, a nawet sprzeciwiamy się jej, owa negatywna zaciętość, owa rozkosz zaprzeczania, jaka cechuje dzisiaj także niektóre dziedziny teologii.

- Gdy słucha się niektórych dzisiaj - mówi dalej - misja głoszenia Ewangelii miałaby być przemocą, usiłowaniem wykorzenienia ludzi z ich kultury, z ich historii, aby narzucić im coś obcego. A więc należy powiedzieć jasno, że ten kto tak twierdzi (na równi z tym, kto przemianował na "prozelityzm nie do przyjęcia" to, co dla nas jest "obowiązkowym apostołatem"), nie wie, co znaczy miłować bliźnich. A więc nie odczuwa potrzeby (która jest miłością) zaproponowania także bliźniemu doświadczenia Chrystusa.

Po tak wielu odpowiedziach danych bez wahania, na koniec pojawiło się spontanicznie ostatnie pytanie. Ktoś twierdzi, iż odnosi wrażenie, że uczniowie don Giussaniego starają się przeciwstawić nauczanie papieża

nauczaniu niektórych biskupów. Że członkowie CL chcą dawać lekcje wielu innym. Czy w ciągu trzydziestu lat walki o plan, który ma licznych przeciwników w Kościele, ten ksiądz nigdy nie przeżywał wątpliwości, że mają rację "inni", ci wierzący, którzy są zwolennikami odmiennego sposobu życia wiara?

- Nie - mówi jeszcze raz pewnie. - Nie miałem tego rodzaju wątpliwości. I to nie dlatego, że mam zaufanie do samego siebie, ale dlatego, że mam zaufanie do tych, którzy nauczyli mnie być chrześcijaninem, do moich nauczycieli z seminarium diecezji mediolańskiej w Venegono. Moje widzenie wiary jest ich widzeniem: od siebie starałem się wprowadzić tylko metodę, pedagogię. Dlaczego miałbym się tak bardzo niepokoić, kiedy to jest takie proste, być posłusznym papieżowi? Czy jego nauczanie nie jest może darem Chrystusa, za który powinniśmy być wdzięczni? Jakie mają dla nas znaczenie oskarżenia? Mnie służą do poprawy i do uzupełniania się, nawet jeżeli dobrze widzę ich oszczerczy charakter; a więc nie wyrządzają mi większej szkody.

- Don Giussani, pewnego razu, ktoś prosił księdza o modlitwę zamykającą się w dziesięciu słowach; ksiądz zaproponował jedną: czy pamięta ją ksiądz jeszcze?

- Tak, na pewno, to jest rzeczywiście moja modlitwa i często ją powtarzam: "Aby Chrystus objawił się, najbardziej jak to możliwe, w życiu świata".

Alberto Monticone

Wieczór, kolacja w domu Alberta Monticone, w wigilię jego przyśpieszonej rezygnacji z narodowej prezesury włoskiej Akcji Katolickiej. Na zewnątrz wielki letni skwar ciężący nad Rzymem. Wewnątrz, w tym prostym pokoju jadalnym w nieokreślonym stylu ludowym, ciepło zupełnie innego rodzaju: ciepło gościnności szczerzej, braterskiej dla gościa nieco impertynenckiego, który przyszedł, aby temu profesorowi uniwersyteckiemu historii współczesnej ukraść wieczorny odpoczynek w pełni sesji egzaminacyjnej. W swojej książce-wywiadzie (Nella storia degli uomini), Monticone mówi, że dla zrozumienia dzisiejszego katolika świeckiego konieczne jest wejście do jego domu, poznanie jego życia codziennego, "powszednich" gestów, które właśnie dlatego, że dalekie od wszelkiej wyjątkowości, mogą rzeczywiście nabrać posmaku "eucharystycznego". Siedząc przy tym stole, otoczony serdecznością jego, żony, dwóch córek (trzecie dziecko jest już na wakacjach), oceniam w domu Monticone zgodność słów z życiem. Jest to atmosfera, która rozluźnia trochę roztargnioną rozmowę przy zimnej kolacji i która ułatwi dialog bardziej zaangażowany, gdy przejdziemy do salonu i reporter będzie musiał uzbroidzić się w pióro i notes, aby usiłować skoncentrować się na podsumowaniu ważnego doświadczenia włoskiej wspólnoty kościelnej.

Tak, warto było wejść tutaj, do tego domu spokojnego i skromnego w okolicy Pineta Sacchetti, aby sprowokować i słuchać tego człowieka. Mówię "sprowokować" nie przypadkiem. Wiele pytań, jakie następują, właśnie dążyło do tego: wypłoszyć rozmówcę z ukrycia, spowodować, aby wyszedł na otwarty teren, zrozumieć (wyrzekając się owej nieco nieszczerzej dyplomacji, która jeszcze cechuje pewien styl klerikalny), co kryje się za wyborami aprobowanymi przez wielu i kwestionowanymi przez wielu innych. Starać się zrozumieć racje człowieka, świeckiego chrześcijanina, który stał się (na pewno wbrew jego pragnieniu powściągliwości) symbolem jednego ze sposobów rozumienia wiary dzisiaj.

- Profesorze Monticone, jakiś historyk twierdził, że pewien protestantyzm (i nie jest przypadkiem, że ta jego nazwa wywodzi się od "protestu") żyje stale przede wszystkim działaniem antykatolickim. Gdyby pozbawiono go ustanowionej przez Rzym ochrony świeckiej, utraciłby wielką część swojej tożsamości, swoją rację istnienia. Tak samo (wyjaśniając naturalnie, że porównanie jest prostackie i niedoskonałe), odniósł ktoś wrażenie, że dzisiaj dzieje się coś podobnego wewnątrz Kościoła: Wydaje się, że Akcja Katolicka z jednej strony i Wspólnota i Wyzwolenie z drugiej (ale to ma znaczenie także dla innych rzeczywistości kościelnych), znajdują swoją siłę, jeżeli nie tożsamość, we wzajemnej konfrontacji albo w polemice. Jak gdyby identikit dzisiejszego katolika został ukształtowany w działaniu

alternatywnym, "przeciwko" komuś, w samym Kościele.

- Na pewno, może to wywołać u kogoś niepokój, a nawet zgorzelenie, że są chrześcijanie wojujący, co kształtują swoją gorliwość w sposób, który bardziej niż "polemiczny" nazwałbym "dialektycznym". Ale nie powinno się koncentrować uwagi na problemach i napięciach rodzinnych, kiedy wspólny dom jest w niebezpieczeństwie! Zresztą, ta ścisła konfrontacja między osobami, które należą do tej samej ziemi, do tej samej rodziny, przynosi wiele korzyści, które same w sobie nie wydają się negatywne. A nawet pobudza każdego do lepszego uściślenia swojej rzeczywistości, do pogłębienia punktów widzenia, o których - samemu - nigdy by się nie pomyślało. "Inny" pomaga nam odkryć tendencje i główne punkty, które my może potraktowaliśmy mniej uważnie, które powinniśmy głośniejszymi wyrażać. Niech wystarczy, wszystkim, dyskusja, żywa także u nas, nad tym, co oznacza, w obecnej sytuacji włoskiej, stawianie na tak zwany "wybór religijny", i w jaki sposób może się on artykułować w postępowaniu politycznym.

- Tym, co w istocie, wydaje się odróżniać dzisiejszą Akcję Katolicką od niektórych ruchów kościelnych, poczynając od CL, jest opinia o "nowoczesności". Dla was kultura nowoczesna, zrodzona z rewolucji amerykańskiej oraz z Rewolucji francuskiej, wyraża prawdziwe wartości, możliwe do przyjęcia w poprawnej syntezie katolickiej. Dla innych wierzących ona zbankrutowała: dzisiaj więc nawrócenie na "nowoczesność" byłoby anachroniczne, szkodliwe dla Ewangelii i jej głoszenia. Dobrze są znane gorzkie, powtarzane ostrzeżenia skierowane do katolików przez Augusta Del Noce, filozofa ważnego dla CL, który doszedł do wiary po doświadczeniu całej kultury laickiej: "Nie zachwycacie się trupem! Nie dajcie się zwieść agonialnym podrygom myślenia, które odkryliście dopiero teraz, ale które już się wyczerpało!"

- W Modenie w osiemnastym wieku żył ksiądz bardzo uczony i zarazem bardzo przywiązany do Kościoła, Ludovico Antonio Muratori. Człowiek swojej epoki, człowiek o wielkim i głębokim wykształceniu, przygotował miejsce dla Oświecenia, które wtedy się zaczynało i, chociaż w sposób krytyczny, bo dbał o zachowanie tożsamości chrześcijańskiej, utrzymywał kontakty z najznakomitszymi przedstawicielami kultury swojej epoki.

- Była to kultura owych philosophes, która w 1789 roku uchwyciła władzę w imię tak zwanych "praw człowieka", ale która już po czterech latach znalazła swój finał w Wielkim Terrorze, którego symbolem jest gilotyna; wynalazła ludobójstwo, z systematyczną rzezią Wandejczyków i każdej grupy, która nie przyjmowała liberte et fraternite; skończyła się długim krwawym okresem Napoleona, ulubionego syna Rewolucji i zarazem mordercy całej generacji młodych Europejczyków. Wszystko, jak zwykle, kosztem owych ubogich i owych słabych, o których bardziej powinien martwić się wierzący...

- Chrześcijanin, Alcide De Gasperi, natychmiast po wojnie powiedział wyraźnie, że jego program czerpał natchnienie z zasad 1789 roku. Poruszanie się w historii znaczy konfrontowanie się także z tym, co wartościowego wyraziło Oświecenie, przyłączenie się w jakiś sposób do jego marzenia o res publica humanitatis.

- Pozostaje jednak prawdą, jeżeli chcemy brać poważnie naukę faktów, że to marzenie w rzeczywistości obróciło się w koszmar: istnieje bezpośrednia nić, która łączy tę utopię salonów eleganckich osiemnastowiecznych intelektualistów z okopami nad Marną i w Krasie, następnie z obozami koncentracyjnymi, potem z gułagami, w końcu z równowagą terroru, dzięki której tymczasem pozostajemy przy życiu. Z pewnością nie ja powinienem przypominać panu, zawodowemu historykowi, jak bardzo za tymi wszystkimi tragediami kryją się właśnie ideologie socjopolityczne i nacjonalistyczne powstałe w XVIII wieku o działaniu antychrześcijańskim.

- Wszystko, co na to mogę, to tylko nieskładna odpowiedź. Na pewno, nasza Akcja Katolicka poszukuje dzisiaj humanizmu chrześcijańskiego, ale nie szuka go udając się koniecznie w pogoń za każdym aspektem nowoczesności. Szukamy go w rzeczach zwyczajnych, codziennych, w towarzystwie każdego jednego człowieka dobrej woli, świadomi tego, że naszym celem ostatecznym nie jest masonskie Królestwo Ludzkości, ale Królestwo obiecane przez Chrystusa. Odczuwamy potrzebę zastanawiania się jeszcze i ustawicznie nad

tym, co oznacza Wcielenie, życie Jezusa przez trzydzieści lat w Nazarecie jako uniżenie się w prostej historii, w krótkim życiu człowieka. Na pewno jest możliwe, popadnięcie w anachronizm, jeżeli przyjmujemy z opóźnieniem i z niesłusznym entuzjazmem pewne aspekty nowoczesności. Ale jest także możliwe coś przeciwnego: mianowicie katolicyzm odkrywający nieprzyjaciół, którzy już nimi nie są, którzy są inni aniżeli byli w przeszłości.

Ustanawianie czasów i sposobów apostołatu jest trudnym przedsięwzięciem, wymaga uwagi i rozsądku ze strony każdego wierzącego.

- Jest to branie pod uwagę "znaków czasu", tak słusznie zalecane przez Sobór. I to właśnie w imię tego samego brania pod uwagę, o którym niektórzy sądzą, iż ma to polegać na ponownym odczytaniu Soboru Watykańskiego II, uznając, że w ciągu dwudziestu lat czasu się zmieniły jeżeli chodzi o optymizm, cechujący niektóre części niektórych dokumentów. Były to lata sześćdziesiąte, szczyt euforii postępu, boomu ekonomicznego i technologicznego, nadziei pokładanej w Kennedym i Chruszczowie. Cały ten klimat już jest niezmiernie odległy.

- Część duszpasterska takich dokumentów, jak *Gaudium et spes* nie oferuje nam tylko treści tymczasowych, ale także sposób patrzenia na świat współczesny, dla konstruowania propozycji wiary, która byłaby adekwatna do czasów. Jest to metoda bazująca na wolności i odpowiedzialności. Zresztą, czy Sobór Watykański II nie był antycypujący, profetyczny, a więc otwarty na Trzecie Millenium chrześcijaństwa, o którym z tak wielką sugestywnością i siłą oddziaływania mówi Papież? Jak wszystkie teksty związane z *Sacrum*, dokumenty soborowe mówią o czasie, w którym powstawały, i zarazem o wszystkich czasach.

- Oskarża się was, że głosicie chrześcijaństwo niskich lotów, jeżeli nie ustępliwe. Chrześcijaństwo, które zgubiło po drodze swój smak soli, swój wygląd gorszący i szaleńczy, aby skryć się w pewnego rodzaju zdrowym rozsądku, w humanistycznym dobrym wychowaniu. W ubiegłym roku przedstawiliście wielką ankietę przeprowadzoną wśród 300000 dorosłych członków Akcji Katolickiej. Wynikało z niej, że dwie trzecie są to kobiety, których średni wiek wynosi około 55 lat (przeciętnie 22 lata przynależności do Stowarzyszenia), że względnie mało jest chłopów i robotników, a jeżeli chodzi o pochodzenie społeczne, najwięcej jest urzędników i ludzi z sektora usługowego. W sumie "masę" waszych "dorosłych" stanowi dzisiaj drobne mieszczaństwo w starszym wieku. Jeden z waszych przywódców, Pier Giorgio Liverani, obecnie dyrektor „Awenire”, komentując te dane, napisał, że "nawet jeżeli nie wydaje się trywialny w popolitości i w odrzuceniu zobowiązań, to jednak niewątpliwie dzisiejszy dorosły z Akcji Katolickiej wygląda na pozbawionego wielkiego rozmachu oraz ambitnych planów". Pan sam, profesorze, powtarzał ostatnio, że katolik świecki nie musi być "kimś, kto natychmiast głosi ci Ewangelię lub daje ci lekcję moralności, albo oznajmia, że jest chrześcijaninem". Czy nie ma tu może ryzyka osłabienia niezbędnego napięcia misyjnego, utraty owej "pasji wciągania, przekonywania", która jest niezbywalnym odruchem chrześcijańskim? Czy z tej szarości nie wywodzi się szary identikit średniego działacza, ukazany przez wasze własne sondaże?

- Nasze stowarzyszenie ma dziedzictwo misyjne, którego nie zamierza się pozbywać, nawet jeżeli sądzimy, że głoszenie powinno towarzyszyć formacji. Staramy się dawać świadectwo, że chrześcijaństwo jest naprawdę ludzkie i pozwala żyć prawdziwym, pełnym mężczyznom i kobietom; że nie wymaga rezygnowania z niczego, co jest piękne i dobre. W ten sposób świadectwo życia codziennego, "powszedniego", przenikniętego chrześcijaństwem (nawet jeżeli niestety niewyraźne) może stać się kazaniem, głoszeniem wiary wcielonej. Jedną z "ikon", symbolicznych obrazów, przyjętych na kongresie kościelnym w Loreto, uznana za szczególnie aktualną dla dzisiejszego wierzącego, jest obraz Dobrego Samarytanina, który potrafi śpieszyć z pomocą i towarzyszyć potrzebującemu.

- Ale czy nie ma tutaj ryzyka, że chrześcijaństwo (poza, oczywiście, najlepszymi intencjami) praktycznie dąży do przekształcenia się w ideologię Czerwonego Krzyża lub w ideologię Narodów Zjednoczonych: humanistyczne organizacje (obydwie o wyraźnym pochodzeniu masońskim), być może szacowne, ale często tak bardzo bezsilne, jeżeli nawet nie podejrzane o hipokryzję?

- Nie, jeżeli wychodzi się z założenia, że potrzebującemu brakuje przede wszystkim Chrystusa, a Chrystusa nie daje mu się z jałmużną, lecz z życiem. Różnica co do działania jakiegokolwiek organizacji humanitarnej jest taka, że kiedy daje się siebie drugiemu, ukazuje się czynem, iż się należy do Chrystusa i do jego objawienia się w historii, jakim jest Kościół. Obudzenie tęsknoty za Chrystusem jest równocześnie obudzeniem tęsknoty za Kościołem: oto zadanie naszego działania na rzecz innych. Na pewno jest pewne ryzyko spłaszczenia, ale znika, jeżeli stale czerpie się z tego źródła, jakim jest wiara karmiona Eucharystią, jakim jest refleksja nad Bóstwem i równocześnie Człowieczeństwem. Być może, że również my powtarzamy zbyt często owo słowa wpisane wielką literą, które są drogą politykom każdej partii lub funkcjonariuszom ONZ (Ludzkość, Pokój, Sprawiedliwość, Wolność, Demokracja i tak dalej), ale zależy z jakiego serca pochodzą te słowa.

- A jednak ktoś - oceniając, oczywiście, zewnątrz - uważa, że w dzisiejszej Akcji Katolickiej niewystarczająca jest formacja wiary, działalność katechetyczna, niewystarczający jest bodziec do zdecydowanego głoszenia Ewangelii. Tworząc w ten sposób pustkę, którą wypełniają - na swój sposób, ale z godną podziwu wytrwałością i entuzjazmem - sekty, poczynając od świadków Jehowy, którzy stanowią już drugą "religię" włoską i wzrastają w godnym podziwu tempie.

- Oskarżenia, jakimi się nas atakuje, są sprzeczne, ponieważ są tacy, którzy nam zarzucają, że zbyt mało zajmujemy się polityką, że ograniczamy się tylko do formacji religijnej. Są tacy, którzy uznają nas za zbyt uduchowieńskich i tacy, którzy uważają że jesteśmy zbyt zeświecczeni. Co do mnie, myślę, że nigdy nie ma za dużo modlitwy, za dużo duchowości; ale temu wymiarowi musi towarzyszyć odwaga przyjęcia wyzwania, które przychodzi do nas od świata pod wielu względami tak bardzo zlaicyzowanego.

- Teologia bardziej staranna sygnalizuje, że źródło odchyleń, jakie się stwierdza w katolicyzmie dzisiejszym, znajduje się w kryzysie pojęcia Kościoła. Mianowicie rzutuje się na niego wartości pochodzące z dominującego dzisiaj wymiaru politycznego i żąda się "Kościoła demokratycznego", na równi ze społeczeństwem obywatelskim. Zanik katolickiego pojęcia Kościoła jako "Ciała Mistycznego" (a więc opartego na hierarchii apostołskiej, a nie na wyborach i na oznakach uznania) nie wydaje się panu ryzykiem obecnym także w pana stowarzyszeniu?

- Jeżeli nalegamy na wymiar demokratyczny, dotyczy to naszego życia wewnętrznego i w ogóle życia zorganizowanego laikatu katolickiego. Ale zarówno w naszym statucie, jak i w konkretnej praktyce, dobrze pamiętamy o odmienności Kościoła w porównaniu ze wspólnotami obywatelskimi; dobrze pamiętamy, że napięcia, obecnego także w Kościele, między wolnością i władzą nie rozwiązuje się w formach demokratycznych, lecz hierarchicznych. I to poczucie granicy ma ogół naszych członków, którzy niejako instynktownie czerpią je z sensus fidei, i dobrze ukazuje, iż wiemy, czego i do jakiego punktu możemy domagać się od naszych pasterzy. Istnieje zresztą ryzyko związane z ustrojami demokratycznymi, o którym szczególnie pamiętamy i od którego staramy się trzymać z daleka.

- Co pan ma na myśli?

- Myślę o ryzyku pomylenia chrześcijańskiej ewangelizacji z propagandą, tym typowym wytworem "demokratycznym", zrodzonym z walki politycznej między ideologiami i różnymi partiami. My zaś powinniśmy szukać nawrócenia, które jest na antypodach przyzwolenia, o które starają się propagandyści. Oni bardzo niewiele mają wspólnego z apostołstwem.

- Jeśli o to idzie, trzeba stwierdzić, że Akcja Katolicka znajduje się rzeczywiście poza wszelkim podejrzeniem, do tego stopnia, że nawet jakiś biskup (może sam papież) oskarża stowarzyszenie o to, że pracuje zbyt tajemniczo, że nie daje się poznać, że żyje w ukryciu właśnie z obawy przed popadnięciem w propagandę, w ekshibicjonizm.

- To prawda, interesuje nas praca od podstaw, w głębi, w spokoju, w sprawach powszednich, nie pchamy się na pierwsze stronicie dzienników. To wszystko ma swoją cenę w świecie mediów, w widowisku. My wierzymy, iż warto tę cenę zapłacić, nawet jeżeli teraz, na naleganie ogółu członków, przedstawiliśmy niektóre sposoby działania, aby umożliwić poznanie

rzeczywistości naszego stowarzyszenia temu, kto chciałby przyjść i służyć razem z nami.

- Jak reaguje Akcja Katolicka na wrażenie (tak to wielu odbiera), że Jan Paweł II ma obecnie gdzieś indziej swoich "beniaminków"? Że Akcja Katolicka nie jest już ulubionym tworem Stolicy Apostolskiej?

- Stale uważamy papieża nie tylko za wikariusza Chrystusa, ale także za ojców rodziny chrześcijańskiej, a w szczególności tej ściślejszej rodziny, z bardziej bezpośrednimi więzami pokrewieństwa, jaką jest zorganizowany laikat katolicki. Wobec tej pewności ojcostwa upadają wszystkie możliwe pytania o preferencję Ojca Świętego dla takiego lub innego sposobu przeżywania zaangażowania chrześcijańskiego. W rodzinie, w której panuje miłość, wszyscy są dziećmi i nikt nie jest ulubieńcem ojca, który kocha wszystkich tą samą miłością. Nie wydaje mi się, zresztą, żeby ogół naszych członków skarżył się na ewentualne większe względy obecnego papieża dla innych stylów niż nasz w życiu katolickiego laikatu.

- Od jakiegoś czasu, w wyborach zarówno samorządowych jak politycznych czy europejskich Movimento Popolare (Ruch Ludowy), ramię świeckie waszego "rywala" CL, zbiera sukcesy, przeprowadzając prawie zawsze wybór, na pewniaka, swoich kandydatów. Czy możliwe, że są to głosy także działaczy Akcji Katolickiej?

- Tak, jest możliwe. Nawet jeżeli jest możliwe, że ktoś z naszych ma trudności psychologiczne, kiedy Ruch Ludowy podsuwa niektóre nazwiska, nieomal dobierając kandydatów z Chrześcijańskiej Demokracji.

- Ale z waszej strony, czy nie domagano się, aby usunięto z Akcji Katolickiej tych, którzy kandydowali z listy demochrześcijańskiej?

- Domagaliśmy się nie usunięcia ze stowarzyszenia, lecz z odpowiedzialnych w nim stanowisk, dla wyrazistości linii kościelnej, tych, którzy weszli do polityki, a byli członkami Rady Narodowej albo kierowniczych rad diecezjalnych. Nie zapomniano jednak o rozsądku: działaczy terenowych nie zmuszaliśmy do dymisji, nawet jeżeli zostali wybrani z listy Chrześcijańskiej Demokracji. Dzisiejsza Akcja Katolicka troszczy się bardziej o kształtowanie dobrych obywateli, aniżeli dobrych polityków. Ten rodzaj troski o formację polityczną był uzasadniony, ale w latach zastępstwa i nadzwyczajnej interwencji.

- Panie Monticone, pan się też o tym dowiędzie: ktoś spośród waszych przeciwników nie waha się podejrzewać pana o tendencje "modernistyczne"; być może o sympatie masonskie.

- Wiem, wiem o tym dobrze: oskarżano mnie, że jestem pół-protestantem, że zbyt ulegam marksizmowi; a także, iż żywię nadmierną tolerancję dla masonerii, a dodatkowo, że jestem skażony modernizmem. Modernizm był zjawiskiem degenerującym pewnej teologii, pewnej eklezjologii. Ale w swych najlepszych aspektach, nie od dzisiaj (a nawet może już począwszy od lat pięćdziesiątych) został osądzony o wiele pozytywniej przez bezstronną krytykę katolicką, może także przez Magisterium, przez odróżnienie błędu od sumiennego i wiernego badania. Zresztą pewne jego wymogi zainteresowania historią zostały przyjęte przez przemyślenia soborowe.

- Na jakiego świętego spogląda pan najchętniej, jako na przykład i wzór?

- Na Tomasza Morusa, który był, jak długo mógł, przyjacielem swojego króla, a kiedy musiał zapłacić życiem za swoją wierność Rzymowi, odmówił osądzania ludzi, którzy go zdradzali.

- Jaka księga Pisma Świętego jest dla pana najważniejsza?

- Czytam i czytam wciąż na nowo Psalmy, za każdym razem odkrywając w nich nowe bogactwa, wydaje mi się, że bardziej niż cokolwiek innego odnoszą się do każdego z nas.

- A wśród pana liwes de cheyet!

- A choćby stare, ale zawsze młode Naśladowanie Chrystusa. Ale także teksty religijne ludzi, którzy angażowali się politycznie: La Pira, De Gasperi, Moro, Bachelet. Czuję, iż są mi bliscy, tak bardzo żądni absolutu i zarazem tak bardzo włączeni w codzienność pracującego człowieka.

- Właśnie Vittorio Bachelet, zamordowany później przez Czerwone Brygady, musiał kierować, jako prezes, Akcją Katolicką w jej najbardziej dramatycznej fazie, kiedy w ciągu niewielu lat spadła liczba jej członków z prawie trzech milionów do nieco ponad pół miliona, z czego połowę stanowią

dzieci. Ten spadek został zapoczątkowany Soborem czy kontestacją?

- Soborem, gdy zmienił się sposób bycia Kościołem. Aż dotąd istniało społeczeństwo "szeroko" chrześcijańskie, nawet jeżeli często tylko socjologicznie, i było czymś naturalnym, że wielu jego członków należało do Akcji Katolickiej. Od tamtego czasu bycie chrześcijaninem stało się wyborem, a nie przeznaczeniem dla tych, którzy rodzili się we Włoszech.

- Co mówią fakty, czy wasza interpretacja chrześcijaństwa okazuje się płodna, jeśli chodzi o powołania do kapłaństwa i do życia zakonnego?

- Powiedziałbym, rzeczywiście płodna: sam często wyjeżdżałem, gdy dowiadywałem się, że gdzieś ktoś z naszych członków lub członkiń wstąpił do seminarium, do zakonu, do klasztoru. Starłem się uczestniczyć w ich radości. W Biblii ojcowie rodziny cieszą się, gdy widzą w domu, przy swoim stole, dzieci; ale nie idą na rynek chwalić się nimi. Tak samo staramy się i my postępować, nie nadając rozgłosu tym specjalnym powołaniom, które stanowią część codziennego życia naszych grup. To stało się możliwe także dzięki tradycji, z której nie chcemy zrezygnować: dzięki tradycji kierownictwa duchowego. Za każdym świeckim zaangażowanym w historię powinna być, na ile to możliwe, dusza kapłańska. Zresztą nie ma żadnego naszego przywódcy narodowego, który by systematycznie nie zasięgał rady doradcy duchowego.

- Panie profesorze, czy rzeczywiście słyszał pan, w tych latach, wyrażenie bardziej wyraziste niż to o dwóch "duszach" lub duchowościach dzisiejszego Kościoła?

- W Kościele, a szczególnie w Kościele włoskim, zawsze istniały różne wrażliwości. Od czasu do czasu jedna z nich miała przewagę, stosownie do dominującej w tym czasie eklezjologii lub do orientacji duszpasterskich hierarchii.

- Czy możemy jednak mieć mimo wszystko nadzieję, że to, co dzieli, jak się wydaje, jest naprawdę mniej ważne od tego, co łączy?

- Tak, możemy mieć nie tylko nadzieję, ale się o tym przekonać. Wierzę, że w wyborach decydujących, tych, które się naprawdę liczą, znikną interesy osobiste i Kościół znajdzie się zjednoczony wokół swojego Pana.

ROZDZIAŁ XI

Gdy katolik jest u władzy

Chrześcijanin i polityka: związek trudny a jednak nieunikniony, węzeł, który zawsze wzbudza znaki zapytania i prowokuje dyskusje, podejrzliwości, podziały. Czy ktoś, kto nazywa siebie naśladowcą Proroka posłanego na śmierć przez spisek władz (zarówno religijnych jak politycznych), może - i jak? - wykonywać władzę państwową, działając na dodatek w partii, która określa siebie przymiotnikiem "chrześcijańska" i umieszcza krzyż w swoim herbie?

Pomijając szczegółowe analizy teoretyczne, warto posłuchać i przestudiować doświadczenie kogoś, kto od ponad czterech dekad (a jest to rekord światowy), przeżywa rzeczywiście tę sytuację, która dla jednych jest pozytywna, dla drugich niebezpieczna i dwuznaczna. Na nasze pytania odpowiedziało dwóch praktykujących i zdecydowanych chrześcijan, których nie ma potrzeby przedstawiać, biorąc pod uwagę ich znaczącą i stałą obecność na scenie politycznej: Giulio Andreotti i Oscar Luigi Scalfaro, obydwaj (gdy słuchaliśmy ich) ministrowie Republiki Włoskiej.

Giulio Andreotti

Po pokonaniu licznych kordonów niższych urzędników parlamentarnych, po niewielu minutach oczekiwania na tarasie, z którego rozciągała się wspaniała panorama, znalazłem się tutaj, pod dachami Montecitorio. Siedzi przede mną polityk może najslawniejszy, ubrany na czarno ze srebrnym krawatem w białe groszki.

Giulio Andreotti, jak wiadomo, ma rekord światowy ciągłego trwania w rządzie lub przynajmniej w parlamencie: w tym pałacu przebywa, bez przerw, począwszy od odległego 1945 roku. Raz po raz deklarował w wywiadach, że gdy

ukończy sześćdziesiąty rok życia - szanując daną żonie uroczystą obietnicę - wycofa się do życia prywatnego, aby swobodnie pisać książki, ciesząc się stałym powodzeniem. Ukończył go w 1979 roku, ale od tamtego czasu jeszcze bardziej zintensyfikował swoją działalność publiczną. Nie należy się temu dziwić: historycy przysięgają, że nigdy nie udało im się odnotować przypadku polityka schodzącego dobrowolnie ze sceny. Jest coś tajemniczo nieustępliwego we władzy: wydaje się, że skosztowawszy tego jabłka, nikt nie potrafi z niego zrezygnować.

Tutaj, w małym, ale eleganckim gabinecie, przerobionym z dawnego poddasza, onorevole Andreotti ("Premier", jak go wszyscy tutaj nazywają) naprawdę sprawia wrażenie, że należy do wyposażenia Montecitorio. Ubranie, twarz pozornie obojętne, ale bardzo uważna i oświetlana co pewien czas błyskami ironii, zrównoważony ton głosu jak gdyby spowiednika lub kardynała Mazariniego czy Richelieu: wszystko się zgadza z wyobrażeniem, jakie ludzie powinni mieć o człowieku, który przebywa w pałacach władzy.

- Mam pewien problem, onorevole - mówię do niego zaraz, bez wstępów - jaki noszę w sobie i który przynoszę tutaj panu, ponieważ wydaje mi się, że jest on także problemem wielu innych. A więc: poza wszelką polemiką, poza rozważaniami politycznymi, w perspektywie bezpośrednio religijnej, czy rzeczywiście służy Ewangelii, wierze, Kościołowi to, że jakaś partia nosi nazwę "chrześcijańska" oraz umieszcza w swoim herbie krzyż? Wielu utrzymuje, że głoszeniu wiary nie pomaga, a nawet przeszkadza w tym kraju (a może i wszędzie) obecność siły partyjnej, która nazywa siebie partią "wierzących", która posiada władzę od zawsze i sprawuje ją bez skrupułów; jak jest to zresztą oczywiste, naturalne, gdy się decyduje na wejście do polityki, w której - poza gadaniną idealistów, naiwnych (lub hipokrytów) - tym, co się liczy, są stosunki siły. Sądzę, że jest na swój sposób prawdziwe gorzkie stwierdzenie Macchiavellego: "ludzie nie kierują się ojczenaszami". Nie chodzi o żadną polemikę, która by nie służyła szczerzej rozmowie - powtarzam. - Tylko o pytanie zwykłego człowieka postawione drugiemu człowiekowi.

- Problem jest rzeczywisty i ważny - odpowiada mi z legendarną niewzruszonością. - Spotkałem się z nim zaraz po wojnie, w momencie odbudowy ruchu politycznego katolików. Weterani Partii Ludowej księdza Sturzo (na przykład Gronchi) nalegali na przyjęcie starej nazwy, bez określeń religijnych. Katolicy tak, ale w polityce świeccy. To De Gasperi obstawał przy "demokracji chrześcijańskiej". Chciał przez to dać wyraźne odniesienie do zaangażowania nie tylko politycznego, ale także religijnego: jak gdyby wezwanie etyczne. Nasz program zresztą szedł w tym kierunku: zasada socjologii chrześcijańskiej na solidnej platformie demokratycznej.

- A jak pan, wtedy nieco ponad dwudziestoletni Andreotti, oceniał wybór De Gasperiego?

- Myślę, że koniecznie by trzeba się przenieść w tamte czasy zimnej wojny, nacechowane obecnością potęgi światowej, uznającej chrześcijaństwo za wroga, którego trzeba zwalczać. Zbyt często zapomina się o tym, że w wyborach 1948 roku Front Ludowy komunistów i socjalistów wzorował się na Związku Radzieckim Józefa Stalina, którego prawdziwe oblicze odsłonił później sami przywódcy moskiewscy: a nie wzbudziło ono entuzjazmu... Obecnie jest pewne zróżnicowanie, sam włoski statut komunistyczny został zmodyfikowany, aby przyznać pełne obywatelstwo w tej partii wierzącym.

- A więc, nie warto by było już dyskutować nad tym, czy jest lub nie stosowne usunięcie tego zobowiązującego przymiotnika z nazwy partii o pozorach (ani nie powtarzamy, że może być inaczej) nie zawsze ewangelicznych?

- Jest wielu, i ja między nimi, poczuwających się do głębokiej odpowiedzialności za przymiotnik "chrześcijańska" dodany do "demokracji". Z drugiej strony, za tą nazwą kryją się wartości i punkty stałe, których się nigdy nie wyrzeczono: autentyczna wolność religijna, fundament każdej innej wolności; rzeczywisty pluralizm szkolny; sprzeciw wobec aborcji, wobec rozwodów.

- Ale czy pan nie był właśnie Przewodniczącym parlamentu, onorevole Andreotti, z demokracji chrześcijańskiej (a Prezydentem Republiki pana

towarzysz partyjny, Giovanni Leone), kiedy aborcja została przez parlament zliberalizowana?

- Istotnie, przeżywałem kryzys sumienia i pytałem siebie, czy powinienem podpisać tę ustawę. Ale, gdybym podał się do dymisji, żaden inny chrześcijański demokrat nie mógłby tego podpisać. Zaistniałby kryzys polityczny bez możliwości do przewidzenia wyjścia, w trudnej dla kraju chwili. Kryzys, który mógłby prawdopodobnie spowodować także komplikacje międzynarodowe. Przez podanie się do dymisji przyczyniłbym się mianowicie do większego zła, niż to, którego chciałem uniknąć.

W sumie normalna "racja stanu", o której don Divo Barsotti, ksiądz i mistyk, z nim również się spotkamy, powiedział mi rzeczy straszne, jak biblijny prorok: "Należę do tych, którzy jeszcze wierzą w sąd Boży: w kilka dni po podpisaniu tej ustawy, Leone musiał opuścić Kwirynał w hańbiący sposób. Natychmiast potem również Andreotti był zmuszony podać się do dymisji. Mówią, że gdyby nie podpisali, rząd by upadł? Ale jakie ma znaczenie dla chrześcijanina taki rząd?"

Na pewno: sytuacja we Włoszech jest skomplikowana i pod wielu względami nienormalna; dlatego przypadek aborcji, wśród wielu innych przypadków, świadczy, że ani nawet partia "katolików", będąca przy władzy, nie może przeszkodzić sprawowaniu rządów w sposób niemożliwy do przyjęcia dla wierzącego. Czy więc warto kontynuować? A gdyby demokracja chrześcijańska zaniechała wszelkiego bezpośredniego odwoływania się do wymiaru religijnego? Gdyby skłaniała się do modelu francuskiego, gdzie nie ma żadnej partii "chrześcijańskiej", która po doświadczeniach powojennych natychmiast się sama rozwiązała?

Giulio Andreotti nie waha się w odpowiedzi:

- We Francji, w okresie powojennym, nigdy nie zostały poddane krytyce podstawowe wolności. My mamy za sobą historię laicyzmu często zjadliwego, który pochodzi z daleka. Jeden przykład: odkryłem w archiwum, że w 1887 roku burmistrz Rzymu, książę Torlonia, posłał życzenia papieżowi Leonowi XIII. Francesco Crispi, premier rządu i wielki mistrz masoński, dowiedziawszy się o tym, zdymisjonował burmistrza. Jeszcze w 1904 roku, gdy pojawiły się pierwsze kandydatury katolickie w wyborach samorządowych, strona liberalna oświadczyła, że wierzących można tolerować tylko na poziomie lokalnym, ale na pewno nie na poziomie krajowym. W historii zjednoczonych Włoch katolik, jako taki, był często spychany do getta, jeżeli nie prześladowany. Potem był długi czas zimnej wojny, z frontalnym przeciwstawieniem się komunistom. Jeszcze teraz liczne "otwarcia" są bardziej nadzieją niż rzeczywistością. Kiedy wolność ludzi nie będzie już naprawdę przez nikogo zagrożona, może wtedy będzie można myśleć o ogólnym przegrupowaniu włoskich sił politycznych.

Dla dodatkowego usprawiedliwienia obecności opowiedział mi, że odkrył istnienie frakcji chrześcijańskodemokratycznej w komunistycznej strefie Niemiec. "Co macie do roboty w tak monolitycznym systemie jak ten?", zapytał Andreotti lidera spotkanego na jakiejś międzynarodowej uroczystości. Niemiec odpowiedział: "Niech pan porówna nasze prawo o aborcji ze wszystkimi innymi krajami socjalistycznymi. Zobacz pan, że dzięki naszej obecności to prawo jest bardziej restrykcyjne". Mówił mi o innych spotkaniach: ksiądz spotkany w Brukseli był członkiem parlamentu czechosłowackiego...

- Są to mniejszości - odpowiadam - które na pewno nie sprawują władzy, jak u nas. Żeby wyrazić się bez eufemizmów, jak przeszkodzić ludziom we wciąganiu chrześcijaństwa w skandale, których protagonista jest Chrześcijańska Demokracja?

- Również w historii Kościoła byli papieże, którzy pozostawiali wiele do życzenia. Nie można domagać się, aby Chrześcijańska Demokracja była lepsza od Kościoła. W człowieku zawsze istnieją strefy cienia.

- Ale jeżeli Kościół, jego postać historyczna, może komuś stwarzać trudności w wierze, dlaczego dołączać dodatkową trudność ze strony jakiejś partii?

- Nie można powierzać polityki samej technice. Powinniśmy unikać tego, żeby fakt polityczny stał się jedynie faktem czystej władzy, która działa na swój rachunek. Ale poza tym, czy naprawdę wielu jest takich, którym

Chrześcijańska Demokracja przeszkadza w wierze?

- Nie opieram się tylko na moim doświadczeniu, ale także na doświadczeniu wielu ludzi spotykanych podczas wieloletniego dziennikarstwa. Wydaje mi się, iż powinienem odpowiedzieć panu pozytywnie: tak, zdaje się, że naprawdę między nich a krzyż wciska się herbowa tarcza z krzyżem.

Chwilę się zastanawia, wygląda na zatroskanego.

- Nie osądzajcie naszej partii na podstawie prasy - mówi potem. - Zło jest zawsze bardziej widoczne aniżeli dobro. Nie jest to przypadek, jeżeli w Boskiej Komедii piekło podoba się o wiele bardziej niż raj. W wielu regionach są poważni młodzi ludzie, przygotowani, zaangażowani, uczciwi, o których nie jest zbyt głośno, ale którzy tworzą inne oblicze Chrześcijańskiej Demokracji, o jakim nikt nie mówi.

- Młodzi - pytam - którzy mają także jakieś zainteresowania religijne?

- Właśnie tak - odpowiada zdecydowanie. Mówi potem dalej, powracając do swojego zwykłego zniżonego tonu: - Moim zdaniem wszyscy członkowie Chrześcijańskiej Demokracji powinni chodzić na Mszę. A poza tym widzę, że ludzie, którzy głosują na nas, w większości chodzą do Kościoła...

- Jeżeli chodzi o to, słynne są pana poranne Msze święte, w gazetach często ukazują się fotografie przedstawiające pana klęczącego do komunii świętej.

Zrobił mały gest zniecierpliwienia:

- Trzeba, aby Kościół wydał surowe przepisy dotyczące fotografów. Ze swej strony podczas kongresów partii rezygnuję z codziennej Mszy właśnie dlatego, żeby uniknąć podejrzeń o hipokryzję.

- Odnosi się wrażenie - zauważam - że pana życie zawsze toczyło się w uspokajającym wnętrzu pewnego "świata katolickiego".

Że dlatego nie jest łatwo panu rozumieć problem (i dramat) kogoś, kto dąży do wiary ze świata laickiego. Wiara mianowicie u ludzi takich, jak pan (sądząc, oczywiście, od zewnątrz), wydaje się raczej jednym z danych urzędu stanu cywilnego, zapisem w dokumencie ("religia: katolicka") niż ryzykiem, które trzeba podejmować każdego dnia na nowo.

Nie zaprzecza:

- Dla mojej matki i ojca, taki "prawdziwy" był zawsze i wyłącznie Pius X. Urodziłem się i wychowywałem w domu starej ciotki, która natomiast trwała przy Piusie IX i żywiła nienawiść do Porta Pia oraz do "piemonckiej" inwazji, oplakując papieża-króla. Klimatem mojej formacji była atmosfera tradycji katolickiej, naturalnej, spontanicznej religijności. Na przykład wydawałoby mi się dziwactwem niejedzenie w piątek postnych potraw. Jeżeli wiara jest dla wszystkich darem, dla mnie była darem niezasłużonym.

Tu jeden z tych jego błysków ironii w spojrzeniu:

- Z pewnością, także za to będę musiał zapłacić na drugim świecie... Ale czego pan chce, jest to konsekwencja tego, że zawsze żyłem obok dobrych kapłanów.

- Czy pana religijność rzeczywiście nigdy nie doznawała kryzysów? Żadnej wątpliwości, żadnego problemu?

- Nie, to jest korzyść z tego rzymskiego powietrza, w którym oddycha się chrześcijaństwem.

- Chrześcijaństwem czy jakąś religijnością socjologiczną?

- No więc, na pewno, w tym powietrzu jest także woń Borgiów... Ale jest także woń bardzo wielu świętych, znanych i nieznanych.

- O co prosi pan Boga w swoich codziennych modlitwach porannych?

- Proszę o to, abym nie popełniał zbyt wielkich błędów w pracy i w postępowaniu. A poza tym proszę, aby to nasze zaangażowanie nie utrudniało pracy Kościoła.

Śmiejemy się w tym momencie: to jest właśnie ta "modlitwa", która zdaniem wielu pozostaje niewysłuchana.

- Walczymy o to, aby trwała wolność. A wolność nie jest tylko wolnością religii. Wierzę, że nasza praca była potrzebna.

- Onorevole Andreotti, są wybory i wśród uprawnionych do głosowania jest również obywatel Jezus z Nazaretu. Jak pana zdaniem On by się zachował?

- Kto wie, może założyłby partię.

- Jaką?

- Chyba ruch Palestyńczyków lub coś w tym rodzaju.

- Jest pan o tym naprawdę przekonany? A gdyby Jezus podarł kartkę wyborczą i wcale nie poszedł do wyborów?
- Nie sądzę: to właśnie on powiedział, by oddać cesarzowi to, co jest cesarskiego. Prorok - tak, ale realista. Z tego, co widać, miał szacunek dla instytucji cywilnych.
- Są to te same instytucje polityczne - odpowiadam - które posłały go na śmierć, razem z władzą religijną.
- Ale on również powiedział, by szanować tego, kto rządzi...
- W każdym razie pan wierzy, że Jezus mógłby głosować na Chrześcijańską Demokrację?

Zbývá mnie jedną ze swoich sławnych ciętych ripost:

- Dlaczego nie? Może głosowałby na nas jako na mniejsze zło. - I dodaje: - Wie pan, on wcale nie jest taki jak my, nieboracy, którzy musimy liczyć się z pewnymi rzeczami. Jezus jest kimś, kto rozwiązuje problemy żywieniowe rozmnażając chleby i ryby. Dla nas jest to zwyczajnie nieco trudniejsze...
- Czy nie zdarza się panu nigdy próbować zrobić bilans tylu dziesięcioleci "katolickiej" hegemonii w polityce włoskiej?
- Często nad tym rozmyślałem i dochodzę do wniosku o pewnej klęsce. Nie udało nam się stworzyć społeczeństwa bardziej sprawiedliwego, o mniejszych nierównościach między obywatelami. Społeczeństwo przygniecione jest nieszczęściem. Ale w nie mniejszym stopniu jest nim społeczeństwo takie jak nasze. Mieliśmy mnóstwo problemów, także finansowych. Ale Chrześcijańska Demokracja nie może być obarczana odpowiedzialnością za wszystko. Mówi o socjalistach, o ich "powracającej pokusie uzależniania się od radykalnych tematów".
- Może - mówię - jest to dziedzictwo mesjańskiej wizji społeczeństwa, tego napięcia mimo wszystko religijnego, jakie przebija w historii maksymalizmu socjalistycznego.
- Lub może - poprawia - jest brakiem spójności z odpowiedzialnością rządu. Proszę pomyśleć, na przykład, o długim namawianiu przez wielu socjalistów, w latach po roku 1968, do rozbrojenia policji.
- Co myśli pan, wychowujący się w klimacie Piusa XII, o aktualnej sytuacji kościelnej?
- Nigdy nie brałem udziału w krytykach "aggiornamento" Kościoła po Soborze. Ani nawet pewnych form modernizacji liturgii, które wielu uznawało za przesadne. Kiedy jestem na pewnych Mszach, które inni określają jako "prymitywne", cieszę się napięciem religijności, jakie wyczuwam w tych manifestacjach młodych. Wspaniała młodzież, chciałbym, aby więcej mówiły o niej środki przekazu. Tymczasem mówi się o chuliganie, który okrada kieszeń jakiegoś Amerykanina na placu Hiszpańskim. Mówi o swoich czworgu dzieciach. Jest szczęśliwym ojcem.
- Ich religijność jest solidniejsza od mojej; między innymi, nie kontestowali rodziny. Są dobrzy i pracowici, dzisiaj jest to jedna z największych łask. Chciałem, aby uczęszczali zawsze i tylko do szkół publicznych, nigdy do zakładów prywatnych. Sądzę, że się nie pomyliłem. Kiedy moja córka Mariena powiedziała, że chce studiować filozofię na Uniwersytecie Rzymskim, zwróciłem jej uwagę, że według mnie ten wydział ma zły kierunek. "Tato", odpowiedziała, "jeżeli my nie będziemy na niego uczęszczali, zawsze będzie miał złe nastawienie". Są młodzi, którzy nie boją się skonfrontować z kimś, kto myśli inaczej.
- Wiadomo, że każdy człowiek jest tajemnicą; ktoś jednak wydaje się nią bardziej niż inni. Czy również onorevole Giulio Andreotti zalicza się do nich? W każdym razie jest on tajemnicą owiniętą w dobre maniery i w kulturalne zachowanie. Nie tylko w owo legendarne fair play, które wymanewrowało wielu innych w jego bardzo długiej karierze. To nasze pierwsze spotkanie było, przynajmniej dotąd, także ostatnim. A nie było ono całkiem łagodne, ani w przebiegu, ani w wersji, jaką mu nadałem. A jednak, w jakiś czas potem dowiedziałem się, że napisał do wydawcy, który zamierzał wydać książkę-wywiad z nim: "Dla tej rozmowy jako interlokutor nie byłby mi niemiły ów Messori..."

Oscar L. Scalfaro

Sandro Pertini określił go jako "doskonałego dżentelmena". Nawet jego

przeciwnicy polityczni, od komunistów po radykałów czy neofaszystów, mieli dla niego słowa szacunku, jeżeli nie sympatii: największy w tym kłębowisku żmij, jakim jest polityka w ogóle, a włoska w szczególności. A jednak, Oscar Luigi Scalfaro, z Novary, w ciągu czterdziestu lat działalności publicznej (rozpoczął w Zgromadzeniu Ustawodawczym, był wtedy bardzo młodym urzędnikiem sądowym: należy więc do tych, którzy zagrażają prymatowi Andreottiego w długowieczności politycznej) nigdy nie ukrywał swojego precyzyjnego stanowiska politycznego, wyrażającego się w law-and order, "prawo i porządek" szeryfów dawnego Zachodu. Nie jest przypadkiem, że jego początki rozwijały się pod opieką "sokoła", człowieka tak stanowczego, jakim był Mario Scelba, minister spraw wewnętrznych, który nie wahał się posługiwać ostrym pogotowiem policyjnym, działkami wodnymi, pałkami gumowymi, szybkimi rajdami jeepów.

A więc precyzyjne poglądy polityczne; i odrzucenie wszelkiego "względu ludzkiego" w religii. Scalfaro należy do tej starej gwardii Akcji Katolickiej (bardzo znana jest ta odznaka z lat pięćdziesiątych, teraz sprzedawana w antykwariacie, którą zawsze nosi w butonierce z odrobiną kokieterii), która nie mówiła jeszcze o "pośrednictwie" i o "wyborze religijnym". Ale która - mając w swoim łonie miliony członków - kształtowała przyszłe kadry partii, jak gdyby byli misjonarzami. "Misja", "apostolat", są to terminy, które często powtarzają się w rozmowie z tym panem o siwych włosach, w ciemnym ubraniu, rozmawiającego swobodnie, którego spotkałem w gabinecie ministra spraw wewnętrznych, na wzgórzu Viminale. Jest on, i powinien być prawdziwą "salą przycisków" Republiki. I "przyciski" są tam rzeczywiście bardzo widoczne, pięknie się prezentują na swego rodzaju dużej centrali telefonicznej obok biurka ministra. Przyznaje się jednak, iż nie bardzo sobie radzi z tym urządzeniem i ujawnia także - między uśmiechem a zniechęceniem - że często jeden z tych tajemniczych dzwonek zaczyna dzwonić, jedno światelko migoce (być może tam, gdzie znajduje się niepokojący napis: "Sztab główny", "Komenda główna policji"), ale na "proszę" minister niekiedy się dowiadyuje, że to nieporozumienie, pomyłka przy wykręcaniu numeru, była to bowiem pani, która szukała sklepu obok swojego domu.

Na szczęście, szczerze wierzący Scalfaro ma poczucie ironii, zmysł humoru, który wypływa z wyraźnej świadomości życia wiecznego:

- Gdy - "nie byłem nawet członkiem partii - zostałem wybrany z listy Chrześcijańskiej Demokracji, myślałem, że ta przygoda potrwa kilka lat, a nie kilka dziesięcioleci. Gdy w roku 1983 partia wyznaczyła mnie na ministra spraw wewnętrznych w rządzie Bettina Craxiego, uważałem się już za znalezisko archeologiczne. Ta nominacja zaskoczyła mnie. Ale jak tutaj przyszedłem, tak też jestem gotów stąd odejść. Biada, gdybyśmy uzależnili nasze życie od władzy.

Pozostaje jednak faktem, że Oscar Luigi Scalfaro, człowiek przystępujący codziennie do komunii świętej, piewca wiary i jej piękności, niezniszczalny katolik, od kilkudziesięciu lat jest tytułowany "onorevole" lub "ekscelencją", zamieniając krzesło parlamentarzysty na fotel w rządzie.

Człowiek władzy, czy tego chce czy nie. Korzystam więc z tego, aby również jemu postawić pytanie: jaki jest jego sposób na wprowadzenie współistnienia Ewangelii ukrzyżowanego Sługi ze swoją obecną sytuacją, jako ministra spraw wewnętrznych Republiki Włoskiej?

Odnoszę wrażenie, że zwrócenie się z takim pytaniem do człowieka, którego mam przed sobą, jest jak gdyby zaproszeniem go na wesele. Startuje rzeczywiście błyskawicznie, z mnóstwem trafnych powiedzeń. Sprawą reportera jest jedynie znaleźć szczelinę, aby móc wtrącić następne pytanie. Tanino Scelba, bratanek Maria, jego rzecznik prasowy, będzie mu przypominał co pewien czas, że zbliża się termin posiedzenia gabinetu w pałacu Chigi (właśnie tego rana został dokonany zamach terrorystyczny), ale minister będzie skłonny prosić o czas: "Właśnie dyskusowanie o tych rzeczach mnie pasjonuje. Zajmowanie się problemami wiary bardziej mnie interesuje niż debata nad problemami rządu..."

Aby zrozumieć ten sposób mówienia Scalfaro, nie można zapominać, że ten człowiek łączy swój diariusz polityczny z budującą prostotą z kalendarzem liturgicznym (zwłaszcza w święta maryjne: jest między innymi prezesem Ruchu

Fatimskiego):

- A więc, zobaczymy: pierwszą moją rządową funkcję - jako podsekretarza w Prezydium rządu, w 1954 roku - otrzymałem 11 lutego, w święto Matki Bożej z Lourdes. Zostałem mianowany ministrem spraw wewnętrznych 4 sierpnia 1983 roku, w dzień świętego Proboszcza z Ars, ministerstwo jednak objąłem dnia następnego, w uroczystość Matki Bożej Snieżnej czczonej tutaj obok, w bazylice Santa Maria Maggiore...

To oczywiście, że aby odpowiedzieć na zadane pytanie, ten człowiek odwoła się do znanego rozróżnienia: polityka jako cel sam w sobie lub polityka w prawdziwym, etymologicznym znaczeniu, jako służenie polis, miastu. Tylko rozumiana w tym drugim znaczeniu, potwierdza, polityka jest prawdziwa; lub przynajmniej jest dostępna dla chrześcijanina, "któremu nie wolno nigdy zapominać o tym, że Jezus nie posłuchał Szatana, demaskując jego chęć, kiedy ten powiedział, że wszystkie królestwa świata należą do niego i że daje je temu, komu chce. Władza dla niej samej, władza w celu panowania nad innymi, jest rzeczywiście właściwością diabła, który rozporządza nią, jak uważa".

W tym punkcie sam Scalfaro kontynuuje, bez czekania na pytanie, kierując dyskusję na nieuniknione kompromisy, na które jest narażony polityk, i które u wierzącego mogą powodować trudności sumienia.

- Kompromis - mówi więc - jest terminem o podejrzanym brzmieniu. Ale nie zawsze zasługuje na potępienie. Nie do przyjęcia jest podporządkowywanie kompromisowi tego, co odnosi się do zasad. Na przykład, nierozzerwalność małżeństwa oraz poszanowanie życia, począwszy od momentu jego zaistnienia. Jest natomiast dozwolone dyskutowanie (dla osiągnięcia kompromisu z siłami politycznymi, które inspirowane są ideałami odmiennymi od chrześcijańskich) o rzeczach, które nie wystawiają na ryzyko zasady. Na przykład, o mechanizmie wzrostu płac lub o długości aresztu prewencyjnego.

No tak, mówię, ale gdyby postawiono także jemu nieuniknione pytanie o aborcję? Również w tym przypadku odpowiedź jest szybka, to rezultat - to oczywiście - przemyślenia, może nawet cierpienia. Dla niego, jeżeli dopuszczono się "zdrady", nie popełnili jej katolicy zaangażowani w Chrześcijańską Demokrację, ale właśnie ów "świat katolicki", który często dystansuje się od Chrześcijańskiej Demokracji, aby potem na nią narzekać.

- Nie należy zapominać o tych proboszczach, którzy podpisali apele zwolenników rozwodów, o tych grupach lub stowarzyszeniach katolickich albo podających się za takie, które zaoferowały swoje siedziby zwolennikom aborcji. Nie było przypadkiem, że po wyniku referendum na temat rozwodów, Paweł VI pragnął wyrazić to, co nazwał swoją "wielką goryczą" odczuwaną z powodu wierzących, którzy ulegli dominującej mentalności. Jest to obiektywny fakt: dwukrotnie, za pomocą takich samych referendum, świat katolicki został wezwany do wypowiedzenia się na temat istotnych zasad, które należą do samego depositum fidei. W obydwu przypadkach, w odróżnieniu od innych ugrupowań wierzących, Chrześcijańska Demokracja się nie ugięła. Jednak niejedną z jej ludzi będących przy władzy zgodził się na podpisanie... Jeszcze raz odpowiedź jest szybka, prawie ostra:

- Był to akt obowiązkowy. Moja partia mogła przeciwstawiać się tylko w dyskusji w parlamencie, a następnie nie zgadzać się w głosowaniu. To się stało. Następnie wypowiedziała się większość, i było to, co było. W tym momencie prezydent Republiki, premier rządu,

241

właściwi ministrowie nie mogli zrobić niczego innego, jak tylko podpisać akt obowiązujący...

Powraca więc, także u niego, "racja stanu". Czy tak samo, mówię, nie można by uznać za "akt obowiązujący" również aktu Poncjusza Piłata, który skazuje Jezusa na śmierć? Ktoś odpowiedzialny, jak pan, onorewole Scalfaro, za ministerstwo, któremu podlega między innymi policja, nie może w końcu - mimo wszelkich różnic - domagać się bardzo ciężkich ofiar sumienia? Także tutaj, nie okazuje żadnego zgorznienia, żadnego zaskoczenia. Oczywiście, Scalfaro musiał wysłuchiwać rzeczy jeszcze gorsze; a czterdzieści lat życia w polityce to wystarczająco dużo, aby móc przemyśleć pewne rzeczy.

- Na pewno: Piłat jest jakimś moim kolegą. Jako urzędnik i jako polityk bronię go. Człowiek szczerzy, który nie waha się potępić samego siebie: "Nie

znajduję winy w tym człowieku", mówi o oskarżonym Jezusie. I mimo to, każe go ubiczować, a następnie ukrzyżować. W ten sposób potępiał samego siebie; nie ukrył się za długimi uzupełnieniami dochodzeń, za powoływaniem komisji. Nie, najpierw nie chciał ustąpić pod naciskiem swojej żony, która prosiła go, aby uwolnił tego Nazarejczyka. A potem ugiął się przed prawem siły, przed owym "jeżeli nie skazesz go na śmierć, nie jesteś przyjacielem cesarza" krzyczanym do niego przez najgorszych wrogów cesarza. Oni jednak mogli zagrozić jego karierze; a Piłat - który nie miał obowiązku, ale miał władzę by posłać Chrystusa na śmierć - wziął na siebie odpowiedzialność. Za tę odwagę powinien być szanowany; ale powinien być również wskazany jako przykład owej władzy nie "politycznej", o której mówiłem, ponieważ działał dla własnego interesu, a nie dla interesu miasta, Państwa.

- Ale czy to nie jest właśnie to słowo - "Państwo", pisane dużą literą - które stanowi problem dla katolika? Czy rzeczywiście my musimy starać się nim kierować?

Nawet co do tego Scalfaro nie ma żadnych wahań:

- Są tacy, zarówno z prawicy jak i z lewicy, którzy uczynili z Państwa idola. Nie jest to z pewnością postawa wierzącego, który został powołany do zwalczania wszędzie fałszywych bogów. Jednak także dla chrześcijanina państwo, sprowadzone do swoich właściwych granic, jest ważne, jest domem człowieka. Jest domem, który można przekształcać, ponownie oczyszczać, przywrócić na nowo, nawet odbudować od fundamentów. Dom jednak jest potrzebny, a więc także ten wspólny dom.

- Czy wydaje się panu, że tak wiele dziesięcioleci zaangażowania katolików wokół tego domu-państwa przyniosło rezultaty proporcjonalne do wysiłku? Aby odpowiedzieć, posługuje się łaciną:

- Vita hominis militia est, życie człowieka jest walką, przeciwstawianiem się, daniem świadectwa: spokojną, prostą, ale silną. Powiadam militia, nie victoria. Nie jesteśmy wezwani do zwyciężania, lecz do angażowania się w walkę, wypełniając cały nasz obowiązek i pozostawiając Komuś Innemu decydowanie, czy powinniśmy to robić, czy nie. W tej chrześcijańskiej perspektywie jest Waterloo, które staje się Austerlitz i odwrotnie.

- Panie ministrze Scalfaro, czy zechce pan podjąć rozmowę o tych chwilach, w których, dla wierzącego, dźwiganie ciężaru władzy może być naprawdę trudne? Weźmy zdarzenie, w które pan, jako członek rządu, został wplątany w pierwszej osobie: porwanie na Sardynii, strzelanina; na placu boju pozostało pięciu zabitych, czterech bandytów i jeden policjant. Minister spraw wewnętrznych leci do Nuoro i, jak podają gazety, "oddaje hołd poległemu z sił porządkowych". Całkiem słusznie, nawet to obowiązek ministra Republiki; ale dla chrześcijanina Scalfaro? Gdzie były cztery pozostałe trupy? Czy one także nie zasługiwały - w perspektywie może nie sprawiedliwości ludzkiej, ale na pewno wiary - na współczujący hołd? Mówi:

- W prefekturze w Nuoro sprecyzowałem, że wszyscy z pewnością wolelibyśmy mieć czterech ludzi do postawienia ich przed sądem niż czterech ludzi martwych. I to zostało przez niektórych odczytane wręcz jako krytyka działania policji. Na pewno, dla wierzącego każde życie ma wartość absolutną, tylko sam Bóg może osądzać działanie swoich stworzeń. Ale albo miłość powinna być zgodna z prawdą, albo obie są martwe. Otóż: prawda nakazuje nam rozróżnić (to znaczy jako ludziom, bez pretensji do przywłaszczania sobie sądu decydującego, wiecznego) między tym, który poległ broniąc innych, a tym, który został zabity z powodu porwania człowieka, mianowicie najbardziej podłego i odrażającego czynu kryminalnego. Każdy człowiek, ale chrześcijanin bardziej niż inni, ma obowiązek respektowania prawdy. Ego sum Veritas (nie Ego sum Charitas) jest biletem wizytowym, którym Chrystus się przedstawił. A my, jeżeli jesteśmy jego uczniami, powinniśmy prawdę głosić i ją szanować. Zawsze i mimo wszystko.

Opowiada mi, że odkąd jest ministrem, każdego rana, na jego wyraźne polecenie, o godzinie 6.30 telefonują do niego z Viminale, aby zdać mu sprawę z tego, co wydarzyło się w nocy w tym niespokojnym, często okrutnym kraju, nazywanym Włochami.

- Nie pamiętam może dziesięciu poranków, w których by nie poinformowano

mnie o gwałtownych śmierciach, o tragicznych zgonach, o przestępcach pospolitych i o przestępcach politycznych. Za każdym razem myślałem: "Oto w tej chwili jest jakaś kobieta, która płacze i może nawet nie wolno jej tego okazać". Myślałem za każdym razem o ogromnym ludzkim cierpieniu obecnym w wielu nieudanych biografjach. Ale współczucie, obowiązkowe, nie może kazać nam zapomnieć o tyleż samo obowiązkowym szacunku dla prawdy: neutralność, równa odległość między uczciwymi i przestępcami nie jest "prawdziwa", a więc nie jest miłosierna, a zatem nie jest chrześcijańska.

- Onorevole Scalfaro, jaką postawę pan najmniej ceni u swoich kolegów polityków?

Nie waha się:

- Przebiegłość, która jest nędzną namiastką inteligencji. I która w każdym razie stanowi znamioną cechę antypolityki w najwyższym stopniu: istotnie, nie istnieje przebiegłość "dla innych". Kiedy mówi się o polityku, że jest "przebiegły", ma się na myśli, że on jest nim wyłącznie dla swojego interesu. Tak, przebiegłość jest klęską, nie powinna być podziwiana, lecz pogardzana.

- Pana koledze, Giulio Andreottiemu, postawiłem między innymi dwa pytania, jedno wiążące się z drugim. Zapytałem go mianowicie, czy wezwany do urny, obywatel Jezus z Nazaretu poszedłby głosować; a jeżeli tak, to czy rzeczywiście głosowałby na Chrześcijańską Demokrację. Andreotti powiedział, iż jest pewny, że Jezus poszedłby głosować; a co by zrobił w kabinie, "no więc, może głosowałby na Chrześcijańską Demokrację jako na mniejsze zło". Co na to powie Scalfaro?

- Powiem, że Jezus, będąc Bogiem, nie może stawiać na mniejsze zło, ale na większe dobro.

- Co pan przez to rozumie?

- Przede wszystkim muszę uściślić, że zgadzam się z przyjacielem Andreottim co do pierwszej odpowiedzi. Nowy Testament pełny jest wezwań do traktowania na serio zaangażowania dla drugich, do służenia bliźniemu, a więc do "uprawiania polityki" w prawdziwym znaczeniu. Nie jest przypadkiem, że modlitwa, której nas nauczył Jezus, zwraca się do Ojca, który jest "nasz", prosi go, aby nam dał "nasz" chleb, aby odpuścił nam "nasze" winy i tak dalej. Co do drugiej odpowiedzi, pozwolę sobie powiedzieć, taki mam zwyczaj, który jak sądzę, jest tylko moim. Co pewien czas, zaprzyjaźniony ksiądz otwiera mi kościół zwyczajnie zamknięty, przy via Monserrato, w centrum Rzymu. Wchodzę i klękam, aby się modlić przed starym grobem: grobem Aleksandra VI, papieża. Borgii. Ten nieszczęsny papież jest mi drogi, ponieważ i przede wszystkim w nim - bardziej niż w papieżach świętych - lśni potęga Boga. Bóg jest Bogiem, ponieważ świeci przepalonymi żarówkami; gdyby używał dobrych żarówek, jakim byłby Bogiem?

- Chce pan wiedzieć - pyta mnie - co, przynajmniej według mnie, napisał Ojciec Przedwieczny na swoim papierze listowym? Sądzę, że są to dwa przymiotniki: pierwszy jest cierpliwy ("Stoję u drzwi i kołaczę", mówi w Apokalipsie. On nie wyłamuje drzwi, a gdybyśmy nie chcieli otworzyć, kołaczę.). Drugim zaś słowem, myślę, że jest: optymista. Tak, Bóg jest bezgranicznym optymistą, stwarza ludzi, chociaż wie czym są, i stawia na nich, chociaż są tacy, jacy są.

Patrzy na mnie nieco szelmowskim spojrzeniem:

- Uważa pan, że taki Bóg nie głosowałby na chrześcijańskich demokratów, że nie darzyłby zaufaniem nawet nas? Jest on Bogiem, który posługuje się Oscarem Luigim Scalfaro, aby lśniła jego wszechmoc: gdyby posługiwał się lepszym materiałem, nie byłoby tak oczywiste, że to on jest przy pracy! Pomimo wszystko, wnioskuje z tego, co mi powiedział, nie brakuje mu wiary w słuszną sprawę jego partii.

- Niech pan posłucha - mówi, wstając, aby się udać na posiedzenie rządu.

- Chrześcijańska Demokracja jako partia jest tworem historycznym i jako taka może się skończyć, może przeminąć. Ale nie może przeminąć to, co jest wyrażone przymiotnikiem "chrześcijańska": to jest na wskroś prawdą i może tylko zwyciężyć. A nawet już zwyciężyło. Chrystus nie powiedział: "Ja zwyciężę świat", lecz "Ja zwyciężyłem świat". Dlaczego więc mielibyśmy się bać?

ROZDZIAŁ XII

"General" i jego strategia

Nic, od początków, nie jest bardziej kosmopolityczne niż chrześcijaństwo. Kościół Rzymski, poza tym, jest powszechny („katolicki”) z samej definicji. Ten, kto kieruje jego losami, musi mieć więc wizję obejmującą całą planetę. Ale co robić, aby dzisiaj realizować to samo starożytne orędzie, od Europy do Afryki, od Azji do obu Ameryk?

Do tych, którzy mogą na to pytanie odpowiedzieć ze znajomością rzeczy, z pewnością należy rektor większy salezjanów, którzy jeżeli chodzi o liczbę członków, stanowią trzecią rodzinę zakonną Kościoła. Jezuici i franciszkanie wprowadzie ilościowo wyprzedzają synów don Bosco, mają jednak za sobą wiele wieków historii, gdy tymczasem salezjanom wystarczyło nieco ponad sto lat, aby rozszerzyć się na wszystkie kontynenty i zyskać sobie najwyższe uznanie.

Jaka jest więc strategia don Egidia Viganó, następcy owego pochodzącego ze wsi kapłana, który myślał w dialekcie piemonckim, ale z Valdocco obejmował wzrokiem całą Ziemię? Jaka jest jego opinia o chrześcijaństwie, widzianym z mostka kapitańskiego wielkiego międzynarodowego zakonu?

Jego świadectwo jest szczególnie ważne: don Viganó nie tylko trzyma w ręku nici działalności światowej, a więc jest pewnego rodzaju kościelnym menedżerem; jest także człowiekiem o intensywnej duchowości: nie przypadkiem Jan Paweł II chciał, aby to on wygłosił mu rekolekcje.

Egidio Viganó

Jak we wszystkich starych, poczciwych opowiadaniach salezjańskich, także tutaj, na początku wszystkiego jest matka łagodna i silna, wypełniona uczuciem, ale także zbrojna w odwagę. Gdyby mama Małgorzata nie była taką, jaką dobrze zna każdy czytelnik biografii don Bosco, kto wie, czy sprawy potoczyłyby się tak, jak się potoczyły? Tak samo bez mamy Marii Enrichetty, urodzonej w Bulciago, w Brianza, i zmarłej w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat, Kościół miałby o trzech zakonników mniej; a salezianie nie mieliby rektora większego, z którego są chyba bardzo zadowoleni, jeżeli po sprawdzeniu go przez sześć lat, potwierdzili jego wybór ponownie.

Mama Viganó: ona jest bohaterką książki *Storie di umilę gente* (podtytuł: *Una familia cristiana*), książki podbijającej i wzruszającej, zadedykowanej jej przez don Angela, jednego z trzech synów salezjanów. Inni to don Francesco i don Egidio, który jest właśnierektorem większym, człowiekiem, któremu włożono ponownie na barki ciężar kierowania wspólnotą, która po franciszkanach i jezuitach jest najliczniejsza w Kościele. Siedemnaście tysięcy zakonników, dziesiątki tysięcy współpracowników, setki tysięcy wychowanków, sieć domów, szkół, kolegiów, która pokrywa wszystkie kontynenty odpowiedzialnością i autorytetem na skalę światową.

Weźmy na przykład Afrykę, na którą, właśnie podczas pierwszej kadencji rektorskiej don Viganó, Zgromadzenie skierowało szczególne wysiłki: misjonarze wypędzeni z Sudanu, uprowadzeni w Angoli, prześladowani w innych regionach; ale, na drugiej szali wagi, osiemdziesiąt próśb ambasadorów z tego samego kontynentu o pomoc salezjańską, zwłaszcza w szkołach zawodowych.

W tej samej Afryce, w niektórych stronach zakonnicy musieli zejść do podziemia; ale w innych stronach (Senegal, Kenia), Zgromadzenie boryka się z problemem powiększenia seminariów, aby przyjąć licznych tubylców pukających do drzwi. Drzewo zasadzone w Valdocco przez kapłana z Monferrato w dalszym ciągu wydaje niewiarygodne owoce: na przykład, tysiąc dwustu salezjanów w Indiach, gdzie obecnie tylko 20 to cudzoziemcy. Następnie, absolutnie pierwsze miejsce wśród rodzin zakonnych w kraju bardziej niż kiedykolwiek symbolicznym, jakim jest Polska. W Ameryce Łacińskiej, od El Paso do owej Ziemi Ognistej ze snów don Bosco, salezianie są do tego stopnia w domu, że w kilku regionach ich nazwa jest synonimem księdza. I właśnie stamtąd, z Chile, przybywa ten następca don Bosco. W jego gabinecie, za jego plecami, znajduje się mała chorągiewka chilijska; jego wymowa ma akcent hiszpański; gdy mówi, ma się czasami wrażenie, że w myśli

tłumaczy z hiszpańskiego. Don Viganó w rzeczywistości urodził się w Sandrio, z matki Marii Enrichetty i z ojca Francesca, wieśniaków z Brianza, którzy wyemigrowali do Valtelliny. Była to jedna z tych "rodzin chrześcijańskich", o których mówi książka opowiadająca historię Viganów: dobry owoc duszpasterstwa, dzisiaj, niestety, przez niektórych wyśmiewanego, a tymczasem któremu, jak wspomina generał salezjański, "udało się tak bardzo przesyć środowisko wiejskie, że kultura wszystkich oddychała chrześcijaństwem". W sumie, był to rezultat owej reformy katolickiej zapoczątkowanej przez św. Karola Boromeusza i kontynuowanej wiernie i z uporem przez pokolenia rzetelnych, dobroduszných i zarazem surowych proboszczów ambrozjańskich.

Młodzi Viganowie poczuli powołanie nie w szeregach kleru mediolańskiego, lecz w zastępach synów don Bosco, który (opowiadała później mama) podczas pielgrzymki do Turynu dał jej usłyszeć wewnętrzny głos: "Chcę mieć dla siebie wszystkich trzech twoich synów". W wieku dwunastu lat Egidio jest już w salezjańskim seminarium w Chiari. Ma dopiero dziewiętnaście lat, kiedy z dalekiego Santiago de Chile proszą o "dobrego profesora łaciny i greki". On zostaje wyznaczony do wyjazdu, trzeba podjąć ryzyko i przygodę w stylu, jakiego Założyciel nauczył swoich uczniów: "Rzucić się tam, gdzie Bóg wzywa, a potem się zobaczy". Od tamtego momentu, przez trzydzieści lat, don Egidio będzie Chilijczykiem, na Soborze Watykańskim II będzie stał u boku biskupów południowoamerykańskich jako ich teologiczny ekspert, będzie organizował szkoły i kolegia, jako inspektor będzie kierował wszystkimi współpracownikami w kraju. Dopóki nie zostanie odwołany do Rzymu dla objęcia coraz ważniejszych funkcji przy kierowniczym sztabie Zgromadzenia, aż do wyboru na rektora większego w 1977 roku.

I oto on przyjmuje mnie w swoim gabinecie, w którym akurat jeszcze przebywa. Dookoła (niski, z czerwonej cegły, trochę labiryntowy, odosobniony w podrzymskiej wsi, w okolicy Fiumicino) kompleks nowego domu generalnego. Jak widzi z tego swojego wysokiego i uprzywilejowanego obserwatorium stan wiary, Kościoła? Odpowiedź jest zdecydowana: - Im więcej podróżuję po świecie, tym bardziej staję się optymistą. A nawet tym bardziej optymistą, im lepiej znam kraje, w których Kościół jest prześladowany: to właśnie tam mamy najwięcej powołań, chociaż potajemnych, i są one najbardziej żarliwe; to tam nasi współpracownicy prowadzą apostolat najtrudniejszy ale najbardziej owocny. Wietnam, Kuba, Czechosłowacja, niektóre kraje afrykańskie, w których usiłuje się narzucić siłą marksizm, nie mający nic wspólnego z lokalnymi kulturami: Kościół działa i żyje ponad granicami, jakie chciano mu narzucić. Rozmowa ze współpracownikami, z wierzącymi, którzy żyją w tych regionach, oznacza odkrywanie, jak bardzo jest w nich żywe poczucie cudu, wycucie Ewangelii, która jeszcze wciąż dokonuje cudów, o których tymczasem my, w naszym leniwym i bogatym chrześcijaństwie zachodnim zapomnieliśmy.

- Należałoby prawie życzyć sobie - zauważam - jakiejś takiej kuracji na bazie prześladowań także dla naszych Włoch.

Don Viganó uśmiecha się, ale nie bardzo:

- Pewnego dnia dyskutowałem o tym z kardynałem Silva Hen-riquezem, również salezjaninem i wówczas arcybiskupem Santiago de Chile. Tam także Kościół stanowi dla ludzi pewien punkt odniesienia z powodu następujących ciągłych zmian rządów o różnych kolorach. Mieliśmy zgodny pogląd, że najwyższym wyrazem świadectwa Kościoła jest naśladowanie Chrystusa w jego męce: z krzyża zawsze wypływa nowe życie.

- Nowe życie - zwracam uwagę - jakiego niektórzy chcieliby raczej szukać w nowym odczytaniu Ewangelii; na przykład owa "teologia wyzwolenia", którą don Viganó zna bardzo dobrze jako obywatel kraju południowoamerykańskiego...

- Ja - mówi mi - owo "wyzwolenie" tłumaczyłbym chętnie jako "odkupienie": taką wskazówkę dał sam Paweł VI. To naturalne, słuszne, że chrześcijanin jest pobudzany do wypracowania myśli, teologii wobec takich oburzających faktów jak nędza wielu regionów Ameryki Południowej. Intencje są często dobre, zanim się je potępi, trzeba pamiętać, że są one sposobem reagowania na niehumanitarne sytuacje. Niektórzy jednak nie bronili się dostatecznie przed przesadą, przed postawami jednostronnymi. W Medellin, w Puebla, walczyłem o

to, aby wiara, religia, także kultura, miały miejsce przed polityką. A właśnie to ideologia polityczna, jak marksizm, niszczy kulturę latynoamerykańską.

- W jakim znaczeniu? - pytam.

- Biednymi, jak ich rozumie Ewangelia, nie są ci biedni, jak ich rozumieją marksizm i w ogóle ideologie polityczne. Proletariat według Marksa ma mało wspólnego z ubogimi, których Jezus nazywa "błogosławionymi". Ja, zakonnik, kapłan, salezjanin uważam politykę dobrze rozumianą za powołanie godne szacunku, ale ona nie jest dla mnie, nie jest moja. Jeżeli ja odmawiam uprawiania polityki, to przez to nie pogardzam tym, co polityczne, mianowicie wymiarem służby dla społeczeństwa, dla jego potrzeb. Po to zresztą, aby zaangażować się w działanie polityczne rozumiane w sensie nie partyjnym, nie ideologicznym, ale głęboko społecznym, czego don Bosco od nas wymaga.

- Zostawmy teologię wyzwolenia, odnosi się wrażenie, że mnożenie się różnych teologii grozi rozbiciem jedności wiary. Co dostrzega na ten temat ktoś, kto zajmuje stanowisko znajdujące się na szczycie międzynarodowego Zgromadzenia?

- Niewątpliwie, wydaje się, że na Zachodzie uzasadniony pluralizm niekiedy przechodzi w różnorodność, która bulwersuje. Odnoszę jednak wrażenie, że wiele niezgodnych głosów pochodzi od małych grup, które mają w ręku środki i chcą dać do zrozumienia, iż mają za sobą ludzi. Papież, podczas swojej wizyty w Szwajcarii, został zaatakowany serią protestów pewnego księdza, który twierdził, iż mówi w imieniu innych współbraci. Na Janie Pawle II jednak nie wywarło to wrażenia: "Szanuję to, co ksiądz mówi" - odpowiedział mu - ale nie jestem bynajmniej pewny, że ksiądz reprezentuje duchowieństwo". O tym, że pewna "mnogość" poglądów, że pewne ryzykowne hipotezy teologiczne są owocem mniejszości badającej problemy w sumie mało ważne, nieuzasadnione, upewnili mnie biskupi afrykańscy spotkani na ostatnim synodzie: "Odnosimy wrażenie - mówili - że pewne wasze problemy są problemami ludzi zbyt znudzonych, którzy szukają problemów fałszywych".

- Pozostaje jednak prawdziwy, nie dający się pominąć fakt, że kultury tak różnych ludów złączonych pod dachem katolicyzmu, nie mogą nie zabarwiać teologii w różny sposób.

- Istotnie swoją działalność przełożonego podporządkowałem staraniom, by zbudować równowagę międzykontynentalną. - Wyjaśnia: - Sądzę, że byłbym nieodpowiedzialny, gdybym opowiadał się tylko za Trzecim Światem, za Ameryką Łacińską z ich troską

o traktowanie na serio sprawiedliwości, o angażowanie w tym celu mocy Ewangelii; ale popełniłbym błąd także wtedy, gdybym postawił na Zachód, europejski i północnoamerykański, z jego sekularyzacją, krytyką wszystkiego i wszędzie; tak samo ciężkim błędem byłoby, gdybym uprzywilejował Azję, zwłaszcza Indie, z pokusą stapiania wszystkich religii w jedną, z obojętnością na problemy społeczne, sprawiedliwość, widzianą choćby tylko na poziomie reinkarnacji. Nie, nie wolno nam pozwolić na rozgrywanie chrześcijaństwa na jednej płaszczyźnie, na zamknięcie go w jedynej kulturze: co do mnie, staram się uzyskać, dla siebie i dla swoich współbraci, punkt równowagi, posługując się przeciwstawnymi bodźcami, które przychodzą z różnych kontynentów, z ich historii, z ich temperamentów.

Entuzjazm Ameryki Łacińskiej, krytyczny duch europejski, wschodnie uzdolnienie do kontemplacji: wszystkie elementy są ważne, ale muszą one zostać złagodzone i skonfrontowane ze sobą. Dialog wewnętrzny i równocześnie międzynarodowy: oto mój cel. - Tym, których kusiłaby niecierpliwość, jednostronne położenie akcentów, don Viganó odpowiada zdaniem, które jest dla niego ważne: - Powiniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że aby pójść do Nieba, nie trzeba topić statku, na którym się znajdujemy; wystarczy go naprawić. Ponieważ właśnie na nim, nie na innym, zostaliśmy wezwani do zbawienia.

Don Egidio Viganó jest rzeczywiście pogodnym optymistą. Ale czy don Bosco był optymistą, czy był pesymistą, czy też przypadkiem, jak wszyscy święci, był realistą? Czy był mianowicie kimś, kto chociaż wierząc, i to do głębi, że ludzkość została ocalona przez odkupienie Chrystusa, ciągle jednak nie dowierzał sobie i zdolnościom ludzkim, świadom, że siła grzechu zawsze jest

gotowa do ataku?

- Don Bosco - mówi jego następca - na patrona Zgromadzenia nie wybrał świętego z Miserere, lecz świętego z Magnificat, duszę tak radosną jak święty Franciszek Salezy. Ale ten sam don Bosco był czytelnikiem, wielbicielem, uczniem także św. Alfonsa Liguoriego, tego, który napisał między innymi *Apparecchio alla morte* (Przygotowanie do śmierci). Jego optymizm na pewno nie był naiwnością; jego pedagogia była zapobiegawcza, skierowana na podjęcie walki o unikanie tego grzechu, którego niebezpieczeństwo dostrzegał. Wiedział jednak także o tym, że moc odkupienia jest jeszcze większa: Jezus Chrystus nie zwycięży, ponieważ już zwyciężył.

Jezus salezjanów, taki jak go don Viganó rozumie, jest "Jezusem zachwyconym życiem ludzkim, tak bardzo, że wybrał je także dla siebie. Wszystko to więc, co jest smutne, nie jest chrześcijańskie: życie dla chrześcijanina jest świętem; uciążliwym, niestety bogatym w kolce, ale świętem".

- Jest to echo sławnego zdania, często powtarzanego przez don Bosco: - Staramy się, aby świętość polegała na tym, by być zawsze bardzo radosnymi. Jezus, poza tym, mówi dalej don Viganó - jest wielkim młodym, jest młodym w całym znaczeniu tego słowa: zmartwychwstanie sprawia, że jego młodość jaśnieje na wieki. Jest to ten sam stan, do którego także my jesteśmy powołani: eschatologia więc jest prorocstwem młodości.

Don Bosco - Maryja: dwumian nierozdzielny, który naznaczał całą historię salezjańską. A teraz?

- W ciągu sześciu pierwszych lat mojego rektoratu jedną ze stałych trosk było nadanie doktrynalnej treści pobożności maryjnej. Naszym powołaniem jest służenie ludziom; trzeba znać ludzi z Ameryki Łacińskiej, aby wiedzieć, jakie niewiarygodne stanowisko zajmuje tam Matka Boża. Do tego stopnia, że nawet protestanci, jeżeli chcą przyciągnąć kogoś spośród nich do siebie, są zmuszeni obchodzić "miesiąc maryjny", którym w Chile nie jest maj, lecz listopad. Przywiązanie do Maryi stało się spoiwem wiary także we wspólnotach pozostawionych sobie samym, bez kapłanów. W niej chrześcijaństwo objawia się nie jako ideologia, ale jako wiara oparta na konkretnych osobach, na matce. Z naszego doświadczenia wynika, że tam, gdzie wzrasta kult maryjny, wzrasta także chrześcijaństwo w swojej całości. W obecnym całkowitym odzyskiwaniu naszej tradycji jesteśmy wspomagani faktem, że don Bosco w swoim kulcie dla Maryi miał to samo wyczucie ekologiczne, na które wskazał Sobór Watykański II: Matka Kościoła, jak to plastycznie ukazuje sławny obraz w turyńskiej bazylice Matki Bożej Wspomożycielki. Nie jest to przesłodzona Madonna, ale Niewiasta silna, z berłem w ręce, pośród apostołów, których ponagliła i prowadzi.

- Don Viganó, gdyby don Bosco obiecał księdzu, iż na pewno zostanie wysłuchana jego prośba, o co prosiłby ksiądz dla Zgromadzenia?

- Poznawać, kochać tajemnicę Chrystusa i coraz bardziej w niej uczestniczyć. Umieć wejść na drogę prowadzącą do Miłości, którą dla nas jest Jezus, przyjaciel młodych.

- A gdyby dana była księdzu władza wymazania mniej pozytywnego aspektu księdza rodziny zakonnej?

- To, co ujawniłem na końcu mojego sprawozdania na Kapitułę Generalną: niebezpieczeństwo, dzisiaj, dla Zgromadzenia życia czynnego: zmierzanie się z problemami bez ich gruntownego zbadania, życie życiem zakonnym z przyzwyczajenia, poddanie się wpływowi modnych ideologii.

- Co oznacza, na płaszczyźnie także ludzkiej, być "następcą" jednej z najbardziej niezwykłych osobowości w Kościele wszystkich czasów?

- Pocieszam się myślą, że prawdziwym następcą don Bosco nie jest rektor większy, ale jest całe Zgromadzenie salezjańskie. Każdy z nas jest powołany do trudnego zadania, aby godzić wierność z aktualizowaniem. Ja sam codziennie proszę naszego Założyciela, aby on latał tam, gdzie ja nie potrafię załatać, aby on naprawiał sytuacje, w których ja nie wiem, co zrobić.

ROZDZIAŁ XIII

Siostra pustelnica i ksiądz narkomanów

Wśród spotkań, które z braku miejsca nie znalazły się w tej książce, było spotkanie z Henri Fesquetem, dziennikarzem należącym w 1945 roku do zespołu zakładającego dziennik „Le Monde”. Fesquet objął (aby zachować przez ponad trzydzieści lat) odpowiedzialność za informację religijną w dzienniku, który stał się niemal mitycznym, który tworzy opinię połowy świata.

Usiłując dokonać bilansu tego swojego doświadczenia uprzywilejowanego obserwatora, Fesquet powiedział mi między innymi: "Ten Kościół katolicki, któremu często nacierałem uszu, z surowością wypływającą jednak z miłości, jest wciąż nadzwyczaj interesujący, gdy porównuje się go ze smutną nędzą świata politycznego lub także z takim samym światem intelektualnym. To chrześcijaństwo jest najbardziej dziwnym i wszechstronnym ogrodem zoologicznym świata, z wszelkiego rodzaju zwierzętami: niektóre są przeciętne i już rozleniwione, ale jest wiele innych, nadzwyczajnych, wypełnionych zdolnością tworzenia i miłością. Zoo, w którym miłość pobudzała w każdym wieku i jeszcze pobudza wyobraźnię do szukania wciąż nowych dróg, by służyć w ten sposób potrzebom, które ustawicznie pojawiają się w społeczeństwie".

Wśród licznych gości „chrześcijańskiego zoo”, spotykanych w ciągu lat, oto dwoje z najciekawszych: siostra studiująca problem aniołów, która jako pustelnica zamieszkała na świętej górze, Maria Pia Giudici; oraz fachowiec elektronik, który został księdzem po to, aby wyjść na ulice i do gett metropolii, Luigi Ciotti.

Dwa różne sposoby sprawdzenia w czynach, bardziej niż w słowach, żywotności wiary, która nie ma zamiaru umierać.

Maria Pia Giudici

Siostra Maria Pia Giudici wprowadziła nas w poważne zakłopotanie.

O tej córce Maryi Wspomożycielki, salezjance pochodzącej z Viggiu, w Varese, wiadomości rozeszły się przede wszystkim z Francji. Jest istotnie ciekawe, że jej książka *Gli angeli. Note esegetiche e spirituali* (Aniołowie. Uwagi esegetyczne i duchowe) jak się wydaje, wywołała większe echo w tłumaczeniu francuskim niż we włoskim oryginale, który jednak miał dwa wydania. W gazetach zaalpejskich przeczytaliśmy między innymi recenzję graniczącą z entuzjazmem, podpisaną przez znakomitość z teologii francuskiej. Ten autor - może pozytywnie zwiędziony obeznaniem w przedmiocie przedstawionym przez siostrę Giudici - nazwał ją wykładowczynią tej niecodziennej dyscypliny, "angelologii", na papieskim uniwersytecie w Rzymie.

Kobieta "angelolog"? To mogło pobudzić ciekawość reportera do poszukiwania śladów rzeczy nadprzyrodzonych. Istotnie, pośpieszyłem do księgarni, zdobywając owych 150 gęsto zadrukowanych stron. Odkryłem w nich wielką otwartość na nową tematykę, znajomość z pierwszej ręki aktualnych problemów teologicznych i egzegetycznych, a zarazem mocną miłość do wiary Kościoła, do jego najlepszej Tradycji. Poza tym inteligentne ponowne odkrycie pobożności w dobrym guście, zakorzenionej w stałym zainteresowaniu Pismem Świętym. Wszystko poręczone przez pełną podziwu przedmowę wybitnego uczonego, Josepha Aubry, który tak rozpoczął swój wstęp: "Potrzebne były równocześnie cała wiara, prostota, żarliwość i kultura kobiety takiej, jak siostra Maria Pia Giudici, aby napisać dzisiaj książkę popularyzacyjnie wartościową o aniołach". Tenże Aubry zakończył w ten sposób: "Wszystkie te bogactwa siostra Maria Pia przedstawia nam żywym stylem, z subtelnością kobiety konsekrowanej, z doświadczeniem przewodniczki duchowej wielu braci i sióstr".

Napomknienie o tym "doświadczeniu przewodniczki duchowej" powinno nas skłaniać do tego, aby mieć się na baczności. Istotnie, poszukiwanej siostry Giudici nie udało się mi spotkać w auli żadnego uniwersytetu rzymskiego, lecz w samotności tysiącletniego eremu uczonego do skały świętej dla całej cywilizacji europejskiej. Dolina rzeki Anio, Subiaco, Sacro Speco: kiedy młody Benedykt z Nursji przybył w tamte strony, odczuwając potrzebę samotności, aby móc doskonale spotkać Boga, został przyjęty przez dwóch mnichów, Romana i Adeodata. Ci pustelnicy osiedlili się na szczycie rozszczepionej skały, wewnątrz niej znajdowała się jaskinia, w której

schronił się Benedykt, i która właśnie przeszła do historii wiary i kultury (ze słynnymi średniowiecznymi freskami, ze zwiewnymi konstrukcjami, które uczyniły z niej zadziwiające "gniazdo jaskółek") jako "Sacro Speco" (Święta Pieczara). Roman, również powołany do tego, aby zostać świętym, spuszczał Benedyktowi ze szczytu stromizny koszyk z odrobiną żywności, stając się później także jego mistrzem duchowym. W tym miejscu powstał jeden z dwunastu klasztorów założonych przez świętego Patriarchę przed odejściem na Monte Cassino.

Kościółek i mały dom, który do niego przylega, były przez wieki opuszczone. Aż do chwili, kiedy zostały przyznane przez benedyktynów siostrze salezjance: siostrze Giudici, która właśnie tutaj zakończyła drogę poszukiwań duchowych i zapoczątkowała nowy okres zaangażowania apostołskiego. Rzeczywiście, w tych latach, bez wielkiego rozgłosu, erem pod wezwaniem obecnie św. Błażeja i św. Romana, stał się cennym punktem odniesienia dla wielkiej liczby ludzi. Przede wszystkim młodych, co jest naturalne dla miejsca ożywianego obecnością córek św. Jana Bosco i św. Marii Dominiki Mazzarello, współzałożycielki salezjanek.

To jest więc to zakłopotanie, w jakie wprawiła nas siostra Giudici, o którym wspomnieliśmy na początku: rozmawiać z nią na temat jej działalności jako pisarki, jako teologa, czy na temat jej doświadczenia jako inicjatorki i animatorki pustelniczej wspólnoty otwartej na najbardziej ubogacającą gościnność? Krótko mówiąc: aniołowie w niebie czy młodzi na ziemi? Pytałem o to podczas godzin spędzonych w ubóstwie i pięknie San Biagio z nią i z trzema współsiostrami, które żyją w eremie i starają się razem stawiać czoła - z uśmiechem i z wycuciem przystosowania - szturmowi młodych, znajdujących tutaj wiarę, przyrodę, sztukę, ale warunki życia spartańskie. A jednak, stopniowo, z upływem czasu, gdy rozmawialiśmy ze sobą, gdy staraliśmy się wzajemnie poznać, spostrzegaliśmy, iż nasz dylemat był fałszywy: ponieważ w tej kobiecie jest życie, które staje się teologią, i przeciwnie, jest teologia, która staje się życiem.

Przede wszystkim trzeba uściślić, że chociaż wyposażona w tytuły akademickie i mająca za sobą długie doświadczenie nauczania w szkołach średnich, siostra Giudici nie jest "profesorem angelologii". Pracowała i pracuje dla czasopism zajmujących się duchowością, przygotowała antologię scholastyczne, opublikowała ważne książki, jak biografia Założycielki salezjanek. Udana książka o aniołach jest owocem pragnienia przywrócenia miejsca pocieszającej i cennej obecności, dzisiaj przemilczanej, niestety przez ludzi odpowiedzialnych za oficjalną katechezę. Wystarczy powiedzieć, że gdy autorzy laicy (najświeższym przykładem jest filozof postmarksistowski Massimo Cacciari, który publikuje, z wielkim oddźwiękiem, studium pod znamiennym tytułem: *Uangelo necessario* {Niezbędny anioł}, na nowo odkrywając tę rzeczywistość, *Catechismo dei giovani* (Katechizm młodych) Konferencji Episkopatu Włoskiego w spisie rzeczy nawet nie umieszcza hasła "aniołowie". I pomyśleć, że ktoś, kto dobrze rozumiał młodych, właśnie don Bosco, napisał dla swoich chłopców *Il devoto deWangelo custode* (Czciciel Anioła Stróża) i nigdy nie przestawał zachęcać do tego nabożeństwa, znając z doświadczenia także jego wartość pedagogiczną. *Catechismo degli adulti* (Katechizm dorosłych) tej samej Konferencji Episkopatu w sprawie aniołów odsyła do noty teologiczno-egzegetycznej, na pierwszy rzut oka budzącej zakłopotanie. Poza tym, *Sussidio per la fede* (Pomoc dla wiary) opublikowana z aprobatą episkopatu francuskiego, posługuje się zawiłymi omówieniami, z których nie wynika jasno czy trzeba, czy nie trzeba wierzyć w istnienie tych istot-łączników między człowiekiem a Bogiem, będących tak wiele razy bohaterami występującymi w Biblii (wymienianymi ponad dwieście razy!) i przedmiotem wiary od zawsze, najpierw Żydów, potem chrześcijan.

W każdym razie, na potwierdzenie tego budzącego niepokój klimatu, rękopis siostry Giudici musiał odbyć długie wędrówki zanim znalazł katolickiego wydawcę, gotowego go opublikować. Jak często się zdarza, przewidywania "ekspertów", "feudałów" katedr i drukarstwa okazały się całkowicie mylne: pierwsze wydanie zostało wyczerpane i trzeba było książkę wznowić, gdy obudziło się zainteresowanie rynku trudnego, nieco grymaśnego, jakim jest rynek paryski.

Ale zostawmy na chwilę rozmowę o aniołach; w jaki sposób siostra Giudici i jej współsiostry znalazły się w tym odludnym miejscu? I skąd pochodzi fascynacja, która przyciąga tutaj wciąż wzrastające tłumy dziewcząt i chłopców? Doktor nauk humanistycznych, studiująca następnie semiologię, pisarka i publicystka, jako młoda jeszcze zakonnica została powołana do domu generalnego, aby zajmować się środkami masowego przekazu i przetłumaczyć w konkretny sposób, dla swojego Zgromadzenia, język dokumentu soborowego poświęconego środkom społecznego komunikowania. Zakochana w Biblii i pragnąca uprzystępnąć jej znajomość młodym, stwarzała preteksty, aby być razem z nimi.

- Pewnego dnia postanowiłam wybrać się z grupą dziewcząt na obóz w Alpy w okolice Cuneo. Natrafiłyśmy na okropną pogodę; przez zaplanowanych osiem dni musiałyśmy pozostawać pod namiotami między jednym huraganem a drugim. Postanowiłyśmy przedyskutować temat wiary w Ewangelii św. Jana. A więc, ta niepogoda okazała się opatrznościowa. Spostrzegłyśmy, że im więcej czytałyśmy i komentowałyśmy słowo Boże, tym bardziej wzrastała w nas wszystkich radość. Do tego stopnia, że na końcu, te, które przybyły tam przeżywając kryzys, uwolniły się od swoich problemów. Tak więc postanowiłam, że po tym pierwszym nastąpią inne spotkania, zawsze z krzepiącymi skutkami duchowymi. Kiedy nasz dom przeniósł się do Rzymu, zapoczątkowałam tutaj w Subiaco "weekendy modlitwy biblijnej". To same te dziewczęta prosiły mnie, aby tę praktykę uczynić stałą. I tak z kilku współsiostrami przeniosłam się do tego eremu.

W tych latach, jak to się zawsze zdarza, musiała przezwyciężyć niemało trudności, nie tylko materialnych. Miejsce było ubogie, zupełnie prymitywne i takie zostało mimo małego remontu, ograniczonego do tego, co niezbędne. Ale zresztą tak chciała siostra Giudici: "To musi być alternatywą do propozycji telewizji, która zaśmieca psychikę wzorcami tyle połyskującymi co szkodliwymi. Elementem nośnym naszej praktyki jest słuchanie Pisma Świętego i modlenie się nim, co prowadzi oczywiście do życia przeciwnego skoncentrowanemu na posiadaniu". Ale trudności, powiedzieliśmy, były nie tylko ekonomiczne, materialne: był ktoś, kto pytał zakłopotany, co ma do szukania salezjanka w eremie znajdującym się w sercu benedyktyńskich miejsc świętych. Nie wszyscy pamiętają, że don Bosco, również w swojej oryginalności, wiele zaczerpnął z pierwszej Reguły Zachodniej: właśnie z tej podyktowanej przez św. Benedykta.

- Dzisiaj don Bosco przeznaczyłby jeszcze więcej miejsca na modlitwę - mówi siostra Giudici. - Młodzi, z którymi udawało mu się zetknąć, byli dziećmi społeczeństwa, w którym religijność była rozpowszechniona, w którym we wszystkich rodzinach, więcej lub mniej, przeznaczano ileś miejsca na modlitwę. Obecnie zdarza mi się spotykać młodych ludzi, którzy nie mogą wyjść z domu, ponieważ rodzice są przeciwni temu, aby szli na Mszę, aby traktowali chrześcijaństwo poważnie. Tak, don Bosco dzisiaj w specjalny sposób wychowywałby do modlitwy, uczyłby młodych milczenia, milczenia, które krzyczy przeciwko społeczeństwu żyjącemu frazesami, nie mającemu już pojęcia, czym jest medytacja.

Dla wielu, którzy przyszli z sercem obciążonym i z sumieniem przytępionym, ta praktyka kończy się spowiedzią:

- Codziennie widzę rozjaśnione spojrzenia tych chłopców i dziewcząt, którzy uklękli, aby uznać przed Chrystusem swoją winę. Wielu z nich decyduje się na spotkanie ze spowiednikiem po długich rozmowach z siostrą Giudici.

- Czy nie powodowało to u niej - indaguję ją - małej frustracji, że ona sama nie może spowiadać tych swoich młodych?

Odpowiedź potwierdza, iż bardzo jest jej obcy feminizm, promowany nierzadko w Kościele przez grupy mężczyzn duchownych i celibatariuszy, mało chyba znających kobiety, choć ogłaszają się ich obrońcami:

- Byłby to protagonizm pyszny i błędny, gdybym czuła się zawiedziona, że jako kobieta nie mogę spowiadać. Tym, który przebacza, jest Jezus Chrystus, i z tej perspektywy bardzo małe ma znaczenie, czy pośrednikiem, ludzkim narzędziem jest mężczyzna lub kobieta. Kapłaństwo kobiet? To także fałszywy problem. Chrześcijaństwo, wszyscy, powinni raczej pogłębiać wartość kapłaństwa udzielanego każdemu

ochrzczonego, kapłaństwa nazywanego "powszechnym"- Powinniśmy odkryć, że my ochrzczeni jesteśmy ludem kapłańskim- W tym wymiarze kobieta jest powołana do pogłębiania swojej tożsamości jako nosicielka Ducha Świętego. Czy jest może przypadkiem, że słowo "Duch" w języku hebrajskim jest rodzaju żeńskiego? Kobieta została powołana przez Ducha do miłości ofiarnej, daru, która rodzi Chrystusa w drugim człowieku. Jak Maryja i jej "tak", każda z nas musi stać się wnętrzem, łonem, jamą otwartą, w której Duch mógłby zapoczątkować życie.

- Tutaj, w San Biagio, nosi się habit czarny i biały przepisany przez regułę salezjanek. Czy także to jest wyborem?

- Na pewno: dla zakonnicy habit nie powinien być fetyszem, ale jednak zawsze jest znakiem, orędziem. Kiedy podróżuję w pociągu, na przykład, zawsze ktoś, kto siada blisko, nawiązuje rozmowę i kończy zwierzaniem mi się ze swojej przeszłości, swoich problemów, swoich niepokojów i odchodzi prosząc mnie, abym modliła się za niego.

- A więc coś przeciwnego temu, co twierdzą ci, którzy uwolnili się od habitu mówiąc, że w ten sposób ich apostołat stanie się bardziej skuteczny?

- Tak, nie zapominając jednak o tym, że strój siostry, zakonnika, księdza, nakłada wielką odpowiedzialność. Pod habitem powinno być oblicze zbawionego. U nas, sióstr, także oblicze "poślubionej", a nie nieco zwiędłej kobiety niezamężnej: cała nasza rzeczywistość, także ta zmysłowa, powinna być skoncentrowana na Chrystusie, którego naprawdę zgodziłyśmy się "poślubić" przez naszą konsekrację.

- Jednak obawiam się, siostró Giudici, że tych wypowiedzi siostry nie podzielałyby niektóre zakonnice, nie tylko amerykańskie, które z feminizmu w Kościele zrobiły sztandar.

- Niestety pewnych moich współsióstr jest pomieszanie nowoczesności i światowości. Aby być należycie "nowoczesnymi" na pewno nie trzeba stawiać się "światowymi", mianowicie naśladować "świat" w jego ustawicznie zmieniających się modach, w jego odchyleniach. Zakonnicy obydwu płci mają za zadanie być znakiem eschatologicznym, wezwaniem do rzeczywistości ostatecznych w świecie, który nadał charakter religijny rzeczywistościom przedostatnim. Z drugiej strony, jeżeli jedne siostry wysunęły się nieodpowiedzialnie naprzód, ku "światu", także w jego aspektach najbardziej dyskusyjnych, inne bały się tego, co nowoczesne, i wyjąłwiały się w drobiazgowych przepisach zwyczajowych.

Według niej, dokonało się przejście od modelu siostry trochę ignorantki, raczej obojętnej na wymiar intelektualny, do modelu siostry zajętej ubieganiem się o doktoraty i dyplomy, ustawicznie poszukującej nowych "aktualizowań", fetyszyzującej nauki humanistyczne, poczynawszy od psychologii, socjologii, psychoanalizy.

- Do tego stopnia, że w tym, co zostało jeszcze z klasztorów i konwentów w niektórych krajach Zachodu, postacią najważniejszą nie jest już przełożona (lub przełożony), ale zaufany psychoanalityk, choćby ateista lub agnostyk. Ale dochodzimy wreszcie do aniołów, do "tych tajemniczych braci, których" - mówi - "zawsze bardzo kochałam, uważając ich za wychowawców do miłości". Inicjatywa pogłębienia ich znajomości zrodziła się w ściśle określonym celu:

- Z jednej strony, chciałam zdemitologizować nieco zabobonne wyobrażenie anioła jako zapchajdziury lub gorzej, jako konkurenta Boga. Z drugiej strony, zamierałam dowieść, przede wszystkim samej, że ten kto ich nie zauważa, nie zauważa pomocy, jaką Ojciec dał nam do zbawienia. Zawierać się ich obecności oznacza także pozwalając się zbawić, pozwalając, aby towarzyszyła nam miłość. W dzisiejszym świecie samotnych i zrozpaczonych anioł jest bardziej niż kiedykolwiek przyjacielem, bratem, który pomaga nam w naszej wędrówce ku wieczności. Było w niej - wyznaje - trochę lekkomyślności, naiwności w podejmowaniu, przez niezawodowego teologa, tematu tak bardzo delikatnego i tak wystawionego na ataki egzegezy biblijnej, psychologii, etnologii. Ale nie byłam jednak tak bardzo bez przygotowania, znałam dobrze krytyki i trudności. Wiedziałam także, że usunięcie tych istot z naszego widzenia wiary oznacza cenzurowanie słów Pisma Świętego, słów samego Jezusa, słów Tradycji, Ojców, liturgii. Wszystkich słów, które mówią o istnieniu aniołów

oraz ich roli.

- Chrystus upominał, aby nie gorszyć dzieci, ponieważ "ich aniołowie w Niebie nieustannie widzą Boga". Ale dołączył także słowa często pomijane: Tak samo, powiadam wam, radość powstaje u aniołów Bożych z jednego grzesznika, który się nawraca (Łk 15,10).

- Wspaniałe słowa - komentuje siostra Giudici. - W niebiosach nie tylko święci, ale także wszyscy aniołowie nas znają i śledzą nas z miłością. Także w tym znaczeniu "te istoty są włączone w tajemnicę Kościoła jako wspólnoty. Żaden człowiek nie jest wyspą, nikt nie zbawia się sam, ale w towarzystwie sobie podobnych, żyjących i zmarłych, a także aniołów". Oni, gdy stają się "stróżami", wyrażają "inną z subtelności Boga, z dowodów jego delikatności wobec nas". Razem z Ojcami siostra Giudici wierzy, że aniołom stróżom zostały powierzone trzy zadania: "Przede wszystkim rola pokoju, bronią nas przed niepokojami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Następnie, rola pokuty, upominają nas, gdy schodzimy z dobrej drogi. W końcu, rola modlitwy, modlą się za nas i równocześnie pomagają nam się modlić. W tej zdumiewającej perspektywie naprawdę trudno jest zrozumieć, dlaczego wielu intelektualistów chrześcijańskich myśli, iż powinni milczeć na temat takiej jak ta rzeczywistości wiary, która jest nie tylko pocieszająca, ale jest poświadczona na wszystkich stronicach tego Pisma Świętego, na które przecież powołują się jako na najwyższy autorytet. Zresztą, także Sobór ponownie potwierdził jako całkowicie bezsporną i oczywistą ustawiczną cześć katolików dla istot niebiańskich: "Kościół zawsze okazywał Apostołom i Męczennikom, jak i Błogosławionej Maryi Dziewicy i świętym Aniołom szczególną cześć" (Lumen Gentium, 50). Opierając się właśnie na Soborze Watykańskim II, w 1968 roku, Paweł VI wygłosił swoje "Credo Ludu Bożego", wyznając "wiarę w Boga Stworzyciela także rzeczy niewidzialnych, jakimi są czyste duchy, nazywane również aniołami". Jan Paweł I zdążył jeszcze wyrazić ubolewanie, że "aniołowie są wielkimi nieznanymi obecnych czasów. Wielu o nich nie mówi. Byłoby natomiast stosowne przypominać o nich częściej jako o narzędziach Opatrzności w kierowaniu światem i ludźmi, starając się żyć z nimi w przyjaźni, jak czynili to święci". W ten sam sposób wyraźnie i energicznie w obronie Pisma Świętego i Tradycji występował, bardzo wiele razy, Jan Paweł II. Nie został jednak tutaj wysłuchany, jak i gdzie indziej.

Siostra Giudici cytuje także wielkiego teologa prawosławnego Evdokimova, który wskazał na "neutralizację" aniołów dokonaną przez niektórych jego katolickich kolegów: "Wszystko, co zdumiewa, co przekracza doświadczenie zmysłowe i przewyższa zdrowy rozsądek, musi zostać wysterylizowane. W ten sposób religia została spłaszczona, uczyniona roztropną, we wszystkim rozumną. I właśnie dlatego dzisiejszy człowiek ją odrzuca". Na pewno, trzeba strzec się przed spirytualizmem, który przypisywałby aniołom rolę, jaka im się nie należy; dlatego jest konieczne przypisanie tym tajemniczym istotom całkowite zakorzenienie w Chrystusie.

- Staralam się - wyjaśnia - ukazać, jak także oni doskonale mieszczą się w historii zbawienia, jak zawierają się w całości tajemnicy chrześcijańskiej. Tajemnica, która potrzebuje ich także dla pewnego rodzaju kompletności: - Bardzo lubię zwierzęta, myślę, że każde z nich jest żywym wyrazem kochającej myśli Boga. Zwierzęta są po to, aby nam służyły, są o stopień niżej od nas. Także aniołowie są po to, aby nam służyć ("w porządku zbawienia", mówi List do Hebrajczyków) a stoją o stopień wyżej od nas. - Rzeczywistość w trzech stopniach, w sumie, która osiąga szczyt w Chrystusie i zarazem jest przez Niego w całości ustanowiona.

Wieczór na San Biagio zapada brzemienno wiosennym deszczem, jest zimno, stado krów na pastwisku w wielkiej samotności gór schroniło się w oborach. Jest jeszcze za wcześnie na przybycie grup młodych, którzy tutaj, chociaż na pewno nie zrezygnują ze śmiechu, z wesołości, potrafią być także refleksyjni. Jemy, razem, siostry i ja, smaczne, ale proste rzeczy, które przygotowała młoda siostra ze Szkocji. Zwierza się ona - na tle odgłosów kominka, który ma tutaj tak wielkie znaczenie, że "uratowała wiarę i powołanie pomimo kursów kultury religijnej" prowadzonych w ojczyźnie przez, jak zwykle, "specjalistów". Pamiętając o tym doświadczeniu, gdy została wezwana do Rzymu, prosiła przełożonych o uwolnienie jej od gromadzenia

dalszych wątpliwości, jakimi by nasiąkała na uniwersytetach teologicznych, na które chciano ją posłać, i otrzymała to. Woląla przybyć tutaj, do tego eremu, w oczekiwaniu na wyjazd jako misjonarka do Afryki, aby służyć tym młodym, którzy według don Bosco (przypomina siostra Giudici) "powinni czuć, iż są kochani, powinni wiedzieć, że otaczamy ich uczuciem". Oczywiście została wygnana stąd owa wielka trucicielka, jaką jest telewizja; po kolacji siostry oddają się malowaniu małych kamieni zebranych na tej górze świętej. Na kamieniach widnieją napisy "Bóg cię kocha" lub tylko "Jezus" obok zasuszonego i przyklejonego kwiatuszka: tutaj rzeczywiście wierzy się w moc tego Imienia. Odmawiamy wspólnie kompletę, w bardzo starożytnym kościele, pełnym cieni, gdy na zewnątrz słychać szum wiatru. A jest to wiatr, który zdaje się zanosić modlitwy zakonnic do Boga, aby (tak recytują), jego święci aniołowie czuwali nad nami i chronili nas tej nocy".

Luigi Ciotti

Chociaż mieszkałem lata w tym samym mieście, nie znałem go dobrze. Spotkałem go tylko kilka razy, w związku z pracą reportera w wieczornej gazecie Turynu. Były to lata terroryzmu, okropne lata siedemdziesiąte. Nie można go było nie zauważyć, ponieważ już on sam stał się wydarzeniem dziennikarskim: elektrotechnik został księdzem pod koniec 1972 roku, sześć lat po powstaniu założonej przez niego Grupy. Ale potem to, co się wokół niego działo - ten ruch o nazwie, o której nie bardzo wiadomo, czy brzmi surowo biblijnie, czy mdławo klerykalnie: "Grupa Abel" - to samo mogłoby wypełnić stronicę gazet. Głódówki, pochody, demonstracyjne przykuwanie się łańcuchami, protesty grupowe, błyskotliwe konferencje prasowe: całe typowe wyposażenie bojowe tamtych lat, a wydawało się, że "ci od Abela" uczestniczą w grupkach marksistowskich, prawdziwych lub urojonych, w których zatraciło się całe pokolenie młodych. Trudno jest w tym chaosie odróżnić Luigiego Ciotti od zwyczajnego katomaoisty, od zwykłego księdza ogarniętego partyzanckim zapamiętaniem, od duchownego nawróconego na rewolucję. Ale potem minęły lata, pandemonium, które zrodziło się w 1968 roku (i które we Włoszech miało dłuższy żywot niż w jakiegokolwiek innej części świata) wyzionęło ducha w ostatnich agonalnych drgawkach 1977 roku, między okupacją Bolonii i stołecznymi pseudolndianami. Jeden po drugim, lalkarze opuszczali teatryki, w których wprawiali w ruch swoje marionetki; zmieniła się orientacja i te same media, które dosiadały konia zaangażowania, odkryły, że niezaangażowanie było w "lepszym tonie". Po uprzątnięciu barykad nastąpiło gloryfikowanie ambitnego kapitalisty, robiącego karierę menedżera, młodego człowieka z amerykańskim magisterium w kieszeni. Tak więc wszyscy do domu: trudno, trzeba się z tym pogodzić, że całe pokolenie zostało zatrute na darmo przez złych mistrzów i przez fałszywe mity. A jednak don Ciotti nie zrezygnował; i nie zrezygnował do dzisiaj. Ani nie zrezygnowali jego zwolennicy, co więcej, nawet powiększyli liczbę, zaangażowanie, działalność. W ten sposób Grupa Abel stała się największym włoskim ugrupowaniem wolontariatu: 70 osób w pełnym wymiarze czasu (minimalne zaangażowanie: trzy lata) i innych sto osób w częściowym wymiarze czasu. I wśród tych 170 osób są wszyscy: jest weteran terroryzmu, skruszony i wypuszczony z więzienia; ale są także matka rodziny i sędzia, siostra i urzędnik. Są to ludzie, którzy troszczą się o archipelag stu inicjatyw ciągle nowych. Wszystkie w służbie wspólnocie, ratujących narkomanów i wszelkiego rodzaju ludzi z marginesu. To właśnie dla nabycia siedziby dla tego ruchu Michele Pellegrino, wtedy arcybiskup Turynu, uczynił gest, który został przez kogoś oceniony jako niezbyt na miejscu, mianowicie postanowił sprzedać złoty krzyż biskupi, w jego miejsce nosić drewniany, a otrzymane pieniądze dać don Ciottiemu dla jego wspólnot. Ponieważ Pellegrino ufał Luigiemu Ciotti, zdecydował się postawić na niego i udzielił mu święceń kapłańskich, mówiąc mu (wspomina mi o tym sam don Luigi): "Pamiętaj, że twoją parafią będzie ulica". Młody człowiek nie zawiódł zaufania: przeżył zawieruchę kontestacji nie tylko pozostając księdzem, ale nawet nie przyłączając się do awantur, w których furia atakowania tego, co nazywano "Kościołem hierarchicznym", kończyła się opuszczeniem Kościoła tout court.

Miejszem spotkania z don Ciottim była ulica Santa Teresa: Grupa Abel tutaj ulokowała swój jedyny "wyraźny" adres, adres głównej siedziby. Cała inna działalność nie nawiązuje - przynajmniej w nazwie - do Grupy, może dla uniknięcia podejrzeń o konfesjonalizm. W tych biurach panuje to poczucie prowizoryczności, stanowiące jedną z charakterystycznych cech, które ruch stara się zachowywać, aby nie instalować się zbyt mocno w "świecie", aby nie przekształcić się w pewnego rodzaju biurokratyczną "instytucję pomocy". Ale prowizoryczność tutaj nie wyraża się w ostatnią nędzę, w brud, w gwizdanie na wszystko dlatego, że należąc do wszystkich, jest uznawane za niczyje: nie przemienia się w to wszystko mianowicie, co rzuca się w oczy w siedzibach partii, związków zawodowych, w urzędach państwowych. Tutaj są wolontariusze, ale świadomi, umotywowani, i z tą głębią powagi podalpejskiej, dzięki której odpowiada się do telefonu grzecznie, utrzymuje się w porządku pokoje i archiwa, gości przyjmuje się uprzejmie. Wśród nich - reportera przybyłego po to, aby ukraść kilka godzin człowiekowi, któremu, jak się wydaje, godzin dnia nigdy nie starcza. (Nawet jeżeli jedną z pierwszych rzeczy, o których mnie don Ciotti informuje, jest to, że nigdy nie daje się całkowicie pochłonać sprawom, które są do załatwienia; że zawsze w ciągu dnia przyznaje sobie pół godziny na modlitwę i milczenie i że broni jej przed wszelkimi zasadzkami; że każdego roku udaje się do klasztoru kamedułów. I tam "wspina się" możliwie najwyżej, nie zadowala się bowiem pomieszczeniami dla gości na dole, lecz idzie zamknąć się w eremie na szczycie góry.)

Spotykam go już późnym rankiem. Powraca ze Szwajcarii, gdzie robi coś dla naszych emigrantów. Musiał podróż odbyć w nocy, jego zmęczenie podkreśla to trzymanie głowy pochylonej między ramionami, to patrzyenie uważne i zarazem łagodne, niekiedy nagle zapalające się, gdy rozmowa dotyczy tematów, które są mu drogie. Otwiera drzwi, w korytarzu, w którym mieszczą się biura. Za nimi znajduje się pokój, łóżko, stolik przy ścianie, regał. Wszystkiego bardzo niewiele metrów kwadratowych. Nasuwa mi się podejrzenie: czy ta bardzo mała przestrzeń, w tym miejscu pełnym ludzi i zgiełku, nie będzie przypadkiem "domem" don Ciottiego?

- No tak - wyznaje, jak gdyby się usprawiedliwiają. - Tak, tutaj śpię.

Wie pan, od początku jestem księdzem bez stałego miejsca zamieszkania...

Jest to pierwsza seria z ciętych replik, często wywierających wrażenie, zawsze głębokich, którymi będzie usiana nasza rozmowa. Kartkuję notes po dniu spędzonym z nim i wybieram z niego niektóre: "Mamy zawsze za co prosić o przebaczenie"; "Chciano dać Grupie Abel nagrodę Alberta Schweitzera, raczej powinni dać Nobla ubogim za ich cierpliwość w znoszeniu naszych kongresów i naszych analiz socjologicznych"; "Powinno się torować drogę ubogim uważając, aby nie posługiwać się nimi dla torowania drogi sobie"; "Należy być narzędziami spotkań z Bogiem"; "Czytam świętego Augustyna, ponieważ jest jednym z tych, którzy pomagają dzielić słowa Ewangelii na jadalne kawałki".

Mówię mu natychmiast otwarcie o podejrzeniu, które krążyło: że mianowicie on i jego przyjaciele są dziećmi roku 1968, powołanymi do zakończenia tego okresu.

- Tymczasem naszą siłą - odpowiada - jest umiejętność znalezienia się w skórze innych ludzi. My zmieniamy się z innymi, na pewno nie robimy analiz przy biurku: one bowiem, kiedy je ukończysz, już są nieaktualne. Proszę wziąć pod uwagę świat młodzieży: okresowo zmienia się i zmienia się kształt jego problemów. Dla przykładu: przed kilku laty problem narkotyków sprowadzał się zasadniczo wyłącznie do poszukiwania heroiny. Dzisiaj sytuacja do tego stopnia stała się łotrowska, że z braku heroiny, byle tylko się oszołomić, młodzi przygotowują sobie mikstury bardziej zabójcze lub wachają cokolwiek, choćby nawet tylko benzynę, jeżeli nie ma czegoś innego. Następnie, także to jest fakt nowy, narkotyk tak dalece stał się rzeczą konsumpcyjną, że wiele dzieci z dobrych rodzin realizuje swój mały program, zgodnie z którym narkotyków używa tylko w weekend.

Narkoman jest jednym z uprzywilejowanych obszarów interwencji Grupy Abel, która pamiętnym strajkiem głodowym w lecie 1975 roku osiągnęła to, że zostało zmienione prawo z 1954 roku o środkach odurzających, które karało zarówno tego, kto sprzedawał narkotyki, jak i

tego, kto ich zażywał. (Było to dobre? Było to złe? Dzisiaj ludzie, także z lewicy, stawiają sobie pytania niespokojne i niepokojące, jak zresztą wszystkie reformy tamtych lat. Ten sam francuski rząd socjalistyczny zaproponował "uderzenie" nie tylko tego, kto sprzedaje, ale także tego, kto kupuje dla siebie, przewyciężając w ten sposób socjologiczną obłudę, która w narkomanie widziała tylko biedną ofiarę "złego systemu". Jakkolwiek by było, sukces ludzi z "Abla" był wtedy uważany za wielką zdobycz.) Ale obok narkomanów są małoletni przestępcy, psychicznie chorzy, homoseksualiści, ludzie upośledzeni, Cyganie i w ogóle cały liczny orszak zjawisk współczesnego społeczeństwa.

- My - mówi don Ciotti - jesteśmy zawsze po stronie ludzkiej biedy.

Staramy się być obok tego, kto mozoli się ciągnąc swój wózek do góry po stromiźnie życia.

- Wielu chętnych do pomocy - zauważam - wyrządziło jednak szkodę w tych latach tym, którzy naprawdę zamierzali pomagać, przez podsycanie mentalności uwalniającej od odpowiedzialności, przypisując zawsze i w każdym wypadku winę społeczeństwu, rodzinie, nie przeprowadzonym reformom. Chrześcijański pogląd na grzech indywidualny (tak bardzo pozytywny, cokolwiek by o tym mówiono: tylko ten, kto uznaje, iż jest wolny, a więc, że jest winny, chociażby z wszystkimi okolicznościami łagodzącymi, może się starać zmienić; tylko ten, kto ma odwagę powiedzieć "zblądziłem" może znaleźć siłę do wyjścia ze swoich nieszczęść) ten pogląd więc został zniszczony działaniem rzekomych wierzących.

- To prawda - zgadza się. - My, istotnie, zawsze byliśmy przeciwni "terapii poklepywania po plecach", to jest pedagogii klepięcia w plecy: "Biedactwo, to nie twoja wina". Nie, nie: dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek miłość do człowieka oznacza wymaganie od niego odpowiedzialności. Jest faktem jednak, że trzeba być blisko potrzebującego, aby wyszedł z kłopotów, w które - także ze swojej winy - popadł. To, czego chcę, to żeby ludzie wzrastali wewnątrz, żeby przyjmowali do wiadomości swoje ograniczenia, swoje winy, ale także swoje możliwości. Sprawić, aby rozumieli, że każdy, pod warunkiem, że tego będzie chciał, może być protagonistą swojego życia.

- Don Ciotti czym jest grzech, w pojęciu księdza?

Jeszcze bardziej zniża głowę między ramiona, długo milczy; potem odpowiada:

- Jest odwróceniem się plecami do Boga.

- Ale kiedy odwracamy się nimi do niego?

- Kiedy nie spogląda się w twarz rzeczywistości i bracia nie pomagają sobie wzajemnie. Grzeszyć znaczy być kimś, kto ucieka; kto ucieka pierwiej do wewnątrz niż na zewnątrz. To być kimś, kto nie wierzy, że uczestniczy w planie, jaki Ktoś ma wobec nas. Kimś, kto nie daje możliwości korzystania ze swojego zaopatrzenia komuś, kto ma mniej.

Seria definicji musi go jednak nie zadowalać całkowicie; kiedy zobaczymy się ponownie przy obiedzie, pokaże mi kartkę z notatkami:

- Wydaje mi się, że trzeba by dać dwie definicje grzechu, stosownie do tego, czy ktoś wierzy, czy nie. Dla "laika" grzechem jest wyrządzenie jakiegokolwiek szkody drugiemu człowiekowi. Dla "chrześcijanina" jest nim niezaangażowanie się w słuchanie tego, co powiedział Chrystus, jest odmawianie wprowadzania w czyn życia, jakie On zaproponował".

Podwójna definicja ("wierzący" i "niewierzący") zgodna jest także z rzeczywistością, w której don Ciotti żyje codziennie. Jak mówi Magna Charta, podstawowy dokument Grupy Abel: "Nasze zaangażowanie zrodziło się ze źródła chrześcijańskiego. Dzisiaj jest ono pojmowane jako współpraca wierzących i niewierzących dążących, pod znakiem wspólnej wiary w człowieka, do walki, w rzeczywistości własnej egzystencji, przeciwko wszystkiemu, co neguje człowieka, szukając wspólnie drogi wyzwolenia..." I dalej: "Grupa uważa, że współpraca między wierzącymi i niewierzącymi przedstawia wartość i bogactwo, z których nie można zrezygnować: dlatego nie chce, aby uważano ją za grupę wyznaniową, lecz pragnie uwydatnić wielorakość wyborów swoich członków..."

- Otóż, don Ciotti, to sprawia wielu ludziom trudności. Na biedy dziewiętnastego wieku właśnie ten Turyn odpowiadał swoimi wielkimi społecznymi świętymi, od Murialdo do Bosco, do Cafasso, do Faa di Bruno, do Cottolengo: wszyscy oni byli ludźmi, którzy naprzeciw potrzebom wychodzili

zdecydowanie w imię Chrystusa. Obecnie, w tym samym Turynie, Grupa Abel stara się odpowiedzieć na nowe biedy; ale, chociaż powstała z inicjatywy wierzącego, kogoś, kto został potem kapłanem, utrzymuje, że nazywanie się zaraz "chrześcijańską" byłoby pewnego rodzaju utrudnieniem, zamknięciem się w getcie wyznaniowym...

Odpowiedzi na moje prowokacje don Ciottiemu na pewno nie brakuje. Precyzuje je w ten sposób:

- Kiedy odwiedzam parafie i ruchy katolickie (500 zaproszeń w ubiegłym roku: ileż to się mówi w naszym świecie!), głoszę Chrystusa. Ale nie mogę postępować tak samo, przynajmniej nie natychmiast i nie wprost, kiedy przybywają różni młodzi ludzie. Nigdy nie ukrywam tego, że jestem księdzem, nie ukrywam mojej wiary. Ale dzisiaj spotyka się wielkie rozczarowanie (nawet jeżeli jest ono wynikiem przesądów) do Kościoła instytucjonalnego i do jego ludzi. Trzeba pomagać ludziom w odnajdywaniu ich godności, dostarczać im do tego narzędzi: to uruchamia wiele spraw, budzi bardzo wiele pytań. Co do niewierzących, którzy współpracują z nami, prosimy ich o spójność we własnych wyborach, o wzajemny szacunek, o zdolność do dialogu i do słuchania. I trzeba powiedzieć, że w tych latach było wielu, którzy pobudzali nas do rachunków sumienia.

- Ale czy wystarczają motywacje ludzkie, aby dawać to, czego się od nas wymaga? Czy potrafi jakakolwiek moralność "laicka" podtrzymać tak bardzo radykalne zaangażowanie?

- Na płaszczyźnie teoretycznej może nie - przyznaje. - Na płaszczyźnie realnej widziałem wielu ludzi pracujących ze mną i będących anonimowymi, lecz autentycznymi świadkami tego Chrystusa, którego przecież (słowami) negowali. Ludzie, którzy nauczyli mnie, chrześcijanina, co znaczy ubrudzić sobie ręce. Nawet nie ma chyba potrzeby zatrzymywać się przy oświadczeniach, jakie ktoś składa: miałem zawsze wrażenie, że wbrew temu co mówią, ci podający się za "niewierzących" są największymi poszukiwaczami Boga.

- Ale jaką różnicę stanowi wtedy Jezus? Co znaczy wierzyć w niego? Czy jest jeszcze jakaś różnica między tym, kto mówi, iż jest chrześcijaninem, a tym, który mówi, że nim nie jest?

- Oczywiście, że jest różnica! Przynajmniej dla mnie Chrystus jest towarzyszem podróży, niewygodnym, ale niezbędnym, który jest całkowitą odpowiedzią na sens mojego życia. Mówiłem o tym, że pracuję z "niewierzącymi" godnymi podziwu; a jednak gdy stawali wobec głębszych tajemnic, często widziałem ich owładniętych niepewnością, jak gdyby chodzących po omacku w ciemności. Działają, i to dobrze. Ale często nie potrafią wytlumaczyć sensu tego działania. Wierzę, że tylko ufając Jezusowi możesz przyjąć, nadając mu sens, radykalne wyzwanie, jakie ubodzy nieustannie ci rzucają. Przyjęcie tego wyzwania wydaje się szaleństwem. A jednak z Jezusem staje się ono nie tylko rozumne, ale i konieczne. - Długa przerwa, i: - Ewangelia, od pierwszej strony do ostatniej, ukazuje, że Jezus najpierw czynił, a potem nauczał. Bóg wyznacza ludziom terminy spotkania jak i kiedy chce. Ale chce także, abyśmy byli ich narzędziami. Otóż w mojej nędzy wierzę, iż stałem się dla kogoś narzędziem spotkania z Bogiem. Od pierwszego razu - byłem seminarzystą - od chwili, gdy godzinami trwałem ucepiony krat zakładu poprawczego, i gdy chłopak z wewnątrz na mnie. Płuł tak przynajmniej przez dziesięć minut. Potem ja zwyciężyłem, zdecydował się także wyrzucić z siebie to, co miał w środku i co go takim uczyniło. Teraz jest jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Gdy mówi, myślę o pozostałych weteranach roku 1968: ludzie już z siwymi włosami, ale zawsze świeżo od coiffeur, golfy z kaszmiru, jeansy markowe i chóry "proletariackie", Międzynarodówka śpiewana przed kominkiem lub wokół basenów pałaczków "towarzyszy", w Cortina lub na Capri. Myślę także o nieskończonym zastępie tych, którzy w ubiegłych latach krzyczeli swoje wywrotowe slogany: a teraz są funkcjonariuszami Confindustrii albo menedżerami międzynarodowych grup przemysłowych, handlowych lub bankowych, czy też grają na giełdzie; troszczą się, jak to tylko możliwe, o swoje sprawy i nie myślą o niczym innym, jak jedynie o "wypłynięciu".

Myśl! o tym wszystkim, gdy ten człowiek do mnie mówi, głosem cichym i zmęczonym, z głową na wpół przechyloną, na sobie ma jakiś łań, prawdziwy,

nie sztuczny z butiku. Myślę, że można się z nim zgadzać lub nie. Ale nie można nie uznać, że to jego radykalne zaangażowanie na rzecz drugich nie trwało tylko jeden sezon. Lodowaty wiatr przepędził precz piewców nowego świata według Marksa i Mao; a na polu walki pozostał tylko pewien chrześcijanin, jak ten ksiądz i jego współpracownicy.

Pewnego dnia przed kilku laty, opowiada mi, zapukała do niego jakaś pani. - Przysłała mnie papież - powiedziała. - Don Luigi zdumiał się, pomyślał o jakimś żarcie lub o mitomance. Tymczasem to była prawda. Tej pani, skomplikowanymi drogami, udało się uzyskać prywatną audiencję u Pawła VI. Opowiedziała mu o swoich nieszczęściach, płakali razem. Potem papież powiedział: "Nie widzę innego rozwiązania pani problemów, jak grupę z Turynu, kierowaną przez dziwnego księdza, don Ciottiego. Ja śledzę go z daleka, szanuję go, lubię go. Proszę pójść do niego w moim imieniu. Proszę to zrobić, zalecam pani: na pani kłopoty nie ma innego sposobu". Kobieta to polecenie spełniła, wprawiając tym wtedy bardzo młodego księdza w osłupienie. Subtelny wdech papieża wyniszczony cierpieniem i modlitwą wyczuł już w nim zapach dobrego zaczynu ewangelicznego. Jeszcze jedna dodatkowa gwarancja na korzyść tego dziwnego księdza bez stałego miejsca zamieszkania.

ROZDZIAŁ XIV

Historyk "wieków chrześcijańskich"

Chrześcijaństwo pojmuje siebie jako historię: ową "historię zbawienia", która, zapoczątkowana upadkiem pierwszych rodziców, Adama i Ewy, osiąga szczyt w odkupieniu dokonany przez Jezusa. On z kolei dał początek historii nowej, która jest kontynuacją dawnej, poprzez wieki dochodzącej do nas i zmierzającej do dnia, w którym wszystko zamieni się, w chwili powrotu Chrystusa, w „Niebo nowe i Ziemię nową”.

Także ten, kto nie przyjmuje tej wizji wiary, musi jednak się zgodzić, że wizja tradycji judeochrześcijańskiej (od Abrahama do dziś) jest najdłuższą i najbardziej skomplikowaną historią świata.

Logiczne więc, że zawodowy historyk ma coś ważnego do powiedzenia. Zwłaszcza jeżeli chodzi o takiego uczonego jak Franco Cardini, wroga sloganów i schematów, zaangażowanego w burzenie niewłaściwej "czarnej legendy", która otacza wieki w całym tego słowa znaczeniu chrześcijańskie, prawie tysiąc lat, które są oznaczane nazwą (także niesłuszną) "średniowiecza".

Franco Cardini

Od jakiegoś czasu, jako czytelnicy, nie spuszczałyśmy z niego oka. Śledziłyśmy jego książki, zawsze niekonformistyczne, zawsze poza chórem bieżącej wulgaty. Fascynujące jego studia, w serii Nouvelle Histoire, o krzyżowcach, czarownicach, rycerzach; przekonująca w sumie Quell'antica festa crudele, ponowne zbadanie "kultury wojny" w erze przedindustrialnej. Dzieło przeniknięte gorszącym przecuciem:

a jeżeli obecny frazesowy i utopijny pacyfizm, który odrzuca przyjęcie do wiadomości twardej rzeczywistości historii z jej nie do przeczywienia grzechem, skończyłyby się nie doprowadzeniem nas do końca wojny, ale do wojny bez ograniczeń i bez zasad? Nie mieszczą się również w rzędzie oficjalnych banalności jego książki o wyprawach krzyżowych, które muszą być na nowo odkrywane po demonizacji dokonanej przez propagandę antychrześcijańską.

Śledziłyśmy także jego artykuły, jakie rozsiewa w prasie wszelkiego rodzaju, od przeglądów naukowych do underground i dzienników krajowych. W wielu z tych artykułów pojawiało się niekiedy wyrażenie "my katolicy". I powtarzało się w kontekstach tego rodzaju: "Faktem jest, że my katolicy jesteśmy szalonymi pomyślnymi, którzy tylko pozornie mogą wydawać się normalni. Istotnie, zmuszamy się do wierzenia w całe mnóstwo rzeczy, które mentalności racjonalistycznej wydają się niedorzeczne i których tylko przez solidarność obywatelską niekatolicy nam nie wyrzucają: że istnieje życie po

śmierci, że chleb może stać się ciałem, wino krwią i tak dalej". A więc jedno kuriozum więcej, aby pójść słuchać tego "nowego historyka" jeszcze młodego, znanego we Włoszech, ale może jeszcze bardziej za granicą, gdzie na uniwersytetach czuje się jak u siebie w domu. (Na przykład mnie samemu zdarzyło się słyszeć, jak cytowali go z przekonaniem uczeni w uniwersytetach kanadyjskich.)

W pociągu, jadąc do Florencji, spotkałem przypadkowo Geno Pampaloniego, krytyka literackiego, którego już słyszeliśmy. Jako florentczyk, który zna wszystkich, również Pampaloni mówił bardzo dobrze o Cardinim. Skorzystałem z okazji, aby poprosić go o informację o pogłoskach na temat pewnych błędów "prawicowych" profesora. "Sprawy minione, jeżeli kiedykolwiek coś było. W każdym razie będzie warto zapytać jego samego."

Rzecz, o której myślałem; i której nie zaniedbuję, siedząc przy stole nie w jakiejś wstętnej "hamburgerii", o której napisał pamiętne słowa, lecz jej zupełnym przeciwieństwie: starej "kuchni z wyszynkiem win", przejętej i zarządzanej przez członków lewicowego ruchu pozaparlamentarnego, skruszonych i nawróconych na kult emocjującej ludowej kuchni florenckiej. Franco Cardini (antybaronowski leże z wyglądu, twarz okrągła obramowana bródką, którą nosi raczej dla wygody niż dla kokieterii, ubrany w rzeczy zupełnie "przypadkowo" dobrane), Cardini nie gorszy się zatem pytaniem, które nie powinno brzmieć dla niego jako nowe.

Aby na nie odpowiedzieć, opowiada swoją historię: dziadek anarchista, ojciec wierzący bez bigoterii, rzemieślnik. Środowisko młodego Franco było ludowe, na granicy ubóstwa, swoje pójście do liceum przeżył jako nagłą zmianę klasy:

- Żadnej możliwości szukania oparcia u kogokolwiek dla zasięgnięcia rady, w rodzinie żadnej tradycji studiowania. Jak się zdarza w takich przypadkach, również jakiś kompleks, jakaś frustracja znajdująca rozwiązanie w pewnego rodzaju heroicznym indywidualizmie, w pragnieniu utworzenia sobie drogi wolą i sukcesem w studiach. Pewien rodzaj młodzieńczego "nadczołowieczeństwa" na wzór Nietzschego, połączonego z patriotyzmem z okresu risorgimento (były to lata sporu o Triest między aliantami, Jugosłowianami i Włochami). Temu wszystkiemu towarzyszyło upodobanie do nonkonformizmu - które zresztą nigdy mnie nie opuściło - jak gdyby pragnienie wywołania skandalu przez występowanie przeciwko aktualnym opiniom. - Co więcej: - Instynktowna sympatia dla zwyciężonych: opowiadałem się po stronie Trojan, po stronie amerykańskich Indian, Wandejczyków, za Burbonami, za Habsburgami, nawet za Niemcami. Poza ich racjami i brakiem racji, w ich heterogeniczności odbierałem ich jako bliskich ze względu na wspólną sytuację pokonanych w historii. Było więc prawie nieuniknione, że czułem się popchnięty, będąc na wygnaniu, w kierunku prawicy, która, jak mi się wydawało, jest w getcie, już pokonana. Przemyślenie oderwało go szybko od pewnych środowisk, od pewnych sympatii. Teraz nazywa siebie "bezzańskim psem":

- Odrywając się od młodzieńczego uczestnictwa w prawicy, zrozumiałem że faszyzm jest materialistyczny tak samo jak marksizm; obydwa wywodzą się z antychrześcijańskiego Oświecenia i jakobinizmu. Czarne nie jest zupełnie przeciwne czerwonemu: to dwa uzupełniające się oblicza tej samej współczesnej tragedii, to dwa przejawy tego, co szatańskie w historii. Nie jest mi zresztą trudno odkryć lucyferyckie oblicze także w dominującej kulturze liberalno-radykalnej współczesnego Zachodu, w Ameryce (które jesteśmy już tylko prowincjami) z jej oszukańczym równaniem między wolnością a ekonomicznym bogactwem.

Zapisany, jako dziecko, do Akcji Katolickiej, nigdy zasadniczo nie oddaliwszy się od przekonań religijnych ("nie mogę powiedzieć, że kiedykolwiek przestałem na serio wierzyć"), odnajduje potem w pełni swój wymiar chrześcijański.

- Czytając autorów takich jak Mikołaj z Kuzy, kardynał i obrońca katolickiej prawowierności w XV wieku, przeżyłem odzyskanie, w całości, wartości, jakie wydawało mi się znajdować u klasyków radykalnej prawicy, a które tymczasem były tam przedstawiane w sposób połowiczny, antychrześcijański.

Od tej burzliwej młodości, o której mówi z pokorą, z bólem, otrzymał jednak szereg lekcji:

- Przede wszystkim zostałem zaszczepiony przeciw pospolitemu modernizmowi, przeciw bałwochwalstwu Nowego utożsamianego zawsze i w każdym wypadku z Dobrem. A następnie nauczyłem się widzieć rzeczy z drugiej strony barykady, zrozumiałem, jaki jest dramat tych, którzy zostali zepchnięci do getta.

Mówi dalej:

- Zrozumiałem raz na zawsze, że w historii nie powinno być trędowatych; oraz że jeżeli kiedyś tak było, obowiązkiem chrześcijanina jest wyruszyć na ich poszukiwanie, aby ich wziąć w ramiona. Jeżeli kogoś ranie, wracam myślą do siebie samego z wczoraj, do młodzieńca zagubionego, sfrustrowanego, samotnego. Paradoksalnie właśnie obcowanie z lazaretem prawicy stało się dla mnie szkołą tolerancji, odmówieniem uznawania kast nietykalnych pariasów. Jeżeli proszą mnie o artykuł, o konferencję, nie badam najpierw legitymacji tego, kto mnie zaprasza. Zgadzam się bez wahania. Nawet jeżeli to, przy panującym jeszcze konformizmie, może mnie drogo kosztować terminach kariery. Gdybym jako chłopiec dokonywał bardziej coronnistycznych wyborów politycznych, teraz byłbym może senatorem- Ale nie poznałbym i nie doświadczył nieprzystosowanych, wyrzutek, upośledzonych społecznie, mianowicie soli ziemi.

poprawdy, dzisiaj Cardini stanowi doświadczenie tego, co z ironią, ale prawdziwie ktoś zauważył: "Być modnym jest łatwo: wystarczy ustawić się przezornie w ostatnim szeregu i poczekać kilka lat. Prędzej lub później znajdziesz się w awangardzie i ci, którzy cię znieważali, będą mówili, że w rzeczywistości byłeś prorokiem". Rzecz, która się na nim dokładnie spełniła, tak bardzo, że teraz obawia się zostać wziętym za kogoś, kto goni za pojawiającymi się nowymi modami; i to przeszkadza jego nonkonformizmowi:

- Brak entuzjazmu dla postępu technologicznego i demaskowanie jego niebezpieczeństw; zwracanie uwagi na kultury pokonanych; badania nad takimi zjawiskami jak rycerstwo i czary; rozróżnienie między demokracją a egalitaryzmem; sympatia dla alternatywnych sposobów życia... Zajmowałem się tym wszystkim, kiedy robienie tego oznaczało ściąganie na siebie wściekłości i pogardy kultury hegemonicznej. Teraz wyłaniający się nowi baronowie biegną w tym kierunku stadami. A ja, który chciałem unikać mód, jestem przez nie zagrożony.

Mediewistę z zawodu i z pasji, Cardiniego pociągała przede wszystkim ta historia nieprzystosowanych w całym tego słowa znaczeniu, jaką był (i po części jest) ruch franciszkański; to dążenie do całkowitego ubóstwa dobrowolnie przyjętego; to utopia radykalnego chrześcijaństwa, sine glossa, bez przypisów i ulg. "Nasza religia jest religią heroiczną, wymaga od nas męczeństwa: często o tym zapominamy", mówi. Pociąga go także nieortodoksyjne, wizjonerskie chrześcijaństwo Rosjan (między innymi studiował w Moskwie archeologię średniowieczną), lecz jego uznanie katolicyzmu jest całkowite, nawet w aspekcie instytucjonalnym Kościoła:

- Identyfikuję się z nim całkowicie, chociaż niekiedy cierpiąc. To nie przeszkadza czuć się równocześnie "bardzo żydem i bardzo Poganiem". Z judaizmu pasjonuje się powołaniem do wyjścia, >rzygodą ludu w marszu; interesuje się także aspektem obrzędowym, >zywiązaniem do Prawa, radzi je również chrześcijanom jako bodziec do karności i do potwierdzenia tożsamości. W pogaństwie (jak zresztą w każdej religii niechrześcijańskiej) widzi etap ku pełnej prawdzie przyniesionej przez Chrystusa, którego uważa za "dopełnienie, a nie zaprzeczenie wszystkiego tego, co jest prawdziwe. -

Mówi:

- Nie gorszy mnie zupełnie fakt, że Jezus może mieć cechy wspólne z Buddą lub z Mitrą albo że echa jego słów słyszy się w innej tradycji religijnej. Dlaczego, choćby w formie przygotowania pedagogicznego do pełnej prawdy, Bóg nie miałby mówić także do Persów, do Chińczyków, do Indian?

- Jaki dla niego, jako historyka, jest największy dar, którym chrześcijaństwo obdarzyło historię?

- Przede wszystkim uniwersalizm, objawienie, że Bóg z Synaju nie jest Bogiem tylko jednego narodu. A następnie spotkanie między czasem mitu a czasem historii. - Wyjaśnia: - W religiach starożytnych istniał

nieprzewidywalny rozłam między bogami, herosami, istniejących zawsze poza czasem, a życiem ludzi, które jest całkowicie zanurzone w czasie. Te dwa wymiary nigdy się nie spotykały, chyba że w odosobnionej przestrzeni, pozahistorycznej, Sacrum, nigdy nie odczuwanej jako ojcowska, rodzinna. Jest to rozłam przewyciężony tylko przez chrześcijaństwo, w którym czas tego, co boskie, wdiera się w ścisły punkt historii, a więc czasu ludzi. Sub Pontio Pilato, jak mówi Credo: jak gdyby zapis notarialny nadzwyczajnego spotkania, które stało się iskrą powodującą nieobliczalne następstwa historyczne. Dlatego gdybym miał wybrać jedną stronę Ewangelii ze wszystkich, zatrzymałbym się przy narodzeniu w Betlejem: jest to moment, w którym łączy się z sobą Historia i Wieczność. Jest to moment, w którym cała tradycja religijna ludzkości, jej gorące pragnienie, jej dążenie się urzeczywistniają, osiągają spełnienie: z tej groty wywodzi się niesłychana moc.

Kontynuuję, mówiąc o Jezusie:

- Niestety, dla racji demagogicznych chce się zapomnieć, że przy jego powrocie, na końcu czasów, Chrystus nie ukaze się ponownie jako ubogi i pokonany. Objawi się natomiast w całej swojej potędze, w królewskiej wspaniałości. A jednak ten majestatyczny król będzie nas sądził z najprostszych, najbardziej powszednich z rzeczy: z naszego stosunku do wyrzutków, więzionych, głodnych, żebraków. Nie będzie pytał o to, jaki osiągnęliśmy poziom mądrości, kultury, pogłębienia teologicznego: natomiast będzie nas pytał o to, w jaki sposób przeżywaliśmy to, co wydawało nam się tylko pospolitością tego, co powszednie. Tutaj znajduje się cud i cenny paradoks chrześcijaństwa, do którego, na szczęście, całkowicie się nie przyzwyczaiłem. Pośród łask, jakie mi zostały udzielone, jest również łaska daru zdumienia wobec Ewangelii.

- Z tych przesłanek - zauważam - powinno wynikać uprzywilejowane zainteresowanie dla takich teologii, jak teologia wyzwolenia, które chcą właśnie umieścić w centrum uwagi ubogich, wyrzutków.

- Jako historyk jestem zaszczerpiony przeciwko wszelkim formom herezji, zwłaszcza tego rodzaju. (Mówię oczywiście o teologiach wyzwolenia, które sytuują się poza katolicką prawowiernością.) W średniowieczu waldensi, katarzy, spirytualowie, fraticelli, nie potrafili oprzeć się pysze, nie potrafili żyć jak św. Franciszek z Asyżu, któremu udało się pogodzić najbardziej radykalny ewangelizm z najbardziej zdecydowaną wiernością Kościołowi hierarchicznemu. Nie, nie lubię pychy tych, którzy chcą się przedstawiać jako "prawdziwy Kościół". Posłuszeństwo, dla mnie, jest jeszcze jedną istotną cnotą chrześcijańską. Oczywiście zależy, kto wymaga od nas posłuszeństwa: Hitler i Stalin to jedna sprawa, Święty Kościół Rzymski to inna sprawa. Jemu warto być posłusznym. Ale jeżeli to podejrzenie o pychę i nieposłuszeństwo oddała mnie od niektórych teologów wyzwolenia, to natomiast nie oddała mnie - przynajmniej instynktownie - ich idea przemocy: historia rzeczywiście domagałaby się bata, "funi", jak mówimy my, toskańczycy. Ale potem, po zastanowieniu, pojawia się pytanie, czy mamy prawo wydawać wyroki, czy możemy pozwolić sobie na podniesienie owego bicia, który Jezus wznosił na kupców. Kim jesteśmy, aby zająć miejsce Sędziego? A następnie: miłość nie cierpi ruchów jednokierunkowych, nie można praktykować jej tylko wobec tych, którzy są ubodzy w dobra materialne. - Opowiada, że podczas letnich wakacji przybył z rodziną ("żona, czworo dzieci i czarny kot") do miejsc ulubionych przez bogate mieszczaństwo: - Na pewno to właśnie bogaci nas zawiodą. Nawet już nas zawiedli, wystarczy pomyśleć o aborcji, chcianej i popieranej przez ich błyskotliwe media. Oglądanie ich nad morzem wywołuje oburzenie, jeżeli nie odrazę. Ale w nas wierzących powinni wywoływać także litość: pod pokrywką ich bogactwa są też ubodzy, oni będą bezbronni w dniu sądu. Nikt ich nie nauczył odwiedzać więźnia, pocieszać smutnego, ubierać nagiego. Nie możemy wykluczać nikogo, nawet ich, z miłości, której się od nas wymaga. Średniowiecze, jak wiadomo, znajduje na nowo uznanie u wnuków tych historyków-propagandystów, którzy począwszy od "oświeconego" osiemnastego wieku, tworzyli kłamliwy mit o "ciemnych wiekach". Obecnie zmiana poglądów staje się modną także u historyków i ze wszystkich stron wznoszą się okrzyki podziwu dla tej epoki, która na pewno nie była wiekiem złotym (jaka

era kiedykolwiek może nim być?), ale nie była też epoką barbarzyństwa, obskurantyzmu; lecz raczej epoką światła, którą dobrze symbolizują katedry.

- Panie Cardini, co pan ceni najbardziej - pan, który nie musi zmieniać poglądów - o tym średniowieczu, które pan zawsze lubił?

- Biorąc pod uwagę złożoność tego okresu, trwającego pod pewnymi względami niemal tysiąc lat, może będzie lepiej mówić o "erze przedindustrialnej".

Termin, którym oznaczamy tę erę, wywodzi się z polemiki: "era środka", "posępny interwał chrześcijański" między pogaństwem starożytnym i jego ponownym pojawieniem się w humanizmie tego, co (także tutaj słowem podstępnym) nazywa się "Odrodzeniem". Tym w każdym razie, co głęboko cechuje tę długą epokę, jest świadomość, że życie nie wyczerpuje się w pełni w doświadczeniu ziemskim.

- Zamierza pan zrobić aluzję - mówię - do wiary w życie wieczne?

- Tak, dążenie jednostki ku temu, co jest poza historią, które miało decydujące skutki także na płaszczyźnie społecznej: nikt nie pieścił marzenia o katastrofalnej utopii wszystkiego i natychmiast, żądając od historii, aby stała się tym rajem, jakim nigdy nie będzie mogła być. Był poza tym - mówi dalej - szacunek, niekonsumpcyjne odnoszenie się do rzeczy: dobrze zdawano sobie sprawę, że posiadanie nie stanowi ostatecznego celu ludzi. Szacunek dla stworzenia w ogóle, a więc także dla zwierząt; one mają swoją godność, której nie można wykorzystywać dla korzyści i przyjemności człowieka. Zwierzęta i rzeczy w ogóle mają autonomię, która nie powinna być gwałcona. Także to miało znaczenie, poprawny stosunek do przyrody. I jeszcze: ćwiczenie w ascezie indywidualnej nie jest celem samym w sobie, ale służy osiągnięciu pożądanej samokontroli. Ta wewnętrzna dyscyplina należy do rzeczy, których w najbardziej tragiczny sposób brakuje nowym pokoleniom.

Ale Cardini ma jeszcze inne "hasła" do dodania do pozytywnego obrazu człowieka przedindustrialnego, zniesławionego obywatela średniowiecza:

- Umiejętność właściwego umiejscowienia choroby, śmierci, ciemnej strony życia. Usiłowanie ukrycia zła, usunięcia go z życia, nie uczyniło życia bardziej przyjemnym, lecz o wiele bardziej tragicznym. Dzisiaj śmierć rani ze straszliwą zjadliwością, ponieważ nie jest już obłaskawiona, nie jest już możliwa do przyjęcia dzięki formom towarzyskim, obrzędowości. Problem śmierci, zła w ogóle, należy istotnie do dzisiejszych wielkich problemów "politycznych": ukryte napięcie spowodowane usunięciem, schowaniem narzuconym przez presję społeczną wyładowuje się (i będzie się jeszcze bardziej wyładowywało) w wybuchach przemocy; albo powoduje nieszczęście, dręczący niepokój, złe samopoczucie.

- Pozostaje faktem - mówię - że ta śmierć, choćby nawet przyjmowana dzięki mądrości chrześcijańskiej i osłodzona nadzieją życia wiecznego, przychodziła trochę zbyt szybko.

- Statystyki są zawsze mylące. Jeżeli ocalało się w pierwszej rzezi śmiertelności dziecięcej, możliwość uchronienia się przed śmiercią aż do późnego wieku nie odbiegała bardziej od naszej. W każdym razie także ten, kto umierał w wieku 40 lub 50 lat, nie odczuwał tej krótkości, jego poczucie zaspokojenia było może większe niż u naszych osiemdziesięciolatków. Nie zapominajmy, że horyzont człowieka przedindustrialnego był odmienny od naszego, otwarty na perspektywę wieczności. I nie jest bynajmniej pewne, czy zyskaliśmy, dodając kilka lat do przeżycia, ale tracąc sens życia i umierania.

- Panie Cardini, jaka jest przyszłość chrześcijaństwa, widziana przez kogoś, kto, jak pan, je studiuje i zarazem w rzeczywistości je praktykuje?

Co jest za rogiem Kościoła?

- Kościół musi ponownie zabrać się do głoszenia tego co wieczne, wymiaru transcendentalnego, przekraczającego historię. Jego cel jest krańcowo "inny" niż cel świata, coraz bardziej głuchego. Może przez krótki czas będzie się udawało utrzymać w katolikach złudzenie możliwości dialogu z zsekularyzowanymi ideologiami świata. Ale w końcu wewnętrzna, głęboka dynamika tych dwóch przeciwstawnych rzeczywistości wyjdzie ponownie na światło. Widzę więc w przyszłości starcie między wizją chrześcijańską a wizją otaczających kultur.

- Nastąpi więc powrót do walki, ujrzymy koniec krótkiego okresu dialogu?

Jego odpowiedź jest niepokojąca:

- Wydaje mi się to nieuniknione, czy się to podoba lub nie, czy się tego chce lub nie. Zostaną obnażone związki z kulturą zachodnią, która głosi z jednej strony wartości w zasadzie zgodne z chrześcijaństwem (sprawiedliwość, wolność, braterstwo), a z drugiej stosuje środki i dąży do celów rozbieżnych z celami chrześcijańskimi.
- Jaką więc proponuje pan receptę wierzącym, aby przygotowali się na te ciężkie czasy, jeżeli kiedyś nadejdą?
- Ja sam odkrywam to w każdą niedzielę uczestnicząc we Mszy świętej, przystępując do Eucharystii: niesłychane rzeczywistości, które wymawiam niewyraźnie w Credo, które wyznaję słowami, nie potrafią mną wstrząsnąć. My chrześcijanie musimy ponownie sobie uświadomić, że oczekujemy na tę niedorzeczność w całym tego słowa znaczeniu, jaką jest wskrzeszenie umarłych. Musimy odkryć na nowo to zgorszenie; i odkrywszy je, ponownie zastosować je do naszego codziennego życia, w oczekiwaniu na wejście do wieczności, do tej naszej rozstrzygającej, decydującej historii; jedynej, która się liczy naprawdę. Słowo historyka...

ROZDZIAŁ XV

pisarz i Pismo Święte

Wzdłuż drogi, którą dotąd przebyliśmy, spotykaliśmy już literatów i krytyków literackich: ale stojących poza wiarą; lub także „kuszonych” przez nią, jednak nie przyznających się do niej całkowicie. Italo Alighiero Chiusano jest natomiast pisarzem świeckim i równocześnie wierzącym, zdecydowanym chrześcijaninem bez kompleksów niższości. Nic więc lepszego dla starania się o zbadanie wyjątkowego Bohatera tych najdziwniejszych wydarzeń, które zostały opowiedziane w Ewangeliach. Chiusano, człowiek literatury, bardzo znany powieściopisarz i krytyk, z wrażliwością i doświadczeniem eksperta i artysty, postawiony wobec Pisma chrześcijańskiego świadczy o rzeczywistości: "Jezus jest niemożliwy do wymyślenia, taka "treść", taki bohater muszą być realni, historyczni, nie mogą być dziełem choćby nie wiem jak zdolnego narratora". Jest to inny niezwykle punkt widzenia, w którym warto zabrać się do usiłowania rozważenia prawdy wiary.

Italo A. Chiusano

Spotykamy się na wzgórzach, które otaczają jezioro Orta. Lato kończy się ponurym dniem: chmury, deszcz, silne porywy wiatru. Coś nieznośnego dla Włocha śródziemnomorskiego, ale nie dla nas, obydwaj trochę bez obywatelstwa, ale obydwaj z korzeniami rodzinnymi lub kulturalnymi w Piemencie, który tutaj już opada ku Lombardii.

Wieś, w której jesteśmy - w lepszych czasach licząca tysiąc mieszkańców, obecnie pięciuset - pozwoliła sobie na siedem kościołów. W jednym z nich, nieoczekiwanie, wielki obraz: posiedzenie Soboru Trydenckiego, namalowane stylem kronikarza. Co robi takie świadectwo historyczne, tak bardzo cenne znalezisko w tej małej, leżącej na uboczu wiosce o nazwie Ameno d'Orta? Rozpytując nieco, dowiaduję się, że tutaj urodził się duchowny, który był sekretarzem wielkiego zgromadzenia, które reformie, jak ją rozumieli buntownicy z Północy, przeciwstawiło reformę katolicką.

Rozmowa od Soboru Trydenckiego wiedzie nas natychmiast, co jest oczywiste, do tego drugiego Soboru Watykańskiego, na którego temat pisarz, eseista, dzisiaj obecny tu jest ze mną, powiedział mi przed laty absorbujące rzeczy:

- Przeżyłem go jako wyzwolenie, jestem nim oszołomiony.
- Czy dzisiaj, w czasach krytycznego ponownego przemyślenia, jest jeszcze pod działaniem tego "oszołomienia"?
- To prawda, widowisko, jakie dało w tamtych latach wielu katolików, którzy wymknęli się z zakrystii, nie było urządzone przez ludzi wolnych, lecz raczej było nieprzyzwoitym widowiskiem stworzonym przez wyzwoleńców, wyzwolonych niewolników. Przez ludzi, którzy zerwawszy łańcuchy, jakie ich więziły, łamali obrazy i meble, bili pana domu i w końcu starali się wszystko podpalić. Ludzi, którzy niestety, przeszli od demonizowania każdej

kultury, o której wiedzieli, że jest laicka, nieklerykalna, do niewolniczego i masochistycznego lizania butów każdego, kto mówił źle o chrześcijanach, o wierze, o Kościele.

Dla niego natomiast to tak nie przebiegało; i nie mogło tak przebiegać. Italo Alighiero Chiusano jest rzeczywiście wierzącym, jest chrześcijaninem, który nigdy nie ukrywał swojej wiary, także w czasach i miejscach, w których inni wybraliby maskowanie się. Ale ten chrześcijanin z podniesioną przyłbicą nie potrzebował Soboru Watykańskiego II, aby pójść na odkrywanie "świata": ponieważ tutaj się urodził, tutaj żył i tutaj chce pozostać.

Katolik świecki więc, jakiego rzadko zdarza się spotkać w naszym kraju. Może także dlatego, że w latach decydujących o formacji jego historia nie rozgrywała się w scenarii miasta włoskiego, lecz we Wrocławiu - wtedy niemieckim, dzisiaj polskim - w którym się urodził; a potem, następowały po sobie takie miasta, jak Ajaccio, Stuttgart, Rotterdam, Sao Paulo w Brazylii, Tetuan, Barcelona. Etapy, jednym słowem, kariery konsularnej ojca, antyklerykała agnostyka, który zdecydował się na ponowne rozpatrzenie problemu religijnego (i nawrócenie się) w stulecie franciszkańskie 1926 roku, w roku urodzin syna. Równie dziwnie - ale nie zbyt - młody Italo Alighiero, oddalwszy się od praktyk i od przekonań religijnych, powrócił do wiary dzięki lekturze Nietzschego. Ależ tak, właśnie jego, proroka śmierci Boga. Mówi:

- Ja, który nie wyczuwałem, i nie wyczuwam żadnej religijności u wielu teologów, znalazłem ją w tym, który chciał stać się Antychrystem, potężny bodziec, aby powrócić do Chrystusa. Natychmiast pojąłem, że ta jego nienawiść nie była niczym innym, jak zawiedzioną miłością, albo może nienawiścią syna luteranckiego pastora spowodowana tym, że on sam nie jest Mesjaszem. Nie zapominajmy, że Nietzsche, gdy całkowicie popadł w szaleństwo, podpisywał swoje listy "Odkupiciel" lub "Ukrzyżowany". Czy kogoś nawróconego przez takiego mistrza mógł kusić klerykalizm? Rzeczywiście, Chiusano zachował wierność Kościołowi i wierze, opierając się jednak skutecznie usiłowaniu wchłonięcia go w tak zwany "świat katolicki". Jest od początku współpracownikiem najbardziej laickiego, jeżeli nie laicyzacyjnego, z dzienników włoskich - "La Repubblica".

Poza tym swoje liczne dzieła (od powieści - Uordalia, La derrota, La prova dei sentimenti, Inchiesta sul mio amore - do studiów z germanistyki - Storia del teatro tedesco moderno, Literatur - do biografii - Goethego, Bólla) opublikował u wielkich wydawców laickich, którzy często mieli go za cenionego doradcę. Trzeba znać tę jego historię, aby rozumieć pewne jego twierdzenia na temat Soboru: który właśnie "wielu katolików doprowadził do tego, że utracili tożsamość, jak gdyby byli pękniętymi balonami", jak powiedział. Ale ten sam Sobór Watykański II, gdyby był odczytywany poprawnie, jako taki mógł być dla wielu autentycznym wyzwoleniem od zbytecznego balastu nakazów uznawanych za nietykalne:

- Przez lata czułem strukturę kościelną ciężącą na mnie jak pancierz. A jednak sądziłem, że nie mogę się od niego uwolnić, myślałem, że również te aspekty ludzkie, mające związek ze szczególnym czasem, stanowiły część woli Bożej; bałem się, że nie wolno mi uwolnić się od nich. Tak więc głowiłem się, dlaczego wydawało mi się, iż jestem zmuszony wybierać między Ewangelią a współczesnym światem.

Krytyk literacki, ale także pisarz, dziennikarz i artysta, nie jest zraniony w swoim poczuciu piękna pewnymi aspektami reformy liturgicznej, która, jak słyszeliśmy, z powodu jej pośpiesznego obrazoburstwa była potępiana także przez wielu niewierzących:

- Musimy starać się zrozumieć, że Bóg, nasz Bóg, Bóg Abrahama i Jezusa Chrystusa, nie jest takim snobem, jak my. Czy zastanawiano się kiedykolwiek nad tym, że cudowne Madonny są zawsze "brzydkie" z punktu widzenia estetycznego?

Jeżeli znaki tego, co Boskie, mogą niekiedy rezygnować z piękna, to nie dotyczy to Ewangelii. Właśnie jako człowiek słowa, jako pisarz mówi o tych czterech książeczkach napisanych w ludowym języku greckim:

- Czy egzegeci "naukowi", krytycy demitologizatorzy nie spostrzegają, że ton Ewangelii jest w każdym wersecie właściwy? Czy nie wyczuwają, że za tymi tekstami, tak prostymi i właśnie dlatego tak bardzo wzniosłymi,

znajduje się jedna ręka, która nakreśliła nam Osobę niemożliwą do wymyślenia, bardziej żywą od każdego żyjącego? - Mówi dalej, zapalając się, oddając się tej namiętności, która porusza jego białą i czarną brodę (czyż nie są namiętni wszyscy bohaterowie jego powieści?): - Czytałem tych uczonych niemieckich lub holenderskich, którzy chcą narzucić nam wiarę, że Jezus jest tylko wytworem mitycznym nie wiadomo jakiej zbieraniny wspólnot Bliskiego Wschodu. To wszystko jest śmieszne. Utrzymując podobne niedorzeczności, ci profesorowie wykazują kompletną niewiedzę, jak się konstruuje tekst, jak rodzi się jego bohater. Wyjątkowością postaci Chrystusa jest właśnie to, że jest niemożliwy do wymyślenia. Można napisać podobną tercynę Dantego, ale wymyślenie zdania Ewangelii jest niemożliwe. Można podrabiać Hamleta, Ulissesa, Don Kichota, Fausta, ale nie Jezusa. I właśnie tutaj człowiek taki jak ja, wrażliwy na pisanie, ponieważ z pisania żyje, natrafia na prawdę Pisma Świętego. Z Jezusa i z wiary w niego lubi przede wszystkim "cielesność, fizyczność: ślinę nałożoną na oczy niewidomego, wino z Kany, krew cierpiącej na krwotoki, chleb i wino Eucharystii". Lubi to, co pisarz Heinrich Boli, laureat Nagrody Nobla, którego Chiusano był tłumaczem, biografem i serdecznym przyjacielem, nazywał "wzniosłą galanterią" Jezusa: jego delikatność, jego szacunek dla kobiet. Lubi miłość Nazarejczyka do dzieci, "które jedyne wyczuwają jeszcze, że wszystko, co nas otacza, jest cudem, że jest cudowniejszą rzeczą spostrzeżać codziennie rano, iż ma się nogi, aniżeli natychmiastowe uzdrowienie paralityka".

Akurat co się tyczy dzieci, ten człowiek, który walczył i cierpiał dla uchronienia swojej kultury laickiej również w przyjęciu wiary, ten antybigot w całym tego słowa znaczeniu, wypowiada straszne słowa o barbarzyństwie tego, kto uważa, iż aborcja jest zdobyczą cywilizacyjną, zasługą społeczeństwa "wyzwolonego":

- Obludna jest nasza kultura, która twierdzi o sobie, iż jest zgorszona karą śmierci, a która pozwala sobie skazywać na śmierć, swoim nie podlegającym dyskusji wyrokiem, tyle istnień ludzkich, ile chce. Ale jakim prawem przypisujemy sobie tę straszliwą władzę? Nie znoszę tych, którzy przyznają, że to prawda, aborcja jest zabójstwem, dodając zaraz jakies jednak... Nie istnieje jednak, które mogłoby być tutaj zastosowane; i jestem wdzięczny tym świeckim, którzy oddzielili się od szału aborcyjnego. Jak wielu katolików, którzy znów wynurzają się z chaosu tych lat, z niemałą ilością blizn, ale może z odnowioną wiarą, ponieważ udręczoną próbami, tak i on odkrywa, że to, co zostało nagromadzone w czasach kontestacji, jest jakby anachroniczne lub wręcz nieludzkie. Czystość, na pewno, począwszy od czystości kapłana ("chciałbym, aby byli wolni w dokonywaniu wyboru, ale żeby 99% wybrało z radością celibat"); lecz także pobożność maryjna ("Zaniebaliśmy ją w tych latach, a teraz boleję nad straconym czasem: może doskonałość nie jest trójką, ale czwórką, Trójca Święta potrzebuje uzupełnienia >sobą ludzką, tylko ludzką"); albo aniołowie ("Jest to jedna z tych rzeczy, które mnie ośmieszają przed moimi laickimi przyjaciółmi: wierzę jednak w te istoty pośrednie, w przeciwnym wypadku byłaby luka między nami a Bogiem..."); lub choćby stare życiowe rady dawnego Kościoła ("Wstawać wcześniej rano: pozostałość, myślałem, społeczeństwa rolniczego; tymczasem także w tym mądrość chrześcijańska miała rację: oglądanie wschodu słońca jest sposobem na to, by czuć się wewnętrznie czystym").

Nic nie byłoby dla niego bardziej niepojęte niż oderwanie się od wymiaru religijnego. A nawet od przestrzeni chrześcijańskiej, ponieważ, mówi, "interesuję się religiami wschodnimi, ale nie pociągają mnie: wydają mi się jak koła, które obracają się na luźnym biegu, kontemplacjami odcieleśnionymi bez przeciwwagi czynu".

Żyje i pracuje z laicystami, jest przez nich szanowany i często ich szanuje (nawet jeżeli, zdarza się spotykać wśród nich, nie mniej niż wśród wierzących, prawdziwie nietolerancyjnych), nie ma żadnego zamiaru zamykać się w kulturze "katolickiej" przeżywaną jako getto; a jednak czuje litość dla tego, kto nie podziela jego wiary:

- Świat ateizmu jest tak bardzo pospolity, nudny, jest tragedią bez wielkości. Jest światem tasiemca, który rodzi się i żyje w ciemnym jelicie i uważa, że inny świat nie istnieje. Gdyby wyszedł z niego na zewnątrz,

odkryłby, jak bardzo, w rzeczywistości, jest ten świat odmienny; czy chciałby może powrócić do tamtego swojego świata? Tak jest z tym, kto zakosztował wiary i owego widoku nowości, światła, które może skierować na sprawy świata. Jeżeli one wydają ci się piękne, co powiedzieć o nadziei życia pozagrobowego, o obietnicy radości wiecznej, o Raju? Rozumiem, że ci święci, którym dano raz spojrzeć na ten pełen światła wymiar, nie pragnęli już potem niczego innego, jak tylko umrzeć.

Co pewien czas uchyla się od jakiegoś pytania, jak gdyby wymawia się od odpowiedzi: nie przez jakąś powściągliwość, przez jakiś wzgląd ludzki.

Mówi:

- Jestem pisarzem, literatem, jeżeli pan chce, artystą: dlatego też moje opinie potrafię jedynie precedzać przez jakąś historię, opowiadanie raczej, niż wyrazić ją z bezpośredniością eseisty lub teologa.

Tego właśnie dokonał (zwłaszcza) w owej nadzwyczajnej Ordalia, która przyniosła mu szeroki rozgłos, kiedy przekroczył już pięćdziesiąty rok życia: z powodu dwóch tylko głosów nie otrzymał Premio Campiello, ale zdobył autentyczną nagrodę, ustanowioną przez publiczność, która pasjonowała się tą historią umieszczoną w tysięcznym roku, ale ze ścisłymi odniesieniami do naszych czasów. Dzieło artysty, lecz również przemówienie o tonach mocnych i pełnych (ktoś powiedział o „dziele literackim z konkretnością romańskiej rzeźby”) przeciwko ustawicznej pokusie pewnych ludzi Kościoła: władza, zamienienie pastorału biskupów lub papieża na grubą kij.

Wizja Kościoła, której przeciwstawia utopię pewnego chrześcijanina, który miał wielkie znaczenie dla jego ojca i wiele znaczył dla niego: Franciszek z Asyżu. Jest to święty, któremu poświęcił dramat (Le notti delia Verna); święty, w którym kocha "tak bardzo doskonale naśladowanie Chrystusa, że ten w końcu wycisnął na swoim uczniu stygmaty jako pieczęć autentyczności". A jednak, między modelem a kopią jest różnica; i to istotna:

- Franciszek jest szczytem swojej kultury. Jezus wychodzi poza wszelką kulturę: w tym mieści się jego tajemnica. W tym mieści się przyczyna, dzięki której czytając Ewangelie, "czuje" się, że Jezus był Synem Bożym; nie zdarza się to przy czytaniu Fioretti. Proszę zauważyć, że człowiek z Asyżu naśladuje Kogoś, a Jezus z Nazaretu nie naśladuje nikogo.

Myśli przez dłuższy czas:

- Czy nigdy nie zastanawiał się pan nad tym drugim nadzwyczajnym aspektem wiary? Chrześcijaństwo jest z definicji naśladowaniem wzoru, a jednak zrodziło i rodzi galerię typów wiernie podobnych do tego jednego wzoru i równocześnie bardzo odmiennych. Świętość jest bardzo urozmaiconą wystawą ludzkiej różnorodności. Przeciwnie, dzisiejsze kultury postchrześcijańskie głoszą odrzucenie wszelkiego wzoru, głoszą samorealizację, osobistą zdolność tworzenia: a rezultatem jest ta niepokojąca jednostajność, ten szereg bałwanów, którzy i mówią, i robią te same banały.

Nie ociągał się, gdy zapytałem go, jaką widzi przyszłość dla chrześcijaństwa:

- Odczuwałem wściekłość a zarazem litość czytając w największym niemieckim przeglądzie literackim wypowiedź podpisaną przez krytyka uchodzącego za jednego z najbardziej miarodajnych, że wiara w Chrystusa jest już "sprawą skończoną". Tego rodzaju twierdzenie świadczy o ślepotcie; jest to także, poza wszystkim, zapominanie o tym, że dzisiaj, jak zawsze, nie istnieje prawdziwa literatura, która by nie była religijna, choćby skrycie lub nieświadomie. Co do chrześcijaństwa, również ataki takie jak ten przekonały mnie, że ono raczej się odmładza, że powraca do sytuacji pierwszych wieków, kiedy spotykało się z wrogością i pogardą panującej kultury. Wtedy chrześcijanie odnieśli sukces - nawet nadmierny, niestety! - nad tymi, którzy patrzyli na nich jak na grupkę pariasów, skazaną na zniknięcie bez pozostawienia po sobie śladu; tak więc my dzisiejsi wierzący powinniśmy mieć ufność, że to, co w nas najlepsze, jeszcze się ujawni. Powtarzam: to, co w nas najlepsze. A to, co w nas najgorsze, niech powróci do piekła, z którego pochodzi. Jak tu mówić, że orędzie chrześcijańskie przebrzmiało! Jak tu mówić, iż "sprawa jest zamknięta"! Powracając do sytuacji pierwszych wieków, powracamy do naszej młodości: ta starożytna i nowo narodzona historia zbawienia rozpoczyna się na nowo.

ROZDZIAŁ XVI

Droga mistyki

Wśród możliwych sond zapuszczanych w tajemnicę religijną, jedną z najbardziej pożytecznych jest na pewno sonda w głąb mistyki. Wspominaliśmy już o niej, uzyskując świadectwo Elemire'a Zoili. Mistyka jest istotnie "bezpośrednim doświadczeniem Bóstwa", osiągnięciem Tajemnicy na drodze intuicji, pomijając nieprzeźroczysty filtr "zamkniętego rozumu".

Konsultowanie się kogoś, kto zna i praktykuje drogi mistyki, jest więc uprzywilejowanym sposobem badania prawdy religijnej.

Warto zatem było wspiąć się na jedno z najpiękniejszych i sławnych wzgórz, aby posłuchać don Divo Barsottiego, jednego z „najwznioślejszych” duchów (a więc odosobnionych i dyskretnych) naszych czasów. Barsotti jest badaczem mistyki i równocześnie sam jest „mistykiem”: innym ważnym świadkiem, który może pomóc rzucić dodatkowe światło na przedmiot naszej ankiety.

Divo Barsotti

Miejsce, mimo wszystkich zniszczeń, należy jeszcze do najbardziej zachwycających miejsc świata: ogrody, renesansowe wille, które widziały "konwersatoria" odrodzeniowych humanistów; Capponcina D'Annunzia; domy angielskich poetów romantycznych i amerykańskich krytyków sztuki; grób Tommaseo. Wzgórze Settignano, które panuje nad Florencją.

Pośród oliwek i cyprysów, jadąc uliczkami przeciskającymi się między murami, taksówka pokonuje ciemny tunel Gamberai, ze słynnym ogrodem w stylu włoskim i dojeżdża do willi. Ona także ma swoją historię jako rezydencja - entre deux guerres - nie wiem jakiej księżnej z Europy wschodniej. Coś z tych dalekich miejsc pozostało na tabliczce koło bramki ("Casa San Sergio"), w napisach i w płaskorzeźbie poświęconych patronowi Rosji, Sergiuszowi z Radoneża, założycielowi klasztoru Trójcy Świętej w Sergijewym Posadzie, świętemu u prawosławnych jak i katolików.

Divo Barsotti tutaj mieszka, tutaj układa swoje spokojne i dobroczynne pomysły, trzymając nici owej nieznannej "Wspólnoty dzieci Bożych" ("Comunita dei figli di Dio"), która gromadzi tysiąc osób wszystkich stanów, na różnych poziomach zaangażowania religijnego. Są ci z pierwszego poziomu, żyjący w małżeństwie; ci z drugiego, którzy żyją w świecie, ale składają śluby; inni z trzeciego i tak dalej, aż do grupki sióstr i zakonników, którzy wybrali życie modlitwy i całkowitego poświęcenia się Wspólnocie. Ci żyją tutaj, w Settignano: na kontemplacji, dwie siostrzyczki pochodzące z Brianzy, które spotykam (mają miniklasztor w domku na krańcach wioski), dołączają do niej przepisywanie, powielanie, wysyłanie medytacji i ćwiczeń duchowych podyktowanych przez Ojca założyciela.

Jest nim właśnie don Divo, kapłan diecezji San Miniato di Pisa, "jeden z najbardziej wzniosłych duchów naszych czasów", według świadectwa Carla Bo.

Człowiek studiów, milczenia, modlitwy: mistyk, kapłan, którego laik Geno Pampaloni chciałby mieć u swojego łoża śmierci, ale nie jest przez to ofiarą pewnego rodzaju alienacji religijnej, ponieważ jego obecność dyskretna ale wytrwała stoi za niektórymi z tych, którzy tworzyli historię Włoch tych dziesięcioleci. Często zatrzymuje się tutaj don Giuseppe Dossetti; przybywał tutaj na górę Giorgio La Pira; czuł się tutaj jak w domu Mario Gozzini, niegdyś filar florenckiego laikatu katolickiego, a obecnie senator, jako niezależny z lewicy, w ugrupowaniach komunistycznych. Chociaż don Barsotti zgadza się na kierownictwo duchowe jedynie tych, którzy trzymają się z daleka od polityki. Dla niego zaangażowanie chrześcijanina w świecie jest bardzo dalekie od jałowych kłótni partyjnych. Jedynie Paweł VI był zdolny wyciągnąć go stąd, prosząc go o wygłoszenie rekolekcji. Był rok 1971, w pełni panował chaos kontestacji, Barsotti (zobaczymy to) nie był i nie jest na pewno pobłażliwy dla tych ustępstw, które zdawały się wciągać także niejednego z hierarchii. Przemawiał z ewangelicznym męstwem, na końcu papież i jego współpracownicy dziękowali mu wzruszeni, ofiarowali mu dary. Często się zdarza, że ten, kto głosił rekolekcje papieżowi, zostaje mianowany biskupem i potem nawet kardynałem.

Nie stało się tak z Barsottim, którego ktoś naprawdę ważny chciał mieć na arcybiskupim tronie Florencji, a który tymczasem - ku swojej uldze, oczywiście - jest jeszcze tutaj, aby się modlić, studiować, głosić kazania, pisać książki (około czterdziestu, wiele z nich zostało przetłumaczonych na główne języki).

Powróćmy do Pawła VI, który prosił go, aby spełnił rolę pośrednika między Watykanem i florenckimi kontestatorami (były to czasy, które wydają się bardzo dawne, Isolotta i innych podobnych ognisk), ale Barsotti był stanowczy. Odmówił ("powinni poczuć ciężar samotności, jaką wybrali przez swoje nieposłuszeństwo"), z tą samą otwartością biblijnego proroka, z jaką napiętnował chrześcijańskich demokratów - Andreottiego, Leone'a, Anselmiego - których podpisy widnieją pod prawem liberalizującym aborcję: "Jestem starym księdzem, który jeszcze wierzy w sąd Boży. A to już się okazało i się okaże z tymi, którzy wybierają rację stanu". Nie należy go przez to uważać za ideologa skłonnego, by zostać jakimś rodzimym Lefebvrem, za integrystę: jako dobry mistyk, ten ksiądz trzyma się raczej na uboczu od chrześcijaństwa integrystycznego.

Słuchałem go, jak mówił na te tematy, w których - według opinii jego "Figli di Dio" oraz wielu innych jest mistrzem, ze względu na wiedzę i na zrównoważenie. Pod koniec dnia spędzonego razem, wśród szumu ulewnego deszczu i pobytu w kaplicy dla śpiewania godzin kanonicznych Wspólnoty, kartkując notatnik zdałem sobie sprawę, że zebrałem szereg krótkich informacji (do podzielenia się nimi lub nie, ale zawsze przemyślanymi i zamierzonymi), które szkoda byłoby rozcieńczać; przedstawiam je tutaj, pod nagłówkami (kursywą), które służą do ich wyodrębnienia. Zresztą, jak ktoś zauważył, fragment i paradoks są rodzajem literackim osobowości dramatycznych; a więc także mistyków, zaangażowanych w dramat zmagania się z boskością.

Papież Jan: "Wiele razy pisałem, że uważam go za jednego z największych świętych tego wieku. Dodając jednak, że pośród oznak jego świętości są także naiwność, wiara, że wszyscy inni w Kościele są tacy jak on: ludźmi pobożności, miłości, wierności. A tymczasem, po zwołaniu Soboru, znalazł się wobec teologów, nawet biskupów, ożywionych urazą, wołą odwetu wobec Rzymu, owładniętych gonitwą za nowinkami za wszelką cenę. On sam zorientował się w tym, do tego stopnia, że tym, którzy obok jego łoża modlili się o odzyskanie przez niego zdrowia, powiedział: Nie, nie módlcie się o to. Lepiej, żebym umarł, lepiej, żeby ktoś inny ujął tę sytuację w ręce»".

Sobór Watykański II: „Newman, anglikanin nawrócony na katolicyzm, w którym został kardynałem, historyk soborów, często powtarzał, że każdy sobór jest zawsze poważnym niebezpieczeństwem dla wiary. Stanowi on instrument, którym trzeba manewrować z wielką roztropnością i stanowczością, powinien być zwoływany po należytym namyśle i wyłącznie dla ważnych spraw. Od pierwszej sesji Soboru Watykańskiego II było widać, dokąd sprawy zmierzały, wobec odrzucenia, lekceważącego i a priori, nawet bez rozpoczęcia dyskusji, wszystkich schematów przygotowanych przez Kurie. Poza tym biskupi powiedzieli natychmiast, że nie zamierzają nikogo potępiać, co jednak oznaczało zrezygnowanie przez nich z ich posługi nauczycieli wiary, depozytariuszy Objawienia. Ich obowiązkiem jest przedstawianie autentycznej wiary i strzeżenie wiernych przed odstępstwami. Biskupi nie powinni zastępować teologów, którzy mają inne zadanie i mogą więc studiować hipotezy, poddawać je pod dyskusję, wydawać oceny: episkopat ma obowiązek mówić nam wyraźnie, w co musimy wierzyć i co powinniśmy odrzucać. Tylko niewielu papieży - i dlatego wcale nie najlepszych - było zawodowymi teologami; nie był nim papież Jan, który natomiast był mistykiem, człowiekiem posłusznym Duchowi Świętemu. Ponieważ biskupi nie postawili na pierwszym miejscu swojego zadania (choć tak głównego i istotnego) zatwierdzania lub potępienia, dokumenty Soboru Watykańskiego II mają język bardziej teologiczny niż doktrynalny. Wręcz (na przykład na niektórych stronicach *Gaudium et spes*) brzmi to jak ton socjologa lub gazetowego felietonisty. Poza tym, w dokumentach stoją obok siebie trzy lub cztery różne teologie: na przykład pierwszy dokument, o liturgii, ma w podłożu wizję misteryjną; ostatni, o relacjach między Kościołem i światem,

jest naznaczony pewnym teilhardyzmem, pewną optymistyczną postępowością. Czekamy jeszcze na geniusza teologii, który potrafiłby dokonać syntezy między tymi różnicami (które, zrozummy to, polegają bardziej na akcentowaniu niż na doktrynie). A więc Sobór Watykański II był błędem? Nie, na pewno: Kościołowi groziło, że stanie się gettem, potrzebne mu było skonfrontowanie się z kulturą świata; w ten sposób jednak zostały położone podstawy pod niebezpieczeństwo zeświecczenia (mondanizzazione), od którego na szczęście Duch Święty go uchronił. Ten sam Duch Święty, który - naturalnie - zapobiegł temu, żeby do dokumentów nie przeniknął błąd; ale jeżeli w Soborze Watykańskim II wszystko jest słuszne, nie jest powiedziane, że wszystko jest stosowne".

Jan Paweł II: "Jeżeli dzisiaj w Kościele dokonuje się odrabianie strat, stopniowe ale pewne, zawdzięcza się je także temu wielkiemu darowi Ducha Świętego dla Kościoła, jakim był wybór papieża Polaka. On rozumiał bardziej niż wszyscy inni, że rolą Piotra jest przede wszystkim to, co mu powierzył Jezus Zmartwychwstały: "Utwierdzaj braci w wierze". Ponieważ to, powtarzam, powinni robić episkopat i papież w Kościele. Jan Paweł II jest także dobrym teologiem, ale nie ten jego aspekt jest dla nas najcenniejszy: tym, co ma znaczenie, jest jego codzienne wzywianie do czystości wiary, do ścisłej karności. On wykazał odwagę w tym, w czym inni się ociągali, pozwalając, aby modni teologowie podawali wszystko w wątpliwość, poczynając od Bóstwa Chrystusa, sprowadzając Jezusa do statusu proroka i przekształcając w ten sposób wiarę w Boga Trójjedynego w filantropijny teizm. Jednak dla innego aspektu uważam za opatrnościowy wybór papieża Słowianina. Kultura, jaką on reprezentuje, pozostawała na marginesie Kościoła łacińskiego, który oddychał tylko jednym płucem Zachodu, podczas gdy płuco Wschodu było w zaniku. Mamy, i to jest przykre, tylko jednego doktora Kościoła z obszaru

germańskiego, św. Piotra Kanizjusza; ale nie mamy dotąd żadnego, i to jest bardzo przykre, z obszaru słowiańskiego. Jest to problem, który odczuwam jako centralny: nie przypadkiem ten nasz dom na Settignano został oddany pod patronat Rosjanina św. Sergiusza, nie przypadkiem poświęciłem wiele studiów teologii wschodniej. Integrując lepiej tę duchowość w ciele Kościoła, my łacinnicy będziemy mogli rozwijać to, co już jest, ale często zagrożone pozostawianiem w załączku: upodobanie do kontemplacji, żywe poczucie eschatologii, chrześcijaństwo mniej racjonalistyczne. Obiecującym początkiem jest fakt, że papież Wojtyła postawił świętych Cyryla i Metodego obok świętego Benedykta jako współpatronów Europy".

Teologowie: "Są dzisiaj teologowie, którzy uważają za możliwe przezwyższenie dogmatów; angażują się w "ponowne odczytywanie", które w rzeczywistości pozbawia je treści. Niezbędne jest otwieranie się na wartości innych kultur, odmiennych od łacińskiej, ale to nie oznacza pluralizmu teologicznego» jak to rozumie wielu: Chrystus jest tym, kto zbiera wszystko, co jest dobrego i pozytywnego wszędzie, ale to wciela, to przekształca, czyni to niepowtarzalnie swoim, w tym swoim ciele, jakim jest Kościół. Na końcu procesu otwarcia» nie ma podziału, nawet nie ma pluralizmu: jest jedność. Widzę następnie zbyt pośpiech u wielu: to, co nakazał Sobór Trydencki, realizowało się przez dziesięciolecia, nawet przez wieki refleksji i pracy. Sobór Watykański II mówił o wszystkim: czy można było wyobrazić sobie zrozumienie i zrobienie tego wszystkiego» w ciągu bardzo niewielu lat? Istnieje także pragnienie rozpoczęcia od nowa, jak gdyby Sobór należało widzieć jako rozłam: jednak życie, począwszy od życia tej żywej istoty, jaką jest Kościół, zawsze zakłada w sobie ciągłość. Wiara następnie jest zagrożona przez nastraszonych teologów: jest to kompleks niższości łacinników przed tym, co zostało napisane po niemiecku, jest to kompleks niższości kultury chrześcijańskiej wobec kultury laickiej, dlatego przyjmuje się na serio każdą nedorzeczność, która pochodzi od niewiary lub agnostycyzmu, bez zwalczania jej w imię prawdy, jakby należało. Lęk także przed niepopularnością, z powodu którego niektórzy przystosowują Ewangelię do oczekiwań ludzi, zapominając, że sam Jezus chciał odebrać złudzenia swojemu narodowi. Czystość seksualna, pokuta, życie wieczne: tematy, których już się unika w głoszeniu kazań, z obawy, aby nie okazać się niezbyt sympatycznym». Ale co w ten sposób zrobimy z chrześcijaństwem?

Miłość chrześcijańska nie jest filantropią: ta stawia na pierwszym miejscu człowieka, tamta pierwsza również człowieka, ale z miłości do Boga. A to zmienia wszystko".

Liturgia: "Ta, która trwała do Soboru Watykańskiego II była piękna, ale niekiedy jak gdyby martwa, tak że lud chrześcijański dla swojego życia wiary musiał uciekać się do prywatnych praktyk pobożnych. Ale odnosi się wrażenie, że reforma doprowadziła do czegoś jeszcze mniej żywotnego niż to, co było przedtem. Może dlatego, że została wypracowana przy biurku, między uczonymi; a życia nie tworzy się studiami i prawami. Należało być bardziej uważnym, aby nie zniszczyć nic z tego, co było wartościowe. W ten sposób upadły różne formy kultu, rodzaje pobożności, a równocześnie nowa» liturgia nie została zestrojona z ludźmi; Biblia powinna być pozostać, ale ponieważ zabrakło poważnego pogłębionego wtajemniczenia biblijnego, lud katolicki stał się jak gdyby bezbronny»".

Maryja: "Ktoś chciał Ją umieścić w kącie, wprowadzić milczenie wokół niej, nawet odczytać na nowo» (naturalnie w znaczeniu pomniejszającym) prawdy, które się do niej odnoszą. Zapominano o wielkim prawie chrześcijaństwa, zawsze potwierdzanym przez historię: kto uderza w Maryję, niszczy Jezusa. Największą tajemnicą wcielenia może nie jest fakt, że Bóg stał się człowiekiem; jest nią to, że stał się człowiekiem czyniąc się synem kobiety, która dzięki temu może rzeczywiście nazywać się Matką Bożą». W ten sposób między Bogiem a człowiekiem powstaje radykalnie nowa, sensacyjna relacja. Także jeśli chodzi o Maryję dochodzi na Soborze do sporu, często z powodu kompleksu niższości wobec egzegezy biblijnej racjonalistycznego pokroju, jak w liberalnym» protestantyzmie. W ten sposób odrzucono schemat specjalnego dokumentu maryjnego i zdecydowano się raczej na poświęcenie Najświętszej Maryi Pannie końcowego rozdziału Konstytucji o Kościele: jednak także tutaj Duch Święty czuwał i to, co wydawało się redukcją (a według niektórych, powinno nią być) okazało się szczęśliwym i owocnym wyborem. Potwierdziła się w ten sposób prawda, według której to, co się mówi o Maryi, można mówić o Kościele, i odwrotnie. Maryja i Kościół: obydwoje sponsae Verbi, oblubienice Słowa Wcielonego. Mówił mi pewien soborowy ekspert: Po zatwierdzeniu dokumentu, my, którzy nad nim pracowaliśmy, odkryliśmy ze zdumieniem, że pewne zdania przekraczały to, co chcieliśmy powiedzieć, że przybrały one nowy wy-dźwięk». Oto jest właśnie ta asystencja Ducha Świętego, której nie zabrakło Soborowi, mniej niż kiedykolwiek właśnie wtedy, gdy Sobór dyskutował na decydujący temat o Matce Bożej".

Modlitwa: "Młodzi są jej spragnieni, odkrywają ją ponownie jako potrzebę życiową. Wielu jednak zwraca się do koncepcji i technik, które pochodzą ze Wschodu i które nie dają się pogodzić, mimo pewnych pozorów, z autentyczną modlitwą chrześcijańską. Jest ona zawsze doświadczeniem dramatycznym, ponieważ jest stosunkiem osób do Boga Trójjedynego, do Boga Osób. Tymczasem współczesna myśl zachodnia i wiele religijności wschodnich proponują człowieka jako kres ostateczny, jako Boga dla siebie samego. Wiele modlitw, które pochodzą ze Wschodu, pozwala człowiekowi opanować siebie samego, ale bez przekroczenia siebie: niejako usiłowanie bycia jak bogowie». To ostatnie jest doświadczeniem, do którego dąży hinduizm. Islam natomiast, akcentując silnie i jednostronnie jedność Boga, jego transcendencję, jego absolutną wolność bez styczności z człowiekiem, zabrania temu ostatniemu wejść w relację z Nim. W gruncie rzeczy odkrywa się, że autentyczna relacja człowiek-Bóg w modlitwie jest możliwa tylko wtedy, gdy Bóg jest Trójcą, gdy więc istnieje relacja już w nim samym, w jego wnętrzu".

Oto więc niektóre fragmenty, jakie znalazłem studiując notatnik i które postarałem się przepisać nie sprzeniewierzając się myśli tego starego, surowego i zarazem serdecznego księdza, z pojawiającym się często na jego twarzy uśmiechem, który rozświetla oczy łagodnym światłem. Mówiliśmy o jego Wspólnocie, którą pragnie nazywać "Wspólnotą dzieci Bożych" nie z pychy, lecz przeciwnie, z pokory: należenie do niej nie jest niczym innym jak uznawaniem się za członków Kościoła.

- Co robicie w tej Wspólnocie? - zapytałem trochę naiwnie.

Odpowiedź don Barsottiego była dokładna i szybka:

- Głównym zadaniem jest osobiste uświęcenie: stąd, i tylko stąd może

wypływać zaangażowanie w apostołacie lub w pracy społecznej. W perspektywie chrześcijańskiej nie tworzy się wspólnoty dla jakiegoś celu dobrego, ale zewnętrznego: przede wszystkim współdziała się razem w staraniu o uszlachetnianie, z większą skutecznością, samych siebie. "Dzieła" przychodzą potem, w sposób nieuchronny i naturalny. Jeżeli drzewo jest dobre, z pewnością wyda dobre owoce. Ale biada, jeżeli się zapomni (jak to się dzisiaj często zdarza) dać to pierwszeństwo drzewu, to znaczy nam. Pierwsze więc miejsce dla cnót boskich (wiara, nadzieja, miłość), dla kontemplacji, dla modlitwy. I to można, to powinno się czynić w każdej sytuacji społecznej, małżonkowie i bezzenni, zakonnicy i pracujący zawodowo, gospodynie domowe i robotnicy.

- A jaka jest księdza rola, Ojczy?

- Najbardziej dyskretna, jak to tylko możliwe, kierownictwo duchowe staranne i ciągle, ale które nie blokuje życia Wspólnoty klerykalną autokracją.

Spogląda na mnie uśmiechając się ponownie:

- Czy pan, jako świecki, nie jest przekonany, że wszyscy świeccy powinni być trochę antyklerykałami? Musicie bronić waszej autonomii, tak jak my musimy spełniać naszą rolę. W Kościele każdy ma swoje miejsce: dom Boga Ewangelii jest tak bogaty, ponieważ jest w nim bardzo wiele miejsc, wszystkie są różne i wszystkie są sobie wzajemnie potrzebne, jedno drugiemu.

ROZDZIAŁ XVII

W poszukiwaniu utraconej jedności

Do aspektów, które najbardziej charakteryzują dzisiejsze chrześcijaństwo, należy z pewnością troska ekumeniczna: poszukiwanie mianowicie jedności wśród różnych kościołów i wyznań, które powołują się na tę samą Ewangelię. Jedność wierzących stanowi między innymi jeden z warunków "aby świat uwierzył, że ty, Ojczy, mnie posłałeś", jak Jezus woła w modlitwie, którą żegna się ze swoimi uczniami.

Biorąc pod uwagę ważność i aktualność tematu, z pewnością niewystarczająca jest uwaga, jaką w tej książce można poświęcić sposobom zrozumienia wyznań chrześcijańskich odmiennych od katolickiego. Jak zostało to już powiedziane w związku z opiniami pochodzącymi z obszaru marksistowskiego (a które, z racji szczupłości miejsca, nie znalazły się tutaj) także dla relacji między chrześcijanami, zamiarem jest pogłębienie dyskusji w kolejnym ..odcinku" tej ankiety.

Mimo tych ograniczeń, test, który prezentujemy wydaje nam się ważny: Vittorio Subilia i Max Thurian reprezentują w świecie protestanckim dwa różne sposoby rozumienia ekumenizmu.

Subilia, pastor waldenski, pisarz i uczyony znany na poziomie międzynarodowym, reprezentuje skrzydło "nieprzejednane" Reformacji i walczy o to, aby obowiązkowy dialog między chrześcijanami nie przerodził się w powierzchowne i złudne "embrassonsnous", które ignoruje problemy zasadnicze.

Max Thurian, również pastor, o formacji kalwińskiej, także teolog i bardzo znany pisarz, jest razem z Rogerem Schutzem inicjatorem duszą tej nadzwyczajnej "Wspólnoty z Taize", w której katolicy i prawosławni żyją obok protestantów, którzy odkryli ponownie doświadczenie monastyczne, tak zdecydowanie odrzucone przez reformatorów XVI wieku i przez całą ich tradycję. Tak więc Taize jest niespodziewaną chrześcijańską nowością ekumeniczną, która przyciąga do siebie wciąż rosnące tłumy, przede wszystkim młodych.

Vittorio Subilia

Na pewno Vittorio Subilia nie jest autorem bestsellerów; nigdy nie był modnym teologiem; nie należy nawet do "ekspertów" bonsdtout-faire, jacy nękają gazety i telewizyjne okrągłe stoły. Mimo to (a może właśnie dlatego) warto pójść odwiedzić go, wspinając się na wzgórze tuż obok Watykanu. Z tego miejsca podziwia się jeden z najpiękniejszych widoków ogromnej kopuły,

która króluje bardzo bliźniutko. Ta fizyczna bliskość San Pietro ma lekko paradoksalne zabarwienie. Subiliowie są rzeczywiście waldensami od 1275 roku; Vittorio od dziesięcioleci kieruje przeglądem "Protestantesimo", jedynym wiarogodnym głosem, na poziomie naukowym, włoskiego ewangeliz-mu; przez 26 lat najbardziej wyróżniał się wśród profesorów, także na terenie międzynarodowym, waldenskiego wydziału teologicznego, w którym pełnił również funkcje dziekana; na Soborze, podczas wszystkich czterech sesji był oficjalnym obserwatorem z ramienia światowego Porozumienia Reformowanego, które gromadzi Kościoły modelu kalwińskiego. Jednak jego kontakty z Pawłem VI były częste: między nim a Montinim wytworzyła się relacja szacunku i zaufania, jak to jest naturalne między dwoma ludźmi uczciwymi, konsekwentnymi w potwierdzaniu tego, co jest specyficzne dla własnego wyznania chrześcijańskiego.

Wystarczająco dużo było powodów, aby przyjść i zakłócić spokój tego profesora zarazem surowego i serdecznego, aby rozpatrzyć z nim decydujący, obecnie centralny problem ekumenizmu, szukania utraconej jedności między wierzącymi w tego samego Chrystusa.

Człowiek reformy Valdesa i Kalwina, redaktor pisma "Protestantesimo" nie ma na pewno reputacji dobrodusznego ekumenisty, skłonnego do taniego dialogu. Dla niektórych, także wśród współbraci, jest "twardy", jest "jastrzębiem". Jednak, po wielu godzinach dialogu, mam wrażenie, że to, co niektórzy brali za zamknięcie, w rzeczywistości jest poważną wolą niełudzenia i niełudzenia się, sięgania do korzenia problemu jedności.

- Ideał ekumeniczny - precyzuje natychmiast - został opisany za pomocą sugestywnego obrazu przez Visser't Hoofta, który przez długi czas był sekretarzem Ekumenicznej Rady Kościołów w Genewie: wyznania chrześcijańskie są jak szprychy koła, które ma swoje centrum w Chrystusie. Każdy Kościół powinien poważnie ponownie nawrócić się do Ewangelii i w odnalezionej wierności odnaleźć także jedność z innymi.

- Ale czy to się stało? - pytam.

- Nie. Jestem oskarżany o pesymizm, w rzeczywistości jestem realistą ujawniając, że to nawrócenie się nie dokonało. Bez ewangelicznego oczyszczenia jedność jest daleka. W konsekwencji nieskuteczny jest nowy zapał w ewangelizacji świata, który nie potrafi przyjąć orędzia przynieszonego przez podzielonych zwiastunów.

W bezlitosnej analizie Subilii, "w miejsce ekumenizmu prawdziwego, ekumenizmu skruchy, jedności, misji, stworzono sobie różne rodzaje ekumenizmu sfalszowanego".

Przede wszystkim, szerzy się dzisiaj ekumenizm sentymentalny: ekumenizm tych, którzy uważają podziały wśród chrześcijan za nieporozumienia bez poważnego uzasadnienia, za epizody złego humoru, za trudności wymyślone przez zawodowych teologów za plecami biednych wierzących. Natomiast według Subilii podział między chrześcijanami nie jest skutkiem ekstrawagancji reformatorów: "Protestantyzm, jako zjawisko historyczne, może także zniknąć, ale pozostanie zawsze jako bodziec, ponieważ odzyskuje siły w Ewangelii, która wzywa wszystkich do radykalnego nawrócenia".

Posuwając się dalej w swojej analizie ekumenizmów "sfalszowanych", wyodrębnia drugi: ekumenizm dyplomatyczny, dla którego "Kościoły pozostają tym czym są, natomiast w złudzeniu ponownego zbliżenia ich uprawia się umiejętność dozowania, kompromisu, mediacji". Ekumenizm szczytu, przywódców kościelnych, którzy dążą do nowej jednolitej struktury, choćby poszerzonej, która utrzymuje dyscyplinę poszczególnych Kościołów.

Następnie trzeci ekumenizm, który demaskuje z mocą, na równi z innymi: ekumenizm socjopolityczny, uprawiany przez tych chrześcijan różnych wyznań, którzy łączą się na podstawach przede wszystkim ideologicznych, dla zwalczania mieszczańskiego społeczeństwa. Jest to unia, jak mówi, "w której podobieństwo wyborów społecznych jest brane za wspólnotę chrześcijańską, podczas gdy przemilcza się istotne różnice, które są - czy się tego chce, czy nie - teologiczne, religijne". Zbieżność operacyjna, a więc tymczasowa: na pewno nie jedność autentyczna. Była to mieszanina powstała przede wszystkim z podniecenia odległego już roku 1968, która, po upływie tego okresu mitów i utopii, utrzymuje się sama dla siebie.

Jakkolwiek by było (pośród zamieszania teologicznego, powierzchowności,

niejasności, politycyzmów, klepania po plecach między lekkomyślnymi ludźmi różnych wyznań) ekumenizm jest dzisiaj na nowo w trudnej sytuacji.

- Jednak, czy sytuacja jest naprawdę tak mroczna, także w świetle nielicznych, ale na pewno pozytywnych nowin w tych ostatnich czasach?

Według wielu, także protestantów, liczne nieufności, bariery, nieporozumienia upadają...

- Och, na pewno - odpowiada i nietrudno dostrzec gorycz w jego głosie. -

Na pewno, ponieważ w jakiś sposób znika rozmówca z Rzymu. Liczne Kościoły protestanckie nie wyrażają już jasno swoich stanowisk. Przynajmniej od dwóch wieków my, zrodzeni z Reformy, znajdujemy się w kryzysie, jednak dezintegracja osiąga obecnie fazę najbardziej krytyczną.

Cytuje co powiedzieli na kongresie ekumenicznym w Niemczech Moltmann i Pannenberg, dwaj spośród najbardziej prestiżowych i miarodajnych teologów protestanckich: dla obydwóch rola papieżstwa byłaby "nie tylko możliwa, ale także konieczna i pożądana".

- A nawet tekst niemiecki mówi "istotna!" - dodaje profesor. - W sumie całkowita zdrada starych reformatorów, którzy w każdym papieżu, nawet gdyby był święty - widzieli zawsze w każdym wypadku "Antychrysta", uzurpatora (a nie wikariusza, reprezentanta na ziemi, jak uważają katolicy) Jezusa Chrystusa.

Jakie są przyczyny, pytam, tego spadku napięcia protestantyzmu? Do głównych powodów, dla Subilii, należy ustępstwo przed kulturami i mentalnością świata, przed dzisiejszymi idolami. "Zwłaszcza począwszy od Oświecenia i romantyzmu, radykalizm zasady Sola Scriptura rozplynął się w ogólnikowym humanizmie, w pietyzmie». Ale, zauważam, ten sam proces miał szeroki wpływ na katolicyzm, który mimo to wykazuje się poważną odnową. "Katolicyzm może liczyć na wiele innych rezerw. Rzym ma poczucie historii, kroczy wraz z nią. Potrafi przystosować się i przeżyć, podczas gdy specyficznym powołaniem protestantyzmu jest kontestowanie historii". Jednak, uważa za konieczne podkreślić, biorąc pod uwagę ewangeliczny paradoks, obecna "agonia protestantyzmu" jest wbrew wszystkiemu znakiem wiernego przylegania do Ewangelii: "Każde chrześcijaństwo zwyciężające zaprzecza krzyżowi. Przeznaczeniem wiary w Jezusa nie jest zniknięcie ani odniesienie sukcesu, lecz przetrwanie jako głos krytyczny mniejszości. Właśnie w chwilach, kiedy noc jest najbardziej ciemna, wierzący wie, że Chrystus bezsilny na krzyżu jest Panem zmartwychwstania".

- Pewna staruszka z dolin zamieszkałych przez waldensów - opowiada - została wdową; do tego była ułomna i nie miała krewnych, którzy mogliby ją utrzymywać. "Co teraz będzie robić?", zapytał ją zatroskany pastor. "Co będę robić? Co ja mam do tego? To On ma sobie poradzić z tym". - Oto - komentuje - to co pozostaje z autentycznego protestantyzmu, powinno przyjąć postawę tej staruszki, która dała lekcję wiary pastorowi: nasze przetrwanie nie jest sprawą ludzi, lecz Boga Abrahama i Jezusa.

Jest to zresztą owym obowiązkowym uznaniem siebie za serni mutili (śludzy niepożyteczni), które powinno cechować każdego chrześcijanina, z jakiegokolwiek wyznania. Po wysłuchaniu go wyliczającego z brutalną jasnością liczne niebezpieczeństwa, jakie dzisiaj zagrażają wierze katolickiej, widziałem kardynała Josepha Ratzingera na którego spada instytucjonalny obowiązek starania się o zahamowanie tych niebezpieczeństw) rozkładającego ramiona: "Tak, sytuacja jest poważna. Ale Kościół nie jest nasz, jest Chrystusa, do Niego należy troska o niego. Od nas wymaga się pracy bez oszczędzenia wysiłku, jednak z duchowym spokojem tych, którzy wiedzą, że to nie ludzie Kościoła ocalą Kościół Pana".

W każdym razie, według analizy profesora Subilii, protestantyzm jest w kryzysie, nawet jeżeli ewangelicznie zbawiennym, gdy tymczasem katolicyzm, dzięki swojemu poczuciu historii, przechodzi go o wiele lepiej. Ale, przechodząc do konkretnego, jakie jest zdanie redaktora pisma "Protestantesimo" o tym "nowym" Kościele rzymskim? Także tym razem odpowiedź nie jest na pewno schlebająca:

- W odróżnieniu od niektórych protestantów, ja nigdy się nie łudziłem.

Katolicyzm się przeobraża, pozostając jednak sobą. Posiada zdolność włączania w siebie kultur, umieszczając je w swoim schemacie.

- Ale - mówię - ten Papież niespodziewany i nieprzewidywalny, przybyły z

daleka... - Karol Wojtyła jest człowiekiem godnym szacunku: jest katolikiem szczerym, autentycznym, bez zakłamań. Dlatego też z wigorem broni tradycyjnej teologii katolicyzmu. Ale ta obrona wypada dobrze, stanowiska są przynajmniej jasne. Jest zupełnie niesłuszne gorszenie się pewnymi stanowiskami Jana Pawła II, a nawet twierdzenie, że są "konserwatywne": są stanowiskami katolicyzmu i zresztą ściśle opartymi na dokumentach Soboru Watykańskiego II.

Aby zrozumieć twarde (ale bardzo szczerze) stwierdzenia Subilii, trzeba może niektórym czytelnikom przypomnieć, że za tymi stanowiskami stoi radykalizm Reformacji początków. Ten sam radykalizm mianowicie, na który Subilia zawsze w życiu i w pismach się powoływał, niestety w przeciwieństwie do braci w wierze bardziej "ugodowych". Chrześcijanin z tradycji protestanckiej nie może mówić et - et, i - i: przyjmować mianowicie Ewangelię, a obok niej inne rzeczywistości, inne wartości. Wierzący, jakiego chcieli reformatorzy, jest natomiast wezwany do aut - aut, albo - albo: albo Chrystus, albo świat, albo Pismo Święte albo filozofie, albo wiara albo religia. Jak mówi Subilia:

-Jezus doprowadza nasze schematy do kryzysu: wzywa nas do dokonania wyboru. Jeżeli go przyjmujemy, bardziej niż potwierdzenia naszych pewności znajdujemy kryzys wszystkich pewności. Jesteśmy wezwani do metanoia, to znaczy do całkowitego nawrócenia, do zmiany mentalności. Wobec niego punktem odniesienia nie może już być nasze ja, lecz Bóg".

Dla Subilii, jak dla całej tradycji chrześcijańskiej, na którą się powołuje (nawet jeżeli dzisiaj w dużej części milcząco porzucona, do tego stopnia, że często jest izolowany nawet wśród swoich braci waldensów), Chrystus nie przyszedł po to, aby sakralizować historię i Jej wartości, ale aby ją przerwać. Począwszy od Jezusa istnieje przeciwstawienie między myśleniem "według ciała" a myśleniem "według ducha": w tym znaczeniu wiara nie jest wygodnym "humanizmem", lecz "antyhumanizmem" w całym tego słowa znaczeniu.

Każdy "humanizm chrześcijański" istotnie upadłby w naszej perspektywie, jest nie do przyjęcia z punktu widzenia wiary. Według obrazowego wyrażenia Kalwina, które Subilia często powtarzał, "Bóg nie jest nosem z wosku", Bogiem nie można manipulować, aby przybierał taki kształt, jaki mu nadamy, według naszych pragnień. Także dlatego jest zaniepokojony: "Z epoki konformizmu przeszliśmy do innej, do epoki bałwochwalczego podziwu, także w Kościołach, dla współczesnych mitów. Jezus tymczasem jest antymitem, jest niszcycielem modnych idoli".

Ten profesor (który oprócz tego, że jest teologiem, jest także biblijnym egzegetą) nigdy nie był entuzjastycznym uczniem Rudolfa Bultmanna, sławnego protestanckiego lidera "demitologizacji" Ewangelii. Dla Bultmanna demitologizacja oznaczała posuwanie się do twierdzenia, że nie możemy niczego wiedzieć, historycznie pewnego, o życiu i wypowiedziach człowieka Jezusa. Ale to, według niemieckiego uczonego, nie powinno doprowadzać naszej wiary do tryzysu, lecz raczej ją powiększyć, dając jej ochronę przed niebezpieczeństwami krytyki. Chociaż nie podążając za luteraninem Bultmanem, aż do tego punktu, waldens Subilia nie gorszy się tak krytyką, która spowodowała kryzys u wielu wierzących: Także demitologizacja Ewangelii może mieć swoje pozytywne znaczenie, wolności od naszych przesądów. Krytyka uwalnia wiarę od wszelkich utworzonych przez nas podpierających szczudeł. Również tutaj, wobec Boga, który objawił się w Jezusie, musimy uwolnić się od naszych zwyczajnych schematów. Wiara jest ryzykiem, paradoksem, hazardem, zgorzeniem dla tego, kto rozumuje jak świat: nie jest wynikiem ludzkich dowodów".

Stąd odrzucenie wszelkiej apologetyki, która nie zrodziłaby się z "oczywistości", jaką pod darmowym wpływem Ducha uzyskuje czytelnik z Pisma Świętego, dając mu z pewnością "odczuć", że w nim znajduje się prawda. Jest to owo całkowite odrzucenie rozumu ("prostytutki diabła", jak go nazwał Luter), jakie katolikowi wydaje się nieuzasadnione, skoro także ludzka zdolność rozumowania jest darem Boga udzielanym po to, aby się nim posługiwać: na pewno nie po to, aby tajemnicę wiary sprowadzać do pewnego rodzaju tematu, który można rozwiązać w sposób niepodważalny dla każdego, nie po to, aby zakład o Ewangelię uczynić "rozumowym" (ale jednak "rozumnym"). Tutaj działa jeszcze protestanckie aut - aut: albo wiara, albo

rozum. Katolik natomiast uważa akt wiary za bardziej złożony, za wspólne dzieło - według zresztą logiki Wcielenia - Boga i człowieka: na pierwszym miejscu, co zrozumiałe, absolutnie konieczna Łaska tajemnicza i darmowa, która wzywa i nawraca, wspomagana jednak, przedtem i potem przez wolę i przez rozum.

Podobnie, a może jeszcze bardziej niż katolicka, wspólnoty protestanckie doznają udręk z powodu zaangażowania politycznego wierzących. Polemika obejmuje wszystkie publiczne przejawy protestantyzmu włoskiego: program telewizyjny, gazety, kierowanie dziełami kościelnymi; każdy wybór wzbudza namiętne dyskusje wielu uczestników. W centrum dyskusji nie znajduje się wiara, lecz jej konkretne zastosowanie w społeczeństwie: zbyt "na lewo" dla niektórych, to znowu "konserwatywne" dla innych. Jak ocenia to Vittorio Subilia? Jego odpowiedź, jak zawsze, nawiązuje do Ewangelii, do słowa Boga objawionego w Piśmie Świętym. Zauważa przede wszystkim, że idol polityczny, sakralizowany przez świat grecko-rzymski, został doprowadzony do kryzysu z wszystkimi innymi przez rodzące się chrześcijaństwo. Wierzący w Jezusa nie istnieje tylko w jednym wymiarze: nie zna wyłącznie dysput na placach polis; z drugiej strony jednak nie zamyka się w świątyni, ponieważ jest naśladowcą Tego, który zburzył świątynię.

-A więc - mówi - pierwszym przykazaniem chrześcijanina, w relacji wiara-polityka, jest demitologizacja polityki. Przepowiadanie ewangeliczne w naszych czasach musi sprzeciwiać się powrotowi tego starego pogańskiego idola we wspólnotach chrześcijańskich i poza nimi.

Ale, obok tego pierwszego przykazania staje natychmiast drugie: wiara jest przeciwieństwem odcieleśnionej duchowości ("nie jest balonem, który nas unosi w metafizyczne niebo, gdzie dyskutuje się tylko o subtelnych problemach duchowych"), Ewangelia stawia każdego przed odpowiedzialnością także społeczną. "Nie możemy odsunąć się od historii, gromadząc czystych, a pozostawiając innych, aby sami sobie radzili ze swoimi biedami".

Ale ta odpowiedzialność, którą obowiązkowo trzeba przyjąć, powinna być przyjęta z krytyczną wolnością wobec przeciwstawnych stanowisk. Otóż: wierzący nie powinien wyczerpywać się w małych dyskusjach między małymi politykami w małym kraju. Powinien raczej zabierać zdecydowany głos na wielkie tematy, które dotyczą człowieka, uświadamiając sobie, że prawdziwa sprawiedliwość i wolność znajdują się u końca historii, ale stawiają swoje wymagania w historii: "Odkrycie naszego prorockiego powołania, naszej roli mniejszości zawsze krytycznej wobec każdego konkretnego systemu: oto co byłoby potrzebne nam, chrześcijanom, aby stać się na nowo żywymi i wiarygodnymi".

Max Thurian

Max Thurian ma spokojną twarz, silną budowę ciała, gestykulację powolną jak niektórzy proboszczowie z Północy. On, kalwin, przestrzega jeszcze surowego sposobu ubierania się, klerykalnego, z którego zrezygnowali już księża katolicy. Widząc go jedzącego powściągliwie obiad przy stole bufetu dworca Genewa-Cornavin, można by pomyśleć, że ten człowiek ubrany całkiem na czarno jest proboszczem z prowincji, który przybył do miasta załatwić sprawy. Tymczasem jest on jednym z najbardziej znanych teologów chrześcijańskich, jest pomocnikiem Rogera Schutza, jest mistrzem nowicjuszy w historycznej ekumenicznej "Wspólnocie Taizé", w której protestantyzm (zapoczątkowany przez zakonnik, który zrzucił habit, i aby dać następny dowód tego, co o tym myślał, ożenił się z zakonnicą oraz miał zamiar zamieszkać z rodziną w klasztorze, już wtedy pustym, w którym niegdyś żył) odkrył życie zakonne, celibat, monastycyzm i żyje nim razem z braćmi katolikami oraz prawosławnymi. To właśnie takim ludziom, jak Thurian i Schutz, nierozdzielny towarzyszom i bezdyskusyjnym przywódcom długiej już przygody Taizé, chrześcijanie wszystkich wyznań zawdzięczają wielką część odbytej drogi ekumenicznej. Gdy wielu zwierza się z nieufności, może zmęczenia, pesymizmu co do najbliższej przyszłości ekumenizmu, wydawało się nam czymś ważnym wysłuchać opinii kogoś, kto stale pracuje z pasją (i owocnie) na rzecz zjednoczenia. Jest to

druga strona medalu przedstawionego z taką wyraźną namiętnością przez Vittoria Subilię; mówię o tym nie ze względu na ów naciągany optymizm i to do ostateczności, który cechuje zbyt wielu chrześcijan, lecz dla potwierdzenia złożoności spraw w obecnym chrześcijaństwie.

- Od czterdziestu lat pan, pastore Thurian, mówi i pisze o Jezusie. Ale kim naprawdę jest dla pana ten Człowiek, któremu poświęcił pan życie?

- Jezus jest dla mnie związany z pewnym doświadczeniem z dzieciństwa. Cała moja działalność w Taize wywodzi się także z tego wspomnienia. Pochodzę z rodziny kalwińskiej. Moja babka była bardzo religijna, miała w swoim pokoju duży obraz: wieczerza w Emaus, połamany chleb, radość i niedowierzanie, jakie zaczynają pojawiać się w oczach uczniów. "Widzisz - mówiła - nigdy nie jestem sama, Jezus jest zawsze ze mną". Byłem zakłopotany, nie potrafiłem zrozumieć: jak mógł Jezus, ten z obrazu, być zawsze z babką? W naszym Kościele reformowanym uczestniczyło się w Wieczerzy, to znaczy przystępowało się do Eucharystii cztery razy w roku:

Boże Narodzenie, w Wielkanoc, w Zielone Świąta oraz w dzień nazywany "Postem federalnym". Babka prowadziła mnie do świątyni, w ręce miała kwiaty. "Trzeba zachować milczenie - nakazywała - Jezus jest tutaj". Otóż od tego czasu Jezus jest dla mnie przede wszystkim obecnością, tym, kto znajduje się obok nas; jest tym, kto żyje w Kościele i w Eucharystii.

- Ta Eucharystia, która ma tak bardzo ważne miejsce w pana refleksji teologicznej.

- Książka którą jej poświęciłem, jest mi bardzo droga: sądzę, że także dla mnie najważniejsza. Eucharystia jest istotną więzią naszej wiary: w niej spotyka się Chrystusa w najgłębszy sposób. Stanowi to zresztą głębokie przekonanie chrześcijan każdego wyznania, wbrew pewnym chrystologiom "liberalnym" i "demitologizującym". Moja babka żywiła głęboką wiarę w realną obecność Jezusa w Eucharystii i nie troszczyła się o to, co mogliby na ten temat powiedzieć teologowie. Na szczęście istnieje nie tylko wiara nas, teologów. Istnieje także wiara, która jest darem, istnieje głęboki instynkt wierzących. Często, podczas rozmów ekumenicznych, słyszę twierdzenie, że my reformowani nie wierzymy już w realną obecność Jezusa w Eucharystii. Ja jednak znałem prostą, podeszłą w latach kalwinkę, dla której żywotną była komunია z Chrystusem, w chlebie i winie.

- Tysiące mężczyzn i kobiet, każdego wyznania, z każdego kraju, każdego wieku przechodzą co roku przez Taize. Jaki jest dzisiaj wasz sposób przedstawiania im Ewangelii?

- Właśnie dlatego, że jesteśmy świadomi, iż wiara żyje w żywych ludziach, że nie jest ona tylko faktem z podręczników, ale konkretnym życiem, staramy się, aby pierwszy kontakt miał miejsce z grupą braci, którzy śpiewają, modlą się, oddają cześć. Dla tych, którzy szukają wiary lub są dla niej obojętni, stanowi to może jedyny skuteczny środek do doprowadzenia ich do refleksji, a następnie do owocnego dialogu: kontakt z Kościołem żywym. Po rozbudzeniu w ten sposób zainteresowania dla wiary, jak mówicie o Jezusie komuś, kto was o to prosi?

- Sądzę, że nie istnieje tylko jedna katecheza; ale jest ich tyle, ile jest konkretnych osób. Zawsze jednak obstajemy przy dwóch aspektach, które wydają mi się fundamentalne: przede wszystkim, żywa obecność Jezusa. Jest to moment "kontemplacji". A następnie "współczucie", konieczność wzięcia na siebie, za Jego przykładem, bólu i cierpienia braci: souffrir avec, cierpieć razem. Stąd wypływa spontaniczna potrzeba zaangażowania się, także społecznego.

- Są dwa aspekty, które wydają się akcentowane przez motto stanowiące program dorocznego spotkania ("Sobór młodych") w Taize: "Walka i kontemplacja". Obok wymiaru "horyzontalnego" (walka) postawienie wymiaru "wertykalnego" (kontemplacja).

- Tak jest. Chrześcijanin jest człowiekiem zaangażowania i równocześnie modlitwy. Nam nie mogą wystarczać pochody, sztandary, slogany polityczne. Tak samo, jak zaangażowanie dla braci nie może być widziane zawsze i tylko gdzie indziej, jak bardzo często się to działo: w Nikaragui, w Chile lub w jakiejś innej części świata. Nie, zaangażowanie musi się zacząć tutaj: co mogę zrobić dla Chrystusa żyjącego w ubogich właśnie dzisiaj? Tu i teraz, w mojej sytuacji, z moimi ograniczeniami, moimi siłami.

- W orędziu Taize często kładzie się nacisk na ubogich. Ale co w rzeczywistości znaczy dla was być "ubogimi"?
- Kiedy mówimy o ubóstwie Jezusa, nie myślimy tylko o wymiarze ekonomicznym. Można być bogatym na wiele innych sposobów: także ktoś bogaty w kulturę, na przykład, może się okazać ciemniejszą. Ubóstwo Ewangelii polega na woli nie myślenia nigdy o innych w kategoriach naszego egoizmu, na woli oddania się całkowicie na służbę.
- To pytanie może wydać się już wytarte, ale jest jeszcze nieuniknione: jaki jest wasz stosunek do marksizmu, który jeszcze fascynuje (lub fascynował) wielu młodych przybywających do Taize?
- Możliwe są różne analizy aktualnej historii i sytuacji: analiza marksistowska może również mieć swoje miejsce, pod warunkiem, że zgadza się współistnieć obok innych. Jeżeli marksizm jest rozumiany jak system zamknięty, szkoda tracić czas na starania, by nawiązać relacje. Ponieważ wtedy marksizm jest rzeczywiście materialistyczny, przeczący istnieniu Boga. Jesteśmy gotowi prowadzić dialog z komunistami, jeżeli są zaangażowani, tak jak my, w autentyczne wyzwolenie człowieka. Pod warunkiem jednak aby nie stawiać wyzwolenia obok tej negacji człowieka, jaką jest ateizm. Śmierć Boga jest także śmiercią człowieka. Każde wyzwolenie jest iluzoryczne, jeżeli nie chce uznać tego Ojca, dzięki któremu jedynie mogę dostrzegać w drugim człowieku nie zagrożenie lub obciążenie, lecz brata.
- "Materialistyczne" interpretacje Biblii, ogólnie "reinterpretacje" Pisma Świętego według wciąż zmiennych mód kulturalnych...
- Nie do przyjęcia! Jak byłaby nie do przyjęcia chęć poznania którejś symfonii Beethovena przez dokonanie jej analizy matematycznej lub licząc jej nuty. Gdyby wpisało się do komputera nuty, jakich użył Beethoven, nigdy z tego nie wyniknie symfonia; jak nigdy nie wyniknie Ewangelia, gdy dostarczy się komputerowi fragmenty, na jakie rozdrobnili ją niektórzy uczeni.
- Dlaczego spoglądaliście zawsze z zainteresowaniem i sympatią na Kościół katolicki, podczas gdy inne Kościoły reformowane nie chcą tego czynić?
- Ponieważ katolicyzm ma sobie właściwy charyzmat, swoją szczególną misję wśród chrześcijan: przypominając nam, że konieczna jest jedność i że Chrystus jest rzeczywiście obecny w Eucharystii. "Katolicki" dla nas nie jest przymiotnikiem wyznaniowym, lecz oznacza pełnię, powszechność. Jest Chrystusem o ramionach zawsze szeroko otwartych, nigdy zamkniętych lub tylko na pół otwartych. Nie ukrywamy jednak, że istnieją między Kościołami problemy teologiczne. Trudności zaczynają się przede wszystkim wtedy, gdy przechodzi się do mówienia o eklezjologii i o sakramentach.
- A więc, dopóki pozostaje się przy kerygma, przy głoszeniu wiary, które głośno woła, że Jezus jest Chrystusem, jedność, a przynajmniej zrozumienie między wierzącymi, są możliwe. Problemy powstają, kiedy trzeba wyciągnąć konsekwencje z tego głoszenia wiary, powierzyć je jakiemuś Kościołowi.
- Tak, tym, co stanowi przede wszystkim problem w dialogu ekumenicznym, jest sposób rozumienia związku między Chrystusem a jego ciałem, Kościołem. Trzeba z tego zdawać sobie dobrze sprawę, unikać pomieszania: katolicka koncepcja Kościoła jest odmienna od protestanckiej. I to nie w jakimś szczególe, lecz w samej swojej naturze.
- Właśnie samo istnienie papieństwa rzymskiego powoduje trudności w dialogu między chrześcijanami. Jakie obecnie wy z Taize zajmujecie stanowisko wobec tego problemu?
- My (w odróżnieniu od innych protestantów) uważamy, że na papieżu ciąży odpowiedzialność za utrzymywanie jedności między wszystkimi biskupami Kościołów lokalnych. Tak więc wydaje nam się słuszne uznawanie go za "sługę sług Bożych", jak on sam określa siebie zawsze w swoich dokumentach. Wierzmy, że ma on profetyczny charyzmat ukierunkowywania Kościoła powszechnego i nadawania mu nowych perspektyw. Dlatego jest stosowne, aby był wolny od wszelkich nacisków. Trzeba, aby mógł rozmawiać swobodnie ze swoim jedynym Panem, nie będąc związanym z jakimkolwiek szczególnym "systemem". Według nas ta charyzmatyczna wolność papieża jest istotna dla jego roli: nie jest w rzeczywistości tylko powszechnym Przewodniczącym wszystkich biskupów i Kościołów, ale jest pierwszym sługą Chrystusa i musi

mówić w Jego Imieniu, aby pomagać innym sługom Bożym do wierzenia i dawania świadectwa wierze.

- A więc (nawet jeżeli inni reformowani krytykują was), dla was z Taize papieżstwo powinno zachować swoje ważne i specyficzne miejsce w Kościele, który dąży do jedności.

- W coraz mniejszym świecie Kościołowi potrzebny jest ktoś, kto przemawiałby w jego imieniu do wszystkich ludzi. Jedną z ważnych ról papieża jest reprezentowanie całego Kościoła w dialogu ze światem. Papież staje się więc, w imię Chrystusa i Kościoła powszechnego, głosi-cielem pokoju i sprawiedliwości, narzędziem i znakiem pojednania. Narzędziem bardzo ważnym! Dlatego chrześcijanie wszystkich wyznań powinni modlić się za niego, aby mógł dźwigać swój ciężar. Aby Chrystus pomagał Biskupowi Rzymu w jego trudnym zadaniu i aby Duch Święty dawał mu znajdować słowa i czyny, które pomagałyby wszystkim chrześcijanom osiągnąć jedność, jakiej pragnie Jezus!

- Poza problemami i wewnętrznymi dyskusjami między chrześcijanami, jaką dostrzega pan przyszłość dla chrześcijaństwa w ogóle?

Nie lubię mówić o "chrześcijaństwie", jak nie lubię żadnego "izmu", żadnego systemu zamkniętego w sobie, żadnej etykiety. Chrześcijaństwo, w tym znaczeniu, może już umarło lub umiera. Nadzwyczajne jest natomiast w naszej epoce to, że dla coraz większych mas ludzi, zwłaszcza młodych, staje się coraz ważniejsze szukanie i spotkanie Chrystusa. Jest to wielkie rozbudzenie się wiary w świecie; ale to nie przekłada się na uczestniczenie tak samo intensywne w życiu Kościoła. Otóż to stanowi nasz aktualny problem: jak to rozbudzenie religijne doprowadzić do kontaktu ze wspólnotami chrześcijańskimi, jak spowodować relais, przekąźnik, między wiarą jednostek a Kościołem?

- Czy ten przekąźnik będzie mógł być ustanowiony? I jak?

Kiedy?

- Uważam, że Kościół jako instytucja nie powinien zbyt szybko spieszyć się z zawarciem w swoich granicach wielkich mas ludzi, którzy dzisiaj odkrywają Chrystusa. Powinien raczej radować się, że imię Chrystusa rozbrzmiewa i jest przyjmowane z wiarą także poza nim. Czy nie jest to sposób życia pokorą, a zwłaszcza ubóstwem? "Katolickość" Kościoła oznacza także uznawanie, że Kościół prawdziwy jest w tajemniczy sposób o wiele większy od naszych instytucji.

- W jaki sposób będzie mógł być Kościół "ubogi i pokorny" w przyszłości? Chrześcijaństwem ponownie masowym czy zespołem małych grup?

- Podziwiałem staranie o autentyczność chrześcijańską, jakie cechowało, na przykład, jansenistów: żądanie od wierzących, od każdego wierzącego, aby starali się aż do ostateczności żyć radykalizmem Ewangelii. Także Jezus był wymagający. Nie wolno nam zapominać, że nie odepchnął nikogo; że każdemu jest dozwolone być chrześcijaninem. Historia Kościoła okazuje się ruchem przemiennym: w pewnych epokach jakby kurczy i zmniejsza liczebnie; w innych epokach rozszerza się, powiększa, staje się faktem, który wciąga masy ludowe.

- Jak pan sądzi, w jakiej teraz żyjemy epoce?

- Te nasze czasy są szczególne, zarazem koncentracji i ekspansji, mamy eksplozję małych grup zaangażowanych i żarliwych; ale mamy także silny nawrót religijności ludowej, która wyraża się w pielgrzymkach. To prawda, przynajmniej w Europie jest bardzo mało powołań do kapłaństwa w porównaniu z potrzebami. Ale równocześnie mamy wielki ruch świeckich, zwłaszcza młodych, który rośnie z każdym dniem. Niewątpliwie, jeżeli sytuacja się nie odwróci, powstaje pytanie, co się stanie na naszym Zachodzie pozbawionym kapłanów, pastorów? Jest to jedna z wielkich tajemnic Bożych dotyczących naszej epoki.

- Wielu chrześcijan reformowanych zawdzięcza jednej z pana książek ponowne odkrycie Maryi. Pan sam udał się jako pielgrzym do Lourdes. To znamienne, że właśnie w Lourdes sygnalizuje się wzrastający (kiedyś nie do pomyślenia) napływ protestantów, zwłaszcza anglikanów. Wiadomo, że dla reformatorów pielgrzymka należała do "diabelskich zabobonów" katolicyzmu. Jest ciekawą rzeczą, że w pewnej teologii katolickiej teraz, po pięciu wiekach, zaczynają się pojawiać protestanckie nieufności, które wy, protestanci

współcześni i baczący na czasy, przezwyćżacie.

- Do Lourdes udałem się z małą pielgrzymką chorych, uczestniczyłem w procesjach, w kąpieli chorych. Myślałem o sadzawce Siloe, o fragmencie Ewangelii. Prosiłem Chrystusa stojąc obok jego Matki. Otóż Lourdes przeżywałem w ten sposób: być przed Jezusem obecnym w Eucharystii, mając u boku Maryję, pierwszą chrześcijankę.

- Bracie Thurian, co dla pana, teologa, ale przede wszystkim człowieka modlitwy i wiary, stanowi "Ewangelię nad Ewangeliami"? Nad jakim fragmentem Ewangelii zatrzymuje się pan najchętniej w swojej medytacji?

- Stronicą o największym ładunku znaczeniowym, najbardziej wzruszającą, jest dla mnie, ponownie, Chrystus z Emaus, ten z obrazu mojej babki. Jest dwóch już zniechęconych uczniów ("Myśmy się spodziewali, że on miał wyzwolić Izraela, ale już minęły trzy dni od jego śmierci...") i nie wiedzą, kim jest ten Człowiek, który idzie z nimi; ale on jest, idzie z nimi, tłumaczy słowa Proroków, którzy go zapowiadali i stopniowo oświeca ich. Kiedy światło jest całkowite, przy łamaniu chleba, ich oczy nie widzą go już, ale on jeszcze jest, ponieważ jest tym, który zawsze przychodzi. I wtedy powstają, wyciągają konsekwencje, wracają w wielkim pośpiechu do Jerozolimy, aby powiadomić o nim i przeżywać go. Z innymi. W służbie wszystkim braciom.

ROZDZIAŁ XVIII

Wyzwanie innych religii

Od problemu relacji chrześcijan między sobą przechodzimy do problemu jeszcze bardziej rozległego: relacji między wiarą w Jezusa a tradycjami religijnymi świata: islamem, buddyzmem, szintoizmem, taoizmem itd. O tej konfrontacji z "innymi" mówi dwóch ludzi o wielkim autorytecie i doświadczeniu.

Piero Rossano należał, od założenia, do jednego z "organów dialogu" utworzonych przez Kościół po Soborze: do - watykańskiego Sekretariatu dla Niechrześcijan. Kiedy go spotkaliśmy, był jego sekretarzem: był więc duchownym, który w spotkaniach i kontaktach między religiami, reprezentował oficjalnie chrześcijan identyfikujących się z Kościołem rzymskim.

Piero Gheddo jest misjonarzem, który od ponad trzydziestu lat spełnia szczególną misję: mianowicie przemierza bezkresne ziemie Trzeciego Świata jako dziennikarz, aby relacjonować czytelnikom wyzwania rzucane dzisiaj chrześcijaństwu przez inne religie oraz przez problemy ubóstwa i zacofanie gospodarcze.

Jak głosić wiarę chrześcijańską w świecie coraz bardziej złożonym i pluralistycznym? Co znaczy dzisiaj być "misjonarzem"? Tutaj jest pierwsze umiejscowienie jednego z najpilniejszych problemów, które niepokoją sumienie wierzących.

Piero Rossano

Via Aurelia Nuova, na peryferiach Rzymu: w wąskiej ulicy, nad nią górują monstra afer budowlanych, w której nieustannie jest zakorkowany, zwariowany i niepotrzebny ruch pojazdów, wdzierający się także, przez nikogo nie niepokoiony, na chodniki oraz na pretensjonalne pasma jezdni zarezerwowane, przynajmniej w teorii, dla publicznych środków komunikacji. Wszędzie oznaki prywatnej arogancji, panoszącej się w stolicy, która wydaje się przemieszczać ku wschodowi Morza Śródziemnego.

W tych stronach mieszkał (w krótkim czasie, kiedy przebywał w Rzymie, między jedną a drugą podróżą po świecie) monsignor Piero Rossano. Miejsce niemal symboliczne dla mieszkania: Trzeci Świat, ku któremu skierowana była jego praca, wydaje się obecny w swoich najbardziej zasmucających aspektach już tutaj, na via Aurelia Nuova.

Monsignor Rossano od samego założenia w 1964 roku został włączony do watykańskiego Sekretariatu dla Niechrześcijan, i już przed laty został jego sekretarzem.

- Naprawdę chcielibyśmy, aby nazwa naszej instytucji została zmieniona na "Sekretariat dla Religii" - sprecyzował natychmiast. - Obecne oznaczenie

("dla niechrześcijan") wskazuje na tę rzeczywistość w sposób negatywny: czy jest możliwe prowadzenie dialogu z negacjami?

W każdym razie, utworzony na fali Soboru, dzięki pracy pierwszego przewodniczącego, kardynała Marelli, następnie kardynała Pignedolego oraz niezmordowanej pracy Piera Rossano, Sekretariat wzrósł w siłę aż do zajęcia pozycji jako wiarygodny punkt odniesienia międzynarodowego.

- A jednak, na początku, nie było wiadomo od czego zacząć - wspomniał Rossano z właściwym sobie łagodnym spokojem. - Jaki cel powinniśmy sobie wytknąć? Teologia katolicka od wieków nie zajmowała się niechrześcijanami, chyba że w perspektywie "zbawienia niewiernych". Nasze traktaty odmawiały religiom wartości zbawczej i nadprzyrodzonego pochodzenia. Sprawy nie wyglądały lepiej w obozie protestanckim, gdzie spotykały się co najmniej trzy stanowiska, wszystkie nie do przyjęcia dla nas: teologia liberalna, w której boskość Chrystusa zacierała się aż do pozbawienia go miejsca w Trójcy Świętej i przekształcenia chrześcijaństwa w deizm; ponieważ niektórzy chcieliby wręcz wprowadzić do mszału teksty świętych pism hinduizmu.

"Oto nasz monsignor Rossano, który kocha Kościół poprzez niechrześcijan!", powiedział papież Jan Paweł II, kładąc serdecznie rękę na ramieniu sekretarza podczas wizyty w urzędzie. Tutaj wdzięczni papieżowi Wojtyła, także ze względu na niektóre wyrażenia encykliki *Redemptor hominis* ("Każdy człowiek, wie o tym lub nie, jest nierozdzielnie złączony z Chrystusem"; lub jeszcze: "przez dialog z religiami zrozumiemy lepiej tajemnicę Chrystusa"), są ci, którzy mieszczą się na linii kontynuowanej w tych latach.

Linia, którą sekretarz tak mi opisał: "Na zewnątrz Kościoła tworzyć i podtrzymywać przyjazne relacje z innymi religiami, od poziomu osobistego do poziomu instytucjonalnego. Wewnątrz Kościoła budzić zainteresowanie i popierać znajomość religii niechrześcijańskich oraz zajmować pozycję obrońców tych "innych", w panoramie struktur katolickich". Konieczność, ważność, delikatność zadania, które ciąży na zmniejszonej strukturze Sekretariatu, jest uwydatniana przez wydarzenia tych lat. Nastąpiło nie tylko przebudzenie się hałaśliwego islamskiego ekstremizmu; dokonuje się także odżywianie powołania misjonarskiego buddyzmu, który po raz pierwszy wysłał swoich "kaznodziei" na Zachód; pojawia się również agresywna nietolerancja hinduistyczna; rodzi się też uświadamianie sobie własnych tradycji w tubylczych religiach afrykańskich; istnieje wreszcie rosnący niepokój młodych, którzy na obszarach tradycyjnie chrześcijańskich zwracają się ku nowym sektom i rytuałom.

Front, na przykład afroazjatycki, który wydawał się statyczny, jeżeli nie w rozsypce aż do okresu sprzed kilku lat, teraz się zbudził i nawet przechodzi do kontrataku. Ponadto ścieśnianie się planety z powodu łatwości transportu, wzrastających kontaktów międzynarodowych, technologii radiowo-telewizyjnych (świat jako "wioska elektroniczna") sprawiają, że chrześcijanie uświadamiają sobie, niekiedy z konsternacją, iż są tylko mniejszością na ziemi, która w wielkiej części nie zna Ewangelii; albo znając ją od wieków, obecnie ją odrzuciła na korzyść innych religii.

Na przykład, przypomina Rossano, często się zapomina, że islam, chronologicznie późniejszy od chrześcijaństwa, uważa, iż jest całkowitym i ostatecznym objawieniem Bożym, że znając Stary i Nowy Testament, przewyższył je. Albo zapomina się, że hinduizm, jak się wydaje nawet nie potrafi rozumieć struktury dialogu (który, żeby był prawdziwy, wymaga, aby każdy rozmówca zachował swoją indywidualność) i przeciwstawia chrześcijańskiemu Credo twierdzenie, że wiele jest dróg, ale jedno tylko objawienie, że każde orędzie religijne jest drogą zbawienia, że istnieje superdogmat, który wchłania każdą religię. Ponadto, dodaje, "powinniśmy wziąć pod uwagę, że religie niechrześcijańskie nie tylko nie mają jednolitego nauczania, z którym można by rozpocząć rozmowę, ale brakuje im często dostatecznego przygotowania kulturalnego i teologicznego, przez co są odcięte od wielkich problemów współczesnego społeczeństwa".

- Jakie konsekwencje wywołuje ta sytuacja?

- Z jednej strony czyni dialog problematycznym. Z drugiej strony stawia chrześcijan, a zwłaszcza katolików, dzięki ich jednolitej strukturze i ich

solidnemu systemowi teologicznemu, w pozycji uprzywilejowanej, dając im możliwość stania się, jednak z wielką pokorą i duchem służenia, punktem ustalenia się współpracy między religiami.

Rosano natychmiast tutaj przestrzega:

- Powinniśmy dzisiaj strzec się takiego głoszenia Ewangelii, które razem z przyjęciem Ewangelii domagało się porzucenia tradycji samych w sobie nieszkodliwych lub wręcz dobrych. Zbyt często przedstawiano Ewangelię jako zburzenie, a nie jako zbawienie. Zbyt często nie widziano różnic między orędziem Chrystusa, a zachodnim kręgiem kulturalnym, w którym historycznie zostało ono umieszczone. Tak na przykład Japończyk może być zachwycony naszą wiarą, ale może także wahać się przed przyjęciem chrztu, obawiając się, że stanie się chrześcijaninem nie pozwoli mu pozostać autentycznym Japończykiem.

Są to ogromne problemy, domagające się koniecznie wybrnięcia z trudności teologicznych i politycznych, nieporozumień kulturalnych, tysiącletnich nieufności. Ale Piero Rossano jest człowiekiem, który potrafił pogodnie i skutecznie stawić czoła swojemu ciężkiemu zadaniu. Kim jest w rzeczywistości ten ksiądz o skromnej powierzchowności, który długo, jako młodzieniec, był ograniczany słabym zdrowiem, a który później okazał się zdolny do przemierzania, niestrudzenie i rozsądnie, kontynentów, przemawiając w imieniu całego Kościoła rzymskiego? Określa siebie w ten sposób: "Piemontczyk (człowiek konkretny, a więc typu niemistycznego ani nawet spontanicznie bardzo religijnego), o kulturze grecko-rzymskiej i wierze chrześcijańskiej". Określenie, które już zawiera w sobie "pluralizm" jego wizji teologicznej. Już od początku studiów w seminarium w Alba, chłopiec obok Homera czytał Izajasza i aby go lepiej rozumieć, uczył się zaraz języka hebrajskiego. Wpadł mu później w ręce Koran i zaczął studiować język arabski. Pasjonował się oczywiście Biblią, ale także wielkimi tekstami religijnymi spoza judeochrześcijaństwa, wspominał o zainteresowaniu, z jakim w liceum odkrył Buddę. W tym czasie wzrastało w nim także umiłowanie kultury greckiej, tak wielkie, że tezą jego pierwszego doktoratu, z teologii, była relacja między filozofią stoicką a Nowym Testamentem. Mówił z emocją o pięknie klasycznego ideału harmonii. W Papieskim Instytucie Biblijnym, na Uniwersytecie Gregoriańskim studiował także języki starożytne, zwłaszcza wschodnie. Potem powrócił do Piemontu, na uniwersytet w Turynie, gdzie pogłębiał język grecki i tak bardzo wyspecjalizował się w łacinie, że został wezwany przez Kancelarię Apostolską do Rzymu do tłumaczenia dokumentów Stolicy Świętej. W tym czasie nie tracił jednak z oczu ulubionych religii, których orędzia studiował, oraz języków; nie było więc przypadkiem, że także dzięki wskazaniu go przez ojca Henri de Lubaca (jednego z wielkich teologów, którzy "robili" Sobór), został mianowany wśród pierwszych członków Sekretariatu ustanowionego przez Pawła VI.

Jednakże, mimo szacunku zabarwionego uczuciem, dla innych religii, nigdy nie był i na pewno nie jest "synkretystą", człowiekiem łatwego kompromisu, który zamienia dialog na poklepanie po plecach lub na nieokreślony różnorodny zbiór, w którym wszystko przekształca się w nie do przyjęcia "superreligię" ludzkości. Jak często precyzuje: "Konfrontacja poważna i spokojna z innymi wiarą nie powoduje rozplynięcia się mojej wiary w Chrystusa jako jedyne go pośrednika między Bogiem i człowiekiem; raczej ją rozjaśnia, oczyszcza, wywyższa".

Jednak, aby go sprowokować, wspominałem mu o pewnej pozostałej "barthowskiej" nieufności wobec tak bardzo pozytywnej oceny tego, co może się okazać chaotycznym religijnym bazarem afro-azjatyckim. Odpowiedział: - Staram się podążać za tym, co zawsze było pośrednią tradycją Kościoła. Chrześcijanie byli wystawieni na dwie pokusy: albo pomieszanie ich religii z innymi, w pewnego rodzaju uniwersalnej doktrynie zbawienia, albo wdawanie się w polemiki. Otóż, staram się znajdować na środku: Kościół, który głosi i który równocześnie otrzymuje; zawsze gotowy do nauczania i jednocześnie do uczenia się. Zresztą dopiero na końcu czasów w pełni dokonamy odkrycia głębokości tajemnicy Chrystusa. Gdy ją obwieszczamy, odkrywamy jej możliwości jeszcze ukryte. I w tym może nam pomóc dialog z innymi.

- Wiele odłamów świata protestanckiego - zauważyłem - oskarża katolików o

narażanie się na niebezpieczeństwo, które ujawniał już Paweł: pozbawienie znaczenia krzyża Jezusowego, zapominanie mianowicie, że "tylko w Chrystusie jest zbawienie".

Ale także na to miał gotową odpowiedź:

- Na pewno, trzeba zwalczać każde usiłowanie uzgadniania różnych orędzi. Krzyż musi być głoszony, a nie ukrywany: pamiętając jednak, że oświeca każdego człowieka. Protestanci, przede wszystkim luteranie, oddają wielką przysługę Kościołom przypominając rzeczywistość grzechu i śmierci, która się objawia w pewnych aspektach religii niebiblijnych. Ale jest to jednak stworzenie, o którym mówi św. Paweł, że wzdycha oczekując wyzwolenia. Zresztą - dodaje - misje katolickie w świecie są dzisiaj w pomyślniejszej sytuacji w porównaniu z protestanckimi, dzięki właśnie tradycji Rzymu przyjmowania i raczej scalania rzeczywistości zewnętrznych niż odrzucania ich i odpierania a priori: Chrystus nie zobowiązuje nikogo do porzucania własnych wartości kulturalnych. Dla przyjęcia potem w zamian jakich? Naszych, współczesnego Zachodu? Nie wydaje mi się, aby były bardzo przykładne. Powinniśmy pozbyć się prowincjonalizmu, wyjść z naszego małego europejskiego getta, przyjąć uniwersalizm, który jest uniwersalizmem Chrystusa. Dobra Nowina nie jest systemem teoretycznym, jest wydarzeniem życiowym, które może oświecić każdą kulturę. Aby posłużyć się samymi obrazami biblijnymi, Ewangelia jest nasieniem, szczepem, namaszczeniem, oświeceniem dla każdego; nigdy nie jest zniszczeniem.

- Jeżeli tak jest - zapytałem go - to co znaczy dzisiaj "być misjonarzami"?

- Znaczy to głosić, że cały pokój, którego gorąco pragnie buddysta, cała uległość ukochana przez muzułmanina, cała harmonia, której spragniony jest szintoista, całe wyzwolenie, do którego dąży dżinizm, cała tajemnica, której poszukuje taoizm - a więc wszystko to przyszło w Chrystusie, już istnieje, jest ofiarowane każdemu człowiekowi. W tym znaczeniu Jezus i Jego Ewangelia nie pojawiają się jako "religia Zachodu", lecz jako dokończenie i szczyt religijnego dążenia całej ludzkości.

- Ale - zauważyłem - taka postawa zakłada pewność, że religie afrykańskie i azjatyckie mają przed sobą przyszłość. Otóż: jest wielu, którzy myślą, że podmuch racjonalizmu, jaki zaatakował Zachód (i któremu nie udało się, w ciągu dwóch wieków szturmów, zniszczyć chrześcijaństwa), spali grunt wielu czcigodnych i bardzo starych religii.

- Do niedawna wielu z nas tak uważało. Tak uważał również Kiing, między innymi (obecnie jednak zmienił zdanie), kiedy przepowiadał upadek religii niechrześcijańskich. Sytuacja szybko się zmieniła. Na przykład od dawna posyłałem raporty do Kurii zapowiadając jako bliskie wielkie obudzenie się tego islamu, który w latach pięćdziesiątych jakby się przeżył. Ktoś wziął mnie za maniaka, ale fakty przyznały mi rację. Istnieje opór tradycji religijnych, jaki niewielu przewidywało. A opór często przemienia się w ofensywę. Coraz rzadsze będą obszary świata, w których misjonarz będzie mógł głosić Chrystusa bez dogłębnego liczenia się z miejscową kulturą i religijnością: zresztą one są bogactwem, nie nieszczęściem. Wcielenie Boga jest wydarzeniem, które dotyczy całej ludzkości, nawet jeżeli porusza ją w różny sposób. Ale - dodał - chrześcijański misjonarz nie będzie mógł nigdy ukryć swojego pragnienia, aby wszyscy stali się jak on, aby mianowicie uznali w Chrystusie wypełnienie się tego, czego człowiek religijny szuka na wielu drogach. Wyznawca Ewangelii zawsze będzie nusił starać się o nawrócenie swojego rozmówcy do Jezusa z Nazaretu Ale aby to czynić, za łaską Bożą, starajmy się, my chrześcijanie, żyć w dzisiejszym świecie nie w koegzystencji lecz w proegzystencji, jeden dla drugiego. Nie zapominajmy, że apologetyką, jakiej nas Chrystus uczył, jest wzajemna miłość. Kochajmy, On nam pomoże".

Piero Gheddo

Odległe są to już czasy, w których ojcu Pierowi Gheddo zabraniano przemawiać, oskarżając go, iż jest "faszystą", ponieważ pozwalał sobie mówić o tym, jaka jest obiektywna sytuacja (o której przekonał się podczas miesięcy spędzonych w dżungli, razem z ludźmi) na azjatyckim Południowym Wschodzie, między Wietnamem i Kambodżą. Jeżeli udawało mu się wygłosić

swoją konferencję (wśród krzyków, transparentów i obelg, często katolików) znajdował przebite opony samochodu. Jednego razu, w jakimś mieście lombardzkim, oddział "chrześcijan zaangażowanych" okupował wręcz siedzibę zarządu miejskiego, aby nie dopuścić do tego, żeby on przemawiał. Były to lata, przypomina, w których intelektualiści zachodni (także ci, którzy obecnie zmienili swoje stanowiska, bez żadnej jednak oznaki samokrytyki i piszą spokojnie przeciwieństwo tego, co pisali przedtem w tych samych gazetach), podniecali się, nie opuszczając swoich komfortowych domów i redakcji, "nowym, promiennym społeczeństwem", jakie komuniści Vietcongu i czerwoni Khmerowie budowali na półwyspie indochińskim. Były także wielkie podróże wysyłanych przez nich korespondentów specjalnych.

- Ale - wspomina Gheddo z uśmiechem - wszyscy zatrzymywali się w Hotel Caravelle w Sajgonie lub na amerykańskich lotniskowcach z dala od wybrzeża. I stamtąd wysyłali serwisy, których Amerykanin był zawsze i tylko złym imperialistą, południowy Wietnamczyk był zdeprawowanym sługą szefa, podczas gdy Vietcong, północny Wietnamczyk, był najczystszy bohaterem, który niósł pokój, sprawiedliwość, bezpieczeństwo. Ja natomiast krążyłem między jedną placówką misyjną a drugą, w ubraniu chińskiego księdza, żywiąc się mięsem myszy i węża, wysłuchiwałem chłopów i biskupów, sypiałem w szałasach z ubogimi ludźmi, wiele razy ryzykowałem życie pod niespodziewanymi bombardowaniami. To, co słyszałem i widziałem, bynajmniej nie odpowiadało temu, czego dowiadawali się na Zachodzie czytelnicy gazet i telewizzowie. Widziałem z przerażeniem sprawdzanie się przepowiedni Sołżenicyna: "Cały Wietnam stanie się strasznym obozem koncentracyjnym". Stwierdzałem, że przerażony naród uciekał przed komunistami Vietcongu i czerwonymi Khmerami, biorąc ich za to, czym byli: za nowych i niekiedy gorszych ciemieńców od poprzednich. Kiedy napisałem na podstawie tego, co widziałem na własne oczy, że reżym kambodżański dokonywał ludobójstwa cięższego od ludobójstwa nazistowskiego, kazano mi zamilknąć jako prowokatorowi. Gdy relacjonowałem, że ludzie uciekali z "wyzwolonych" terenów Wietnamu Południowego, rozpętywałem wściekle ataki. Również wpływowi przedstawiciele katolicycy wzywali mnie, abym milczał: "Ojcze, nie narażaj się! Czy to możliwe, żeby wszyscy nie mieli słuszności, tylko Ojciec miał rację?"

W ojcu Gheddo nie ma urazy, gdy wspomina tamte lata. Jest tylko raczej gorzyc z powodu dezinformacji, która w dalszym ciągu powoduje niesnaski między ludźmi kosztem ubogich świata:

- Potrzeba było 50 lat, aby uznać, że Związek Radziecki był bezkresnym obozem koncentracyjnym; 30 lat, aby uznać tragedię Chin maoistowskich; 20 lat na otwarcie oczu na Kubę; 10 lat na zdanie sobie sprawy z rzeczywistości azjatyckiego Południowego Wschodu czy Angoli i Mozambiku. A jednak mit, zwyciężony z jednej strony, trwa uparcie z drugiej strony.

Wciąż są potrzebne najprawdziwsze argumenty, aby przekonać zachodnią opinię publiczną, że ludzie uciekali wszelkimi środkami z Wietnamu komunistycznego i że nie byli to tylko wyzyskiwacze z poprzedniego reżymu, lecz ludzie ubodzy, którzy nie uciekli nawet wtedy, gdy kraj był dewastowany przez wojnę. Ucieczka z tamtych stron trwa w dalszym ciągu, wszelkimi środkami, ale autocenzura ideologiczna ponownie zabrała się do zalecania kurka z wiadomościami.

Piero Gheddo jest od ponad trzydziestu lat zaangażowany w szczególny apostołat: apostołat powiadamiania, za pośrednictwem mediów, o rzeczywistości Trzeciego Świata. Zarówno we Włoszech, jak i za granicą czytany jest z uwagą i uznawany za jedną z najlepiej poinformowanych gazet miesięcznik "Mondo e missione", którego Gheddo został redaktorem, kiedy nosił jeszcze nazwę "Le missioni cattoliche" i drukował 2000 egzemplarzy. Obecnie nakład ma ponad 50 000 egzemplarzy i kilka tysięcy z nich jest wysyłanych na wszystkie kontynenty.

Gheddo i jego "Mondo e missione" należą do owego sławnego Papieskiego Instytutu Misji Zagranicznych w Mediolanie (PIME), który swoją pracą założył 32 diecezje w Afryce i w Azji, obecnie powierzone klerowi tubylczemu; który miał 17 misjonarzy zabitych na polu chwały za wiarę; który liczy dwóch błogosławionych; i który jeszcze dzisiaj ma takie wzięcie u młodych, że udaje mu się ich zdobywać, mimo ogólnego kryzysu powołań.

Ze swoimi ponad trzydziestu latami doświadczenia, ojciec Gheddo zalicza się do osób mających największe kompetencje do dokładnego przedstawienia sytuacji chrześcijaństwa w świecie. Także dlatego, że ten Piemontczyk nigdy nie chciał napisać jednej linijki bez osobistego przekonania się o sprawie na miejscu: "Starając się zawsze sprawdzać, a gdy trzeba skorygować, aktualne mody, slogany, schematy ideologiczne, w które w tych latach popadli i popadają również liczni katolicy".

Oto więc niektóre z jego odpowiedzi na pytania, jakie mu postawiłem.

- Jaki jest, lub jaki powinien być dzisiaj pierwszoplanowy cel misji chrześcijańskiej?

- Azja, nie ma wątpliwości. Z tego powodu utworzyliśmy agencję formacyjną, "Asia News", która przekazuje informacje o tym ogromnym kontynencie, na którym jest bardzo mało korespondentów europejskich; oni prawie wcale nie zajmują się problemami religijnymi. Albo, jeżeli to czynią, to według schematów społeczeństwa liberalnego, stosownie do ideologii zachodniej, która kultywuje mit, często katastrofalny, "unowocześniania". Kiedy zaś gazety posyłają swoich wysłanników, ci - zgodnie z zakorzenionym obyczajem - rozmawiają z taksówkarzem, z kolegą, z jakimś człowiekiem polityki i następnie z hotelu przekazują telefonicznie takie "wywiady", o których lepiej byłoby zamilczeć.

- Powracając do perspektywy misjonarskiej, dlaczego Azja?

- Ponieważ żyje tam 60 procent mieszkańców świata i 85 procent nieochrzczonych. Chrześcijanie stanowią tylko 3 procent zaludnienia. I trzeba stwierdzić, że ci konwertyci nie reprezentują w zasadzie Azji "prawdziwej".

- W jakim znaczeniu?

- W tym znaczeniu, że misja mogła dotąd wyrzucić wpływ tylko na obrzeża: na religie plemienne, na ludność spoza kasty, na strefy o religii mieszanej. Wielki blok buddyjski lub blok islamski nie zostały w widoczny sposób naruszone przez przepowiadanie chrześcijańskie. Wprost przeciwnie, z tych bloków wywodzą się także porywy nietolerancji.

- Z jakiego powodu?

- Ponieważ rządy w niektórych krajach (i sekty ekstremistyczne we wszystkich innych) identyfikują tradycyjną religię z państwem. Nawrócenie się oznacza opuszczenie wspólnoty państwowej, zdradę ojczyzny. Istnieją jednak pokaźne, pocieszające wyjątki także w panoramie azjatyckiej, tak niepokojącej z punktu widzenia chrześcijańskiego.

- Jakie wyjątki?

- Filipiny, które pod wpływem kolonizacji hiszpańskiej (na której temat Oświecenie stworzyło całą machinę propagandową oszczerstw, a która tymczasem pozostawiła tutaj po sobie, jak w Ameryce Łacińskiej, chrześcijaństwo z wadami, ale żywe, na którym można budować) i dlatego, że wyznawano kultury plemienne, które nie stawiały oporu nie do przewyciężenia, stały się w większości katolickie. A następnie także Korea Południowa.

- Która, wydaje mi się, reprezentuje najbardziej okazały "sukces" chrześcijański.

-Tak, Korea jest pewnego rodzaju tajemnicą Opatrzności.

Istnieje tam między innymi ponad 200 sekt protestanckich i wszystkie znajdują adeptów. W nocy Seul wygląda jak miasto całkowicie chrześcijańskie (nawet jeżeli według danych nie jest nim jeszcze), powodu świecących krzyży, które błyszczą na niezliczonej ilości budynków. W całym kraju rejestruje się ponad 100000 nowych chrztów dorosłych w roku. Tutaj, jak wszędzie indziej, problemy wywodzą się raczej z sekularyzacji kapitalistycznej, z marksistowskiego ateizmu i, niestety, z negatywnego wpływu pewnej zachodniej teologii, która pojawia się tutaj ze swoimi ciągłymi wątpliwościami, odrzuceniem magisterium, swoimi sofizmatami. Poza Koreą jest następnie przypadek Japonii, gdzie ochrzczonych jest tylko 900 000 (około połowy to katolicy), ale podczas ostatniego spisu prawie sześć milionów Japończyków podało się za "chrześcijan". Od lat absolutnym bestsellerem Japonii jest Ewangelia, ważny i wzrastający jest wpływ chrześcijaństwa także na zewnętrzne aspekty życia.

- Biorąc pod uwagę zamknięcie się "bloków religijnych", zamknięcie, które ma miejsce nie tylko w Azji, jak może działać współczesna misja?

- Istnieje droga dialogu; to znaczy dialogu autentycznego, nie tego, który prowadzi do synkretyzmu lub do rezygnacji z chrześcijańskiej tożsamości. Dialog codzienny, wytrwały, który stara się doprowadzać do przenikania wartości ewangelicznych w struktury społeczne, kulturalne, nawet polityczne, narodów niechrześcijańskich.

- Z jakimś rezultatem?

- Na pewno, a nawet znaczącym i ważnym. W początkach lat siedemdziesiątych, na przykład, dzięki dialogowi między chrześcijanami i buddystami w Wietnamie udało się stworzyć porozumienie i konkretną współpracę między dwiema religiami. Była to tak zwana "trzecia siła", która mogłaby mieć pozytywny rezultat dla całego regionu, gdyby nie została zmieciona przez siły wojskowe komunistów i przez bębnienie propagandy zachodnich burżuazyjnych mediów.

następnie przypadek Tajlandii, do której wlał się tłum 800000 uchodźców z "wyzwolonego" Wietnamu. Tajlandzki rząd i opinia publiczna byli zgodni w tym, że tych nieszczęśliwych ludzi trzeba wypchnąć z powrotem za granicę, którą przekroczyli. Dzięki wy. trwałemu przekonywaniu przez misjonarzy, przez mniejszości chrześcijańskie, udało się uniknąć tej powtórnej tragedii i nakłonić do przyjęcia uchodźców. Poza tym takie postaci jak Matka Teresa z Kalkuty pobudziły religie azjatyckie, często mało skłonne do konkretnego angażowania się, do działań charytatywnych na płaszczyźnie społecznej.

- Dyskutuje się w Europie, i ogólnie na Zachodzie, na temat rzeczywistej użyteczności podróży papieża, na temat celowości jego podróżującego nauczania. Co może ojciec powiedzieć o tym z punktu widzenia misjonarskiego?

- Twierdzą, że mają one ogromną doniosłość (często nie rozpoznawaną przez tych, którzy mówią o niej przy biurku, bez znajomości realiów tych krajów), zwłaszcza po wizytach. Wiele razy przybywałem do miejsc Trzeciego Świata w jakiś czas po pobycie papieża, i stwierdzałem ogromny pozytywny wpływ na lokalne chrześcijaństwo oraz na środowiska misyjne. Gdyby przybył Reagan, Gorbaczow lub ktoś inny z "wielkich tego świata", prawie nikt nie przejąłby się tym poza samym dniem wizyty. Natomiast wizyty papieża pozostawiają po sobie trwałe skutki, który ma wpływ także na niechrześcijan. Jeden tylko przykład: w Pakistanie chrześcijanie stanowią tylko małą, ubogą, o niewielkim wpływie mniejszość. Papież w roku 1981 zatrzymał się na kilka godzin w Karaczi, odprawił na stadionie Mszę świętą i nawet tam spał. Przybyłem tam w dwa lata potem: biskupi, jednogłośnie, powiedzieli mi, że te godziny były najważniejszym wydarzeniem w historii chrześcijańskiej Pakistanu i że zmieniły, pozytywnie, mentalność islamskich przywódców. W Afryce, w Zim-babwie, arcybiskup anglikański wyrażał mi swoją radość, że jest przynajmniej jeden przywódca chrześcijański przyjmowany i słuchany na całym świecie, przez wielkich i małych; przywódca chrześcijański, który mógł przemawiać nawet z trybuny Narodów Zjednoczonych.

- Jaki był wpływ Soboru Watykańskiego II na świat misyjny?

- Istotnie pozytywny, zwłaszcza ze względu na nowe możliwości liturgiczne uzyskane dzięki tłumaczeniom na język lokalny, przez przystosowanie do tubylczej kultury, i tak dalej. Także tutaj to, co ijemne, powstało na pewno nie z powodu dokumentów soborowych, »co w wyniku niewłaściwych i stronniczych ich interpretacji przez teologię zachodnią, która (na nowo z pewnego rodzaju "imperializmem" kulturalnym) wywiera nacisk na eksportowanie jej abstrakcyjnych tez do Trzeciego Świata. Zachód jest problemem także z powodu upadku intensywności misyjnej, upadku wiary, jakie się tam rejestruje i co stanowi kontrast z żarliwością "nowego" chrześcijaństwa. Ten upadek spowodował ogromne pomniejszenie zastępów misjonarzy.

- Na przykład?

- Przede wszystkim owe cechy kryzysów francuskiego i holenderskiego. Francuzi, w latach Soboru, mieli jeszcze na świecie 18 do 20 tysięcy misjonarzy. Obecnie spadli do 6000. Holendrzy spadli z 8000 do 2000.

- A Włochy?

- Trzeba powiedzieć, na cześć i dla podkreślenia zasług naszego kraju, że nie tylko utrzymał pozycje przednich straży wiary, ale notuje znaczny wzrost. Mieliśmy w 1953 roku 10000 misjonarzy, w roku 1965 ich liczba

wzrosła do 12000, a według ostatnich obliczeń jest ich 19000.

- Czy to prawda, że zostały przewyciężone, przynajmniej częściowo, pewne rozłamy, niepewności, które cechowały środowiska misyjne w ostatnich latach?

- Tak, zostały przewyciężone lub są przewyciężane. Spotykam obecnie młodych ludzi, którzy przygotowują się, aby zostać misjonarzami, kim są, jakby to powiedzieć? Bardziej "katolicy" ode mnie, który przecież jestem oskarżany o zbytne skupianie uwagi na Magisterium... Niektóre problemy wywodzą się raczej z pewnej zachodniej "teorii Trzeciego Świata", która uważa, iż wszystkie problemy są skutkiem przyczyn ekonomicznych, wycisku Południa przez Północ, surowców, deprawacji przez kolonializm i neokolonializm.

- Czy może nie jest tak?

- Nie, problemów ubożego świata nie można sprowadzać tylko schematu ekonomicznego. Jedną z tezy, którą od dawna podtrzymuję, i która wywołuje zgorszenie i irytację pewnych środowisk naszych konformistów, jest stwierdzenie, że te problemy przeżywają jedynie kraje afrykańskie i azjatyckie, które dłużej były kolonizowane przez potęgę europejskie. Jasną jest rzeczą, że ponoszą one ogromne winy, splamiły się zbrodniami, starały się wyciągnąć jak najwięcej z wyzyskiwania tych ziem i tych ludów; a jednak, mimo wszystko, uruchomiły mechanizm, który później, w dekolonizacji, doprowadził do pewnego rozwoju. Zwłaszcza jeżeli nowe ustroje nie zerwały całkowicie, z powodów ideologicznych, kontaktów z Zachodem. Zresztą moja teza nie jest tezą aprioryczną, opinią; jest konkretnym faktem, który każdy może stwierdzić, jeżeli zechce podróżować, tak jak ja podróżuję, po krajach Trzeciego Świata. Wskazuję zawsze na dwa przypadki Gwinei (Konakry) i Wybrzeża Kości Słoniowej: pierwsza w roku 1958 wybrała natychmiastową i całkowitą niepodległość oraz oderwanie się od Francji, popadła pod dyktando Sekou Toure i dzisiaj jest jednym z najuboższych i uciemiężonych krajów Afryki; uciekło z niego około pół miliona obywateli (na nieco ponad trzy i pół miliona!). Natomiast Wybrzeże Kości Słoniowej wybrało drogę rozwoju i solidarności z Francją: otóż dzisiaj Wybrzeże Kości Słoniowej, powszechnie o tym wiadomo, jest jednym z niewielu krajów afrykańskich, który po uzyskaniu niepodległości rozwinął się i gości około dwóch milionów uchodźców lub imigrantów z innych krajów.

- Ojciec jednak posunął się jeszcze dalej, wzbudzając oburzenie w pewnych środowiskach sympatyzujących z Trzecim Światem. Ostatnio ojciec napisał, że jednym ze sposobów ratowania rozległych obszarów Afryki z chaosu politycznego i marazmu ekonomicznego, w jakie wpadły, byłaby ich "rekolonizacja". To wydawało się niewybaczalne.

- A jednak, także to jest realizmem, jest troską o Afrykanów, którzy w przejściu od panowania kolonialnego do rządów tubylczych nie polepszyli, ale często bardzo pogorszyli swoją i tak już nędzną sytuację. Plany pomocy w stylu Pannelli są tylko mydleniem oczu, demagogiczną instrumentalizacją: jest rzeczą najpewniejszą, że miliardy dawane różnym tubylczym kastom politycznym są wydawane albo na zbrojenia, albo są gromadzone na ich kontach bankowych w Szwajcarii. Od wielu już lat powtarzam, że pomoc nie powinna być dawana przez rząd rządowi, lecz przez naród narodowi. I że najlepszym sposobem pomagania, najbardziej skutecznym, najbardziej chrześcijańskim jest żyć z, stanąć obok ubogich, współuczestniczyć. Pomoc, która byłaby, oczywiście, ekonomiczna, ale również kulturalna i religijna. Jestem przekonany, z doświadczenia, że misjonarze są również największymi "czynnikami rozwoju", ponieważ współuczestniczą i wychowują, stając się prawdziwie braćmi.

- Ale od tego do żądania "nowej kolonizacji" przejście wydaje się długie.

- Ja nie żądam, aby powróciły stare potęgi kolonialne. Twierdzę, że Afrykanie powinni zostać uratowani od tubylczych kast politycznych, które ich wyzyskują i których postępowanie jest gorsze od dawnych europejskich gubernatorów. Rozwiązaniem dla obecnej klęski afrykańskiej (która jest nie tylko ekonomiczna, jak chciałby schemat zapożyczony z marksizmu, nie jest zależna wyłącznie od cen surowców lub działalności spółek międzynarodowych: jest ona także, i przede wszystkim, kulturalna) byłoby powierzenie rządów

pewnych krajów o świeżej niepodległości władzy ponadnarodowej. Jak Narody Zjednoczone, gdyby funkcjonowały. Nie możemy wciąż zamykać oczu na okropną rzeczywistość, spowodowaną także tym, że rozbiły się wszystkie plany dekolonizacji. Proszę pomyśleć, że porozumienia między Belgami a ruchami wyzwolenческими zakładały dla Konga plan niepodległości rozciągnięty na 30 lat, począwszy od 1956 roku. Wszystko jednak potoczyło się w ciągu dwóch, trzech lat, z rezultatami, jakie znamy. A obecnie trzeba się bardzo obawiać załamania się sytuacji w Afryce Południowej.

- Ojcie Gheddo, to byłoby zbyt wiele: także obrona apartheidu?

- Ani mi się śni, tego by brakowało. Należy jednak odróżnić nieznośną sytuację polityczną, w jakiej znajdują się czarni w Afryce Południowej, od warunków ekonomicznych, których nie możemy nie brać pod uwagę, jeżeli chcemy analizować obiektywne dane, starając się nie wyrzucić jeszcze raz szkody ludności tubylczej, stosując mechanicznie nasze teoretyczne schematy. Owe mianowicie slogany, które spowodowały już niszczący eksperyment, którego ofiarami byli właśnie najbardziej bezbronni. Otóż - abstrahując, powtarzam, od ważnego przecież aspektu politycznego - niezaprzeczalną jest rzeczą, że nie istnieje żaden kraj afrykański, w którym czarni cieszyliby się dochodem choćby przybliżonym do tego, jaki uzyskują czarni w Afryce Południowej. Z drugiej strony oczywistym paradoksem, który jednak jest przemilczany, ponieważ drażniłby nasze intelektualne lenistwo, jest fakt, że z graniczących krajów "socjalistycznych" uciekają dziesiątki tysięcy tubylców, szukając ratunku właśnie na ziemi apartheidu! Jest niezaprzeczalnym faktem, że rozkwit gospodarki południowoafrykańskiej powoduje pozytywne skutki dla całej Afryki Południowej i że upadek Pretorii oznaczałby dodatkowe trudności dla już walących się gospodarek tej bardzo rozległej części kontynentu. My, chrześcijanie, tam na południu, jak i gdzie indziej, powinniśmy wziąć się do roboty, mając za cel całkowite dobro człowieka, nie triumf abstrakcyjnych ideologii politycznych kosztem ludzi. Dlatego ja, aby służyć, mówię południowoafrykańskim chrześcijanom: potępiamy i zwalczamy apartheid wszystkimi niegwałtownymi środkami, ale strzeżmy się przed popieraniem ruchów "wyzwolenicznych" posługujących się przemocą, ponieważ nie są zgodne z Ewangelią i ponieważ, gdyby zwyciężyły, doprowadziłyby do ucisku gorszego niż obecny i do katastrofy ekonomicznej dla wszystkich, jak miało to miejsce w wielu innych częściach Trzeciego Świata.

- Dwadzieścia wieków po zmartwychwstaniu Chrystusa świat jest bardzo daleki od przyjęcia choćby najważniejszej nowiny Ewangelii. Co może powiedzieć znawca problemów misyjnych o tej sytuacji, która w jakiś sposób jest gorsząca?

- Nawrócenie do Chrystusa jest tajemnicą, do której tylko Bóg ma klucze. Pamiętam spotkanie z misjonarzem na pewnym obszarze Indii, gdzie zdarzały się prośby całych wiosek o masowe chrzty. "Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć" mówił mi z prostotą ów ojciec. "Nawracają się okolice, w których, jak sądziłem, mniej pracowałem, gdy tymczasem pozostają nieprzenikalne strefy, w których skoncentrowałem najwięcej sił, najwięcej energii". Tak jest w Korei: Kościół żyje tam od dwóch wieków, jest wynikiem wielkich trudów sięgających aż do niedawnych czasów. Obecnie zbiera się rezultaty wysiłku, który przez dziesięciolecia wydawał się bezowocny.

Dlaczego? I dlaczego właśnie teraz? To tajemnica. Jesteśmy naprawdę sługami niepożytecznymi- Zostaliśmy powołani do siania, dzień po dniu, pozostawiając Bogu decyzję, czy i jak ta praca powinna zaowocować.

- Mimo wszystko, wydaje mi się, że nie jest ojciec pesymistą co do sytuacji chrześcijaństwa, które jest przecież atakowane przez sekularyzację w strefach "rozwinętych" i przez przebudzenie się często agresywne tradycyjnych religii na innych obszarach geograficznych.

- Tak, jestem optymistą, ponieważ wydaje mi się, że świat, jednocząc się, przyjmuje za swoje zasadnicze wartości, które są wartościami chrześcijańskimi. Pojęcia takie jak demokracja, prawa ludzkie, osoba, wolność, pokój, sprawiedliwość, zaangażowanie na rzecz biednych, równorzędność płci, znajdują swoje źródło w Biblii, w chrześcijaństwie. Wierzę, że postęp świata, ten prawdziwy, będzie dokonywał się dzięki ideom ewangelicznym. Nie mogę być pesymistą co do przyszłości orędzia, które

dowodło i dowodzi także dzisiaj wielkiej siły w inspirowaniu tego, co najlepsze w kulturze ludzkiej.

ROZDZIAŁ XIX

Cztery wtargnięcia w tajemnicę

W tej ostatniej części nasza sonda zagłębia się w te "znaki", które stanowią zgorzenie dla mentalności racjonalistycznej, jaka krępowała i po części jeszcze krępuje pewną dominującą kulturę i jaka przedostała się także do pewnych stref religijnych.

Całun w Turynie, cud św. Januarego w Neapolu, objawienia Maryi w Medjugorje i gdzie indziej, Instytut do badań faktów paranormalnych w Innsbrucku: wszystkie te rzeczywistości są kwestionowane i zwalczane, nierzadko także wśród chrześcijan. W każdym razie chodzi o fascynujące znaki zapytania, których tajemnicy współczesne badania nie tylko nie wyjaśniły, lecz niekiedy jeszcze bardziej ją zaciemniły. Chcieliśmy zasięgnąć o nich informacji osobiście, stawiając pytania tym, którzy mogliby miarodajnie na nie odpowiedzieć; nie czynimy tego po to, aby usiłować przekonywać, ale aby w sposób obiektywny o nich poinformować.

Nasza ankieta zamyka się więc (przynajmniej tymczasowo) otwarciem się na wymiar dla niektórych niepokojący, dla innych irytujący, dla jeszcze innych pocieszający; zdając sobie w każdym razie sprawę z tego, że "wiele jest rzeczy między Niebem a Ziemią, o których nie śniło się filozofom".

Uczony i Całun

Nie ma wątpliwości, że poza Ewangelią z "rzeczy", jakie posiadamy u nas i które bezpośrednio są związane z Jezusem i Jego tajemnicą, najślawniejszą, najbardziej fascynującą (i najcenniejszą, jeżeli jego autentyczność zostanie ostatecznie udowodniona) jest Całun Turyński.

Podczas spotkania z Bellarminem Bagattim, archeologiem biblijnym, uzyskaliśmy potwierdzenie, że pewien sposób, rzekomo "nowoczesny", "krytyczny", uprawiania historii postanowił odrzucić wszystkie dawne tradycje, uznając je w całości za legendy, jeżeli nie za oszustwa, w każdym razie nie mogące wytrzymać próby w spotkaniu z mentalnością "naukową". Z tej pogardliwej postawy wynikały jednak głośne niefortunne wpadki. Pewna powierzchowna wiedza akademicka dotąd nadal pomija przypadek (jeden z najgłośniejszych, ale na pewno nie jedyny) owego "wizjonera", owego niemieckiego "dyletanta", niejakiego Heinricha Schliemanna, który upierał się przy opinii, że w cyklu poematów homeryckich może ukrywać się ścisła rzeczywistość historyczna. Wśród kpin "ekspertów", w połowie dziewiętnastego wieku, który zachwycał się swoim duchem pozytywizmu, wolnym od bajek i mitów, Schliemann zabrał się do kopania w pobliżu tureckiej wioski Hissarlik i oto wynurzyły się ruiny i skarby Troi.

W tym samym kierunku, wyznaczonym przez uważną dociekliwość, ale jednak pełną szacunku dla tradycji pochodzącej od starożytnych, posuwa się praca archeologów biblijnych, którzy wolą oddać słowo kilofowi, gdy inni, nie opuszczając europejskich bibliotek, uważali, iż zdyskredytowali chrześcijańskie Pismo Święte jako zlepek legend. Poza Renanem prawie żaden z autorów wielkich objętości dzieł, którzy, między dziewiętnastym a dwudziestym wiekiem, postanowili zburzyć historyczność początków chrześcijaństwa, nie zatroszczył się nigdy o to, aby udać się do Palestyny lub zdobyć kompetencje archeologiczne. Dzisiaj tym, co charakteryzuje historię bardziej nowoczesną w ogóle, a historię chrześcijaństwa w szczególności, jest uwaga skierowana na przekazy starożytnej tradycji, za którymi często ukrywa się prawda.

Tysiącletnia tradycja jest związana także z Całunem; ale jego przypadek odbiega od normy: "Chodzi o przedmiot absolutnie jedyny na świecie, także dlatego, że jak gdyby wyłonił się ponownie z mrocznej przeszłości dzięki światłom nowoczesnej nauki. Właśnie tej mianowicie nauki, która miała wyzwolić człowieka z chrześcijańskiego zabobonu». To płótno było tylko przedmiotem kultu, podobnym do wielu innych (było kilkadziesiąt prześcieradeł czczonych w świecie chrześcijańskim, w przekonaniu, że mają w

jakiś sposób związek z Męką Jezusa) aż do 1898 roku, kiedy zostało ono umieszczone przed narzędziem w całym tego słowa znaczeniu nowoczesnym, jakim jest aparat fotograficzny. W ten sposób odkryto ze zdumieniem, że obraz dotąd oglądany nie był niczym innym, jak doskonałym negatywem fotograficznym. Z kliszy wyłonił się, po raz pierwszy we wstrząsającej wyrazistości, obraz, który dotąd był jak gdyby ukryty na płótnie. Od tamtej chwili rozpoczęła się pasjonująca przygoda, której nauka uczyniła wszystkich swoich narzędzi coraz bardziej wyrafinowanych, poszerzających tylko granice tajemnicy. Tak bardzo, że z pozycji wiary należałoby pomyśleć o pewnego rodzaju odpowiedzi Opatrzności: czyżby Bóg w wieku nauki, która usiłowała stać się dużym idolem, wybrał właśnie drogę nauki, aby przekazać swoje orędzie na długości fali bardziej odpowiadającej współczesności?" Ten, kto tak do mnie mówił - w laboratorium najeżonym najnowocześniejszą aparaturą - miał swoje dobre racje, aby to uczynić.

Pierluigi Baima Bollone, profesor medycyny sądowej i ekspert instytucji ubezpieczeniowych na wydziałach medycznym i prawa uniwersytetu w Turynie, jest uczonym cenionym w skali międzynarodowej. Należy między innymi do bardzo niewielu wykładowców wyspecjalizowanych w badaniach "mikrośladów", których badanie pozwala często na rozwiązanie zawikłanych przypadków kryminalnych. Rzeczywiście do niego zwracają się policje i urzędnicy sądowi w sprawach kryminalnych szczególnie ważnych. Jak na przykład w przypadku Aldo Moro, którego ubranie dostarczono właśnie tutaj, do tego pałacyku nieco niepokojącego nad Padem, na obrzeżach turyńskiego parku Valentino. To właśnie profesor Baima Bollone, który (posługując się między innymi nadzwyczajnym mikroskopem rozdzielczym, któremu przedłożył tuzin nitek oderwanych podczas wystawienia Całunu w 1978 roku) potwierdził obecność na słynnym płótnie śladów aloesu i mirry, dwóch substancji używanych w żydowskich obrzędach pogrzebowych. Przede wszystkim był tym uczonym, który udowodnił w nieodparty sposób, że ślady na prześcieradle zostały pozostawione przez ludzką krew, mającą grupę AB0 (rzadka grupa, jaką dzisiaj ma mniej niż dziesięć procent ludności:

- A jednak - powiedział - jest to ta sama grupa krwi z cudu eucharystycznego z Lanciano, gdzie w średniowieczu pewien kapłan, niewierzący w rzeczywistą obecność Boga w Eucharystii, zobaczył hostię przemieniającą się w momencie konsekracji w ciało. Ostatnie analizy wykazały, że ta relikwia jest ludzkim mięśniem sercowym i że jej krew jest tej samej grupy, co krew obecna na lnianym płótnie z Turynu. Zbieg okoliczności? Mogę tylko powiedzieć, że zajmując się tymi problemami, podobnych "zbiegów okoliczności" znajduję w nich trochę zbyt wiele..."). W spokoju sobotniego rana, gdy milczały telefony i były wygaszone światła monitorów aparatury, Baima Bollone zgodził się opowiedzieć mi swoją historię:

- Byłem katolikiem letnim, z przyzwyczajenia, pół praktykującym z tradycji, jak wielu. Później w moje życie wkroczył Całun, a wkroczył w sposób, jaki z punktu widzenia ludzkiego nazwałbym przypadkowym, z okazji konsultacji, o jaką mnie poproszono. Ale gdy spoglądam wstecz, mogę powiedzieć, że bardziej niż o przypadku trzeba by mówić o czymś innym.

- Może badanie tego tajemniczego prześcieradła pociągnęło za sobą pewnego rodzaju nawrócenie?

- Mogę powiedzieć, że z itinerarium, jakie dla wielu dzisiaj wydawałoby się niezwykle, drogi nauki doprowadziły mnie do odkrycia wypełnionego wiarą. Kiedy dochodzi się do przekonania, do którego ja doszedłem za pośrednictwem ścisłej metodologii naukowej, że to lniane płótno jest naprawdę przedmiotem pogrzebowym z Palestyny sprzed dwudziestu wieków; że został owinięty w nie człowiek o nadzwyczajnej piękności i doskonałości fizycznej, z cechami charakterystycznymi dla typu semickiego; że na tym człowieku został wykonany wyrok śmierci dokładnie w sposób opowiedziany przez Ewangelie; że wreszcie jest możliwe zrekonstruowanie cienkiej nici, dzięki której dotarło aż do nas, poprzez tysiące perypetii; kiedy więc dochodzi się do tego punktu, trudno, jeżeli nie wprost niemożliwe, postawienia sobie radykalnych i niepokojących pytań, które wychodzą poza wyniki naukowe.

Mówił o Maxie Frei Sulzenie, sławnym kryminologu policji z Zurychu, który

nakładając taśmy przyklepne na Całun i badając pyłki roślinne, które przyczepiły się do nich, potrafił prześledzić drogę rozpoczętą na starożytnym Bliskim Wschodzie i zakończoną w Turynie, przez Konstantynopol oraz wiele innych miast. Każde z nich pozostawiło "podpis" na płótnie, osadzając nasiona swojej specyficznej roślinności:

- Rekonstrukcja była wykonana z taką dokładnością, że zostały wytopione także pyłki ryżu uprawianego w starożytności tylko w rejonie Vercelli.

Kiedy mi o tym mówił, profesor Frei nie wiedział, ja mu to ujawniłem, że książęta Sabaudii chcieli nagrodzić swoich poddanych vercellskich wystawiając Całun z okna zamku.

Baima Bollone chciał opowiedzieć o szwajcarskim uczonym, ponieważ, także dla niego, zbliżenie się do Całunu miało znaczenie niespodziewanego i głębokiego zainteresowania:

- Max Frei zmarł niedawno, był protestantem, zwolennikiem Zwinglego, najbardziej twardego i fanatycznego z reformatorów, niszczyciela między innymi każdego obrazu religijnego, uznawanego za bałwochwalczy. Wszyscy zresztą protestanci wychodzą od postulatu teologicznego, według którego - cokolwiek mówi o tym badanie naukowe - Całun nie może być prawdziwy, ponieważ każda relikwia musi być zabobnem i niczym innym, narzędziem tego Antychrysta, jakim jest papizm.

Jego przyjaciel Frei tak o tym myślał.

- Później jednak, jak stopniowo zgłębiał zagadkę, widziałem, jak się uwalniał, czułem jak, dzień po dniu, odkrycie po odkryciu, jego uprzedzenia ustępowały tajemniczemu pewności. W ostatnich czasach starał się zajmować w dalszym ciągu tą pracą (która już go prześladowała, nie potrafił już się od niej oderwać) z naukowym chłodem; ale czuł, jak rośnie w nim szacunek, jeżeli nie przestrach: dla niego to nie był już tylko przedmiot badania.

Nie myślał już, że to mógłby być papistowski zabobon. Było to, jak mówiłem, także moje doświadczenie i doświadczenie wielu innych, którzy mieli do czynienia z Całunem. To Płótno jest dyskretne, działa bez hałasu. Ale proszę mi wierzyć, jeżeli działa, to robi to do głębi.

Zwróciłem mu uwagę, że chociaż poza dyskusją był szacunek dla doświadczeń osobistych, nie wydawało się jednak możliwe uczynienie z Całunu "obiektywnego" dowodu prawdziwości chrześcijaństwa, niezbitego argumentu "apologetycznego", prawomocnego dla wszystkich. Raczej kontemplacja tego Oblicza mogła służyć do wzbogacania wiary tego, kto już ją ma, jednak nie do jej rozbudzania w innych.

- Badania - odpowiedział Baima Bollone - jak wiadomo, zostały posunięte naprzód, z pozytywnymi rezultatami, także przez zespoły specjalistów amerykańskich, przybyłych do Turynu samolotem załadowanym aparaturą, nie tylko przez uczonych włoskich, którzy obraz poddali obróbce elektronicznej, odkrywając przy pomocy komputera jego inną nadzwyczajną, jedyną w swoim rodzaju znamioną cechę, jaką jest trójwymiarowość. Uważam, że w tym punkcie, właśnie na płaszczyźnie naukowej, jest o wiele łatwiej uznać Całun za raczej autentyczny, niż uważać go za fałszerstwo wczesnochrześcijańskie lub średniowieczne, jak niektórzy jeszcze by chcieli. W tym przypadku prawdziwym cudem stałby się ów hipotetyczny fałszerz, wyposażony w taką zdolność, w takie wiadomości, w taką przezorność, które by uczyniły z niego fenomenalną osobistość. Między innymi, człowieka starożytnego, jeśli chodzi o relikwie, można było bardzo łatwo zadowolić: nie widać więc dlaczego miano by angażować dla fałszerstwa tak wiele wyrafinowania, które dopiero obecnie odkryliśmy (a szereg niespodzianek wciąż się wydłuża) tylko dzięki najbardziej zaawansowanym laboratoriom. Proszę na przykład pomyśleć, że pasma krwi na czole, które zostały spowodowane koroną cierniową, doskonale odpowiadają naczyniom włoskowatym, tak jak je ustaliła współczesna anatomia. Albo proszę pomyśleć o przebiciach gwoździ umiejscowionych w nadgarstkach (tak jak to ukazała archeologia) a nie na dłoniach rąk, jak chciałaby cała ikonografia Ukrzyżowanego. W każdym razie nie zamierzam nikogo przypierać do muru, nie chcę narzucać innym mojego przekonania, nie robię na pewno z Całunu pewnego rodzaju argumentu terrorystycznego, aby zmuszać do dzielenia ze mną mojej wiary katolika. Jednak...

- Jednak?

-- Jednak, stwierdziwszy raz bezpośredni związek między Całunem a

Ewangeliami, dlaczego ta świadomość nie miałaby rzucać korzystnego światła na cały Nowy Testament? Jeżeli doszliśmy do ustalenia, z pewnością przynajmniej ludzką, że człowiekiem z Całunu nie może być nikt inny jak tylko Jezus, powinniśmy wyciągnąć z tego logiczny wniosek: Ewangelie opowiedziały nam prawdę o tej centralnej, fundamentalnej kwestii, jaką jest Męka. Od biczenia do uderzeń, do ukoronowania cierniem, do przebicia włócznią: wszystko się pokrywa; każda rzecz na wyobrażeniu Całunu odpowiada opowiadaniu Ewangelistów. Ale wtedy: jeżeli Ewangeliści nie oszukali nas tutaj, jeżeli zasługują na zaufanie historyka, dlaczego nie mielibyśmy rozciągnąć tego zaufania na całą resztę? Dlaczego nie mieliby być również prawdomówni, kiedy mówią o cudach Jezusa, a w szczególności o tym cudzie, na którym wszystko się opiera, o powstaniu z martwych? Aby dać panu przykład: znajduję korespondencję informującą o wielu rzeczach, które mogę udowodnić, iż są prawdziwe. W tym punkcie czy może nie wolno mi obdarzać zaufaniem podobnych dokumentów, także kiedy mówią o innych rzeczach, których wiarygodności nie mogę sprawdzić?

Ponieważ nadmieniał o zmartwychwstaniu, wspominałem, że według Amerykanów Całun jest właśnie jego dowodem: ci uczeni rzeczywiście przypuszczają powstanie odbicia nie na drodze reakcji chemicznej spowodowanej przez płyny fizjologiczne i substancje zastosowane przy pogrzebie, lecz przez pewnego rodzaju eksplozję, wybuch i wygaśnięcie w milionowym ułamku sekundy jakiegoś bardzo potężnego źródła energii promiennej. W sumie jak gdyby błysk samego zmartwychwstania: to Oblicze zostało utrwalone na zawsze (na chwilę zanim powieki się podniosły i życie powróciło do ciała) na błonniku płótna, "wypalone" przez big-bang; jak gdyby drugie stworzenie, ukryte w mroku grobu w Jerozolimie. Odpowiedział, że trzeba by było kontynuować badanie przed zabraniem głosu w tej sprawie: "Potrzebna by mi była jakaś inna nitka do poddania jej testowi. Badanie powinno być kontynuowane i powinno się skoncentrować na tym jak powstał obraz, ponieważ, moim zdaniem, jesteśmy już bliscy pewności (w każdym razie, że utrwalił się na tkaninie), że obraz nie jest rezultatem fałszerstwa".

Oponowałem, że wielu (także w środowiskach chrześcijańskich) bynajmniej nie podzielało tej jego pewności; że są jeszcze osoby uparcie przeczące temu. Zdjął z impetem okulary, jak gdyby dla podkreślenia tego, co nagliło go do stwierdzenia:

- Przeczający, ale na podstawie czego? Już panu to powiedziałem, że w tej sprawie o wiele trudniej jest zaprzeczać niż się zgadzać. I w istocie to, co czytam lub słyszę od przeciwników autentyczności, prawie nigdy nie dotyczy nauki, lecz filozofii: Całun mianowicie nie jest poddawany dyskusji na podstawie obiektywnych wyników, jakie nam uczonym są znane, lecz na podstawie uprzednich przekonań ideologicznych. Niech pan będzie pewny jednej rzeczy: gdyby to był całun przypisywany Juliuszowi Cezarowi, a nie Jezusowi, nie byłoby już nikogo, kto ośmieliłby się w to wątpić. To fakt, że dojście do wniosku, iż jest to oblicze, jest to ciało Chrystusa, pociąga za sobą olbrzymie konsekwencje, a niektórzy są zainteresowani ich uniknięciem. Jak we wszystkim, co odnosi się do wiary, chrześcijaństwa, Kościoła, wielu jest obiektywnych tylko w słowach; w rzeczywistości ulegają swoim uprzedzeniom. Jeżeli ktoś twierdzi, że nie wierzy w autentyczność Całunu, to dlatego, że od początku postanowił w nią nie wierzyć.

- To prawda, ale czy to rozumowanie nie mogłoby mieć przypadkiem także znaczenia dla pana, profesorze Baima Bollone?

- Nie, dla mnie sprawy nie potoczyły się tak. Nie miałem niczego do udowodnienia lub do zbijania: pozwoliłem kierować sobą moją fachowością, mojemu doświadczeniu, moim narzędziom. Nie wystartowałem z moimi uprzedzeniami fideistycznymi, zostałem wciągnięty, nie starając się o to, a potem coraz bardziej zaciekawiony przez "kryminał" sprzed dwóch tysięcy lat, ale w gruncie podobny do wielu innych przypadków kryminalnych, z którymi spotykam się w moim laboratorium wykładowcy medycyny sądowej. Było to itinerarium ściśle naukowe - z którego zdałem pisemne relacje dla użytku moich kolegów uniwersyteckich - które mnie doprowadziło do pewnych konkluzji. To wszystko. Kto chce, niech wyciąga swoje wnioski.

Każdy jednak powinien być świadomy tego, że na tym etapie badań ciężar dowodu jest odwrócony: już nie zwolennicy autentyczności tego zabytku, ale

zaprzeczający jej muszą dostarczyć nam, wobec ogromu pozytywnych danych uzyskanych przez nas, uczonych, przekonujących wyjaśnień ich odrzucenia.

"Znak" świętego Januarego

- Profesorze, miał pan rację - mówię, gdy wszystko już się skończyło, do stojącego obok mnie Ennio Moscarelli. - Rzeczywiście jest negatywne uprzedzenie do tych pobożnych neapolitańczyków: tutaj widziałem tylko żarliwość, ale żarliwość słuszną; żywą religijność, jednak żadnego fanatyzmu. Niczego, w sumie, co mogłoby wywoływać podejrzenie o kto wie jaki pogański zabobon lub jakiś barbarzyński kult krwi.

Moscarella, jeden z największych badaczy świętego Januarego i jego kultu, outsider, który od lat tropi ślady historyczne i archeologiczne tej tajemnicy, wzdycha:

- Cóż zrobić, doktorze? Oszczerstwo jest ceną, jaką my, neapolitańczycy, płacimy za posiadanie tego wielkiego daru. A nawet, wie pan, co ktoś powiedział? Że tylko Neapol ma świętego Januarego, ponieważ tylko Neapol nie byłby zdolny do spekulowania na nim.

Nie wiem, co byłoby wokół "cudu krwi" zanim do diecezji przybył Corrado Ursi. Rzeczywiście, odkąd jest arcybiskupem Neapolu, kardynał Ursi nie traci okazji, aby bardzo sławnemu cudowi dawać zakorzenienie biblijne, ściśle chrystologiczne. On, między innymi, woli raczej nazywać go "znakiem" niż "cudem"; jednak nie wahając się, co jest rzeczą oczywistą, przypisywać nadprzyrodzonej interwencji tego, co dokonuje się w dwóch ampułkach. Liczni papieże posuwali się dalej i nazywali go "Cudem", wielką literą, jak Pius XII. Albo jak Jan XXIII, który wyznawał, iż jest "bardzo wielkim czcicielem" świętego Januarego oraz przybył umyślnie, aby być obecnym przy cudzie. Także Jan Paweł II nie jest na pewno obojętny wobec wielkiego biskupa męczennika: dowodem na to niech będzie, że świętego Januarego ogłosił patronem całego regionu Kampanii.

Rozpuszczanie się - a może lepiej "ożywienie" - tej krwi, jest dla przepowiadania kardynała Ursi związane bezpośrednio ze zmartwychwstaniem Chrystusa: wyprzedzenie, wskazanie stanu życia wiecznego, który został obiecany każdemu. Jak napisał boloński kardynał Lam-bertini, przyszły papież Benedykt XIV: "Istnieje w Neapolu krew, która nie może doczekać się zmartwychwstania..."

Ursi jest słusznie surowy, kiedy chodzi o stłumienie tendencji do "łamania sobie głowy" nad tym znakiem, aby wydobyć z niego przepowiednie: drogi Boże nie są drogami naszymi, daremne jest ich dociekanie. Zadaniem arcybiskupa jest odwodzenie wiernych od stawiania kabały, ale także nakłanianie do naśladowania raczej przykładu konsekwencji świętego Januarego, gotowego ponieść dobrowolnie krańcowe następstwa swojej wiary, aż do męczeństwa. Osiemnastego września, w wigilię męczeństwa Świętego, na placyku przed katedrą, z surową ceremonią dokonuje się zapalenia pochodni wiary. Oliwa jest ofiarowywana każdego roku przez inne miasto Kampanii, które w ten sposób czci swojego patrona. Ludzie biorący udział w wigilii są spokojni: zatrzymują się w kaplicy Świętego lub schodzą do krypty pod wielkim ołtarzem, gdzie przechowywane jest to, co pozostało z jego kości.

Spostrzegam kilka klęczących par narzeczonych lub młodych małżonków. "Widzi pan?", mówi do mnie uśmiechając się neapolitański przyjaciel, który mi towarzyszy. "Także młodzi są jego czcicielami jak ich przodkowie. Tylko że nie mają już zwyczaju nadawania dzieciom imienia January. Tych niewielu, którzy tak zostali ochrzczeni, domaga się, aby ich nazywano Genny: kto wie, może January wydaje im się zbyt lokalny, przesadnie południowy. Jednak w chwili potrzeby, wszyscy go tutaj wzywają, jak zawsze robili to ich przodkowie.

Następnego dnia, 19 września, rocznica męczeństwa Świętego. Wczesnym rankiem, w salonach arcybiskupstwa, wychodzi nam na spotkanie serdeczny i imponujący kardynał Ursi. Są również członkowie "Deputacji św. Januarego" w ceremonialnych strojach, czerwona wstęga opasuje pierś, orderzy. Formuje się orszak: prałaci, kanonicy, seminarzyści poprzedzają nas śpiewając. Przez korytarze i kaplice podziemne pojawiają się w katedrze wypełnionej tłumem: przynajmniej pięć tysięcy osób, powiedzą potem znawcy. Skręcamy, wchodząc do wspólniejszej kaplicy Świętego, zbudowanej na początku

siedemnastego wieku jako wypełnienie wotum za uratowanie od dżumy w 1526 roku. Przy wejściu, starożytny napis łaciński, który mówi o pobożności ludu: "Januaremu, obywatelowi zbawcy ojczyzny, Neapol uratowany od głodu, od wojny, od dżumy i od ognia Wezuwiusza przez moc jego cudownej krwi, poświęca".

Policja, licznie obecna, trudzi się trochę powstrzymywaniem tłumu, który chciałby przyłączyć się do orszaku kardynała, dojść z nim aż za ołtarz kaplicy, gdzie, skomplikowanym systemem podwójnych kluczy, otwierają się skrzydła drzwi szafy i kasy pancernej. Emocja panuje w naszej grupce, której dano przywilej stania obok kardynała w tym momencie zawsze uroczystym dla Kościoła neapolitańskiego. Jakiś prałat obok mnie szepta mi, że podczas zwyczajowej oktawy modlitw, która poprzedza 19 września, przynajmniej kilkakrotnie znaleziono krew już rozpuszczoną.

Kasa pancerna została wreszcie otwarta, arcybiskup wyciąga ręce, aby ująć relikwiarz, w którym między elementami gotyckimi i barokowymi bardzo subtelnie wykonanymi, odznacza się koliste szkło relikwiarza. Wewnątrz znajdują się dwie ampułki, co do których profesor Moscarella ustalił w sposób niepodważalny, iż są starożytne, z wszelkim prawdopodobieństwem pochodzą z IV wieku (rachunek w ten sposób się zgadza: męczeństwo zostało określone przez historyków na 305 rok, w Pozzuoli). Jedna ampułka jest większa, pękata, wypełniona w około dwóch trzecich; obok, przysunięta ukośnie, druga mniejsza, o kształcie wysmukłym, ale która teraz zawiera tylko trochę śladów krwi. Światło jest skąpe, na szkło skierowana jest latarka. "Jest już rozpuszczona", słychać wokoło szepty. Już rozpuszczona, jak mówią, czy rozpuściła się natychmiast (często się to zdarzało), gdy kardynał wyciągnął relikwiarz? Wydaje się słuszna ta interpretacja, którą Ursi wspomni w swojej homilii. Ale w gruncie rzeczy jest to mało ważne; liczy się to, że także tym razem został dany "znak" życia, zmartwychwstania.

Teraz kardynał pokazuje ampułki nam świadkom, pochyla relikwiarz: krew rzeczywiście stała się płynna, porusza się bez trudu, ale część jest jeszcze skręplą na ścianach, w środku zaś znajduje się to, co tradycja nazywa "kulą", okrągła stała bryłka. Z kardynałem, dygnitarzami, seminarzystami, formujemy ponownie orszak, przecinamy tłum w kaplicy i następnie w nawie głównej katedry, między kordonami policji i przy niekończącym się aplauzie ludzi. Nad głowami widać kołyszące się "imbusto" z 1305 roku, popiersie ze srebra bogato wysadzone klejnotami, zawierające fragmenty czaszki Świętego. W tyle, kardynał trzyma wysoko relikwiarz. Spoglądam na oblicza pobożnych: twarze mocne, oczy, które tryskają pobożnością i radością z posiadania jako opiekuna Świętego tak sławnego i potężnego, ale żadnego krzyku, z wyjątkiem odosobnionego głosu kobiety: "Niech żyje święty January! Niech żyje Jezus i Maryja!" Ktoś płacze, ale wstydliwie, w milczeniu. Wszyscy klaszczą w ręce, oklaski - radosne, bardzo mocne - wzmacniane tysiącem ech przez wielki sufit z rzeźbionego drewna, najbardziej wzruszający przykład południowego baroku. A "krewni" świętego Januarego, owe staruszki, które ponaglałyby Świętego, aby "uczynił cud", nawet znieważając go, jeżeli się trochę spóźniał? Wszystko zniknęło od wielu lat lub nawet było wymyślone, jak mnie zapewniają znawcy. Wydaje się, że nie tylko poganizujący folklor jest wymysłem stroniczych pamflecistów, ale analizując treści modlitw, litanii, ludowych pieśni, stwierdza się z zaskoczeniem, jak bardzo są również teologicznie poprawne, chrystologiczne, w niczym nie obrażające współczesnej wrażliwości, która jest raczej pozytywnie zachwycona pewnymi pomysłami ludowymi. (Na przykład starożytny hymn mówi: "Do Świętej Trójcy zanośmy wiele podziękowań za tego wielkiego Świętego, który został nam dany. Rycerzu Jezusa Chrystusa, rozszerz naszą świętą Wiarę i daj światło temu, który nie wierzy!")

Teraz przy wielkim ołtarzu rozpoczyna się liturgia, czyta się teksty biblijne, śpiewa litanie do wielu świętych, razem ze świętym Januarzem, współpatronów Neapolu. Nie należy zapominać, w próbie bilansu tego krytykowanego miasta, że nie ma na świecie Kościoła lokalnego, który miałby w toku tak wiele procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych swoich wiernych. Kardynał Ursi mówi następnie, z pewnym nawiązaniem także do kroniki, o kamorze i różnego rodzaju skandalach. Na końcu homilii, ten sam

arcybiskup ogłasza: "Po raz drugi, od kiedy jestem wśród was, krew rozpuściła się w moich rękach..." Jak chce tradycja, członek "Deputacji" macha białą chusteczką do ludu, który odpowiada, klaszcząc ponownie jeszcze, jeszcze dłużej, z jeszcze większym zapalem. Ale, nawet z mojego miejsca w prezbiterium, które pozwala mi obejmować wzrokiem całą katedrę, nie zauważam żadnej oznaki niepowściągliwości. Klaskanie dziesięciu tysięcy rąk trwa, gdy kardynał obchodzi prezbiterium pokazując ampułki. Kiedy jest przede mną, spostrzegam, że rozpuszczenie się postąpiło dalej: teraz także "kula" jest niemal całkowicie rozpuszczona, na powierzchni pojawiły się pęcherzyki, które tradycyjnie powodują, iż mówi się, że "krew wrze".

Jeszcze raz - i przez osiem następnych dni: tyle zwyczajnie trwa "ożywienie" - Neapol otrzymał swój znak. Wydaje się, iż Niebo potwierdziło ponownie swoją zagadkową więź z tym miastem wielkości i nędzy, szlachetności i upodlenia.

Tajemnica więc trwa w dalszym ciągu: ale co może powiedzieć na jej temat współczesne badanie naukowe?

Trzeba natychmiast sprecyzować, że jak zdarza się to wobec wszystkiego tego, co nie dotyczy bezpośrednio wiary (na równi, na przykład, z faktami z Lourdes, Fatimy czy z kwestią Całunu), Kościół nigdy nie wypowiedział się oficjalnie, ani nigdy tego nie uczyni, na temat "cudowności" lub "nadprzyrodzoności" tego, co się wydarza w Neapolu. (I wydarza się, zwyczajnie, w trzy rocznice: przede wszystkim 19 września, ale także w pierwszą niedzielę maja i 16 grudnia; w ten ostatni dzień, często zjawisko nie występuje, gdy tymczasem następowało z okazji szczególnych wydarzeń lub wizyt znakomitych osobistości.)

Kościół, tutaj jak i gdzie indziej, ogranicza się do uznania prawowitości kultu i do czuwania, żeby pozostawał on w granicach praw wierności. Możliwe więc, że także katolik, który zamierza nim pozostać, zaprzeczy cudowi związanemu z tajemniczą krwią. Ale to przeczenie powinno przede wszystkim liczyć się z imponującą moralną aprobatą poświadczoną przez przychylnie deklaracje długiego szeregu papieży, kardynałów, biskupów, ale także przez sensus jidei ludu, mianowicie tych "małych" i "ubogich" uprzywilejowanych przez Ewangelię. Poza tym, na przeczące spadałby obowiązek - jak wobec każdego innego skomplikowanego i zagadkowego przypadku - zebrania dokumentacji z szacunkiem i powagą. Powinien następnie zdać sobie osobiście sprawę z przebiegu "cudu": jest to możliwość dana każdemu. A nawet, także ostatnio, kardynał Ursi namawiał uczonych do wszelkich możliwych badań, pod warunkiem zagwarantowania integralności bardzo delikatnej relikwii.

Badania naukowe substancji dotąd uniemożliwiał fakt, że obie ampułki są zapieczętowane bardzo twardym mastyksem (i, jak się wydaje, również liczącym szesnaście wieków), który nie pozwala ich otworzyć bez rozbicia. Któryś uczonego zakłada wykonanie maleńkiego otworu wiertarką z diamentowym ostrzem (lub laserem) dla wydobycia kropli substancji, kiedy jest rozpuszczona i poddana jej w ten sposób analizie. Jednakże pozostaje ryzyko spowodowania rozbicia pojemników, które sięgają wręcz czasów imperium rzymskiego. Kto może wziąć na siebie taką odpowiedzialność? - Mam w moim laboratorium najbardziej wyrafinowane narzędzia zdadne do tego, aby spróbować wykonać ten otwór - powiedział mi pewien wykładowca uniwersytecki. - Ale gdyby ampułki miały się rozbić, czy miałbym szansę uciec żywy z Neapolu?

- Czciociele świętego Januarego, widzieliśmy to, są o wiele bardziej poprawni, niż chciałoby tego oszczerze legendy, ale ich reakcji na taką katastrofę nikt nie mógłby opanować...

To, że zawartość jest jednak bez wątpienia krwią, zostało udowodnione za pomocą analizy spektralnej wykonanej przez profesorów uniwersytetu w Neapolu.

Ale również bez dodatkowych badań jest pewne, iż "cud" świętego Januarego stanowi unicum (istnieje wieść o innej krwi o zachowaniu odbiegającym od normy - w samym Neapolu, na przykład, krew świętej Patrycji - ale o odmiennym charakterze), które rzuca wyzwanie podstawowym prawom fizyki. - Znajdujemy się - mówi pewien biolog - wobec substancji stałej, zapieczętowanej, wiekowej, która w niezbadany sposób przechodzi w stan

ciekły, zmienia barwę, objętość, ciężar, lepkość na naszych oczach, zimą lub latem, w chłodzie lub ciepłe, wobec tłumu lub kilku osób, w datach stałych lub zmiennych, stając się raz płynną, raz na pół płynną, raz papkowatą, raz pół stałą. Albo wcale się nie rozpuszcza. Wszystkie tłumaczenia "naturalne" proponowane przez wieki, nie mogły dać żadnego przekonującego wyjaśnienia. Wszystkie usiłowania odtworzenia zjawiska w sposób sztuczny skończyły się fiaskiem. Zmienność objętości jest imponująca (niekiedy krew zdaje się pęcznieć, wypełniając cały pojemnik, kiedy indziej zajmuje przestrzeń znacznie mniejszą) oraz niewytłumaczalna: istnieje prawo fizyki, że żadna substancja, przechodząc ze stanu stałego w stan płynny, nie może przyjmować tak bardzo odmiennego wyglądu. Także barwa zmienia się raz po raz, od czerwieni jaskrawej do ciemnej, do brudnożółtej: także tutaj stoimy wobec naukowej zagadki. Nawet ciężar zdaje się zmieniać, jednak dokonanie dokładnego pomiaru jest trudne, ponieważ musi się ważyć ampulkę razem z relikwiarzem, z którym jest złączona w sposób dotąd niemożliwy do rozdzielenia. Innym aspektem, który całkowicie wymyka się prawom fizyki, jest bardzo wyraźne wahanie się trwania czasu, w jakim następuje przejście ze stanu stałego do płynnego: raz natychmiast, kiedy indziej kilka minut lub wręcz cały dzień. Niekiedy, pod koniec "znaku", krzepnięcie jest tak nagłe, że krew pozostaje po przekątnej. Wszystko to, powtarzamy, jest w niewytłumaczalnym konflikcie z fundamentalnymi prawami fizyki, które ustalają, że takim samym warunkom powinny zawsze odpowiadać takie same skutki.

Wśród różnych tłumaczeń odwołano się do temperatury, opierając się także na fakcie, że aż do nowszych czasów zbliżano do ampulek świecę dla stwierdzenia, czy nastąpiło już rozpuszczenie się. Ale od lat usunięto świece i używa się latarki. Poza tym (i jest to spostrzeżenie rozstrzygające), jak może to stwierdzić także dzisiaj każdy kucharz w kuchni, dzięki ciepłu krew się nie rozpuszcza, lecz przeciwnie, twardnieje! Zjawisko, w każdym razie, ma miejsce zarówno w lecie, jak i w zimie, gdy temperatura w kaplicy waha się od 5-6 stopni do 30-32 stopni. ; Innym usiłowaniem wytłumaczenia (często przeradzającym się ty hipotezy parapsychologiczne, mediumiczne lub spirytystyczne) jest tłumaczenie, które nawiązuje do napięcia psychicznego tłumu, który skierowuje energię na krew. Jednak także w tym przypadku trzeba zdawać sobie sprawę z wiekowej rzeczywistości: krew często rozpuszczała się w obecności kilku osób lub zastawano już płynną w momencie otwierania kasy pancernej. Przeciwnie, krew pozostawała uporczywie w stanie stałym także po dniach błagań, maksymalnego napięcia psychicznego w tłumie, który wypełniał katedrę. Zdarzyło się to na przykład w maju 1976 roku, przez wszystkie osiem dni wystawienia relikwii wiernym, mimo potęgowania się żarliwości. Inni przypuszczali, że w ampulkach została umieszczona substancja, której formuła zaginęła, być może pochodzenia alchemicznego, która miałyby zapewniać powtarzanie się zjawiska. Ale, jak stwierdzono, analiza spektrograficzna udowodniła, iż chodzi tu o krew, a nie o coś innego. A hipoteza o ewentualnym "dodaniu" (co miałyby się zdarzyć w epoce średniowiecznej) jakiejś domieszki do krwi musi liczyć się z faktem, że badanie archeologiczne dowiodło starożytności zarówno ampulek jak i ich niemożliwego do sforsowania systemu zamknięcia. Następnie, ta substancja powinna powodować skutki zawsze jednakowe, gdy tymczasem, mówiliśmy o tym, one raz po raz się zmieniają.

W każdym razie niewytłumaczalne jest samo istnienie tej niewiarygodnej "relikwii": gdyby także tutaj respektowane było prawo przyrody, krew już od bardzo dawna powinna się zepsuć i następnie stać się prochem. Jak zreasumował współczesny uczony, profesor uniwersytetu Gastone Lambertini, po latach badań: "Fakt jest pewny: nic się nie utrzymuje, wszystko upada wobec tego zjawiska, którego wyjaśnienie może dać tylko wierzący w porywie swojej wiary. Prawo zachowania energii, zasady, które rządzą żelowaniem i rozpuszczaniem koloidów, teorie starzenia się koloidów organicznych, eksperymenty biologiczne dotyczące krzepnięcia plazmy: wszystko to potwierdza, jak substancja czczona od wielu wieków rzuca wyzwanie każdemu prawu przyrody i każdemu tłumaczeniu, które nie odwołuje się do tego, co nadprzyrodzone".

To, dodaje uczony, „jest skrzep, który żyje i który oddycha: nie jest więc jakąś alienującą pobożnością)), lecz znakiem życia wiecznego i zmartwychwstania”.

Gdy Maryja się objawia

Epizod, mały na pozór - w rzeczywistości, być może, wzorcowy - dał mi odczucie tego, czym jest Medjugorje, to zagubione miejsce Jugosławii, w którym nadzwyczajność współżyje z codziennością, nadprzyrodzonosc ze spokojną normalnością. Otóż więc: scenerią jest mała, uboga zakrystia kościoła parafialnego, po zakończeniu Mszy wieczornej, koncelebrowanej przez dziesiątki kapłanów z połowy świata. Wieczór, jakich wiele w Medjugorje: "jakich wiele", na tutejszy sposób, z wstrząsającą sceną "objawienia się" w pokoiku obok ołtarza, z przybyłymi z daleka pielgrzymami, ze wzruszającą żarliwością wieśniaków z Hercegowiny. Odkrywszy, że pięcioro "widzących", po spotkaniu z tajemniczą "Panią", poszło śpiewać z chórem rówieśników lub pomagać koncelebransom w ubieraniu paramentów, uciekłem się do wybiegu, aby wsunąć się do zakrystii i obserwować ich z bliska. Mówię: obserwować ich, nie naprzykrzać się im pytaniami i prośbami, z jakimi, przecież w dobrej wierze i z najlepszą wolą, oblega ich wielu mało taktownych pielgrzymów. Nadzór franciszkanów był ściśle rygorystyczny, ale zakonnik wyznaczony do "filtrowania" w małym pomieszczeniu, udał, że nie zauważa mojej obecności. Był to ten sam ojciec, który udzielił mi bardzo rzadkiego i cennego przywileju wejścia, w dwa kolejne wieczory, do pokoiku objawień.

Z miejsca rozmowy młodych z Gospa, jak po chorwacku nazywają "Panią", udało mi się przenieść na drugą stronę prezbiterium, do zakrystii. Pogodni, radośni, spokojni jak zawsze, Jakov, najmniejszy z widzących, i Maria, może najbardziej "uduchowiona" z grupy, pomagali siostrom wyjmować z szaf alby, humerały, ornaty. Potem również Jakov dołączył do innych trojga na chórze i pozostała tylko Maria. Z kąta, w którym się umieściłem, starając się, aby mnie nie zauważono, aby nie przeszkadzać w żaden sposób, przypatrywałem się z uwagą i (dlaczego tego nie wyznać?) ze wzruszeniem tej delikatnej dziewczynce, introwertyczce, która stała się jeszcze szczuplejsza od postu, jaki postanowiła praktykować nie tylko w piątek polecony w widzeniu, ale także w dwa lub trzy inne dni tygodnia. Z zakrystii śledziła Mszę poprawną, uczestnicząca, ale bardzo daleka - jest to zresztą sposób i innych młodych ludzi włączonych w tę niewiarygodną przygodę - o zachowaniach mistycznych, natchnionych, podejrzewanych o fanatyzm lub hipokryzję. Po przyjęciu Komunii uklękła za szafą, jak gdyby chciała się ukryć: mała, skulona, z głową na piersi. Widziana z mojego kąta wyglądała jak tobołek szmat (jej rodzina, sześcioro dzieci, należy do najbiedniejszych w okolicy, trzech braci wyemigrowało do Niemiec, ona, Maria, jest fryzjerską praktykantką, ale z łagodną stanowczością, jaką ma w swoim charakterze, już postanowiła, że w jej przyszłości nie będzie żadnego salonu jakiegoś coiffeur (fryzjera) w Mostarze, pobliskim mieście, lecz klasztor klauzurowy).

A więc tobołek szmat. A jednak, czy właśnie dlatego uprzywilejowana przez nadprzyrodzonosc? Czy ta dziewczynka, niewykształcona według ludzi, myślałem, ma w rzeczywistości udział w najwyższych tajemnicach, dotyczących przyszłości rodzaju ludzkiego? Czy Matka Boża (jeżeli, jak się wydaje, to naprawdę Ona ukazuje się w Medjugorje) właśnie jej objawiła to, co nas czeka? Jej, a nie śmiesznym futurologom i socjologom, tym, którzy potrafią tylko tłumaczyć nam, w czym pomylili się koledzy, którzy ich poprzedzali? Jej, pracującej fryzjerce, nie gadatliwym i wyniosłym politykom, tym bardziej niezdolnym do kierowania historią, im bardziej im się wydaje, że mają władzę według świata? Jej, a nie jakimś laureatowi Nagrody Nobla lub jakimś sławnemu intelektualście? Przyglądając się jej pogrążonej w dziękczynieniu po przyjęciu Eucharystii, musiałem skierować myśli na pokorę i ubóstwo świętej Bernadetty z Lourdes: jest to ta sama logika, niezrozumiała dla kogoś, kto nie zgodził się na świat odwrócony przez Ewangelię, która za każdym razem wydaje się kierować wyborem tych uprzywilejowanych świadków.

Po ukończeniu w kościele długiego rozdzielania tysięcy hostii i po

skończeniu Mszy, Maria wstała, zabierając się do pomagania powracającym koncelebransom. Była akurat tym zajęta, kiedy przez furtkę, wychodzącą na pola, ponownie wszedł Jakov. Jako prawdziwy urwis, za jakiego uchodzi w grupie miejscowych chłopaków, Jakov i tym razem coś zbroił. W pudełko z kartonu związane sznurkiem najlepiej jak się dało, włożył jakieś zwierzątko. Nie udało mi się zrozumieć, o co chodziło, widać było tylko pudełko, które podrygiwało- z powodu ruchów "czegoś", co w nim było: myślę, że chodziło o mysz, może o ptaka. Małe, nieświadome "okrucieństwo": ale które spośród dzieci, wychowanych na wsi, nie robiło tego rodzaju rzeczy? Zobaczywszy pudełko i rzuciwszy okiem przez pewnego rodzaju szparę w wieczku, Maria dostała napadu dzieciennego śmiechu. Z ręką na ustach jeszcze raz schowała się za szafą, aby wychylać się co pewien czas, spoglądać na nowo i wybuchać śmiechem razem z Jakovem, który torował sobie drogę wśród tłumu kapłanów, pokazując swoją zdobycz. W pewnej chwili jedna z sióstr ze zgromadzenia franciszkańskiego, przydzielonych do służby parafialnej, straciła cierpliwość: wzięła obydwójce za ramiona i przez otwartą furtkę wypchnęła na zewnątrz, mówiąc im po chorwacku, z gwałtowną intonacją, coś takiego jak (przetłumaczył mi to zakonnik) "Jeżeli chcecie przeszkadzać, idźcie robić to na dwór, a nie tutaj, gdzie trzeba pracować..."

Oto więc scenka, mała, ale niezapomniana: dwoje widzjących, ci którzy od lat poufale rozmawiają z Tą, która przedstawia się jako "Najświętsza Maryja Panna, Królowa Pokoju", wypędzeni z surowością za drzwi przez anonimową siostrę, jak dwoje zwyczajnych dzieci, które swoimi żartami przeszkadzają w pracy.

Takie jest Medjugorje, takie są jego dzieci.

Vicka, ekstrawertyczka, ta, którą - wszyscy widzieli ją na fotografii - otwiera się w szczerym uśmiechu, trochę komicznym a zarazem cudownym, zaledwie padnie na kolana, a Gospa, w wielkim świetle, zaczyna do niej mówić. Vicka z dwiema gwiazdkami jako kolczykami, z małym pierścionkiem za parę groszy, i swoimi tanimi szmatkami, zawsze zadbanymi, trochę kokieterijnymi.

Ivanka, może najbardziej ujmująca z grupy, przynajmniej według kanonów klasycznej piękności, z czarnymi długimi włosami, z marzącymi oczami ze złożonymi rękami podczas Spotkania. Ivanka, jedyna z pięciorga, która powiedziała bez wahania, że jej powołaniem nie jest wstąpienie do klasztoru lecz założenie chrześcijańskiej rodziny. "Pani" zresztą pozostawiła im wolność: "Jeżeli zostaniecie zakonnicami, będę uradowana, ale nie moja jest rzeczą, lecz waszą decydowanie w całkowitej wolności. Każde powołanie jest piękne, jeżeli jest przeżywane w miłości Boga".

A następnie, Ivan, milczący, introwertyk Ivan w jeansowej kurtce, zachowujący zdziwiony i poważny wyraz twarzy, gdy inni uśmiechają się do Niej, gdy się zjawia. Ivan wieśniak, plantator tytoniu na mizernych polach ojca, który być może przedwcześnie wstąpił do seminarium w Dubrowniku, został potem odesłany do domu także z powodu rozpętania się tak bardzo ludzkich zazdrości i szyderstw.

I jeszcze Mirijana, która "widziała" przez półtora roku, a potem było to dla niej dostępne tylko czasami. W dniu jej urodzin, na przykład, "Pani" ukazała się jej, aby powiedzieć, że nie zapomniała o niej, której powierzyła wszystkie swoje dziesięć "tajemnic". Mirijana, studentka rolnictwa, która na jedynej fotografii, jaka krąży, ukazuje twarz dziewczyny zdrowej, ubranej w koszulkę kto wie jakiego urojonego campusu amerykańskiego.

Z Marią, mistyczką i Jakovem, urwisem, jest ich sześcioro w Medjugorje włączonych w tę przygodę niezwyklej przeszłości i nieprzewidywalnej przyszłości: najdłuższe "objawienie" w historii. I także najbardziej dramatyczne, nagłące, niepokojące w swoich treściach: a jednak, nie jest ono niczym innym jak echem pierwszych słów Jezusa według najstarszej Ewangelii (Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię, Mk 1,15).

"Widziałeś tam cuda?", pytali mnie niektórzy z tych, którym wspomniałem o mojej podróży do tego odległego, krasowego kamienistego terenu Hercegowiny. Tak, widziałem je, na pewno. To prawda, nie widziałem żadnego z tych natychmiastowych uzdrowień, podanych do wiadomości w rejestrach parafii.

nawet - w odróżnieniu od tysięcy innych pielgrzymów - nie byłem świadkiem wywierających wrażenie zjawisk światła i ognia, jakie wybuchają za dnia i w nocy wokół wielkiego krzyża z cementu, który dominuje nad płaskowyżem. Widziałem, tak, dwukrotnie, z odległości dwóch metrów (a był to, jak powiedziałem, rzadki przywilej) co się dzieje podczas objawień: pięcioro, którzy równocześnie padają na kolana, z przerażającym łoskotem kości, z jakiego nawet nie zdają sobie sprawy; twarze, które się przemieniają, stając się promienne i wypełnione radością; głosy, które równocześnie nękają i pozostają tylko nieme słowa, odgadywane z ruchu warg; oczy, które przesuwają się równocześnie, aby śledzić "Coś", co tylko oni sami dostrzegają. (Na zewnątrz tymczasem tysiące wróbli zgromadzonych od zmiernych na drzewach, przerywa w chwilach objawienia swój ogłuszający świergot).

Ale to wszystko wydaje się może mniej cudowne od skutku, jaki powoduje: życie duchowe nie tylko parafii, ale regionu, republiki, której rząd oficjalnie jest ateistyczny, w której pierwsze zapowiedzi dobrobytu przynosiły ze sobą oznaki sekularyzacji; a więc to życie duchowe, odczuwane jak gdyby uderzeniem pioruna, stało się nagle i ponownie gorące.

Spowodowało nawet, że tysiące rodzin przestało gotować w piątki, aby pościć o chlebie i wodzie; pobudziło wszystkich, młodych i starszych, do dwóch, trzech godzin modlitwy dziennie; nakłoniło wielu do przebaczenia nieprzyjaciółom, do miłowania tych, którzy wyrządzili im zło, do otwarcia serca i domu wszystkim braciom (przybywają także muzułmanie, liczni w tym regionie) przyciąganym tutaj przez to "Światło".

O tej jugosłowiańskiej tajemnicy miałem możliwość rozmawiać z kardynałem Ratzingerem, mianowicie z człowiekiem, do którego jako prefekta Kongregacji Nauki Wiary - należy definitywna decyzja.

- Eminencjo - zapytałem - czy prawdopodobna jest wyjaśniająca interwencja Eminencji?

Odpowiedział:

- Na pewno żadne objawienie nie jest niezbędne dla wiary, Objawienie skończyło się z Jezusem Chrystusem i zostało ostatecznie zawarte w Biblii, w Starym i Nowym Testamencie. Ale nie możemy na pewno przeszkodzić Bogu mówić do tych naszych czasów przez ludzi prostych, a także za pośrednictwem nadzwyczajnych znaków, które odsłaniają niewystarczalność kultur, które panują nad nami, naznaczonych racjonalizmem i pozytywizmem. Istotnie, objawienia, które Kościół oficjalnie zatwierdził - przede wszystkim w Lourdes i w Fatimie - mają swoje ściśle określone miejsce w życiu kościelnym. Ukazują między innymi, że Objawienie, chociaż jest już zamknięte, nie są czymś martwym, jest żywe i żywotne.

- Ale jeżeli chodzi o Medjugorje? - nalegałem.

- Nie mogę wyrazić opinii, ponieważ ten przypadek jest jeszcze poddawany badaniu mojej Kongregacji. Jednakże mogę powiedzieć, iż wśród znaków naszych czasów wrażenie wywiera mnożenie się objawień maryjnych. Do naszych biur przychodzą wiadomości z całego świata, począwszy od Afryki.

- Ale - pytałem - poza tradycyjnymi w Kościele kryteriami roztropności i cierpliwości, na jakich innych kryteriach opiera się sąd rozważany wobec mnożenia się tych faktów?

- Jednym z naszych decydujących kryteriów jest oddzielanie aspektu prawdy nadprzyrodzonej od aspektu jej skutków duchowych. Dopiero od niedawna zaangażowane są pojęcia "naukowe" dla osądzenia takich przejawów. Kto potrafiłby obronić "naukowo" prawdę historyczną pewnych tradycji, na których bazie chrześcijańskie średniowiecze zbudowało swoje bardzo czczone sanktuaria? Co nie przeszkadza temu, że pielgrzymki do tamtych miejsc były owocne, korzystne, ważne dla życia ludu chrześcijańskiego.

Prawdziwym problemem nie tyle jest problem współczesnej hiperkrytyki (która kończy się potem, między innymi, jakąś formą nowej łatwowierności) ale problem oceniania witalności i prawowierności życia religijnego, które rozwija się wokół tych miejsc.

Ale oprócz kardynała Ratzingera, najwyższego autorytetu hierarchicznego w tej materii, chcieliśmy wysłuchać także największego światowego eksperta od tych bulwersujących zjawisk, jakimi są właśnie "objawienia" maryjne. Poszliśmy więc wysłuchać profesora René Laurentina, który, ku zgorszeniu

wielu swoich kolegów biblistów i teologów, opublikował dossier pod tytułem Najświętsza Maryja Panna ukazuje się w Medjugorje?, które wywołało wielkie wrażenie, miało ogromny rozgłos, ale przyczyniło się do kampanii oszczerstw i kalumnii. Stał się istotnie winnym tego, że powiedział "tak" - i to nie na podstawach dewocyjnych, ale na podstawie swojego długiego doświadczenia naukowego - faktów, które dla niektórych są nie do zaakceptowania, ponieważ zakłócają schemat chrześcijaństwa "dobrze wykształconego", "dorosłego", sprowadzonego do uspokajających granic rozumu oświeceniowego. Profesor Laurentin (a raczej abbe Laurentin, jak go wszyscy nazywają, nie tylko we Francji) jest księdzem o uprzejmym sposobie bycia, odziany w ciemne ubranie trochę podniszczone, trzymający w ręce niemal stale torbę pełną książek i gazet.

Wykładowca na uniwersytetach w Paryżu i w Angers, poza tym yisiting profesor w wielu uczelniach całego świata, poczynając od Stanów Zjednoczonych, jest autorem niezliczonych dzieł teologicznych, hagiograficznych, i z zakresu egzegezy biblijnej.

Określenie abbe Laurentin oznacza jednak skierowanie umysłu do tajemnicy Maryi, do tej "mariologii", do której odnowy dał decydujący bodziec. Poza traktatami i dziełami teologicznymi, napisał o Lourdes coś około 28 tomów naukowych. Opracował ponadto kompletną monografię objawień "Cudownego Medalika", na rue du Bac w Paryżu (6 tomów) i Pontmain (3 tomy). Redaguje teraz, między innymi, dla paryskiego wydawcy Oeil, serię "Sanktuaria, pielgrzymki, objawienia".

Miał więc odpowiednie kwalifikacje do tego, aby zająć się wydarzeniami w Medjugorje. Jego opowiadanie się na korzyść tego, co dzieje się w Hercegowinie, wzbudziło wrzawę nie tylko z powodu jego bezdyskusyjnego autorytetu naukowego, ale także dlatego, że przez wiele lat należał do komitetu redakcyjnego "Concilium", przeglądu międzynarodowego, z którym identyfikuje się najbardziej postępowe skrzydło teologii (nie przypadkiem inicjatorami są Holendrzy), nieufnego i często wrogiego a priori dla faktów, które mają związek z nadprzyrodzonością, jak te jugosłowiańskie, osądzone jako "antyekumeniczne", "alienujące", "dewocyjne".

Oto więc moje pytania i odpowiedzi tego specjalisty znanego na całym świecie. Próbowałem dokonać z nim rozpoznania nie tylko "objawień", których Maryja jest protagonistką, ale także tematu miejsca, jakie postać Dziewicy z Nazaretu ma w dzisiejszym chrześcijaństwie. Maryja rzeczywiście nie jest pewnego rodzaju pobożnym lub folklorystycznym dodatkiem, ale elementem nieusuwalnym i centralnym chrześcijaństwa. Pomyśleć, między innymi, o miejscu, jakie miała (i ma) w sztuce, która jest zawsze nieomylnym wskaźnikiem głębokiego odczuwania każdego pokolenia.

- Kiedy ksiądz postanowił swoje życie badacza poświęcić mariologii?

- Nie ja wybrałem Maryję. Raczej to Ona nie wiadomo dla jakiego zamysłu, wybrała mnie. W naszej wierze zawsze się tak dzieje: jesteśmy wybrani. Jest to zagadka chrześcijaństwa, zostanie nam ona wyjawiona w przyszłym życiu.

- Ale na jakiej ludzkiej glebie, w przypadku księdza, ta religijna zagadka została wszczepiona?

- Moje dzieciństwo upływało w mitycznej i twardej Wandei, wtedy tak bardzo surowej, że wielu moich przyjaciół z dzieciństwa doszło później do odrzucenia katolicyzmu właśnie ze względu na jego pozorne surowości. One jednak ujawniają całą swoją mądrość, biorąc pod uwagę upadek moralny i ludzki, który cechuje zdechrystianizowaną Europę. Mój ojciec i moja matka dokonali "zawierzenia" Maryi. A moja matka ofiarowała Jej każde ze swoich pięciorga dzieci, gdy tylko wiedziała, iż oczekuje jednego z nich. Moi rodzice byliby zadowoleni z planu Jana Pawła II, który zamyśla ogłosić świętego Ludwika Grignon de Montfort, wielkiego piewę Najświętszej Maryi Panny, doktorem Kościoła. Mój ojciec, architekt, lubił budować kapliczki i figury Maryi. Odmawiał różaniec w samochodzie, chodził po placach budowy z koronką w ręce.

- Kiedy miało miejsce księdza powołanie?

- Wstąpiłem w 17 roku życia do seminarium Instytutu Katolickiego w Paryżu, potem brałem udział w wojnie, widziałem francuską klęskę. W obozie zorganizowaliśmy "uniwersytet jeńca", ja uczyłem hebrajskiego. Wahalem się między doktoratem ze Starego Testamentu a doktoratem o Najświętszej Maryi

Pannie. Wybrałem ten drugi temat. Od tamtego czasu stałem się serdecznie Jej jeńcem, nie planując przedtem tego. Jest to "zawierzenie" Maryi dokonane przez moją matkę, które musiało działać...

- Później został ksiądz powołany, jako ekspert, do komisji przygotowawczych Soboru Watykańskiego II.

- Rzeczywiście, byłem w komisjach doktrynalnych, mianowanych przez kardynała Ottavianiego. To nie przeszkodziło mi krytykować schematów przygotowanych na Sobór. Orientacja Kurii była nastawiona na odrębny dokument maryjny, ja wolałem natomiast mariologię włączoną do dokumentu o Kościele. Jak się też rzeczywiście stało.

- Doświadczył ksiądz potem zmiany zdania co do tego wyboru?

- Nie, Lumen gentium, soborowa Konstytucja o Kościele, która osiąga swój szczyt w rozdziale o Maryi, jest wspaniałym dokumentem, całkowicie włączonym w wielką Tradycję. Pewien upadek mariologii, a co jest najważniejsze, nabożeństwa do Maryi w okresie posoborowym, nie wywodzi się z samego Soboru, lecz z zespołu przyczyn. Należał do nich, na przykład, źle rozumiany ekumenizm. Jestem bardzo otwarty na dialog z protestantami i na ich wartości. Zresztą bardzo dobrze przyjęli moje pierwsze książki o Najświętszej Maryi Pannie. Ale ekumenizm to nie jest mimetyzm. Nie jest sprowadzeniem do najmniejszego wspólnego mianownika. Przeciwnie, jest poszukiwaniem pełni. Prawdy nie można podporządkowywać kompromisom dialogu. To dialog musi być podporządkowany prawdzie. Trzeba wziąć pod uwagę, że są nie tylko protestanci: Maryja jest podstawą zjednoczenia z szerokim i bogatym światem wschodniego prawosławia. Pomniejszanie Jej miejsca dla sprzyjania dialogowi z protestantami (którzy, między innymi, obecnie odkrywają na nowo znaczenie Najświętszej Maryi Panny), oznaczałoby oddalenie się od świata słowiańskiego i greckiego.

- Poza źle rozumianym ekumenizmem, czy widzi ksiądz inne przyczyny osłabienia (przynajmniej wśród pewnej inteligencji katolickiej, nie wśród ludu, jak pokazuje Medjugorje) pobożności maryjnej?

- Tak, obecna hiperkrytyka, która zapanowała przede wszystkim w egzegezie, w badaniach biblijnych, i która doszła do przyjęcia pewnych zasad starego oświeceniowego racjonalizmu, właśnie wtedy, kiedy on przeżywał swój schyłek. Różni biblisty, włącznie z niektórymi katolickimi, są bardzo zainteresowani przypisywaniem nadmiernego znaczenia pomysłowości pierwszych chrześcijan (którzy, według nich, mieliby sfalszować życie i słowa Jezusa) i dążą w ten sposób do uznania Ewangelii za konstrukcje nieomal sztuczne, za fictions, jeżeli nie za mity: szczególnie Ewangelie dziecięstwa Chrystusa, ale także wesela w Kanie i obecności Maryi na Kalwarii. To nieuzasadnione zaprzeczenie historyczności sprowadziło wiedzę o Najświętszej Maryi Pannie do niepewności i mglistości. To jest efektem filozofii i założeń niewłaściwych, które analizuję w swoich książkach. Historyczności Ewangelii bronię w imię naukowej obiektywności, a nie naiwnej dewocji.

- A przechodząc z poziomu teologicznego na poziom duszpasterski, katechezy, kaznodziejstwa?

- Tutaj jedną z przyczyn maryjnego kryzysu jest wtargnięcie na Zachód pewnej dominującej kultury, która skaziła także wielu katolików: do tego stopnia, że nie brak katechetów, którzy wahają się mówić na taki temat jak dziewictwo Maryi. Także z winy pewnego w przeszłości dewocjonalizmu, wielu myślało, że wokół Najświętszej Maryi Panny panuje słodkawy klimat, który już przeminął. W rzeczywistości, bez Maryi nie ma prawdziwej wiary chrześcijańskiej.

- Ksiądz jest człowiekiem "objawień": po Lourdes, rue du Bac, Pontmain, zajmował się ksiądz, wśród gorących polemik, Medjugorjem, o którym wygłosił pozytywną opinię, która nie podobała się wielu księżom kolegom.

- O mnie zostały wypowiedziane opinie oszczercze, na które nie chciałbym odpowiadać. Zrobiłem to - starając się chronić prawdę i miłość - w specjalnych publikacjach. Studiowałem Lourdes i to jego cudowne dziecko, to prawdziwe i typowe "arcydzieło Maryi", jakim jest święta Bernadetta Soubirous: bardzo ją kocham. Medjugorje było dla mnie odkryciem. Znałem objawienia i ekstazy tylko ze świadectw archiwów. W Jugosławii mogłem obserwować je z natury, żywe, w działaniu, i zrozumiałem bardzo wiele

rzeczy, które skomentowałem sumiennie i dokładnie, jako historyk, ale może nie rozumiejąc ich w pełni.

- Po swoich pobytach w Hercegowinie wyciągnął książkę w każdym razie pozytywne wnioski o prawdziwość faktów w Medjugorje.

- Nie mogę żywić wątpliwości co do wiarygodności widzających. Byli bardzo normalnymi młodymi ludźmi, bardzo podobnymi do swoich rówieśników, ani lepszymi, ani gorszymi. Doświadczenie widzeń spowodowało ich ludzkie dojrzewanie. Mogą tam być niejasności, pewne przeakcentowania w przekazywaniu orędzi. Ale Medjugorje jest poważnym przypadkiem, którego nie możemy pominąć.

- Na czym przede wszystkim opiera się to przekonanie księdza?

- Powiedziałem już o młodych ludziach i o ich szczerości, która dla mnie (i dla wielu innych badaczy, także lekarzy, którzy poddali ich surowym badaniom) jest bezsporna. Co do faktów, trzymam się Ewangelii i kryterium sądu, jaki nam podają: po owocach poznacie drzewo. Widziałem nawrócenia, liczne, głośne, niektóre spowodowane lekturą mojej książki o Medjugorje. Tam cała parafia, potem cały region, zostały jak gdyby przeniknięte tchnieniem nowej żarliwości, pragnieniem nawrócenia. Pewien jugosłowiański biskup powiedział mi: "te wydarzenia same dokonały więcej niż wszystkie nasze wysiłki w ciągu czterdziestu lat". Przed kościołem w Medjugorje widziałem około siedemdziesięciu spowiedników, przy każdym długi rząd oczekujących penitentów. Jeżeli owoc duchowy jest tak dobry, to czy drzewo może być zepsute?

- Książkę zajmował się także objawieniami, które się dzieją w Afryce, w Kibeho, w Ruandzie, tam również przy gigantycznym napływie pielgrzymów oraz - przynajmniej w tym przypadku - przy pozytywnym nastawieniu ze strony miejscowego biskupa, Murzyna.

- Studiowanie różnych wideokaset tych ekstaz, książka miejscowego badacza pochodzenia francuskiego i inne dokumenty sprawiły na mnie korzystne wrażenie o tych afrykańskich objawieniach, które denerwują, jak zwykle, europejskich intelektualistów, ale które powodują zwyczajne rozbudzenie wiary wśród ubogich i prostych ludzi, których opinia, według Ewangelii, najbardziej się liczy.

- W Kongregacji Nauki Wiary, która zajmuje się tymi faktami, mówi się, że wiadomości o objawieniach maryjnych mnożą się na świecie, wywołując zawsze i natychmiast napływ pielgrzymów.

- Nie dziwi mnie to. Wychodzimy z okresu, w którym niektórzy się wysilali, aby wszystko zniszczyć, aby odebrać ludowi katolickiemu pewność. W pewnym momencie w chrześcijaństwie rozszła się wieść: "Matka Boża jeszcze istnieje! ukazała się młodym ludziom w wiosce w jugosłowiańskich górach!" A więc, rozumowali wierzący, Maryja jest jeszcze naszą Matką, jeszcze się nami interesuje... I oto miliony pielgrzymów wyruszają w podróż wszelkimi środkami lokomocji, aby przybyć do Medjugorje i innych miejsc, w których się sygnalizuje o nowym objawieniu się naszej Matki. Jeżeli to są ekscesy, te ekscesy mają swoje przyczyny, którym trzeba by zaradzić: krytyka katolicka stała się tak przesadna i sceptyczna wobec objawień, że od już pięćdziesięciu lat żadne nie zostało przez nią uznane. A następnie: zbyt wiele abstrakcyjnych, intelektualnych reform liturgicznych, demonizowanie pobożności ludowej, zniesławianie jako pogaństwo, pozbawiło chrześcijan wszelkiego "znaku". Odczuwają oni ich głód. Ponieważ brakuje tych "znaków", wielu trwa w dystansowaniu się od religii lub wstępuje do sekt (które się rzeczywiście szerzą) lub znajdują pożywkę w objawieniach, w których Chrystus i Najświętsza Maryja Panna wydają się obecni i bliscy. Byłbym ostrożny z mówieniem o zabobonach. Wiara musi być wcielona, a więc rzeczywiście ludzka.

- Jaki jest zasadniczy sens orędzi tych objawień?

- Maryja w Medjugorje wskazuje palcem na oczywiste niebezpieczeństwo: świat oddał się beztrudnie grzechowi. Pędzi ku zagładzie, jedynym rozwiązaniem jest powrót do Boga z wiarą, nawróceniem, postem, pojednaniem. Jedynie odzyskując zakorzenienie w Bogu, możemy nie tylko być pojednani z Nim i z samymi sobą, ale także możemy pojednać się z innymi. Orędzie Medjugorje denerwuje wielu "mądrych", ponieważ dla nich jest zbyt konkretne, zbyt blisko życia. Nasza teologia niemal wyłącznie uprawiała

abstrakcję; dzisiaj niekiedy wydaje się wręcz, że nie chce troszczyć się o wiarę, przekształcając się w "dyscyplinę" akademicką, jak wiele innych. Święty Tomasz z Akwinu, który potrafił uprawiać abstrakcję w najlepszym i najgłębszym znaczeniu tego słowa, wiedział jednak, że niepiśmienna wieśniaczka mogła lepiej znać Boga od niego. Był to przypadek samej Dziewicy Maryi, która na pewno nie należała do kasty intelektualistów. I ja, który walczę przeciwko moim deformacjom zawodowego teologa, podziwiam i biorę przykład z wiary ludzi prostych.

- W każdym razie do skutków tych objawień należy również ponowne odkrycie nabożeństw, które według wielu stały się już nieaktualne. Począwszy od różańca.

- Tak, podobnie jak w Lourdes, również w Medjugorje i w Kibeho różaniec jest bardzo polecany. Są chrześcijanie, którzy w różaniec "wchodzą" dobrze, inni natrafiają na większe trudności. Jednak nie ma wątpliwości, że chodzi o jedną z praktyk najbardziej zbawiennych i ewangelicznych: jest on medytacją Pisma Świętego razem z Maryją. Jak przypomniał Paweł VI w encyklice o kulcie maryjnym, różaniec - ze swoim walorem biblijnym, kontemplacyjnym, również wspólnotowym - mieści się w pełni w duchu soborowym i powinien być podtrzymywany nieprzerwanie i z zaangażowaniem.

- A jeżeli chodzi o księdza, abbe Laurentin?

- Z moimi deformacjami intelektualisty i z moim temperamentem, mam pewne trudności, ale nie ustaję w codziennym odmawianiu koronki. Miewam wyżej i niżej, ale często także wiele radości i wiele korzyści.

- Bardziej ogólnie; co się stało z pobożnością maryjną z dzieciństwa księdza po czterdziestu latach badań naukowych?

- Stała się bardziej solidna, ponieważ zakorzeniona w Tradycji Kościoła. Ale praca naukowa wymaga ustawicznej krytyczności, a więc odejmuje świeżości postrzeganiom. Jugosłowiańscy młodzi ludzie "rozumieją" Maryję lepiej ode mnie. Bardziej ode mnie ugruntowany jest każdy pobożny człowiek o prostej wierze, który potrafi żyć, jak gdyby w symbiozie, z prostotą, razem z Maryją; który "bierze Ją do siebie", zgodnie z wezwaniem Jezusa na krzyżu, skierowanym do Jana, a przez niego do wszystkich wierzących. Nie mam nigdy dość głoszenia ważności Jej roli, ale muszę dlatego pokonywać pewnego rodzaju intelektualną zasłonę. Dobrym teologiem jest tylko ten, kto stara się wyrażać, czynić kulturalnie wiarygodną wiarę tych małuczkich, którym (słowa Jezusa) została objawiona, przed wszystkimi innymi, prawda Ewangelii. Nie twierdzą, że to mi się udaje, ale przynajmniej próbuję.

- Jednym słowem, aby zakończyć, abbe Laurentin, kim jest Maryja po życiu studiami Jej poświęconym? Kim jest ta "mała Żydówka" dla kogoś takiego jak ksiądz, należący do ludzi, którzy przynajmniej na płaszczyźnie studiów, znają Ją najlepiej na świecie?

- Nie jest boginią, ale najbardziej udanym ze stworzeń, najwspanialszą z kobiet. Ona doskonale uczłowieczyła Boga; a Bóg, w zamian, doskonale Ją ubóstwił i wzywa także nas do dzielenia z Nią tego ubóstwienia przez Łaskę. Jest to ta "cudowna wymiana", o której mówią Ojcowie: Bóg przyjął nasze życie ludzkie, aby dać nam swoje życie boskie. To dokonało się przez Maryję i Maryja była pierwsza w tej cudownej wspólnoty z Chrystusem, którą my teraz dzielimy z Nią. Najświętsza Maryja Panna jest w Ewangeliach obecnością najbardziej dyskretną, na pół ukrytą, a równocześnie niezgłębioną: od dziesiątków lat biorę wciąż na nowo do ręki tych niewiele wierszy, które poświęca Jej Pismo Święte. A jednak za każdym razem odkrywam w nich zaskakujące nowości. To jest dla mnie oczywistym znakiem Tajemnicy.

Na granicach nieznanego

O powierzchowności pełnej życia, szerokim uśmiechu, włosach zaledwie szpakowatych mimo przekroczenia już pięćdziesiątki, ojciec Andreas Resch, redemptorysta z Południowego Tyrolu, należy do wyjątkowych postaci, które cechują ten stary, zawsze zaskakujący Kościół katolicki.

Ojciec Resch, jak wielu innych Włochów według paszportu, ale Niemców z języka i kultury, korzenie zapuścił również w Innsbrucku, skąd, w zasięgu

pociągu, ma Niemcy i Włochy. Przede wszystkim Rzym. Tutaj, w Akademii Alfonsjańskiej, agregowanej do Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego, zajmuje katedrę stworzoną specjalnie dla niego, i która dotąd nie ma równorzędnych w świecie kościelnym: wyklada mianowicie "psychologię kliniczną i paranormologię". Ten ostatni termin jest jego własnym tworem i oznacza "naukę o zjawiskach paranormalnych", o zjawiskach mianowicie, które występują poza tymi znanymi w naturze: przeczucia, prorocze sny, wizje, zjawy, materializacje, lewitacje, ekstazy, bilokacje, stygmatyzacje, telepatia, telekineza; ale także ufologia, astrologia, alchemia... Jeżeli ktoś zna coś, niech wrzuci to do tego magazynu rzeczy dziwnych, irracjonalnych, niezwykłych.

W Rzymie więc istnieje osobiwa katedra; w Innsbrucku jeszcze bardziej zdumiewający instytut, którego jest założycielem i sekretarzem generalnym: Imago mundi po łacinie lub po niemiecku Institut für Grenzgebiete der Wissenschaft, Instytut dla granicznych obszarów nauki. Licząc wyłącznie na siły własne i innych badaczy, ojciec Resch zbudował na łące za kościołem swoich współbraci redemptorystów, przy centralnej Maximilianstrasse, lśnący czystością dwupiętrowy domek. Tutaj są gromadzone, katalogowane, studiowane wszystkie poszlaki i wszystkie ślady, jakie to, co niepojęte, wydaje się rozsiewać w nas i poza nami.

Jednym słowem archiwum, kartoteka światowa faktów paranormalnych, które uczony redemptorysta klasyfikuje przynajmniej w czterech kategoriach: zjawiska parafizyczne (na przykład: upiory, bilokacje, obracające się stoliki); zjawiska parabiologiczne (przykład: niewytłumaczalne uzdrowienia, stygmatyzacje); zjawiska para-psychiczne (przykład: przewidywanie, telepatia, jasnovidzenie); zjawiska paranormalne duchowe (intuicja, prorocstwo, ocalenie). Na te tematy ojciec Resch organizuje okresowo wielkie kongresy międzynarodowe, publikując potem ich Akta (zamawiane przez biblioteki uniwersyteckie z połowy świata) w swoim specjalistycznym wydawnictwie.

Powiedzmy to od razu jasno - dowodzi tego zresztą jego katedra na poważnym uniwersytecie papieskim - że nasz profesor nie ma w sobie nic z wizjonera, "maniaka", łagodnego szaleńca, który "słyszy głosy". Jest dokładnym, rygorystycznym badaczem; jest autentycznym zakonnikiem, a więc, jak mi opowiada, od czasu studiów (najpierw teologicznych, a potem psychologicznych) zauważył, że "wiedza naukowa, akademicka, jest niewystarczająca do zdania sobie sprawy z bogactwa życia". Ten brak popychał go, dzień po dniu, ku "obszarom granicznym". Naturalnie, musiał przewyrczyć pewne nieufności; ale jego przełożeni szybko się zorientowali, że jego zaangażowanie jest poważne i pożyteczne.

Tak więc, po udzieleniu mu pozwolenia, zaczęto go potem do tego zachęcać; podobnie postąpiły także władze akademickie. Mówi:

- Zresztą, Kościół ma Sekretariat dla niechrześcijan, ale nie ma żadnego organu do dialogu z tymi ludźmi, w liczbie rosnącej z dnia na dzień, którzy badają sfery parapsychologiczne, okultystyczne, ezoteryczne i którzy szukają, często po omacku, swojej duchowej ojczyzny. Często się zapomina, że na te tematy wychodzi każdego roku więcej książek niż rozpraw teologicznych. Tak więc, po oczywistych trudnościach początkowych, teraz patrzy się z sympatią na to, że w Kościele jest zakonnik, uznany ekspert, zajmujący się tymi problemami przy pomocy metod naukowych.

Ojciec Resch na swoich wykładach zwraca się do publiczności złożonej z młodych ludzi odpowiednio wykształconych, będących już kapłanami w okresie specjalizacji; ale należałoby sobie życzyć "przynajmniej jednego semestru w każdym seminarium, poświęconego paranormologii: coraz więcej księży w swojej praktyce duszpasterskiej musi zmierzać się z pytaniami ludzi na ten temat".

Rozmawiam z nim w jasnym biurze na drugim piętrze Imago mundi, jego Instytutu. Zimowe słońce, powodujące lśnienie lodowców panujących nad Innsbruckiem, nie ucisza pewnego niepokoju, powodowanego otaczającymi nas archiwami i kartotekami wypełnionymi świadectwami o tajemnicy. Materia taka jak ta, wbrew wszelkim wysiłkom naukowości, nie znosi zbyt sztywnej schematyzacji. Będziemy więc zdawać sprawę z naszej rozmowy urywkami, skrótami, z uwagą wstępną o metodzie:

- Tym, co jest ważne - powtarza rzeczywiście ojciec Resch - nie jest staranie się o wyjaśnienie za wszelką cenę. Ważną jest rzeczą zacząć od dokładnego opisu. Potem będzie można ryzykować stawianie hipotez, które, w wielu wypadkach, będą skazane na pozostawienie nimi na zawsze. Posłuchajmy więc kilku rzeczy, jakie ten niezwykle uczony ma nam do przekazania:

- Nawet jeżeli wielu nie ma odwagi się do tego przyznać, także przed samym sobą, jestem przekonany, że dzisiaj najbardziej nagłym pytaniem człowieka (każdego człowieka, ale przede wszystkim człowieka z tak zwanych krajów rozwiniętych) jest pytanie o śmierć i o możliwość życia pozagrobowego. Mianowicie pragnienie, choćby niejasne, ale silne, pozostania żywym dla siebie i dla drogiego bliskich zmarłych. Te dwie potrzeby są dzisiaj tłumione przez panującą kulturę i często także przez teologiczną tendencję Kościołów chrześcijańskich, które zbyt zajęte historią, wymiarem horyzontalnym, zapominają o wieczności, o wymiarze wertykalnym. Rezultatem tego jest lęk ludzi, zakłopotanie, dręczący niepokój, frustracja. Wystarczy pomyśleć o popularności i znaczeniu, jakich nabrał spirytyzm, ten mianowicie ruch, oparty na przekonaniu, że żywi mogą nawiązać łączność ze zmarłymi i otrzymać od nich wiadomości o życiu pozagrobowym. Spirytyzm, przynajmniej w części, jest reakcją przeciwko brakom, milczeniom, cenzurom pewnej teologii i pewnego duszpasterstwa. Jeden z naszych kongresów, który narobił wiele hałasu, był właśnie poświęcony problemowi życia post mortem. W gruncie, duża część celów naszej pracy idzie właśnie w tym kierunku.

- Rezultaty? - pytam.

- Nie są to "dowody" naukowe; ale zresztą tego rodzaju i definitywnych dowodów nie można uzyskać. Jest wiele poszlak: i są i o wiele liczniejsze te poszlaki, które świadczą na korzyść życia ' pozagrobowego niż te, które je wykluczają. Nie chodzi o teorie, teologiczne lub filozoficzne, lecz o konkretne fakty. Na przykład:

; osoby, które doznały klinicznej śmierci, które mają doświadczenia pozacielesne i przybywszy na próg życia pozagrobowego, widzą idących im na spotkanie swoich zmarłych krewnych, którzy chcą im pomóc w przejściu tego progu. Jest rzeczą znamioną, że te doświadczenia są poświadczane także przez tych, którzy należą do kultury na przykład hinduskiej, w której nie ma tego rodzaju oczekiwań, ponieważ nie ma w niej wiary w przeżycie osobowe. W obecnym stanie badań trzeba powiedzieć, iż nie da się wytłumaczyć tego wszystkiego, odwołując się do teorii opartych na patologii lub na halucynacji.

- Jedną z najczęstszych dzisiaj odpowiedzi, także na Zachodzie, na problem życia pozagrobowego, jest odpowiedź o reinkarnacji: przechodzenie w zwierzę lub w roślinę albo w osobę ludzką. Co myśli o tym profesor Resch?

- Jeżeli tezy reinkarnacjonistyczne są tak bardzo przyjmowane, to dlatego, z jednej strony, że pozwalają zaspokoić fundamentalną potrzebę ucieczki w jakiś sposób od unicestwienia przez śmierć; a z drugiej strony, ponieważ nie niepokoją, nie przewidują sądu nad naszym grzechem. Taka więc perspektywa może stanowić pewnego rodzaju narkotyk usmierzający poczucie winy: ile by się grzechów popełniło, po cyklu kolejnych reinkarnacji, na końcu połączy się z Absolutem, w którym moja indywidualność się rozpułynie. Dla wiary Kościoła natomiast jest absolutnie niezbędne, aby uchronione było osobowe, indywidualne życie pozagrobowe i aby nie została umniejszona rola Chrystusa Pośrednika i Zbawiciela. Doktryny reinkarnacjonistyczne, poza tym, nie znają zmartwychwstania ciała, ponieważ w ich głębi często jest niedoceniana materia, której duchowa część człowieka jest więźniem.

- Jakie są konkretne fakty, dokładne znaki w tym kierunku?

- Także tutaj nie ma "dowodów", to oczywiste, lecz tylko poszlaki: w obecnym stanie wydaje się jednak pewne, że poszlaki zebrane na korzyść reinkarnacji (wspomnienia z innych żywotów itd.) nie są decydujące i mogą być wymieniane jako przypadki jasnowidzenia, telepatii i tak dalej. W każdym razie, nawet jeżeli są niemożliwe do przyjęcia dla wiary i nieudowodnione przez fakty, tezy reinkarnacjonistyczne są znakiem czasów, który musi zostać rozszyfrowany. Trzeba postawić sobie pytanie, czy ich zasadnicza intuicja nie wymaga nowego zainteresowania katolicką wiarą w czyściec. Protestanci ją zanegowali i tak, między innymi, tym, co tradycja

katolicka przypisywała duszom czyścącym, obarczono diabła, rozszerzając tym samym sferę jego wpływu. Wiadomo zresztą, że Luter miał jak gdyby nienormalny stosunek do szatana. Obecnie pewna teologia protestancka wydaje się odzyskiwać jakąś formę czyścica. I jest to czymś dobrym; tak jak byłoby dobrem, gdyby także teologia katolicka ponownie "wylansowała" go w pełni: chodzi istotnie o pojęcie dobroczynne, pozytywne. Jest on możliwością doprowadzenia do końca tego doskonalenia, którego człowiek za życia nie potrafił zrealizować. I stanowi on także możliwość owocnego dialogu ze zmarłymi: my modlimy się o ich doskonalenie, oni wstawiają się za nami.

- Ojciec Resch, jakie są ojca stosunki z kolegami teologami?

- W tej perspektywie, która przede wszystkim mnie interesuje, dialogu, więzi między żywymi i umarłymi, wcale nie jestem przekonany do kierunku pewnych tendencji obecnej teologii katolickiej. Do

tych tendencji należy ukrywanie czyścica. Ale w tych latach zdarza się także zbyt częste przemilczanie Aniołów i ich pozytywnej roli. Reforma liturgiczna, na przykład, połączyła w jednym dniu wspomnienie wszystkich Archaniołów; wielu następnie dąży do usunięcia Aniołów Stróżów. Tymczasem chodzi tu o wielki, piękny, płodny artykuł wiary. Stwierdzamy to w naszych badaniach: potrzeba "ducha przewodnika" jest obecna we wszystkich tradycjach religijnych. Zrezygnowanie z niego jest niebezpieczne dla równowagi wiary i człowieka. Aby rozszerzyć się na dyskusję bardziej ogólną, dzisiejsi katolicy są wystawieni na ryzyko racjonalizmu, który przeszkadza człowiekowi wyrażać się w sposób integralny, a więc żyć w sposób prawdziwie ludzki. Stwierdzam także ten racjonalizm, gdy ktoś przychodzi do mnie, aby zrelacjonować mi niewytłumaczalne fakty; nawet kapłani zdają się wstydić, jak gdyby bojąc się wyjść poza schematy przyjmowane przez panującą kulturę.

- Jakie są przyczyny tego racjonalistycznego skażenia?

- Nie ma wątpliwości, że po Soborze na naszą teologię wywierał wpływ liberalny protestantyzm i scjentyzm: jeden i drugi postanawiają na wszelki sposób ograniczyć zakres tajemnicy. W krajach niemieckich teologia cierpi na kompleks niższości wobec protestanckiej krytyki biblijnej, w krajach łacińskich wobec kultury laickiej. Ten spadek wrażliwości na tajemnicę jest widoczny nawet w architekturze nowoczesnych kościołów, niezdolnych do uchwylenia zmysłu religijnego: owej "wibracji", na przykład, wyrażanej cudownie przez rozety katedr romańskich i gotyckich. W katedrach średniowiecznych wszystko było mądrym symbolem, który wierni, nawet niewykształceni według kategorii akademickich, potrafili rozumieć, zaspokajając w ten sposób ową potrzebę religijną, jaka jest w każdym człowieku. Wymiary, proporcje, skróty perspektywiczne: proszę pomyśleć, że w tych cudownych katedrach światło było przesączone sposobami inspirowanymi przez znajomość alchemii, której formułę posiadało bardzo niewielu.

Tymczasem dzisiejsza liturgia chrześcijańska zapomniała, że powinna być wierną oblubienicą sztuki; a nawet sama liturgia jest sztuką, która musi odwoływać się do emocji i uczuć znajdujących się w głębi każdego człowieka. Zapomniano, że emocje i uczucia mają doniosłość równą (jeżeli nie wyższą) naszemu aspektowi intelektualnemu. Poza tym wszystkim, kładąc akcent na sam tylko wymiar rozumu, gubi się tę powszechność emocji i uczuć, która jednoczy rasę ludzką: dowodem niech będzie to, że mogę zakochać się w osobie jakiegokolwiek rasy lub kultury. Od jakiegoś czasu zaznacza się również w katolicyzmie fakt, że w próżnie otwarte przez ten racjonalizm wkradają się sekty oraz wszelkie formy okultyzmu i ezoteryzmu.

- Co przeto powinien robić chrześcijanin?

- Ja twierdzę, że trzeba być otwartym na tajemnicę, na to co możliwe; ale w tym samym czasie trzeba unikać wszelkiej łatwowierności. A więc, także w tej rygorystycznej wizji, trzeba powiedzieć, że zarówno nauki "normalne" jak i "paranormalne" są zbieżne w przekonywaniu nas o rzeczywistości: niemożliwa jest już wizja świata oparta na "przypadku". Nie znam już żadnego poważnego uczonego, który miałby odwagę podtrzymywać teorię człowieka i kosmosu, opartą na przypadkowości. Istnieje rosnąca ilość poszlak, które skłaniają do wierzenia w "plan", a więc i w "Autora planu" ukrywającego się za stroną widzialną świata. Jeden przykład za wszystkie? Mikrobiologia, która upewniła się, że tworzenie się komórek,

molekuł, protein nie jest wytłumaczalne bez struktury planowania. Jeżeli następnie spojrzymy w nasze wnętrze, zauważymy inną serię poszlak w istnieniu "zasady" duchowej, nie mającej umrzeć. Coś, co przywodzi na myśl "duszę", o której mówi wierzący. Tak jak nie jest już możliwe wytłumaczenie świata za pomocą przypadku, tak nie można też wytłumaczyć człowieka za pomocą tylko fizyki lub chemii. Nasze badania to potwierdzają.

- Co myśli ojciec jako ekspert o owym "cudownym" aspekcie wiary, poczynawszy od cudów Ewangelii, który również wielu ojca współbraci kapłanów chciałoby dzisiaj "usunąć"?

- Aby się upewnić, że Jezus działał cuda, wystarczyłoby przypatrzeć się wpływowi, jaki miał na tych, którzy Go widzieli i się do Niego zbliżali. Ludzie nie pragną przede wszystkim przemówień teologicznych, lecz uzdrowienia dla siebie i dla swoich bliskich. To pragnienie musiało zostać spełnione, z całą pewnością: apostołowie i uczniowie byli pod wrażeniem tego rodzaju zjawisk, inaczej nie można by było wytłumaczyć ich późniejszego zachowania, wytrwałego aż do męczeństwa. Na pewno: nawrócenie jest cudem jeszcze większym niż uleczenie z choroby, ale tylko to ostatnie można stwierdzić bezpośrednio. Dzisiaj, wobec kryzysu dziewiętnastowiecznego scjentyzmu, cudowny aspekt Ewangelii jest bardziej wiarygodny niż był kilka dziesiątków lat temu.

- Jakie zjawiska paranormalne, w sferze religijnej, najbardziej ojca zainteresowały?

- Jednym ze zjawisk najbardziej imponujących jest zjawisko stygmatyzacji. Od stygmatów Chrystusa wyraźnie wspomnianych w Ewangeliach, do 1224 roku (św. Franciszek w La Verna) nie jest nam znany żaden inny przypadek. Pewne badania wyliczają 31 takich przypadków do końca XIII wieku; 22 przypadki w wieku następnym; 25 w wieku XV i tak dalej. W sumie przypadków zweryfikowanych jako cielesne stygmata jest około 400: siedem kobiet na jednego mężczyznę. Znaki są zwyczajnie umiejscowione na rękach i stopach, niekiedy na klatce piersiowej. Są jednak zarejestrowane także rany na głowie w kształcie korony cierniowej, lub na plecach. Rzeczywistość tego zjawiska jest uznawana przez wszystkich, gdy tymczasem różnicowane są, oczywiście, ich tłumaczenia. Wielu opowiada się za rozwiązaniem medycznym, trzeba jednak wziąć pod uwagę to, że rany "naturalne" ropieją, a następnie się goją, pozostawiając blizny, podczas gdy "prawdziwe" stygmata nie wykazują żadnej infekcji, okresowo (na przykład w każdy piątek) wypływa z nich krew, a gdy się zamykają, nie pozostawiają blizn. Zjawisko jest więc jeszcze całkowicie otwarte i należy do tych, które zasługują na intensywniejsze badania i większe zainteresowanie.

- Inne przypadki?

- Innym zjawiskiem związanym ze świętością jest lewitacja, "lot" ciała, które unosi się z ziemi i o którym opowiada wiele kronik. Także tutaj świadectwa są takie i jest ich tyle, że nie można zaprzeczać rzeczywistości zjawiska. Tak samo można mówić o "głodowaniu", mianowicie o powstrzymaniu się od wszelkiego rodzaju pokarmu z wyjątkiem wody, a w tradycji katolickiej niekiedy Eucharystii. Przypadkiem najbardziej znanym, naukowo kontrolowanym, jest przypadek Teresy Neumann, która przeżyła 35 lat bez pożywienia, poza przyjmowaną każdego rana Komunią świętą. Wśród mężczyzn rekord stanowi Mikołaj z Flue: 19 lat bez jedzenia.

- Ojciec Resch, czy miał ojciec konkretne doświadczenia faktów, które bada?

- Jeżeli chodzi o moje osobiste doświadczenie, miałem możliwość badania słynnego przypadku Poltergeist we wsi Rosenheim, w pobliżu Monachium w Bawarii. Poltergeist znaczy "duch psotnik": duch bałaganiarz, który jest niewidzialny, ale który objawia swoją moc wprowadzając zamęt w otoczeniu, rzucając przedmiotami, które często zmieniają w powietrzu kierunek o 90 stopni oraz dokonują innych niewytłumaczalnych ruchów. Doniesienia o tych zjawiskach mogłyby zapełnić całe biblioteki, ponieważ spotyka się ciągle ich przypadki od starożytności. W Rosenheim przypadek, poza mną, był poświadczony przez policję, przez sądownictwo, przez techników i naukowców ze specjalnymi instrumentami. Interweniował także słynny uniwersytecki Instytut Fizyki Maxa Plancka, który mierzył wywierające wrażenie zakłócenia obwodów elektrycznych w domu i linii telefonicznych. Zakłócenia, które, jak napisano w naukowym sprawozdaniu, "można było mierzyć, ale których nie

można było racjonalnie wytłumaczyć". Sprawozdanie dodało, że "zjawiska, chociaż złożone i nieregularne, wydają się kierowane przez siły inteligentne, dążące do wymykania się badaniom". Między innymi, w Rosenheim fruwała w powietrzu także kasa pancerna ważąca ponad trzy kwintale. Ten "duch psotnik" rzadko jest wrażliwy na egzorcyzmy, jakkolwiek ten obrzęd powoduje niekiedy zmniejszenie gwałtowności zjawiska. W ogóle, jeżeli chodzi o egzorcyzm, jestem pragmatykiem: jeżeli pomaga, dobrze jest dokonać go. Proszę wziąć pod uwagę, że opętanie diabelskie może być także zamaskowane przez czyny pozytywne, dobroci, altruizmu; jednakże potem na końcu ukazuje całą swoją stronę ujemną.

Mówi, kontynuując opowiadanie o swoim bezpośrednim doświadczeniu:

- Byłem uczestnikiem w pierwszej osobie innego faktu, który dotyczy badań naszego Instytutu. Jako gość pewnej parafii w Niemczech miałem sen, iż uczestniczę w pogrzebie jednego mojego współbrata. Obudziłem się, wstałem z łóżka, ale wizja trwała także przy otwartych oczach. Rano powiedziałem o tym księdzu, którego byłem gościem. Tego samego rana przyszedł telegram powiadający mnie o śmierci, nagłej i zupełnie nieoczekiwanej, mojego młodego jeszcze współbrata... Dziwne jest to, że gdy ten zakonnik umarł w nocy, pogrzeb, w którym "uczestniczyłem", miał się dopiero odbyć.

- Pewnego dnia zdarzy się także ojcu, ojciec Resch, samemu stwierdzić jakie jest naprawdę to życie pozagrobowe, o którym zbierał ojciec poszlaki przez całe życie. Jak się go ojciec spodziewa?

- Jako miejsca całkowitej szczęśliwości, ponieważ w Bogu osiągniemy jedność z całym kosmosem oraz jasne poznanie związków, które łączą wszystkich z wszystkim. Światło i zjednoczenie miłości, w której nie będę już musiał myśleć o samym sobie, gdzie nieszczęście zniknie razem z tym, co je powoduje: z potrzebą i pragnieniem. Raj, w którym będą wierni wszystkich wyznań: kryterium sądu nie będzie stanowiła (uznaje to także teologia katolicka) przynależność do grupy religijnej, ale wewnętrzna jakość, dobra wola. Chociaż jestem przekonany, bardziej niż kiedykolwiek, że na tej ziemi to Kościół katolicki posiada najbardziej rozległą i najbardziej kompletną prawdę. Ale nasze poglądy i wyobrażenia o tamtym świecie mogą być tylko niedokładne i antropomorficzne. Rzeczywistość będzie przewyższała wszystkie nasze przewidywania.